

Maciej Mazurkiewicz

JAK ZOSTAŁEM PROFESOREM

czyli

PÓŁ WIEKU W AGH



Maciej Mazurkiewicz

**JAK ZOSTAŁEM
PROFESOREM**

czyli

**PÓŁ WIEKU
W AGH**

Kraków 2016

© Maciej Mazurkiewicz

© **ART-TEKST** – Kraków 2016

Zdjęcie na okładce: *Mariusz Sierpień*

ISBN 978-83-7783-192-2

Wydawca i redaktor wydawnictwa:

ART-TEKST – dr inż. *Mariusz Sierpień*



**Agencja
Wydawniczo-Poligraficzna**

ART-TEKST

dr inż. Mariusz Sierpień

ART-TEKST

Osiedle Akademickie 1/7, 31-866 Kraków tel. kom.: 501 534 061 e-mail: art.tekst.krakow@gmail.com

Spis treści

Przedmowa	5
Tłumaczenia – w miejsce „Wstępu”	9
Auto cytowania, czyli studia	17
Asystenckie studia przygotowawcze	45
Doktorat popiołowy	53
Moi profesorowie	69
Habilitacja zawieszona	107
Sypnęły się funkcje	127
Profesura odpadowa	157
Nauka	163
Biblioteka	173
Kształcenie i promocja młodych	177
Recenzowanie	195
Wieloletowość	199
Szefowie	205
Rówieśnicy i inni	233
Administracja	251
Wyjazdy, nie tylko służbowe	261
O zwyczajach i tradycjach górniczych w AGH i nie tylko!	283
„Prawdziwego mężczyznę poznaje się nie po tym jak zaczął, ale jak kończy!”	293
Indeks nazwisk	301

Przedmowa

Dla historyka wartość tak zwanych ego-dokumentów jest trudna do przecenienia: pamiętnik, autobiografia, dziennik stanowią trzy podstawowe rodzaje dokumentu osobistego. We współczesnych badaniach ich rola niepomernie wzrosła. Wyznacznikiem odróżniającym dokumenty osobiste jest czas w którym powstały. W pamiętniku i autobiografii wydarzenia są odtwarzane, natomiast w dzienniku – pisane na bieżąco. W autobiografii autor koncentruje się przede wszystkim na sobie, kolejnych etapach życia, przełomach w swojej biografii oraz wyznawanym systemie wartości, sukcesach i porażkach, a niekiedy skupia się po prostu na przedstawieniu własnej legendy¹. Ogólnie można stwierdzić, że wspomnienia, pamiętniki i autobiografie to opowieści ich autorów o samym sobie, to jakby wędrówka z samym sobą przez życie.

Z natury rzeczy dokumenty osobiste mają subiektywny charakter. Stąd wielu badaczy odnosi się ze sceptycyzmem do tego typu źródeł, mając główne zastrzeżenie co do prawdziwości opisywanych zdarzeń. Po latach pamięć bywa często ulotna. Wątpliwości, co do sensu pisania wspomnień ze względu na zawodność pamięci, wyraziła Barbara Skarga we wstępie do swojej książki: *Po wyzwoleniu. (1944–1956)*: „Piszący czuje, że patrzy wstecz z zupełnie innej perspektywy i nie jest w stanie oddać autentycznego obrazu swych przeżyć! A ileż

¹ Zob. Szulakiewicz W.: *Ego-dokumenty i ich znaczenie w badaniach naukowych*, <https://repozytorium.umk.pl/bitstream/handle/item/1531/PBE.2013.006,Szulakiewicz.pdf?sequence=1> (odczyt: 2.VI.2016).

postaci, głosów, zdarzeń jawi się jako ledwie widoczny ślad... Czy można się przedrzeć przez mgłę własnego zapomnienia?²”.

Mimo tych zastrzeżeń historyczna wartość dokumentów osobistych jest powszechnie uznawana, a konieczność ich wykorzystania w badaniach docenia się w środowisku historyków i socjologów. Szczególny wymiar posiadają ego-dokumenty w rekonstrukcji dziejów nauki, uczelni wyższych czy biografii przedstawicieli poszczególnych dyscyplin nauki. Trudno jest sobie wyobrazić odtwarzanie dziejów szkół wyższych bez odwołania się do świadectw osobistych. W przypadku Akademii Górniczo-Hutniczej, jest to niezwykle skomplikowane, zważywszy na skąpe materiały osobiste. Inna jest wartość dokumentów urzędowych: protokołów, sprawozdań czy aktów prawnych. Atmosferę czasów poznajemy głównie dzięki wspomnieniom, listom czy dziennikom.

Tym bardziej należy cenić książkę Macieja Mazurkiewicza zatytułowaną: *Jak zostałem profesorem czyli pół wieku w AGH*. Autor jak sam stwierdza we wstępie, pisze swoje wspomnienia z nadzieją, że „ci co przyjdą po nas [...] być może [...] będą interesować się studiami i pracą w Uczelni w przeszłości”. Książka ma układ problemowy z zachowaniem ciągu chronologicznego. Pół wieku w historii Uczelni to długi okres, zważywszy, że w ciągu tych lat w Polsce nastąpiły epokowe zmiany. Od „realnego socjalizmu” poprzez czasy „Solidarności”, stan wojenny, upadek komunizmu, transformację okresu przejściowego, po wstąpienie do NATO i Unii Europejskiej. Wprawdzie Autor świadomie unika zbyt wielu politycznych kontekstów, jednak możemy dowiedzieć się np. o wydarzeniach „Marca 1968” roku czy „Grudnia 1970” z perspektywy studenta, a potem młodego pracownika naukowego.

Co zrozumiałe, najwięcej miejsca Autor poświęca życiu Uczelni. Mamy więc obraz studiów na przełomie lat 60. i 70. minionego wieku z barwnymi „wstawkami” z obowiązkowej wówczas dla studentów służby wojskowej; przebieg kariery od asystenta po profesora, poznajemy sylwetki osób, profesorów i nie tylko, którzy odcisnęli ślad w życiu zawodowym Profesora Mazurkiewicza. Anegdoty dotyczące niektórych osób, jedynie czynią te wspomnienia ciekawszymi. Na kartach książki nie brakuje uwag krytycznych, subiektywnych ocen, ale taka jest natura memuarystyki. Co jednak godne jest podkreślenia, Autor z dystansem odnosi się do samego siebie. Niezwykle cenne są bardzo liczne i szczegó-

² Skarga B.: *Po wyzwoleniu... (1944–1956)*. Kraków 2008, s. 5.

łowe biogramy osób związanych z AGH, a zamieszczony na końcu indeks ułatwia dotarcie do nich. Konkludując należy stwierdzić, że wspomnienia Profesora Mazurkiewicza są godną polecenia lekturą, nie tylko dla osób związanych z Akademią Górniczo-Hutniczą, ale wszystkich którzy interesują się procesami rozwojowymi szkolnictwa wyższego w Polsce w okresie powojennym.

Anna Siwik

Tłumaczenia – w miejsce „Wstępu”

„Co będziesz robił na emeryturze”? – spytała prof. Janusza Roszkowskiego jego koleżanka ze studiów: „Jak to co, pisał pamiętnik! Już nawet mam tytuł: Jak zostałem rektorem AGH” – odpowiedział z właściwą mu skromnością.

Scena ta, mająca miejsce w jego gabinecie (wtedy dyrektora Instytutu Górnictwa Podziemnego i Bezpieczeństwa Pracy), w czasach świetności górnictwa, w trakcie jednego z licznych wesołych spotkań towarzyskich, zapadła głęboko w mojej pamięci. Im bliżej sam byłem emerytury i dojrzywałem do wspomnienia, tym uporczywiej przemyślałem nad sparafrazowaniem w tych wspomnieniach, zaproponowanego przez mego wieloletniego Szefa tytułu na: „Jak nie zostałem rektorem AGH” (on zresztą też nie został, choć kandydował). Zrezygnowałem z tego (jak widać nie do końca) uważając, że byłby zbyt pretensjonalny, że sugerowałby jakieś moje ukryte, a niespełnione marzenia. A to byłaby nieprawda. Pomimo swoistej kariery naukowej i okołonaukowej, jaką niewątpliwie zrobiłem (ile ona warta niech rozświetla dalszy tok tych wspomnień), nigdy nie marzyłem o funkcjach administracyjnych w Uczelni. I choć one się zdarzały (13 miesięcy prodziekan, wiele lat zastępca dyrektora Instytutu i Zakładu, potem twórca i kierownik Katedry, szósta kadencja w Senacie, czterokrotny przewodniczący senackiej komisji kadrowej), to nigdy usilnie nie pracowałem nad tym, by zasiąść na stołkach kierowniczych. Bywało, okoliczności wsadzały mnie na nie. Byłbym jednak fałszywym, gdybym udawał, że się poświęcałem, że bycie „kims” nie sprawiało mi satysfakcji, a wielokrotnie i przyjemności. A przy tym tak mi się udało, że tylko raz „o stołek” i to zewnętrzny

(członek KBN), zmuszony byłem (i chciałem) stoczyć bój, zresztą wygrany. Nie jestem też jakimś wybitnym naukowcem, co mogłoby wynikać z wymienionych funkcji, czy opisywanych w dalszej części działań. To pozory, a te jak wiadomo myślą. Bardzo spodobało mi się sformułowanie, jakiego wobec własnej osoby, podczas inauguracji pontyfikatu, użył Jego Świątobliwość Benedykt XVI. Trawestując je (z całą świadomością proporcji) powiem, że byłem i jestem skromnym robotnikiem w winnicy nauki.

Dlaczego piszę te strony? Jakoś tak się złożyło, że „na stare lata” zainteresowałem się historią własnej rodziny. Odpryskiem stały się zainteresowania losami ludzi, kształtującymi moją sylwetkę, moich nauczycieli, profesorów, kolegów. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że tak zwana literatura wspomnieniowa związana z Uczelnią jest dość uboga. Brak też zwartego opracowania obszernych życiorysów pracowników AGH – górników, poza tymi „pierwszymi”, najwybitniejszymi³. O niektórych z pracowników AGH można przeczytać krótkie notki biograficzne zawarte w cennym, jubileuszowym (85-lecie Uczelni) słowniku wydanym z inicjatywy rektora R. Tadeusiewicza⁴. W ostatnich latach rozpoczęto spisywanie i publikowanie na stronie Uczelni notki o ludziach, są też wycinkowe wspomnienia (życiorysy) w wydawnictwach uczelnianych. Z publikacji „źródłowych” znane mi są wspomnienia profesorów z kręgu górnictwa: A. Bolewskiego⁵, A.S. Trembeckiego⁶, A. Maneckiego⁷, biografie prof. Krupińskiego⁸. Są także anegdoty o ludziach AGH spisane przez prof. H. Filcka⁹ czy napisane przez prof. A. Bębna¹⁰ jego życiorys, zresztą również w dużej mierze w konwencji anegdotycznej. Jest jego druga pozycja, podobnie jak w przypadku

³ Na przykład: *75-lecie pierwszego doktoratu w AGH. Witold Budryk*. Biblioteka Szkoły Eksploatacji Podziemnej, Kraków 2003.

⁴ *Wielka księga 85-lecia Akademii Górniczo-Hutniczej*. Wyd. Helion, Gliwice 2004.

⁵ Bolewski A.: *Moje życie, moja praca*. Wyd. IGSMiE PAN, Kraków 1996; Bolewski A.: *Wspomnienia Starej Strzechy o Akademii Górniczej*. Wyd. IGSMiE PAN, Kraków 1999.

⁶ Trembecki A.S.: *A jednak zezowate szczęście*. Cz. I i II. Wyd. SIGNO WIR, Kraków 2005.

⁷ Manecki A.: *Alfabet wspomnień, o ludziach nauki i wydarzeniach lat minionych*. Wyd. Mineralpress, Kraków 2015.

⁸ Jarocki R.: *Z Niwki do Genewy*. Wyd. Literackie, Kraków 1980; *Poczet Gwarków Śląskich. Zeszyt 7, Gwarek prof. Bolesław Krupiński*. Wyd. Goldpress, Katowice 2012.

⁹ Filcek H.: *Rektorskie opowiadania*. Agencja Wydawniczo-Konsultingowa „Geo” s.c., Kraków 2005.

¹⁰ Bęben A.: *Nie tylko z przymrużeniem oka*. Agencja Wydawniczo-Poligraficzna ART-TEKST, Kraków 2010.

prof. H. Filcka, będąca zbiorem anegdot¹¹ związanych z tradycjami górniczymi i hutniczymi. Zbiorem anegdot jest również „praca zbiorowa” pt.: *Opowieści i anegdoty z życia AGH 1919–2009*¹². Zdarzają się wspomnienia absolwentów¹³. Brak jednak „czegoś”, co pokazywałoby losy Uczelni i jej ludzi w perspektywie czasu dłuższego. Pokazywałoby je „od środka”, snułoby klimat, jaki w Uczelni panował. Zatem sam podjąłem się zrobienia czegoś w tym kształcie. Przyjąłem najłatwiejszą konwencję wspomnień, w których ludzie będą czołowymi aktorami. Oczywiście trudno opisać wszystkich. Dlatego o tych dla mnie najważniejszych pisałem obszerniej w tekście, o licznych innych w przypisach. Nie jest to oczywiście praca historyczna. Tę, na szczęście wykonała, wspaniale „pierwsza kobieta we władzach Uczelni” – pani prorektor, profesor, historyk – Anna Siwik. Wraz z zespołem opracowała pierwszą, profesjonalną historię AGH¹⁴, znajdując, zestawiając, objaśniając dokumenty (w inicjatywie jej powstania, w namawianiu Autorki – niech mi wybaczy nieskromność – miałem drobnutki wkład).

Dla kogo piszę? Przede wszystkim dla rodziny. Sam, dopiero co, dogrzebałem się do materiałów dokumentujących życie mego przodka (brata pradziadka), księdza dr. Jana Mazurkiewicza (1827–1895), profesora seminarium duchownego w Przemyślu i Uniwersytetu we Lwowie (wyzaczył mi poziom, którego nie osiągnąłem. On był dziekanem!). I studiuje je z pasją, podobnie jak losy innych protoplastów. Może więc ktoś z następnych pokoleń, napotkawszy te strony przeczyta je z ciekawością. Może ktoś z rówieśników, czytając je przypomni sobie nasze czasy. Piszę je jednak również z nadzieją, że ci co przyjdą po nas, być może będą pracować w tej samej Uczelni, będą interesować się studiami i pracą w Uczelni w przeszłości – tak od podszewki. No bo skoro ja się interesowałem poprzednikami...

¹¹ Bęben A.: *Górnicza lampka się pali*. UWND, AGH, Kraków 2008; Bęben A.: *Nie tylko z przy-mrużeniem oka*. Agencja Wydawniczo-Poligraficzna ART-TEKST, Kraków 2010.

¹² Wydane przez Fundację dla AGH (Kraków 2009), zawierają anegdoty spisane przez: A. Bębna, H. Filcka, A. Garlickiego, H. Góreckiego, S. Knothego, A. Bielańskiego, J. Sędzimirę i I. Suligę.

¹³ Lisowski A.: *W górnictwie – czas sukcesów i klęsk. Wspomnienia osobiste z epoki wielkich prze-mian*. T. II. Agencja Artystyczna „Para”, Katowice 2011; Strzałkowski K.: *Wspomnienia*. Manuskrypt.

¹⁴ Siwik A., Artymiak R., Kwiek J.: *Wysoki Sejm raczy uchwalić. Starania o założenie wyższej szkoły górnictwa i hutnictwa w Krakowie w latach 1861–1914 – Dokumenty*. Kraków 2013; *Podjęmując rozpoczęte dzieło... Akademia Górnicza 1919–1939 – Dokumenty*. Kraków 2014; *Na podstawie wydanych przez obywatela ministra dyspozycji... Akademia Górniczo-Hutnicza w powojennej rzeczywistości 1945–1989/1990*. Kraków 2016, Wydawnictwa AGH.

Ad rem! 50 lat temu (z małym okładem) po raz pierwszy przekroczyłem mury AGH i tak to trwa do dziś. Przekraczałem je przynajmniej 250 razy w ciągu roku (wychodzi piękna ilość, około 13 tys. razy). Najpierw, jako student od 2 lipca 1964 r., potem jako pracownik od 1 kwietnia 1970 r. Wrosłem w jej mury, poznawałem ich zakamarki i konstrukcje. Poznałem mechanizmy funkcjonowania Uczelni i tych, którzy nimi sterują. Formalnie, a czasem nieco z „tylnego siedzenia”.

Owe długie lata zetknęły mnie z tyloma ludźmi, uczącymi (mnie i wspólnie ze mną) i uczonymi (przeze mnie), współpracującymi z Uczelnią. Każdy kontakt pozostawiał ślad, kształtował moją osobowość. A czasy były interesujące („obyś żył w ciekawych czasach” – jak głosi starożytna klątwa chińska). Najpierw twarda, gomułkowska komuna, potem dramat lat 70., pozorna liberalizacja czasów Gierka, Solidarność i stan wojenny, wreszcie przełom i lata III Rzeczypospolitej. Zmieniło się tak wiele (choć wiele przywar zmieniło tylko formy). Nawet indeks – wydawałoby się nieodłączny składnik studenta¹⁵, został zlikwidowany. Z upływającym czasem pojawiły się u mnie refleksje, jakieś uogólnienia. Jak już wspominałem, kiedy na starszego pana przyszedł czas pisania wspomnień, zdecydowałem przypomnieć sobie i (wedle zainteresowania) innym, moje lata w AGH – pół wieku w AGH. Charakter (żona i niektórzy „przyjaciele” mówią, że bardzo trudny) nie pozwala mi jednak ograniczyć się do spisania faktów, opisu wydarzeń. Z pewnością będę uciekał w dywagacje, swoistą publicystykę, próbował uogólniać, oceniać. Z perspektywy owych 50 lat i Uczelnia, i kadra, a i studenci, są zupełnie innymi. Może więc te wspomnienia będą swoistym dokumentem moich czasów. Może za ich sprawą *non omnis moriar!* To chyba marzenie nie tylko Horacego.

Przygotowując „plan pracy” (od kilkunastu lat uważa się, że każde wystąpienie publiczne musi zostać poprzedzone „planem” – pewno przyszło to z nauki zachodniej, choć nie jestem pewien czy zawsze jest potrzebne, improwizacja bywa ciekawsza) założyłem, że będę pisał problemowo, niekoniecznie sztywno

¹⁵ Jeden z większych „oryginałów”, nauczyciel mechaniki, geomechaniki, mechaniki gruntów, wytrzymałości materiałów, mój egzaminator w przewodzie doktorskim – doc. dr inż. Stanisław Korman, mawiał do petenta usiłującego załatwić coś u niego w dziekanacie (był prodziekanem): „Student składa się z duszy, ciała i indeksu. Jak jednego nie ma, student niekompletny”. A, że nikt na ogół indeksu nie nosił przy sobie, zatem załatwić sprawę było niezwykle trudno. Dziś nie miałby komu wyklądać. Student niekompletny, bez indeksu.

trzymając się narracji chronologicznej, choć z pewnością ona stanowić będzie kręgosłup wspomnień.

Z perspektywy 50 lat w AGH, był to czas dla mnie niezwykle. To przede wszystkim, jak wspomniałem, kontakty z wspaniałymi ludźmi. Wielkimi i małymi (ale ważnymi) moimi nauczycielami. Ich życzliwość, pomocna dłoń. Wśród nich tylu przyjaciół, w tym z mojego pokolenia, wychowanków (jak to dumnie brzmi!). Tyle wspaniałych chwil z kolegami, (a może przede wszystkim!) jeśli nawet spędzonych w pracy i w godzinach pracy na grze w karty, lotki, cybergaja czy „biesiadowaniu”. (Tak bywało kiedyś, odkąd jest komputer i jego możliwości – gry, internet – jest wrogiem życia towarzyskiego w pracy. Biesiadowanie – tak kiedyś popularne, dziś zabija je posiadanie własnego samochodu!). Tyle kontaktów z przemysłem i jego „oficerami” (jak gierkowską nowomową je określano), z innymi jednostkami naukowymi, z urzędnikami różnych szczebli. I o tej jasnej stronie moich 50 lat będą przede wszystkim te wspomnienia.

Ale nie tylko. Pisanie o ludziach, łączy się z ich charakteryzowaniem, czy wręcz wystawianiem ocen. To budzi opory, zwłaszcza, jeśli miały by one być negatywne. Wprawdzie lata nauczyły mnie łagodności w ich ferowaniu (z wiekiem zacząłem dostrzegać, że pomiędzy kolorami czarnym i białym są jeszcze odcienie), ale co zrobić, jak pisać o kimś, kto tak naprawdę był dyletantem, karierowiczem, czasem wprost świnią, bo przecież tamten „słusznie miniony czas” obfitował i w takie kariery. Nad wybrańcami czuwały komitety, nad niektórymi – służby. Dbały, by ci słuszni ideologicznie („mierni, bierni, ale wierni”) byli ogłaszani luminarzami nauki, by robili „kariery”, zdobywali stopnie i tytuły naukowe, zajmowali stanowiska. I pomimo, że czasy się zmieniły, oni (w wielu przypadkach) nie rozliczyli się z otoczeniem i dalej „różni naukowca”¹⁶. Czy można ich pominąć?

I drugi istotny wyznacznik „tamtych czasów”, w których samochód otrzymywało się na talony, a kontakty z przemysłem wymagały „używania”. Sprawiało to, że na Uczelni alkohol był czymś znacznie powszechniejszym niż dzisiejsze toasty lampką wina w „Klubie Profesora”, czy przed aulą po ważnej uroczystości. Stąd i problem „nadużywających”, bywało wybitnych naukowców. Mierność naukowa utrzymywana przynależnością i pijaństwo, to bezsprzecznie

¹⁶ Jeden z wybitnych przedwojennych profesorów – mechaników, podobno mawiał do studentów: „Mam dwóch asystentów, jeden różni naukowca, drugi (przepraszam!) moją córkę”.

największe plagi „słusznie minionego czasu” w moim otoczeniu, ale nie tylko. Nie twierdę, że powszechne, ale rzucające się w oczy. Z czasem pojawiają się następne takie jak choćby „chciejstwo” na pieniądze (by nie użyć słowa korupcja), dopisywanie się szefów do publikacji wychowanków, grzecznościowe recenzje i „robienie” ważnym stopni. Jak o tym wszystkim pisać, nie naruszając pamięci lub dóbr osobistych niektórych „bohaterów” tych opowieści? Na dodatek świadom jestem subiektywności ocen. Ale jak o tym nie pisać? – zapytam retorycznie po raz drugi! Z konieczności więc, w niektórych przypadkach będę starał się pisać bezosobowo, bardziej o zjawisku niż ludziach. Zgodnie z chrześcijańską zasadą (a jestem głęboko wierzącym, choć często dyskutującym): krytykuj czyn a nie osobę! Choć, jeśli ktoś z czytelników zna środowisko, to pewno rozszyfruje jego zawołowanych „bohaterów”.

W zamysle (kolejny punkt w „planie”) strony te poświęcam moim wszystkim nauczycielom. Tytuł w moim życiu było wspaniałych nauczycieli. Od szkoły podstawowej po recenzentów opiniujących mój wniosek na etat profesora zwyczajnego, ostatni etap kariery akademickiej. Oni sprawili, że wspomnienia z 50-letnich związków z Uczelnią piszę z pozycji jej profesora. Piszę, więc: „Jak zostałem profesorem ...”. Tak się jednak złożyło, że formalną dedykację tej treści („moim nauczycielom i wychowawcom”) zawarłem w habilitacji. Nie będę więc jej powtarzał. Niech to krótkie uzasadnienie ją zastąpi. Szczególnie strony te poświęcam najwspanialszemu memu Przyjacielowi z okresu owych 50 lat w AGH, Zbyszku Piotrowskiemu. Zbyszku, wiem, że byś mnie za nie pochwalił! Myślałeś tak samo, byłeś bodaj jedynym Przyjacielem, z którym wadząc się (na tematy osobiste), zawsze, mówiąc o pracy w naszej Uczelni, sytuacji w kraju, znajdowałem wspólny język. I jestem pewien, że wiele z zawartych we wspomnieniach sądów, stwierdzeń brzmiałoby „prościej i treściwiej” gdybyś mógł je zweryfikować.

I jeszcze jedna uwaga. Pisząc o pracownikach, w wielu przypadkach (za zgodą pana rektora prof. T. Słomki – dziękuję! i po odbyciu szkolenia z zakresu ochrony danych osobowych) korzystałem z archiwum akt osobowych. Mam nadzieję, że nie naruszyłem dobrych obyczajów i nie ujawniłem „danych wrażliwych”. Jednak dzięki owej kwerendzie (wydaje mi się) opisywane sylwetki są wyrazistsze, no i faktów zdecydowanie więcej. Niestety nie udało mi się odnaleźć archiwum KU PZPR. Brak, choćby wykazu członków tej organizacji. Szkoda, bo publikowane przez niektórych życiorysy, są ewidentnie „farbowane”.

Dziś (niektórzy) wstydzą się (chyba!) funkcji, jakie wtedy w niej pełnili (a ja ich pamiętam z owych „czasów słusznie minionych”) i co im zawdzięczają! Ale co ciekawsze! Wielu z tych, którzy byli prominentami w tamtym systemie i dzisiaj nieźle sobie radzą. Czyżby teorie spiskowe mówiące o opiece pewnych służb i w tym przypadku się potwierdzały? No, ale to już zupełnie inna bajka. Nie ukrywam, że chciałem te wspomnienia poprzeć materiałami z IPN-u, wobec ogromu koniecznych zabiegów zrezygnowałem (może „na razie”).

Autocytowania, czyli studia

Autocytowanie to modny zarzut „nowoczesnych recenzentów”. Był stawiany w szczególności pracom habilitacyjnym, w których autor nawiązując do swego wcześniejszego dorobku, cytował go. Ale zarzut spotyka się też w recenzjach prac o innym charakterze. Owi „koryfeusze” recenzowania chyba jednak przesadzają, bo jak pominąć to, co autor (w szczególności habilitant) robił wcześniej, zwłaszcza, że wiele prac tego typu ma charakter monografii.

Powyższy metodologiczny wstęp jest mi potrzebny do uzasadnienia tytułu rozdziału. Otóż, kilka lat temu dla potrzeb bliskich i przyjaciół popiełem drukiem historię mej rodziny¹⁷ (dotarłem do piątego pokolenia wstecz, do roku 1763, kiedy to w Jaśle urodził się mój praprapradziad Marcin Mazur). Opisałem w niej również moją drogę do AGH i czas studiów. Na potrzeby tych stron będę cytował („autocytowałem”) i przetwarzałem tamte strony, dotyczące studiów. Nie będę ich wyróżniał, ale gdyby doszło do procesu o plagiat (Mazurkiewicz kontra Mazurkiewicz) to się zastrzegam!

Urodziłem się 26 lutego 1947 r. w Święcanach (podkarpacka wieś obok Biecza) w rodzinie nauczycieli (Maria z d. Zajac i Józef), fizycznie – w budynku miejscowej szkoły (urodzony nauczyciel!). Mam starszego o 14 lat brata Andrzeja.

¹⁷ Mazurkiewicz M. : *Mój wiek XX*. Kraków 2012 i 2014.

Urodzenie na wsi, (choć – niestety – bez pochodzenia chłopskiego, co nie dało mi dodatkowych punktów na egzaminie wstępnym) istotnie pomogło mi w dalszym życiu. Dużo by o tym pisać, niech wystarczy przywołanie „chłopskiego” sprytu, zaradności, uporu¹⁸. Ukończyłem moją rodzinną szkołę (wtedy 7 klas) i w 1960 r. wylądowałem w Liceum Ogólnokształcącym im. Króla Stanisława Leszczyńskiego w Jaśle, jednym z najlepszych liceów podkarpacia tamtych czasów. Maturę zdałem w 1964 r. z wynikami niezłymi, ze skłonnością raczej do przedmiotów ścisłych, choć moja ukochana polonistka do końca wahała się czy słusznie robi oceniając mnie na 4. Obniżona z 5 ocena to moja skłonność do robienia błędów ortograficznych prześladująca mnie całe życie (dziś byłby – „dysortografik”).

Istotną rolę w moim licealnym wychowaniu odegrało harcerstwo i zespół muzyczny „Akord” (skrzypce, gitara), a nade wszystko nauczyciele z nieocenioną wychowawczynią, polonistką dr Anną Marzec¹⁹.

Moją pierwszą miłością była geografia. Zauroczony książkami podróżniczymi i tradycjami rodzinnymi (wuj – mąż siostry ojca – był asystentem E. Romera) chciałem studiować ją na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie kuzyn – geograf (syn owego wuja) był asystentem. Po napisaniu listu do niego o moim zamiarze otrzymałem odpowiedź: „Po geografii, a geografów jest jak nasrał, będziesz, co najwyżej klasyfikował ziemię w pegeerze. Jeśli cię interesuje Ziemia, idź na geologię, ale nie uniwersytecką a na AGH, do Krakowa. Po tej będziesz miał pracę”. To ustawiło moje dalsze plany. Wybrałem się do Krakowa gdzie trzeba było złożyć egzamin wstępny. A strach duży. Na dodatek, jako dziecku nauczycielskiemu (inteligent!) nie przysługiwały mi „punkty za pochodzenie”, jakie dostawali koledzy – dzieci robotników i chłopów, w ramach „wyrównywania poziomu startu życiowego”.

¹⁸ Tu muszę wspomnieć wspaniałego polonistę, profesora Stanisława Pigionia, absolwenta tego samego liceum, autora *Z Komborni w świat*, który na kartach tej książki wykazał lepiej niż byłbym w stanie to zrobić przewagi dziecka wychowanego na wsi.

¹⁹ **Dr Anna Marzec** urodziła się w 1933 r. w Kozubowej na Podidziu. Studia polonistyczne odbyła w Uniwersytecie Wrocławskim. Kilka lat po mojej maturze zmieniła pracę. Doskonaliła nauczycieli (Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli) najpierw w Rzeszowie, potem w Krakowie. W krakowskiej WSP zrobiła doktorat z metodyki nauczania. Wybitny pedagog i metodyk, autorka kilkudziesięciu ważkich publikacji naukowych z tego zakresu. Jako „inżynier” dostąpiłem zaszczytu bycia jej przyjacielem. Zmarła w 2015 r.

2 lipca pisałem matematykę, 3 lipca rosyjski, a 4 lipca fizykę (po latach, w archiwum AGH oglądałem te wypracowania i nie jestem nimi specjalnie zachwycony). Uzyskawszy noty pozytywne (jednak!), zostałem dopuszczony do egzaminu ustnego, który zdawałem 7 lipca. I zaczęło się oczekiwanie! Wreszcie wiszą listy – zdałem, ale z braku miejsc nie zostałem przyjęty (i Bogu, dzięki, bo geologii, nauki w ogromnej mierze pamięciowej, nigdy bym nie skończył!²⁰), znalazłem się na liście rezerwowej. Gdyby ministerstwo wyraziło zgodę na zwiększenie limitu zostałemby studentem geologii. Na szczęście nie wyraziło. Zwiększyło natomiast limit na Wydział Górniczy, gdzie zaproponowano mi studia. I tak zostałem górnikiem²¹.

Zbliża się październik 1964 r., wyjeżdżam do Krakowa. Dziecko inteligencji pracującej – nie dostaję żadnych świadczeń. Znajduję stancję na ulicy Zagrody w pokoiku, przez który pani położna miejska (właścicielka domku) przechodzi do swojej sypialni. W kuchni tegoż mieszkania zainstalowany jest drugi student – Kuba²², który pojawia się kilka dni po rozpoczęciu zajęć. Okazuje się być... górnikiem II rok studiów, ale jako wytrawny student zjawia się kilka dni po rozpoczęciu roku.

Idę pod dziekanat, czytam ogłoszenia, odpisuję rozkład zajęć. Dowiaduję się, że jestem słuchaczem kursu B, który zaczyna zajęciami, a w semestrze letnim wyjeżdża na 5-miesięczną praktykę robotniczą. „Przewodnia siła narodu” dbała o to, by jej inteligencja techniczna zaznała smaku robotniczego trudu. Wpisano mnie do grupy 11, jak się okazuje, składającej się z samych dokooptowanych po terminie. Na pierwszy rok przyjęto ponad 300 osób. Tyłu górników potrzebowała PRL, no ale wtedy samych kopalń węgla kamiennego było ponad 70. Nie ma żadnej immatrykulacji. Indeksy i legitymacje odbieramy w dziekanacie. Największy problem, jak wypełnić indeks pismem technicznym, piórkiem i tuszem! Studenci III Rzeczypospolitej traktowali indeks bez szacunku. Za na-

²⁰ Przypominam to memu rektorowi, geologowi, prof. T. Słomce wypominając, że jego wydział stracił okazję na wykształcenie wybitnego geologa(!)

²¹ Trzeba wspomnieć, że motyw jak najszybszego usamodzielnienia się finansowo w moim pokoleniu był istotnym. Siedzenie „na garnuszku” u rodziców nie było w modzie (a moi już wtedy mieli koło sześćdziesiątki). Stąd ani chwilę nie myślałem o odpuszczeniu roku i staraniu ponownym. To zdarzało się wtedy, gdy ktoś starał się na medycynę, architekturę, czy do szkoły aktorskiej.

²² A w zasadzie Zdzisław Świączkowski.

szych czasów było nie do pomyślenia, by wypełniać go pismem dowolnym²³, musiało być techniczne. Pierwsze wpisy dokonywali koledzy po technikach. Potem, w ramach podziękowań szło się z nimi na piwo.

Idę na pierwsze zajęcia – matematyka. W rozkładzie zajęć rozpisano je od godziny ósmej. Jestem punktualnie w sali. Nikogo nie ma, oprócz gromady wystraszonych, głównie chłopaków (dziewczyn studiowało kilkanaście, o czym przy innej okazji). Po 15 minutach, (kto z nas wtedy wiedział, że obowiązuje kwadrans akademicki), wchodzi stosunkowo młody, przystojny człowiek. Przedstawia się (dr Krzyżanowski) i mówi, że zastępuje profesora Rachwała. Z ogromną swadą, z głowy, zaczyna wykład – analiza matematyczna. Szok, nic nie dyktuje, pisze na tablicy, trzeba to jakoś notować, a średnia szkoła wtedy niespecjalnie do tego przygotowuje (tym bardziej dzisiaj). Jakoś przelatuje ten pierwszy wykład. Dowiadujemy się od pana doktora, czym będą ćwiczenia (z mgr Kwaśniewską – straszą nas, że stara panna, okazała się być dość oryginalną, ale uczyła nieźle) i co trzeba zrobić, by zdać egzamin. Następną jest fizyka – wykład z doktorem Ostrowskim, ćwiczenia tablicowe i laboratoryjne, (co to będzie?). Demonstratorem na wykładzie (pokazującym doświadczenia) jest mgr K. Jeleń, późniejszy prorektor. Potem idę na chemię z prof. Lasoniem i ćwiczenia z dr Szakłą-Walisz. No i ideologia: filozofia marksistowska. Najdziwniejsza jest geometria wykreślna, też z prof. Rachwałem, ale tym razem wyklada dr J. Zawodny.

Semestr biegnie szybko, kończy się styczeń 1965 r. Wystraszony, staram się i zaliczenia otrzymuję. Przychodzi pierwszy egzamin, z matematyki – oblewam pisemny. Do drugiego, ustnego z filozofii marksistowskiej przystępuję skoncentrowany. Pada pytanie o najważniejsze idee Manifestu Komunistycznego, a ja pamiętam tylko, że: „widmo komunizmu krąży nad Europą” i na tym opieram swoją odpowiedź. Jakies dodatkowe pytania załatwiają sprawę. Dostaję bardzo dobry, mogę więc spokojnie myśleć o matematyce. I ta jakoś daje się zaliczyć i to na czwórkę. Jeszcze zdaję chemię (3,5) i geometrię wykreślną – tu błysnąłem (4,5). Krótki pobyt w domu i rozpoczyna się drugi semestr.

²³ Będąc prodziekanem, w indeksie wypełnionym „byle jak” unieważniałem te strony, żądając pisania pismem technicznym. Jak się można domyślać nie cieszyło się to sympatią studentów. Na szczęście dla nich problem przestał istnieć, indeksy w AGH zlikwidowano.

Przyspieszona nauka górnictwa. Prof. M. Bednarski²⁴, przedwojenny dyrektor kopalni, wtedy mocno starszy (pewno w dzisiejszym moim wieku), legenda dydaktyki AGH, autor skryptu, w którym m.in. można znaleźć dokładne wymiary łopat i kilofów, ich rodzaje – mówi nam, że zjeżdżając na dół (pod ziemię) trzeba się ciepło ubrać, bo w szybie wieje, kurtkę potem można zostawić na podszybiu. Po wykładzie ćwiczenia. Dzisiejszy profesor (wiele lat przepracowaliśmy razem, pisał mi kilka recenzji), wtedy magister, Staszek Piechota, dyktuje materiał w przyspieszonym tempie. Protestujemy, w odpowiedzi słyszymy: „Czy to moja wina, że profesor pieprzył wam o kurtkach, a musimy zrobić cały materiał konieczny do przyjęcia do pracy”.

Przygotowani teoretycznie rozjeżdżamy się do kopalń. Ja do KWK „Wujek” w Katowicach. Po przyjeździe zakwaterowanie w Domu Górnika na Brynowie. Pamiętam, że ze mną jest Marek Nowosielski (szpadzista, potem szybownik w Nowym Targu), Andrzej Trojnar (kuzyn doc. Zająca z Instytutu Ekonomiki Górnictwa AGH, późniejszy pracownik GIG), Felek Lisok (górnik w „Ziemiowicie”), Janusz Wielowieyski (wiertnik) i pewno ktoś jeszcze. Opiekunem w kopalni jest inż. Schonert, szef działu BHP. Przechodzimy szkolenia, pobieramy wyposażenie osobiste (ubranie, marki, lampę, pochłaniacz) i szykujemy się do zjazdu. Strach, którego nie można okazać. Oczywiście dla „gorola” (jak Ślązacy nazywają ludzi z innych stron Polski) wszystko było nowe. Ze szkolenia znamy drogę na powierzchni od własnej szafki w łaźni, przez markownię i dalej lampownię, do kolejki górników oczekujących na zjazd na nadszybiu. Pierwsze wejście do klatki, „szczęść Boże” z uchyleniem hełmu i „szola” (klatka) rusza z prędkością 5 m/s. Telepie, trzeszczy, a tu ciemno. Górnicy rozmawiają spokojnie (a na dole są tylko dwa tematy rozmów: sport i stosunki damsko-męskie, choć oni nazywają je inaczej), więc i my zachowujemy spokój, pomimo że uszy

²⁴ **Doc. mgr inż. Michał Bednarski** urodził się 29 września 1900 r. w Dobczycach. Ukończył studia na Wydziale Górniczym Akademii Górniczej (dyplom w 1927 r.). Początkowo pracował w kopalniach i Centralnym Zarządzie Przemysłu Węglowego w Katowicach. W latach 1949–1950 był pracownikiem naukowym Katedry Górnictwa I i Przeróbki Mechanicznej Wydziału Górniczego AGH, następnie starszym asystentem i adiunktem (1951). W latach 1951–1966 był kierownikiem Katedry Górnictwa Ogólnego, w latach 1966–1969 kierownikiem Katedry Górnictwa Rud i Soli, w latach 1969–1970 kierownikiem Zakładu Górnictwa Surowców Chemicznych Instytutu Górnictwa Podziemnego. Autor wielce oryginalnego skryptu: *Górnictwo podziemne*, w którym można znaleźć dokładne wymiary łopat, kilofa, ect. W 1970 r. przeszedł na emeryturę. Zmarł 25 listopada 1975 r. w Krakowie.

zatyka różnica ciśnień. Gęba otwarta, a przetykanie śliny ma to likwidować. Po minucie jazdy, klatka hamuje (żołądek do góry) i zatrzymujemy się, huśtając na głębokości 540 m. Wychodzimy i udajemy się na dworzec kolejki, gdzie czekają ciasne wagoniki z przedziałami czteroosobowymi. Nie wiemy, że zwyczajowo każdy ma swoje miejsce i towarzystwo, siadamy gdzie wolne. Nic dziwnego, że po jakimś czasie słyszymy wiązankę górnika, który musiał sobie szukać miejsca. Felezunek, czyli przydział pracy przez sztygara. My, łopata do ręki i podstawowa praca praktykanta – czyszczenie przenośnika (węgiel transportowany przenośnikiem taśmowym spada i tarasuje przejście). Każdy z nas dostaje odcinek, który za zmianę musi oczyścić. Komórkarz, (czyli człowiek odpowiedzialny za to, by każdy z brygady miał sprawne narzędzie i potrzebny materiał) wpada od czasu do czasu i sprawdza. Robimy przerwy, w tym jedną na zjedzenie kanapki popijanej zabraną w butelce „kawą” – dziwnym płynem nabieranym z rurociągu przed zjazdem. Koniec dniówki, więc udajemy się z opiekunem pod komorę, on odbiera narzędzia i jako ostatni idziemy do pociągu. Kolejka na wyjazd, bardziej nerwowa, bo niektórzy za zasługi dostają od sztygara kartkę, że mogą wyjechać bez kolejki. Im, kto szybciej wyjedzie, tym prędzej zakurzy cygareta, bo na dole nie wolno palić. Wchodzimy do szatni, lustro – nie poznajemy siebie. Rozebrani do naga idziemy pod wspólny prysznic. Tutaj, od razu inni zauważają nas nowych, więc zaczynają się docinki, głównie na jeden temat, a raczej na temat jednej części ciała. Jak się tu umyć? Nie jest łatwo. A jeszcze taki tłok. (Francik krzyczy do Zeflika: „Myjesz ciulika?” Myję. „To myj swojego a nie mojego!”). I wreszcie hotel, czyli „wólec”, gdzie czeka obiad. Na dole spotykamy wspaniałych górników. Dozór nadzorujący pracę na naszym oddziale na stałe przydziela nas praktykantów (Marek Nowosielski i ja) do komórkarza. Po skończeniu wydawania narzędzi z komory, komórkarz szedł robić prace nietypowe, a praktykanci z nim. Jednak najczęściej robiliśmy to samo, co pierwszego dnia. Nie czas, nie miejsce by wykładać podstawy górnictwa. Byłoby to niezwykle trudne, pozostawię zatem szereg dykterijek, związanych z czasem spędzonym pod ziemią na inne okazje. Zarejestruję tylko, że pod ziemią uderzając się w kryzę rurociągu rozciąłem sobie głowę (szramę mam do dzisiaj). Mieszkaliśmy, jak wspomniałem, w domu górnika, tuż obok kopalni. Pokoje trzyosobowe. O piątej rano dzwonek budzi na pierwszą (naszą) zmianę. Wstajemy, jakieś śniadanie (kromka na dół przygotowana na wieczór) i na „grubę”, zjazd i szychta. Po wyjeździe (po 13.30) obiad w stołówce i czas wolny.

Co drugą sobotę – dydaktyka, przyjeżdżają asystenci i wykładają górnictwo, matematykę, no i oczywiście język rosyjski. Zajęcia odbywają się w słynnym technikum górniczym na Brynowie. Z górnictwa będzie egzamin. 20 lipca, odbywszy 90 zjazdów zaliczam u kopalnianego opiekuna praktykę i wracam do domu. Było to pierwsze moje spotkanie z kopalnią, słynną z tragicznego grudniowego mordu górników.

Drugi rok i nowy semestr. Od 13 września, zaczynam szkolenie wojskowe, stąd kilka dni wcześniej zjeżdżam do Krakowa. Zmieniam stację, też na ulicy Zagrody, ale pod numerem 14 (poprzednia – gdyby ktoś kiedyś chciał fundować tablicę: „Tu w czasie studiów mieszkał...” – 19). Rano o 7.30 meldujemy się pod Studium Wojskowym. Jesteśmy dzieleni na baterie i działony, fasujemy mundury i buty podkute gwoźdźmi z owijaczami. Od następnego dnia ostra musztra. Trwa to dwa tygodnie. Jesteśmy gotowi, silni i zvarci! Szkolenie kończymy 24 września. Będzie kontynuowane przez trzy kolejne lata studiów, raz w tygodniu. Podczas szkolenia poznaję pierwszego „oryginała” funkcjonującego „przy Uczelni”, pana Betleja, sprzedającego bajgle (krakusy wiedzą co to). Nosił je w papierowym worku po cukrze i na każdej przerwie w zajęciach, na korytarzu studium było słychać jego zachęcający głos: „bajjigle”! Były z matką lub solą i kupowało się je po złotówce. Tak to już wtedy, do Uczelni (bo Uczelnia była przy studium!) zaczynała wkraczać gospodarka wolnorynkowa.

Nowa wiadomość – dostajemy robocze (szare) mundury górnicze. Powinnyśmy w nich chodzić, ale część je sprzedaje, pozostawiając tylko czapkę (ja zostawiam i chodzę w nim przez całe studia). Ma na kołnierzu z paskami i ilością młotków, oznaczenie roku studiów. Po mundurze harcerekim i wojskowym, to trzeci (przedostatni, bo jeszcze toga członka Senatu – wyraziłem życzenie spalania mych zwłok w paradnym mundurze górniczym i uprzedzam żonę, że z uwagi na ilość guzików musi zamówić większą urnę!), który na siebie ubrałem. Jakoś do dzisiaj lubię chodzić w mundurze, zwłaszcza na ważne posiedzenia Rady Wydziału, nie mówiąc o uroczystościach górniczych.

W programie studiów, oprócz matematyki, fizyki, chemii, ideologizują nas ekonomią polityczną. Z WF-u mamy zajęcia na basenie, gdzie zdobywam kartę pływacką.

Moje studia to nie tylko nauka. Za sprawą Kuby kontynuuję moją licealną pasję – kino (minimum 2–3 razy w tygodniu), pojawiają się też nowe zainteresowania. Również Kuba prowadzi mnie po raz pierwszy w życiu do filharmo-

nii (to kontynuacja moich licealnych, czynnych kontaktów z muzyką), staję się członkiem klubu jej miłośników, co pozwala taniej kupować bilet. W filharmonii pogłębiam moją miłość do muzyki poważnej. Na tej samej zasadzie zostaję również członkiem klubu miłośników teatru. Zaglądam też do sal wystawowych Pałacu Sztuki, ale ten jej rodzaj jest dla mnie najmniej wymownym. Trafiam również na konferencję religijną do duszpasterstwa akademickiego na ul. Dzierżyńskiego (dziś ul. Lea, kościół Misjonarzy). Jestem zachwycony, bo w trakcie jednej z konferencji ksiądz cytuje mojego ulubionego Hamiltona, felietonistę tygodnika „Kultura”. I te zainteresowania humanistyką, u mnie wyniesione z domu i rozpalane przez wspaniałą polonistkę w liceum (wspomnianą dr Annę Marzec) z pewnością w gronie studentów–techników nie były regułą. Większość kolegów, którzy w rodzinnych stronach nie mieli okazji zetknąć się z żywym teatrem, muzyką, w których nie rozbudowano potrzeby czytania pism kulturalno-literackich i w Krakowie nie odczuwała takiej potrzeby²⁵.

Kontynuując niejako poprzedni wątek, muszę powiedzieć, że miałem szczęście. Oprócz Kuby (Zdzisława Świączkowskiego), poznaję Witka Englendera²⁶ (z mej grupy), wspaniałego przyjaciela lat studenckich, urodzonego humanistę. Na górnictwie znalazł się z niejasnych dla mnie powodów jakiegoś zakładu w rodzinie. To on wprowadzi mnie później w świat „Piwnicy pod Baranami”, w wystawy, w pewne kręgi życia kulturalnego. Z nim wiodłem nocne Polaków rozmowy.

²⁵ To temat na osobne studium socjologiczne. Kandydaci na „inteligencję pracującą” tamtych czasów, studenci studiów technicznych wywodzący się z środowisk wiejskich, w znikomym stopniu korzystali z kulturalnych dobrodziejstw Krakowa. Mogę zaryzykować stwierdzenie, że ponad 75% (podkreślam – wywodzących się ze środowiska wiejskiego) w czasie studiów „nie zaliczyła” teatru, opery, muzeum, galerii, filharmonii. Jeśli już to szła do kina. Czy dziś jest lepiej – wątpię. Dla zdecydowanej większości kulturę zastępują kluby, w znaczeniu barków z piwem. Obym się mylił.

²⁶ **Mgr inż. Witold Englender**, urodzony humanista, górnik z przekory. Pracował w KWK „Wesoła”. Dziś artysta fotografik (AFIAP), kolekcjoner starej fotografii (zbiór ponad 6000 zdjęć), organizator kilkudziesięciu wystaw i autor wielu felietonów popularyzujących historię fotografii, organizator Ogólnopolskiego Festiwalu Fotografii Otworkowej. Brał udział w ponad 200 wystawach z kraju i za granicą. Członek licznych organizacji fotograficznych: Krakowskie Towarzystwo Fotograficzne (1964–1972), Jastrzębski Klub Fotograficzny Niezależni (1973–2008), Harcerska Agencja Fotograficzna (1973–1975, instruktor), Grupa Twórcza A-74 (1974–1979), Lubuskie Towarzystwo Fotograficzne (od 2001 r., członek honorowy), Towarzystwo Miłośników Ziemi Jastrzębskiej (od 2001 r.). Prowadzi w Jastrzębiu Zdroju, własną niekomercyjną galerię wystawową.

Wracając do życia codziennego, prowadzę korespondencję z kolegami z liceum i z rodziną. Raz, dwa razy w miesiącu dostaję z domu paczkę. Komplet czystej pościeli i wałówka (masło, pieczona kura, ciasto). Ja odsyłam pościel brudną. Kochani „staruszkowie”!

Druga połowa stycznia 1966 r., zaliczam kolejną sesję egzaminacyjną. Zdaję chemię oraz matematykę i jadę na kilka dni do domu. Wracam na kolejny semestr i jako „posesyjną” zdaję fizykę (dziś podział egzaminów na sesyjne i posesyjne nie istnieje). Poszerzam przestrzeń mieszkalną na stacji, gdyż u gospodyni zwalnia się drugi pokój. Dochodzi Marek Ryndak, przyjaciel z dzieciństwa, student WSR (zwanego wtedy „wysrolem”), który studia wprowadzie rozpoczął przede mną, ale realizuje je z przerwami. Jako trzeci zamieszkuje z nami Felek Lisok, kolega z grupy i z praktyki. Mamy radio i adapter, na którym na okrągło odtwarzamy płyty Presleya, Czerwonych Gitar, Niemena (słyszac „Dziwny jest ten świat” i dziś, jak wtedy, przechodzą mnie ciarki), Młynarskiego i oczywiście Demarczyk, która jakoś w tym czasie wydaje swoją pierwszą płytę. W radiu poszukujemy audycji z piosenkami, z nieocenioną rewią piosenek Kydryńskiego. Dzięki niemu uwielbiamy wielką trójcę francuską (Piaf, Aznawur, Becaud). Zagrody 14 stają się swoistym klubem. Tutaj wpadają koledzy i znajomi, wypija się butelkę wina (bez opilstwa) i dyskutuje o wszystkim do późnej nocy. Kontakty ułatwia fakt, że koledzy, którzy załapali się na akademik mieszkają na ogół w tym, który mieści się na pobliskiej ul. Kapelanka.

Wituchna załatwia moje pierwsze wejście do Piwnicy pod Baranami, pamiętna data 27 luty 1966 r.(!) „Jak żyliśmy, jak żyjemy, do czego doprowadziliśmy nasze mieszkania” – to tytuł ówczesnego programu. Zakochałem się w Ewie Demarczyk, dokładniej w jej śpiewie. I tak jest do dzisiaj. To okres, kiedy głównie śpiewa Koniecznego. Pozostali również świetni. W tamtym czasie nie było słabszych. Widzę i słyszę (oczyrna duszy) Zachwatowicz, Zajacównę, Długosza, Warchała, Kwintę, Litwina, Obłońskiego, Święckiego, Dymnego no i oczywiście Pana Piotra Skrzyneckiego.

Święta Wielkanocne spędzam w domu. Wracam do Krakowa na zajęcia. Mój dzień codzienny – wstaję o siódmej, szybka herbata, kromka z czymś tam i do autobusu (114 lub 119)²⁷, bo zajęcia zaczynają się o 8¹⁵, a mam żelazną

²⁷ Autobus tamtych lat, z konduktorem kasującym bilety, z dopychanymi pasażerami by zamknąć drzwi.

zasadę nie opuszczania ich. Obiad to problem. Jako dziecku inteligentkiemu (znowu to marne pochodzenie), z ogromnymi zarobkami rodziców (razem niecałe 3 tys. zł./m-c, tj. ok. 30 \$) nie przysługuje mi pomoc materialna. Stąd (jak pisałem) stancja a nie akademik, stąd brak stypendium żywnościowego, czyli możliwości skorzystania ze stołówki. Jem więc w domu (kontynuuję naukę samodzielnego gotowania zapoczątkowaną w Jaśle gdzie też mieszkałem na stancji), za 5 zł u wspaniałych ss. Felicjanek na ul. Smoleńsk w kuchni dla ubogich, albo w Barze Dębnickim. Najtańsze tam danie to makaron z sosem mięsny (2,70 zł). Bar ten, z kelnerem p. Bolkiem i bufetową p. Zosią, staje się szybko naszym. Możemy liczyć na piwko, bez zakąski („piwo podajemy tylko do konsumpcji” – tak jest napisane w każdej knajpie, proszenie o piwo i porcję chleba w charakterze zakąski może się skończyć wyrzuceniem) ewentualnie śledzik w śmietanie (1,80 zł). Korzystam też z obiadów bezmięsnych. Był taki dobry zwyczaj w stołówkach studenckich, że jak się kończyła pora wydawania obiadów abonamentowych obsługa nalewała do talerzy resztę zupy z kotła i nakładała resztę ziemniaków z jarzyną. Na talerze te czatowali tacy jak ja, amatorzy obiadów bezmięsnych. Kolacja w domu, jak śniadanie. Polubiłem jeść chleb z margaryną i cebulą posypany pieprzem ziołowym. Menu urozmaicają paczki z domu, nie tylko moje, ale i współmieszkańców.

Pisząc o utrzymaniu, trzeba powiedzieć, że dostaję od rodziców 1000 zł. Od ciotki („starej panny” – siostry mamy) dodatkowe 100 zł i to musi mi wystarczyć na wszystko. Czasem wpada dodatkowa kwota od starszego brata. Za stancję płacę 250 zł (plus obowiązek noszenia w zimie węgla z piwnicy do pieca właścicielki stancji i odśnieżanie wokół posesji), kino teatr, gazety, jakieś 150–200 zł/ m-c. Reszta jedzenie i książki.

Czas biegnie, przychodzi maj, a z nim tradycyjny termin organizowanych przez Studium Wojskowe rajdów „Szlakami walk z faszyzmem”. Namówiony przez Jacka Postawę (przyjaciela ze studiów, potem z pracy, wieloletniego pracownika Wydziału) wybieram się na niego (sobota 7 maja, przed świętem 9 maja). Organizacja wojskowa, dowożą nas do Rabki, skąd podchodzimy na Luboń Wielki, potem Luboń Mały, wieś Wysoka, gdzie jest capstrzyk z armią, grochówka z kotła, ognisko i jakieś spanie. Rano przez Jordanów idziemy do Lubnia, skąd znowu mamy transport do Krakowa. Łąduję u Korczyńskich (dwaj bracia, młodszy – Witold, okazuje się kolegą z roku) na wieczorne śpiewającym.

Tydzień później Juwenalia. Jakie one były wtedy inne niż dzisiaj. Władza zgadzała się na nie, ale pod kontrolą. Wyobrażam sobie ilu TW²⁸ było wśród nas. Ale wtedy nikt o tym nie myślał. Podstawowy problem to jak się przebrać, bo szanujący się student przebrać na Juwenalia się musiał. U właścicielki stacji, wdowy po przedwojennym urzędniku kolejowym znajduję stary frak jej męża, problem z głowy. Ubieram go na koszulę flanelową, krawat na szyję, na głowie apaszka. Do tego stare spodnie obszarpane od kolan i na bosaka. Na twarzy namalowane wąsy i bródka. Felek wystąpił w spodniach od piżamy (klasyczna w paski), jakiejś obdartej koszuli i damskim kapeluszu naciągniętym na uszy. Marek – jeśli dobrze pamiętam – w majtkach a do tego góra, pełna elegancja, łącznie z chusteczką w butonierce. Najbardziej oryginalnym był Kuba, który wystąpił w stroju indianina, czyli z przepaską na biodrach, bogato wymalowanym ciałem i jakąś pałką drewnianą. Juwenalia klasycznie zaczynały się w piątek od 15.00. Odpowiednio przygotowani (to znaczy posiadający ćwiartkę czystej) zjawiliśmy się na AGH, pod dziekanatem Wydziału Górniczego i pili zdrowie pana dziekana. Potem, taki sam toast wznieśliśmy na WySRolu, pod dziekanatem Wydziału Marka. Po spełnieniu „obowiązków” udaliśmy się do miasta. Oczywiście, głównie z uwagi na Kubę wszędzie wzbudzaliśmy sensację. Wieczorem, na rynku, tradycyjne przekazanie żakom przez władze miasta kluczy i zabawa w każdym klubie. Późną nocą padamy do łóżek (czy Kuba się umył, wprawdzie spał u nas na dywanach przykryty kocem, ale zawsze). W sobotę budzimy się na późny obiad. Odbite na krakowskich brukach stopy bolą i każą założyć buty. Również Kuba zmarznięty coś tam na siebie wrzuca i znowu w miasto. Ochota do zabawy jakby znacznie mniejsza! Połaziliśmy po mieście, wpadliśmy zobaczyć co w klubach. Tam na ogół imprezy zorganizowane, to znaczy występy zespołów studenckich, których było wtedy w bród. To wtedy powstał Teatr STU z wspaniałym „Spadaniem”, wtedy działał Teatr 38 i wiele innych.

Kończy się semestr, trzeba zaliczać przedmioty, zdawać egzaminy. Po tak absorbującym okresie jest trudno. W sesji zdają tylko jeden egzamin: ekonomię polityczną. Mechanikę i matematykę zostawiam na wrzesień.

²⁸ Problem tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa, przebadany dla innych uczelni (patrz: np. Zabłocki W. : *Co o nas wiedzieli. NSZZ „Solidarność” Uniwersytetu Jagiellońskiego w dokumentach SB*. Wyd. ARCANA, Kraków 2005), dla AGH nie został opracowany. Pozostają pewne domysły odnośnie pracowników wydziału. Będę do nich wracał. A może ich weryfikacja to zadanie na emeryturę?

W wakacje szykuje się do wyjazdu na poligon wojskowy. JW 2459, Morąg, pułk artylerii. Melduję się 1 sierpnia. Okazuje się, że jesteście w jednostce, w której funkcjonowała kompania karna i nasz dowódca w niej pracował. Po latach wiem, że była to jednostka, w której odbywali służbę również klerycy. Oficerowie ze Studium Wojskowego AGH (Kurpinowicz, Winek, Czaczka, Szymanek, Jagielski, Krzywiec, Koza) pełnią funkcję wykładowców. Oczywiście fasujemy mundury. Ci z nas, którzy nie byli przezorni kierowani są do pułkowego fryzjera (ja ostrzyżony na pałę nie), dzielą nas na działony i plutony, następnie przydzielają sale do spania. Dowódcą plutonu, w ramach praktyki, zostaje student Wojskowej Akademii Politycznej, dość inteligentny. Ostatnim etapem jest wydanie broni (KBK-AK, popularnie zwany kałasznikowem). Życie w jednostce to pobudka 6⁰⁰, gimnastyka (spodnie od munduru i podkoszulek), mycie, śniadanie, 7³⁰ apel. Trochę mi on przypominał apel na obozie harcerskim, tylko, że wypowiedzi kadry były głupsze. Na nim też: karny raport z karami regulaminowymi, meldowanie stanu pododdziałów i odczytanie rozkazu oraz podanie program dnia. Ćwiczenia musztry – na placu, strzelanie – strzelnica i zajęcia terenowe (wyjazd w okoliczne lasy), zajęcia teoretyczne (po obiedzie) – w salach. Zajęcia prowadzą nasi i dowódcy pododdziałów. Obiad z nieśmiertelnym kawałkiem tłustej świniny – golonej lub nie (Wituchna martwił się, „czy będą robaki?”), śledzia, gotowany przy współudziale tych z pododdziałów, które mają służbę. Dzieli się ona na służbę wartowniczą, na którą dostawało się broń z amunicją i chodziło po wyznaczonej trasie lub stało oraz na służbę w kuchni, która polegała na robieniu kanapek, obieraniu ziemniaków i myciu kotłów. Menażkę i sztucę każdy miał i dbał o ich czystość. Po obiedzie zajęcia własne, potem zajęcia popołudniowe, o 19⁰⁰ – kolacja, zajęcia własne i o 22⁰⁰ – cisza nocna. Wtedy to mój przyjaciel Wituchna, po zgaszeniu światła, na leżąc, zaczynał się golić na sucho. Trochę go rozumiałem, bo miałem podobny szczątkowy zarost (im zarost mniejszy tym wyższy poziom w łańcuchu ewolucyjnym!). Skrzypiało to jednak i Wituchna słyszał uwagi. Jak zwykle był oryginałem. Wojsko wtedy używało onuc. Biedak nie opanował sztuki ich owijania (a owinięta niestaranie była przyczyną bąbli na stopach) i jakoś przemycił skarpetki. Piorąc je ukradkiem, musiał je nielegalnie suszyć w nocy.

Skoro o nocy, oczywiście trzeba było zrobić alarm. Jeden normalny z wyjazdem samochodami w teren, drugi nadzwyczajny, bo dowódca kpt. Z. znalazł flaszkę po wódce, pewno był problem, że wypitą bez niego. Zaczekał do nocy

i zrobił alarm. Wybiegamy na korytarz, stajemy w szyku i słyszymy wrzask wychowawczy, kończący się pytaniem: „czyja?”. Jak było do przewidzenia, odpowiedzi nie było. Butelka została pieprznięta o posadzkę (cud, że nikt nie oberwał odłamkiem), a wojsko poszło na musztrę. Biegi, padanie, marsze nie złamały nas. Po dwóch godzinach, bo AGH-owska kadra chciała spać, wracamy do łóżek.

Pewnym urozmaiceniem były wyjazdy w teren. Nasi wodzowie namiętnie suszyli grzyby zebrane przez wojsko. Stąd często po skróconych zajęciach rozkaz: „Wojsko na grzyby, powrót za półtorej godziny”. Za koszyk służyła czapka lub odpowiednio zawiązana bluza mundurowa. Ludzcy dowódcy.

Dzień ważny, 21 sierpnia składam przysięgę. Pamiętam, że nie wypowiedziałem kwestii o „sojuszu i oddaniu ZSRR”, gęba wtedy była zamknięta. Nie ja jeden! Uroczysta defilada przed sztandarem pułku, lepszy obiad i na wieczór kino. Dzień później, wyjeżdżamy na poligon do Orzysza (po latach, kilkakrotnie przepływam obok kajakiem, a w miejscowej jednostce odbywał zasadniczą służbę wojskową św. Jerzy Popiełuszko, wtedy kleryk). Strzelam z działa bezodrzutowego i trafiam. Z armaty 76 mm, jako dowódca, prowadzę strzelanie na wprost i też cel zostaje zniszczony.

Zdaję egzaminy z: regulaminów, działoczynów, sprzętu, taktyki, IS-y (instrukcja strzelania) i zaliczam poligon. Uzyskuję awans – bombardier Mazurkiewicz i mając bilet wojskowy w kieszeni, udaję się do domu. Pierwszego września jestem w Jaśle.

Rozpoczynamy nowy rok. Czas szybko mija i kolejna atrakcja. W tamtych latach tradycją były mecze piłki nożnej pracowników AGH: górnicy – hutnicy. Z racji tego, że kilku czołowych profesorów górników było działaczami GTS Wisła (klub milicyjny!?) mecze odbywały się na stadionie tego klubu. Na widowni siedzieli studenci, zagrzewający do walki swoich nauczycieli. Korzystając z tego, że mającemu kłopoty z chodzeniem Markowi, rodzina nabyła „gruchota” (Moskwicz 401) zwanego przez nas Capkiem, zatem i my (Marek, Kuba, Wituchna i ja) postanowiliśmy uświetnić ów mecz. Odpowiednio go przystroiliśmy i zaopatrzywszy w stosowne transparenty, w czasie przerwy wyjechaliśmy na bieżnię. Studencki tygodnik „Politechnik” tak pisał o tym wydarzeniu: „W przerwie działały się dziwne rzeczy. Jeździł samochód bardzo podobny do prawdziwego i obwoził transparent przepowiadający hutnikom smutny koniec. Sympatycy tych ostatnich ustawiali płotki przed samochodem. Występy artystyczne zakończyły się przeciąganiem płotków [...]”. Nie pamiętam wyniku meczu.

Skoro o tygodniku „Politechnik” – jak na tamte czasy było to dość przyzwoite pismo studenckie, czytałem go regularnie. Ale głównie nadal jednak pochłaniałem książki wypożyczone z biblioteki dzielnicowej mieszczącej się przy Rynku Dębnickim. Czytałem dużo klasyki francuskiej, współczesnej polskiej, ale nade wszystko zaczął się szalać kryminałów. Wituchna wyszukiwał i kupował nowe pozycje w antykwariacie na ul. Brackiej. Jak je przeczytaliśmy, wędrowały tam z powrotem. Czytelnia za niewielkie pieniądze!

Jako student III roku mam obowiązek uczestniczyć w obchodach Dnia Górnika – jak go wtedy nazywano. W mundurze i płaszczu (wzór studencki) idę w pochodzie lisów, czyli przemarszu profesury (ta, co prawda jechała dorózkami) i studentów z orkiestrą, z ul. Reymonta na Rynek, gdzie rektor z szefem miasta wypijali kufel grzanego miodu za pomyślność miasta i Uczelni. Nie uczestniczymy w innych uroczystościach. Ten pochód miał istotne znaczenie w moim zainteresowaniu tradycjami i historią górnictwa. Zatem z ciekawością poszedłem na wykład profesora (jak go nazywali wszyscy, choć był „zwykłym” magistrem) Witolda Żabickiego²⁹.

Kończy się kolejny semestr, zaliczam wojsko (chodząc jak poprzednio jeden dzień w tygodniu na zajęcia), zaliczam mechanikę (ćwiczenia i wykład z profesorem Kormanem), zaliczam elektrotechnikę u mgr. S. Uhrynowskiego, niezwykle oryginalnego wykładowcy piszącego jedną ręką i równocześnie rysującego schemat drugą. Początek sesji – oblewam hydromechanikę. Przedmiot ten zasługuje na szczególne potraktowanie z wielu powodów. Po pierwsze, wyklada go prof. J. Litwiniszyn, jeden z najwybitniejszych naukowców, z jakim miałem zajęcia³⁰. Po drugie przychodzi na pierwszy wykład i zaczyna coś pisać na tablicy. My siedzimy ciemni jak tabaka w rogu. Profesor orientuje się, że coś nie tak i pyta: „Państwo nie rozumiecie?“, Nie – brzmi gremialna odpowiedź. „A przecież to najprostsze równanie różniczkowe, przecież prof. Rachwał wam wykladał”. I znowu gremialna odpowiedź: „Nie”. Przerwał wykład ze stwierdzeniem: „Nie mogę wykladać hydromechaniki komuś, kto nie zna równań różniczkowych”. W efekcie pięć kolejnych wykładów poświęconych było tym

²⁹ Mgr inż. Witold Żabicki – biogram w dalszej części.

³⁰ Członek rzeczywisty PAN, górnik w drugim pokoleniu, uczestnik Kampanii Wrześniowej, więzień OFLAG-u. Światowej sławy matematyk i mechanik, doktor honoris causa AGH, członek wielu organizacji międzynarodowych, dyrektor Instytutu Mechaniki Górotworu PAN (szerszy biogram dalej).

równaniom – tylko czy w takim czasie można je było pojąć. Trzecim powodem, który wyróżnił moją hydromechanikę jest osoba młodziutkiego wtedy asystenta Eugeniusza Bobuli, który mówił: „To, co w programie jest na wykładzie. Ja, podczas ćwiczeń pokażę wam ciekawe rozwiązania z matematyki”. I zaczął pisać jakieś równania. Co chwilę pytał np. „ma być plus czy minus?”, „czy coś się uprości?” I wyrzywał do odpowiedzi. Jak się trafiło dostawało się w jego kajecie plus, jak nie – minus. Mnie się udało trafić więcej plusów, stąd bez kolokwium dostałem zaliczenie. Ale egzamin to, coś innego. Trzeba było przerobić cały skrypt zadań Mączyńskiego i wkuć wyprowadzanie równań. Starłem się, ale na egzaminie pilnował prof. A. Trzaska³¹, postrach! Przy wchodzeniu na salę sprawdzany był indeks i legitymacja. Na stoliku leżała kartka, coś do pisania, chusteczka do nosa i owe dokumenty. Opowiadali starsi koledzy – nie wiem czy nie fantazjowali, że bywało, iż na katedrze stało krzesło, na którym siadał profesor, dwóch asystentów chodziło po sali i wyrzucało wskazanych przez niego. Wylatywało się za położenie ręki na kolana, nie mówiąc o próbie odwrócenia się czy odezwania. Wprawdzie na niczym mnie nie złapano, ale tak byłem zestresowany, że zadań, (które przerabiałem) nie zaliczyłem. Poprawkowy poszedł łatwiej, bo zamiast „Alfreda” prowadził go doc. W. Trutwin³², późniejszy dyrektor Instytutu Mechaniki Górniczej PAN. Uznał, że to, co napisałem wystarczy. Jeden z najtrudniejszych egzaminów w czasie studiów!

Zdaję też egzamin z elektrotechniki. Mam szczęście, bo tym razem pyta prof. Kurzawa a nie opisywany mgr S. Uhrynowski. I znowu Juwenalia i mecz górnicy kontra hutnicy. Tym razem siedzimy na widowni.

Nowy semestr i kolejne zaliczenia. Ciekawe z geologii historycznej (trzeba nauczyć się rozpoznawać i nazywać po kilka charakterystycznych dla danej epoki żyłatek, ze skamielin). Pamięć wzrokowa i wkuwanie, to nie moja specjalność. Pani dr Ostrowska sadza w pierwszej ławce pytanych, przed nimi

³¹ Uczeń Budryka i Litwiniszyna, prof. dr hab. inż. górnik, specjalista z mechaniki płynów, w szczególności z zagadnień kolmatacji.

³² **Prof. dr hab. inż. Waclaw Trutwin** urodził się 11 września 1932 r. w Rudzie Śląskiej. Wybitny specjalista w dziedzinie aerologii górniczej, w szczególności w zakresie matematycznych modeli nieustalonych przepływów powietrza i gazów w kopalnianych sieciach wentylacyjnych, metod symulacji komputerowej nieustalonych procesów wentylacyjnych, określanie ruchów górotworu przy pomocy analogów elektrycznych i wielu innych. Jedna z jaśniejszych postaci profesorów – górników. Dyrektor IMG PAN, członek PAN.

(i nią) szuflady drewniane z „trupkami”, czyli skamielinami. Wyjmuje i podaje delikwentowi do rozpoznania. Niby, żeby lepiej oświetlić podnoszę do góry. Z tyłu siedzi Wituchna i podpowiada – zaliczyłem!

Trzeci rok studiowania był dla mnie najtrudniejszym. Nie tylko dlatego, że wokół działo się tyle innych rzeczy (na dodatek się zakochałem, co też wymagało czasu), ale dlatego, że na nim nagromadzono najtrudniejsze przedmioty, wymagające nie tylko nauki, ale i własnej pracy (projekty). W efekcie dobiłem do najgorszej sesji. Zdałem tylko jeden egzamin i to z wojska, a resztę zostawiłem na wrzesień. Wcześniej odbywam praktykę technologiczną w kopalni „Milowice”. Różni się istotnie od poprzedniej, bo jestem (trochę) intruzem i nie obserwuję większego zainteresowania moją osobą w kopalni. Wpadam do administracji – opiekuna, coś tam załatwiam i potem nuda, ewentualnie doskonały basen, jak jest pogoda. Praktykuję sam, więc nuda nie dziwna. Dopiero po dziesięciu dniach zjeżdżam na dół pierwszy raz, (co pisać w „Dzienniczku praktyk”?). Pobyt na dole niewiele różni się od praktyki robotniczej, głównie czyszczenie taśmy. Spotykam stażystę po AGH, kolegę ze studiów Michała Stopyry (mój asystenta i wieloletniego kolegę z pracy), który odbywał praktykę w Norwegii. Komentujemy artykuł o Michale wyczytany w „Gazecie Krakowskiej”: „Polski strzałowy na Szpicbergenie”. 22 lipca (to było święto niepodległości!) jadę pociągiem do domu i znowu wracam do Milowic. Praktyka staje się ciekawsza, bo przerzucają mnie na oddział wentylacji, łączę więc po całej kopalni z górnikami dokonującymi pomiaru składu atmosfery. Te miłe dni kończą się 10 sierpnia. Nareszcie mam wakacje!

Wrześniowa sesja poprawkowa jakoś leci, pozostaje ostatni egzamin z fizyki współczesnej. Pyta dr Ostrowski, który miał zwyczaj urządzać przedbiegi. Polegały na tym, że wypadał na korytarz i rzucał pytania w stylu: „Czy kobieta może być daltonistką?”, „W jakim wzorze z fizyki występuje wyraz w piątej potęgze?” itp. (Pytał również: „Czym różni się kobieta od mężczyzny?” i odpowiadał: „A nie, nie, nie – nie tym, co państwo myślicie! Otóż, jeśli jest praca, którą trzeba wykonywać w godzinę, kobieta zabiera się i solidnie pracuje godzinę. Mężczyzna zaś myśli pół godziny, jak ją wykonać w 15 minut i wykonuje”). Trzeba było się zapisać w jego pamięci, jako aktywny uczestnik przedbiegów, by zostać zaproszonym do gabinetu. Udało mi się, wchodzę, dostaję pytania i kłapa, jedno znam, w drugim będę pływał, w trzecim nie wiem, o co chodzi. Zaczynam pewnie, przechodzę do drugiego, tu cieniutko, ale (wydaje mi się,

że na szczęście) podejmuję dyskusję o powieściach fantastyczno-naukowych. Na bieżąco jestem z Lemem, więc myślę: „dobra nasza!”. Po kilkunastominutowej dyskusji Kazio wraca do trzeciego pytania. Po chwili ciszy z mojej strony, słyszę: „Trzeba mniej czytać, a więcej się uczyć fizyki. Dzisiaj dwója”! Nic to, przecież tyle ciekawych imprez, recital Młynarskiego, Piwnica już działa, wizyty w ciekawych lokalach. Zostaje cholerna fizyka. Dziekan przychyliła się do mojej prośby i dostaję zgodę na zdawanie później.

Dziela nas na specjalności. Nie mam znaczących osiągnięć naukowych w indeksie (patrz wyżej) i zamiast na Budowie Zakładów Górniczych (specjalności ekskluzywnej – dyrektorskiej, o której marzył każdy student) jestem na eksploatacji podziemnej, w grupie III – z perspektywy czasu – bardzo dobrze.

Rok IV zaczynam we wrześniu zajęciami z wojska. Na stacji definitywnie rozstajemy się z Markiem, który (wyczerpawszy wszelkie możliwości regulaminowe i poza) kończy studia dzienne i wnosi się do Rzeszowa, podejmując studia zaoczne (stąd ma okazję wpadać dalej do Krakowa) i pracę w PAX-ie. Rozstajemy się też z Kubą, który nie zaliczywszy kolejny raz hydromechaniki idzie na urlop dziekański, a po nim „na ochotnika” do wojska. Dostaje skierowanie i bilet do szkoły podoficerskiej w Zamościu. Rodzice nie wiedzą o niczym, myślą, że syn jest dalej studentem.

Zostałem na Zagrody najstarszy i muszę szukać kolejnego lokatora. Mam nowe zajęcia pozalekcyjne. Zapisalem się na kurs prawa jazdy. Po wysłaniu na konkurs, w kopercie z godłem, tekstu o niesprawiedliwości w przyznawaniu świadczeń socjalnych na studiach, zostałem również zakwalifikowany na seminarium dziennikarskie dla studentów organizowane przez ZSP. Zajęcia zaczynają się 2 listopada, a ja 1 udaję się do Jasła (gdzie po przejściu na emeryturę przenieśli się rodzice). Wracam, by iść na owo seminarium (wykłada między innymi Miecugow – senior) i podjąć bogatą korespondencję z Markiem i Kubą. Z tym ostatnim jest skomplikowana. Ja wysyłam listy, które przysłali rodzice do niego, a do nich te od niego (chodzi o krakowskie stemple). Najfajniej jest z paczkami, bo je rozpakowuję, zostawiam jedzenie (by się nie zepsuło) resztę według uznania przesyłam do niego wraz z wykazem jaki był prowiant, by wiedział, za co dziękować – istny cyrk! I trwa to parę ładnych miesięcy.

Zaległą fizykę zdaję przed Świętami Bożego Narodzenia. Mogę spokojnie świętować i witać nowy – 1968 r. Był niezwykle ważny! Rok wydarzeń w Czechosłowacji (sprawowanie władzy przez Dubczeka nadaje socjalizmowi ludzki

wyraz twarzy), rok polskiego „Marca” z wszelkimi niuansami i wreszcie rok interwencji „sojuszników” w Czechosłowacji. Po „przewrocie”, jaki tam miał miejsce, na *cito*, wprowadzono nam seminarium z nauk politycznych. Miało ono na celu wyjaśnić ciemnocie wszystkie niejednoznaczne przypadki z najnowszej historii. Wynajęli do nich wykładowcę Zenobiusza Kozika, pracownika (aż dziw, chyba) pozytywnego. Na pierwszych zajęciach powiedział: „Za to, co tu mówimy tylko ja odpowiadam, wy możecie podnosić kwestię na każdy temat”. Omawiamy historię XX wieku, wejście wojsk sowieckich na terytorium Polski 17 września 1939 r. Zgodnie z kłamstwami komunistycznymi słyszę: „Rząd polski opuścił terytorium Polski i władze radzieckie, aby zabezpieczyć interesy ludności rosyjskiej, ukraińskiej etc. przed opanowującymi teren wojskami niemieckimi, podjęły decyzję o wejściu na terytorium Polski i wyprzedzającym wzięciu w ich w obronę”. Pytam: „Jeśli dobrze pana zrozumiałem, kluczowym była nieobecność rządu polskiego”. Odpowiedź: „Tak, bo nie miał kto nadzorować porządku”. Kontynuuję: „To znaczy, przez analogię, jeśli pana nie ma w domu to może przyjść złodziej, aby zabezpieczyć pana mieszkanie przed np. awarią instalacji gazowej. A że przy okazji spowoduje takie skutki jak owe wojska wobec Polaków, to usprawiedliwione?”. Cisza. Słyszę głos Jurka Frącza: „Daj spokój, o czym tu mówić, przecież wiesz, że sowietci to ludzie o mentalności szakala”. Cisza jeszcze większa! Orientuję się, że przeholowałem. Próbuję ratować, chyba siebie. „Panie magistrze celowo prowokuję, ale na pierwszym wykładzie powiedział pan, że my nie odpowiadamy za to, co mówimy”. Żeśmy z Jurkiem nie wylecieli ze studiów do wojska to dobrze o nim świadczy. A przecież na pewno w grupie był jakiś kapuś.

Wiadomości dochodzące z Czechosłowacji rozpalają umysły, pojawia się naturalne pytanie, dlaczego nie u nas. Coś wrze – „Marzec 1968”. Dzisiaj wiadomo dużo więcej, ale wtedy... Z pozycji zwykłego studenta, jakim przecież byłem, mieliśmy do czynienia przede wszystkim z atakiem na studentów. Dochodzą wieści o przerwaniu prezentacji Dejmkowych Dziadów. Dalej, że studenci warszawscy zaprotestowali przeciw temu (ogromna rola RWE, która to rozgłoszenia była jedynym źródłem informacji, słuchałem jej nocą – „Fakty, wydarzenia, opinie”) i zostali pobici przez milicję. Natychmiast i u nas pojawiają się nawoływania do protestu. Słyszymy, że 11 marca był wiec w auli UJ. Uchwalona została petycja. Następnego dnia, po wiecu, przychodzą o nim wiadomości do wszystkich Uczelni. W gazetach oczywiście nie ma śladu, że coś się dzieje. Kolejny

dzień – wojsko – zajęcia skrócone, z poleceniem: „Do domu i siedzieć cicho!”. Wracając piechotą, na skrzyżowaniu Alej i Manifestu (obecnie Piłsudzkiego), widzę, że coś się dzieje na Plantach. Idę, pałkarze Moczara leją studentów. Obrywam wodą z armatki i zwiewam, bo jakby mnie złapali, munduru nie zdjąłbym dłuższy czas. Przebieram się i z powrotem na wiec pod Żaczkim (akademik przy Błoniach). Od następnego dnia przestajemy chodzić na zajęcia. Chodzi tylko czterech studentów wietnamskich i nasz „kolega”, wtedy „wybitny” działacz młodzieżowy a potem partyjny. Mówimy, że na zajęcia chodzą czterej pancerni i pies. 15 marca, kolejny wiec przed Żaczkim. Występuje rektor UJ (prof. M. Klimaszewski, wiceprzewodniczący Rady Państwa), prosi by być tylko na terenach Uczelni, bo ma zapewnienie od komendanta milicji, że tam ona nie wkroczy. W tym czasie wpadają studenci, którzy uciekli przed pałkarzami z UJ i opowiadają, jak ta banda wpadła do Collegium Novum i co tam robiła. Rektor Klimaszewski wygwizdany odchodzi.

Z domu depesza: „Przyjeżdżaj” – histeria. Jadę w nocy, uspokajam rodziców i zaraz wracam. Nasz rektor, prof. Kiejstut Žemajtis, organizuje spotkanie i własnym honorem ręczy, że jeśli przystąpimy do zajęć, nikt nie będzie relegowany – słowa dotrzymał. Pomału wraca normalność. Trzeba powiedzieć, że poza wymienionym towarzyszem wśród nas była ogromna solidarność. I jeszcze słowo o prasie – dziś przeglądam zachowane wycinki z tamtych lat. Na wszystkich krakowskich mój dopisek: „Nieprawda, byłem tam”. Tyle moich reminiscencji związanych z „Marcem” i moją osobą. Inni opisali go wielokrotnie i lepiej, choć pojawiły się opracowania „nijak” mające się do naszych tamtejszych odczuć. I dziś, z perspektywy czasu widzę w nim przede wszystkim bunt młodych. O rozgrywkach pomiędzy „Chamami” a „Żydami”, nikt wtedy nie słyszał.

Wracam do toku studiowania. Mamy typowo górnicze przedmioty, mechanika górotworu, eksploatacja, maszyny górnicze, elektryfikacja kopalń, wyciągi, geodezja, budownictwo, wentylacja³³. Chodzę dalej na kurs samochodowy. Pierwsza jazda (instruktor – jak się po latach okazało ojciec kolegi z pracy Jacka Malskiego), Warszawa – dolnozaworowa z biegami przy kierownicy. Wrzuciłem bieg i ruszam. Instruktor mówi: „Dobrze, tylko proszę ruszyć z jedynki a nie z trójki”. Chodzę też dalej na seminaria dziennikarskie. Piszę jakieś wiadomości do „Politechnika”. Ten rodzaj mojej aktywności (dziennikarstwo!) nie

³³ O prowadzących je profesorach później.

został jednak skonsumowany. Wymagał czasu, a ja wobec licznych zainteresowań, miałem go tak mało. Ale czegoś się nauczyłem.

W ramach techniki cieplnej mamy projekt pompy wirowej. Zajęcia prowadzi dr Kurowski. Ma hople na punkcie liczenia na suwaku (dostaję od brata suwak rosyjski) i jakości rysunku. Po próbie samodzielnego wykonania projektu, kłapa. Pierwszy raz zlecam projekt, za drobną opłatą koledze. Fachowiec, to już któryś projekt robiony przez niego, zaliczam bez pudła.

Kilka dni po feriach z mieszkania wyprowadza się Felek (ślub!), a na jego miejsce wprowadza się Andrzej Kalisz z Łazisk, młodszy od nas student maszyn hutniczych. Dostaje pseudonim „Sąsiad”.

Coraz częściej uczę się z Tadkiem Rembielakiem (kolega z grupy, po studiach zaliczył kilka lat w KWK „Janina” i przyszedł do pracy w Uczelni, dziś adiunkt na emeryturze). Przyjmujemy system, że ryjemy najpierw osobno a potem odpytywanie na głos. Bardzo mi to odpowiada, bo jestem słuchowiec. Wspólną naukę widać zresztą w indeksie. Zaczyna się sesja, zdaję jak burza, nawet wojsko zaliczam.

Dygresja objaśniająca podejście oficerów Ludowego Wojska Polskiego do studentów. Służyliśmy w artylerii, gdzie podstawowym przedmiotem jest ISA, czyli instrukcja strzelania artyleryjskiego. W artylerii są dwa strzelania: do celów odkrytych, (kiedy działo widzi cel) i do celów zakrytych. W tym przypadku, korzysta się z krzywej balistycznej, po której leci pocisk (rzut ukośny). Pomiedzy działem a celem są przeszkody. Strzelanie prowadzi się z punktu obserwacyjnego, z którego widać cel. Podstawę strzelania stanowi mapa i obserwacje. Nastawy na celowniku działa to kąt podniesienia lufy i azymut kierunku lufy, (kto nie wie, co to azymut – patrz Wikipedia). Obliczenie obu oparte jest o klasyczną trygonometrię. Gdybyśmy to wiedzieli...! „Wodzowie” wbijali nam na pamięć jakieś formułki wypracowane pewno jeszcze podczas wojny i podawanym oficerom z awansu („nie matura, lecz chęć szczerza zrobi z ciebie oficera”). Student na rozkaz, na pamięć uczyć się nie lubił, stąd postępy mierne.

Sesja, oblewam eksploatację złożeń u słynnego dr Hoblera³⁴. A było to tak. Zawsze do kolokwium czy egzaminu pisemnego robiłem ściągę. Po pierwsze

³⁴ Niezwykle dziwny człowiek. Zastąpił m.in. tym, że (jedyne znany mi przypadek) będąc pracownikiem młodszym – adiunkt – oskarżył starszego (prof. Z. Maciejusza) o „dopisanie się” (wg jego mniemania) do jego skryptu. Proces sądowy, w którym byłem świadkiem nie potwierdził zarzutu, ale o tym dalej.

przy ich pisaniu „utrwalalem” materiał, po drugie mając je przy sobie byłem pewniejszy, a jak się udało³⁵... Stosowałem dwa ich rodzaje. Jeden, małe kartki, jeśli pytania były krótkie, drugi, kartki wielkości kartki papieru, na której się zdawało. Wpadłem raz, na chemii analitycznej, kiedy trzeba było wkuć na pamięć ileś tam procedur postępowania, zalewania kolejnymi odczynnikami roztworu, przy oznaczaniu anionów i kationów. Przed dopuszczeniem do laboratorium trzeba było zaliczyć kolokwium. Zastosowałem wariant małych karteczek, każda dla odrębnego anionu czy kationu. Aby wiedzieć gdzie co mam, w butonierce marynarki miałem „mapę”, na której spisałem, w której kieszeni co się znajduje. Po wykorzystaniu, zbędną karteczkę wciskałem za kołnierz koszuli. Odpisuję, trzymając ściągę w lewej dłoni. Podchodzi pani doktor, staje przy Marku Nowosielskim, który pisał obok i zastosował wariant kartki dużej podłożonej pod tą, na której pisał. Pani prosi, niech pan osunie kartkę. Ściąga wyszła z worka. Zwraca się do mnie: „Na wszelki wypadek niech pan pokaże, czy tam czegoś nie ma”. Odsuwam ochoczo kartkę prawą ręką, ale kurczowo zaciskam lewą. Nerrrrrrwy! – przekłete nerwy wyłazą na moją fizjonomię. „Proszę otworzyć lewą rękę” i obaj z Markiem powędrowaliśmy na korytarz z komentarzem: „teraz panowie możecie iść kupić kłódki” (potrzebne do zamykania szafek, w których trzymało się chałaty).

Wracam do Hoblera. Wykładał prof. Znański (za chwilę i o nim dygresja), ale pytali adiunkci. Na pisemnym pilnował wtedy młodziutki mgr Stopyra (pracowaliśmy potem razem 35 lat, dziś emeryt, Boże jak ten czas leci!). Pomagałem sobie wersją z dużą kartką. Kończymy, wypracowanie leży na brzegu ławki. Michał zbiera je, ja pakuję rzeczy do teczek. Spod ławki wylatują mi ściagi. Pyta: „Co to jest?”. „Materiał, z jakiego się przygotowywałem” – odpowiadam i zapominam incydent. Wchodzę do pokoju Hoblera, a na moim wypracowaniu, czerwonym kolorem napisano: „Odpisywał, przepytac solidnie” i podpis Michała. Doktor wziął to na poważnie i dotąd mnie pytał, aż złapał na drobnotce („narysować pasterkę w trzech rzutach”?!). Wygłosił tekst, z którego wynikało, że moja niewiedza o pasterce (nie chodzi o nabożeństwo a o element przewodu wiertniczego) może doprowadzić do poważnej awarii na wiertni. Pytam: „Kiedy mogę przyjść na poprawkowy?” i słyszę: „Za dwa tygodnie, bo

³⁵ Dziś tłumacząc studentom, że to oni powinni pilnować by ktoś z nich nie odpisywał jak to ma miejsce w starej Europie.

wcześniej się pan nie jest w stanie nauczyć”, a ja się uczyłem trzy dni! Oczywiście zdałem, choć, złośliwie dał mi niską ocenę. Pytał zresztą wybitnie złośliwie o średnice i długości ZE (zapalników elektrycznych).

Profesor Józef Znański, przeczacny człowiek, autor pierwszego nowoczesnego podręcznika z eksploatacji złóż, specjalista od tupań zauroczony górnictwem francuskim. Wykładał, wyświetlając rysunki z własnej książki. Nie sprawdzał obecności, ale był czuły na tym punkcie. Jakoś wykład wypadał zaraz po świętach i przyszło na niego kilka osób, zamiast 30, sprawdził obecność. Na następnym, odczytując listę nieobecnych, prosił o usprawiedliwienie. Wiarygodny pomysł, jaki miałem wykorzystał kolega zeznający przede mną. Wyrwany, bez namysłu mówię: „Zostałem w domu, bo ojciec ciężko chory i pomagałem mamie”. Kolega, z tyłu, znając prawdę, parsknął śmiechem. Profesor przerwał odpytywanie i wygłosił mowę pt. „O stosunku syna do ojca i szacunku tegoż przez innych”. Ja, ze wstydu czerwony, chciałem wleźć pod ławkę, bo cały czas byłem dawany za przykład dobrego syna. Do dziś ilekroć jestem na cmentarzu salwatorskim, gdzie jest grób profesora, przepraszam go za ten incydent.

Ponieważ sesja leci, dużo czasu spędzam na Skałkach Twardowskiego, opalając się a udając, że się uczę. Ulubionym miejscem gdzie z „narzeczoną” wpadamy na lampkę wina – Malagi, jest knajpka Milano, mieszcząca się na ul. Praskiej, niedaleko naszego lokum. Bywamy także w winiarni Pod 6-ką. Na golonkę z piwem chodzę z kolegami do Smakosza na Szewską, na białą kiełbasę i kapustę z grochem do baru na rogu Sławkowskiej i św. Tomasza. Dziś nie ma żadnego z tych lokali, a i jedzenie już nie takie. Dla ducha chodzę do kościoła na Dębniakach, dwa kroki od Zagród. Kościół św. Stanisława znany jest z tego, że w czasie wojny uczęszczał do niego Karol Wojtyła. Ulica Zagrody jest również bardzo blisko Tynieckiej, gdzie ówczesny ks. biskup w czasie wojny mieszkał z ojcem, skąd chodził do kamieniołomu na Zakrzówku, gdzie my się opalamy i jeździmy na rajdówce. Tak (pycha!) moje drogi przecinały się z drogami Jego Świątobliwości (tylko wtedy o tym nie wiedziałem podobnie jak o tym, że wspinał się rekolekcjonista – biskup, będzie Jego Świątobliwością i świętym).

Zdaję egzamin na prawo jazdy, najpierw teoretyczny przed komisją, potem jadąc 50 m na motorze (z jednym skrętem) i 200 m samochodem, parodia, ale papier jest.

Kolejne wakacje, 25 czerwca wyjeżdżam do Jarosławia (JW 1991) na drugi poligon, stary żołnierz. Warunki lepsze jak na pierwszym, żołnierze dojrzałsi.

Na pierwszym apelu pada pytanie, kto umie fotografować, bez namysłu się zgłaszam (mam nadzieję, że nie będzie tak jak w tym dowcipie: „Kto umie grać na fortepianie?” Zgłasza się szeregowiec Kowalski. „Szeregowiec Kowalski, pójdziecie pomóc przenieść fortepian.”). Zostaje przydzielony do zespołu przygotowującego „Gazetkę ścienną baterii” – instrument propagandy wizualnej. Tym razem miejscowa kadra sensowniejsza od tej z Morąga, nasza, praktycznie taka sama. Początek standard, fasowanie mundurów, fryzjer i na kwaterę, potem broń. Dowódcami plutonów znowu są praktykanci z Wojskowej Akademii Politycznej. Szykujemy się do poligonu, na którym będziemy strzelać ze stanowisk zakrytych. Organizują nam wycieczkę do Majdanku, pierwszy raz widzę obóz koncentracyjny, jestem zdruzgotany, pomimo, że doskonale pamiętam *Pięć lat kacetu* Grzeziuka.

W fotografię byłem tak zaangażowany, że wziąłem pułkowy aparat na gimnastykę. Odbywała się na placu okolonym hangarami, w których stały armaty. Następnego dnia rano mam służbę w miejscu zakwaterowania pododdziału, ale przez okno słyszę: kanonier Mazurkiewicz do raportu wystąpi. Wobec nieobecności, przez dowódcę plutonu dostaję polecenie zameldowania się do zastępcy dowódcy ds. politycznych, (czyli politruka). Idę nie wiedząc, o co chodzi. Melduję się i słyszę: „Co robiliście wczoraj na gimnastyce?” – „zdjęcia” – odpowiadam. „Czego?” (kolejne pytanie). „Kolegów żołnierzy, żeby powiesić je na pułkowej gazetce”. „Mnie powiedziano, że fotografowaliście obiekty wojskowe i broń” – objaśnia oficer. Błyskawicznie myślę, o co chodzi. Nie wiem, milczę. Słyszę już bardziej miękki jego głos: „Widzicie to jest tak. Stawiacie – powiedzmy – koleżankę przy strategicznym moście i robicie zdjęcie. Wysyłacie je – powiedzmy – do jej cioci, do RFN-u. I co ma wywiad imperialistyczny? Zdjęcie strategicznego mostu. Gębę waszej koleżanki mają w dupie, liczy się most. A wy tak samo, tu fotografia kolegów, a w tle uzbrojenie. I materiał dla obcego wywiadu gotowy! Rozumiecie?”. „Rozumiem obywatelu kapitanie, ale zdjęcia są na pułkową gazetkę”. „No powiedzmy, że nie chcieliście niczego złego. Film po wywołaniu przekazać do mnie. Odmeldować się”.

Wtedy zrozumiałem, dlaczego PRL wydało tyle pieniędzy na tabliczki informujące o zakazie fotografowania różnych śmiesznych obiektów w tym mostów. Miałem podejrzenie, kto zakablował, ale może lepiej nie spekulować.

Dni służby biegają normalnie. Nawet idę na drugą w życiu przepustkę (pierwsza – kino po przysiędze). 15 sierpnia podstawiają na stację wagony, ła-

dujemy sprzęt (armaty, kaliber 76 mm). O 22⁰⁰ wchodzimy do wagonów (my – towarowych, krytych – kadra do osobowego) i wyjazd. Jedziemy na poligon, na miejscu jesteśmy o 6⁰⁰ rano. Rozładowanie eszelonu, rozwinięcie stanowisk (wykopanie stanowisk pod armaty, tak zwanych działobitni) i spanie w namiotach. Od rana kadra ma sraczkę, bo przyjechał dowódca artylerii okręgu wojskowego na inspekcję. Stawia ich na baczność i egzaminuje z umiejętności strzelania. Wypadają słabo. Następnego dnia strzelamy – my, przyszła kadra. Zostają wywołani na punkt obserwacyjny. Zaczyna padać deszcz, a ja mam prowadzić strzelanie. Idzie nieźle, w chwili, kiedy wydaję rozkaz kończący się poleceniem „sześć szybkich (przy wcześniejszych strzelaniach nadzorujący oficer w tym miejscu przerywał) nie słyszę komendy: „przerwij”. Chłopaki na stanowisku głupieją, ale walą. Poszło, cel zniszczony. Kadrze chodziło o to by wystrzelać amunicję jak najszybciej, bo leje coraz bardziej. Zwijamy obóz, zasypujemy działobitnie, ja z kolegą zwijam linię telefoniczną. Do eszelonu dochodzę tak mokry, że kapie na podłogę wagonu. Ktoś ludzki z kadry poleca nam ulokować się w wagonie osobowym. Rozbieram się do naga, owijam kocem, mundur wieszam na półce. Jakoś dojeżdżam do jednostki. Tutaj gorąca kąpiel i do łóżka. Następnego dnia pobudka opóźniona, bez gimnastyki i zajęcia ulgowe. Dwa dni świąt (22 lipca i niedziela) pozwalają odpocząć. Egzaminy zdaję, dostaję awans na kaprała podchorążego, który to stopień mam do dziś³⁶. Ostatni wieczór w mundurze, organizujemy składkowe picie dla podchorążych i kadry. Jest ocet (do galaretki), co prowokuje nas, że znieawidzonemu za postawę twarogłowego komucha (psa z „Marca 1968”), podejrzanemu o to, że mnie zakapował (powiedzmy Heniowi) ktoś, ukradkiem, zamiast wódki nalewa pięćdziesiątkę octu i krzyczy: „Heniu, za naszą kadrę oficerską do dna!”. Ten wypija, oczy wyskakują mu na wierzch i wypada z kasyna, gdzie impreza się odbywa. Chyba jednak niewiele zrozumiał.

Kolejne wakacje mijają. Wracam do Krakowa i zabieram się do nauki by przygotować się do egzaminów posesyjnych. Jest Tadziu (mieszkający w aka-

³⁶ Gdzieś trzy lata po studiach dostaję wezwanie do RKU. Tam sierżant usiłuje mi wręczyć powołanie na miesięczny kurs doskonalenia oficerów. Przygotowany na taką okazję – spotkała wielu przede mną – wręczam mu papier z prośbą o odroczenie, podpisany przez dziekana. Kręcił nosem, ale uwzględnił. Po tej wizycie papiery moje gdzieś się zapodziały, bo propozycji nigdy nie ponowiono. Niektórzy z kolegów („mocni” członkowie PZPR) przeszli przeszkolenie na oficerów politycznych. Czy figurują w wykazie IPN?

demiku na Zakrzówku, więc blisko), wracamy do starego systemu uczenia się. Zdaje technikę ciepłą i mogę rozpocząć ostatni rok studiów. Trzeba poważnie pomyśleć o przyszłości. Uczucia skłaniają do finiszowania „chodzenia ze sobą”. Z „narzeczoną” – Jagą postanawiamy pobrać się przed końcem moich studiów. Ona – studentka rusycystyki będzie studiować jeszcze dwa lata, więc rozważamy jak tu ja mam załapać się na Kraków. Jak to zrobić by uciec od „nakazu pracy” (jaki wtedy obowiązywał). Brat namawia mnie do biura projektów górniczych, które jest w Krakowie. Przyszły teść (profesor UJ) przez łańcuszek znajomości (tak w me życie wchodzi kumoterstwo!) umożliwiają mi spotkanie się z moim dziekanem, profesorem Maciejaszem. Ten tłumaczy mi (a jest konsultantem w tym krakowskim biurze), że bez kilkuletniej praktyki w ruchu (kopalni) nie awansuję w nim powyżej asystenta projektanta. Na dodatek jestem eksploatatorem – ruchowcem a nie konstruktorem po elitarnym BZG. Tak koncepcja biura padła. Ale informuje, że Uczelnia potrzebuje młodych, jest nowa forma naboru (asystenckie studia przygotowawcze) i w tym proponuje szukać krakowskiej przyszłości. Sugeruje abym się udał do świeżo upieczonego „docenta marcowego” dr. inż. Stanisława Ropskiego³⁷, który w ramach Instytutu Górnictwa Podziemnego organizuje Zakład Eksploatacji Węgla. I tu mam szczęście, pan docent obiecuje zainteresować się moją osobą. Najpierw jednak muszę skończyć studia. Mając na względzie posiadanie odpowiednich papierów, jakie składa kandydat na naukowca angażuję się społecznie („lepiej późno niż wcale”!). Jestem jak prawie wszyscy członkiem ZSP, ale martwym – trzeba ożyć.

Rok 1969 to 50. rocznica istnienia Uczelni (wtedy o decyzji Austriaków z 1913 r. się milczało). Zbierając punkty dla przyszłej w niej pracy podejmuję się współorganizować jubileuszową studencką karczmę piwną. Nie czas, nie miejsce, by prezentować, czym jest górnicza karczma piwna czy jak wolą inni: „spotkanie gwarków”. W tym miejscu wspomnień wystarczy powiedzieć, że jest to spotkanie w specjalnie przystrojonej sali, na którym, oprócz picia piwa, toczą się zażarte pojedynki słowne i rozlegają gromkie pienia. Jak się można domyślić, wymaga to specjalnej atmosfery, nic więc dziwnego, że sala musi być specjalnie przystrojona. I problem scenerii miałem załatwić ja. Wykorzystałem ko-

³⁷ Pomimo tego, że był faktycznie docentem marcowym, czyli mianowanym na to stanowisko przez ministerstwo po wydarzeniach marcowych, był człowiekiem uczciwym i niezaangażowanym politycznie. Szerzej – dalej.

legę mej przyszej żony, studenta ASP. Zaprojektował interesującą, kilkakrotnie potem powielaną, scenografię sali w pawilonie C-4 w AGH, tradycyjnie wykorzystywanej w tym celu (dziś sala, która służyła do „pomiarów terenowych” została podzielona na mniejsze). Obniżył strop prostymi drewnianymi kandelabrami ze świecami, ocieplił salę balonikami i choinkami, dołożył plakaty i poszło. Dzięki niemu ja odniosłem sukces. Impreza w ramach jubileuszu odbyła się 21 maja. Była to moja pierwsza w życiu karczma piwna i pierwszy kufel w kolekcji. Dziś dziesiątki zajmują różne półki.

Kończy się semestr, zdaję wszystko(!), pozostaje praktyka dyplomowa, napisanie pracy i obrona. Wybieram temat tak banalny, że dziś mi wstyd. Praktycznie, lekko poszerzony projekt przejściowy instalacji podsadzki hydraulicznej. Promotorem zostaje doc. dr inż. Karol Drzewiecki³⁸, świetny naukowiec (posiadając kilkoro dzieci, zarabia na rodzinę, a nie zdobywa stopni).

Wakacje, wyjeżdżam do Łędzin, do nieistniejącej od lat 70. minionego wieku kopalni „Piast”, gdzie zbieram materiały do pracy dyplomowej, co robię w tydzień. Resztę praktyki spędzam jeżdżąc do Katowic „na falę” (basen ze sztuczną falą, wtedy nowość), chodzę do kina, wpadam do domu do Felka Lisoka (mieszka niedaleko) i tak czas mija. W sierpniu się żenię (Jadwiga Borkacka).

Rozpoczyna się ostatni semestr – dyplomowy. Piszę pracę³⁹, do której rysunki kreśli i opisuje starszy kolega a nasz sąsiad⁴⁰. Jest kreślarzem w biurze projektów. Docent Drzewiecki, mój promotor, rozchorowuje się, pracę oddaje docentowi S. Ropskiemu, memu późniejszemu, pierwszemu Szefowi. 21 lutego 1970 r., 5 dni przed 23. urodzinami bronię. Komisji przewodniczy profesor Stanisław Takuski⁴¹ (wtedy prodziekan) członkami są: doc. dr inż. Stanisław Ropski i dr inż. Stanisława Jelonkiewicz-Babiarz. Bronię na „5”, jestem magistrem inżynierem górnikiem ze specjalności Podziemna Eksploatacja Złóż.

Kończą się bezsprzecznie najmiłsze lata w AGH.

Koniec sielanki!

³⁸ I jemu – dalej poświęcę więcej tekstu.

³⁹ Temat jak wspomniałem banalny: Obliczenie możliwości dostarczenia podsadzki hydraulicznej, do rejonu ściany X w KWK „Piast”.

⁴⁰ Po naszym ślubie, który odbył się 16 sierpnia 1969 r. w kościele oo. Dominikanów zamieszkujemy z żoną w wynajętym mieszkaniu na Przegorzałach, przy ul. Kamedulskiej 41.

⁴¹ Najwybitniejszy profesor swego pokolenia, o czym dalej.

Patrząc z 47-letniej perspektywy z drugiej strony katedry (a jestem świeżo po odnowieniu immatrykulacji⁴² co stworzyło okazję do licznych wspomnień) nasze studia, tak znacznie różniły się od dzisiejszych. Przede wszystkim my byliśmy „elitą” jeśli chodzi o przygotowanie ze szkoły. Nie dość, że poziom w liceach w tamtych czasach był znacznie wyższy, to jeszcze stanowiąc wyselekcjonowaną grupę (1° – w liceach studiowali najlepsi, szacuję, że około 15% populacji, 2° – po egzaminie wstępnym na studia dostawało się – szacuję – mniej niż połowa maturzystów), posiadaliśmy naprawdę solidniejsze podstawy. Dzieci powojenne wychowane w biedzie „drapaliśmy się” do ukończenia studiów i podjęcia pracy inżyniera, która pozwalała żyć na nieco wyższym poziomie. Dla zdecydowanej większości dyplom to był istotny awans społeczny. Pomagało nam też to, że byliśmy dojrzałsi i „poważniejsi” (bardziej odpowiedzialni). Szanowaliśmy studia. Oczywiście były wyjątki tych (w tym dwóch moich opisanych najbliższych kolegów), którzy do studiów podchodzili lżej, czy inaczej, nie mniej były to faktycznie wyjątki. Spotkaliśmy nauczycieli wychowanych w dużej mierze przed II wojną światową. Nieśli w sobie etos tamtych lat. I nawet, jeśli nauczycielami zostali z „awansu społecznego”, to starali się równać w górę. Wymagali znacznie więcej niż my, dzisiejsza kadra (na ocenę nas przyjdzie czas). Cechowała ich osobista kultura. Nie zetknęliśmy się wprawdzie z największymi sławami polskiego górnictwa, twórcami jego podstaw: prof. prof. H. Czeczottem, W. Budrykiem, A. Sałustowiczem, F. Zalewskim, B. Krupińskim. Ale trwała ich legenda, ich duch „krążył po gabinetach” następców. Regułą było zdawanie egzaminów ustnych (nawet, jeśli poprzedzone były pisemnymi). Na dodatek (to ważne, bo dokumentowało powagę egzaminu) do egzaminu szło się w garniturze, białej koszuli z krawatem⁴³. Dystans (bardziej w znaczeniu szacunek) pomiędzy studentem a profesorem był o niebo większy (jeśli dzisiaj w ogóle jest). Studentów cechowała „kindersztuba”. Dzisiejsze przypadki spania na wykładzie, z głową położoną na ławce, jedze-

⁴² Moja Uczelnia ma wspomniały zwyczaj, niezwykle ceniony przez absolwentów. 50 lat po „pierwszej” immatrykulacji odbywa się druga. Absolwenci–studenci spotykają się w Auli i w obecności rektora, dziekanów, wyczytywani kolejno, odbierają ozdobne, pamiątkowe indeksy z podpisem aktualnego dziekana i rektora. Jest okazja do wspomnień...

⁴³ Nasi starsi koledzy opowiadali, że do jednego z profesorów, bodaj Krauzego, szło się zdawać w mundurze górniczym. Mundurów było tylko kilka, więc wychodzący na egzamin szybko przebierał się w toalecie.

nie w trakcie zajęć, używania w publicznych miejscach słów wulgarnych – było nie do pomyślenia. Były i minusy, z dzisiejszej perspektywy. Przede wszystkim brak bezpośredniej więzi, było nie do pomyślenia by student potraktował profesora jak swego starszego kolegę. Decyzja profesora była ostateczna i próba interwencji u jego przełożonego nic nie dawała. Bywało to przyczyną niesprawiedliwych „decyzji ostatecznych”, ale górników uczyło dyscypliny i solidarności.

Asystenckie studia przygotowawcze

Egzamin dyplomowy rozpoczął moje starania o asystenturę. Oczywiście „trzymałem się” osoby doc. S. Ropskiego, członka komisji egzaminacyjnej. Umówiłem się z nim na rozmowę, w trakcie, której dowiedziałem się rzeczy najważniejszej. Był wiceprzewodniczącym Rady Zakładowej Związku Nauczycielstwa Polskiego, z jej „ramienia” był członkiem rektorskiej komisji ds. rozwoju kadr, ciała, wtedy formalnie decydującego o każdym zatrudnieniu. Był, zatem nie tylko kompetentnym, ale i wpływowym (a „protekcje to ostatnie ludzkie uczucie w socjalizmie” – jak mawiał mój teść⁴⁴, pewno miał duże doświadczenie!). Problem pierwszy – nie byłem członkiem PZPR (wg „towarzyszy” duży błąd, choć do naprawienia). Byłem (jak chyba 99% studentów) członkiem ZSP, miałem więc formalną możliwość uzyskania opinii z organizacji społecznej (i po to angażowałem się w organizację 50-lecia Uczelni). Odnalazłem szefa ZSP na Wydziale (późniejszego adiunkta na Politechnice Śląskiej, kolegę z roku

⁴⁴ **Prof. dr hab. Stanisław Borkacki** urodził się w 1919 r. w Gródku, absolwent Wydziału Prawa UJ (1947), doktorat (1960), habilitacja (1968), profesor (1975), specjalista z nauk ekonomicznych. Pracował w krakowskim Wojewódzkim Związku Spółdzielni Mleczarskich (1947–1951), Wydziałach Politechnicznych AGH (1951–1952), Uniwersytecie Jagiellońskim (1952–1971), Akademii Wychowania Fizycznego (1971–1979), Akademii Górniczo-Hutniczej (Wydział Zarządzania 1979–1987). Na emeryturę przeszedł w 1987 r. W 2001 r. podjął pracę w WSKSiM w Toruniu, gdzie wykładał do 2002 r.

Stasia Oleksego) i podsunąłem mu pod nos stosowną opinię – podpisał! Z opinią tą poszedłem do Rady Uczelnianej ZSP, gdzie przygotowano mi kolejną (tożsamą w treści z pierwszą), podpisaną przez szefa Rady – Gienka Fuksię (późniejszego pracownika AGH, członka gremiów kierowniczych PZPR). Dalej uzyskałem „super” pozytywną opinię mego promotora – doc. K. Drzewieckiego. Do tego doszły standardowe papiery typu życiorys, kwestionariusz osobowy i coś jeszcze. Wszystko to zostało wsparte potwierdzeniem zapotrzebowania na pracownika ze strony Instytutu⁴⁵. Doc. S. Ropski uzyskał je bez problemu. Nie bez znaczenia był również fakt, że kierownikiem Studium Wojskowego AGH był płk. Bogdan Mazurkiewicz. Ktoś szepnął mi za mną słówko i tak w działaniach protekcyjnych zostałem jego krewnym(!) Być może, jak wykazały dalsze doświadczenia z rekomendowaniem przeze mnie Szefowi kolegów, nie potrzeba było aż takich protekcji, ale nie mając przynależności partyjnej – „strzeżonego Pan Bóg strzeże”!

Okres od obrony do formalnego przyjęcia na asystenckie studia przygotowawcze⁴⁶ wykorzystałem na poznawanie mej przyszłej pracy. Nosilem kredę na zajęcia mego Szefa, mazałem mu tablicę, zaprzyjaźniałem się z Mietkiem⁴⁷. W marcu odbyło się posiedzenie Komisji⁴⁸. Zostałem zaakceptowany, na formularzu figuruje podpis przewodniczącego komisji, poniżej rektora akceptującego jej werdykt (w obu rolach – drugiej w charakterze wz. – występuje prof. Kazimierz Sztaba) oraz podpis prof. J. Waclawika z mego Wydziału. Pełnił wtedy funkcję sekretarza KU PZPR (chyba II). Tak to partia sygnowała decyzje

⁴⁵ Uczelnia była „dopiero, co” po reorganizacji. Wzorem ZSRR podstawowymi jednostkami na Wydziale były Instytuty. W ich skład wchodziły Zakłady. Ja starałem się o asystenturę w Instytucie Górnictwa Podziemnego, w Zakładzie Eksploatacji Węgla. Na czele Instytutu stał prof. Z. Maciejasz, wtedy p.o. dyrektora, a kierownikiem Zakładu był doc. S. Ropski.

⁴⁶ ASP zostały powołane decyzją ministrów w listopadzie 1964 r. W przypadku AGH pierwsze lata ich funkcjonowania były mało znaczące. Ich intensywny rozwój nastąpił z chwilą, kiedy prorektorem AGH został prof. dr hab. inż. Kazimierz Sztaba, górnik – przeróbkarz.

⁴⁷ **Mieczysław Cielecki** – technik – był pracownikiem technicznym Instytutu. Pomagał w badaniach tak laboratoryjnych, jak i przemysłowych. Najważniejsze, że zaopatrywał pracowników w dobra materialne (od ołówka po biurko). On to wynalazł mi mocno zużyte biurko, zaopatrzył w papier ścierny i zachęcił do pracy. Lakier i pędzel do jego pomalowania kupiłem sam.

⁴⁸ Po latach oglądam swą „teczkę osobową” w dziale kadr, skąd czerpię szczegóły.

przełożonych (choć faktycznie nie musiała, bo np. prof. K. Sztaba nim został prorektorem był sekretarzem KU PZPR. Po kilku dniach otrzymuję „angaż” podpisany przez rektora prof. J. Aniołę z poleceniem stawienia się do Instytutu Górnictwa Podziemnego dnia 1 kwietnia 1970 r. Dostaję stypendium stażowe 1000 zł (ok. 10 \$), podniesione za pół roku do 1200 zł.

Najważniejsze dla młodego pracownika – pokój? Zostaję „dokwaterowany” do biblioteki instytutu mieszczącej się w pokoju nr 1, A-4, II p., gdzie kilka lat później powstaje gabinet dyrektora. Urzęduje tam dr S. Jelonkiewicz-Babiarz, jedna z dwóch kobiet-górniczek od eksploatacji podziemnej (drugą jest dr Bogusława Kłeczek, żona prof. Zdzisława Kłeczka, o którym będę tu wielokrotnie wspominał). Obok jej, staje moje, stare – odnowione własnymi rękami biurko. Mietek przydziela mi też najważniejsze atrybuty pracownika – klucz do toalety i klucz do windy („z windy mogą korzystać tylko pracownicy AGH oraz osoby im towarzyszące” – to napis wiszący na każdych „windowych” drzwiach). To też wyróżnik czasów, toalety dla pracowników od pozostałych różniły się czystością i stanem „wyposażenia”. Jeśli jednak ktoś myśli, że w tej dla pracowników był papier toaletowy, to się myli. Chodziło się z własną rolką!

Zagospodarowuję biurko, problem młodego – nie ma co do niego włożyć. Jeszcze nie zdążył wyprodukować dokumentów, zebrać notatek. Przynoszę z domu podręczniki studenckie i tak tworzy się załączek mej „biblioteki naukowca”. Od Mietka dostaję też przydział papieru, jakieś ołówki, gumkę, długopis. Z domu przynoszę garnuszek i łyżeczkę, niezbędne wyposażenie pokoju naukowca i mogę rozpocząć pracę. Podstawowa zasada: w pracy jesteś co najmniej tak długo, jak długo są przełożeni. Druga – jesteś do dyspozycji przełożonych podczas całego ich pobytu w pracy (bo może wysłać cię za siebie na zajęcia, lub powołać w charakterze „biegłego”⁴⁹). Bywało też, że przełożonego będącego w stanie zmęczenia trzeba było odstawić do domu. Jedynym skutecznym miejscem, w którym pobyt był usprawiedliwiony i tłumaczył próbę odmowy, było laboratorium. Stąd w tamtych czasach badania laboratoryjne cieszyły się takim wzięciem(!)

⁴⁹ Przyjaciel prof. S. Takuskiego – inż. M.B., pracujący w zakładzie geologicznym i wierzący „na fuchę” studnie, wpadając po południu do kolegów naukowców, wyjmował 100 zł (cena ½ litra butelki „Żytniej”) i mówił: „potrzebny biegły”. Jak padło, trzeba było się udać – biec – na ul. Czarnowiejską i zrobić stosowny zakup.

Kolejną zasadą, którą starał mi się wpoić starszy kolega, dr Jan Górecki⁵⁰ brzmiała: „Pamiętaj, jak ci coś dadzą do roboty to maksymalnie s..., nigdy więcej niczego nie dostaniesz”. I trzeba przyznać, że zasadę tę sam zastosował z pełnym powodzeniem.

Rozpoczynając pracę w trakcie trwania semestru Szef⁵¹ postanowił nauczyć mnie dydaktyki szkoły wyższej, podstawową, stosowaną wtedy metodą, tj. przez własny przykład. Uczęszczam na jego wykłady (z obowiązkiem mazania tablicy), dostałem polecenia przygotowania konspektów do wybranych tematów, w sytuacjach awaryjnych prowadzę w zastępstwie ćwiczenia. Zostaję włączony do ekipy przygotowującej i realizującej, liczne wtedy, studenckie wycieczki prowadzone do zakładów górniczych (pamiętam wyjazdy do kopalń soli „Kłodawa” i „Inowrocław”, odkrywki w Koninie i Kopalni Doświadczalnej Węgla Kamiennego „Jan”⁵²). Wycieczki stanowią wtedy istotny element procesu dydaktycznego. Bliskie związki pracowników ze swymi wychowankami, kolegami zajmującymi stanowiska kierownicze w kopalniach temu sprzyjają. Studenci mogą liczyć na nocleg w Domu Górnika⁵³, obiad w stołówce pracowniczej a czasem nawet na ognisko z piwem i kiełbaskami. Korzyści, jakie odnosili były nie tylko dydaktyczne. Tak nawiązywano kontakty skutkujące „stypendiami fundowanymi” i ewentualnym późniejszym etatem.

W zakresie pogłębiania wiedzy otrzymałem polecenie zajęcia się problematyką, zgodną z pracą dyplomowa, a więc podsadzką hydrauliczną. Lata 70. XX wieku to okres, w którym dzięki pracom Budryka i Knothego technologia ta była u szczytu rozkwitu (ponad 40% węgla wydobywano z tym sposobem wypełnienia zrobów), bowiem umożliwiała eksploatację pod obiektami chro-

⁵⁰ **Dr Jan Górecki** urodził się w 1931 r. Absolwent Wydziału, po studiach (nakaz pracy) zatrudniony w Kopalni Rud Uranowych w Kowarach, potem KWK „Siersza”. Jedną z barwniejszych postaci tamtych czasów. Zmarł przedwcześnie w 1981 r. Niewykluczone, że z powodu dawki promieniowania, jaką otrzymał w Kowarach.

⁵¹ Tak będę nazywał doc. dr inż. Stanisława Ropskiego.

⁵² Kopalnia ta powstała w czasach największego rozwoju górnictwa węglowego. Rozwijająca się burzliwie mechanizacja i raczkująca automatyzacja tworzy ideę przodka bez załogi. Jej ogromnym propagatorem był ówczesny minister Jan Mitrega (stąd nazwa kopalni), osoba dla górnictwa niezwykle ważna. Z jednej strony aparatczyk, z drugiej górnik blisko współpracujący z wybitnymi naukowcami (prof. prof. Litwiniszynem, Knothe, Krupińskim). AGH i Instytut Mechaniki Górotworu PAN w Krakowie zawdzięczają mu budynki.

⁵³ Hotel robotniczy utrzymywany przez kopalnię.

nionymi, a więc budynkami w miastach. Powodowało to znaczne zapotrzebowanie na materiał posadzkowy. Był nim, z uwagi na właściwości piasek. Jego wydobycie z warstwy przypowierzchniowej metodą odkrywkową było nie tylko kosztowne, ale również powodowało dewastację środowiska, o czym zaczęto „po cichu” mówić. Stąd, jako przygotowanie do poszukiwania nowych materiałów podszkawkowych, otrzymałem zadanie „studiów literaturowych” nad właściwościami piasków. Studiuję podstawowy wtedy podręcznik F. Jopka, prace R. Adamka i A. Lisowskiego. W efekcie pojawił się mój pierwszy „naukowy” manuskrypt, zestawiający właściwości piasków podszkawkowych.

Początek lat 70. minionego wieku to lata, w których rozwinięta energetyka oparta o węgiel zaczyna mieć problemy z odpadami. Kurczą się składowiska. Połączenie obu gałęzi w jedno ministerstwo (Górnictwa i Energetyki) sprzyja pomysłom na powrót pod ziemię tej części paliwa, która nie uległa spaleni (popiołu). Prof. Maciejasz⁵⁴ przywozi z Katowic pomysł na podjęcie prac nad oceną możliwości zastosowania odpadów elektrowniowych jako materiału podszkawkowego. Pomysł zostaje mi zlecony. Studiuję literaturę, głównie czeską i angielską i podejmuję badania laboratoryjne nad odpadami z Elektrowni Łagisza. Jakże ważne dla mnie chwile. Uczę się pracy w laboratorium. Właściwości fizyczne odpadów określam klasycznymi metodami (uczę się korzystać z norm), problem jest z chemicznymi. Udaję się do prof. M. Lasonia prowadzącego w Instytucie Zakład Chemii Górniczej i dowiaduję się, że sprawa nie jest prosta. Analiza odsącza w okresie przed chromatografem jest niezwykle droga. Analizując toksyczność odpadu ograniczam się do pH roztworu.

Drugim tematem, jakim zaczynam się zajmować jest analiza przyczyn niezamierzonych zawałów. Jest to duży temat zlecony przez ministerstwo, który daje okazję do dodatkowego zarobku w ramach tzw. gospodarstw pomocniczych⁵⁵. Jak wielu jeżdżę do WUG-u, studiuję akta wypadków, robię szkice, spisuję warunki ich zaistnienia. Te zostają potem poddane analizie statystycznej.

⁵⁴ Pracował wtedy w ministerstwie, jako (bodaj) doradca ministra (J. Mitregi).

⁵⁵ Socjalistyczna gospodarka dopuszczała dodatkową pracę naukowców w wyjątkowych przypadkach. Najprostszym była praca przy realizacji zleceń z przemysłu. Pracodawca dopuszczał możliwość zarobku do 70% wysokości pensji. Na 100% potrzebna była zgoda rektora. Trzeba przyznać, że udzielał jej powszechnie. Zadania rozliczało się godzinowo. System ten funkcjonował (chyba) do upadku „socjalizmu”. Z latami pojawiały się nowe możliwości.

Wracając składam sprawozdanie pisemne. Jednym z istotniejszych realizatorów tematu jest przyjęty do Instytutu inż. S., z wykształcenia mechanik. Postać niezwykle dziwna, z czasem „szara eminencja”, wożąca profesora swoim autem do pracy, załatwiająca „poza limitowe” zlecenia (np. z Ministerstwa Obrony Narodowej). Przejmuje ster umowy, w efekcie czego, na jej zakończenie wystawia listę do wyróżnienia przez Centralną Stację Ratownictwa Górniczego medalami „Zasłużony Ratownik Górniczy”. Nie ma mnie na tej liście, mimo, że byłem jednym z pracowitszych i bardziej kreatywnych członków zespołu. Pewno słusznie, bo – młody – (zgodnie ze swą naturą) a ośmieliłem się być dla niego „upierdliwym”.

Pisząc o pracach zleconych muszę opowiedzieć o szkole pisania opracowań naukowych, jaką przeszedłem u swojego Szefa. Ten (niestety) nie mając talentów pisarskich, w trakcie takich prac przeżywał katusze. Umawialiśmy się na popołudnia (wtedy w Instytucie był spokój – oczywiście, jeśli dyrektor nie biesiadował) i zaczynało się. Kawa, herbata („panie Maćku proszę przynieść cukier i zaparzyć...”) i ogromne ilości „Carmenów” (papierosy). Na stole rozłożonych wiele różnotematycznych publikacji, opracowań, których Szef był współautorem, a z których czerpał (ogólnikowe) początki zdań, formy wniosków itp. I dyktował. Sam nauczył się takiej pracy w Zespole ds. Ratowania Dzielnic Staremiejskich, któremu przewodził prof. dr hab. inż. Zbigniew Strzelecki⁵⁶. Bywało, że za godzinę napisało się jedną stronę. Stąd, z czasem stosowałem metodę: „Szefie, proszę o chwilę spokoju, coś zaproponuję”. Przyjmował to z pokorą ograniczając się do drobnych korekt. Był za to mistrzem w sporządzaniu tabelk. Dziś, za jego przykładem, „ćwiczyć” nimi dyplomantów i doktorantów nie zawsze akceptując „excele”.

Udział w asystenckich studiach przygotowawczych łączy się z obowiązkowym odbyciem szkolenia pedagogicznego i stażem. Ten drugi spędzam w trakcie

⁵⁶ **Prof. dr hab. inż. Zbigniew Strzelecki** urodził się 23 sierpnia w 1922 r. w Krakowie. Technik budownictwa mostowego (II wojna światowa), absolwent Wydziału Górniczego AGH, wychowanek prof. Feliksa Zalewskiego. Specjalista z zakresu budownictwa górniczego, znany przede wszystkim z objęcia po nim problematyki ratowania zagrożonych awariami geotechnicznymi starych miast (Kłodzko, Sandomierz, Rzeszów, Opatów i in.). Współtwórca tzw. metody Z-S stosowanej w procesie ich ratowania. Współtwórca programu zabezpieczenia Smoczey Jamy w Krakowie. Prace zespołu, który prowadził prace pod jego kierunkiem opisano w: Strzelecki Z. i in.: *Miasta, które mogły zginąć*. Wiedza Powszechna. Warszawa 1976. Zmarł 27 stycznia 1988 r. w Krakowie. Został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

wakacji w znanej mi kopalni „Milowice”. Mam w niej duże luzy czasowe. Szkolenie, to zajęcia z psychologii i pedagogiki szkoły wyższej, metodyki badań naukowych, nauk politycznych. Prym wiedzie dr inż. R. Czekajowski – górnik, filozof, pedagog, założyciel Zakładu Pedagogiki w Instytucie Nauk Społecznych. Kończymy je egzaminem koniecznym przy staraniu się na stanowisko asystenta. Czy coś z niego wyniosłem – niewiele. Oparte było głównie o „książkową” teorię pedagogiki i podstawy psychologii. Brak było „strony praktycznej”. Już wtedy „ktoś” w ten sposób załatwił sobie extra płatne godziny dla młodych nauczycieli szkoły wyższej.

W okresie wakacji jestem opiekunem studenckich praktyk („Papieski” kamieniołom na Zakrzówku). Rok akademicki 1970/1971 rozpoczynam od przydziału samodzielnych zajęć. Prowadzę ćwiczenia z Górnictwa na Wydziale Wiertniczo-Naftowym. Zostaję opiekunem grupy na I roku studiów Wydziału macierzystego. Biorę udział w obronach prac na studiach dziennych i zaocznych. Zwłaszcza te drugie są atrakcyjne, bo po zakończeniu obron świeżo upieczeni inżynierowie zapraszają komisję egzaminacyjną (i mnie) na obiad. Mam okazję, pierwszy raz w życiu być w Ermitage, Hawełce, Warszawiance, Pod 3 rybkami, restauracji w Hotelu Francuskim. Towarzyszę profesorom i adiunktom, słucham rozmów doświadczonych górników⁵⁷. To też było przygotowanie do zawodu naukowca.

Rok 1970 kończy „Grudzień”. Podobnie jak w przypadku „Marca 1968” informacje dochodzą skąpe i sprzeczne. Kiedy Wybrzeże nie pozwala władzy milczeć, z ministerstwa przychodzi polecenie: zorganizować stałe dyżury pracowników, w przypadku zauważenia niepokoju natychmiast informować „wyżej”. Prawdopodobnie i w tym przypadku „sztab akcji” – komitet uczelniany partii miał bezpośredni kontakt z milicją i UB. Dyrekcja Instytutu rozpisuje dyżury. Trafia i na mnie, spędzam noc w akademiku z kilkoma pracownikami, w tym z prof. A. Trzaską (tym od hydromechaniki). Okazuje się być człowiekiem towarzyskim, grającym w bridgea. Kompletujemy „4” i dyżur schodzi. Wydarzenia nie znajdują odzewu na uczelniach. Chyba trochę studenci pamię-

⁵⁷ A jest to okres, w którym na studiach zaocznych studiują starsi górnicy, mający za sobą wiele lat spędzonych w kopalni. Pamiętam obronę szttygara, który w 1969 r. w czasie wdarcia się mułów do wyrobisk kopalni „Generał Zawadzki” potrafił tak pokierować 89 odciętymi górnikiemami, że z wyjątkiem jednego wszyscy (po bodaj 3 dniach) zostali wydobyli na powierzchnię.

tają „Marzec”, kiedy to robotnicy zamiast ich wesprzeć wygenerowali z siebie ZOMO-wców wyposażonych w kable, którymi „nakłaniali” żaków do nauki. Może hamulcem był również strach, bo głośno było o bestialskich metodach milicji i ofiarach śmiertelnych. Władzy pomaga kalendarz – nadchodzą Święta Bożego Narodzenia i młodzież opuszcza akademiki.

4 lutego 1971 r. dyrekcja Instytutu występuje do rektora o zatrudnienie mnie na stanowisku asystenta. Formalne pismo poprzedza zebranie Zakładu, na którym starsi koledzy oceniają moje postępy oraz posiedzenie zespołu powołanego przez dyrektora w Instytucie. W jego skład wchodzi sam dyrektor (prof. Z. Maciejasz), kierownik Zakładu (doc. S. Ropski) oraz „mocno zaangażowani ideologicznie doc. doc. J. Zacharzewski i R. Stecko, a także „przedstawiciel OOP PZPR Wydz. Górniczego” – dr Z. Kwiecień. Do wniosku, oprócz protokołów z zebrania Zakładu, obrad komisji, potwierdzenia pełnienia funkcji opiekuńczych, sprawozdania ze stażu przemysłowego, sprawozdania z odbywanego przeze mnie stażu w Instytucie, życiorysu, kwestionariusza osobowego dołączam „Opinię Zarządu Uczelnianego ZMS”⁵⁸. Jak widać z „wylizanki” zbiór pokaźny. Mistrzem w tworzeniu dokumentów był mój Szef, zwany przez kolegów „Paragrafem”. 10 marca odbywa się posiedzenie komisji (tej samej, która kwalifikowała mnie na staż). Tym razem na protokole jest tylko jeden podpis, przewodniczącego – prof. K. Sztaby. Od 1 marca jestem asystentem. Stosowny angaż podpisuje rektor – prof. Jan Anioła. Oprócz pensji (1700 zł) dostaję „stały dodatek” (400 zł) i zgodę na 100% zarobku w GP (czyli pensja + dodatek – 22 \$, zarobek dodatkowy – 17 \$).

⁵⁸ A było to tak. Jakoś w tym czasie na uczelniach nastąpił podział. W miejsce dwóch organizacji młodzieżowych studentów (ZSP – Zrzeszenie Studentów Polskich i ZMS – Związek Młodzieży Socjalistycznej) powstała jedna (SZSP – Specjalistyczny Związek Studentów Polskich), a ZMS był organizacją zrzeszającą młodych pracowników. W jej ramach działały Koła Młodych Pracowników Nauki, którego członkiem zostałem. I tak wpisało mnie do „młodzieżowej przybudówki partii” – ZMS. Opinię podpisał kolega, przyszły dziekan Wydziału w latach 2003–2009, dr hab. inż. Jerzy Klich (szef ZMS) i dr inż. Rysiek Morawa (z mojego roku) – szef Koła Wydziałowego.

Doktorat popiołowy

Czym jest doktorat? Nieco starszy kolega dr inż. Józek Lewicki, odkrywkarz, specjalista od wyburzania obiektów kubaturowych, pasjonat piłki nożnej – kiedyś zdefiniował go tak: „godzina wstydu i splendor na całe życie”. Inne znane mi (brak źródła!) określenie twierdzi, że „doktorat to pchanie nauki w bok”. Bowiem „w dół nie pozwala promotor, a w górę umiejętności doktoranta”.

Uzbrojony w powyższą wiedzę oraz znajomość ustawy⁵⁹ zobowiązującej mnie do uzyskania pierwszego stopnia naukowego w terminie nie dłuższym niż osiem lat od rozpoczęcia pracy na stanowisku asystenta, musiałem zmierzyć się z tym problemem. Sytuację komplikowała na dodatek dwoistość opiekunów. Oprócz doc. S. Ropskiego (przełożonego bezpośredniego) był jeszcze dyrektor Instytutu – prof. Z. Maciejasz, który, jak pisałem, przywiózł temat odpadów energetycznych, jako potencjalnego materiału do podszadzki hydraulicznej. Zadekretował formalną opiekę na Szefa, ale nie omieszkał dodać (do moich uszu): „Maciuś, Staszek nie ma doświadczenia w prowadzeniu doktoratów, więc wpadnij – po cichu – do mnie to sobie omówimy”. Będąc człowiekiem „zasadniczym” służenie dwóm panom (w tamtych latach) stwarzało dla mnie sytuację bardzo trudną. Problem pogłębił się, kiedy któregoś popołudnia prof. Z. Maciejasz spotykając mnie w sekretariacie Instytutu zagadnął: „to kiedy do mnie wpadniesz z planem pracy?” Jąkając się odpowiedziałem: „panie pro-

⁵⁹ Tak będę nazywał kolejne ustawy regulujące funkcjonowanie szkolnictwa wyższego, nauki, ect.

fesorze już go mam w głowie, tylko muszę uściślić". Usłyszałem: „jak go za długo będziesz tam miał, to ja będę miał ciebie w..." i tu parsknął charakterystycznym śmiechem.

Starłem się nie korzystać z „zakulisowych” spotkań, ale kiedy stanąłem wobec konieczności zdobycia do laboratorium edometrów (przyrządy do badania ściśliwości podsadzki), do wykonania których trzeba było walców stałych o średnicy 150 mm poszedłem do prof. Z. Maciejasza. Wyłuszczywszy problem usłyszałem: „Maciuś, jak potrzebowałem do doktoratu czystej miedzi by wykonać kalorymetr to chodziłem po skupach złomu i szukałem” i nie było w tym złośliwości. Takie były czasy, aparaturę budowało się samemu. Trzeba przyznać, że jednak mi pomógł, bo zadzwonił do zakładów naprawczych jednego ze zjednoczeń, gdzie znaleźli materiał na moje edometry.

Sprawa tematyki doktoratu komplikowała się dodatkowo. Szybko zorientowałem się, że popioły lotne w stanie surowym jako materiał do podsadzki hydraulicznej się nie nadają. Ale żona doc. Ropskiego, Halina (też docent) pracowała na Wydziale Ceramiki w instytucie kierowanym przez doc. M. Kałwę, wtedy prorektora Uczelni, oczywiście mocno „stowarzyszonego”, znalazła wyjście. Zajmowali się poszukiwaniem alternatywnych kruszyw do betonów, w tym wyprodukowanych z popiołów lotnych. Opracowali metodę fluidalnego spiekania wcześniej grudkowanych popiołów lotnych⁶⁰. Uzyskany materiał (nowy w początku lat 70. ubiegłego wieku) stanowić miał przedmiot moich zainteresowań. Fizycznie otrzymywałem materiał uzyskany z instalacji pilotowej w Woli Rzędzińskiej. I tu się zaczęło! Twórcami materiału byli członkowie zespołu M. Kałwy (czytaj wg niego on!) a materiał (ewentualnie) miał być stosowany w górnictwie, które „personalizował” prof. Z. Maciejasz. Kto ważniejszy. Twórca materiału czy pomysłodawca jego zastosowania?! No i wpadłem. Ten problem (niezależnie od normalnych problemów badawczych, o których potem) był zmorą mych snów przez 2–3 lata. Obaj „wielcy” spotykali się od czasu do czasu (oczywiście przy...!) i dyskutowali. W jej wyniku była dłuższa przerwa w dalszych kontaktach, a ja dalej nie wiedziałem komu (w przyszłości) będę miał więcej do zawdzięczenia. W tym wszystkim „zaplątane” było małżeństwo Ropskich, które (podwładni) mogło tylko próbować „łagodzić obyczaje”.

⁶⁰ Grudkowanie to proces, w którym popiół lotny (ziarna mniejsze od 0,1 mm) tworzy grudki o średnicy kilku(nastu) mm. Wytrzymałość grudek uzyskuje się wyprażając je w specjalnym piecu (proces spiekania).

Na szczęście pieniądze bywają ważniejsze od zaszczytów, więc prof. Z. Maciejasz załatwił duży temat z ministerstwa (finansowany przez Jaworznicko-Mikołowski Zjednoczenie Przemysłu Węglowego) na przedmiotowy temat. Jego rozmach uzasadnił zatrudnienie w instytucie dwóch pracowników technicznych (magistrów inżynierów: Andrzeja Hromka i Czesława Kwiecińskiego, obu z KWK „Siersza” – do dziś nie wiem dlaczego ich?), wybudowanie laboratorium (dalej) i prowadzenie badań. Wpuszczony na „głębokie wody” (obaj opiekunowie nie zajmowali się nigdy podsadzką hydrauliczną) musiałem opracować program badań. Etap laboratoryjny (ewidentny) i techniczny (sprawdzenie w praktyce). Bez pudła, w oparciu o wcześniejsze doświadczenia mogłem założyć, że popiół fluidalny (jak go popularnie nazywaliśmy), może spełnić wymogi normy tylko, jeśli będzie pomieszany z piaskiem. W trakcie dyskusji pojawiła się koncepcja badań w instalacji modelowej (co dobitnie podkreślałem – nie modelowych). A było to tak⁶¹. Ktoś rzucił pomysł. Mamy w pawilonie A-1 szyb (jakby klatkę schodową bez schodów). Kiedyś Chińczyk u prof. Z. Maciejasza robił w nim pomiary do doktoratu z pożarów w szybach. Teraz stoi niewykorzystany. Więc, umieścimy na strychu dwa zbiorniki. Dozujemy z nich piasek i popiół fluidalny, tworzymy mieszaninę podsadzkową dodając wody, transportujemy w rurociągu grawitacyjnie (pod własnym ciężarem) do piwnicy. Ta mieszanina wpływając do „modelu” pustki (zrobów) będzie się osadzać, a woda (z modelu) będzie odpływać. Osadzona podsadzka będzie stanowić przedmiot badań. Łatwo powiedzieć!

Pierwsze to projekt „instalacji modelowej”. Opracowałem „projekt koncepcyjny”, a może ściślej „ideowy”. Projekt techniczny – tutaj zaangażował się „nieoceniony”, wspomniany inż. S. Podjął ścisłą współpracę z KWK „Jaworzno” (dyrektor mgr inż. S. Szewczyk, szef działu postępu technicznego mgr inż. J. Neugebauer, szef działu energomaszynowego mgr inż. Z. Kilian). Wspierał go Szef, który wielu pracowników przemysłu znał (a „kumoterstwo...”). Tak pomału urodził się projekt. Dla jego realizacji zostali wytypowani wspomniani „techniczni”.

Do Krakowa przyjechała liczna ekipa, a z nią samochody materiałów. Niezmiernie dziwiło mnie, że „uparto się” by cały szyb (od piwnic po strych – kon-

⁶¹ Muszę objaśnić, że technologia podsadzki hydraulicznej najogólniej polega na tym, że do pustki powstałej w wyniku wybrania kopaliny (np. węgla) z powierzchni rurami, w strumieniu wody, transportuje się materiał (pisałem, głównie piasek). Ten osadza się, a odpływająca woda i pompowana jest z powrotem na powierzchnię.

dygnacji) obudować deskami⁶². Utrudniało to dostęp do niego, choć przyznam, po realizacji i pociągnięciu „bezbarwnym” wyglądał okazale. Drugim istotnym elementem był wyciąg do transportu (w pionie) materiałów podsadzkowych. Sama instalacja składała się z dwóch zbiorników z układem dozowania materiałów, dozowania wody (również ze zbiornikiem wyrównawczym) rurociągu pionowego przechodzącego w poziomy, „modelu zrobów”, czyli czegoś na kształt akwarium, z trzema ściankami przezroczystymi i jedną z tkaniny, przez którą mogła przesączać się woda. W nim osadzała się sporządzana kilkanaście metrów wyżej mieszanina tworząc model masywu podsadzkowego. Całość uzupełniał układ sterowania z tablicą synoptyczną i telewizją przemysłową umożliwiającą ze stanowiska dyspozytorskiego obserwowanie procesu osadzania.

Poświęcam laboratorium tyle miejsca, bo po załatwieniu przez inż. S. za nie „Nagrody Ministra”⁶³, stanowiło ono przez wiele lat przedmiot wyposażenia Instytutu, obligatoryjnie prezentowany wszystkim odwiedzającym Wydział. Jak z perspektywy czasu go oceniam? Ten sam wynik badawczy można było uzyskać w laboratorium ze znacznie skromniejszym „parkiem maszynowym”, ale przypomnijmy, był to okres „wczesnego Gierka”, w którym obowiązywała gigantomania, no i ta nurtująca mnie do dzisiaj kwestia „podwójnej budowy”⁶⁴.

Do czasu budowy instalacji laboratoryjnej prowadziłem klasyczne badania laboratoryjne. Miałem szczęście, bo w związku z załatwieniem przez szefostwo zlecenia na temat (*Ocena możliwości zastosowania odpadów elektrownianych, jako materiałów do podsadzki hydraulicznej*) zatrudnialiśmy również dodatkowych pracowników, „na godziny”. Dla mnie najważniejszym (na całe dalsze życie) był wspomniały przyjaciel, Zbyszek Piotrowski⁶⁵, dr hab. inż., profesor AGH. To on żmudnie

⁶² Po pewnym czasie skojarzyłem, że jeden z prominentnych pracowników Instytutu, niedaleko pod Krakowem budował okazały dom letni. Niczego nie sugeruję, chociaż częste znikanie na dniówkę „technicznych” – przyjezdnych i miejscowych, też mieściły się w nurcie podejrzeń! No i uzasadniały stosowanie w szybie tych desek.

⁶³ Zgodnie z panującymi (wtedy – na ogół) zwyczajami udziałowcami tego typu nagród byli nie koniecznie faktyczni twórcy. Zaczynało się od kierownictwa jednostki, potem ci, co przyczynili się do załatwienia nagrody, a na końcu – twórcy.

⁶⁴ Laboratorium przetrwało do nowego wieku (przez ostatnie 15 lat nieużywane) i zostało przebudowane w trakcie modernizacji bazy laboratoryjnej Wydziału w okresie kadencji dziekana, prof. Jurka Klicha, służąc innym celom.

⁶⁵ Mój równolatek. Poświęciłem mu wspomnienie w 83 numerze Biuletynu AGH (Magazyn Informacyjny Akademii Górniczo-Hutniczej – listopad 2014), biogram – dalej.

ustalał skład podsadzki w wyznaczonych miejscach modelu zrobów. Trzecia część pracy – to badania techniczne. Ponieważ wiadomo, że ów popiół spiekany fluidalnie będzie drogi, podejmuję próbę dla żużła topionego, powstającego w układzie odżużlania w elektrowni. Formą podobny do piasku, „w ciemno” wiadomo, że się będzie nadawał. Ustalam tylko w jakich proporcjach.

Kontynuujemy współpracę z KWK „Jaworzno”. Niestety kopalnia nie posiada instalacji podsadzkowej umożliwiającej dozowanie piasku i odpadu. Zatem ilość odpadu (żużła) w masywie podsadzkowym można będzie ustalić jedynie globalnie. Ale sam fakt jego zastosowania godzien jest starań.

Nie chcę zanudzać szczegółami, nie mniej muszę wspomnieć o wybitnym fizyku, profesorze Kazimierzu Przewłockim⁶⁶, prekursorze zastosowania metod fizyki jądrowej do badań podsadzki. To jego prace naprowadziły mnie na wykonanie pewnych oznaczeń. Nie mogąc pozwolić sobie na zastosowanie metod fizyki jądrowej, gęstość podsadzki określałem poprzez pobieranie próbek i dalsze badania laboratoryjne. Gęstość pozwoliła wnioskować o składzie (zawartości piasku i żużła). W ten sposób stwierdziłem, że w trakcie sedymentacji podsadzka się rozwarstwa, co wpływa na jej „nośność”. Tym samym potwierdziłem szczegółowe dane uzyskane w instalacji laboratoryjnej. Nie udało się określić innego parametru (konwergencji), ale doświadczenie zaprocentowało po latach, kiedy wraz z pierwszym doktorantem (dyrektorem kopalni dr inż. B. Gajem!) konstruowaliśmy program jego badań.

Z końcem 1976 r. badania zakończyliśmy. Pierwszy problem – tytuł! Stworzyliśmy z Szefem kilka i metodą eliminacji stało na *Ustalenie optymalnych parametrów mieszanki dla podsadzki hydraulicznej z wykorzystaniem odpadów elektrownianych*. Umówiony przez Szefa, pojechałem z nim „na konsultacje” na Politechnikę Śląską, do z pewnością najwybitniejszego wtedy, specjalisty od podsadzki – prof. dr. hab. inż. Ryszarda Adamka. Ten pokręcił nosem i powiedział, że nie bardzo widzi sens jego realizacji. Zafascynowany równaniami związanymi z teorią przepływu podsadzki (chyba) nie czuł problemu zagospodarowania odpadów. Do Instytutu wróciłem z nosem na kwintę. Również Szef nie podbudował się moimi opowieściami. Sprawę przesądził autorytet prof. Z. Maciejasza, który zaakceptował temat, więc mógł iść na Radę Wydziału. Szef

⁶⁶ **Prof. dr hab. inż. Kazimierz Przewłocki**, absolwent AGH, z wykształcenia górnik, wieloletni dyrektor Międzyresortowego Instytutu Fizyki i Techniki Jądrowej AGH, specjalista z radiometrii.

przeżywał jej przebieg, a ja czekałem pod drzwiami. Było dobrze, tylko jeden wstrzymujący!

Rada podjęła również decyzję w sprawie egzaminów doktorskich. W tamtych czasach zdawało się dwa, z przedmiotu związanego z tematem i z ekonomii politycznej lub filozofii marksistowskiej. Pierwszy to elementy eksploatacji i mechaniki górotworu u wspomnianego doc. dr inż. Stanisława Kormana⁶⁷, drugi z (...) filozofii marksistowskiej. Oba zasługują na osobne omówienie, z różnych zresztą powodów.

Pierwszy (zawodowy) mógł być z eksploatacji, ale promotor bał się, że egzaminatorem będzie profesor J. Znański (jego promotor), którego jakoś, z niewiadomych powodów się bał. Wybrał więc doc. S. Kormana, z którym spędzał wiele czasu w punktach konsultacyjnych, równolecie, też docent – „swój chłop”. Ja wprawdzie pamiętając egzaminy bałem się go, ale co miałem do gadania. Po uchwale RW poszedłem z Szefem do profesora (jak się do niego mówiło) Kormana „uzgodnić zakres egzaminu”. Podyktował mi trzy problemy, w tym jeden niełatwy (stan naprężeń w ścianie z zawałem stropu). Ryłem podręczniki ucząc się okrutnych równań. Po jakimś czasie egzamin bez dziekana (prof. J. Roszkowski) to znowu spotkanie we trójkę. Profesor zadaje pytanie pierwsze, drugie leci. Wreszcie pada trzecie: „mechanizm tworzenia się zawału”. Pamiętając o zadanym problemie kręcę się wokół naprężeń, podaję równania – profesor kręci nosem i zaczyna się denerwować. Jest źle, kombinuję. Profesor prawie krzyżując woła. „Nie znacie pracy doktorskiej swojego promotora!” Rzutem na taśmę zaczynam opowiadać, jak to w przypadku przekroczenia naprężeń, skała pęka, opada, zmienia układ, w sumie powiększa objętość i tak dalej. Widzę, że mina egzaminatora się rozjaśnia. Okazało się, że wymagał opowieści a nie teorii popartej równaniami. Zdałem z „wynikiem zadowolającym” i wyszedłem.

⁶⁷ O tym jak wyleciałem z egzaminu pisałem. Czas na drugą opowieść. Stasiu Korman (jak go nazywali przyjaciele) był wielkim miłośnikiem piwa. Pijał je przy każdej okazji, a do smakowania napoju zachęcał nawet małego wnuka. Kiedyś, będąc z nim na jakiejś wycieczce za miastem podzielił się z nim porcją złocistego płynu. Pech, na rogatek zatrzymuje go milicja. Coś czując wyciąga balonik (to wtedy najprostszy podręczny probierz trzeźwości). „Obywatelu dmuchajcie” – balonik zmienia kolor! „Piliście!” „Ja skąd, macie fełerny balonik” – odpowiada Stasiu. „Dmuchać w drugi” – też zmienił kolor. Stasiu argumentuje, że cała seria jest pewno fełerna. Dla potwierdzenia proponuje: „dajcie dziecku”. Balonik i tym razem zmienił kolor. Milicjant zdębiał, Stasiu spokojnie wrócił do domu.

Egzaminator z promotorem zostali delektując się kieliszkiem koniaku i (egzaminator) cygarem.

Z „przedmiotem społecznym” było tak. Zostało zwołane zebranie doktorantów, na które przyszedł świeżo upieczony dr filozofii Józef Lipiec⁶⁸ i ogłosił: „KU PZPR organizuje na Uczelni Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu i Leninizmu (WUML). Kto go skończy będzie miał zaliczoną do doktoratu filozofię”. Myślę sobie, skoro do ekonomii politycznej zdawanej u prof. A. Jankowskiej-Kłapkowski⁶⁹ będę musiał chodzić na seminaria i pisać referaty, to „tutaj” (na WUML-u) będzie pewnie łatwiej. I tak zostałem słuchaczem, a potem absolwentem drugich studiów(!) W 1972 r. dostaję indeks, w którym zaliczam przedmioty. Pomijając typowo ideologiczne są i ciekawe: Teoria społeczeństwa, Religioznawstwo, Socjologia nauki, Historia filozofii. Wśród wykładowców oprócz politruków (jak doc. J. Wielgosz) są ciekawi jak np. późniejszy profesor Jan Woleński (do 1981 r. członek PZPR, po oddaniu legitymacji założyciel i działacz Solidarności na UJ). Z tymi studiami wiąże się ciekawe wydarzenie. Zajęcia mamy po południu. Ledwo zdążam na naukę rekolekcyjną (Wielki Tydzień) do kościoła św. Anny. Rekolekcionista – młody biskup Karol Wojtyła. Jakież jest moje zdziwienie, gdy na ambonie przywoływany jest fragment z Marksa, (...) ten sam, jaki słyszałem dopiero co na WUML-u! Oczywiście interpretacja!

„Studia” kończę w 1973 r. Kiedy byłem gotowy do „przepisania” oceny z WUML-u (1977) okazało się, że „dziekan” Lipiec wyjechał robić karierę w Rzeszowie. W KU PZPR dowiaduję się, że „sprawy załatwia doc. Wolański na UJ”. Kontaktuję się z nim i debiuję. „Ja nie obiecywałem, skoro Rada Wydziału wyznaczyła Panu filozofię, tu jest mój podręcznik, proszę się przygotować i przyjść zdawać z promotorem”. Pada jakiś termin, a ja zostałem ukarany za cwaniactwo i zainteresowanie pseudofilozofią, a ściślej ideologią, która była moim przekonaniem przeciwna. Zdałem, ale ile mnie to kosztowało!

Mając zdane egzaminy i wolną głowę mogłem zacząć pisać manuskrypt. Ale jak? Moje doświadczenia w pisaniu opracowań z Szefem opisałem wcześniej.

⁶⁸ Późniejszy profesor, rektor Uniwersytetu Rzeszowskiego, profesor UJ, wybitny działacz PZPR. Zachęcam do przestudiowania internetu.

⁶⁹ Absolwentka AE w Krakowie, z AGH związana od początku pracy. Współtworzy Katedrę Ekonomii na Wydziale Górniczym, później Wydział Nauk Społecznych. Czołowa ideolożka komunizmu. Podobno, na okolicznościowym posiedzeniu Rady Wydziału po śmierci Stalina – płakała.

Tym razem zostałem wpuszczony na głębokie wody („panie Maćku, niech pan przejrzy w bibliotece kilka prac, napisze, a potem podyskutujemy”). I tak się zaczęło. Miałem o tyle łatwiej, że dysponowałem wcześniejszymi opracowaniami („pułkownikami”⁷⁰) oddawanymi zleceniodawcy. Sam je współtworzyłem z Szefem. Za kilka tygodni manuskrypt był gotowy. Promotor (oczywiście) nie przeczytał go sam, musiałem mu czytać, w trakcie czego dyskutowaliśmy (objaśniałem) wątpliwości. Po napisaniu docent wpadł na pomysł, by „pracę unaukować” (jak mawiał). Przypomniał sobie, że w okresie opracowywania problematyki zawałów, za sprawą inż. S. na maszynie cyfrowej („Odra”) badano równania regresji. Wykombinował, aby jeden z parametrów podszadzki (ściślność) zbadać pod kątem zależności od innych. Na szczęście jeszcze w umowie były pieniądze. O pomoc został poproszony dr Paweł Wojda⁷¹. Ile nadziurkował kartek (system wprowadzania danych do „maszyny”) i spędził czasu z „Odrą”, on jeden wie. Na siłę wyszła słabiotka korelacja kilku zmiennych, bez większego sensu fizycznego, ale „naukowość” rozprawy została podniesiona⁷².

Z początkiem 1977 r. manuskrypt pracy (rękopis) jest gotowy. Jeszcze tylko motto z prof. W. Goetla („co przemysł zepsuje...”), spotykane później i u innych, zestawienie literatury, wprowadzenie jej do tekstu⁷³ i koniec. Kolejna sprawa! W dobie przedkomputerowej i przedkserografowej istotną była maszynistka i kreślarka. Szef współpracował z wybitną, pracującą w bibliotece panią Malinowską, polonistką. Ona to męczyła się z topornymi, długimi zdaniami (w jakich lubował się Szef) nadając im kształt nie tylko gramatyczny ale i zrozumiały. Wypisywała tabele, które z uwagą wykreślałem ręcznie. Po mojej (merytorycznej) korekcie, w wyniku czego kilka stron zostało podmienionych, oryginał + 4 kopie były gotowe. Podzieliłem ją na dwie części (tekst z tabelami i zdjęciami,

⁷⁰ „Półkownikami” nazywano opracowania „naukowe”, wykonywane na zlecenie przemysłu w celach typowo zarobkowych, stawiane na półkach, bo praktycznej wartości nie miały.

⁷¹ Późniejszy profesor, dziekan Wydziału Matematyki Stosowanej AGH.

⁷² Być może ówczesne doświadczenia powodują, że na wszelkie modelowanie matematyczne w nauce i dziś patrzę podejrzliwie. Może jestem nieuk, ale zawsze pytam: „czy to, co otrzymałeś nie zależy od tego, co wprowadziłeś i od zastosowanej teorii. Czy nie lepiej tam gdzie się da pomierzyć”? Może przesadzam, ale obserwuję, że wszyscy dziś chcą tylko modelować, do pomiarów, zwłaszcza „in situ” trudno młodego naukowca przekonać.

⁷³ Zapomniana umiejętność zbierania bibliografii. Specjalne karteczki („fiszki”) wypełniane i układane w kolejności alfabetycznej. Kto to dzisiaj robi, Bogu dzięki jest komputer!

w tym kolorowymi instalacji laboratoryjnej) i rysunki (wykonane przez „kreślarza” – Adasia Chłudka). Teraz intrologator, oczywiście znajomy (pan Stanlik), sprawdzony przez Szefa. I wreszcie jest pięknie oprawiona w granatowe płótno ze złotymi literami, „PRACA DOKTORSKA” i moje nazwisko. Po prawie 40 latach oglądam ją z sentymentem i myślę, że nie mam się czego wstydzić, tak co do meritum, jak i edytorstwa⁷⁴.

Kolejny problem – recenzenci. Już wtedy, (choć w znacznie łagodniejszej i dyskretniejszej formie) na ich wybór miał wpływ promotor. Najbardziej kompetentny prof. R. Adamek z Politechniki Śląskiej nie był brany pod uwagę z powodu owych konsultacji, a raczej ich efektów. Szef wymyślił prof. W. Sikorę, wtedy zastępcę do spraw naukowych dyrektora Głównego Instytutu Górnictwa. Wprawdzie jego naukowe zainteresowania to mechanizacja wydobywania, ale walorem decydującym był fakt, że studiował wspólnie z promotorem(!) Uprzedzając nieco muszę podkreślić, że w efekcie okazał się recenzentem kompetentnym (znał się na podsadzce, o czym przekonałem się później) i docieklwym. Z drugim recenzentem („wewnętrznym”) nie było problemów, bo prof. Z. Maciejasz, pomysłodawca tematu, nie miał konkurentów (na marginesie i dla niego podsadzka nie była przedmiotem zainteresowań naukowych). W maju recenzenci zostali formalnie wyznaczeni przez Radę Wydziału.

Po złożeniu zwyczajowych wizyt – wtedy doktorant towarzysząc promotorowi osobiście przekazywał pracę recenzentom – pozostawało jedynie czekać. Na początku września ośmieliłem się spytać prof. Maciejasza, kiedy będzie recenzja i słyszę odpowiedź: „Maciuś, a Sikora ci napisał? Jak ci napisze, to natychmiast dostaniesz też ode mnie”. Tak więc, powtórzę, pozostało czekanie.

Wreszcie pod koniec października telefon z GIG-u: „pan profesor Sikora prosi o odebranie recenzji”. Następnego dnia siadam w pociąg i jadę. Melduję się (to zwrot również górniczy!) u pani sekretarki, anonsuje mnie u profesora. Zostaję zaproszony. Profesor wręcza mi recenzję dość powściągliwie. Mówi, że jest pozytywna, ale specjalnie nie chwali. Ciekawość mnie spala, ale cierpliwie wysłuchuję jego życzeń odnośnie terminu obrony. Wreszcie wychodzę, szybkim krokiem do sąsiedniego korytarza, gdzie otwieram egzemplarz i czytam. To pierwsza recenzja pracy doktorskiej czytana przeze mnie. Nie znam „specyfiki języka” stąd sformułowanie: „pewne niedociągnięcia” brzmi groźnie. Cieszą jednak pochwały („dobra znajomość problematyki”, „doskonale opanowa-

⁷⁴ Co myślę o doktoratach i co dzieje się z nimi dziś, o tym w swoim czasie.

nie warsztatu badawczego”, „umiejętność analizy wyników badań”). Wtedy jeszcze nie wiem, że to sformułowania stanowiące kanon recenzji prawie rutynowo używane przez opiniujących. Z (jednak) zadowoleniem wracam do Krakowa, gdzie czeka Szef. Czyta i też nie kryje zadowolenia.

Następnego dnia udaję się do drugiego recenzenta z wiadomością: „profesor Sikora napisał”. I z radością dowiaduję się, że za kilka dni dostanę. Profesor Maciejasz przynosząc recenzję, prezentuje mi ją osobiście. Jest pozytywna, czytając czuję sympatię, jaką mnie darzy, choć ilość „uwag krytycznych” wydaje mi się znaczna. Słuchając w myślach układam odpowiedzi, ale próbując przejść do nich słyszę: „Maciuś, od tego (odpowiedzi) będzie obrona”. Recenzje te, po latach stanowiąc będą dla mnie wzór jak się ocenia pracę doktorską.

Stanowią one podstawę do przyjęcia przez Radę Wydziału rozprawy i dopuszczenie jej do publicznej obrony. Nasza Rada, już wtedy zrezygnowała z obrony, w której uczestniczyliby wszyscy jej członkowie. Obrona odbywa się przed powołaną przez Radę komisją. Po latach przypominając sobie jej skład widzę wyraźne związki Szefa z wieloma członkami. Jest dość liczna. Przewodniczy – prodziekan doc. Z. Kłeczek, członkami są doc. doc. C. Cyrnek (ekonomika), W. Długosz (przeróbka), K. Drzewiecki (eksploatacja, jedyny znawca podsadzki, promotor magisterium), S. Korman (geomechanika, egzaminator), Z. Onderka (technika strzelnicza), W. Pilch (przeróbka), Promotor, prof. S. Takuski (eksploatacja rud, budownictwo) oraz recenzenci. Ówczesna ustawa wymagała by termin obrony ogłaszać w gazecie. Moje ukazało się „Dzienniku Polskim” z 27 grudnia 1977 r. Zapowiadało obronę 11 stycznia 1978 r., „w samo południe” w auli.

Przygotowanie do obrony to napisanie i wykucie na pamięć autoreferatu. Dzisiejszy komputer (PowerPoint) zastępowały przeźrocza i projektor. Oprócz strony tytułowej zaprezentowałem tezę, wykresy, rysunki i zdjęcia. Nie jestem pewien, ale chyba po raz pierwszy w dziejach Wydziału (tak bardzo chciałbym przejść do historii – proszę o wzięcie tego faktu pod uwagę!) na obronie pojawiły się monitory, na których wyświetlałem strumień wpływającej do modelu zrobów podsadzki⁷⁵. Oczywiście, przygotowałem też odpowiedzi na uwagi recenzentów. Wydrukowałem zaproszenia, które „osobiście” roznoszę członkom Rady i do najważniejszych (doc. doc. Ropska, Kałwa). Wysłałem również „do

⁷⁵ Życzliwy kolega skomentował: „Na Maćka obronie cały czas lała się woda” – znający tamtejszy żargon wie, że tak oceniano się wypowiediany potok słów, bez większej wartości merytorycznej.

przemysłu”, do tych, którzy mieli udział w budowie laboratorium, prowadzeniu badań i ich finansowaniu.

Nadeszła owa środa. Aula przygotowana dzień wcześniej (próba generalna z Szefem i kolegami), wszystko ma działać. Witanie gości (z rodziny żona – Jadwiga, brat – Andrzej, teść – Stanisław Borkacki, mama zostaje w domu – bo „bym się trzęsła z nerwów”). Z wygraniem hejnału mariackiego wreszcie początek. Prezentacja – poszła – czytanie recenzji i zadawanie pytań. „Ciekawymi” byli: prof. prof. Żabicki, Takuski i dr A. Ostrowski (starszy kolega z Instytutu, mechanik), Z. Kwiecień (starszy kolega z Instytutu, specjalista od bhp). Odpowiedzi, te przygotowane dla recenzentów szły gładko. Odpowiedzi „na pytania z sali” – również, wszyscy pytający formułowali je z życzliwością⁷⁶. Problem pojawił się, kiedy prowadzący zapytał czy pytający są usatysfakcjonowani odpowiedziami. Okazało się, że recenzent – prof. W. Sikora, nie. A było tak, jedna z jego uwag dotyczyła badania procesu sedymentacji podsadzki. Uważał, że z „materiału badawczego” powinienem wyciągnąć więcej i bardziej szczegółowych danych. Jak każdy doktorant ustosunkowując się do takiej uwagi podziękowałem za sugestię i złożyłem deklarację, że „sugestie pana profesora wezmę pod uwagę w dalszych swoich badaniach”. I tu pudło, okazało się, że recenzenta ogólniki nie satysfakcjonują. Oczekiwał konkretów pytając: „jak pan zamierza to zrobić”? A u mnie „czarna dziura”. Tłumaczę się, że nie jestem specjalistą z zakresu sedymentacji, że zagęszczę punkty pomiarowe, że spróbuję ocenić wpływ wielkości różnicy w gęstości dwóch sedymentujących komponentów na stopień ich rozdzielenia. Na szczęście dalej profesor zachował się jak „normalny” recenzent i nie dopytywał. Z miny widziałem, że moja odpowiedź satysfakcjonuje go „średnio”. Do dyskusji, w kwestii radioaktywności odpadów włączył się doc. Kałwa. Podkreślił zasługi swojego zespołu i dał mi spokój. Z pomocą (gorliwą, choć nie bardzo uzasadnioną rozwojem wypadków) ruszył profesor Żabicki podkreślając trafność tematu. Dało mi to okazję do pochwalenia się, że znam maszynopis prof. W. Budryka dotyczący zastosowania do podsadzki żużli hutniczych. I na tym się skończyło.

Komisja udała się na tajne obrady (ich przebieg znam z jawnego protokołu). Byłem tam chwalony, a w konkluzji, po jednogłośnym przyjęciu wniosku

⁷⁶ Czas powiedzieć, że wtedy było nie do pomyślenia, aby doktorant „uzgadniał je” z członkami rady. Być może ten dzisiejszy „śmieć obyczajowy” wtedy pączkował, ale nic o tym nie wiedziałem. Sądzę, również, że promotorzy nie zniżali się do takich metod.

do Rady Wydziału o nadanie mi stopnia, prof. Maciejasz zawniósł o wyróżnienie pracy. I ten wniosek został przyjęty. Huraaaa!

Pan przewodniczący ogłosił wynik. Ze ściśniętymi zębami zacząłem podziękowania. Przed oczyma stanęło mi moje wcześniejsze życie i nieżyjący (od dwóch lat) tato, dla którego byłby to najszczęśliwszy dzień życia. Oszołomiony przyjmuję gratulacje i kwiaty.

Nieodłączny (dziś, wtedy niekoniecznie) element obrony – podjęcie oficjeli obiadem. W tamtych latach jakże inna sytuacja panowała w „zorganizowanej” gastronomii. Dosłownie kilka restauracji na przyzwoitym poziomie, ale i ceny, zwłaszcza alkoholu. Szef – *arbitr elegantiarum*⁷⁷ – przemyślał, jak tu zrobić bym w porządnym lokalu podołał finansowo, a równocześnie by kogoś (pominięciem) nie obrazić. Padło na Hotel Cracovia, a to za sprawą znajomego, który pełnił tam ważną funkcję i obiecał załatwić „wejście z własnym alkoholem”, najdroższym daniem w porządnym restauracjach. Z obliczeń wyszło, że „muszą” być: promotor, obaj recenzenci, przewodniczący komisji, profesor Takuski (zastępca dyrektora Instytutu), docent Kałwa, mój brat i ja. Zrezygnowała żona, opuściliśmy zwykłych członków komisji (dziś to cała komisja, rodzina i przyjaciele, ale są tanie lokale; myślę, że stosując odpowiednie przeliczniki można by wykazać, że koszt podjęcia jednej osoby w „markowym lokalu” był kilkakrotnie większy niż dziś). Składających gratulacje, znajdujących się na liście, zapraszam. Szef pilnuje by czemuś nie uchybić. Okazuje się, że profesor Maciejasz jest „połamany” (korzonki) i wraca do domu. Na wolne miejsce ła-puje się teść. Pełny obiad (menu z karty konsultuje Szef), lampka szampana, do obiadu hotelowe wino, do kawy mój koniak. Wracam do domu i postanawiam z żoną złożyć wizytę profesorostwu Maciejaszom. Zabieramy bukiet kwiatów, butelkę koniaku i stawiamy się pod drzwiami. Otwiera pani profesorowa, przedstawiamy się i pytamy, czy możemy „na minutkę” złożyć uszanowanie profesorowi i podziękować. Z pokoju dochodzi głos: „chodź Maciuś, tak się cieszę i przyznam, że mówiłem do Krystyny (żona), popatrz, Maciek dostał tyle kwiatów to może będzie o mnie pamiętał i wpadnie. Cieszę się, chodź”. Wchodzimy, siadamy, pani profesorowa proponuje herbatę. Wymawiamy się, ale profe-

⁷⁷ Miał i taki przydomek. Wywodząc się ze starej mieszczańskiej rodziny (chyba właśnie restauratorów) stanowił autorytet w zachowaniu w porządnym lokalu, w ogóle był wyrocznią *savuar vivre*.

sor już zdążył otworzyć butelkę. Pojawiają się kieliszki. Ja wygłaszam mowę dziękczynną, zdaję sprawozdanie z części nieoficjalnej. Widzę, że korzonki nie stanowią przeszkody w konsumpcji trunku, więc porozumiawszy się z żoną oczami, przepraszam – „w domu czekają goście – rodzina” – uciekamy. Jeszcze w prezenzie od mamy dostaję zegarek, brat daje wieczne pióro z dedykacją („dla napisania habilitacji”) i tak kończy się ten ważny dzień.

Rada Wydziału na posiedzeniu 8 lutego nadaje mi stopień doktora nauk technicznych, co potwierdza dyplom formatu A-3 jaki otrzymuję (bez promocji) kilka miesięcy później. Niezwykle ważny etap w życiu za mną. Wyróżnienie pracy daje mi tytuł do otrzymania nagrody rektora i awansowanie na stanowisko adiunkta (1 marca 1978 r.). Nareszcie moja pensja przekracza 35 \$, tj. 3700 zł.

Piszę o tym prawie 40 lat później i siłą rzeczy porównuję z doktoratami współczesnymi. W tym czasie, ileś doktoratów wysłuchanych, 10 poprowadzonych, kilkanaście zrecenzowanych, to wywołuje refleksje. Niestety poziom dzisiejszych prac jest (generalnie) niższy, bywa, że dramatycznie⁷⁸. Powodów wiele. Najpierw, niższy poziom szkoły, skutkujący niższym poziomem studiów, zatem kandydat jest (nawet) zdecydowanie gorzej wykształconym, w tym w umiejętności myślenia i kojarzenia. Promotorzy, których kariera uwarunkowana jest ilością wypromowanych doktorów szybką ich produkcją, często obniżając poziom, a „ilość (wbrew temu, co pisał pewien sławny w minionym okresie klasyk) nie przechodzi w jakość”, a raczej przechodzi, w gorszą! (uwaga nie dotyczy wybitnych promotorów, dla których promowanie kilku doktorów w roku nie stanowi problemu). Rady Wydziałów „grzecznościowo” akceptują tematy banalne (piszę oczywiście o mojej dyscyplinie naukowej), lekko poszerzone projekty inżynierskie (sprzed lat)⁷⁹. Wspominałem o tendencji do badań typu – „modelowań numerycznych”. Często prowadzący je (promotor i doktorant) nie są świadomi, że mają one tylko wtedy sens, jeśli oparte są o dane pochodzące z pomiarów, lub są świadomi, ale „idą na łatwiznę”. Takie prace powstają bly-

⁷⁸ Kuriozum, na jednym z ostatnich, który dotyczył wpływu pewnej działalności na środowisko na pytanie o hałas usłyszałem: „a tak, był badany, pytałem ludzi czy im przeszkadza”! *No comment!*

⁷⁹ Pisząc te słowa czytam wywiad z profesorem Michałem Hellerem. Stwierdza w nim: „Nie ma porównania między np. przedwojenną maturą, a obecną. Tamtejsza duża matura była jak dzisiejszy doktorat”.

skawicznie, bo do „modelowania” wynajmuje się fachowców – „numeryków”. Recenzenci „grzecznościowi”, z częstą wzajemną wymianą usług. Ja ci zrecenzowałem, ty zrecenzuj mnie i *da capo al fine* – łańcuszki dobroczynności działają. Komisja, przed którą odbywa się obrona, składa się ze starannie dobranych osób. Podobnie jak w przypadku doboru recenzentów, którzy proponowani są dziekanowi przez promotora (na kartce wykaz – to niby – propozycje, bo pan dziekan może nie do końca się orientuje, kto się na czym zna). I brak dyskusji na i po obronie (niejawne posiedzenie komisji), raczej wymiana komplementów, a potem parodystyczne „głosowanie tajne komisji”. Parodystyczne, bo wszyscy siedzą przy stole, (niby) dyskutują, piją kawę, albo coś jeszcze. Przewodniczący zarządza głosowanie. Siedzący obok promotor „czujnie spogląda na sąsiadów by się któryś nie wyłamał”. I trzeba mieć kręgosłup, by mieć własny pogląd, a tu choroba cywilizacji sprawia, że kręgosłupy na ogół mamy zdeformowane.

Nie uogólniam a (pewno nawet celowo) przejawiam. Czytam dokumentację pracy doktorskiej profesora Budryka⁸⁰. Jak daleko odeszliśmy od tamtej metodyki promowania. Czy w dobrą stronę? I jeszcze raz, nie uogólniam! Opieram się o przykłady z najbliższego otoczenia, te jaskrawe. Z fascynacją w „przeglądzie prasy”⁸¹ (o AGH) czytam przykłady totalnie przeczące powyższym dywagacjom. Fantastyczni młodzi ludzie o wspaniałych osiągnięciach. Co jest regułą, co wyjątkiem, a co nowotworem wyniszczającym niektóre środowiska? A za tym na ogół stoi problemem pieniędzy. Na wszystkim, a więc i na „załatwieniu” magicznych literek przed nazwiskiem można zarobić⁸². Jak nie w gotówce to w postaci innych (ale w efekcie wymiernych) gratyfikacji. Do tematu zdobywania stopni z pewnością powrócę, bo ów rak (pozamerytorycznych powodów robienia kariery naukowej) ma wymiar szerszy. Choćby nie poruszyłem jeszcze nepotyzmu, a przecież tak się składa, że dzieci profesorskie są na ogół „wybitnie uzdolnione” w dyscyplinach rodzicielskich (dając dowód słuszności powiedzenia o odległości upadku jabłka od jabłoni) i to nie tylko w medycynie. Filozof (z wykształcenia) wyhabilitowany w dyscyplinie inżynierskiej, w której tatuś jest członkiem PAN-u! Ten musi być zdolny, a miał

⁸⁰ Patrz przyp. 3.

⁸¹ Rewelacyjny pomysł. Członkowie senatu dostają co tydzień pocztą mailową wycinki prasowe, co i kto o nas (AGH) pisał.

⁸² *Pro domo sua*. Sam wypromowałem trzech ludzi z przemysłu. Szerzej ten temat rozwinę później.

pecha w młodości rozminąć się z powołaniem, zamiast do techniki do filozofii,
a może papcio wtedy był malutki?

Może już dosyć, może zbyt daleko odszedłem od konwencji wspomnień.
Ale nie obiecuję, że nie będę do wyżej poruszonych problemów powracał.

Moi profesorowie

Opisawszy drogę, jaka doprowadziła mnie do stopnia doktora, czas na poświęcenie więcej miejsca tym, którzy mnie po niej prowadzili. Z latami jaśniej widać ich rolę. Niektórzy z nich mieli ambicję tworzenia własnych „szkół”⁸³, innym wystarczyło to, że kogoś tam promowali, z kimś uczestniczyli we wspólnych badaniach, z kimś po latach wchodzili w więzy przyjaźni. O niektórych z nich wspominałem, ale często mimochodem, a przecież zasługują na szersze notki. Zaczynam od Szefa.

Doc. dr inż. Stanisław Ropski – „Krakus”, „Szeł”, „Paragraf” – to (życzliwe) określenia, jakimi obdarzali go koledzy i współpracownicy. Zacznijmy od „Krakusa”. Urodził się 11 stycznia (zbieg okoliczności, pierwszy jego doktor – ja – w tym dniu broniłem) 1932 r. w Krakowie. Podobno (?) w rodzinie restauratorów z ul. Zwierzynieckiej, co skutkowało kolejnym „przydomkiem” – *arbiter elegantiarum*. W okresie okupacji uczestniczy w tajnym nauczaniu. W wieku 18 lat zdaje maturę w słynnym wtedy „Nowodworku”. Co skłoniło go do wyboru zawodu górnika, nie wiadomo. Być może koledzy z liceum (prof. Mieczysław Jawień), a może fakt, że uzdolniony w naukach ścisłych miał ograniczony wybór (AGH – jedyna uczelnia techniczna, górnictwo jedyna szansa pracy w pobliżu – Kamieniołom „Zakrzówek”, KS „Wieliczka”). Kończąc studia inżynierskie – górnictwo rud (u prof. W. Budryka) dostaje propozycję asystentury, z której skrzętnie korzysta. Na studiach magisterskich wiąże się z prof. Józefem Znańskim, późniejszym promotorem pracy doktorskiej. Po ukończeniu (z wyróżnieniem) studiów magisterskich podejmuje badania w dwóch kierunkach. Pierwszy,

⁸³ I znowu z latami widać „ciągłość pokoleń”. Widzę, że szkoły tworzą ci, których mistrzowie mogli się poszczycić takimi.

u prof. J. Znańskiego związany z mechanizmem tworzenia się planowych zawałów (temat późniejszej dysertacji), drugi, u prof. F. Zalewskiego, związany z ratowaniem miast zagrożonych katastrofami budowlanymi spowodowanymi deformacjami podłoża. Niezwykle interesujące są jego badania prowadzone nad mechanizmem zawałów. Korzystając z faktu, że kolega ze studiów prowadzi eksploatację w KWK „Wesoła”⁸⁴ podejmuje unikalne badania techniczne. Z chodnika wykonanego celowo nad przyszłymi zrobami ściany, po jego wystąpieniu, określa zasięg zawału. Weryfikuje poglądy o zasięgu zawału, sformułowane przez prof. W. Budryka. Pracę z wyróżnieniem broni w 1964 r. Dostaje za nią nagrodę im. W. Budryka, najbardziej prestiżową nagrodę środowiska. Wyniki publikuje w wiodących pismach górniczych, a zamieszczony rysunek „stref zawału” jest do dzisiaj kanonem objaśniającym zjawiska zachodzące w zrobach. Po kilku latach, kiedy doktorant prof. Znańskiego z Indii zapoznaje się z nimi, wyniki pojawiają się w prestiżowym czasopiśmie zagranicznym.

Po doktoracie poświęca się pracy w Związku Nauczycielstwa Polskiego. Jest również członkiem Stronnictwa Demokratycznego⁸⁵. Czy wynika to z zamiłowań do pracy społecznej, czy wiąże się z szansą na wcześniejsze samodzielne mieszkanie, trudno dziś dociec. Będąc jego wychowankiem muszę jednak ocenić to zaangażowanie, jako błąd życiowy. Praca w ZNP (dochodzi do stanowiska wiceprzewodniczącego Rady Zakładowej) tak go pochłania, że pasja badawcza zanika. Nie można za takowe uznać prac nad ratowaniem miast. Jak wynika z opracowania członków zespołu⁸⁶ oraz mego osobistego oglądu⁸⁷ były to głównie oceny eksperckie.

⁸⁴ Później KWK „Lenin”, obecnie znowu KWK „Wesoła” i KWK „Mysłowice-Wesoła”.

⁸⁵ Wielu z pracowników naukowych AGH w latach 60. ubiegłego wieku wstępowało do tej przybudówki PZPR. Na jej czele stał prof. Jan Janowski (metalurg – późniejszy rektor AGH) trudno dociec na ile było to „ucieczką od PZPR” a na ile były przyczyny inne, bo przecież nie ideowe.

⁸⁶ Strzelecki Z. i in.: *Miasta, które mogły zginąć*. Wyd. Omega, Warszawa 1976.

⁸⁷ Profesor Zbigniew Strzelecki, szef zespołu (w jego skład wchodziłi inni pracownicy Wydziału: docenci: Drzewiecki K., Matysik M., Ślebodziński J. oraz doktorzy: Jura Z., Jużkiewicz S., Kohutek Z.) wymagał traktowania go z należąną kierownikowi atencją. Przejawiało się to np. tym, że tylko jemu w hotelu przysługiwał pojedynczy pokój. Pilnie strzegł też, aby do zespołu nie dołączać młodych, zwłaszcza nie jego asystentów. Stąd i ja dostąpiłem tylko zaszczytu „uświetniania” uroczystości organizowanych w ratowanych miastach, towarzysząc w mundurze górniczym prof. Witoldowi Żabickiemu prowadzącemu uroczystości. O pracy zespołu powstało kilka książek, najciekawsza: Kohutek Z., Zięba Z.: *Tajemnice jarosławskich podziemi*. Jarosław 2014.

Po wydarzeniach 1968 r., których swój ogląd przestawiłem opisując studia, Szefer (chyba z racji zaangażowania w działalność związkową) zostaje zaliczony do grona zasługujących na uzyskanie etatu docenta „marcowego” (bez habilitacji)⁸⁸. Równocześnie w nowej, instytutowej strukturze zostaje powołany na kierownika Zakładu Eksploatacji Węgla. Organizuje jego pracę, stara się włączyć w tematykę niezamierzonych zawałów. W żadnym z tematów nie zostaje jednak liderem. Dopiero problem zagospodarowania odpadów energetycznych i próba zaadaptowania w polskich kopalniach węgla technologii pasów anhydrotowych stawia przed nim nowe wyzwania. Natychmiast jednak ustanawia liderów tematów⁸⁹, na których *de facto* spoczywa odpowiedzialność za ich realizację. Odbywają się wprawdzie spotkania, coś w charakterze seminariów, ale służą one bardziej dzieleniu prac niż omawianiu ich koncepcji. Na Szefera zawsze można liczyć, gdy trzeba jechać do przemysłu i coś załatwić. Wtedy okazuje się, że ma wielu wpływowych kolegów i (z czasem) wychowanków.

Oprócz doktoratu swojego, przygotowuje drugi, Jacka Postawy „z pasów wzdłuż wyrobiska ścianowego”. Ten jednak mając gotowe papiery do wszczęcia przewodu „wycina numer” – jedyny znany mi z tej serii. A było to tak. Jeden z kolegów⁹⁰ wyjeżdża na staż za granicę, chyba do RFN-u. Wracając przywozi pomysł na wykorzystanie do zwiększenia efektów wybuchu tzw. wkładek kumulacyjnych. „Napala się” na niego Jacek (bo są szanse na duże pieniądze z patentu!) i po cichu, w tajemnicy przed Szeferem podejmuje zakulisowe rozmowy z prof. Z. Maciejaszem. Ten, będąc w okresie braku asystenta akceptuje pomysł Jacka. Udając, że nie wie o wcześniejszych jego zobowiązaniach podpisuje stosowne papiery konieczne do otwarcia przewodu. Jakież jest zdziwienie docenta, gdy na posiedzeniu Rady dziekan, w punkcie „wszczęcie przewodu...” odczytuje inny temat i innego promotora. Po posiedzeniu wraca do pokoju błady

⁸⁸ Na Wydziale było ich kilku: Drzewiecki K., Zacharzewski J., Pilch W., Stachurski J. – z czasem habilitacje uzyskają: Pilch i Stachurski.

⁸⁹ W problemie odpadów piszący, w tematyce pasów Jacek Postawa (późniejszy doktor z innej tematyki).

⁹⁰ **Dr inż. Włodzimierz Rymon-Lipiński**, urodził się 1943 r. Absolwent AGH (1968), doktorant prof. T. Ryncarza (1973). W drugiej połowie lat 70. ubiegłego wieku wyjeżdża na staż do RFN-u. W roku 1987 emigruje do Południowej Afryki, gdzie pracuje w South African National Institute of Rock Engineering. W latach 90. minionego wieku zostaje wysokim urzędnikiem stojącym na czele odpowiednika naszego WUG-u.

i nerwowo sięga po carmena. Prosi mnie bym zawołał Jacka. Ten (to dzisiejszy język) „różnie głupa” udając, że nieporozumienie wyniknęło z faktu, że informacje Szefowi miał przekazać profesor (czego oczywiście Szef by nigdy nie sprawdził). Charakterystyczna cecha Szefa, nie mścił się (choć przecież mógł) i z czasem nad nieeleganckimi zachowaniami podwładnych przechodził do porządku dziennego. Tak było i ty razem.

Drugim, tym razem udanym doktorem był wspomniany wcześniej Tadek Rembielak. Za namową dr inż. Michała Stopyry, (który wcześniej zrobił doktorat u prof. J. Znańskiego z tej tematyki) zajął się zaadaptowaną przez Michała metodą do badania rozwarstwień (szczelinowatości) skał. Wykorzystał ją do badania rozwarstwień skał w ociosie chodnika przed czołem ściany. I w tej tematyce Szef nie dowierzając sobie wysyłał Tadka na konsultacje do prof. Z. Kłeczka, który potem został recenzentem. Tym razem, moim zdaniem, praca nie została w pełni skonsumowana naukowo. Wyniki, można było wykorzystać do próby wykazania, że zmiana szczelinowatości skał przed frontem ściany ma ścisły związek z teoretycznie wywiedzioną, budrykowską falą ciśnienia.

Szef miał również istotny wkład w doktoracie dr inż. Jana Góreckiego⁹¹, który od lat pisał u (wtedy emerytowanego) prof. J. Znańskiego. Zmusił go do cotygodniowych spowiedzi z brudnopisem, co w efekcie odniosło skutek. Jasiu został doktorem.

Skoro o spotkaniach, do historii przeszły cotygodniowe, protokołowane (zeszyty odziedziczyłem i mam do dziś) zebrania Zakładu z trzema nieśmiertelnymi punktami: 1 – dydaktyka; 2 – prace naukowe; 3 – sprawy organizacyjne i wolne wnioski. Szef referował co tam ustalono wyżej (a od 1979 r. zostaje zastępcą dyrektora Instytutu ds. dydaktyki) i spowiadał nas z realizacji ubiegłotygodniowych poleceń. Z upodobaniem pytał też o „stan zaawansowania pracy doktorskiej/habilitacyjnej”. Byli tacy, którzy „poziom zaawansowania” podawali stały albo wędrował on góra, dół – bez komentarza! Lubował się też (chyba wyedukowany w miastach) w konstruowaniu różnych planów i programów. Cieszył się, gdy można było zastosować tabelkę, w której graficznym

⁹¹ Wspominany wcześniej był pracownik kopalń rud uranowych. Pisał pracę „n” lat, tak, że wyrotowany musiał przejść na etat techniczny. Jej podstawę stanowiły badania techniczne w ścianie urabianej kombajnem wycinającym. Temat, w połowie lat 70. ubiegłego wieku się zdezaktualizował.

wykonaniu (co ciągle podkreślam) był niedoścignionym mistrzem. Wszystkim owym zebraniom, spotkaniom, towarzyszyła kawa „parzona sypana”, którą miał (natomiast notorycznie nie miał cukru) i dym papierosowy – paliło się wszędzie (no nie w sali wykładowej) legalnie.

Z Szefem (i Jackiem Postawą) po raz drugi wyjechałem za granicę⁹², tak jak i za pierwszym razem do Ostrawy. Wyjazd finansowany z umowy, Dotyczył wygłoszenia referatu na konferencji. W Ostrawie był socjalistyczny specjalista z zakresu podsadzki, prof. Ludomir Siška. Był tak wielki, że na konsultacje poświęcił nam tylko przysłowiową chwilkę, ale za to dał swoją książkę (o podsadźce) i oddał w ręce inż. Zdenka Swircziyny..., który okazał się być niezwykle rozrywkowym („damy sobie po decy”?). To od niego przejąłem podstawową zasadę pijaka: można pić wszystko, byle stopniować od piwa do gorzały. Mieszanie powoduje totalnego kaca!⁹³ Sprawdziłem to (niestety) nie jeden raz. Referat wygłosiłem po polsku – pierwszy opublikowany referat w obcym języku, wstąpiliśmy do ichniego GIG-u i trzeba było wracać. Okazało się, że Szef „załatwił sobie” opracowanie recenzji czechosłowackiego doktoratu. Kilka tygodni później przyjechał Zdenek (i znowu trzeba było dawać „po decy”), przywiózł pracę i gotową recenzję po czesku. W tym Szef ode mnie był lepszy, nigdy nie pisałem recenzji za granicą, choć recenzowałem pracę obywatela RPA, bronioną w Politechnice Śląskiej.

Trudno pisać o Szefie nie wspominając jego miłości do motoryzacji. Przed „moimi czasami” zaczynał motocyklem (Junak), potem już samochody: Mikrus, Syrenka i „n” Polskich Fiatów – białych, by nie wpadały w oko, kiedy pojawiał się nowy. Talony (przypominam, takie były czasy) organizowały miasta lub kopalnie. Raz z przyjacielem Zbyszkiem Piotrowskim (w latach 80. minionego wieku), dostarczając jednemu z wiceministrów tantiemy z patentu, w którym był udziałowcem⁹⁴ wpadliśmy na pomysł i mówimy: „Szefie poprośmy ministra X o talon”, usłyszeliśmy: „rozmawiałem z nim i mówił, że nie ma”. Za jakiś czas okazało się, biały Polski Fiat miał inne numery rejestracyjne. Składając

⁹² Pierwszy wyjazd, do braci z Ostrawy zorganizowało Koło Młodych Pracowników Nauki.

⁹³ Ważniejszą wiedzę o alkoholu zyskałem po latach oglądając film: *Mój rower* (Piotra Trzaskalskiego), w którym Michał Urbaniak, grający dziadka alkoholika, na pytanie wnuka: „dziadku, czy to prawda, że alkohol jest dobry” odpowiada: „wnuczku, każdy alkohol jest bardzo dobry z wyjątkiem denaturatu, który jest tylko dobry”!

⁹⁴ O współpracy nauki z przemysłem piszę dalej.

kolejną wizytę ministrowi zagadujemy sekretarkę w sprawie talonów i usłyszeliśmy: „szkoda, że panowie nie powiedzieli wcześniej, wtedy kiedy pan docent napisał podanie, dziś już nie mamy”. I znowu komentarz – takie postępowanie nie wynikało z wredności, chciał oszczędzić koledze – ministrowi problemu by nie musiał załatwiać trzech talonów (a ten miał ich jak ...).

Po zrobieniu doktoratu, niepokorny, zacząłem się Szefowi stawiać. Dotyczyło to głównie publikowania. Kiedyś, kiedy (dopisany na 3 miejscu, zresztą zgodnie z kolejnością alfabetyczną) Szef przez swego znajomego – naczelnego redaktora pisma – zmienił kolejność autorów, stawiając siebie na pierwszym miejscu (argument: najpierw docent, potem doktor, na końcu magister!), nie wytrzymałem. „Panie docencie, jak pan będzie składał habilitację, w publikacji będzie pan wiodący, jak ja, będę posiłkowym. A jaka jest prawda” – wypaliłem. Szef i tym razem nie wyciągnął konsekwencji, ale miałem spokój. Przyjacielskie stosunki wróciły po kilku dniach, ale była to ostatnia wspólna publikacja.

Raz tylko wyciągnął konsekwencje. Wspominałem, że uzyskując zlecenie popiołowe przyjęliśmy dwóch pracowników technicznych. Oprócz prac w instytucie świadczyli mu inne usługi. Podczas jednego z urlopów (a wszystkie spędzał w Sarbinowie) pilnowali mu budowy dachy. Siłą rzeczy ich zaangażowanie w prace zleczone realizowane w laboratorium spadło. Po powrocie Szefa odbywało się rozliczanie godzin zleconych. Na pytanie, co ci panowie robili, ile ze zlecenia trzeba im wypłacić powiedziałem; „nic, cały miesiąc byli zajęci chyba innymi sprawami, w laboratorium nie bywali”. Zastosował się do tego werdyktu (rekompensując im w następnych miesiącach), ale podburzony, jak przyszło do Uczelni następne zlecenie wykrztusił: „nie mam dla was pracy w zleconych, proszę sobie gdzieś szukać⁹⁵”. Ale i tym razem po pewnym czasie wszystko wróciło do normy.

Druga, niezwykle „nietykowa” dla tamtych czasów sytuacja. Wspominałem o pani dr inż. S. Jelonkiewicz-Babiarz. Kiedyś przyjechał do niej kolega ze studiów, wtedy dyrektor jednego ze zjednoczeń. Poprosiła nas do siebie informując, że „pan dyrektor chce zlecić temat z zakresu likwidacji płytkich zrobów”. Doświadczeni, oczywiście wiedzieliśmy, że kolega naszymi rękami chce finansowo wspomóc koleżankę. Spytałem: „kto ma być w zespole”? „Stasia za-

⁹⁵ Z Jackiem Postawą, (o którym pisałem) i Markiem Dydeckim tworzyliśmy „trójkę badawczą” – coś na kształt komunistycznych trójek murarskich. O Marku napiszę później.

decyduje” – odpowiedział. Oczywiście musieli być obaj Szefowie, kierownikiem pracy obraliśmy prof. Z. Maciejusza. Mając rozwiązany temat zespołu musieliśmy się zmierzyć z problemem poważniejszym. Gdzie zlecenie ulokować. Przypominam, końcówka lat 70. ubiegłego wieku, to obligatoryjny monopol Uczelni⁹⁶. Ponieważ tzw. „gospodarstwa pomocnicze” w Uczelni mieliśmy pełne, zaczęło się poszukiwanie innych możliwości. Podczas jednej z kolejnych „libacji” organizowanych przez „złego ducha”, od profesora S. Takuskiego dowiedzieliśmy się, że istnieje coś, co się nazywa Polskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk o Ziemi⁹⁷. Po szczegółowych rozmowach okazało się (hura!), że towarzystwo przyjmie zlecenie, a my (zespół) dostaniemy umowy indywidualne na jego realizację. Robota pali nam się w rękach. Opracowanie gotowe, nadchodzi najważniejszy moment⁹⁸ podziału pieniędzy. Idę do prof. Zdzisława – kierownika – na uzgodnienia. Bez mrugnięcia okiem mówi: „no Maciuś, Stasia tyle samo co ja”. Tym samym wiem, że dwie największe kwoty są rozdysponowane. Ośmielałem się powiedzieć: „a dalej, bo doc. Ropski w zasadzie nie był angażowany”. I pierwszy raz została w mej karierze złamana żelazna zasada⁹⁹. Usłyszałem: „Maciuś, jak tak to resztę podzielcie między siebie, Staszewski (docentowi) dajcie połowę z tego co wypadnie na was”. Po raz pierwszy w życiu zarobiłem znaczącą kwotę, ponad czterokrotną miesięczną pensję. Szef na pewno poznał podział kasy, ale nigdy o tym nie wspominał. Wyznawał (w takich przypadkach) zasadę, że dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach, oni je mają. I faktycznie (chyba) je miał.

Szef był wspaniałym dydaktykiem. Wyżywał się w niej. Korzystał z własnoręcznie wykonanych konspektów, ale myślę bardziej dla zachowania kolejności i porządku. Miały również wpływ na przemyślane rysunki, które kopiował. Wychowankowie wspominają (-li) go ciepło.

⁹⁶ Przypominam – można zarobić 75% pensji, 100% za zgodą rektora.

⁹⁷ To wielce zasłużone stowarzyszenie użyteczności publicznej, w świetle tamtych przepisów, mogło prowadzić działalność gospodarczą, z której zyski wykorzystywano na cele statutowe.

⁹⁸ Dygresja z innej parafii. Zupełnie nie wiem dlaczego zamiast „chwila” napisałem „Moment”. Za potoczne używanie tego słowa mało nie wyleciałem z egzaminu z mechaniki u wspomnianego doc. S. Kormana. Moment – to w mechanice – „iloczyn wektorowy siła razy ramię”. Od tamtej chwili pamiętam o tym i staram się stosować prawidłowo.

⁹⁹ Sprowadzająca się do prostej zależności, honoraria ze zleconych są wprost proporcjonalne do stanowisk!

Niezwykle ważną dla mnie osobą, o czym wspominałem pisząc o doktoracie, była również żona Szefa, Halina Ropska¹⁰⁰. Służyła mi też konsultacją w trakcie późniejszych badań. To ona poznała nas z inż. J. Kmiecikiem, który „przywiózł” najważniejszy dla mnie temat zawieszin¹⁰¹. Ona również, była „ostoją” dla męża, w tym naukową.

Nowe czasy, jakie przyszyły po 1989 r., podcięły Szefa. Jako docent bez habilitacji został pozbawiony prawa do głosowania na posiedzeniach Rady Wydziału. Robił dobrą minę do złej gry, uczestniczył w moim kolokwium habilitacyjnym (o czym w stosownym czasie) doczekał do prawa do emerytury i opuścił nas. Nie pojawiał się w Uczelni, za to chętnie gościł nas u siebie w domu, zwyczajowo na Stanisława. Siłą rzeczy jednak kontakty się zminimalizowały. Za swe zasługi był nagradzany – Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz innymi medalami. Nie było ich jednak tak wiele jak mógł sobie załatwić. Zmarł w 2009 r. i został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Kolejną osobą, której tak wiele zawdzięczam był **prof. dr inż. Zdzisław Maciejasz**. Urodził się 10 lutego 1922 r., w podkrakowskiej Woli Duchackiej w rodzinie podoficera WP. Tam kończy szkołę powszechną (5 klas). Do gimnazjum (im. T. Kościuszki) i liceum (A. Witkowskiego) uczęszcza w Krakowie. Maturę zdaje w 1939 r. Podczas okupacji niemieckiej pracuje w firmach budowlanych (m.in. buduje budynek, w którym po wojnie zamieszka). Wstępuje do ZWZ (przemianowanego na AK), dochodząc do stopnia kaprala-podchorążego (po ukończeniu konspiracyjnej Szkoły Podchorążych) i pełniąc funkcję dowódcy plutonu. Po wojnie, 11 listopada 1944 r. uzyskuje awans na stopień plutonowego-podchorążego oraz zostaje odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami. W maju 1945 r. rozpoczyna studia na Wydziale Górniczym AGH. Jak wielu innych, „krakus” uzdolniony w przedmiotach ścisłych nie ma wyboru, gdyż była to

¹⁰⁰ **Doc. dr inż. Halina Ropska** urodziła się w Gdyni. W 1956 r. ukończyła studia na Wydziale Ceramicznym Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. W latach 1954–1987 asystent, adiunkt i docent w Wydziale Inżynierii Materiałowej i Ceramiki AGH. Współautorka 3 oryginalnych technologii produkcji: wyrobów kamionkowych z udziałem popiołów lotnych, wytwarzania wyrobów ceramiki budowlanej z popiołów lotnych, jako surowców podstawowych oraz technologii produkcji piasku keramzytowego metodą flu-idyzacyjną (moich „popiołów fluidalnych”). Autorka i współautorka 66 publikacji naukowych, 12 patentów i in.

¹⁰¹ Opiszę w rozdziale o habilitacji.

wówczas w Krakowie jedyna uczelnia techniczna. Uzyskawszy stopień inżyniera (1948), kontynuując studia magisterskie, rozpoczyna pracę, jako młodszy asystent w Katedrze Górnictwa Ogólnego kierowanej przez doc. inż. S. Kontkiewicza¹⁰², przynależnej do Wydziału Geologiczno-Mierniczego. Doraźnie uczy przedmiotów zawodowych w technikum górniczym. Podczas studiów, za zasługi wojenne zostaje odznaczony Medalem Wolności i Zwycięstwa oraz Odznaką Grunwaldzką. Studia kończy „z odznaczeniem”, awansując na starszego asystenta.

Kilka miesięcy potem wraca na swój macierzysty Wydział, do Katedry Eksploatacji Złóż, gdzie jako adiunkt, pod kierunkiem prof. W. Budryka, rozpoczyna badania nad samozapalnością węgla. Zajmuje się również górnictwem rud, pisząc z Budrykiem podręcznik o ich poszukiwaniu. Jak wszyscy pracownicy w tamtych czasach jest członkiem ZNP, w którym robi karierę, będąc wiceprzewodniczącym Rady Uczelnianej. W 1956 r. podejmuje pracę dodatkową, w tworzonym przez prof. W. Budryka Instytucie Mechaniki Górotworu PAN. Składa pracę kandydacką (odpowiednik doktorskiej) pt. *Metoda perhydrolowa oznaczenia skłonności węgla do samozapalenia*. Praca wpisuje się w ciąg badań dotyczących pożarów podziemnych¹⁰³ realizowanych przez prof. Witolda Budryka. Praca zapoczątkowała ekspercką karierę profesora.

Uzyskawszy w 1959 r. aspiranturę zostaje mianowany docentem. Po roku obejmuje funkcję prodziekana Wydziału Górniczego. Lata 60. ubiegłego wieku to najbardziej aktywny okres w jego życiu zawodowym. Po śmierci prof. W. Budryka (1958) staje się jednym z czołowych ekspertów w zakresie pożarów podziemnych. Najpierw „dopraszany” do sztabu licznych akcji prowadzonych w kopalniach, a po uzyskaniu zgody od Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, jako etatowy pracownik Ministerstwa Górnictwa. Ma ścisły związek z ówczes-

¹⁰² Syn urodzonego w 1848 r., absolwenta Instytutu Górniczego w Petersburgu, geologa-górnika, badacza południowej Rosji i wschodniej Ukrainy, od 1886 r. dyrektor kopalni węgla kamiennego w Dąbrowie Górniczej, współzałożyciela AG (AGH), zmarłego w 1924 r. Stanisław – junior (1883–1951), też górnik, absolwent Akademii Górniczej we Freibergu. Pracuje w Zagłębiu Dąbrowskim (węgiel), Zagłębiu Częstochowskim (rudę żelaza), Tarnowskich Górach (cynk i ołów), Kałuszu (sole potasowe) i wreszcie (do II wojny światowej) w Ministerstwie Przemysłu. Od 1946 r. podejmuje pracę w AGH.

¹⁰³ W latach 50. ubiegłego wieku w polskich kopalniach węgla pożary podziemne wywołane zjawiskiem samozapalenia stanowiły największe zagrożenie. Rocznie przypadków samozapalenia było kilkaset (obecnie kilkanaście). Kluczowym problemem było określenia skłonności węgla oraz czasu inkubacji.

nym ministrem J. Mitręgą, który go ceni. Współpraca (wielokrotnie „oblewana” – jak to było wtedy w zwyczaju) ma wpływ (jak wiele innych kontaktów) na przychyłność ministra dla Uczelni. Przemysł finansuje inwestycje, ministerstwo zleca prace badawcze. Pisałem o tym wcześniej, bo sam byłem ich beneficjentem. Etat w Katowicach (z dojazdem koleją!) odbija się na dydaktyce. Na zajęciach coraz częściej pojawia się „zastępstwo”, a szkoda, bo prof. Maciejasz „był znakomitym dydaktykiem”. Z drugiej strony, przykłady z praktyki uatrakcyjniają wykłady. Pomimo takiego obciążenia zostaje powołany na stanowisko dziekana, na kadencję 1966–1969.

W 1968 r. Rada Państwa nadaje mu tytuł profesora nadzwyczajnego. W związku z reorganizacją struktury Uczelni w 1969 r. powołany zostaje na zastępcę dyrektora Instytutu Górnictwa Podziemnego (dyrektora nie powołano). Faktycznie od początku kieruje Instytutem, formalnie funkcję dyrektora obejmuje w 1970 r. Naukowo, oprócz podstawowej tematyki pożarów podziemnych angażuje się w tematykę zawałów nieplanowych, konsultuje prace z zakresu zagospodarowania odpadów. Za prace nad niezamierzonymi zawałami zostaje przez Centralną Stację Ratownictwa Górniczego nagrodzony odznaką Honorowy Ratownik Górniczy.

Lata 70. minionego wieku to w życiu profesora Maciejasza okres niezwykle intensywny. Powoływany jest do licznych komisji, zespołów. Najważniejsze to Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów Naukowych, Komisje Ministra NSzWiT (ds. nagród, ds. wdrażania nowych technologii kształcenia, ds. kształcenia na kierunku Górnictwo i Geologia), członek Rady Głównej. Otrzymuje liczne odznaczenia regionalne (woj. katowickiego, miasta Krakowa) odznakę PCK, medal Racjonalizatora Produkcji, odznakę ZNP, Honorowy Ratownik Górniczy, medal Dowódcy Wojsk Ochrony Pogranicza „Zasłużony w Obronie Granic PRL”. Otrzymuje wysokie odznaczenia państwowe (Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, wcześniej Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski). Górnictwo honoruje go przyznając najwyższy stopień górniczy – Generalny Dyrektor Górniczy I stopnia. Lata 70. ubiegłego wieku wieńczy nadanie mu tytułu profesora zwyczajnego (1979).

Jako ekspert „Hydrokopu” wyjeżdża do Iraku (budowa otworowej kopalni siarki). Jest członkiem Rady Naukowej Głównego Instytutu Górnictwa, Komitetu Górnictwa PAN. Jak kilku innych profesorów AGH (J. Janowski, K. Mamro, J. Sulima-Samujiło, Z. Kłeczek) ma ścisły związek (wtedy, do roku 1989) z Gwar-

dyjskim Towarzystwem Sportowym „Wisła” (Honorowy Członek GTS Wisła). Jest działaczem sekcji koszykówki.

W tym czasie ukazuje się bodaj najważniejsza publikacja współautorstwa profesora¹⁰⁴. Drugi współautor publikacji mgr inż. Franciszek Kruk¹⁰⁵, absolwent AGH (i przez pewien czas pracownik) był wicedyrektorem departamentu MGIE w czasach, w których doradcą ministra jest prof. Z. Maciejasz. Przygotowany podręcznik, oprócz zasad prowadzenia akcji, zawiera podstawy teoretyczne. Jest podręcznikiem przynależnym do „szkoły pożarów” Budryka.

W końcu lat 70. minionego wieku profesora dopada poważna choroba. Na pewien czas idzie do szpitala. Niestety lata dalsze to okresowe nawroty dolegliwości i istotne zmniejszenie aktywności zawodowej. Wykłada, ale coraz częściej prosi nas „młodych” o zastępstwa. Próbuje podsumować ilościowy dorobek naukowy profesora doliczyłem się współautorstwa: 2 monografie, 5 podręczników, 6 patentów, około 35 artykułów różnej rangi. Poważniejsze publikacje dotyczą pożarów, pozostałe są dość tematycznie rozproszone (technika strzelnicza, eksploatacja rud, otworowa eksploatacja siarki, zastosowanie odpadów w górnictwie, ratownictwo górnicze). Wypromował trzech doktorów, wśród nich Chińczyka i późniejszego dyrektora GIG. Istotnym był Chińczyk (bodaj Yan Chau Min). Robił badania w tym samym szybie co ja. Dotyczyły odwrócenia prądu w szybie. Profesor opowiadał, że kiedyś, gdy zaplanował pomiary w niedziele (a trzeba było obsadzić 10 stanowisk pomiarowych – o pomiarach zdalnych z rejestracją nikt nie słyszał), zaproponował mu udział zaprzyjaźnionych asystentów. Chińczyk podziękował. Profesor, chcąc zobaczyć jak sobie poradzi przyszedł... i na każdym stanowisku pomiarowym zobaczył po dwóch Chińczyków. Taka to była chińska organizacja pracy. Po wielu latach, kiedy zaczęliśmy znowu jeździć do Chin, okazało się, że doktorant profesora przetrwał rewolucję kulturalną i jest świetnym ambasadorem AGH.

¹⁰⁴ Maciejasz Z., Kruk F.: *Pożary podziemne w kopalniach*. Część 1. Wyd. Śląsk, Katowice 1977.

¹⁰⁵ **Mgr inż. Franciszek Kruk** przed wojną studiował prawo. W 1945 r. rozpoczyna studia na Wydziale Górniczym AGH. Tu spotyka kolegę – Z. Maciejasza. Ich losy wiążą się ze sobą na długie lata. Po studiach rozpoczyna asystenturę u prof. W. Budryka, zajmuje się problematyką pożarów. Niestety, nie zdążył uzyskać aspirantury za życia swego mistrza, przechodzi na etat wykładowcy i kilka lat po śmierci W. Budryka wykłada pożary podziemne. Podejmuje pracę w przemyśle dochodząc do wysokich funkcji (dyrektor OUG w Wałbrzychu, wiceprezes departamentu w WUG, wicedyrektor departamentu MGIE). Wybitny specjalista z zakresu wentylacji i pożarów.

Zdaję sobie sprawę, że tak przedstawiona sylwetka jednego z mych „mistrzów” jest dość bezbarwna, a przecież prof. Z. Maciejasz był postacią bardziej niż barwną. Zastąpił na wielu polach. Jako jeden z pierwszych pracowników – górników nabył motocykl i zdążył mieć na nim kraksę nabawiając się trwałej blizny. Był czołową starą strzechą barbórkowych karczm (ja niestety osobiście tylko raz miałem okazję widzieć go w charakterze „kontrapunkta”, przy prezesie W. Żabickim i to już w nienajlepszej formie). Grał w pomocy na pracowniczych – barbórkowych meczach górnicy kontra hutnicy. Często można go było spotkać bawiącego towarzystwo w Ermitageu. Tylko chyba miewał czasem kłopoty z doborem współpracowników. W latach 70. ubiegłego wieku, w kierowanym przez niego instytucie pojawił się wspomniany inż. Ś., mechanik. Aniśmy się obejrzeni, a stał się szarą eminencją. Zawładnął profesorem robiąc się jego osobistym kierowcą. W warsztacie, który dostał we władanie pojawiły się prace na zlecenie wojska(!) Zaczął rozdzielać zadania (i pieniądze) w pracach zleconych kierowanych przez profesora. W ślad za nim pojawił się drugi inżynier (W.) niemający nic wspólnego z górnictwem, pracujący wcześniej w wodociągach. Na dodatek obaj byli bezpartyjni, co niezmiernie nas dziwiło. Po pewnym czasie okazało się, że mają dobre układy z szefem działu kadr¹⁰⁶. Jak się pojawili niespodziewanie tak pewnego dnia się okazało, że już ich nie ma. Był też i trzeci „nabytek”, były dyrektor departamentu postępu technicznego w MGIE, doktorant prof. A.S. Trembeckiego¹⁰⁷.

W tamtych latach (70.) w Instytucie pracowali również i inni, których związków z górnictwem trudno było się dopatrzeć. Wśród nich syn prominentnego prezesa spółdzielni mieszkaniowej – inżynier(!), (bodaj metalurg) ścierający tablice przed wykładem i roznoszący pocztę. Nie kontynuuję, bo trudno przedstawiać domysły i domniemania, nawet poparte dziwnymi zdarzeniami.

¹⁰⁶ Czy studia w IPN coś w tych sprawach by wyjaśniły?

¹⁰⁷ **Prof. dr hab. inż. Adam Stefan Trembecki**, urodził się 29 października 1921 r. w Krakowie, w rodzinie kamieniarzy. W 1944 r. rozpoczął studia w Akademii Górniczo-Hutniczej, które ukończył w 1948 r. uzyskując na Wydziale Górniczym tytuł magistra inżyniera z wyróżnieniem. Po studiach podjął pracę jako asystent w Katedrze Mineralogii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Stopień doktora nauk technicznych uzyskał w 1951 r. w Akademii Górniczo-Hutniczej, natomiast w 1961 r. stopień naukowy doktora habilitowanego. W 1972 r. uzyskał stopień naukowy profesora nadzwyczajnego, a w 1977 r. tytuł profesora zwyczajnego. Specjalista z technologii, organizacji i ekonomiki procesów górniczych. Promotor 29 doktorów, w tym prominentnych osób z przemysłu. Zmarł 25 marca 2007 r. w Krakowie.

Lata 70. ubiegłego wieku to jeden z najstynniejszych konfliktów w krakowskim środowisku naukowym. Miał miejsce na linii: profesor zwyczajny, dyrektor Instytutu – podwładny, dr inż. Ciągnął się parę lat aż do zakończenia wyrokiem sądu najwyższego(!) Profesor to Z. Maciejasz, doktor to M. Hobler¹⁰⁸. A wszystko zaczęło się niewinnie. Lata 50. cechuje brak kadry wykwalifikowanych górników. Organizowane są studia przekwalifikujące na zawód górnika. Ich absolwentem zostaje dr Hobler. Podejmuje pracę w kopalni... skąd (jak on zawsze twierdził, wbrew dokumentom) na mocy porozumienia stron (podobno miał kolegę w ministerstwie) zostaje skierowany do pracy w AGH. Prawda była taka, że ministerstwo zleciło do opracowania temat, w ramach którego był etat. W „konkursie” wygrywa dr Hobler. Trafia pod skrzydła prof. J. Znańskiego. Robi doktorat ze strzelań metodami bezogniowymi, równocześnie próbuje organizować laboratorium badania właściwości podszadzki metodami radiometrycznymi (jest uzasadnienie do brania dodatku „za prace w warunkach uciążliwych”¹⁰⁹). Kończy się na pomieszczeniu z „koniczynką”, w którym stoi kasa pancerna ze źródłem promieniowania. Kierownik Katedry (prof. J. Znański – o nim dalej), niezwykle życzliwy, wszystko bierze za dobrą monetę. Dla doktora sytuacja się komplikuje, kiedy pojawia się Instytut. Usiłuje zyskać przychyłność prof. Maciejasza proponując mu wspólne napisanie skryptu (*Roboty strzałowe w górnictwie podziemnym*). Skrypt ukazuje się w 1972 r. Pomimo tego pan adiunkt nie uzyskuje tego, na co liczy, czyli habilitacji. Na dodatek dyrektor, wobec nadchodzących informacji z kopalń, odmawia mu delegacji, czy środków na wyjazd na konferencję. Likwiduje się ową „pracownię radiometryczną”. Postanawia działać i... składa do sądu pozew przeciw swemu szefowi żądając... pozbawienia go praw autorskich do owego skryptu. Uzasadnia, że „koledzy radzili (mu), weź Zdzicha na współautora to będziesz miał co chcesz”. Uczelnia huczy! Pełnomocnikami stron zostają najtęższe togi krakowskiej palestry (w tym jedna – znany krytyk muzyczny piszący w „Dzienniku Polskim”, drugi – dziekan krakowskich adwokatów). Profesorowi (chyba) wytłumaczono¹¹⁰, że to on ma udowodnić, iż jest współautorem owego skryptu. Powołał więc świadków (... i mnie,

¹⁰⁸ Urodził się w 1923 r. w Borysławiu, repatriowany na Dolny Śląsk. Kończy studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Wrocławskiej i rozpoczyna pracę na kolei.

¹⁰⁹ Dodatek ten był do 1981 r. powszechnie pobierany przez pracowników. Na ogół każdy mógł znaleźć jakiś powód.

¹¹⁰ Wbrew podstawowej zasadzie procesu cywilnego, według której to powód ma udowodnić, że pozwany jest winien.

młodego magistra) i sprawa zaczęła się toczyć. Na jednej z rozpraw, po raz pierwszy w życiu pojawiłem się na sali sądowej w charakterze świadka. A zezna- wałem „na okoliczność” tego, że idąc z Szefem do profesora, który leżał w szpi- talu, zabraliśmy od doktora maszynopis skryptu (w domyśle – do akceptacji). Moje zeznanie zostało przywołane „nawet” w uzasadnieniu Sądu Najwyższego, jako dowód, że profesor wniósł wkład w powstanie skryptu i ma tytuł być jego współautorem¹¹¹.

Pisząc o profesorze nie sposób nie poruszyć drażliwej sprawy, wokół której kilkakrotnie już krążyłem – problemu alkoholu w codziennym życiu Uczelni. Mówiąc wprost, piło się ostro! Imieniny każdego pracownika – impreza. Wpa- dał ktoś z przemysłu – impreza. Spotykało się dwóch ważnych naukowców – by rozmowa szła lepiej, trzeba było podlać (czasem podlanie przynosiło skutek odwrotny!). Również „na co dzień” alkohol bywał obecny. Skąd się to wzięło? Myślę, że częściowo było pokłosiem lat wojny, dalej przychodziło z przemysłu. Picie było w modzie, a ten kto odmawiał był podejrzany. Pijany wzbudzał li- tość, nie generował oceny negatywnej. Wizyty w przemyśle, u ministerialnych urzędników kończyły się kielichem. To w jakimś stopniu przenosiło się na teren Uczelni. Tutaj często „załatwiała się sprawy” (akademik, zaliczenie dla dziec- ka prominenta). Wdzięczny ojciec (na ogół kolega) wpadał z „dowodem wdzięcz- ności”. Tworzyły się „kółka zainteresowań” wydziałowe i międzywydziałowe. Widok zataczających się ważnych postaci „wkładanych” przez podwładnych do taksówki nie dziwił. Jako młodzi bywaliśmy w trudnej sytuacji. Nie to, że „feudalizm”, ale faktycznie na Wydziale (Uczelni?) panowały takie zwyczaje,

¹¹¹ Dr M. Hobler „brnął” potem w liczne konflikty. Pisał dziesiątki pism z prośbą o inter- wencję. Kierował je na szczebel Gierka, Jabłońskiego, a znający przedmiot szeptali, że w szczytowym okresie nawet do Sekretarza Generalnego ONZ. Biedny człowiek! Nie zrobił (dwukrotnie) habilitacji, bo nawet ja, wtedy młodzik, oceniałem jego dorobek, jako „miejscami śmieszny” (wniosek w pierwszej habilitacji: „węgiel mokry jest cięższy od suchego”). O jego współpracy z przemysłem można by napisać zbiór niezłych aneg- dot. Po latach dowiaduję się, że w jednym z pism dostało się i mnie. Kiedy jako zastępca kierownika katedry, na prośbę doktora o podanie ile w minionych latach miał delegacji do przemysłu? – Odpowiedziałem, że katedra nie gromadziła takich danych w czasach, gdy wydawanie delegacji i rozliczanie prac zleconych było scentralizowane. Stwierdził, że: „... Mazurkiewicz napisał takie pismo (o możliwości braku odpowiedzi) gdyż nie zdał u mnie egzaminu z eksploatacji i nie zgodziłem się na to żeby zastępczo egzamina- wał go prof. Maciejasz lub doc. Ropski, lecz zmusiłem go do nauczania się przedmiotu jak to zrobili jego koledzy – studenci”. Kilka nieprawd ale *requiescat in pace*.

że, jak wspominałem, dokąd w pracy był szef, byli i podwładni. Miał kto być „biegłym” (o czym też wspominałem), miał kto wezwać taksówkę i odstawić do domu. Bywało, że miał kto potowarzyszyć przy kielichu i wysłuchać często bardzo osobistych wynurzeń. Problem skłonności do alkoholu (niestety) dotknął i profesora. Bywało, że robił wtedy uwagi złośliwe, do niektórych mówił, co naprawdę o nich myśli. Stąd jak „szła informacja, że „profesor jest chycony” staraliśmy się nie wchodzić mu w oczy. Niestety czasami sam, z własnej inicjatywy nas szukał i trzeba było czynić powinność(i). Kiedyś siedzę w pokoju – telefon. Odbieram i słyszę „traconego” profesora. „Maciuś, wiem, że jesteś w pracy (okres pisania doktoratu). Wyobraź sobie, że u mnie w kotłowni wydziela się tlenek węgla, a ten palant palacz mówi mi, że jestem pijany i mam mu dać spokój. Ja mu udowodnię. Weź z portierni klucz – powiedz, że ci kazałem – wejdz do laboratorium BHP i tam poszukaj rurek wskaźnikowych na CO z mieszkaniem i przynieś.” Czuje, że w domu u profesora kroi się awantura. Dzwonię za parę minut i mówię, że szuflada z rurkami zamknięta a nikogo z obsługi laboratorium już nie ma. Usłyszałem że fajtłapa, bo powinienem umieć otworzyć zamkniętą szufladę, ale jakoś mi się upiekło. Wiedziałem z doświadczeń kolegów, że wpadłszy do domu do profesora wychodziło się późno i w stanie totalnego zmęczenia.

W różnej kondycji¹¹² profesor trwa do 1988 r., umiera w lipcu. Jestem na wakacjach, o jego śmierci dowiaduję się z gazety. Jadę *na cito* na pogrzeb by na Cmentarzu Rakowickim oddać mu ostatni hołd. Wiele mu zawdzięczam, a wspomniana słabość – ilu ją w tamtych czasach miało – nie przekreśla tego, co dla wielu zrobił pozytywnego.

Kolejnym, dla mnie niezwykle ważnym wzorem był **prof. dr hab. inż. Stanisław Takuski**. Urodził się 19 maja 1921 r. w Jasiennej (gmina Korzenna) w nowosądeckim, w rodzinie chłopskiej. Maturę zdaje w 1939 r. w Liceum humanistycznym w Nowym Sączu. W szkole jest współzałożycielem oraz redaktorem naczelnym miesięcznika „Zew Gór” – pisma młodzieży szkół średnich Nowego Sącza. Z wybuchem wojny, niepokorny, angażuje się w akcję przekazywania informacji zasłyszanych w radio. W wyniku donosu (zdarzało mu się wymieniać nazwisko donosiciela, spotykał się z nim po wojnie ale był daleki

¹¹² Pod koniec życia lubił odwiedzać pracowników w ich pokojach. Dobrze było mieć na tę okazję coś w butelce, ale nie za dużo, bo trwał do końca. Kiedyś wszedł do mnie, siada i coś tam opowiada. Widzę, że się nie wywinę, więc proponuję: „Panie profesorze to może po jednym!” – „Dlaczego tylko po jednym?” – słyszę żalosalne pytanie.

od doniesienia stosownej instytucji) w 1941 r. zostaje osadzony w więzieniu w Nowym Sączu, następnie w Tarnowie. Z więzienia trafia do niemieckich obozów koncentracyjnych: Auschwitz, Mauthausen-Gusen. W pierwszym obozie pracuje w stolarni, w drugim w kamieniołomach przy obróbce granitów. Prawie 4 lata spędził w obozach koncentracyjnych, jednak o tym nigdy nie chciał mówić. Po wyzwoleniu wraca do kraju i natychmiast udaje się do Krakowa. Podejmuje studia na trzech uczelniach(!): w Akademii Handlowej (kończy planowanie przemysłowe w 1950 r.), w Uniwersytecie Jagiellońskim – Wydział Filologiczny (kończy filologię angielską w 1953 r.) i na Wydziale Górniczym (dyplom obronił w 1951 r.). Filologia angielska pozwoli mu kilka lat później opublikować *Teksty techniczne do nauki języka angielskiego dla studentów pionu górniczego AGH*, no i na bieżąco śledzić fachową literaturę z tamtej strony żelaznej kurtyny. W okresie studiów mieszka w akademiku („Żaczek”), gdzie spotyka wielu innych wybitnych (Karol Wojtyła, Andrzej Maria Deskur). Podczas studiów podejmuje pracę w Zakładzie Badawczym Katedry Górnictwo II uczestnicząc w oznaczaniu własności gruntów. W Katedrze tej w 1948 r. zostaje młodszym asystentem.

Kończąc studia dostaje „nakaz pracy”¹¹³ do Katedry Górnictwa II, gdzie zostaje asystentem. Podejmuje dodatkowo pracę w Przedsiębiorstwie Geologicznym Rud Nieżelaznych wtedy mieszczącym się w Krakowie. Trzy lata później podejmuje aspiranturę¹¹⁴. Zaangażowanie w prace eksperckie opóźnia obronę pracy doktorskiej (1961)¹¹⁵. Jej tytuł to *Sylikatyzacja piasków dla potrzeb górnictwa*. Promotorem zostaje prof. Feliks Zalewski¹¹⁶.

¹¹³ Jak to wynika z wielu dokumentów osobowych w „tamtych latach” był to niezbędny papier do objęcia asystentury? Nadawała go specjalna komisja, w której oprócz kogoś z kierownictwa Uczelni był przedstawiciel PZPR. W przypadku mgr inż. S. Takuskiego napisano: „politycznie obojętny”.

¹¹⁴ Aspiranturę, wzorem ZSRR, wprowadzono w Polsce w 1952 r. Aspirant zobowiązany był zdać egzamin z podstaw marksizmu i leninizmu, języka rosyjskiego, przedmiotu zawodowego i pod kierunkiem samodzielnego pracownika przygotować pracę kandydacką.

¹¹⁵ Aspiranturę zlikwidowano w 1958 r.

¹¹⁶ **Prof. dr hab. inż. Feliks Zalewski** urodził się 14 stycznia 1888 r. w Mławie. Studia ukończył w Instytucie Górniczym w Petersburgu w 1906 r. W Akademii Górniczej pracował od 1919 r. 6 listopada 1939 r. został aresztowany i osadzony w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, gdzie przebywał w okresie listopad 1939 – styczeń 1940 r. Po wojnie wrócił do pracy w Akademii Górniczo-Hutniczej (Katedra Górnictwa II, od 1952 r. Katedra Głębinienia Szybów i Obudów Górniczych). Wspomniany wcześniej inicjator akcji ratowania miast. Na emeryturę przeszedł w 1960 r. Zmarł w Krakowie 15 maja 1966 r.

Przełom lat 50/60 minionego wieku rozpoczyna ekspercką aktywność profesora zagranicą. Wyjeżdża do Ghany, Jordanii, Libii, Brazylii, Indonezji, Hiszpanii i USA. Pobyty związane są z realizacją zleceń przedsiębiorstw handlu zagranicznego na ekspertyzy. Wyjazdy sprawiają mu kłopoty organizacyjne. Zdarza się, że „Polserwis” załatwiwszy wszystkie problemy wysyła go zagranicę, o czym zapomina zawiadomić władze Uczelni. Na szczęście wyjazdy są „w interesie gospodarki PRL-u”, więc problemy kończą się na pisaniu wyjaśnień. Podczas kilkumiesięcznego pobytu w Brazylii nabawia się malarii.

Jego pierwszą tematyką badawczą są zagadnienia geotechniki związane z głębieniem szybów. Następnie zajmuje się statecznością wyrobisk. W 1967 r. przedstawia prace habilitacyjną pt. *Niektóre¹¹⁷ zagadnienia wyciskania i zwalczania wyciskania spągów wyrobisk górniczych*. Zostając docentem (etat), przechodzi do pracy w Katedrze Górnictwa Rud i Soli. Bez reszty poświęca się tematyce eksploatacji rud. Studiuje literaturę (nierzadko można go spotkać w bibliotece, zjawisko wśród profesorów wtedy dość rzadkie). Pisze skrypt. Udziela się ekspercko w kopalniach cynku i ołowiu, potem kopalni miedzi w LGOM-ie. Z tej problematyki promuje wielu doktorów. Prace dotyczą: klasyfikacji skał rejonu olkuskiego (dr inż. J. Sepiał), analizy strat w tradycyjnych systemach eksploatacji rud (dr inż. J. Kicki), zagadnienia wykorzystania zasobów w systemach komorowofilarowych (dr inż. Anaclet Kalondji-Kabengele), oceny wpływu na nośność filarów otoczenia ich podsadzką (dr inż. Marek Dydecki). Prowadzi temat badawczy (m.in. z moim udziałem) oceniający możliwość wykorzystania odpadów do podsadzki utwardzanej, zastępującej w kopalni filary naturalne. Ocenia możliwość zastosowania nowego (na owe czasy) „bezszynowego” systemu transportu (dr inż. W. Gęgotek). Wspólnie z doktorantem (K. Krasiczyński) podejmuje próbę opracowania podsadzek utwardzanych do kopalń rud miedzi. Pisze skrypty poświęcone eksploatacji rud¹¹⁸, kształci kadrę dla kopalń LGOM oraz prowadzi badania. Dr. inż. Jerzego Markowskiego (późniejszy dyrektor jednej z kopalń) promuje z tematyki zawału. Zajmuje się niezwykle nowatorską i ważką technologią mrożenia szybów (doktoraty: I. Osimowicz-Pleśniak, B. Bielecka-Przygodzka).

¹¹⁷ Słowo „niektóre” w tematach prac jest ulubionym słowem profesora. Było w jego pracy doktorskiej, habilitacyjnej, pojawi się w tematach wychowanków.

¹¹⁸ *Technika podziemnej eksploatacji złóż rud i surowców hutniczych* (1980); *Technika podziemnej eksploatacji złóż rud* (1980); *Technika podziemnej eksploatacji złóż rud miedzi* (1984).

Szybko przychodzą awanse naukowe. Najpierw docent – w 1967 r., potem profesor nadzwyczajny – w 1972 r. i profesor zwyczajny – w 1979 r. Równoległe pojawiają się odznaczenia państwowe (Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski) oraz nagrody rektora i ministra.

W badaniach podejmuje również nowe zagadnienia związane z otworową eksploatacją siarki (dr inż. J. Wranka), wynikające z tematyki eksperckiej.

Jest szalenie lubiany przez studentów. Jego wykłady cieszą się ogromnym zainteresowaniem. Przytacza przykłady nie tylko z „przodującego górnictwa radzieckiego”, ale z tego mało znanego, „kapitalistycznego”. Jego wychowankowie z Uczelni i przemysłu, z inicjatywy prof. S. Piechoty, przez wiele lat, w rocznicę śmierci swojego nauczyciela organizują seminaria poświęcone wydobywaniu rud. We współpracy z tuskim przedsiębiorstwem geologicznym zajmuje się również problematyką podsadzania płytkich pustek – były to pionierskie prace z tego zakresu w Polsce. Pełni funkcje organizacyjne (zastępca dyrektora Instytutu, prodziekan), ale te nie należą do jego ulubionych zajęć. Pasją są zawodowe wyjazdy zagraniczne. Znając pięć języków wyjeżdża jako ekspert na pobyty kilkumiesięczne oraz pobyty krótsze. Niezrealizowanym marzeniem była podróż do RPA – z górnictwa tego kraju czerpał do dydaktyki wiele przykładów. Współpracuje z wieloma przedsiębiorstwami. Jest jednym z pierwszych górników biorących udział w pracach PTPNoZ.

Lata spędzone w niemieckich więzieniach i obozach koncentracyjnych oraz (co tu ukrywać) mało higieniczny tryb życia – i w tym przypadku skłonność do biesiadowania¹¹⁹ – sprawiają, że profesor podupada na zdrowiu. W listopadzie 1978 r. doznaje wylewu. Z determinacją walczy o powrót do pracy. Żmudne godziny ćwiczeń, w tym z logopedą przynoszą efekty. Najpierw, zamiast wykładać pisze dwa skrypty (1980), z czasem znowu wykłada i kieruje tematami badawczymi. Niestety sytuacja się powtarza. Tym razem (1984) odchodzi na „wieczną szychę”. Spoczywa na Cmentarzu Salwatorskim.

Nie będąc jego bezpośrednim wychowankiem, na profesora patrzyłem jak na niedościgniony wzór. Konsultowałem z nim wiele problemów z podsadzek – z tej tematyki wypromował doktora (W. Halota, *Ocena efektywności rurociągów elastycznych w podsadzce*), bywało, że spędzałem z nim mile czas(!) Zdarzało mu się być swoście zazdrosnym. Kiedy napisaliśmy kolejny „Zeszyt do ćwiczeń”

¹¹⁹ Mówiąc językiem późniejszym o 40 lat.

(nr 7 i 8) nie wytrzymał i w recenzji napisał: „rolą młodego naukowca jest realizowanie badań, a nie pisanie skryptów”. Odczuliśmy, że skrypty powinni pisać doświadczeni dydaktycy – profesorowie.

Moim pierwszym promotorem (pracy magisterskiej) był **doc. dr inż. Karol Drzewiecki**. Urodził się 2 października 1921 r. w Czechowicach, w rodzinie górniczej (do 1956 r. w ankietach personalnych, w rubryce pochodzenie – pisał: „robotnicze”, potem „inteligencja pracująca”), z ojca technika górniczego, sztygara w kopalni „Brzeszcze”. Chodził do szkół: w Brzeszczach, Oświęcimiu i Chrzanowie, gdzie zdał maturę (1945). Naukę przerywa wojna. Aresztowany wraz z ojcem przez gestapo („podejrzani o udział w nielegalnych organizacjach”) wykręca się, ale za cenę skierowania do pracy „na dole”. W „Brzeszczach” przepracowuje wojnę (od 1942 r. na powierzchni, jako „kalifaktor”) by natychmiast po zdaniu matury pojawić się w AGH. W czasie studiów reperując budżet okresowo wraca do „swej” kopalni. Po uzyskaniu stopnia inżyniera zostaje „nakazem pracy” skierowany do Zakładów Badawczych przy Katedrze Górnictwo II. Tutaj trafia pod skrzydła „Felka” – prof. F. Zalewskiego z poleceniem: „kulego, weźmiecie się za badania gruntów”. Studiuje nadal, przygotowując pracę magisterską pt. *Kąt tarcia wewnętrzznego, jako funkcja ściśliwości*. Kończąc w 1951 r. studia II stopnia, awansuje na kierownika pracowni mechaniki gruntów. Instytucja, jaką były Zakłady Badawcze decyzją ministra zostaje zlikwidowana w 1953 r. Młody naukowiec zostaje przeniesiony do Katedry Eksploatacji Złóż, gdzie zostaje starszym asystentem. Podejmuje starania o przygotowanie pracy kandydackiej (pierwszy pomysł to: *Zagadnienia wyciskania spągów*). Jak wielu, podejmuje dodatkową pracę (1/2 etatu) w Zakładzie (potem Instytut) Mechaniki Górnotworu PAN. Z propozycją wychodzi twórca Zakładu – prof. W. Budryk. W 1957 r. awansuje na adiunkta. Pod kierunkiem prof. J. Znańskiego przygotowuje pracę doktorską (*Tapania spągowe w wyrobiskach chodnikowych*), którą broni w 1963 r. Wcześniej publikuje prace będące pokłosiem zainteresowań mechaniką gruntów.

Połąkawszy bakcyła badań laboratoryjnych docent Drzewiecki pasjonuje się pracami nad rozpadem próbek. Proponuje oryginalną metodę określenia energii sprężystej rozpadu. Wyniki publikuje w 1967 r. W dzisiejszych kategoriach praca ta przyniosłaby mu zupełnie przyzwoity indeks cytowań. Cytowana jest bowiem przez wielu. Do dzisiaj w problematyce tupań stanowi swoisty punkt odniesienia.

Kontynuując współpracę z profesorem Zalewskim, od początku istnienia, jest niezwykle aktywnym członkiem jego zespołu ds. ratowania miast. Odpowiada w nim za badania podłoża i opracowanie receptur podsadzek lessowo-cementowych.

Budowa LGOM-u zwraca jego uwagę na badania właściwości skał cech-szyńskich tamtego rejonu. Zajmuje się ich przewodnictwem cieplnym, w tym w temperaturach ujemnych. Z tego zakresu przygotowuje habilitację, której jednak nie kończy. Zaczynają się bowiem kłopoty ze zdrowiem, a docent nie umie w laboratorium pracować „cudzymi rękami”. Docentem zostaje mianowany w 1969 r.

Lata 70. ubiegłego wieku to okres zaangażowania się w problematykę podsadzki hydraulicznej i niezamierzonych zawałów. Skutkują kolejnymi publikacjami.

Profesor T. Ryncarz¹²⁰ poprosił docenta by w czasach, kiedy pełnił funkcję dziekana, był prodziekanem. Niezwykle trudną była kadencja w latach 1981–1984, w okresie stanu wojennego. Po jej zakończeniu zostaje zastępcą dyrektora Instytutu (1985–1988). Przechodzi na emeryturę w 1991 r. Na Uczelni przestaje się pokazywać, ale nadal pracuje naukowo. Szczególnie intensywnie z synem¹²¹ – górnikiem, pracownikiem GIG. Znając jego dorobek widzę w nim mocny ślad naukowych poglądów ojca.

Docent Karol Drzewiecki należał do tych naukowców, których z pokorą, nazywam „skromnymi robotnikami w winnicy nauki”. Wykszałcił (bodaj) tylko dwóch doktorów. Był z pewnością świetnym naukowcem, bez ciągu do robienia kariery. Na dodatek, w trudnych powojennych latach pierwszeństwo (znowu jak wielu) oddał rodzinie. Wychował i wykszałcił z żoną (nauczycielką) czwórkę dzieci, w tym syna – spadkobiercę zainteresowań naukowych.

¹²⁰ **Prof. dr hab. inż. Tadeusz Ryncarz** urodził się 7 kwietnia 1927 r. w Katowicach. Ukończył studia na Wydziale Górniczym AGH w 1952 r. Jeszcze w czasie studiów objął stanowisko zastępcy asystenta w Zakładzie Hydrauliki i Wentylacji Kopalń na Wydziale Górniczym AGH. W 1956 r. został mianowany adiunktem w Katedrze Aerologii i Hydromechaniki Górniczej. Tytuł doktora uzyskał w 1960 r., habilitował się w 1965 r. Powołany na stanowisko docenta w Katedrze Geomechaniki AGH, pracował tam do końca życia. W latach 1969–1981 pełnił funkcję zastępcy dyrektora Instytutu, w latach 1972–1975 i 1984–1987 był dziekanem Wydziału Górniczego AGH. Uczeń profesorów: J. Litwiniszyna i A. Sałustowicza. Autor: *Zarysu fizyki górotworu* (1993). Zmarł 4 listopada 1993 r.

¹²¹ Dr hab. inż. Jan Drzewiecki, pracownik Głównego Instytutu Górnictwa, specjalista z zakresu łąpań i wstrząsów.

Karol – jak o nim mówiliśmy, był ogromnie pomysłowym w organizowaniu eksperymentów laboratoryjnych. Procentowały doświadczenia z pierwszego okresy pracy w Zakładach Badawczych, kiedy to większość aparatury konstruowało się samemu¹²². Umiera w 2008 r. Spoczywa w rodzinnej ziemi czechowickiej.

Kolejnym, którego ośmielam się zaliczyć do mych nauczycieli jest **prof. dr inż. Józef Znański** – najstarszy z nich. Urodził się w 1901 r. w Sierszy. Gimnazjum kończy w Chrzanowie, gdzie w 1920 r. zdaje maturę. Po niej studia w krakowskiej AG, które kończy w 1926 r. Pierwsza praca na stanowisku kierownika technicznego w Kamieniołomach Tatrzańskich w Zakopanem (mieściły się na północnym zboczu Krokwi). Po roku (1928) przechodzi do kopalni „Silesia” podejmując stanowisko inżyniera ruchu. Problemy zdrowotne powodują, że w latach 1935–1938 jest wykładowcą w Państwowej Szkole Górniczej w Katowicach. W tym okresie przygotowuje i wydaje dla uczniów dwa podręczniki (*Maszynoznawstwo górnicze, Szkody górnicze*). Pisze również do Przeglądu Górniczego. Do 1939 r. publikuje 5 prac z zakresu stateczności wyrobisk. „Anszlus” Zaolzia kieruje go na kilka miesięcy do Karwiny, gdzie w kopalni „Barbara” pełni funkcję kierownika robót górniczych.

Po wybuchu wojny wyjeżdża do Warszawy, gdzie do wybuchu powstania, w charakterze dozorca, pracuje w Towarzystwie Robót Komunalnego Budownictwa. Ostatnie miesiące wojny spędza w Skawinie w betoniarni.

Po zakończeniu działań wojennych uruchamia kopalnię „Janina”, w której zostaje dyrektorem. Będąc doświadczonym górnikiem zostaje przeniesiony do Jaworznicko-Mikołowskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego na stanowisko inspektora kopalń. Profesor W. Budryk namawia go skutecznie do przejścia do pracy w AGH, w kierowanej przez niego Katedrze Górnictwo I. W 1948 r. zostaje starszym asystentem. W 1949 r. podejmuje dodatkową pracę w Głównym Instytucie Górnictwa na ½ etatu, gdzie współtworzy podwaliny nowoczesnych poglądów na temat tapani.

¹²² Pokłosem tego jest jeszcze przez długie lata utrzymywanie w każdej z jednostek własnego warsztatu mechanicznego, który wytwarzał elementy aparatury. Następny etap to powstawanie specjalistycznych zakładów wytwarzających na zamówienie aparaturę naukową (w Krakowie przy UJ, w PAN-ie) by wreszcie w latach 90. ubiegłego wieku korzystać z aparatury „firmowej”.

Karierę nauczyciela akademickiego robi pod kierunkiem prof. W. Budryka, co niekoniecznie podoba się uczelnianym politrukum. W jednej z opinii napisano: „oblicze polityczne – pod silnym wpływem prof. Budryka, który jest raczej ujemny”. Pomimo tego w 1951 r. zostaje adiunktem, a rok później zastępcą profesora i po reorganizacji struktury Wydziału w 1953 r., kierownikiem Katedry Eksploatacji Złóż. W 1954 r. przed Radą Wydziału Górniczego broni pracę doktorską pt. *Tąpania w świetle badań laboratoryjnych*. Tytuł profesora nadzwyczajnego zatwierdza Centralna Komisja Kwalifikacyjna w listopadzie 1954 r.

Uzupełnieniem kariery naukowej jest pełnienie funkcji prodziekana (1954–1956) i dziekana Wydziału (1956–1958).

Profesor Znański jest niezłym dydaktykiem. Swe przedwojenne doświadczenia w pisaniu podręczników kontynuuje po podjęciu pracy w Uczelni. W 1961 r. wychodzi skrypt pt. *Podziemna eksploatacja złóż*, rozbudowany i wydany w postaci książki (podstawowego podręcznika mych studenckich czasów) pt. *Eksploatacja złóż* (pierwsze wydanie 1964 r., drugie 1974 r.). A były to czasy, kiedy podręczniki pisało się długo i żmudnie. Najpierw ręcznie, potem na maszynie¹²³. Rysunki robił kreślarz, zdjęcia ktoś z asystentów, kto umiał fotografować. W Katedrze była ciemnia, ale dopiero w Instytucie przyjęto profesjonalnego fotografa¹²⁴.

W podręczniku profesor poświęcił dużo miejsca podsadzce hydraulicznej. Oprócz doświadczeń polskich i prezentacji dorobku polskiej szkoły podsadzania (prof. W. Budryk, prof. R. Adamek) omówił podsadzkę w kopalniach francuskich, które wizytował w 1956 r.

Promuje kilku doktorów (S. Ropski, A. Krawiec, J. Górecki, M. Stopyra) i nadal, we współpracy z GIG-iem, prowadzi badania nad tąpaniami. Po utworzeniu w Uczelni Instytutów zostaje kierownikiem Zakładu Eksploatacji w Warunkach Zagrożeń Naturalnych. Pełni tę funkcję do przejścia na emeryturę w 1971 r. Pracuje w Uczelni do 1974 r. Jego naukowym „dzieckiem” jest dr inż. Michał Stopyra.

¹²³ Przepisywała je dr inż. Stanisława Jelonkiewicz-Babiarz, adiunkt w Katedrze. Opowiadała jak kiedyś widząc tytuł podrozdziału dotyczącego eksploatacji systemami zabierkowymi: „Eksploatacja pomiędzy grubymi nogami”, z dużymi oporami usiłowała zwrócić uwagę profesora na to, że w tym sformułowaniu jest coś dwuznacznego, niestosownego. Trwało to długo, bo profesor nie mógł oderwać się od rozumowania górniczego.

¹²⁴ Stanisław Klimowski.

Profesor Znański to z pewnością skromny, cichy, kompetentny profesor tamtych czasów. W tematyce tapani zostaje niekwestionowanym autorytetem. Należy do tych, którzy pozycję naukową zdobywają bez działań zakulisowych. Zmarł w 1988 r., a jego ciało spoczęło na Cmentarzu Salwatorskim.

Wspominając swych mistrzów nie mogę nie wspomnieć o dwóch najwybitniejszych naukowcach z jakimi studia i późniejsza praca mnie zetknęły. Należą do tych, „stojących na piedestale”. Myślę o profesorach Jerzym Litwiniszynie i Stanisławie Knothe. Wprawdzie ich życiorysy (jak profesorów Budryka, Czezcotta, Krupińskiego) są powszechnie znane¹²⁵, nie mniej dla porządku:

Prof. dr hab. inż. Jerzy Litwiniszyn, inżynier górnik w trzecim pokoleniu, urodził się obok kopalni węgla kamiennego „Krystyna” w Tenczynku. Kilka lat później rodzina przeniosła się w sąsiedztwo innej kopalni – „Janina” w Libiążu. Do szkoły średniej (im. A. Witkowskiego), mieszkając na stacji, uczęszcza w Krakowie. Po zdaniu matury (1932) podejmuje studia na matematyce, zmienia je jednak, za namową ojca, na górnicze. Matematyka będzie jednak jego wielką miłością. To na niej opierał swój późniejszy dorobek. Niezwykle zdolny student „wpada w oko” profesorowi W. Budrykowi, który zainteresował go problemami przepływów nieustalonych w sieci wentylacyjnej. Z tej tematyki pisze pracę dyplomową. Studia kończy w 1938 r. i zaraz rozpoczyna obowiązkowe szkolenie wojskowe. Bierze udział w kampanii wrześniowej (Armia Kraków) i po perypetiach na frontach zachodnim i wschodnim dostaje się do niewoli. Wojnę spędza w Oflagu w Woldenbergu (dziś Dobniewo). Okres ten wykorzystuje na wszechstronne studia. Będąc uczonym, sam uczy współtowarzyszy.

Natychmiast po powrocie do Krakowa zgłasza się do prof. Budryka, który zatrudnia go jako asystenta. Po niecałym roku pracy publikuje pierwszy artykuł. Dwa lata od rozpoczęcia asystentury broni u prof. Budryka pracę doktorską nt. *Wpływ temperatury skał na temperaturę powietrza kopalnianego*, a za następne trzy lata – habilitacyjną nt. *O uogólnieniach niektórych równań hydrodynamiki*. Tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego otrzymuje w 1954 r., a w 1958 r. profesora zwyczajnego. Wykłada hydromechanikę. Ku utrapieniu przeciętnych studentów (o czym pisałem opisując swe studia) wykłady opiera o równania róż-

¹²⁵ Patrz np.: *Instytut Mechaniki Górotworu PAN – 60 lat działalności (1954–2014)*. IMG PAN Kraków, 2014.

niczkowe. Naukowo podejmuje coraz to nowe tematy. W zdecydowanej większości opracowuje je analitycznie i teoretycznie. To jego uczniowie, będą transponować je do praktyki.

Śmierć prof. Budryka (1958) powoduje, że najpierw w AGH obejmuje po nim Katedrę Aerologii i Hydromechaniki, a następnie utworzoną przez zmarłego samodzielną jednostkę – Zakład Mechaniki Górotworu PAN. Obie (wtedy) mają wspólną siedzibę w AGH.

Jest współinicjatorem budowy budynku, w którym mieści się IMG PAN obecnie (ul. Reymonta 27). Wspólnie z prof. Knothe „załatwia” z ministrem J. Mitręgą pieniądze ze środków ministerstwa¹²⁶ na tę inwestycję. Z początkiem lat 70. ubiegłego wieku opuszcza Uczelnię, jest „tylko” dyrektorem Instytutu. Umiera w 2000 r. Całe środowisko górnicze żegna go na Cmentarzu Rakowickim.

Nie siląc się na przedstawienie dorobku, zaszczytów, pełnionych funkcji podam tylko kilka liczb. Opublikował 248 prac z zakresu mechaniki górotworu, dotyczących przede wszystkim zjawisk i procesów zachodzących w skałach i w wyrobiskach kopalnianych. Wypromował 11 doktorów. Członek korespondent PAN (od 1956 r.), członek rzeczywisty (od 1966 r.), wiceprezes PAN (1977–1989), członek PAU (od 1989 r.). Członek Meksykańskiej Akademii Nauk, Austriackiej Akademii Nauk; Profesor honorowy: Uniwersytetu Górniczego i Technologii w Xuzhou oraz Politechniki w Xiantang. Doktor honoris causa Akademii Górniczo-Hutniczej (1979) oraz Uniwersytetu Górniczego w Leoben (1990).

Moje, pozastudenckie kontakty ograniczyły się do dwóch spotkań. Pierwsze, kiedy jako świeżo upieczony doktor habilitowany referowałem na konferencji organizowanej przez prof. J. Bodzionego temat zawiesin. W trakcie dyskusji profesor Litwiniszyn pytał mnie o ich własności reologiczne. Drugi raz, na jednej ze Szkół Eksploatacji Podziemnej¹²⁷ – spotkawszy mnie na kawie pyta, co sądzę o możliwości opisanie równaniami przebiegu procesu wpływania („wnikania”) zawiesin w gruzowisko zawałowe. Nie wiedziałem wtedy, że profesor był twórcą propozycji opisu przepływu powietrza przez zawał. Gdybym wiedział to z pewnością rozmowa ta byłaby dla mnie bardziej twórcza. W obu kontaktach pomimo, że drżałem ze strachu by się nie skompromitować (wiedzieliśmy, że

¹²⁶ Chyba obaj profesorowie byli z ministrem „w przyjaźni”. Uczestnicząc w delegacji wydziału, składającej emerytowanemu ministrowi życzenia z okazji jego 80. urodzin byłem świadkiem wymiany zdań, która o tym świadczyła.

¹²⁷ Tę imprezę naukową omówię później.

profesor był największą sławą górniczą naszych czasów), to czułem skromność jego zachowania, życzliwość i wyrozumiałość.

Drugim z wybitnych wzorów jest **prof. dr hab. inż. Stanisław Knothe**. Urodził się w rodzinie nauczycielskiej 2 lutego 1919 r. w Sosnowcu, gdzie stryj miał własną kopalnię („Dorota”). W tym mieście przeżył 15 lat by, z uwagi na stan zdrowia siostry, przenieść się do Krakowa. Po zdaniu egzaminu dojrzałości w 1937 r. złożył egzamin wstępny i został przyjęty na studia na Wydział Mechaniczny Politechniki Warszawskiej. W roku akademickim 1937/1938 odbywał służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. Studia na Politechnice Warszawskiej, które rozpoczął w 1938 r., przerwał wybuch wojny w 1939 r. Brał udział w kampanii wrześniowej, pod koniec września dostał się do niewoli niedaleko Włodawy. Uciekł podczas transportu do Ruszczy, w której mieszkał do 1943 r. Tam pomagał partyzantom „Jędrusia”. Przeniósł się do Krakowa, ze względu na zainteresowanie jego osobą niemieckiej żandarmerii. Po wojnie (kwiecień 1945 r.) wstąpił na Wydział Górniczy Akademii Górniczej w Krakowie. Zaliczywszy przed wojną kilka egzaminów na Politechnice Warszawskiej, stara się o przyjęcie na rok drugi, z prawem zdawania niektórych egzaminów z roku trzeciego. Dzięki temu studia kończy w 1947 r. i podejmuje pracę w kopalni „Biała Ropa” w Starej Wsi koło Brzozowa przy eksperymentalnej podziemnej, górniczej, eksploatacji ropy naftowej¹²⁸. Współpraca z profesorem Budrykiem „przywołuje” go do pracy w Uczelni (od sierpnia 1947 r. – starszy asystent). W 1951 r. uzyskuje stopień doktora nauk technicznych nadany przez Radę Wydziału Górniczego na podstawie rozprawy zatytułowanej *Wpływ podziemnej eksploatacji na powierzchnię z punktu widzenia zabezpieczenia położonych na niej obiektów*. Tak rodzi się słynna na cały świat teoria Budryka–Knothego. W 1953 r. mianowany zostaje zastępcą profesora, a w 1954 r. uzyskuje stanowisko docenta. Dwa lata później, na podstawie pracy: *Ochrona powierzchni przy częściowej eksploatacji pokładu pasami* uzyskuje stopień doktora habilitowanego. Tytuł profesora nadzwyczajnego otrzymał w 1958 r., a profesora zwyczajnego w 1975 r. Był to wyjątek by ktoś na „uzwyczajnienie” czekał 17 lat. Przyczyną było, jak zwykle w tamtych latach, stanowisko przewodniej siły na-

¹²⁸ Pomimo, że pracuje w niej kilka miesięcy, pisze na temat metody podziemnej publikację (1949 – *Górnicza eksploatacja ropy i podziemna gazyfikacja węgla*). Dla mnie, miłośnika historii górnictwa jest ona jedynym źródłem informacji o takiej technologii.

rodu spowodowane faktem, że wspólnie z profesorami Maciejaszem i Sałustowiczem sprzeciwili się na Radzie Wydziału by aktywistę (za zasługi całkiem nie naukowe) mianować docentem. W 1976 r. zostaje wybrany na członka korespondenta Polskiej Akademii Nauk, członkiem rzeczywistym zostaje w 1989 r.

Po przekształceniu Zakładu..., w Instytut Mechaniki Górotworu PAN podejmuje w nim dodatkową pracę. W 1958 r. zostaje wybrany przez Radę Wydziału Górniczego AGH na dziekana na kadencję 1958–1960. Funkcję tę pełni ponownie na prośbę studentów, z wyboru Rady w kadencji 1981–1984. Po śmierci W. Budryka w 1958 r. obejmuje po nim kierownictwo Zakładu Aerologii Górniczej AGH, które sprawuje do 1982 r. W latach 1975–1979 pełni funkcję zastępcy dyrektora Instytutu Górnictwa Podziemnego i Bezpieczeństwa Pracy AGH. Na emeryturę przechodzi w 1989 r.

Podobnie jak w przypadku prof. J. Litwiniszyna licznych funkcji, odznaczeń, nagród trudno zliczyć. Opublikował ponad 130 prac. Otrzymał najwyższe odznaczenia państwowe (z Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski włącznie), był laureatem zespołowej nagrody państwowej. W 1992 r. Senat AGH nadaje mu godność doktora honoris causa.

Zagadnienia wpływu eksploatacji na powierzchnię nie są jedyną dziedziną, jaką profesor Knothe się zajmuje. Drugą jest aerologia górnicza. W niej opracował i przedstawił w postaci publikacji zagadnienia: wydzielania się gazów do wyrobisk udostępniających, przewietrzania lokalnego za pomocą lutni, wpływu wilgotności na przepływ powietrza w głębokich szybach wentylacyjnych, stabilizacji prądów powietrza w czasie pożarów w kopalniach przez manewrowanie urządzeniami wentylacyjnymi oraz zastosowania elektrycznych analogów do obliczania sieci wentylacyjnych kopalń i analizowania rozptyłu powietrza w sieci w czasie pożarów podziemnych. Z obu zakresów wypromował około 10 doktorów w tym późniejszych profesorów: J. Roszkowskiego, J. Pawińskiego, A. Olajosiego oraz obywatela ChRL.

Moje studenckie kontakty, to „słuchanie” wykładów i zdawanie egzaminów. Te pierwsze były „takie sobie”. Chodził po podeście (który bardzo skrzypiał) i dość cicho coś mówił. Na szczęście podstawę wykładów stanowiły podręczniki W. Budryka, więc nie było problemów z przygotowaniem do egzaminu. Aby do niego przystąpić należało się zapisać na listę (z terminem) wiszącą na drzwiach. Denerwował się, gdy ktoś się skreślał. Podczas egzaminu profesor sugerował się oceną z mechaniki płynów. Spojrzeniem w odpowied-

nią rubrykę w indeksie poprzedzał sformułowanie pytania. Jeśli ktoś miał tróję nie miał szans na ocenę wyższą jak dobry. Na egzamin wchodziłem z Tadkiem Rembielakiem, obrytym lepiej ode mnie. Profesor siedzi na krześle obrotowym i po zadaniu pytań spogląda w okno i z cicha poświstując. Zaczyna Tadek, coś tam mówi, profesor dalej zapatrzony w okno (pół profilem do nas) pogwizduje. Po jakimś sformułowaniu wygłoszonym przez Tadka odpycha się ręką od parapetu, robi ćwierć obrotu i waląc pięścią w biurko krzyczy „bzdura”! W efekcie Tadek obryty wylatuje, ja przygotowany „jako tako” zdaję na dobry.

Miałem zaszczyt pracować z profesorem w jednej jednostce. Kilkakrotnie byłem kierowcą wioząc go na szkołę eksploatacji. Wysłuchałem wtedy słynnej opowieści o „zelówkach”. A było tak! Profesor brał udział w ekspertyzach, jakie dla przemysłu prowadził profesor Budryk. Miał on rzadki zwyczaj: wielkodusznie, na pół z asystentem, dzielił honoraria za opinie badawcze dla przemysłu. Polecał niestety wystawiać śmiesznie niskie rachunki: „Tyle, żeby starczyło na zelóweczki!” – mawiał, chodząc bez przerwy w naprawianych butach. Kiedyś po latach prof. Budryk przed wyjazdem do Moskwy na stopniu tramwaju urwał sobie podeszwę. Po powrocie opowiedział tę historię prof. Knothe-mu, ten zareagował żartem: „Na zelóweczki, na zelóweczki, panie profesorze. A wystarczyło brać na buciki!”.

Opowiadał o staraniach związanych z budową IMG PAN, o wspomianej historii z oczekiwaniem na profesurę zwyczajną (okazało się, że w ramach „rewanżu”, ów działacz skierował sprawę do sądu o nierzetelne prowadzenie zajęć przez trzech profesorów. Na szczęście sąd okazał się być „normalnym”).

Jednak najbardziej zapadła mi w pamięci sytuacja, kiedy jako młody asystent, delegat Związku Nauczycielstwa Polskiego¹²⁹ do kolegium Instytutu uczestniczyłem, w bodaj pierwszej po 1956 r., ocenie pracowników. Odbywała się gdzieś w połowie lat 70. Staje sprawa dr. Hoblera. Jest już po pierwszej nieudanej habilitacji. Dyrektor, prof. Maciejasz, referując mówi: „no, co najwyżej dostateczny. Nie możemy dać mu niedostatecznie, bo ma swoje lata, jak się nie pozbiera, następna ocena negatywna i (...) gdzie on znajdzie robotę”. Na to prof. Knothe: „słuchaj Zdzichu, to ja z nim pogadam, może mu coś uświadomię”.

¹²⁹ W moim domu rodzinnym panował swoisty kult ZNP. Ojciec – nauczyciel – przed 1939 r. zakładał go w powiecie jasielskim. Był we władzach powiatowych również po wojnie. Stąd i ja przystąpiłem do ZNP z przekonaniem, że jest to jedyna organizacja na Uczelni nieupolityczniona. Kariery nie robiłem. W 1981 r. przeszedłem do Solidarności.

„Jak chcesz (mówi prof. Maciejasz), tylko weź sobie Maćka na świadka, bo on potem napisze skargę i włoży ci w usta to, czego nie mówiesz”. Tak doszło do rozmowy profesora, doktora i mnie. Odbyla się w profesorskim gabinecie w A-1. Profesor zaczął: „to niech pan, panie kolego, powie nam o co ma pan pretensje do Uczelni”. I zaczęło się, Hobler wygłosił całą litanię żali, jakie go ze strony AGH spotkały. Rozpoczął od braku wypłaty za przeniesienie służbowe, przez niewypłacanie karty górnika, a skończył na uniemożliwieniu realizacji prac naukowych i uzyskania habilitacji. Kończąc powiedział: „panie profesorze, jak czyniłem starania by zostać naukowcem to byłem pełen obaw przed wejściem w tak wysokie gremia. A tu z czasem okazało się, że profesor może być krętaczem, plagiatorem, hochsztaplerem i pijakiem”. Profesor cały czas milczał, ale po takim stwierdzeniu nie wytrzymał. Głośno (żeby nie powiedzieć krzyknął!) powiedział: „dość – panie kolego, nie mamy o czym rozmawiać, pan żyje urojeniami. Nic panu nie pomogę, do widzenia”. Doktor wycofał się coś tam bąkając, a profesor zabrał mnie na herbatę do klubu pracownika (C-2). Cały czas powtarzał: „chory człowiek, chory człowiek”! Tak skończyła się jego próba pomocy.

Profesor Knothe to z pewnością jedna z najwspanialszych postaci naukowych, z jaką miałem okazję się spotkać. I piszę to pomimo (jeśli można wtrącić to słowo nieco prymitywne – w opisywanej sytuacji) tego, iż właśnie od niego dostałem kiedyś negatywną recenzję jednego z artykułów. Wchodząc na jego ścieżkę naukową (deformacji powierzchni) zastanawiałem się nad tak zwaną stropową niecką osiadania na podsadźce. Wykorzystując dwie zależności empiryczne (autorstwa innych badaczy) i definicję ściśliwości, podjąłem próbę praktycznego oszacowania współczynnika likwidacji zrobów, uzależniając go od ściśliwości podsadzki. Było to zupełnie inne podejście do teorii profesora. Miało na celu pokazanie, jak jakość podsadzki wpływa na deformacje powierzchni. W recenzji profesora przeczytałem „bzdura!”, więc się wycofałem, choć (trochę bezczelnie, za namową Marka Dydeckiego¹³⁰) artykuł publikowałem w innym czasopiśmie, z pozytywną recenzją kogoś innego. Nigdy o tym

¹³⁰ **Dr inż. Marek Dydecki**, wspominany kilkakrotnie, urodził się w 1950 r. w Kłodzku. Absolwent Wydziału Geologicznego AGH. Działacz młodzieżowy i być może dlatego podjął pracę w moim instytucie. Niezwykle miły, koleżeński i sprawny naukowo. Doktorat z eksploatacji rud robi u prof. S. Takuskiego w 1983 r. Realizuje unikalne badania geomechaniczne w warunkach *in situ*. Pomimo zaangażowania partyjnego udaje mu się uzyskać wizę do USA, gdzie wyjeżdża w stanie wojennym. Tam się urządza, ściąga rodzinę i zostaje. Zainteresowań naukowych nie kontynuuje, a szkoda.

z profesorem nie rozmawiałem, dziś żałuję, bo może dyskusja pomogłaby mi zrozumieć jego zastrzeżenia. Zmarł 30 grudnia 2015 r. i jako ostatni z wielkich został z honorami górniczymi pochowany na Cmentarzu Rakowickim. Ostatniemu zjazdowi, spełniając jego życzenie, towarzyszyły dźwięki Warszawianki granej przez orkiestrę górniczą.

Niezwykłe oryginalnym, z najciekawszym ze znanych mi życiorysów – moim mistrzem był również **profesor Witold Żabicki**, (jak do niego wszyscy mówili, choć po 1969 r. był faktycznie docentem, magistrem inżynierem). Spotkałem go, jako student trzeciego roku gdy prowadził pochód lisów¹³¹. Potem uczestniczyłem w jubileuszowym studenckim spotkaniu gwarków (na 50-lecie Uczelni), na którym był „prezesem w sprawach piwnych nigdy nieomylnym”. Na dobre poznałem go w pierwszych latach pracy, kiedy (wspólnie z dr. inż. Jerzym Kickim) prowadziliśmy w instytucie studencki ruch naukowy.

Urodził się (jako „Otmar, Henryk, Witold”) we Lwowie 5 maja 1903 r. Jego ojciec¹³² (prawnik) był tam pracownikiem izby skarbowej. Wcześniej umarła mu matka (1920) i siostra. Po kilku latach, rodzina zamieszkała w Wiedniu, gdzie ukończył szkołę realną. Do końca życia po niemiecku mówił z pięknym akcentem wiedeńskim. Kolejnym jego miastem (do końca życia) był Kraków, gdzie w 1922 r. zdaje maturę w I Szkole Realnej (potem VIII Liceum matematyczno-przyrodnicze). W 1923 r. rozpoczął studia na Akademii Górniczej. Pierwszy stopień kończy z wynikiem dobrym w 1934 r.

Ojciec (jak wspominał) ożenił się z „powodów socjalnych” z wdową posiadającą 9 dzieci. Tak więc sytuacja materialna rodziny spowodowała, że studiował długo, pracując. Nabywał doświadczeń w kopalni „Brzeszcze” (1923), uczył w Liceum Pedagogicznym w Krakowie (1925–1926), kopalniach ropy naftowej i soli na kresach Polski (1927–1929), kierował robotami budowlanymi w Krako-

¹³¹ Tradycjom górniczym w AGH poświęcę osobny rozdział.

¹³² Opisuując „niezwykłe” dzieje profesora Żabickiego trzeba wspomnieć, że jego ojciec do 1922 r. nazywał się Artur Feldtman. Akt zmiany nazwiska wydaje stosowne ministerstwo. Podaje, że jest wyznania ewangelickiego (był dla nas szok, gdy pogrzeb „naszego profesora” prowadził pastor). We Lwowie był pracownikiem izby skarbowej. Funkcję podobną pełnił w Wiedniu. W Krakowie uczył w szkole średniej. Wojnę spędził w Warszawie utrzymując się z „wyprzedaży majątku” – w tym małego „drewnianego domku”. Przeszedł przez obóz w Pruszkowie. Po wojnie zostaje profesorem w Uniwersytecie Łódzkim. Zmarł w 1951 r. Matka, z d. Gnatowicz, wyznania rzymsko-katolickiego o pochodzeniu robotniczym.

wie (1930), uczył rysunku i matematyki w szkołach krakowskich (Przemysłowej i Rzemiosł – 1931). W latach 1931–1932 pełnił służbę wojskową w jednostce saperów. W wyniku wypadku (nigdy nie powiedział jakiego – duma żołnierza!) – „starszy saper z cenzusem, zostaje zwolniony z obowiązku wojskowego”. Podejmuje pracę w krakowskiej izbie skarbowej (1933) by znowu zostać nauczycielem w Liceum Pedagogicznym (1933–1934). Wraca do górnictwa podejmując pracę nadgórnika w kopalniach „Hoym-Laura” w Niedobczycach (1934), „Juliusz” w Sosnowcu (1935) i „Mysłowice” (1936–1937). Uczestniczy w redakcji działu technicznego „Encyklopedii powszechnej” – Wydawnictwa Gutenberga (Wydawnictwo J. Przeworskiego, 1937 Kraków, Druk. W.L. Anczyca i Spółki). W 1938 r. podejmuje asystenturę w Katedrze Elektrotechniki Ogólnej w AGH u profesora Jana Studniarskiego¹³³.

Okres wojny i pierwsze lata powojenne spędził będąc kierownikiem wytwórni aparatów grzewczych w firmie inż. B. Jurskiego (1940), a następnie, do końca 1948 r. w Okocimskim Browarze (kierownik techniczny składu i rozlewni piwa). Powrócił na studia, a jednocześnie do pracy w macierzystej Uczelni w 1948 r. Został asystentem profesora Witolda Budryka (w Katedrze Górnictwa I), pod którego kierunkiem napisał pracę dyplomową z zakresu podsadzki hydraulicznej. Sumuje doświadczenia i materiały jakie zbierał od czasu pracy w kopalni „Mysłowice”, tj. od 1936 r. Pracę obronił w październiku 1949 r. (Temat pracy: *Analiza podsadzki płynnej na kopalni Mysłowice*). Bezsprzecznie należy do grona rekordzistów, jeśli chodzi o długość studiów w Uczelni (30 lat od immatrykulacji!!!).

Podczas pracy na Wydziale Górniczym był związany z Katedrami: Głębinienia Szybów (1954), Górnictwa Ogólnego (1956), Rud i Soli (1969), Instytucie Górnictwa Podziemnego. Pracował również w jednostce przypisanej Wydziałowi Geodezji. W 1973 r. przeszedł na emeryturę. Wykłady prowadził do 1982 r.

¹³³ **Prof. dr hab. inż. Jan Studniarski**, jeden z „ojców założycieli” AG. Urodził się 21 marca 1876 r. w Szamotułach. Studiował inżynierię, maszynoznawstwo, elektrotechnikę na politechnikach w Berlinie, Stuttgarcie oraz w Hanowerze, gdzie w 1902 r. otrzymał dyplom inżyniera, a w 1905 r. dr. inżynierii. Docent Wojskowej Akademii Technicznej w Berlinie. Pierwszy dyrektor Elektrowni Miejskiej w Tarnowie w latach 1910–1920. Od 1920 r. związany z Akademią Górniczą jako profesor zwyczajny elektrotechniki oraz kierownik Zakładu Elektrotechniki. W latach 1921–1922 był dziekanem Wydziału Hutniczego, w latach 1922–1924 rektorem oraz prorektorem w latach 1924–1926. Jest autorem kilkunastu opracowań z zakresu elektrotechniki, opublikowanych w Polsce i w Berlinie. Opracował wiele projektów, ekspertyz badawczych oraz orzeczeń dla przemysłu węglowego. Zmarł 25 stycznia 1946 r. w Krakowie.

Śledząc profesorską „karierę” W. Żabickiego należy podkreślić, że był wyjątkową osobą. Znał biegle niemiecki („z wiedeńskim akcentem”!) i francuski. Czytał po angielsku i ukraińsku. W dokumentach z 1938 r. jest oświadczenie o znajomości: Austrii, Węgier, Niemiec, Francji, Szwajcarii, Jugosławii, Rumunii – kiedy on zdążył tam być? Miał doświadczenie pedagogiczne, oprócz przedwojennego, w okresie 1949–1958 dodatkowo pracował w Technikum Górniczym w Krakowie. Prowadził badania i ekspertyzy. Do rozwiązania (1953) pełnił funkcję zastępcy prezesa (prof. F. Zalewskiego) Gospodarstw Pomocniczych¹³⁴.

Formalnie jego awanse w AGH to: zastępca asystenta (1938–1939), młodszy asystent (1948–1949), starszy asystent (1949–1952), adiunkt (1952–1956), zastępca profesora (1956–1961), starszy wykładowca (1961–1968), docent (1968). Pełnił wiele funkcji: prodziekan do spraw studiów zaocznych (1959–1962), kierownik Studium Zaocznego w Krośnie (1962–1968), kierownik Zakładu Eksploatacji Rud i Soli (1968–1969), kierownik punktu konsultacyjnego w Dąbrowie Górniczej (1970–1972). Bywał pełnomocnikiem rektora, dziekana. W 1950 r. współtworzył Komitet Współpracy Naukowców z Robotnikami i Racjonalizatorami(!)

Ciekawym rysem osobowości jest jego „przynależność”. Przed wojną (chyba) niezaangażowany. Tuż po wojnie wstępuje do PPS. Kongres zjednoczeniowy czyni go członkiem PZPR. Powoduje to, że wszystkie opinie w dziale „działalność polityczna” są pochlebne, choć bez przesady.

Nie ma co ukrywać, naukowcem profesor był żadnym. Nie pozostawił po sobie ani jednej publikacji. Przeżyłem chwile grozy, kiedy będąc współorganizatorem 80-lecia jego urodzin odbieram telefon od redaktorki z telewizji. „Wie pan, tak sobie wymyśliłam, że zrobię wywiad z jubilatem. Proszę przygotować stolik, rozłożyć na nim najważniejsze publikacje profesora, on siądzie obok i...”. Za jedno z większych swoich osiągnięć uważam, że udało mi się przekonać panią, że wywiad zrobimy w kopalni „Wieliczka”, a tam nikt nie będzie („czas mamy gorący, wie pani ile jest do załatwienia...”) woził publikacji. „Zresztą dziś, ważniejsze jest to, co profesor powie a nie to co napisał”. Pozostając w temacie „publikacje” to przed podobnym problemem stanął prof. Z. Maciejasz, wtedy dziekan, kiedy do ministerstwa trzeba było wysłać dokumentację konieczną do powołania profesora na stanowisko docenta (doc. mgr inż.). Wtedy posłużono się dokumentacją zasobową złoża anhydrytu, w której wspólnie

¹³⁴ Instytucja prowadząca badania na zlecenie – wielokrotnie przywoływana.

z dr. L. Adamiakowskim¹³⁵ figurował jako autor. Udało się, zresztą jak mogło się nie udać skoro i w Warszawie prowadził Barbórki.

Pasją profesora była historia i tradycje górnicze. Po latach oglądałam wydane przez Krakowskie Towarzystwo Sztuk Pięknych¹³⁶ płyty z nagranyymi wywiadami z profesorem, między innymi o rozwoju górnictwa i jego tradycjach. I tutaj potwierdziły jego słowa, które wypowiedział kiedyś, kiedy zapytałem go dlaczego o umiłowanej historii i tradycjach górniczych nie napisał niczego. „Phrosze ja was (rozpoczął swoim charakterystycznym zwrotem i dykcją), gdybym pisał to pytaliby o źródła, a skąd ja im je wezmę. Jak mówię to nie wiem czy to tak do końca było naphrawdę, czy też ja uważam, że tak było”.

Problematykę tę naprawdę ukochał i była jego pasją. Zaraził się nią (chyba) słuchając wykładów pierwszego piewcy historii górnictwa (wykładającego tę tematykę w AGH), inżyniera Stanisława Włodzimierza Majewskiego¹³⁷. Korzystał

¹³⁵ **Dr inż. Leopold Adamiakowski**, kolejna niezwykle „oryginalna” postać. Urodził się w 1903 r. w Stanisławowie. Ukończył Oddział Górniczy Wydziału Mechanicznego Politechniki Lwowskiej i Wydział Górniczy Akademii Górniczej w Krakowie (1925) oraz Wydział Praw UJ. Pracował w OUG Kraków, OUG Drohobycz, w kopalniach ropy naftowej California i Oklahoma, w Ministerstwie Przemysłu i Handlu w Warszawie oraz w kopalni w Tustanowicach. Uczestnik powstania warszawskiego, więzień obozu w Pruszkowie. Od 1957 r. pracownik AGH, początkowo w Katedrze Górnictwa Ogólnego (do 1966 r.), następnie w Katedrze Górnictwa Rud i Soli (1966–1969) oraz w Instytucie Górnictwa Podziemnego w latach 1969–1972. Doktorat obronił w 1965 r.

¹³⁶ Ściślej, przez jego prezesa Zbigniewa Kazimierza Witka. Album wydany w 2009 r.

¹³⁷ **Inż. Stanisław Włodzimierz Majewski** urodził się 1 listopada 1878 r. w Nowym Sączu. Zmarł 29 czerwca 1955 r. w Katowicach. Ukończył Wydziały: Górniczy i Hutniczy Akademii Górniczej w Leoben (Austria) oraz Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Lwowskiego (1903). Pracował w galicyjskich kopalniach soli, a w 1910 r. założył Towarzystwo „Kali” we Lwowie, które prowadziło eksploatację soli potasowych i do 1913 r. był jego dyrektorem. I wojnę światową rozpoczął w armii austriackiej, następnie służył w Wojsku Polskim. Po wojnie w latach 1919–1923 pełnił funkcję naczelnika wydziału solnego w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Do 1939 r. pracował w Wyższym Urzędzie Górniczym w Katowicach jako naczelnik, a potem jako zastępca prezesa. W latach 1938–1939 oraz 1950–1951 wykładał historię górnictwa i metalurgii w Akademii Górniczej w Krakowie. Był również wykładowcą w Szkole Górniczej w Tarnowskich Górach, przeniesionej w 1933 r. do Katowic. Okres okupacji spędził w Krakowie, gdzie pracował w Monopolu Solnym i wykładał w szkole górniczej. Opracował wówczas memoriał, dla konspiracyjnej organizacji polskich inżynierów górniczych, w sprawie zorganizowania po wojnie „stanu górniczego”. Po wyzwoleniu zorganizował w Katowicach Państwową Szkołę Górniczą i do 1948 r. był jej dyrektorem. Do 1950 r. pełnił funkcję zastępcy kuratora państwowych pól górniczych, a potem do 1954 r. pracował w Głównym Instytucie Paliw Naturalnych. Zaprojektował obowiązujący do dziś wzór godła górniczego.

z jego „skryptu”, który w postaci kilku kartek odziedziczyłem. Wykładał gawędząc, od czasu do czasu korzystał z kredy, rysując na przykład róg jeleni i ukazując w jego kształcie (po obróbce) – kształt kilofa. W gawędach wykorzystywał przestudiowaną, niemieckojęzyczną literaturę przedmiotu, a także liczne wiadomości, zdawałoby się z odległych dziedzin (np. rozwój żeglugi śródlądowej). Robił odległe aluzje (o pochodzeniu języków), nawiązywał do czasów współczesnych.

W okresie powojennym, od lat 60. ubiegłego wieku, w ramach przedmiotów kursowych nie było historii górnictwa. Propagował ją głównie podczas zebrań licznych „górnicznych” studenckich kół naukowych. Mówił głównie o górnictwie krzemienym, epoce brązu i początkach żelaza. Pokazywał jak stosunki społeczne kształtowały zawód i pozycję górnika. Czuć było w tym wywodzie nieco dialektyki materialistycznej, ale słuchało się go z ogromnym zainteresowaniem. Jeśli dzisiaj ja staram się jakoś kontynuować jego działania to „podświadomie” idę tropem jego myśli.

Drugą miłością profesora było organizowanie i prowadzenie tradycyjnych uroczystości górniczych. A przyszło mu to robić w czasach, w których św. Barbarę zastępowano robotniczym świętem górniczym. Wzory czerpał z uroczystości przedwojennych, zaszczerpionych przez polskich słuchaczy uczelni zaborców, głównie austriackich.

Tradycyjnie uroczystości obejmowały „skok przez skórę”, „pochód lisów” i „karcznię (profesor, uzasadniając historycznie mówił – knajpa) piwną”. (Szerzej o nich odrębnie). Skok przez skórę prowadził opasany nią, salutując paradnym kilofkiem. Pełnił funkcję mistrza ceremonii, starosty górniczego. Odbywał się on dwukrotnie, po uroczystej akademii w auli, w cudownej scenerii holu A-0 i w skróconej formie podczas karczmy. Pochód lisów prowadził najpierw na koniu (ostatni raz spadł z niego w Olkuszu), potem w pierwszej dorożce z rektorem. Ale najprzyjemniejsze chwile przeżywał pełniąc funkcję prezesa „wysokiego a w sprawach piwnych nigdy nieomylnego prezydium” podczas karczmy piwnej. Jej rozpoczęcie wykorzystywał do przypomnienia rodowodu tego zwyczaju. Nigdy nie korzystał z żadnego scenariusza, a obrady prowadził „posiłkując się” kontrapunktami, którymi byli profesorowie. Treścią wymiany zdań pomiędzy prezesem a kontrapunktami były aktualności życia uczelnianego, przypomnianie wydarzeń, w których profesura niekoniecznie błyszczała, „przypinanie łątek” funkcyjnym. Pamiętam parę profesorską złożoną z Z. Ma-

ciejasza – na jednej tablicy i J. Sulimę-Samujłło¹³⁸ – na drugiej. Wszystko to było bogato okraszone pieśniami i dowcipami. (Najlepsze, „żydowskie” opowiadał prof. Z. Maciejasz). Używano łaciny (dosłownie i w przenośni), ale tej drugiej z dużym umiarem nigdy nie popadając w wulgaryzmy. Był oczywiście główny konkurs w picu piwa (przemysł – Uczelnia) o uczestnictwo, w którym trzeba się było specjalnie starać, bowiem przynosiło to zaszczyt. Wielokrotnie przepijano zdrowie prezesa i innych notabli. Karczmę kończyła „anarchia piwna” i... „dożynki” w gabinetach pracowników.

Propagowanie tradycji górniczych przeniósł do przemysłu, chyba najpierw, około połowy lat 60. ubiegłego wieku – do kopalń olkuskich. Wychował tam „przynajmniej” czterech wybitnych następców¹³⁹. Oczywiście największym więciem cieszyła się karczma piwna.

I tutaj jedno z większych zaskoczeń jakie przeżyłem z profesorem. Spotkawszy nas (oprócz mnie Marka Dydeckiego i Jacka Postawy) na uczelnianej uroczystości barbórkowej zaprosił nas na karczmę do kopalni „Jaworzno”, którą miał prowadzić¹⁴⁰. Jadą samochodem i słyszę: „phroszę panów to teraz chciałbym trochę poinstruować panów jak będziemy tę karczmę prowadzić”. Zdębiałem i wydusiłem z siebie: „my? W jakim charakterze?” „No konthropunktów”! Resztę podróży spędziłem pocąc się obficie. Trochę lepiej czuł się Marek, a najlepiej Jacek, który od razu przesądził: „to wy będziecie w tablicach a ja będę pomagał”. Pierwszy (i ostatni) raz w życiu uczestniczyłem w karczmie, która („znaj proporcję mocium panie”) swoiście przeszła do historii kopalni. Jeszcze kilka lat później w tej zaprzyjaźnionej kopalni na mój widok ją (dobrze)

¹³⁸ **Prof. Julian Sulima-Samujłło** urodził się 6 kwietnia 1907 r. w Warklanach. W 1939 r. ukończył Wydział Górniczy Akademii Górniczej w Krakowie. W czasie studiów od 1934 r. do wybuchu II wojny światowej był asystentem w Katedrze Geodezji i Miernictwa Górniczego na Wydziale Górniczym. Do pracy w AG wrócił po wojnie, gdzie został starszym asystentem w Katedrze Geodezji i Miernictwa Górniczego na Wydziale Geologiczno-Mierniczym. Od 1946 r. podjął pracę w przemyśle. W 1951 r. powrócił na Uczelnię jako wykładowca na Wydziale Górniczym. W 1955 r. został zastępcą profesora w Katedrze Eksploatacji Złóż Wydziału Górniczego, następnie docentem, kierownikiem Katedry Górnicztwa Odkrywkowego, zastępcą dyrektora Instytutu Górnicztwa Odkrywkowego. W 1967 r. otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego. Był jednym z organizatorów Katedry Górnicztwa Odkrywkowego. W latach 1956–1960 i 1964–1966 prodziekanem Wydziału Górniczego AGH. Zmarł 5 kwietnia 1985 r. w Krakowie.

¹³⁹ Inżynierowie: J. Fudali, J. Niewdana, J. Śliż i W. Urban.

¹⁴⁰ Z czasem prowadzenie karczm górniczych w przemyśle stało się niezwykle intratnym zajęciem, również dla pracowników AGH.

wspominano. W stresie, umiejętnie prowadzeni przez Prezesa, w szermierce słownej, wzbiliśmy się z Markiem na wyżyny, nieosiągnięte nigdy później, bo za tą pierwszą (z moim współprowadzeniem) poszło kilka następnych, jak na przykład w jakimś zjednoczeniu w Warszawie(?!).

Pisząc o profesorze (niech ilość wierszy, jakie mu poświęcam, a ograniczam się, zaświadczy jaką w historii Uczelni był postacią) nie sposób nie przypomnieć jego (z nami i studentami) działań związanych z poszukiwaniem pozostałości po górnictwie rud żelaza w Bieszczadach w czasach Fredrowskich.

W 1976 r. do profesora zgłosił się inżynier mający kontakty w Bieszczadach z informacją, że odnalazł ślady starej huty w Cisnej, a w okolicznych lasach są ślady robót górniczych. Dla profesora były to informacje nowe. Namówił nas na zorganizowanie tam letniego obozu studentów. Wybraliśmy się z naszym kołem („Filar”) w składzie: profesor (73-letni, świeżo ożeniony¹⁴¹), M. Dydecki, J. Postawa i ja oraz 12 studentów. Młodzież pojechała środkami publicznymi, starszyzna – uczelnianą Nyską, wioząc sprzęt biwakowy. Prowadzeni przez profesora wstąpiliśmy do browaru w Okocimiu, gdzie jego znajomy sprzedał nam kilka transporterów wspaniałego – eksportowego – „fula”. W tamtych latach, kiedy z nieznanych powodów, piwo było napojem wyklętym, owe transportery były czymś bezcennym. Aby skończyć wątek piwa. Profesor objął nad nim pieczę. „Odliczywszy” dla siebie po jednej butelce na dzień przeliczył, że na pozostałych uczestników wypada butelka na dwa dni. Zarządził – „można kumulować i po 4 dniach wypić dwie, ale nie ma picia na kredyt”. *Dura lex sed lex!*

Wracam do obozu, o efektach (wtedy „nowatorskich”¹⁴²) powiem tylko, że znaleźliśmy (po śladach żużla) miejsce, gdzie w Cisnej była fryszlerka, kilka miejsc, gdzie kopano rowy i sztolnie (eksploatacyjne czy poszukiwawcze – nie wiadomo) oraz kila wyrobów (krzyże cementarne i ogrodzenia grobów) wykonane z miejscowego żelaza. Z perspektywy 40 lat wiem, że nasza ówczesna wiedza nie pozwoliła na pójście dalej, jednak wtedy wydawało się nam, że odkryliśmy Bóg wie jak wielką ciekawostkę z historii techniki¹⁴³. Ciekawsze było zachowanie starszego pana mieszkającego w dwuosobowym namiocie. Dzień

¹⁴¹ Na dyskretne pytanie: „panie profesorze, po tylu latach w stanie kawalerskim, po co to było”? – usłyszałem: „bo phrosze ja was jak przyjdą stahre lata to człowiekowi nie będzie miał kto podać szklanki wody”.

¹⁴² Dzisiaj w internecie są całe strony poświęcone tej tematyce.

¹⁴³ Nie wiedzieliśmy choćby tego, że o bieszczadzkich hutach w swych pamiętnikach (*Trzy po trzy*) wspomina hr. Aleksander Fredro.

zaczynał się od okrzyku: „cholehro włącz whreszcie”! W pierwszy dzień konsternacja – co się dzieje. Okazało się, że profesor ma problemy z włożeniem gumiaków. Kiedy wreszcie się uporał, wyczołgiwał się z namiotu bez koszuli, z miednicą ręcznikiem, mydłem i zestawem szczotek. Nabrawszy do miednicy wody z potoku przystępował do porannych ablucji. Najciekawsze było to do pielęgnacji wąsów miał specjalną szczotkę! Po śniadaniu my wychodziliśmy w teren, profesor zostawał w obozie. Nawiązywał kontakty z przechodniami, co skutkowało poszerzeniem naszych informacji. Nawiązał też kontakt z druhnami z sąsiedniego obozu, które dowiedziawszy się od studentów, z kim mają do czynienia, umówiły się z nimi na wieczorną gawędę. Byłem świadkiem tej rozmowy, harcerka: „ale na jaki temat pan profesor będzie mówił”? „Ja (odpowiedź) mogę mówić na każdy, o rozwoju żeglugi śródlądowej też”.

Moje ostatnie spotkanie z profesorem miało miejsce w szpitalu w marcu 1992 r. Pogadaliśmy o tym, co nowego na Uczelni i umówiliśmy się na kolejne spotkanie, po wyjściu ze szpitala, w domu. „Wiecie kolego ja już nie będę, bo mi lekarze i żona nie pozwalają, ale was oczywiście poczęstuję dobrym okocimem” – i to były ostatnie słowa, jakie od niego usłyszałem. Kilkanaście dni potem towarzyszyłem mu na Rakowicach w „ostatnim zjeździe”.

Rozpisałem się, ale myślę, że profesor Witold Żabicki był wzorem profesora – dydaktyka. Jego wpływ na studentów i „przemysł”, na krzewienie w nim kultury technicznej i kultury codziennego bycia (myślę, że kodeks Boziewicza znał na wyrywki) był nie do przecenienia. Nie znam też sytuacji, w których pieniądź byłby dla niego ważniejszy od uczciwości. Nie znam też sytuacji, w których wykorzystałby liczne przecież znajomości dla osiągnięcia osobistych korzyści. Cecha zamierająca w pokoleniach, mego naukowego otoczenia! To może dziwne, że spośród wcześniej przywołanych „moich” profesorów, ten (W.Ż.) miał praktycznie zerowe osiągnięcia naukowe. Jestem jednak przekonany, że jego wpływ na pokolenia studentów był wielokrotnie większy niż tych z nagrodami za tworzenie nauki. I (oczywiście przesadzając) myślę, że zwłaszcza dzisiaj, kiedy dydaktyków – profesorów ocenia się biorąc pod uwagę ilość punktów za publikację, a nie za to jakich wypuścili inżynierów, jest on wzorcem, do którego będę wracał.

Kończę opis moich profesorów. Oczywiście nie wyczerpują listy wszystkich, którzy na mój rozwój przecież nie tylko naukowy, wywarli wpływ. Powinienem (z pokolenia „starszego”) wspomnieć jeszcze dwóch, których bardzo ceniłem, choć nie byli mymi mistrzami.

Pierwszym jest przywoływany wcześniej dziekan i rektor, **prof. Henryk Filcek**¹⁴⁴. Był dla mnie wzorem dydaktyka i świetnego organizatora. Należał również do tych, którzy doskonale potrafili programować swoją karierę, choć w tej kwestii nie jestem pewien czy wszystkie metody zasługują na rekomendację. Pamiętam jak kiedyś, kiedy stosowna instytucja zaleciła mu „powiększenie dorobku” (starał się o kolejny awans naukowy), na najbliższej konferencji, którą organizowała jego Katedra, na kilkanaście opublikowanych referatów tylko w dwóch nie był współautorem. Jako rektor przeszedł do historii przywracając gmachowi głównemu Uczelni figury górników i hutników.

Drugim, którego również przywoływałem, jako świetnego dydaktyka i miłośnika piwa, jest **doc. dr inż. Stanisław Korman**¹⁴⁵. Pomimo bardzo dobrej podstawy, bo doktorat realizował w kluczowej (wtedy dla krakowskiej szkoły geomechaniki) tematyce stanu naprężeń wokół wyrobisk ścianowych, nie zrobił kariery naukowej. Uzyskanie etatu docenta pozwoliło mu pracować stabilnie.

¹⁴⁴ **Prof. dr hab. inż. Henryk Zbigniew Filcek** urodził się 9 listopada 1928 r. w miejscowości Niemczyk. Studia odbył w latach 1947–1952 na AGH. Pracę w AGH rozpoczął jeszcze w trakcie studiów, w 1949 r. Doktoryzuje się u prof. A. Sałustowicza (1960). Habilitował się w 1965 r. W 1971 r. został profesorem nadzwyczajnym, a w 1978 r. profesorem zwyczajnym. Działacz PZPR. Był kierownikiem Katedry Mechaniki Górniczej (1967–1969) i dyrektorem Instytutu Geomechaniki Górnictwa (1969–1982). W latach 1966–1969 był prodziekanem, a w latach 1969–1972 dziekanem Wydziału Górniczego AGH. Następnie pełnił funkcje prorektora (1972–1974) i rektora (1975–1979) AGH. Specjalista z zakresu geomechaniki. Był autorem i współautorem ponad 100 prac naukowych w tematyce geomechaniki górniczej. Zmarł 2 marca 2011 r. w Rzęsce k. Krakowa. W przeciwieństwie do innych rektorów czasów PRL-u został pochowany na cmentarzu parafialnym w Rzęsce koło Krakowa, a nie na Cmentarzu Rakowickim.

¹⁴⁵ **Doc. dr inż. Stanisław Korman** urodził się 15 listopada 1908 r. w Milówce k. Brzeska. Najpierw studiował mechanikę na Politechnice Lwowskiej. Po odbyciu służby wojskowej przenosi się na Wydział Górniczy AG, gdzie w 1937 r. uzyskuje absolutorium. Przed wojną pracował w przemyśle (budowa zapory w Czchowie, kopalnia „Eugeniusz” na Zaolziu). Zmobilizowany odbywa kampanię wrześniową (od Tych do Lwowa). W czasie okupacji podobnie jak prof. W. Żabicki pracuje w browarze w Okocimiu i warsztacie mechanicznym w Brzesku. Działa w AK. Od 1945 r. zatrudniony w Akademii Górniczej w Krakowie jako asystent, starszy asystent, adiunkt. Dyplom ukończenia studiów uzyskuje w 1946 r. W 1958 r. doktoryzował się u prof. A. Sałustowicza, w 1959 r. został docentem. Od 1954 r. był zastępcą kierownika Katedry i Zakładu Mechaniki Górniczej, a w latach 1966–1974 kierownikiem Zakładu Mechaniki Gruntów. W latach 1954–1956, 1960–1964 był prodziekanem Wydziału Górniczego. Autor publikacji z dziedziny geomechaniki i mechaniki gruntów, promotor 8 prac doktorskich. W 1979 r. przeszedł na emeryturę. Zmarł 22 stycznia 1985 r. w Krakowie.

Pracował z młodą kadrami pełniąc funkcję promotora. Głównie jednak poświęcił się dydaktyce. To od niego nabrałem przekonania, że wykładowca powinien prowadzić ćwiczenia z jedną grupą. Pozwala to na doskonałą weryfikację przyswajalności wykładu. Niestety, z latami musiałem z tego zwyczaju zrezygnować. Oprócz dydaktyki udzielał się w administrowaniu pełniąc funkcję prodziekana i kierownika punktu konsultacyjnego studiów zaocznych. Przeszedł do historii Uczelni jako jeden z większych oryginałów. O rzucaniu indeksem pisałem. Inne anegdoty (zasłyszane) dotyczą sposobu urzędowania jako prodziekan. Przychodzi student z podaniem dotyczącym przedłużenia sesji. Słyszy: „dawaj pan ten papier” i widzi jak ręka profesora grzebie w wysuniętej co nieco szufladzie. Wyjęta gwałtownym ruchem zawiera wybraną „na chybił trafił” pieczętę, która równie gwałtownie zostaje odcisnięta na podaniu. Stasiu (bo tak go pieszczotliwie studenci nazywali) cieszy się niezmiernie, jeśli jej treść to: „zapis unieważniono”, lub „umundurowanie wydano”! Inna opowieść głosi, że jako zastępca kierownika Katedry pisał do dziekana podanie o materiały biurowe. Jako dziekan podanie, „z braku środków” rozpatrywał negatywnie.

Tyle o moich „starych” mistrzach. Jakże inni byli od nas, „mistrzów” dla naszych następców. Po pierwsze byli autentycznymi autorytetami i pozycję tę (poza nielicznymi wyjątkami) zawdzięczali głębokiej wiedzy i pozycji na wydziale oraz w przemyśle. Po drugie charakteryzowała ich (bez wyjątku) kultura osobista. Po trzecie udział w ich karierze czynników pozamerytorycznych był generalnie jednostkowy. Niestety, ale wtedy wydawało się to normalne, wykorzystywali dość często młodą kadrami do zastępstw na zajęciach i egzaminach. Niestety (również) to za ich czasów rozpoczęła się plaga dopisywania się do publikacji podwładnych. Pewno, można powiedzieć, że zastępstwa, czytanie (za dopisanie) publikacji miały charakter doksztalcania, ale będzie to (jednak) tłumaczenie nieco naciągane. Jednak mimo, że niektórzy „tamte” stosunki nazywają feudalnymi, sądzę, że głównie stała za nimi jeszcze średniowieczna maniera mistrz – uczeń. Może (w jakimś stopniu) nieźła. Z pewnością do zwyczajów feudalnych należy zapisać takie zwyczaje świadczone przez pracownika technicznego swemu profesorowi, jak przedświąteczne trzepanie dywanów, czy pilnowanie nowego mercedesa w czasie, kiedy właściciel – kierowca przebywał w urzędzie (autentyczne!). To, jako ciekawostka charakteryzująca czasy realnego socjalizmu, niemająca nic wspólnego z układem mistrz – uczeń.

Habilitacja zawieszinowa

Tradycja nadawania habilitacji – stopnia pośredniego pomiędzy doktorem i profesorem, jako stanowiska akademickiego – powstała w uniwersytetach pruskich na przełomie XVII i XVIII wieku. Uprawiała ona do samodzielnego prowadzenia wykładów, nauczania i prowadzenia badań naukowych w uczelniach akademickich (stąd i dziś używane określenie „samodzielny pracownik nauki”), ale w przeciwieństwie do profesora docent (po habilitacji) nie miał prawa do własnej katedry. W XIX wieku habilitacja upowszechniła się w Niemczech. W Polsce do II wojny światowej było podobnie, czyli habilitacja pozwalała na prowadzenie wykładów bez prawa do katedry. Nie istniał jednak stopień naukowy doktora habilitowanego tylko tytuł docenta. Po wojnie habilitacja traktowana była jako uprawnienie dotyczące nauczania na danej uczelni. W 1951 r. wprowadzono system sowiecki, w którym Radę Wydziału pozbawiono prawa nadawania tego stopnia. Wprowadzono, zgodnie z sowiecką terminologią, stopnie „kandydata nauk” i „doktora nauk”. W 1958 r., w ramach „odwilży”, zastosowano salomonowe rozwiązanie – zachowano strukturę stopni naukowych wzorowaną na sowieckiej, ale nadano im nazwy zgodne z polską tradycją. Stopień kandydata nauk zaczęto więc określać mianem stopnia doktora, zaś stopień doktora nauk mianem stopnia doktora habilitowanego. Reaktywowano również tytuł docenta (w miejsce zastępcy profesora), do którego uzyskanie habilitacji było wymagane. Po wydarzeniach 1968 r. przywrócono stanowisko docenta bez habilitacji. Od 1990 r. zniesiono to stanowisko, ale wprowadzono obowiązek habilitacji dla adiunktów. Na tym stanowisku można było

być jednak tylko przez czas określony. Wprawdzie Senat AGH okres ten określił na 40 lat(!), niemniej pojawiły się ograniczenia mnie obowiązujące.

Po co o tym tyle piszę, ano dlatego, że, po pierwsze wielokrotnie wcześniej pisałem o zastępcach profesora, docentach – kim oni byli – powyżej. Po drugie, jak uzasadnię na końcu rozdziału, sądzę, że (przy pewnych modyfikacjach doktoratu i tytułu profesora) z habilitacji moglibyśmy dziś zrezygnować.

Ale po kolei. Zrobiwszy doktorat dalej „wierny” byłem odpadom. Wobec odstawienia nas przez Szefa weszliśmy (Marek Dydecki, Jacek Postawa¹⁴⁶) w układ z Jurkiem Kickim¹⁴⁷ (dr inż.), który pod kierunkiem prof. S. Takuskiego realizował prace na zlecenie kopalń rud. Włączyliśmy się w duży temat dotyczący wykorzystania odpadów z kopalń rud, w tym do wypełniania pustek podziemnych. Wyniki stanowiły przedmiot kilku artykułów i publikowanych referatów za granicą. To miało procentować przy habilitacji.

Tak się jednak potoczyło, że nadal głównym moim tematem miały być odpady elektrowniane. A było to tak. Na przełomie lat 70. i 80. ubiegłego wieku przyjechał do nas znajomy żony Szefa – inżynier Jerzy Kmiecik. Z wykształcenia chyba chemik, ale „zakochany” w odpadach energetycznych. Przywiózł pomysł, by idąc śladem zespołu energetyków zająć się zastosowaniem w kopalniach, wymyślonego przez nich „emulgatu” (do końca nie dał się przekonać by

¹⁴⁶ **Dr inż. Jacek Postawa** urodził się w 1945 r. w Krakowie. W 1971 r. kończy Wydział Górniczy. Pracuje ze mną od początku w Zakładzie doc. S. Ropskiego. Doktorat pisze z techniki strzelniczej u prof. Z. Maciejasza w 1980 r. Specjalista z techniki strzelniczej, w tym wyburzania obiektów oraz badań jakości obudowy w szybach. Emerytura od 2011 r. Drugi (obok Zbyszka Piotrowskiego) mój wieloletni przyjaciel „z pracy”.

¹⁴⁷ **Dr inż. Jerzy Kicki** urodził się w 1948 r. w Miechowie, później mieszkał w Radomiu. W trakcie studiów działacz ZSP, aktywny w reformowaniu PZPR w okresie „Sierpnia 1980”. Absolwent Wydziału Górniczego (1972). Doktorat u prof. S. Takuskiego (1981). Równoległe z pracą w AGH podejmuje zatrudnienie w (Zakładzie) Centrum Podstawowych Problemów Gospodarki Surowcami Mineralnymi i Energią PAN (od 1998 r. Instytut Gospodarki...) utworzonym przez prof. R. Neya. Tam uzyskując samodzielne stanowisko (kierownik Zakładu) oraz swój zespół rozwija skrzydła. Rewelacyjny organizator i (chyba) rekordzista na wydziale, jeśli chodzi o ilość publikacji (kilkaset). Na wydziale, w latach 1999–2002 pełnił funkcję prodziekana. Współzałożyciel Fundacji „Nauka i Tradycje Górnicze”. Główny animator najważniejszej na przełomie XX/XXI wieku wielotematycznej, międzynarodowej konferencji górniczej: Szkoła Eksploatacji Podziemnej i wielu innych. W latach 70. i 80. ubiegłego wieku organizuje studenckie „wyprawy” za granicę (Japonia, Indie, Skandynawia, Chiny – w dwóch ostatnich brałem udział). Z nieznanych powodów nie zrobił habilitacji.

zrezygnować z tego określenia). Z punktu widzenia nauki o płynach, była to zawiesina, w której fazą ciekłą była woda, a stałą popiół lotny. Pomysł zespołu pojawił się w trakcie poszukiwania sposobu ograniczenia ilości wody używanej do transportu popiołu na składowisko. Ponieważ popiół jest trudnozwilżalny, w klasycznej hydromieszance na 1 m³ popiołu potrzeba było kilka m³ wody. Na składowisku popiół sedymentował, a oczyszczoną wodę zwracano do elektrowni. Ilości koniecznej wody komplikowały technologię i istotnie podnosiły koszty. Na dodatek, na Śląsku, gdzie zlokalizowano gros elektrowni zaczynało brakować terenów pod składowiska. Stąd zaczęto również poszukiwać jego zastosowań. Siłą rzeczy oczy poszukujących zwróciły się na pustki poeksploatacyjne, zresztą po raz drugi¹⁴⁸. Pomysł „emulgatu”, opracowany dla potrzeb budowy nowych składowisk odpadu i badany w Elektrowni Łagisza różnił się tym, że w miejsce (bardzo rozwodnionej) hydromieszanki, z zastosowaniem mieszadeł mechanicznych sporządzano zawiesinę, w której na 1 m³ wody dawano od 1 do 2 m³ popiołu. Utworzona płynna zawiesina przechodziła z czasem w stan plastyczny, później w ciało stałe. Proces ten odbywał się bez odsączania się wody. Aby jednak utworzyć zawiesinę do „połączenia” popiołu z wodą trzeba było wydatkować energię. W takiej formie możliwość podania odpadów do pustek podziemnych wydawała się całkiem realną¹⁴⁹.

Działania poszły dwutorowo. Szef rozpoczął dyplomację. Odbył rozmowy z wiceministrem Górnictwa i Energetyki, swoim kolegą, mgr inż. M. Gustkiem. Uzyskawszy akceptację („zgodził” się wejść do patentu jako twórca!) rozpoczęliśmy jego opracowywanie. Wybitnym rzecznikiem patentowym tamtego okresu w AGH był mgr S. Skompski, znajomy Szefa. To on podjął działania i był

¹⁴⁸ Pierwsze podejście górnictwa do wykorzystania popiołów lotnych do podsadzki miało miejsce w latach 70. minionego wieku, kiedy to na polecenie wiceministra Górnictwa i Energetyki do kopalni bytomskiej przywieziono popiół lotny, wsypano do zbiornika podsadzkowego i „zmyto” do otamowanych zrobów. Jak było do przewidzenia w nich nie zostało nic, a cały materiał wraz z odprowadzaną wodą podsadzkową osadził się w ściekach chodników.

¹⁴⁹ Poświęć tej problematyce więcej miejsca, bo bez przesady, z perspektywy ponad 30 lat technologia zawiesinowa wydaje się być na miarę technologii podsadzki hydraulicznej. Tak jak ja zresztą widział prof. A. Lisowski. Jako dająca szanse na łatwe pieniądze obrosła wieloma pseudowynalazkami, była również podbierana przez zagranicę. Uczestniczyłem w badaniach służących jej opracowaniu, wdrożeniu i rozpowszechnieniu, stąd ośmielam się przedstawić tutaj stan faktyczny.

faktycznie fachowcem. W wyniku wielokrotnych konsultacji powstał patent (124412) zgłoszony w sierpniu 1981 r. (opublikowany w 1984 r.). Z niewiadomych powodów, jako współtwórca wystąpił w nim kolega Szefa („inteligentny adiunkt”) dr inż. Zbigniew Jura¹⁵⁰. Ze strony górników Szef wytypował siebie i mnie. Ze strony energetyków, oprócz inż. J. Kmiecika wystąpił drugi (oprócz M. Gustka) wiceminister Górnictwa i Energetyki, odpowiedzialny za energetykę – mgr inż. Stanisław Kuś oraz dyrektor Zakładów Energetycznych Oddziału Południe (L. Skrzypek) i dwóch inżynierów opracowujących system sporządzania zawieszin (J. Kazek i F. Kopański).

Drugi tor, to badania. Pomyślałem o Zbyszku Piotrowskim i w tym przypadku okazał się to „strzał w 10”. Był z pewnością najlepszym fachowcem od oznaczeń własności odpadów i zawieszin na długo przed uzyskaniem doktoratu i habilitacji. Dzięki energetykom uzyskaliśmy wsparcie finansowe. Pełny program badań doprowadził do opracowania koncepcji połączenia Elektrowni Łagisza (była tam „ćwierćtechniczna” stacja sporządzania zawieszin) z kopalnią „Generał Zawadzki”. Odległość pomiędzy stacją a szybem Walery wynosiła około 1,5 km, co pozwoliło na stosunkowo proste połączenie rurociągiem. Dzięki „protektoratowi” dwóch wiceministrów wdrożenie ruszyło „z kopyta”. W efekcie pierwsze metry szczęsne zawiesziny, które ze stacji jej sporządzania w Elektrowni Łagisza dopłynęły do szybu Walery, znalazły się w specjalnie otamowanych zrobach z początkiem 1984 r. Na wyścigi, na drugi dzień pędziliśmy ze Zbyszkiem (Piotrowskim) do rejonu eksperymentu. Obok nas szedł (m.in.) dyrektor kopalni mgr inż. E. Dłużewski. Wysuwając przed nas kilofek sztygarski, powściągnął naszą ciekawość: „hola, hola, tu ja jestem gospodarzem i ja prowadzę” – usłyszeliśmy. Tak, skutecznie do dziś, zyskałem naukę o prawach gospodarza. Zawieszina spełniła naszą nadzieję i potwierdziła wyniki uzyskiwane w laboratorium, a dla polskiego (i nie tylko) górnictwa rozpoczął się niezwykle ważny etap.

Udało się. Teraz trzeba było zyskiwać kolejnych sojuszników, bo dwaj wiceministrowie nie wyczerpywali grupy zainteresowanych. Pierwszym był ówczesny dyrektor zjednoczenia, mgr inż. F. Gaździk (druga jego ważna funkcja to prezes „Zagłębia”, co nakładało na niego liczne obowiązki, w tym delego-

¹⁵⁰ **Dr inż. Zbigniew Jura** urodził się w Krakowie w 1930 r. Studia i dalsza kariera: Wydział Górniczy AGH (1955), doktorat u prof. S. Knothego (1963). Specjalista z aerologii, prekursor badań jonizacji powietrza w kopalniach soli.

wanie dyrektora kopalni do „załatwiania” meczu. Górniczy klub, w najgorszej sytuacji nie mógł spaść z I ligi). Ale to dygresja. Wracając do zasadniczego wątku. Można było „zawiązać” zespół „pracujących” przy wdrożeniu nowej technologii. W jego skład, „z klucza”, wchodził Zbyszek. Zespół miał oczywiście ustawowe gratyfikacje od uzyskanych „efektów wdrożenia” (liczonych w kopalni, której dyrektor i... byli członkami zespołu). Załatwiwszy tę ważną sprawę można było jechać z meldunkiem do ministra. A był to stan wojenny i ministrem był generał Czesław Piotrowski („wujek Czesiek” – jak o nim mówiliśmy, mając na względzie nazwisko Zbyszka). Jest to jedyny, znany mi przypadek, w którym stan wojenny i generał stojący na czele resortu autentycznie wniósł ogromny wkład w rozwój technologii. Okazał się być inteligentnym, w lot pojął, o co chodzi i zobaczył korzyści dla energetyki i kopalni. Natychmiast zaakceptował następny eksperyment, już na skalę w pełni przemysłową. Miał on miejsce w kopalni „Brzeszcze”. I tutaj, po raz pierwszy popiół do kopalni dostarczano cementowagonami, pneumatycznie przeładowywano go do zbiornika, skąd również pneumatycznie wędrował do mieszalnika i rurowciągiem do zrobów. Zastosowano mieszalnik przepływowy (i tu trzeba było stoczyć bój z energetykami, którzy upierali się przy dwóch cyklicznych przemiennych mieszalnikach), w którym mieszanie mechaniczne wspomagano barbotażem powietrznym. W kopalni doszło do „historycznego” spotkania Piotrowskich. Generał dowiedziawszy się, że Zbyszek to też Piotrowski, wziął go pod rękę i potraktował jako osobistego przewodnika. Oficjele resortowi i partyjni byli wściekli. W głowie im się nie mieściło, że nie oni będą „grać pierwsze skrzypce”. I tak zostało, ilekroć generał spotykał Zbyszka mówił: „witam kuzyna”. Z czasem niektórzy zaczęli wierzyć, że coś w tym jest. Procentowało to Zbyszowski znacznie łatwiej otwierały się przed nim drzwi w przemyśle. A w naszym duecie, na nim spoczywała rola organizatora części formalnej.

Piszę te słowa kilka miesięcy po jego przedwczesnej śmierci. Muszę poświęcić mu trochę miejsca. **Dr. hab. inż. Zbigniewowi Piotrowskiemu – prof. AGH** był osobą, która na mój rozwój (i naukowy) wywarła ogromny wpływ. Poznaliśmy się 45 lat temu. On dyplomant realizujący badania do pracy, ja, uczestnik asystenckich studiów przygotowawczych. Spotkaliśmy się w laboratorium i od razu przypadliśmy sobie... i tak zostało do śmierci. Z urodzenia był lublinianinem. Po ukończeniu szkoły podstawowej przyjechał do Krakowa, gdzie ojciec dostał pracę. Tu uczęszczał do VIII Liceum im. Stanisława Wyspiań-

skiego. Po zdaniu matury wraz z jednym z kolegów postanowił zostać wiertnikiem. Tak trafił na Wydział Górniczy AGH. Po praktyce robotniczej odbytej w kopalni bytomskiej zmienił jednak zdanie i został górnikiem. Jak całe późniejsze życie, gdy się do czegoś zapalił to na 200%. W trakcie nie zawsze ciekawych studiów wciągnął się w działalność koła naukowego. Szczególnie zainteresowała go praca w laboratorium. Po latach, jak wspominałem, będzie jednym z najlepszych w projektowaniu badań własności mineralnych materiałów odpadowych, w interpretacji ich wyników. Ostatnie zajęcia ze studentami to właśnie laboratorium z zagospodarowania odpadów wydobywczych i energetycznych. A przecież miał już etat profesora i do laboratorium mógł „posyłać” innych.

Kończąc studia pracę dyplomową wykonuje pod kierunkiem doc. dr inż. Karola Drzewieckiego. Ten wykorzystując zdolności manualne dyplomanta zleca mu oryginalny temat oparty o badania laboratoryjne. Ich wyniki opublikowaliśmy wspólnie. Była to pierwsza publikacja z całej serii pisanych potem razem przez bez mała 45 lat.

Po studiach, doceniając zdolności świeżo upieczonego mgr. inż., jego promotor, wspólnie z dyrektorem Instytutu (prof. Z. Maciejaszem) zaproponowali mu asystenturę. Negatywna opinia grupowego instytutowego PZPR, zablokowała drogę naukową. Dzięki sympatii, jaką podczas życia studenckiego zyskał u starszego kolegi – Tadka Popardy – „załapał się” do tworzonoego wtedy przez niego Ośrodka Badań Naukowych i Współpracy z Przemysłem AGH. Po kilku latach zostaje zastępcą kierownika. Można by rzec – zrobił karierę urzędniczą.

Jako urzędnik pozostał wierny badaniom laboratoryjnym. W ramach „gospodarstw pomocniczych”, w swym dyplomującym instytucie, uczestniczył w realizacji pierwszego, z długiej serii, tematu odpadowego (to z niego robiłem doktorat). Kiedy w 1980 r., podczas reformy struktur AGH ograniczano centralę OBR-u, Zbyszkowi udało się trafić do siebie, czyli macierzystego Instytutu Górnictwa Podziemnego. Tu, jako pracownik techniczny, w rok zbudował wspańiałe laboratorium dydaktyczne dotyczące eksploatacji soli. Rozwinął również skrzydła naukowca. Wspólne publikacje (do których niestety trzeba było dopisać przełożonych i dyrektorów – oni zapewniali przychylny układ) dokumentowały tematykę zawieszin. Sypnęły się nagrody, w tym wysokich szczebli (to zasługa przełożonych, bo oni...). W każdej z nich był Zbyszek mimo, że formalnie był wtedy skromnym pracownikiem technicznym – specjalistą.

W siermiężnych czasach stanu wojennego nie wytrzymał i wyjechał do Kanady. Tam nabył umiejętności wypiekania pizzy. Jednak tęsknił do syna, żony, pracy, przyjaciół i po ponad roku – wrócił. Przyszły dla nas „złote czasy” (o których nieco dalej). Robiliśmy liczne wdrożenia w kraju, staliśmy się ekspertami Kopex-u, który próbował sprzedawać polski pomysł na odpady. Jeździliśmy na Węgry, do Czechosłowacji, RFN-u, robiliśmy badania na zlecenie Kanady. Konstruując zespoły uczelniano-przemysłowe, zostając ich kierownikiem udało mu się wdrażać ciekawe rozwiązania w wielu kopalniach. Patrząc na niego z podziwem. Role się odwróciły. Ja w tym czasie będąc urzędnikiem w KBN (druga połowa lat 90.) mogłem mu tylko kibicować, choć (przecież nie z kurtuazji) o badaniach, wynikach, efektach, dyskutowaliśmy wiele godzin.

Tych wiele przegadanych chwil spowodowało, że wreszcie dał się namówić na doktorat, „oczywiście” mego promotorstwa. Zajął się w nim zastosowaniem w kopalni nowych odpadów, a w szczególności, nowym (wtedy) ich rodzajem, odpadami z odsiarczania spalin metodami półsuchymi.

Robiąc doktorat w 1998 r., Zbyszek przechodzi na etat adiunkta. Okazuje się, że opowieści niegdysiejszych uczestników korepetycji (udzielał ich z matematyki na studiach i w czasie urzędowania) o jego wspaniałych zdolnościach dydaktycznych nie były przesadzone. Świetnie pracował z młodzieżą, umiał ją zainteresować nawet dziwnymi zagadnieniami (np. „czystsza produkcja”). Umiał też wyłuskiwać spośród młodzieży tych zdolnych, nadających się do pracy w Uczelni. Tak zaczął tworzyć załóżki swojego zespołu.

Prowadził ożywioną współpracę naukową z Instytutem Mechaniki Górotworu i Instytutem Gospodarki Surowcami i Energią PAN, z Głównym Instytutem Górnictwa, Politechniką Śląską oraz z wieloma firmami i kopalniami. I tam pozyskuje przyjaciół i współrealizatorów ciekawych pomysłów (np. problem możliwości dostarczania do podziemnego ogniska pożarowego CO₂ przy wykorzystaniu strugi transportowanej rurociągami zawiesziny popiołowej). Pojawiają się monografie, ma swój udział w zespołowej nagrodzie im. Czeczotta.

Mijają lata. Gromadzi własne publikacje i wiedzę. Daje się namówić na starania o projekt badawczy podsumowującym doświadczenia polskiego górnictwa z zastosowania zawieszin. Nikt inny nie zna problemu lepiej, nikt lepiej go nie zrealizuje. Po jego zakończeniu zaczynamy podchody. „Zbyszek, masz 60-kę, najwyższy czas podsumować życie naukowca habilitacją”. I teraz jak przy doktoracie ociąga się: „co to zmieni, czy przybędzie mi od tego rozumu”? – pyta.

Do końca nie jest pewien „czy to co napisałem jest na odpowiednim poziomie”. Pobłażliwy dla innych, wymagający od siebie. Zasięga opinii u kolejnych znajomych i przyjaciół. Te, z choćby drobnymi uwagami krytycznymi, podsycają jego rozterki: „czy jednak nie dać spokoju”. Na szczęście naciski ze strony paru „autorytetów” odnoszą sukces. Z prawie dwuletnim poślizgiem składa wreszcie pracę (wydana w Archiwum Górnictwa) i wszczyna przewód. Kończy go w 2011 r. sukcesem, jakże inaczej! Stabilizuje się na ostatnie lata pracy. Nie spoczywa na laurach, bo pojawiają się nowe odpady (choćby popiół ze spalania osadów ściekowych), znajduje doktoranta, otwiera mu przewód. Nie jest mu dane go dokończyć, mimo że do końca interesuje się postępami w badaniach. W życiorysie naukowca, w rubryce – ilość wypromowanych doktorów – pozostało „0”, bo przyszedł luty 2014 r. i usłyszał wyrok – rak.

Miał w życiu kilka pasji, które dzielił z pracą. Uprawiając je i tu zyskiwał przyjaciół z różnych środowisk. Kiedyś łaził po górach, łowił ryby i pływał kajakiem. Pod koniec życia „tylko” grywał w tenisa, jeździł na nartach i żeglował. Żeglarstwo było jego największą miłością. I w nim poniósł klęskę. Pomimo dwukrotnych prób na Wielkich Jeziorach nie udało mu się przekonać mnie do takiego spędzania czasu. Nie mógł mi tego darować. Kochał literaturę i muzykę, tę poważną i tę trochę mniej. Na wszystko nie starczało mu czasu. Bo jeszcze nade wszystko starał się pomagać innym. Latami wspomagał przyjaciela dotkniętego przedwcześnie chorobą Alzheimera. Ostatnio dopingował do życia drugiego, z trudem po zawale i kilkutygodniowej śpiączce, wracającego do normalności. Zmarł 10 października 2014 r. i spoczął na cmentarzu w Starym Sączu.

I jeszcze jedno. Od czasu, kiedy zaczęliśmy zajmować się zawieszinami zawiązaliśmy spółdzielnię. Nieważne, kto ile zarobił na zleconych, wdrożeniach, grantach, patentach, wszystko szło do czapki i było dzielone na dwie równe kupki. Nie wiem czy na Uczelni była (jest) druga taka para, poza małżeństwami, a przecież nie byliśmy „związkiem partnerskim”.

Wspomniawszy przyjaciela wracam do drogi, którą doszedłem do habilitacji. Po „Brzeszczach” wdrożenia zaczęły się sypać, ale konkurencja (do pieniędzy) zaczęła działać. W kopalniach rybnickich pojawił się pomysł na tworzenie zawieszin z udziałem odpadów poflotacyjnych. Faktycznie popioły doskonale zagęszczały je, ale takie zawiesziny nie miały własności twardniejących. Aby je uzyskać dodawano cementu. W jednej z firm zajmujących się zagospodarowaniem popiołów zamiast zawieszina, czy emulgat, zaczęto stosować nazwę „suspensja” i udawać, że to coś innego. To tylko przykłady. Najdziwniejsze, że nie-

którym wielkim z naszego zespołu nie przeszkadzało wchodzić w skład również innych, niejako konkurencyjnych zespołów – *pecunia non olet*. I tak jechał wózek z PRL-owskimi wdrożeniami. Pojawiła się delegacja z RFN-u. Pooglądała (a nasi od handlu zagranicznego chcąc zyskać ich sympatię pokazali o wiele za wiele) i wyjechała. A że patent nie obejmował zagranicy, po roku w Glickaufie ukazał się artykuł o „pastach” wtlaczanych do zrobów. Były to gęste zawiesiny, bez zdolności samotransportu grawitacyjnego, stąd do ich przemieszczania zastosowano pompy tłokowe. Jeździliśmy (jak wspominałem) do Miskolca (tam pracowali polscy górnicy) i proponowaliśmy nasze rozwiązanie. Byliśmy w RFN-ie. Wspólnie z Politechniką Krakowską wykonywaliśmy prace na zlecenie z Kanady. W tamtych czasach pobyt za granicą to same profity. Nawet Węgry, ze znacznie lepiej zaopatrzonymi sklepami to eldorado. O moim życiu zagranicznym – jednak oddzielnie.

System komunistyczny dobiegał końca a ja zbierałem doświadczenie. Od czasów pracy w zespole prof. S. Takuskiego nie dawał mi spokoju problem transportu grawitacyjnego zawieszin, opisywany w publikacjach rosyjskojęzycznych. Mogłem korzystać z podręczników, ale podawane tam formuły miały odnośniki do publikacji lokalnych uczelni, a te były do przeczytania tylko na miejscu. Nic dziwnego, że znając rosyjski zapragnąłem odbyć staż w Moskwie. Po kilku nieudanych próbach zasięgnąłem języka, dlaczego mam odmowy. Okazało się, że brak mi akceptacji KU PZPR. Nie będąc członkiem owej „przewodniej siły” trochę się nie dziwiłem. Jednak mój „informator” doniósł, że to nie oto chodzi, tylko mam konkurenta, który co roku składa wnioski o staż do mniej lub bardziej atrakcyjnych krajów, a że jest członkiem egzekutywy, więc się załapuje. Jednak na tym koniec, nie wyjeżdża! Dyrektorem Instytutu został doc. dr hab. inż. Ryszard Stecko¹⁵¹, też mocno zaangażowany w „robotę partyjną” (w swoim czasie tzw. II sekretarz KU), choć człowiek porządny i niezły naukowiec. Poszedłem, więc do niego z zapytaniem: „czy i co partia ma przeciw mnie, że każdy wniosek

¹⁵¹ **Doc. dr hab. inż. Ryszard Stecko** urodził się 20 lutego 1939 r. w miejscowości Polany. W 1962 r. uzyskał dyplom magistra inżyniera górnika w AGH w Krakowie. W 1963 r. został asystentem w Katedrze Bezpieczeństwa Pracy na Wydziale Górniczym AGH. Zajmował się bezpieczeństwem pracy w górnictwie, prowadził badania dotyczące zapylenia powietrza kopalnianego. W 1969 r. obronił na Wydziale Górniczym AGH pracę doktorską, w 1977 r. habilitował się, od 1978 r. był docentem. W latach 1982–1987 pełnił funkcję dyrektora Instytutu Górnictwa Podziemnego i Bezpieczeństwa Pracy AGH, w latach 1988–1989 był kierownikiem Zakładu Eksploatacji Złóż w Warunkach Naturalnych, prorektor AGH ds. rozwoju uczelni (1987–1989). Zmarł 7 kwietnia 1989 r. w Krakowie.

o staż mam załatwiony odmownie? Jest kolejna tura składania wniosków, czy mam składać, bo jak mam dostać kolejną odmowę to nie będę!”. Zdziwił się i obiecał, że da znać. Faktycznie za kilka dni zadzwonił i powiedział: „proszę składać”.

Tak w 1989 r. znalazłem się w Instytucie Górniczym w Moskwie. Akurat trwały dyskusje nad nową ustawą, w której (w 1990 r.) faktycznie znalazł się wymóg habilitacji dla adiunktów (bez habilitacji można pracować nie więcej niż 9 lat, chyba, że statut Uczelni stanowi inaczej – i w efekcie w AGH zapisano, że adiunkt nie może pracować na tym stanowisku dłużej niż 40 lat¹⁵²). Siedząc w beznadziejnych warunkach w akademiku, pijąc sok winogronowy (tylko taki był w stołówce) ze spirytusem (przydział z ambasady), doszedłem do wniosku, że jak trzeba to się zrobi. Wziąłem kartkę ruskiego papieru (mam ją do dzisiaj) i napisałem pierwszy spis treści. Przyjąłem filozofię, by wszystko, co wcześniej robiłem z odpadami, sprzedać. Dziś miałbym zarzut „autoplagiatu”, bo wiele problemów publikowałem wcześniej, ale pracy nadałem formę monografii, dorobiłem aspekty środowiskowe i miałem konstrukcję. Przyjąłem koncepcję (jak się potem okazało trudną do zaakceptowania dla niektórych), że praca będzie miała charakter monografii praktycznie użytecznej, że bogato będę cytował osiągnięcia innych, doświadczenia z praktyki. Po powrocie do kraju odbyłem rozmowy z Jurkiem Kickim i Jackiem Postawą, pytając czy mogę powołać się na te prace, które robiliśmy wspólnie. Uzyskawszy zgodę zabrałem się do pisania. Miałem więcej czasu, bo Zbyszek Piotrowski, jak wspominałem, wyjechał do Kanady, więc „zlecone” siadły. Po pół roku był pierwszy maszynopis. Manuskrypt, w swym stylu, był dość odległy od klasycznej pracy badawczej z tezą, opisem metod badawczych, wniosków ogólnych i szczegółowych. Owszem była teza sprowadzająca się do stwierdzenia, że odpady w technologiach górniczych mogą być użyteczne i, że ich stosowanie przyniesie korzyści środowiskowe. Oddałem go do czytania, młodemu, dobrze się zapowiadającemu naukowcowi Waldkowi Korzeniowskiemu¹⁵³. Ten namówił mnie bym

¹⁵² Problem tzw. rotacji adiunktów pojawi się i później, w różnych wersjach. Obowiązek ten jest co najmniej dyskusyjny. Nie ma go w wielu krajach, w których nauka stoi wyżej. Doprowadził do obniżenia poziomu. O innych aspektach – dalej.

¹⁵³ **Prof. dr hab. inż. Waldemar Korzeniowski** urodził się w 1956 r., lublinianin. Studia i dalsza kariera w AGH: dyplom w 1979 r., doktorat (u prof. S. Piechoty) w 1988 r., habilitacja w 2006 r. Specjalista z zakresu eksploatacji rud, obudowy kotłowej, badań górotworu *in situ*. Bogata współpraca z zagranicą. Prodziekan w latach 1993–1996. Od 2010 r. kierownik Katedry Eksploatacji Podziemnej.

część środowiskową „ubarwił” schematami poglądowymi. Pokazał przykłady z literatury zagranicznej. I tak pojawiły się dwa schematy prezentujące oddziaływanie odpadów na środowisko powierzchniowe i podziemne. Na tym pierwszym pojawiła się sylwetka świni wchodząca w skład łańcucha pokarmowego, przez który przekazywane są zanieczyszczenia mające swe źródła w odpadach. Miało to pewne reminiscencje na kolokwium.

Końcowa wersja pracy miała tytuł *Technologiczne i środowiskowe aspekty stosowania stałych odpadów przemysłowych do wypełniania pustek w kopalniach podziemnych*.

Recenzentem wydawniczym został doc. K. Drzewiecki i w lutym 1990 r. praca została złożona do druku. Ukazała się w marcu. Mogłem szykować się do przewodu.

Na etapie przygotowania pracy i kolokwium uzyskałem wiele dobrego od „starszego kolegi”, dziekana prof. dr hab. inż. Jacka Zabierowskiego¹⁵⁴. Pytał mnie, co sędzę o proponowanych recenzentach, trenował i podnosił na duchu przed kolokwium.

Pierwszy etap to powołanie komisji doktorskiej. Na jej czele stał prof. Jan Pawiński. Na członków komisji została powołana: prof. Janusz Roszkowski (wielokrotnie wspomniany, biogram przy innej okazji), prof. Zdzisław Kłeczek (biogram oddzielnie) oraz dr hab. inż. Józef Stachurski¹⁵⁵ i starszy kolega z mo-

¹⁵⁴ **Prof. dr hab. inż. Jacek Zabierowski** urodził się 30 stycznia 1939 roku w Kowlu na Wołyniu. Po wojnie mieszkał w Gorlicach. Ukończył Wydział Górniczy AGH (1962). Po uzyskaniu dyplomu pracował w kopalniach rud żelaza. Od 1967 r. związany z Katedrą Ekonomiki i Organizacji Górnictwa AGH. Stopień doktora nauk technicznych otrzymał w 1970 r., doktora habilitowanego w 1974 r. Tytuł prof. nadzw. uzyskał w 1983 r., prof. zw. w 1995 r. Prodziekan Wydziału Górniczego (1972–1981), kierownik Zakładu/Pracowni Programowania Inwestycji i Organizacji Budownictwa Górniczego (1975–1996), pełniący obowiązki dziekana Wydziału (1981), prorektor ds. studentów (1981–1984), dziekan Wydziału (1987–1993). Opracował teoretyczne podstawy programów działalności górnictwa rud i węgla kamiennego. Będąc członkiem PZPR brał udział w obradach okrągłego stołu jako ekspert strony rządowej od górnictwa. Zmarł 11 marca 1996 r. w Krakowie.

¹⁵⁵ **Dr hab. inż. Józef Bolesław Stachurski** urodził się 28 lipca 1925 r. w Niepołomicach. Absolwent AGH — 1957 r., doktor nauk technicznych — AGH w 1962 r., doktor habilitowany — AGH w 1969 r., profesor (tytuł) — 1985 r. Zaczynał jako asystent Katedry Przeróbki Mechanicznej (1956), potem kolejno: starszy asystent (1958), adiunkt (1962), docent po habilitacji (1969) i profesor (1985). Specjalista z zakresu przeróbka i wzbogacanie kopaliny użytecznych, metod flotacyjnych, zjawisk fizykochemicznych w układach zdyspergowanych. Zmarł 2 marca 2007 r. Pochowany na cmentarzu parafialnym w Lanckoronie.

jej Katedry Andrzej Zorychta¹⁵⁶. Przewód zostaje wszczęty po przedstawieniu manuskryptu i pozytywnej recenzji wydawniczej (grudzień 1989). Zostają powołani recenzenci. Z grona rady prof. Stanisław Piechota¹⁵⁷, z zewnątrz profesorowie z Politechniki Śląskiej: Mirosław Chudek¹⁵⁸ i Jan Palarski¹⁵⁹.

¹⁵⁶ **Prof. dr hab. inż. Andrzej Zorychta** urodził się w 1945 r. w Karwinie. Ukończył Wydział Górniczy AGH w 1969 r. Doktorat w 1973 r., habilitacja w 1985 r., tytuł profesora w 1999 r. Specjalista z zakresu eksploatacji w warunkach występowania zagrożenia tapaniami i wstrząsami w kopalniach węgla kamiennego i rud miedzi, eksploatacji pod obiektami powierzchniowymi, zasad doboru obudowy kotwowej, podporowej i podporowo-kotwowej oraz geomechanicznych aspektów zjawisk wyrzutów gazów i skał. Prodziekan Wydziału w latach 1990–1993.

¹⁵⁷ **Prof. dr hab. inż. Stanisław Piechota** urodził się w 1940 r. w Ulinie Małej. W 1963 r. ukończył Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie. W 1972 r. uzyskał stopień doktora nauk technicznych, a w 1982 r. stopień doktora habilitowanego. W 1993 r. otrzymał tytuł profesora. Od 1983 r. zastępca dyrektora Instytutu Górnictwa Podziemnego i Bezpieczeństwa Pracy, prodziekan Wydziału Górniczego 1984–1990. W latach 1996–2010 do czasu przejścia na emeryturę był kierownikiem Katedry Górnictwa Podziemnego. Członek: Senatu AGH, Komitetu Górnictwa PAN Komisji ds. Obudowy Kotwowej w Podziemnych Zakładach Górniczych, jedną kadencję członek Zespołu T-12 KBN (2000–2004). Specjalista z zakresu oceny parametrów wytrzymałościowych masywu skalnego; technologii górniczych stosowanych w kopalniach rud. Autor kilku podręczników.

¹⁵⁸ **Prof. dr hab. inż. Mirosław Chudek** urodził się w 1934 r. w Częstochowie. Absolwent Wydziału Górniczego Politechniki Śląskiej, gdzie uzyskiwał kolejne stopnie: doktora – 1963 r., doktora habilitowanego – 1964 r., tytuł profesora nadzwyczajnego w 1969 r. oraz profesora zwyczajnego w 1974 r. Wiele lat kierował Instytutem Budowy Kopalń i Ochrony Powierzchni. Specjalista z wielu zagadnień: geomechaniki, budowy kopalń, ochrony powierzchni, obudowy, wpływu eksploatacji na powierzchnię. Długoletni dziekan Wydziału, autor wielu podręczników.

¹⁵⁹ **Prof. dr hab. inż. Jan Palarski** urodził się w 1947 r. w Kętach. Absolwent Wydziału Górnictwa i Geologii Politechniki Śląskiej (1970). Praca doktorska (1973) obroniona u prof. R. Adamka. Habilitację (1978) uzyskał na Uniwersytecie Technicznym (RWTH) w Aachen, Niemcy. Tytuł profesora uzyskał w 1986 r. Stypendysta DAAD i Humbolta w Niemczech (Aachen), odbył szereg staży naukowych i szkoleń m.in. w Niemczech, Kanadzie, RPA, USA, Wielkiej Brytanii i Jugosławii. Jego dorobek naukowy obejmuje zagadnienia wchodzące w zakres dziedzin naukowych: górnictwo i geologia oraz inżynieria środowiska, w szczególności: podziemnej eksploatacji złóż, gospodarki surowcami mineralnymi, zagospodarowania i składowania odpadów w wyrobiskach górniczych, zabezpieczenia kopalń i powierzchni przed szkodami górniczymi, zagrożeniami wodnymi i gazowymi, utylizacji zanieczyszczonych wód i składowania CO₂ w górotworze, podziemnego zgazowania węgla, izolacji i neutralizacji powierzchniowych składowisk odpadów niebezpiecznych i terenów skażonych, likwidacji zakładów górniczych i rekultywacji terenów. Naukowiec o szerokich kontaktach w świecie. Prowadził zajęcia i odbywał staże w Aachen, (Niemcy), w Xuzhou, (Chiny), w Criciuma (Brazylia) i cykl wykładów dla inżynierów i menadżerów górnictwa z Wietnamu. Brał udział w ponad 70 projektach realizowanych w Polsce i za granicą (Niemcy, USA, RPA, Tajlandia, Wielka Brytania, Włochy).

Dostarczam im manuskrypt i czekam na efekty. Niby wszystkich „jakoś tam” znam, ale niepokój mnie nie opuszcza. I wykrakałem, telefon z Gliwic: „profesor Palarski prosi, aby pan przyjechał, bo ma uwagi do pracy”. Wsiadłem w pociąg i jadę. Widzę manuskrypt pokreślony. Po pierwsze ma uwagi, że praca jest o charakterze monografii i nie jest w stanie ustalić precyzyjnie mego w niej dorobku. Po drugie to, że w kopalni można lokować odpady nie jest niczym odkrywczym. Po trzecie, że w manuskrypcie jest wiele niepoprawionych błędów (powtarza je potem w recenzji). Jakoś się staram tłumaczyć. Widać niezbyt skutecznie, bo (uzyskana za kilka dni) recenzja ma wydźwięk niby pozytywny, ale z dużą ilością uwag krytycznych. Na moje szczęście nadchodzące kolejne dwie są wyraźnie pozytywne. Na dodatek to, co prof. Palarski uznał za minus (prezentowanie własnych wyników na tle innych) prof. Piechota podkreślił jako zaletę. Profesor Chudek, z kolei podkreślił interdyscyplinarność pracy. Wszyscy pozytywnie oceniają tzw. dorobek (o Hirszu i impact faktorze nikt jeszcze Bogu dzięki – nie słyszał).

Recenzje i pierwsze egzemplarze wydrukowanej rozprawy pozwoliło na posiedzenie komisji, która rekomendowała dopuszczenie mnie do kolokwium. Musiałem przygotować krótkie wystąpienie na temat pracy oraz trzy tematy popularnego wykładu (jeden z początków górnictwa na ziemiach polskich, dwa z „nowoczesnych” – wtedy – rozwiązań związanych z wybieraniem pokładów grubych i sposobów ochrony wyrobisk korytarzowych). Niezwykłą pomoc udzielił mi (wtedy świeżo upieczony dr hab.) prof. W. Roszczyniański¹⁶⁰. Wymieniając poglądy na temat przebiegu kolokwium powiedział: „pamiętaj, najważniejsze żebyś mówił, nieważne co! Siedzący na sali zajęci są w większości swoimi sprawami i ożywają się w sytuacjach nietypowych, np. kiedy zapada cisza. A wtedy może być groźnie, bo mogą wychwycić, że z tobą coś nie tak”. Na moje indagowanie: „a jak nie wiem to mam mówić głupstwa?”, potwierdził: „oczywiście, jak myślisz, ilu oprócz zadającego pytanie, zna się na tym,

¹⁶⁰ **Prof. dr hab. inż. Włodzimierz Roszczyniański**, rocznik 1947. Studia kończy na Wydziale Górniczym AGH (1970), doktorat – 1974 r., habilitacja 1987 r., tytuł profesora 2002 r. Po studiach specjalizuje się w hydromechanice, wentylacji i klimatyzacji. W okresie studiów i w „minionym okresie” mocno zaangażowany w działalność polityczną związaną z przewodnią siłą narodu. Po drobnym konflikcie z przełożonymi (ukarana ambicja i kreatywność), odsunięty na „boczny tor”, postanawia pracować w szkolnictwie prywatnym. Współtworzy Wyższą Szkołę Zarządzania i Bankowości w Krakowie, której rektoruje nieprzerwanie przez ponad 20 lat. Aktualnie zajmuje się problematyką nauk ekonomicznych.

o co on pyta. A nawet jak się zna to ilu zechce zabierać głos i prostować! Muszę przyznać, że były to dla mnie stwierdzenia odkrywcze i jak się nad nimi zastanowiłem były przekonujące. Potwierdzały sugestie dziekana Jacka Zabierowskiego. Postanowiłem wziąć je sobie do serca. Odbyłem zwyczajową peregrynację po członkach rady wręczając każdemu egzemplarz pracy.

Nadszedł 25 kwietnia 1990 r. – dzień kolokwium. Przebieg nocy, poranne przygotowania, pominię. Sala przygotowana (dzień wcześniej, do godzin wieczornych trenowałem), nerwowo chodzę wyczekując przyjezdnych recenzentów. Profesorowie ze Śląska przyjeżdżają niezależnie. Prof. Chudek woła mnie do pokoju Szefa. „Słuchaj – mówi – będę cię pytał z mojej metody wyznaczania filarów szybowych”. Wpadam w panikę¹⁶¹! „Błagam nie, pan profesor wie, co to spowoduje”. „Nie szkodzi ja się nie boję” – usłyszałem. Oczywiście rozmowa ta nie przyczyniła się do mego uspokojenia.

Zaczęło się! Dziekan przekazał mi głos. Kolega (pracownik techniczny) wyświetlał przeźrocza (o Power Poincie przecież wtedy nikt nie słyszał), ja referowałem. Pomny uwag Włodka, nie zwracałem uwagi na salę, robiłem swoje. Po skończeniu dziekan zarządził zadawanie pytań. Niedyplomatycznie pierwszy wyrwał się Szef, z trzema – banalnymi. Może i dobrze, bo wszedłem w rolę. Potem (jak u Hitchcocka) było już tylko mroczniej. Pytali mnie prof. D. Krzysztóń¹⁶² (o drobiazgi), prof. Z. Kłeczek (pytaniem szczególnie trudnym o niejednoznacznej odpowiedzi – chodziło o wybór sposobu likwidacji zrobów w warunkach zagrożenia tąpnięciami), prof. M. Chudek (dwa, w tym o owe filary) i wreszcie

¹⁶¹ Kilkanaście miesięcy wcześniej z jednym ze swoich doktorantów zaproponował nową instrukcję do ustalania wymiarów tych filarów. Czyniła je znacznie „chudszyimi”, stąd – wdrożona – przynosiła profity twórcom. Z racji pogorszenia stanu bezpieczeństwa (zdaniem szkoły krakowskiej, na czele z prof. S. Knothe) została mocno oprotestowana. Przełożyło się to również na „stosunki międzyludzkie” pomiędzy autorytetami.

¹⁶² **Prof. dr hab. inż. Danuta Krzysztóń** urodziła się w 1929 r. w Ptaszkowej. Kończy Wydział Górniczy AGH (1954), tutaj uzyskuje doktorat (1963) u prof. S. Knothego oraz habilitację (1973). Tytuł profesora uzyskuje w 1987 r. Prowadziła rozległą współpracę zagraniczną (Wietnam, Chile, Egipt). Wykładała na kilku uczelniach w USA. Specjalistka z zakresu mechaniki i geomechaniki. Została odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Medalem Komisji Edukacji Narodowej. W trakcie swojej działalności zawodowej pełniła szereg zaszczytnych funkcji – była Pełnomocnikiem Rektora ds. Kół Naukowych Pionu Górniczego (1991–1999), członkiem założycielem Polskiego Towarzystwa Mechaniki Skał (od 1992 r.) oraz członkiem prestiżowych towarzystw m.in. Rady Bibliotecznej AGH (1992–1999), Sekcji Mechaniki Górotworu Komitetu Górnictwa PAN (od 1987 r.) i Międzynarodowego Biura Mechaniki Skał (od 1991 r.). W 1999 r. przeszła na emeryturę. Zmarła 5 września 2016 r. w Krakowie.

nasz największy postrach – prof. T. Ryncarz. Pierwsze dotyczyło sprawy zasadniczej. „Jaką stosowałem metodę badawczą i co do nauki wniosłem osobiście”? Oczywiście wiedziałem, że praca technologiczna, głównie o znaczeniu praktycznym ma nikłe podstawy teoretyczne. Musiałem to przyznać. Posiłkowałem się tym, że uzyskałem bardzo wiele danych ilościowych, podkreślałem „prekursorskie” łączenie problemów górnictwa z ochroną środowiska. Drugie było jeszcze gorsze, dotyczyło założeń, jakie przyjął Budryk opracowując swoją teorię. Tu (przypomniawszy sobie radę Włodka) zacząłem „pływać” charakteryzując sposób obliczania parametrów deformacji. Ratowali sytuację doc. K. Drzewiecki i prof. S. Piechota zadając pytania obszerne acz proste, z zagadnień technologicznych. Do „trzepania” wrócił prof. M. Jawień¹⁶³. Ponowił, od innej strony, pytanie prof. T. Ryncarza o moje osiągnięcia, zwracając uwagę na ową świnię na jednym ze schematów (w domyśle czy i ona jest osiągnięciem?). I znowu przyszło mi mówić o mojej drodze w badaniu odpadów. O tym, że praktycznie przede mną nie mówiło się, a co ważniejsze nie stosowało na skalę masową w kopalniach innych odpadów, poza skałą płonną. Wreszcie koniec, wychodzę z sali a w głowie mi huczy. Oczywiście, owi „wielcy” pytając mnie trudno, nie mieli zamiaru mi przyłożyć. Nie było żadnej zmywy. Takie pytania, w tamtych latach były standardem.

¹⁶³ **Prof. dr hab. inż. Mieczysław Jawień** urodził się w 1932 r., w Krakowie. W 1954 r. ukończył studia inżynierskie na Wydziale Górniczym AGH. Pracę w Uczelni rozpoczął na stanowisku asystenta w Katedrze Ekonomiki i Organizacji Górnictwa, będąc równocześnie słuchaczem kursu magisterskiego, które to studia ukończył w 1956 r. Doktoryzował się w 1961 r., habilitował w 1965 r., tytuł naukowy profesora otrzymał w 1983 r. Pełnił szereg funkcji zawodowych, społecznych i administracyjnych w AGH, m.in.: w latach 1976–1993 był kierownikiem Zakładu Projektowania Kopalń w Instytucie Projektowania i Budowy Kopalń; w latach 1973–1975 był prodziekanem Wydziału Górniczego; w latach 1972–1982 był zastępcą dyrektora ds. dydaktyki w Instytucie Projektowania i Budowy Kopalń; w latach 1982–1993 był dyrektorem Instytutu Projektowania i Budowy Kopalń; w latach 1993–1995 był kierownikiem Zakładu Projektowania, Budownictwa, Ekonomiki i Zarządzania w Górnictwie. W 2002 r. przeszedł na emeryturę. Autor 83 publikacji dotyczących rozwoju branż górniczych i ważniejszych przedsięwzięć inwestycyjnych budowy nowych i rozbudowy kopalń w górnictwie węgla kamiennego, rud miedzi, cynku i ołowiu, żelaza oraz surowców chemicznych. Promotor 15 prac doktorskich, recenzent 38 prac doktorskich oraz 13 prac habilitacyjnych, promotor ok. 200 prac inżynierskich i magisterskich. Członek Komitetu Górnictwa PAN, Profesor Honorowy AGH (2014). Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi; Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski; Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski; Zespołowa Nagroda Państwowa I stopnia; Nagroda Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego (3-krotnie); Nagroda Ministra Górnictwa i Energetyki; Nagroda Rektora AGH (wielokrotnie).

Uczestnicząc sam w późniejszych kolokwjach doświadczałem tego, na co dzień. Potwierdziła to późniejsza dyskusja, którą znam z protokołu. Jej główną myślą przewodnią była odzywająca od czasu do czasu dyskusja pomiędzy dwiema grupami profesorów: teoretyków i praktyków. Ci pierwsi nie wyobrażali sobie pracy naukowej bez równań. Ci drudzy hołdowali stwierdzeniu wypowiedzianemu kiedyś przez prof. F. Zalewskiego do prof. W. Budryka: „całką pan stropu nie podeprzesz”! Usłyszał na to: „ale bez całki nie obliczysz pan parametrów obudowy” (i to był pogląd tych pierwszych). Pomimo, że faktycznie, najślabiej odpowiedziałem na pytanie prof. T. Ryncarza, jego głos w dyskusji był najbardziej mi przychylny. Poparł mnie mocno prof. M. Chudek. Chwalił prof. Piechota, rekomendował Włodek Roszczynialski. Niestety oberwało mi się mocno (i myślę, że jego głos miał istotny wpływ na wynik głosowania) od prof. J. Palarskiego. Pomimo tego obaj uznaliśmy, że krytyka się należała i przez późniejsze lata byliśmy dla siebie wzajemnie życzliwi. Dyskusję zakończyło głosowanie nad przyjęciem kolokwium. Za – 20, przeciw – 3, wstrzymujących – 8.

Poproszony do sali zostaje poinformowany o przyjęciu kolokwium (nie podano mi – i dobrze – wyniku) oraz o tym, że Rada wybrała wykład historyczny. Tu byłem w swoim żywiole. Końcowe głosowanie: za – 24, przeciw – 2, wstrzymujących – 5. Jak na tamte czasy nie najgorzej.

Recenzentów i wybranych profesorów z Katedry zapraszam na przekąski, kawę i słodkie do gabinetu kierownika Katedry. Wszystko przygotowała moja żona i podała razem z Dzidką¹⁶⁴. Jest oczywiście i jakiś koniak. Tak to w te siermiężne czasy było, a dziś wykwintne lunchy, obiady dla całej rady. Po kilkudziesięciu minutach „impresa” się kończy. Pozostaje odwieźć samochodem prof. M. Chudka do Katowic. To była reguła. Proszę o to kolegę, który (jak profesor miał w zwyczaju) wiezie go przez bar w Byczynie, gdzie ma miejsce krótka przerwa. Profesor zamawia dwa piwa, kolega protestuje („jestem kierowcą”), ale słyszy: „Przecież wiem, nie dla ciebie, dla mnie”!

W domu nie mogę sobie darować. Jak zwykle niektóre odpowiedzi mogły być lepsze. No, ale liczy się efekt końcowy. Pozostało przygotować papiery do CK¹⁶⁵, która zatwierdzała stopień i czekać.

¹⁶⁴ **Maria Czyszczan**, jedna z dwóch najważniejszych sekretarek z jakimi miałem okazję współpracować. Pracując przez wiele lat w jednej katedrze zaprzyjaźniliśmy się. Na jej przykładzie, można wykazać jak ważne są osoby sprawujące funkcję sekretarki.

¹⁶⁵ Centralna komisja ds. stopni naukowych i tytułu naukowego.

Pod rządami tamtej ustawy była to instytucja wywodząca się z PRL-u. Oczywiście mechanizmy w niej panujące sprzyjały rządzącym by nikt z grona nieprawomyślnych nie uzyskał habilitacji. Sposób wyłaniania członków, niby w wyborach z grona środowiska, zapewniał władzy politycznej ostateczny głos. Również przewodniczący, nominowany przez premiera, był swoim człowiekiem. Zgodnie z zapisanym celem, instytucja miała dbać o poziom habilitacji i profesur. I generalnie tak było w znanych mi przypadkach dotyczących górnictwa. Kilka habilitacji nie uzyskało akceptacji, kilka profesur przyznano po kilkuletnim, ponownym rozpatrzeniu. Najbardziej krytykowana była osoba „superrecenzenta”, czyli recenzenta powoływanego przez CK (sekcję), zwykle ze swego grona. Nazywano go „kapturowym sędzią”, bo (teoretycznie) jego osoba nie była znana zainteresowanym. Piszę „teoretycznie”, bo przecież w posiedzeniach gremiów CK uczestniczyli pracownicy uczelni, a ci byli „tylko ludźmi”. Niekiedy (jak w moim przypadku, o czym dalej) sam się zainteresowanemu ujawniał. Niezwykle trafnie, moim zdaniem, oddaje rolę recenzenta w tym gremium jego dwukrotny członek, uznawany za jednego z najbardziej wymagających, prof. dr hab. inż. Andrzej Lisowski¹⁶⁶. W przywoływanych już tutaj swych wspomnieniach pisze: „Do CKK wpływały – niestety dość liczne – wnioski, które świadczyły o beztroscie gremiów wnioskujących, a niekiedy o ewident-

¹⁶⁶ **Prof. dr hab. inż. Andrzej Lisowski** urodził się w 1923 r. w Lacku Wysokim na Litwie. Dzieciństwo spędził w polskiej rodzinie ziemiańskiej. Do szkoły uczęszczał w Grodnie, gdzie zastała go wojna. Walczył w AK, po wejściu Sowietów ukrywał się pozostając w antykomunistycznym podziemiu. Maturę uzyskał w systemie tajnego nauczania. Podejmuje studia w AGH w systemie przyspieszonym. Absolutorium uzyskuje w 1949 r. i podejmuje pracę w przemyśle. Niejako „urlopowany” na zrobienie dyplomu równocześnie kontynuuje studia na Akademii Ekonomicznej. Temat pracy dyplomowej związany jest z opracowaniem metod podniesienia wydobywania w kopalni. Broni ją w grudniu 1950 r. Dyplom I stopnia z nauk ekonomicznych uzyskuje w 1952 r. Rok później podejmuje studia aspiranckie oraz pracę (na ½ etatu) w GIG-u. Wspomaga zajęciami tworzący się Wydział Górniczy na Politechnice Śląskiej. Temat pracy dotyczył eksploatacji ścianami z zawalem. W 1955 r., na motorze, ulega wypadkowi skutkującemu częściową amputacją nogi. Przechodzi długotrwałe leczenie. W tym czasie kończy pisanie dysertacji, którą broni (w AGH) w czerwcu 1958 r. Z prof. B. Krupińskim współorganizuje Światowy Kongres Górniczy w Warszawie. W coraz większym stopniu poświęca się ekonomice górnictwa a w szczególności koncentracji wydobywania. Z tej tematyki opracowuje pracę i w 1963 r. uzyskuje stopień doktora habilitowanego. Drugą miłością profesora jest podszadzka hydrauliczna. Tytuł profesora otrzymuje w 1972 r. Należy do najwybitniejszych profesorów-górników swojego pokolenia.

nym kumoterstwie i tolerowaniu tandety”. I dalej: „Jedną z głównych, jeśli nie główną przyczyną słabości obserwowanych w świecie nauki jest zbyt niski poziom wielu doktoratów. Za słabymi doktoratami idą słabe habilitacje, a za nimi profesorowie, którzy produkują doktorów jeszcze słabszych od siebie”. Nic dodać nic ująć.

Skoro o profesorze Lisowskim. Wiele lat później zostaje przez niego wyróżniony. Napisawszy dzieło połowy swego życia (monumentalna monografia podszadzki hydraulicznej¹⁶⁷) poprosił mnie o recenzję wydawniczą. Już samo to było dla mnie ogromnym wyróżnieniem. Ale zdziwienie z dozą samozachwyty przyszło wtedy, gdy przeczytałem: „W roku 1990 ukazała się obszerna monograficzna praca Macieja Mazurkiewicza [odnośnik do mej habilitacji], w której dorobek ten [chodzi o „rozwój technologii podszadzki hydraulicznej z wykorzystaniem drobnoziarnistych odpadów”] został znacząco uporządkowany i przedstawiony w systematycznym ujęciu. Znaczenie tej pracy dla tworzącej się nowej gałęzi technologii podszadzki hydraulicznej można porównać ze znaczeniem pracy Franciszka Jopka, który w 1950 r. uporządkował i udostępnił dorobek pierwszych 50 lat klasycznej technologii podszadzki hydraulicznej – zarówno dla potrzeb dydaktyki, jak i praktyki kopalnianej”. Wspomniałem kontrowersje na jej temat, jakie pojawiły się na kolokwium i doszedłem do wniosku, że warto było upierać się przy pracy technologicznej. Komplement, na dodatek pióra takiej osoby, był tego wystarczającym dowodem.

Wracam do toku swojego przewodu. Jakoś tuż przed wakacjami do Katedry jest telefon z Politechniki Śląskiej. Znaleziony przez sekretariat podchodzę, dzwoni pani, przedstawia się, że jest sekretarką prof. dr hab. inż. Mariana Kozdrója (członka CK). Informuje, że profesor zaprasza mnie do siebie, koniecznie z egzemplarzem pracy doktorskiej. Oczywiście domyślam się o co chodzi. Pojechałem z duszą na ramieniu, bo choć profesor pod względem ostrości recenzji był „niżej notowany” od innych to jednak... Zjawiłem się w Katedrze, po chwili pani wprowadziła mnie do gabinetu profesora. Widziałem go pierwszy raz w życiu, siedział, palił cygaro, a „na oko” wydał mi się sympatycznym. „Wiecie kolego robię super recenzję pana habilitacji, oceniam przewód na nieco powyżej średniej (tu kamień spadł mi z serca) ale muszę się jeszcze odnieść do ewen-

¹⁶⁷ Lisowski A.: *Podszadzka hydrauliczna w polskim górnictwie – technologia górnicza – technologia ochrony środowiska. Monografia (rozwój – stan – perspektywy)*. Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1997.

tualnych związków pracy habilitacyjnej z pracą doktorską. Zamiast studiować doktorat pomyślałem, że pan mi go opowie i odpowie na pytania”. Wychodziłem cały w skowronkach. Jakże inaczej przebiegała podróż powrotna w stosunku do tej, którą kilka miesięcy odbywałem po rozmowie z prof. J. Palarskim.

Już tylko pozostało czekać. Członkiem CK ze strony AGH był prof. Jakub Siemek¹⁶⁸. Prosiłem profesora Janusza (Roszkowskiego) o protekcję, ale ich nie byłem pewien. Jakież było moje zdziwienie, gdy po posiedzeniu komisji i powrocie do Krakowa zadzwonił do mnie z informacją, że sprawa przeszła! Kolejny etap „kariery” był za mną. Z perspektywy czasu widzę jak ważny, ile i jakich drzwi otworzył przede mną.

Oczywiście habilitacja nobilituje, otwiera drzwi do tytułu, który już nie wymaga żadnych „formalnych” wystąpień, egzaminów. W założeniu ma udowodnić, że jej posiadacz ma umiejętność samodzielnego prowadzenia badań, kierowania nimi, promowania doktorów, itp. Tutaj pierwszy problem. Osobiście spotykałem doktorów, którzy „z marszu” mogli pełnić funkcję promotora (i faktycznie pełnili), a w zdobywaniu zleceń i kierowaniu zespołami badawczymi byli niezrównani. Oczywiście, można zapytać: to dlaczego się nie habilitowali? Odpowiedzi jest kilka, ale najbardziej znaczące (z tamtych czasów) brzmią: szkoda im było czasu, woleli robić pieniądze. Bywało, że dostali okazję pobytu zagranicą, a po powrocie (tam pełniąc faktyczne funkcje profesorów) nijako było zabierać się do spełniania wymogów formalnych. Byli też tacy, których powstrzymywał (co tu ukrywać) duży stres. Wprowadzenie obowiązku habilitacji musiało jednak spowodować obniżenie ich rangi. Również wymóg, w którym zrezygnowano z rozsądnej kontroli przebiegu przewodu przez CK dopro-

¹⁶⁸ **Prof. dr hab. inż. Jakub Siemek** urodził się w 1937 r. w Brzozowicach-Kamieniu, obecnie dzielnicy Piekar Śląskich. W 1953 r. ukończył Liceum Ogólnokształcące w Tarnowskich Górach i podjął studia na Wydziale Górniczym Akademii Górniczo-Hutniczej, które ukończył w 1958 r. Studiował też fizykę – tytuł magistra uzyskał w 1963 r. W 1968 r. uzyskał na AGH stopień doktora nauk technicznych, a w 1973 r. stopień doktora habilitowanego na tej samej uczelni. Tytuł profesora nadzwyczajnego nauk technicznych otrzymał w 1979 r., a tytuł profesora zwyczajnego w 1990 r. W latach 1976–1981 pełnił funkcję zastępcy dyrektora Instytutu Górnictwa Naftowego i Gazownictwa. Kierował Katedrą Inżynierii Gazowniczej na Wydziale Wiertnictwa, Nafty i Gazu AGH, w latach 1987–1990 był prodziekanem, a od 1999 do 2002 r. dziekanem tego wydziału. Specjalista z zakresu fizyki, inżynierii złóż węglowodorów i surowców płynnych, górnictwa i gazownictwa ziemnego. Członek PAN i PAU. Członek CK – postrach tych, których sprawy tam trafiały.

wadził do obniżenia poziomu prac. Stało się to, co wieszczyliśmy pod koniec lat 80. ubiegłego wieku. Zaczekać, wsadzić w tłumie takich samych kandydatów, lekko poszerzony – słaby doktorat, zorganizować przyjaznych recenzentów i oczekiwać na sukces. Stan dzisiejszy, kiedy Rada nadająca stopień może w ogóle nie widzieć kandydata zakrawa na parodię. Domyślam się, że chodzi o produkcję samodzielnego minimum kadrowego dla szkół prywatnych, ale są pewne granice przyzwoitości. Zwłaszcza wobec powszechnego „upadku obyczajów”, w tym w nauce. Produkuje się habilitantów, niektórzy prezesi otrzymują stopień na zasadach jak przysłowiowy Żyd u cara Mikołaja tytuł hrabiowski¹⁶⁹. Tylko do czego to prowadzi? To lepiej odpuśćmy i podnieśmy poziom doktoratów.

Nie jest też dzisiaj habilitacja tym, czym była kiedyś, a czym, w poniższej anegdocie. Miałem ten zaszczyt i przed laty poznałem rodzinę wybitnego otolaryngologa, profesora Jana Miodońskiego. Któres z jego dzieci (trójka profesorów), opowiadając o ojcu, przekazało mi odpowiedź, jaką na pytanie: „jak wyglądała habilitacja przed wojną” udzielił twórca krakowskiej szkoły otolaryngologii. Brzmiała ona mniej więcej tak: „Też było kolokwium, ale na nim nikt nie sprawdzał wiedzy habilitanta z zakresu dyscypliny, którą reprezentował. Było nie do pomyślenia by o habilitację starał się ignorant. Pytano, co ostatnio przeczytał, jak ocenia ostatnią premierę teatralną czy muzyczną, co sądzi o aktualnie diskutowanych problemach filozoficznych. Po prostu sprawdzano, czy z uwagi na kulturę osobistą i wiedzę ogólną kandydat może być dopuszczony do grona profesorskiego”. Niestety przeliczając punkty za publikacje i cytowania zapomnieliśmy o tym, że naukowiec to elita, wzór, również w obszarze kultury osobistej. A z tym (niestety) bywa różnie!

¹⁶⁹ Komentując kiedyś taki przypadek z prof. Aleksandrem Garlickim powiedziałem: „Olku przecież u cara też kupowano tytuły hrabiowskie”. Dał zadziwiająco trafną odpowiedź: „tak, ale za pieniądze własne a nie państwowe” (miał na myśli oczywiście zlecenia hojnie – przed habilitacją – zlecane z państwowej firmy kierowanej przez prezesa).

Sypnęły się funkcje¹⁷⁰

Pierwsza funkcja, z urzędu, to uczestnictwo w posiedzeniach Rady Wydziału. Kilka tygodni później „doszedł do mnie” Antek Tajduś¹⁷¹, późniejszy dziekan, prorektor, rektor... i jeszcze wyżej. Umówiliśmy się, że przez trzy kolokwia habilitacyjne, „bezkrytycznie” będziemy za. Choć czasem ręka swędziała, zwłaszcza, gdy słuchaliśmy dyskusji o „przestrzeniach Trembeckiego”, czy oglądaliśmy zniekształcone analizy statystyki wypadków.

Pół roku po kolokwium Szeł idzie na „urlop dla poratowania zdrowia”. Informuje dyrektora Instytutu, że upoważnia mnie do zastępowania go w kierowaniu Zakładem. Po roku (październik 1991 r.) dostaję nominację na zastępcę dyrektora Instytutu ds. dydaktyki. Dyrektorem jest **profesor Janusz Roszkowski**. Przywoływałem go na tych kartach wielokrotnie, pora, więc poświęcić mu nieco miejsca.

Chyba jest najbarwniejszą postacią, jaką spotkałem wśród profesury. Urodził się 1935 r. w Krzyżówce obok Żywca. Zawsze miał się za górala i faktycznie coś z „góralskich” cech było w jego postaci (najbardziej zadziorność). Najpierw chce być nauczycielem (Liceum Pedagogiczne w Bielsku), ale szybko przenosi się do Technikum Górniczego w Bytomiu. Potem studia w AGH, gdzie pisząc pracę dyplomową z zabezpieczeń przeciwpożarowych „wpada w oko” kierownikowi Katedry, prof. S. Knohtemu. Ten proponuje mu stanowisko techniczne (a, że zakochany w studentce Wydziału Odlewniczego Zofii!), które z chęcią przyjmuje. Niedługo, bo od 1 stycznia 1960 r. jest już asystentem. To dobry okres

¹⁷⁰ Gdyby przypadkiem, kiedyś, ktoś musiał wygłaszać tzw. „ostatnie pożegnanie” – w rozdziale tym znajdzie wszystkie funkcje, wyróżnienia i zaszczyty – polecam!

¹⁷¹ Osoba niezwykle ważna dla rozwoju uczelni. Zasługuje na odrębne potraktowanie.

dla katedry wentylacji. Oprócz niego rozpoczynają w niej pracę późniejsi profesorowie J. Waclawik¹⁷² i J. Pawiński. Trzy lata po studiach otwiera przewód doktorski, pracę (*Wpływ czynników górniczo-technicznych na powstawanie pożarów w świetle badań stochastycznych*) broni rok później (1963). Pięć lat później habilitacja (*Wydzielanie się metanu do kamiennych wyrobisk korytarzowych na przykładzie kopalń Jastrzębie i Moszczenica*). Z pewnością jedna z szybszych karier naukowych w tamtych czasach. Czy to towarzystwo, czy natura (górska – nie wylewa za kołnierza!) powodują, że sława naukowca przeplata się ze sławą „swojego chłopca”. Wyjazdy do przemysłu, imprezy w Uczelni, w których uczestniczy młody docent (1969) zyskują znaczną sławę. Zawsze jest wesoło, a bywa, że na drugi dzień głowy mocno bołą uczestników spotkań. Tylko nie głównego aktora. Pojawia się w pracy, odbywa zajęcia, na których ciekawie opowiada o „wczorajszym dniu”. Tak i ja poznałem swego późniejszego – drugiego – Szefa. Miał z nami ćwiczenia z aerologii, które zawsze zaczynał w ten sam sposób: „panie Lesiu (pytał kolegi L. Pilcha pochodzącego z Niepołomic), to kiedy zaprasza pan na pieczenie barana do siebie?” Nie doczekaliśmy się. Potem sprawdzanie obecności (zeszyt, którego ujawnieniem „straszył mnie” do końca) i zajęcia. Po „bezbarwnych” wykładach prof. S. Knothego ćwiczenia były wesołe. Do dziś pamiętam, czym różni się rozwiązanie od regulacji systemu wentylacji i najważniejszy wzór: $MA^2 = 144$. Drugim (już wtedy) ulubionym tematem były kontakty damsko-męskie. Zresztą do dzisiaj, spotkawszy mnie potrafi bezparadonowo zapytać: „... jeszcze?, bo ja codziennie!”. Gdyby przyjąć opowieści za prawdziwe to sława profesora Janusza wielokrotnie przewyższałaby sławę Ca-

¹⁷² **Prof. dr hab. inż. Józef Waclawik** urodził się w 1938 r. w Moszczenicy. Po maturze (Gorlice – 1954 r.) podejmuje studia w AGH. W okresie studiów jest aktywnym członkiem ZMP i ZMW. Na ostatnim roku studiów wstępuje do PZPR, w której w latach późniejszych będzie pełnił wiele funkcji: I i II sekretarz POP, II sekretarz KU. Doktorat broni u prof. S. Knothego (*Wpływ okresowych zmian temperatury powietrza atmosferycznego na wielkość temperatury powietrza w wyrobiskach kopalni*) w 1961 r. Habilitację (*Prognoza kopalnianych warunków klimatycznych z uwzględnieniem wpływu wilgotności*) uzyskuje w 1971 r., tytuł profesora nadzwyczajnego w 1976 r., a zwyczajnego w 1986 r. W latach 70. ubiegłego wieku uczestniczy w pracy komisji partyjno-rektorskiej projektującej dalszy rozwój Uczelni (oprócz niego profesorowie: Górllich, Sztaba, Drzymała i sekretarz KU Wolny). W latach 1975–1979 pełni funkcję prorektora. W trakcie kadencji (wrzesień 1979 r.) zostaje powołany na stanowisko dziekana Wydziału Górniczego, które pełni do pierwszych, wolnych wyborów – maj 1981 r. W latach 1985–1988 jest zastępcą dyrektora Instytutu Górnictwa Podziemnego. Jest pierwszym, który na wydziale podejmuje w badaniach tematykę klimatyzacji kopalń. Na emeryturę przechodzi w 2008 r.

sanowy. Nic dziwnego, że szybko stał się ulubieńcem „przemysłu”. Spotkania (niektórzy mówili „dożynki”) po „spotkaniach gwarków” w gabinecie profesora gromadziły całą śmietankę przemysłu i nie mają do dzisiaj równych sobie.

Karierze naukowej towarzyszyła kariera funkcyjna. Zaczyna skromnie, od kierownika studium podyplomowego (1971) i zastępcy przewodniczącego rektorskiej komisji ds. bytowych. W 1974 r. zostaje zastępcą prof. Z. Maciejasza (zastępcą dyrektora Instytutu Górnictwa Podziemnego). Rok później (1975) jest już dziekanem Wydziału. Niejeden z pracowników zawdzięczał mu talon na samochód, który swoimi sposobami załatwiał u ministra. W 1976 r. zostaje profesorem nadzwyczajnym. Po zakończeniu pierwszej kadencji dziekana zostaje powołany na drugą, ale po pierwszym roku dziekanowania (1979), za sprawą Wydziału Kadr KW PZPR, zostaje odwołany. Mówiło się, że „stołek” potrzebny był dla kogoś innego. Jak tam było..., wiedzą zainteresowani. W 1987 r. uzyskuje tytuł profesora zwyczajnego. Kiedy prof. Z. Maciejasz zachorował, jego zastępcą obejmuje Instytut. Kieruje nim (Zakładem, Katedrą) do przejścia na emeryturę (2005). To właśnie on zaproponował mi funkcję swego zastępcy.

Z kronikarskiego obowiązku należy wspomnieć, że prof. J. Roszkowski był przez dwie kadencje członkiem CK (1995–2001), przewodniczącym Rady Naukowej Instytutu Mechaniki Górotworu PAN (tę funkcję objąłem po nim), członkiem wielu komisji resortowych, ekspertem z zakresu wentylacji, pożarów, zagrożeń gazodynamicznych.

Wspominałem, że miał ochotę zostać rektorem. Nie wiem przez kogo „wypuszczony”, postanowił konkurować z prof. M. Handke. Ćwiczył swe wystąpienie przed jedynym słuchaczem – prof. J. Pawińskim. Nie przyniosło ono efektów – przegrał z kretesem.

Niezależnie od natury góralskiej był wielkim zwolennikiem stosunków feudalnych. „Jego” techniczni wykonywali prace przeróżne (gotowanie grochówki na imprezę zakładową, pilnowanie mercedesa, kiedy kierowca był u ważnej osoby, bywało, że pomoc w domowym trzepaniu dywanów). Do rytuału należało wracając z zagranicy pojawić się z oryginalną flaszką. (Zbyszkowi do końca przypominał, że jest „porządnym chłopem” bo w czasie stanu wojennego, będąc w Kanadzie przysłał mu karton piwa). I tu podpadłem! Wracając z RFN-u spokojnie wchodzę do jego gabinetu i słyszę: „gdzie piwo dla Szefa”, „nie znam takich zwyczajów, ale jeśli trzeba skoczę do pewex-u i kupię” – odpowiadam. „Odp... się z pewex-em, Szefowi przywozi się z delegacji” – słyszę i dalej „następnym razem nie podpiszę delegacji”. „Szefie – mówię – jak nie chce pan być

dumnym, że pana podwładni w charakterze ekspertów, za pieniądze Kopex-u jeżdżą za granicę, to będą opowiadał, że nie mogę jechać bo nie uważam za stosowne Szefowi przywozić piwo". Dialog w półzartobliwej formie spowodował, że nigdy nic nie musiałem przywozić. Ale byli tacy co wozili i jeszcze się trzęśli czy w dostatecznym stopniu zadowolą Szefa.

Podsumowując charakterystykę profesora Janusza powtórzę, jest z pewnością najbarwniejszą postacią Wydziału swoich czasów. W pamięci swych kolegów i wychowanków pozostała osoba, z którą rozmowa zawsze musiała zejść na dwa tematy. Choćby nie wiem jak ciekawy był problem naukowy, od którego rozmowa się zaczęła. Dzisiejsze spotkania gwarków, w których nie bywa pierwszym bohaterem różnorodnych przypowieści, nie są już takie.

W balowaniu i pisaniu publikacji, stałym towarzyszem profesora Janusza był „brat” (jak go nazywano) **profesor Jan Pawiński**. Urodził się w Czańcu w 1934 r. Pomimo osiągnięć w olimpiadach fizycznej i matematycznej w trakcie nauki w liceum (Andrychów) po maturze podejmuje pracę w kopalni „1 Maja”. Mając skierowanie na studia (fizyka) w ZSRR rezygnuje z nich z powodów zdrowotnych i biedy, z jaką zmagają się od dziecka. Rozpoczyna studia z fizyki na UJ. Po dwóch latach przenosi się na Wydział Górniczy AGH. Kiedyś na pytanie: „dlaczego”? – odpowiedział. „Bo w AGH dawali mundur, a ja nie miałem za co kupić sobie ubrania, w którym trzeba było zdawać egzaminy.” Pracę dyplomową wykonuje wspólnie z prof. J. Waclawikiem z zagadnień modelowania sieci wentylacyjnych. Broni ją w 1961 r. i zostaje asystentem. Choroba ojca powoduje, że mieszka w domu rodzinnym, a do pracy codziennie dojeżdża. W 1968 r., u prof. S. Knothego broni pracę doktorską pt. *Przepływ powietrza w przewodach rozgałęzionych – nieszczelnych*. Trzy lata później przedkłada pracę habilitacyjną pt. *Przepływ z wymianą masy i pędu w niektórych zagadnieniach przewietrzania kopalń*. Stopień doktora habilitowanego uzyskuje w 1971 r. Obejmuje stanowisko docenta. Należy do grona najwybitniejszych badaczy doskonale stosujących w rozwiązywaniu zagadnień wentylacyjnych – matematykę. Dziś widzę jego sylwetkę – w jednej ręce nieodłączny papieros, w drugiej długopis. I zapisana kartka papieru. Był matematycznym mózgiem niejednego doktoratu i habilitacji. Sam wypromował dwóch dzisiejszych profesorów – N. Szlązaka i J. Szlązaka oraz kilku innych (S. Waś, Z. Ciaś, W. Chudzik, Z. Polak, C. Banasik). Z funkcji należy wymienić dwukrotne prodziekaństwo (1975–1979), przerwane odwołaniem przyjaciela z funkcji dziekana. Na znak solidarności podał się do dymisji. Tytuły profesorskie uzyskuje w 1977 i 1990 r. Niestety, mający od młodości

kłopoty ze zdrowiem, nie dbając o nie, coraz częściej przerywa pracę. Odchodzi na „wieczną szychcę” w październiku 1995 r. Spoczywa na cmentarzu w rodzinnej miejscowości. Myślę, że wiele mu zawdzięcza dr nauk górniczych, ale przede wszystkim biznesmen – Krzysztof Pawiński, twórca potęgi Tymbarku – prywatnie bratanek.

Czas wrócić do mojej kariery funkcyjnej. Zastępca dyrektora Instytutu był to wprawdzie szczebel niski, ale wymagający ogólnego rozeznania. Bardzo pomogło mi to, że w posiedzeniach kolegium Instytutu uczestniczyłem wcześniej, a to jako delegat ZNP, a to jako delegat „pomocniczych pracowników”. Dydaktyka, w tamtych latach, gdy jeszcze obowiązywały programy narzucane od góry, sprowadzała się do przydziału zajęć poszczególnym pracownikom. Tutaj też, metodą przekazania niżej, zasadnicze decyzje zapadały na szczeblach Zakładów. I potem, rozliczenie z dydaktyki. Nie wymagała, zatem wielu działań. Główna robota zastępcy związana była z chodzeniem za profesora na wszelakie narady. I to też była doskonała szkoła, przede wszystkim uczestnictwo w kolegiach Wydziału, prowadzonych przez prof. J. Zabierowskiego.

Od grudnia Szef przeszedł na emeryturę („w stan spoczynku” jak napisali członkowie zespołu ds. rewitalizacji miast w pismach do prezydentów, doprowadzając go tym stwierdzeniem do „szewskiej pasji”), a ja przejąłem Zakład. Pojawiają się też funkcje bez decyzyjności, jak np.: Rada Programowa Szkoły Ochrony Środowiska, członek Kolegium ds. wykroczeń przy krakowskim OUG. Uzyskuję stopień górniczy (Generalny Dyrektor Górniczy III stopnia).

Rok 1993, funkcję rektora obejmuje prof. M. Handke¹⁷³. Kontynuuje reformę Uczelni zapoczątkowaną w czasach „Solidarności” przez rektora A. Klecz-

¹⁷³ **Prof. dr hab. Mirosław Handke** urodził się 19 marca 1946 r. w Lesznie. Ukończył studia na Wydziale Matematyczno-Fizyczno-Chemicznym UJ w 1969 r. Z AGH związany jest od 1969 r. gdzie początkowo pracował jako asystent, następnie starszy asystent (1971). Po doktoracie w 1974 r. otrzymał nominację na adiunkta. Po habilitacji w 1985 r. otrzymał nominację na docenta w 1987 r. Tytuł profesora nadzwyczajnego uzyskał w 1992 r., natomiast profesora zwyczajnego w 1993 r. W latach 1988–1991 pełnił funkcję kierownika Zakładu Chemii Krzemianów, w okresie 1988–1991 był zastępcą dyrektora Instytutu Inżynierii Materiałowej, a w latach 1990–1993 prodziekanem Wydziału. W latach 1993–2012 był kierownikiem Katedry Chemii Krzemianów i Związków Wielkocząsteczkowych. W latach 1993–1997 r. był rektorem AGH. W trakcie pełnienia funkcji został Ministrem Edukacji Narodowej w rządzie premiera Jerzego Buzka. Reformator polskiego szkolnictwa – myślę, że niestety w nie najlepszą stronę.

kowskiego i w miarę możliwości kontynuowana przez jego następcę – prof. Jana Janowskiego. Przebiega, trochę na zasadzie: co z komuny to niedobre! Najważniejsze, że odżywa samorządność, przede wszystkim przy powoływaniu na stanowiska kierownicze. Likwiduje się Zakłady, powstałe w czasach rektora Janowskiego z Instytutów („wzór sowiecki”), a tworzy Katedry. Na naszym Wydziale, nie bez oporu pozostajemy w starej strukturze, nadając tylko istniejącym jednostkom nowe nazwy. W wyniku wprowadzonych zmian zostaje zastępcą kierownika Katedry Górnictwa Podziemnego (styczeń 1993 r.).

Nowe możliwości rozwijamy ze Zbyszkciem, coraz to ciekawsze pola badań odpadów. Okazuje się jednak, że rozpoczyna się era formalizowania fachowości. Nagle, gdy robię opinię dla przedsiębiorstwa, okazuje się, że muszę być „rzeczoznawcą”, aby urząd ją uznał. Klnę, przywołując przykład prof. Budryka. Jak we Francji zapaliła się kopalnia i tamtejsi inżynierowie dowiedzieli się, że w Polsce jest Budryk, który się na tym zna, przysłali po niego samolot. Nie pytali: „czy jest rzeczoznawcą” tylko ustalili, on gasi, oni obliczają efekty, od których procent trafia do profesora. W wolnej Polsce kompetencje i wiedzę poświadczał urzędnik. Tak rodziła się uczelniana (i nie tylko) biurokracja.

Jak trzeba to Polak potrafi. Pojechaliśmy do ministerstwa i załatwili zaświadczenia o byciu ekspertem nie tylko dla siebie, ale i Wydziału, jako „eksperta zbiorowego”. I znowu robiło się badania i pisało sprawozdania. Pomagały w tym wymogi formalne stawiane przez urząd górniczy, który nawiasem mówiąc strzelał byki.

Kiedyś, kiedy wdrożono nowe technologie odsiarczania, pojawił się odpad z dużą ilością wolnego wapnia. Pracujący przy wprowadzaniu w zroby zawiesziny ulegli poparzeniom. Prezes WUG-u (swój chłop, ale nie ten rozmiar kapełusza) usiłował wydać zarządzenie zakazujące stosowania w kopalniach materiałów z wolnym wapniem. Kompletna bzdura! Tym samym z kopalń powinno było wycofać się wapno używane w budownictwie górniczym. Na szczęście po pewnym czasie prezesowi wytłumaczono i zrezygnował z wprowadzenia zarządzenia.

W lutym 1993 r. w kopalni „Wieliczka” następuje wdarciu wody, tzw. zagrożenie w rejonie „Miny”. Prezes WUG-u (pierwszy z sensowniejszych, późniejszy wicepremier – J. Steinhoff, wywodzący się Politechniki Śląskiej) powołał komisję (pod przewodnictwem prof. J. Palarskiego) składająca się z naukowców. Z AGH w jej skład wchodził wybitny geolog złóż soli, wspominany

wcześniej prof. A. Garlicki¹⁷⁴, późniejszy dziekan Wydziału Wiertniczego – prof. A. Gonet i ja. Moja osoba znalazła się za sprawą wcześniejszych prac proponujących „Wieliczcze” zawiesinę, jako sposób likwidowania zbędnych wyrobisk. Zwyciężyła koncepcja zatłaczania przez otwory wiertnicze w rejon wdarcia wody (poprzeczni „Mina”) zaczynów wiążących. Po kilku miesiącach zespół (niewygodny dla dyrekcji kopalni) rozwiązano.

Czas od uzyskania stopnia mija, a ja dalej jestem adiunktem. Stanowisko profesora uczelnianego (w miejsce zlikwidowanego docenta) wiązało się z korzystaniem z grzecznościowego zwrotu: panie profesorze, a to bywało trudne do przełknięcia, dla tych, którzy posiadali tytuł. Kilku z nas odważniejszych udało się do dziekana Kazia Czopka¹⁷⁵ z petycją. Sam będąc takim profesorem (przemianowany z docenta) zrozumiał i podjął się inicjatywy. Pomogły mu wnioski, jakie w stosunku do swoich pracowników wystosowali kierownicy Katedr. Oczy-

¹⁷⁴ **Prof. dr hab. inż. Aleksander Garlicki** urodził się w 1934 r. w Krakowie. Absolwent Wydziału Geologiczno-Poszukiwawczego (1956). Nakaz pracy kieruje go do Państwowego Instytutu Geologicznego (do 1962 r. Warszawa, do 1971 r. oddział w Krakowie). Doktorat (1964) i habilitacja (1977). Od roku 1973 r. przeniesiony do AGH. W 1981 r. został wybrany na stanowisko dziekana Wydziału na okres 1981–1984. W lutym 1985 r. otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego, a na stanowisko profesora zwyczajnego został powołany w 1993 r. W latach 1987–1990 był kierownikiem Studium Doktoranckiego AGH z zakresu geologii i geofizyki. Od 1990 do 1993 r. pełnił obowiązki pierwszego zastępcy rektora AGH i prorektora ds. nauczania. W latach 1992–2001 był ponadto kierownikiem Technicznego Uniwersytetu Otwartego w AGH. Od 1994 r. kierował nowo powstałym Zakładem Żłóż Rud i Soli AGH (do września 2001 r.). W 2002 r. przeszedł na emeryturę. Geolog, specjalista geologii żłóż surowców chemicznych, a zwłaszcza żłóż soli, oraz geologii górniczej.

¹⁷⁵ **Prof. dr hab. inż. Kazimierz Czopek** urodził się 18 stycznia 1939 r. w Libiążu. Ukończył studia na Wydziale Górniczym AGH w 1964 r. Otrzymał stopień doktora nauk technicznych w 1970 r., doktora habilitowanego w 1978 r. Powołany na stanowisko docenta w 1979 r. Profesor AGH – 1991 r., tytuł profesora – 1997 r. Specjalista z: teorii i prognozowania kosztów wydobywania, niezawodność układów wydobywczych, ekonomika, organizacja i zarządzanie w górnictwie. Kierownik Pracowni Ekonomiki i Zarządzania w Przedsiębiorstwie. Inicjator oraz przewodniczący Rady Naukowej Konferencji „Szkoła Ekonomiki i Zarządzania w Górnictwie”. Pełnił funkcje prodziekana (1984–1990), dziekana (1993–1996), prorektora (1990–1993). Członek Polskiej Akademii Inżynierskiej. Odznaczony: Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Edukacji Narodowej, Złotą Odznaką „Zasłużony dla Górnictwa RP”, Medalem „Za Zasługi dla Ziemi Krakowskiej”, Złotą Odznaką ZNP, Złotą Odznaką SITG. Zmarł 9 lutego 2013 r. w Krakowie.

wiecie wnioski musiały zostać udokumentowane dorobkiem. Oprócz artykułów miałem już mocno zaangażowane prowadzenie przewodu doktorskiego, co mi pomogło. Wniosek przeszedł przez Radę, potem Senat¹⁷⁶ i tak w 1994 r. zostałem „tylnym profesorem” (dr hab. inż. M.M. prof. AGH). Podnosiło to moją pensję do 5,5 mln zł – milioner za tydzień pracy – co, po opodatkowaniu dawało około 160 \$/m-c. Niestety milionerem byłem tylko przez rok, bo wobec denominacji pieniądza moje zarobki w złotychkach zmniejszyły się 1000 razy!!!

W 1993 r. funkcję dziekana obejmuje prof. K. Czopek. Bój o tę funkcję stoczył z byłym prodziekanem, prof. B. Barchańskim¹⁷⁷. Bronek odbył ze mną rozmowy, w wyniku których wyraziłem zgodę na potencjalne kandydowanie na stanowisko prodziekana. Wybory jednak przegraliśmy, a w ekipie wygranej u K. Czopka jednym z prodziekanów został wspomniany Antek Tajduś. Jak się okazało, miało to istotne znaczenie dla dalszego rozwoju Wydziału i Uczelni oraz moich losów.

¹⁷⁶ Jakież było moje zdziwienie, kiedy dowiedziałem się, że poparł mnie **prof. dr hab. inż. Edward Popiołek**, geodeta górniczy. Poznaliśmy się na Szkole Eksploatacji Podziemnej. Szalenie kulturalny i miły, wybitny pilot sportowy. Urodził się 20 października 1939 r. w Łętkowicach. W 1962 r. ukończył studia na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Doktorat w AGH w 1969 r., habilitacja w 1976 r. Od 1991 r. profesor zwyczajny. Kierownik Katedry Ochrony Terenów Górniczych (1976–1979), (1994–). Członek Senatu AGH (1993–). Prodziekan Wydziału Geodezji Górniczej AGH (1993–1997). Wiceprzewodniczący Komisji Likwidacji Zakładów Górniczych i Komisji Ochrony Powierzchni przy Wyższym Urzędzie Górniczym. Członek wielu rad naukowych i komitetów. Specjalista z geodezji i kartografii, ochrony terenów górniczych, ochrony środowiska w rejonach górniczych. Wielokrotny Mistrz Polski i Świata w lataniu precyzyjnym i rajdowym. Łączyło nas, oprócz kilku wspólnych ekspertyz – wspólne pływanie w basenie AGH.

¹⁷⁷ **Prof. dr hab. inż. Bronisław Barchański** urodził się w 1941 r. w Rudzie-Ożarów. Studia w AGH podjął w 1960 r. W ich trakcie odbył szereg staży w kopalniach. W czasie studiów intensywnie działał w organizacjach młodzieżowych (ZSP, ZMS). Z rekomendacji prof. B. Krupińskiego odbył staże zagraniczne w NRD i RFN. Nawiązane kontakty zawodują po latach w inicjatywie praktyk polskich studentów w kopalniach RFN. Trwać będą do 2015 r. Po krótkim epizodzie pracy w kopalni, w 1968 r. rozpoczyna pracę w Instytucie Projektowania i Budowy Kopalń. Doktorat broni u prof. Z. Strzeleckiego (*Zagadnienie zwiększenia wodoszczelności betonowej obudowy głębokich szybów*), habilituje się w 1989 r. (*Doświadczalno-teoretyczne podstawy doboru nowych obudów szybowych dla bardzo trudnych warunków*). Tytuł profesora uzyskuje w 1997 r. Pełni funkcję prodziekana Wydziału (1990–1993) i prorektora (1999–2002). Odznaczony odznakami ZMS, ZSP, SITG, NOT oraz srebrnym i złotym krzyżem zasługi (1976, 1983). Przechodzi na emeryturę w 2011 r. W 2015 r., przez prezydenta A. Dudę, zostaje powołany do Narodowej Rady Rozwoju.

Już w czasach dziekanowania prof. J. Zabierowskiego, wspólnie z kilkoma osobami (głównie dr. I. Kuczyńska¹⁷⁸ i wspomnianym W. Roszczyńskim) wystąpiliśmy z inicjatywą uruchomienia kierunku Inżynieria Środowiska. Pomimo załapania tematu przez dziekana Jacka pomysł nie został zrealizowany. Brakło czasu w kadencji. Do sprawy, przez Antka T., wróciłem w kadencji K. Czopka. Tym razem się powiodło. Zostawszy pełnomocnikiem dziekana ds. utworzenia kierunku udałem się do najbardziej wpływowego w środowisku agiehowskim – prof. K. Sztaby¹⁷⁹. Był lekko skonfundowany tym, że to nie on został wyznaczony do tej roli, ale „schował” swe ambicje i inicjatywę poparł. W efekcie w październiku 1995 r. zainaugurowaliśmy nowy kierunek. Oczywiście wymagało to negocjacji z dwoma wydziałami (geologicznym i geodezją), które już ten kierunek prowadziły, ale i one projekt poparły. Uruchomiliśmy trzy specjalności: Gospodarkę Odpadami, Klimatyzację i najmniej wyrazistą – Inżynierię w Kształtowaniu Środowiska. Oczywiście wyniknęło to z „parytetu” dla Katedr!

Przed zakończeniem kadencji (dość słabej) K. Czopka, Antek T. rozpoczął rozmowy by to on wystąpił, jako kontrkandydat w wyborach. Zgodziłem się być u niego prodziekanem ds. studiów zaocznych. Oprócz mnie w „drużynie”

¹⁷⁸ **Dr inż. Iwona Kuczyńska** urodziła się 1946 r. w Krakowie. Studia na Wydziale Ceramiki AGH (1970) i praca w Instytucie Przeróbki Surowców. Doktorat w 1982 r. Jedną z pierwszych na Wydziale, która zajęła się od strony naukowej gospodarką odpadami. Znakomity dydaktyk z tego zakresu. Twórczyni Studium Podyplomowego Przeróbki i Utylizacji Surowców Wtórnych i Odpadowych (1985). Oprócz „klasycznej” przeróbki surowców mineralnych, specjalistka z zakresu gospodarki odpadami, technologiami ich odzysku, edukacji ekologicznej. Przeszła na emeryturę w 2012 r.

¹⁷⁹ **Prof. dr hab. inż. Kazimierz Stanisław Sztaba** urodził się w 1931 r. w Krakowie. Ukończył studia w AGH w 1955 r. Doktorat (1960), habilitacja (1964), profesor nadzwyczajny (1969), profesor zwyczajny (1977). Profesor Honorowy AGH (2011). W AGH przeszedł wszystkie szczeble kariery naukowej. Dyrektor Instytutu Przeróbki i Wykorzystania Surowców Mineralnych/Zakładu Przeróbki Kopaliny, Ochrony Środowiska i Utylizacji Odpadów w latach 1969–1985, prorektor w latach 1969–1972. Specjalista z zakresu przeróbki kopaliny stałych, twórca szerszego pojęcia – inżynieria mineralna, gospodarka surowcami mineralnymi. Wychowawca rzeszy „przeróbkarzy”, autor ponad 260 publikacji z zakresu przeróbki mechanicznej i kompleksowego wykorzystania surowców mineralnych (w tym wtórnych i odpadowych), kontroli i optymalizacji procesów technologicznych, kształcenia i przygotowania kadr. Działacz PZPR (II sekretarz KU). Działalność pozanaukowa: członek założyciel Polskiej Akademii Filatelistyki (wiceprzewodniczący 1993–2001, prezes 2001–), członek czynny Académie Européenne de Philatélie, współautor około 35 publikacji z dziedziny filatelistyki.

wystąpił dr hab. inż. Jerzy Klich¹⁸⁰ i dr inż. Jan Waclawski, mój kolega ze studiów – ekonomista. Przewrót się udał i tak zostałem prodziekanem (oczywiście rezygnując ze stanowiska w Katedrze). Byłem nim krótko (13 miesięcy, o powodach za chwilę) i jeśli czymś się wyróżniłem to tym, że nie zatwierdzałem w indeksie spisu przedmiotów, jeśli był on wypełniany niestarannie. Zdarzało się więc, że student otrzymywał indeks z wpisem „unieważniono” i dopiero po starannym wypełnieniu mógł go złożyć ponownie. Odnotuję też, że z inicjatywy Antka powróciliśmy do tradycji „Balów Barbórkowych”. Pierwszy, po latach i jedyny ze mną w roli prodziekana odbył się w kopalni „Bochnia” w 1996 r. Wystąpiliśmy – gospodarze – w mundurach galowych. Od tego czasu tradycja bali jest kontynuowana. I jeszcze jedno ważne wydarzenie, w okresie dziekanowania, poznałem panią Małgosię Weklicz, która w biurze dziekanatu zajmowała się studentami zaocznymi. I tak los związał mnie z nią (zawodowo) na wiele późniejszych lat.

Jeszcze nim objąłem urząd prodziekana zostałem zaangażowany w działania Komitetu Badań Naukowych¹⁸¹. Wchodzący w skład komitetu, górnik,

¹⁸⁰ **Dr hab. inż. Jerzy Klich, prof. AGH** urodził się w 1942 r. w Bobrownikach k. Będzina. Studia kończy w 1967 r. Działacz KMPN-ZMS, członek PZPR. Doktorat (1975), habilitacja (1990). Pełnił funkcje: zastępcy dyrektora Instytutu Górnictwa Odkrywkowego (1981–1988), prodziekana (1996–2002) i dziekana Wydziału Górnictwa i Geoinżynierii (2002–2008). Specjalista z zakresu eksploatacji otworowej siarki i kopalni pospolitych, odwadniania kopalni odkrywkowych. Pod koniec pracy kierował dużym tematem związanym ze zgazowaniem węgla. Na emeryturę przeszedł w 2015 r.

¹⁸¹ Komitet Badań Naukowych (KBN) był naczelnym organem administracji rządowej do spraw polityki naukowej i naukowo-technicznej Polski. Rozpoczął działania w marcu 1991 r. W wyniku kolejnych reorganizacji został włączony w struktury ministerstwa w 2005 r., stając się jej Radą Nauki. Najważniejszą częścią działania KBN było rozdzielanie niemal całości środków finansowych przeznaczanych przez budżet państwa na rozwój i utrzymanie nauki w Polsce. KBN rozdelał pieniądze na tzw. cele statutowe uczelni i państwowych instytutów naukowych, na rozwój infrastruktury naukowej (biblioteki, sieci komputerowe itp.), organizował wymianę międzynarodową oraz uczestniczył w pracach związanych z integracją Polski z Unią Europejską. Do zadań KBN należało bezpośrednie finansowanie badań naukowych w postaci grantów. Granty te stanowiły w latach 1991–2005 znaczną część środków budżetowych na naukę (ok 30%), a polityka ich przyznawania określała w dużym stopniu kierunki rozwoju nauki w Polsce. Rolę decyzyjną w KBN pełnił jej komitet, w którym większość (13 osób z 19) mieli przedstawiciele środowisk nauki. Organami komitetu było 12 zespołów zajmujących się poszczególnymi dziedzinami nauki. Członkowie tych zespołów byli wybierani przez wszystkich pracowników nauki w Polsce, posiadających minimum stopień naukowy doktora. Członkowie tych zespołów mieli decydujący wpływ na przyznawanie grantów na określone projekty badawcze.

prof. dr hab. inż. Zdzisław Kłeczek (zasługuje na kilka odrębnych słów, które nieco dalej) zaczął angażować mnie w recenzowanie grantów, a gdzieś od 1995 r., w pracę sekcji: Górnictwo. Praca sekcji polegała na proponowaniu kolejności tematów na „liście grantobiorców” w oparciu o trzy istniejące recenzje. Generalnie to one ją ustalały, z wyjątkiem przypadku, w którym jedna z nich punktowała wniosek istotnie odbiegając od pozostałych. Sekcja wypowiadała się również, jeśli jej zdaniem kosztorys pracy był zawyżony. Ocena dotyczyła wszystkich rodzajów grantów, to jest indywidualnych, promotorskich, celowych (realizowanych „na zapotrzebowanie” przemysłu i z jego współfinansowaniem). Opiniowała również wnioski aparaturowe i inwestycyjne, a także środki „na działalność statutową”. Później, sekcja dokonywała pierwszej wersji kategoryzacji jednostek. Można powiedzieć, że przez sekcję przechodziły wszystkie pieniądze przyznawane przez KBN. Członków sekcji powoływał przewodniczący KBN-u, na wniosek zespołu, czyli w praktyce członka odpowiadającego za dyscyplinę, w tym przypadki prof. Z. Kłeczka. Tak zostałem przewodniczącym sekcji.

W 1997 r. kończyła się druga kadencja prof. Zdzisława w KBN. Pojawił się problem sukcesji. Widać spełniałem funkcję nie najgorzej, bo zaproponował mnie. Było to oczywiście uzgodnione (a jakże – sterowana demokracja) z władzami niektórych jednostek. Odbyło się bez żadnych zobowiązań z mej strony, choć zdawałem sobie sprawę, że wchodzę w „politykę” naukową, że będę przyznawał pieniądze. Wybory wygrałem (demokracja sterowana!) i tak zostałem członkiem tej instytucji. I muszę jasno podkreślić, że zawdzięczam to profesorowi Z. Kłeczce, bowiem taką miał wtedy pozycję, że to on wysuwał następcę i kogo by wysunął ten by pewno wygrał wybory.

Pora więc tej, tak ważnej w mojej karierze, postaci poświęcić kilka słów. **Prof. dr. hab. inż. Zdzisław Kłeczek** urodził się w 1937 r. w Jarosławiu, gdzie w 1954 r. zdał maturę. Po uzyskaniu absolutorium w AGH (1954–1960) pracuje 17 miesięcy w kopalni „Rozbark”. Po uzyskaniu dyplomu, w wyniku konkursu, podejmuje pracę w Katedrze Mechaniki Górniczej. Wtedy też żeni się z moją późniejszą koleżanką z Instytutu panią Bogusią (dr inż. Bogusławą Kłeczek, z domu Borkowską). W 1967 r. broni doktorat. Promotorem pracy *Wytrzymałość piaskowców i łupków karbońskich w świetle badań reologicznych* jest prof. Sałustowicz. Rozpoczyna w krakowskiej szkole geomechaniki nowy kierunek badawczy – reologia skał. Zajmuje się również problemem wpływu eksploatacji na powierzchnię, z której to tematyki prowadzi zajęcia. Uczęszczałem na nie i stąd, w okre-

się pisania doktoratu, mając pewne pomysły z tej dziedziny, konsultowałem je z nim. W 1970 r. odbywa krótkoterminowy staż w ZSRR. Przygotowuje rozprawę habilitacyjną (*Stan naprężenia i odkształcenia zamrożonego górotworu w otoczeniu szybu, jako funkcja czasu*). Kolokwium odbywa w 1972 r. i obejmuje etat docenta. Staje się postacią znaczącą tak w Uczelni, w przemyśle i w zapleczu naukowym górnictwa. Obejmuje funkcję prodziekana (1995–1978), zastępcy dyrektora swego Instytutu (1978–1982). W 1970 r. uzyskuje tytuł profesora nadzwyczajnego. Od 1982 r. zostaje dyrektorem Instytutu. Pełni funkcje doradcze w organach WUG-u, był działaczem sekcji koszykówki Gwardyjskiego Towarzystwa Sportowego Wisła. Uzyskuje nominację na redaktora naczelnego wydawnictw uczelnianych (1993–1997). Nawiązuje współpracę z Jugosławią, gdzie wykłada, bierze udział w ratowaniu zagrożonej kopalni soli w Tuzli. Przychodzi nowe, profesor Zdzisław pojawia się w zespole ekspertów okrągłego stołu. Po stronie Solidarności doradza w podstoliku górnictwym. W 1991 r. kandyduje do sejmiku z listy Porozumienia Centrum. Nie wchodzi głębiej w politykę poświęcając się pracy w jednostkach badawczych i zarządzających nauką. Podejmuje dodatkową pracę w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Górnictwa Surowców Chemicznych (Chemkop). W latach 1991–1997 przewodniczy zespołowi T-12 w KBN oraz przewodniczy kilku radom nadzorczym. Po zakończeniu pracy w KBN podejmuje dodatkowe zatrudnienie w jednostkach związanych z zapleczem naukowym górnictwa. Jest uznanym ekspertem z zakresu zagrożenia tąpnięciami będąc członkiem i przewodniczącym stosownych komisji przy prezesie WUG-u. W 2007 r. przechodzi na emeryturę pracując nadal w Instytucie Techniki Górniczej KOMAG. Uzyskał nagrodę naukową im. W. Budryka II stopnia w 1969 r., Srebrny Krzyż Zasługi w 1971 r., tytuł „Zasłużony Racjonalizator Produkcji” w 1972 r., Złotą Odznakę „Zasłużonemu w Rozwoju Województwa Katowickiego” w 1973 r., Brązowy Medal „Dla Obronności Kraju” w 1974 r., Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski w 1977 r., stopień Dyrektora Górniczego w 1977 r., Odznakę Honorowego Ratownika Górniczego w 1977 r., Złotą Odznakę „Za Zasługi dla Ziemi Krakowskiej” w 1979 r., Medal KEN w 1982 r., stopień Generalnego Dyrektora Górniczego II stopnia w 1983 r., Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski w 1985 r., stopień Generalnego Dyrektora Górniczego I stopnia w 1992 r., Odznakę „Zasłużonego Działacza SITG” w 1992 r., Honorową Odznakę „Zasłużony dla Rudzkiej Spółki Węglowej” w 2000 r., Odznakę „Za Pracę Społeczną i Zawodową dla Górnictwa Ziemi Krakowskiej” w 2001 r.,

Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski w 2002 r., „Zasłużony dla Górnictwa” w 1977, 1983, 1992 r., 12-krotnie otrzymywał nagrody ministra, wielokrotnie nagrody rektora AGH. Być może w okresie późniejszym i inne.

Z tak znamienitym konkurentem przyszło mi się zmagać w przyszłości w wyborach na następną kadencję. Nim do tego doszło rozpocząłem pracę w III kadencji Komitetu. W skład zespołu wchodził profesorowie: Bogdan Ney¹⁸² – przewodniczący zespołu, geodeta (wieloletni pracownik AGH), Joanna Pińska¹⁸³ (geolog – absolwentka AGH), Piotr Wolański (napędy), Jerzy Jaźwiński (środki transportu), Zbigniew Smalko (systemy transportu). Sekretarzem zespołu był Marek Szlęzak. „Urządowanie” rozpoczynamy od spotkania na lotnisku Okęcie, skąd śmigłowcem Instytutu Lotnictwa lecimy do ich ośrodka na Mazury. Dla mnie dramat podróży samolotem. Na szczęście wraz z wystartowaniem otwarto butelkę, która „nieco” uodporniła mnie na stres.

¹⁸² **Prof. dr hab. inż. Bogdan Ney** urodził się w 1935 r. w Pińsku. W 1952 r. ukończył I LO w Tarnowie, a w 1957 r. studia na Wydziale Geodezji Górniczej AGH. W 1963 r. uzyskał tytuł doktora. W 1969 r. objął funkcję zastępcy dyrektora Instytutu Geodezji Górniczej i Przemysłowej AGH, a w 1970 r. został także kierownikiem Zakładu Geodezji Przemysłowej i Badań Odkształceń. W 1974 r. został przeniesiony służbowo do Warszawy na stanowisko dyrektora resortowego Instytutu Geodezji i Kartografii (IGiK). Habilitację uzyskał w macierzystej uczelni w 1977 r. a w 1979 r. na wniosek Rady Naukowej IGiK tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego. W 1986 r. wybrany na członka – korespondenta Polskiej Akademii Nauk. Od 2002 r. jest członkiem rzeczywistym PAN. Przewodniczył Wydziałowi Nauk o Ziemi i Nauk Górniczych PAN. W latach 1980–1990 pełnił kilkakrotnie misje eksperta Organizacji Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) oraz Organizacji Edukacji i Kultury (UNESCO). Profesor posiada oryginalne osiągnięcia w geodezji i kartografii, geoinformatyce, teledetekcji i gospodarce przestrzennej, a jego dorobek piśmienniczy obejmuje ok. 250 pozycji, w tym ok. 100 prac oryginalnych, spośród których 43 w języku angielskim. Na konferencjach międzynarodowych w Europie, Ameryce i Azji zaprezentował ok. 50 referatów. W latach 1984–1993 był członkiem Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej do Spraw Stopni i Tytułów Naukowych, a w latach 1997–2004 członkiem Komitetu Badań Naukowych i przewodniczącym Zespołu Górnictwa, Geodezji i Transportu. Przewodniczył Państwowej Radzie Gospodarki Przestrzennej, a także Państwowej Radzie Geodezyjnej i Kartograficznej. Obecnie jest członkiem Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego. Od 1998 r. jest doktorem honoris causa Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, a od 2006 r. Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Jest odznaczony m.in. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (2005) oraz Złotą Odznaką „Za Pracę Społeczną dla Miasta Krakowa” (1981) i Złotą Odznaką „Za Zasługi dla Ziemi Krakowskiej” (1983). Brat byłego rektora AGH Romana Neya.

¹⁸³ Absolwentka Wydziału Geologii AGH, córka geologa prof. R. Krajewskiego, geolog, pracownik Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego, dziekan wydziału (1990–1996), wybitny specjalista z geologii inżynierskiej.

Łądujemy obok ośrodka i zaczyna się posiedzenie, nowi członkowie przysłuchują się ostatniemu posiedzeniu „starego” zespołu (oprócz prof. Z. Kłęczka odchodzi z niego prof. S. Białousz). Z grubsza orientuję się, co będzie wchodzić w zakres decyzji zespołu. Kilkanaście dni później, w Urzędzie Rady Ministrów odbywa się inauguracyjne posiedzenie, na którym z rąk premiera Cimoszewicza odbieramy nominację. Był to ostatni przypadek (chyba do dzisiaj), kiedy premier „osobiście” interesuje się gremium mającym coś do powiedzenia w nauce. Następnego dnia robocze spotkanie w budynku KBN (a zarazem Ministerstwa) i wybór ciała organu. Na przewodniczącego zespołu powołujemy prof. B. Neya. Przewodniczącym Komitetu zostaje prof. Andrzej Wiszniewski – inżynier elektryk. Członkostwo w KBN łączy się z gratyfikacją – 1800 zł/m-c (ok. 500 \$) no i częstymi pobytami w Warszawie. Ministerstwo funduje nam noclegi w hotelu Grand przy ul. Kruczej. Prowincjusz – przyzwyczajam się do światowego życia.

Pomału, pod kierunkiem mgr inż. Marka Szlęzaka, sekretarza zespołu (pracownika etatowego KBN) rozpoczynamy „urzędowanie”, poznajemy nasze kompetencje, obowiązki i przywileje. Przyjdzie czas na wnikliwszą ich analizę, teraz szok jesteśmy wszechmocni! To od nas zależy każda złotówka płynąca z kasy państwowej do jednostki naukowej. Coraz mocniej dochodzi do mnie, że pewne „zabiegi”, jakie szefowie jednostek naukowych (szczególnie JBR-ów) zaczęli podejmować względem mej osoby jeszcze przed objęciem funkcji stawiają mnie w „kłopotliwej sytuacji”. Mówiąc wprost, członek KBN w tamtych czasach decydował o wszystkim, od kategorii jednostki, poprzez wielkość różnych dla niej dofinansowań (statutowe, badania własne, na aparaturę, na inwestycje, na różnego rodzaju granty, współpracę międzynarodową) po dofinansowanie czasopism. Na szczęście (patrzac trochę ze smutnej – dzisiejszej perspektywy) zespół był „prawie” obiektywny. Prawie, bo święty by nie wytrzymał i przy podejmowaniu decyzji odnośnie jednostki, w której się pracuje, czy jest się przewodniczącym jej Rady Naukowej i nie wziął tego pod uwagę. Problem tylko w skali, a tej – moim zdaniem – nie przekraczaliśmy. Ważne było też to, że postanowiliśmy działać „transparentnie”, to znaczy wszystkie ważne sprawy kierowaliśmy najpierw pod obrady sekcji, a w niej większość dużych jednostek miała swoich przedstawicieli. Tam więc „ucierał się” consensus. O polityce naukowej, jak wspominałem, później.

Pobyt w KBN-ie pozwolił mi na poznanie innych, niż górnicze jednostki. Organizowane mieliśmy do nich „wyjazdy poznawcze”. Oprócz sztandarowych

wydziałów na politechnikach gościliśmy w JBR-ach (podległych Ministerstwu Gospodarki) i instytutach Polskiej Akademii Nauk. Wizyty składały się z części oficjalnych i mniej oficjalnych. Te pierwsze to wysłuchanie „opowieści” o jednostce, przygotowanych przez kierownictwo i „wizja lokalna” w laboratoriach. Poziom jednostek (szczególnie JBR-ów) różniasty. Od zupełnie przyzwoitych do żyjących z wynajmowania lokali (z lekką przesadą). Nie wymieniam ani dobrych, ani złych, bo nie o to chodzi, ale faktycznie PRL natworzył, często dla prominentnych działaczy, całą masę jednostek, które bez finansowania z kiesy państwa, nie przeżyłyby ani dnia. I dylemat – likwidacja, to iluś tam bezrobotnych. Druga część wizji to „kolacja”, im jednostka słabsza, tym wykwinniejsza. Nie ma co ukrywać, że w miarę naszych potrzeb, suto zakrapiana. A że były wśród nas „tęgie głowy” (sam zaliczałem się do średniaków) to dzień po kolacji zaczynał się ciężko. Tak gościłem na „Darze Młodzieży”, oglądałem laboratoria lotnicze, kanały umożliwiające modelowanie przepływu statków i wiele innych. Nie zrealizowałem tylko (a miałem to obiecane) jazdy salonką, którą bywali w Moskwie Gomółka i Cyrankiewicz. Pomimo charakteru „wizyt prominentnych” miały one dobre strony. Dla technika jest jasne, że jak czegoś dotknie to łatwiej potem podejmować decyzje.

Tak minęła pierwsza kadencja. Pod jej koniec rozpoczęły się dyskusje, kto startuje (i ma wygrać!) w wyborach na następną. Nie mogli kandydować prof. J. Pinińska i prof. J. Jaźwiński. Dla mnie najważniejsze było ewentualne moje kandydowanie. Okazało się, że prof. Z. Kłeczek chce wrócić i zaczął pewne rozmowy z niektórymi instytucjami. Pojawił się między nami zgrzyt (kompletnie niepotrzebny). Pojawiła się informacja jakoby po wyborze miał zgłosić deklarację „bycia tylko jedną z kadencji”. Jasno i publicznie to dementowałem i udałem się do mego dziekana (prof. A. Tajdusia) z pytaniem „co mam robić”? Podjął rozmowy z innymi jednostkami i zdecydowana większość sugerowała, bym kandydował. Niezbyt elegancko tak pisać o sobie, ale autentycznie na pierwszym miejscu stawiałem życzenie „ogólu” a nie swoje chciejstwo (wspomniane 500 \$). Skoro większość jest za mną pozostał mi ostatni krok. Zwróciłem się do mojej macierzystej Rady Wydziału z pytaniem czy udziela mi „votum zaufania”? Profesor Z. Kłeczek poinformował Radę, że wysunięty (bodaj przez KOMAG) będzie kandydował. Dziekan postawił moją prośbę i w głosowaniu tajnym Rada udzieliła mi poparcia (tylko 2 czy 3 głosy były przeciw). Trudno się dziwić, że było mi miło! Wybory wygrałem (uzyskując ponad 2 razy więcej

głosów od konkurenta) i zacząłem kolejną kadencję. W miejsce prof. Pinińskiej wybranym został prof. Andrzej Szczepański¹⁸⁴, AGH-owski geolog, w miejsce prof. Jaźwińskiego – prof. Jerzy Merkisz z Politechniki Poznańskiej. Ukonstytuowaliśmy się błyskawicznie, szefem zespołu ponownie został prof. Ney. Przewodniczącym komitetu – prof. M. Kleiber. Zaczęła się era reformy. My jednak robiliśmy swoje.

Po raz pierwszy pojawił się problem wymiernej oceny jednostek. Sprawa niezwykle drażliwa. Wcześniejsze kategoryzacje miały charakter uznaniowy zespołu. Czyli tak naprawdę członek zespołu miał przeważający wpływ na to, jaką kategorię otrzymają jednostki wchodzące w zakres jego merytorycznej „opieki”. I w zasadzie podejmowane decyzje były zgodne z tzw. opinią ogółu. Teraz zaczęto liczyć „efekty”. Wymyśliliśmy, że (jak w wielu sprawach drażliwych) wstępna ich obróbkę dokona sekcja, w skład której (dla górnictwa) zaproponowałem zastępców dyrektorów ważnych jednostek lub prodziekanów wydziałów. Klócili się długo i wypracowali propozycję generalnie również zgodną z intuicyjną¹⁸⁵. Środowisko było więc (w miarę) zadowolone.

Praca w KBN-ie, jak wielokrotnie wspominałem to przyznawanie pieniędzy. W tamtych latach były to głównie granty indywidualne, promotorskie i celowe. Ich uzyskanie wiązało się z szansą na niezłe honoraria (rekordziści w projektach potrafili legalnie wyciągnąć nawet ponad 100 tys. zł rocznie). Nic więc dziwnego, że naciski na mnie (nas) były silne. Nie ma co ukrywać, że faktycznie decyzje o ich przyznaniu podejmował członek zespołu w chwili wyznaczania recenzentów. Znając środowiska, układy i współzależności personalne można było bez pudła wytypować recenzentów życzliwych lub przeciw-

¹⁸⁴ **Prof. dr hab. inż. Andrzej Szczepański** urodził się w 1941 r. w Sosnowcu. Absolwent AGH, hydrogeolog, prof. zwyczajny AGH od 1992 r. Prodziekan macierzystego wydziału (1980–1982), w stanie wojennym internowany, a potem „karnie” przeniesiony na Politechnikę Częstochowską (1981–1993), prorektor AGH (1993–1996). Autor prawie 200 publikacji, wypromował 7 doktorów, członek rad naukowych PIG – Warszawa, IPIŚ PAN – Zabrze, Państwowej Rady Geologicznej, Państwowej Rady Ochrony Środowiska, Krajowej Rady Gospodarki Wodnej, licznych komisji resortowych. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz licznymi odznaczeniami resortowymi. Doskonały i bezkompromisowy fachowiec.

¹⁸⁵ Sprawa kategoryzacji jednostek z czasem, moim zdaniem, zabrnęła w ślepy zaułek. Dziśjsze punkty, uwzględniające wskaźniki bibliometryczne wypaczają istotę rywalizacji w nauce powodując szkody.

nie. Jak w takiej sytuacji funkcjonować? Mam nadzieję, że podlega to przedawnieniu, ale wobec naporu dyrektorów, kolegów, ważnych ludzi przyjąłem dwa przypadki wyjątkowe. W każdym konkursie (granty indywidualne) przyjmowałem od kierowników jednostek „zgłoszenia” projektów, które według nich były szczególnie ważne dla instytucji. Jeśli moja ocena była pozytywna (głównie w aspekcie ważności dla instytucji, a nie pieniędzy dla wykonawców) to projekt kierowałem do recenzentów „życzliwych”. Drugi przypadek dotyczył tytularnych profesorów odchodzących na emeryturę. I oni mogli liczyć na przychylnych recenzentów aby uzyskać „grant emerycki”. Podobnie postępowali koledzy z zespołu. Pozostałe projekty dostawali recenzenci z listy ekspertów, o którą, zaraz na początku urzędowania poprosiłem szefów jednostek. Do nazwiska swego pracownika przypisali jego specjalność naukową i nią się kierowałem. Jakoś tak mi się wiodło, że przez 7 lat takie podejście nie powodowało moich konfliktów z kolegami, a przynajmniej nic o nich nie wiem. Na „prywatne” naciski miałem jasną odpowiedź: idź do szefa, jeśli uzna twój projekt za ważny to się zastanowię. Prostsza sprawa była z grantami celowymi, te dostawali do recenzji fachowcy, choć i tu łatwo było nastąpić na minę wzajemnych antagonizmów między wnioskodawcą a recenzentem. W wielu przypadkach zacny profesor szeptał mi do ucha: „tam u pana jest mój grant. Proszę tylko o to by do recenzji nie dostał go X-iński”. W drastycznych przypadkach (dwie recenzje pozytywne, trzecia druzgocąca) niezwykle ważnym było stanowisko sekcji.

Oprócz decyzji o przydziale grantów decydowaliśmy o wielkości dotacji statutowej i dotacji na badania własne. Tutaj, zastawszy pewien podział jaki dokonał KBN pierwszej kadencji, nie mieliśmy wielkiego pola do popisu, po prostu nawiązywaliśmy do niego. Pewien wpływ, opiniując wnioski, mieliśmy na dotacje na zakup aparatury i inwestycje. I tu się muszę przyznać do prywaty. Kończąc kadencję poprosiłem kolegów o życzliwe spojrzenie na wniosek mego Wydziału. Dzięki nim dziekan – prof. J. Klich miał pieniądze na kapitalny remont hali A-1. I nawet otwierając ją publicznie mi za to podziękował(!)

Z byciem członkiem KBN-u wiązał się obowiązek uczestniczenia w komisjach konkursowych na dyrektorów jednostek badawczych. Brałem udział w wyborach szefów kilku jednostek, ale w pamięci zapadł mi jeden, w Głównym Instytucie Górnictwa (2001). Jego dyrektorem był wtedy mgr inż. A. Graczyński, „działacz” z okresu minionego, dyrektor wielu przedsiębiorstw – z zawodu. W instytucie dokonał gruntownej reorganizacji (i chwala mu za to, dzięki nie-

mu jednostka przetrwała czasy największego kryzysu), ale kiedy został senatorem RP (2000) zaczął jednostkę traktować, jako swoje biuro senatorskie. Nic dziwnego, że zrodziło to „bunt załogi”. Na konkurenta urzędującemu dyrektorowi wytypowano jego zastępcę, prof. J. Dubińskiego¹⁸⁶. Komisja konkursowa składała się z dwóch przedstawicieli ministerstwa, dwóch KBN-u (urzędnik + ja) i trzech delegatów rady naukowej instytutu. Zakładając, że „urzędnicy”, pomimo rządów AWS byli funkcyjnymi z minionego okresu, a więc dyrektor Graczyński bez problemu uzyskał ich przychylność, przedstawiciele załogi oczywiście byli za swoim kandydatem, „języczkiem uwagi” byłem ja. Za sprawą kolegów z jednostki zostałem wybrany na przewodniczącego. Nie miałem żadnej wątpliwości, że to prof. Dubiński, już wtedy znany w górnictwie światowym, powinien kierować GIG-iem. Po dokonaniu takiego rozeznania, szanując wcześniejsze dokonania dyrektora Graczyńskiego, dzień przed posiedzeniem komisji zadzwoniłem do niego i mówię: „Panie senatorze, z mojego rozeznania wynika, że konkurs wygra prof. Dubiński, radzę więc się wycofać”. „Nigdy – usłyszałem – ja to muszę wygrać”. Posiedzenie komisji zaczęło się od załatwienia spraw proceduralnych. Między innymi (co okazało się potem kluczowe) uzgodniliśmy, że indywidualne arkusze punktacji członków komisji, wypełniane ręcznie, po komisyjnym podsumowaniu punktów i wpisaniu do protokołu zostaną znisz-

¹⁸⁶ **Prof. dr hab. inż. Józef Dubiński** urodził się w 1945 r. w Ujściu Solnym. W 1969 r. ukończył studia w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. W 1971 r. został zatrudniony na stanowisku asystenta w Głównym Instytucie Górnictwa. Doktoryzował się w 1978 r., stopień doktora habilitowanego uzyskał w 1990 r., na podstawie rozprawy zatytułowanej *Sejsmiczna metoda wyprzedzającej oceny zagrożenia wstrząsami górnictwymi w kopalniach węgla kamiennego*. Tytuł profesora nauk technicznych otrzymał w 1995 r. W latach 2001–2015 pełnił funkcję naczelnego dyrektora Głównego Instytutu Górnictwa. Doszedł również do stanowiska profesora zwyczajnego w tej jednostce. Doktor honoris causa AGH. W 2007 r. uzyskał godność członka korespondenta Polskiej Akademii Nauk. Został także wiceprezesem oddziału PAN w Katowicach, członkiem Komitetu Problemów Energetyki PAN, wiceprzewodniczącym Komitetu Górnictwa PAN oraz członkiem Komisji Nauk Technicznych Polskiej Akademii Umiejętności i członkiem Rady Głównej Instytutów Badawczych. Jest członkiem Akademii Inżynierskiej w Polsce, przewodniczącym Międzynarodowego Biura Mechaniki Skał, zasiada w Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów. Pełni funkcje prezydenta Międzynarodowego Komitetu Organizacyjnego Światowych Kongresów Górniczych oraz Fundacji Bezpieczne Górnictwo im. prof. W. Cybulskiego. Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski i wieloma innymi odznaczeniami.

czone. Tak się stało, nie było dokumentu podającego kto dał ile punktów. Wybory większością punktów wygrał prof. J. Dubiński. Na zwyczajowy obiad nie zjawił się (jeszcze) urzędujący dyrektor. Rozpoczął działania w Warszawie. Miał tam po swojej stronie wiceministra, któremu GIG podlegał. Ten, nie mogąc powołać dyrektora niezgodnie z wynikiem konkursu, usiłował ten wybór unieważnić. Ale do tego potrzebny był punkt zaczepienia. W innym JBR za taki posłużyły owe karty, na których za „jakieś” kompetencje ktoś przyznał 0 punktów. Według ministra nie było to zgodne z procedurą. Tym samym chciał się posłużyć i tu. Dostałem polecenie: „przekazania kart z punktacją”. Odpowiedziałem, że zostały zniszczone, a cała procedura wewnętrznego postępowania komisji jest opisana i zaakceptowana jednomyślnym protokołem, podpisanym bez zdań odrębnych. I to spowodowało, że senator przegrał ze swym zastępcą. Profesor J. Dubiński na długie lata został dyrektorem GIG-u (do 2015 r.).

Były jeszcze sprawy drobniejsze, jak kategoryzacja czasopism i dotacje na ich wydawanie, no i wielka polityka naukowa państwa, o której dyskutowało się na posiedzeniach plenarnych. Miło wspominać pracę w zespole ds. wydawnictw. Poznałem tam prof. A. Paczkowskiego (wybitnego historyka, miłośnika pączków od Bliklego – przynosił je na posiedzenia) i prof. M. Żylicza, biochemika, przeciwnika języka polskiego w publikacjach naukowych. Kadencję zakończyłem w 2004 r., przekazując pałeczkę prof. Stanisławowi Piechocie. Powołany jednak zostałem w skład Zespołu Doradczego ds. Projektów Zamawianych.

Rozpisałem się o KBN-e pokazując me możliwości. I nie mam wątpliwości, że były one głównym powodem kolejnych awansów i zaszczytów, jakich dośąpiłem na zewnątrz Uczelni. W 1998 r. dowiaduję się, że mam wziąć udział w szkoleniu i egzaminie na członków rad nadzorczych w spółkach Skarbu Państwa (inicjatorami byli profesorowie J. Palarski i A. Karbownik; ten drugi, późniejszy rektor Politechniki Śląskiej). Kilka tygodni później uzyskuję Dyplom Ministerstwa Skarbu Państwa potwierdzający uprawnienia. I zostaję powołany na członka rady w Państwowej Agencji Restrukturyzacji Górnictwa Węglowego (1998–2003), później Kompanii Węglowej S.A. (2003–2006). Uczestniczenie w tym gremium uczy mnie spojrzenia makro na finanse przedsiębiorstwa, jego zarządzanie. Szczególnie cenię sobie wiedzę, jaką posiadm od dwóch przewodniczących: prof. Jana Wojtyły (Uniwersytet Ekonomiczny – Katowice) i Marka (Mariana) Bąka. Zostałem również członkiem, a nawet wiceprzewodniczącym Rady Nadzorczej Rafinerii Nafty „Jasło” (1998–2000), ale to za pośrednictwem

posła Stanisława Zajęca¹⁸⁷ – „załatwił” mi szkolny kolega Wojtek Pawluś. Będąc tzw. osobą zaufaną miałem w niej dbać o interesy załogi w obliczu nadchodzącej restrukturyzacji. Obie rady dawały również gratyfikacje (po około 1700 zł/m-c, tj. około 450 \$). Piszę o tym wprost by pokazać, że już wtedy pojawiły się możliwości dbania o swoich (choć na Boga „swoim” nie byłem, bo jak wspominałem, nigdy w życiu nie byłem członkiem ani działaczem żadnego ugrupowania politycznego). Z obu zostałem w końcu usunięty, a było to tak. Kiedy rządy objął premier Marcinkiewicz zaczął gwałtownie „czyścić” rady nadzorcze dla swoich. Na zwolnione przeze mnie i prof. A. Tajdusia miejsca w Kompani Węglowej przyszli specjaliści: lekarz psychiatra i skarbnik gminy z Gorzowa. Akurat jakoś w tym samym czasie wysłuchałem w radio wywiadu z premierem, który na pytanie dlaczego zwalnia członków rad odpowiedział: „czyścimy je z agentów SB”. Szlag mnie trafił, napisałem protest do prezesa Kaczyńskiego, niestety bez odzewu. Z rady rafinerii usunął mnie na walnym zgromadzeniu delegat ministra skarbu państwa... wprowadzając siebie.

Pod koniec działalności zawodowej (2015 r.) pojawiłem się znowu w radzie w PGNiG-u. Stało się tak za sprawą jednego z przyjaciół, który proszony o wskazanie kogoś z AGH zaproponował mnie. Miałem okazję przez dwa dni być prominentem w hotelu w Arłamowie, podczas uroczystej Barbórki firmy. Wiem jakie przyjemności daje „apartament z otwartym rachunkiem”. Nie mogłem sobie odmówić i naciągnąłem firmę na dwie dobre whisky (a 100 g). Członkiem rady, jak się można było spodziewać w świetle wyników parlamentarnych, byłem nie długo, bo 29 grudnia tegoż roku walne zgromadzenie mnie odwołało. Nowa władza (PiS), jak i poprzednie czyści do spodu. I tym razem wysłałem list, teraz do pani premier Szydło(!) I tym razem, nawet bez potwierdzenia, że doszedł do kancelarii. Podobny los spotkał list wysłany do pani senator Alicji Zajęc. Każda władza charakteryzuje się taką samą arogancją!

Nie wiem na ile moje kompetencje, a na ile chęć zaskarżenia sobie mojej przychylności (ech to wyznaczanie recenzentów do grantów!) ale w krótkim czasie dostąpiłem zaszczytu bycia:

¹⁸⁷ **Stanisław Zajęc** urodził się w 1949 r. w Święcanach (mój krajan i szkolny kolega), zginął w katastrofie smoleńskiej 10 kwietnia 2010 r. Polityk, adwokat, w latach 1991–1993, 1997–2001 i 2005–2008 poseł na Sejm RP I, III, V i VI kadencji, od 2008 do 2010 r. senator VII kadencji.

- (z wyboru 2-krotnie) członkiem Rady Naukowej (od 2015 r. przewodniczącym) Instytutu Mechaniki Górotworu PAN w Krakowie;
- (z wyboru 3-krotnie) członkiem Komitetu Górnictwa PAN (w 2015 r. postanowiłem nie kandydować);
- (z wyboru) członkiem Komitetu Gospodarki Surowcami Mineralnymi i Energią PAN;
- członkiem Komitetu Redakcyjnego Kwartalnika AGH – Górnictwo;
- (z wyboru, 4-krotnie) członkiem Rady Naukowej GIG – Katowice;
- członkiem Zespołu ds. Bezpieczeństwa w Kompani Węglowej S.A.;
- (z wyboru) członkiem Akademii Inżynierskiej w Polsce;
- wiceprzewodniczącym Komisji ds. Likwidacji Zakładów Górniczych i Gospodarki Odpadami przy WUG-u;
- wiceprzewodniczącym Komisji ds. Zagrożeń Wodnych oraz Likwidacji Zakładów Górniczych przy WUG-u;
- członkiem Rady Geologicznej przy Ministrze Środowiska;
- członkiem Zespołu Sterującego ds. Programu rządowego dla terenów poprzemysłowych;
- członkiem interdyscyplinarnego Zespołu ds. analizy wystąpień jednostek naukowych o zmianę wyników oceny parametrycznej i kategoryzacji dokonanej przez Komisję Badań na Rzecz Rozwoju Gospodarki, Rady Nauki;
- ekspertem powołanym przez ministra, opracowującym standardy nauczania dla kierunku „górnictwo i geologia”;
- członkiem Zespołu doradczego ds. prac badawczych z zakresu ochrony środowiska i gospodarki wodnej na terenach górniczych przy MŚ;
- społecznym doradcą Wicepremiera, Ministra Gospodarki z zakresu górnictwa węgla kamiennego (byłem wtedy przewodniczącym rektorskiej komisji ds. pracowniczych, a kolega profesor – ważna osoba w resorcie – starał się o etat profesora zwyczajnego!);
- członkiem Społecznej Rady ds. Narodowego Programu Redukcji Emisji;
- ekspertem Marszałka Województwa Małopolskiego ds. przyznawania grantów w ramach Zintegrowanego Programu Operacyjnego Rozwoju Regionalnego;
- ekspertem Marszałka Województwa Małopolskiego ds. opracowania Wojewódzkiego Planu Gospodarki Odpadami;
- Rady Fundacji dla Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze;

- członkiem Rady Programowej Szkoły Ochrony i Inżynierii Środowiska im. Walerego Goetla AGH.

Powyższa „wyliczanka” pokazuje funkcje różnego ciężaru. Wszystkie społeczne – czyli niepłatne. Niektóre sprawiały mi satysfakcję, w kilku byłem użyteczny. Ale są i takie, które stanowią tylko kwiatek przy moim kożuchu.

Skoro o kwiatkach przy kożuchu to o odznaczeniach. Górnik to człowiek, który nieco podobnie jak sowiecki generał na stare lata zaczyna dzień od przepinania medali z pizamy do ubrania. W PRL-u odznaczenia przynależały z latami pracy. Przeniosło się to i na kadre naukową. Znam takich, którzy ze zmianą stroju odpięli wszystkie udając, że ich nie mieli. („Bronuś – pyta prof. Wilk prof. Barchańskiego, obaj zdejmują płaszcze w zakrystii św. Anny przed mszą barbórkową – a gdzie twoje odznaczenia”? „Nie mam” – odpowiada zapytany. „A medal Janka Krasickiego” – wtrącam złośliwie, choć bez dowodów). Sam je otrzymywałem i nigdy się ich nie wstydziłem. Bez względu na to, która władza je dawała. Uważałem (w zarozumiałości), że mi się za moją pracę należą. Zwłaszcza, że mają je inni. Tak więc posiadam:

- Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski;
- Złoty Medal „Za Długoletnią Służbę”;
- Srebrny Krzyż Zasługi;
- stopień Generalnego Dyrektora Górniczego I stopnia

oraz odznaki, medale i in.:

- „Zasłużony dla Górnictwa”;
- „Zasłużony dla Energetyki”;
- „Za Zasługi dla Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej”;
- Srebrna Odznaka „Za Zasługi dla Ziemi Krakowskiej”;
- Brązowa Odznaka „Zasłużony dla SliTG”;
- Medal „Komisji Edukacji Narodowej”;
- Medal „Zasłużony dla Wydziału Wiertnictwa, Nafty i Gazu AGH”;
- Medal „Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego”;
- Medal „60-lecia Wydziału Górnictwa i Geologii Politechniki Śląskiej”;
- od dyrektora Kopalni „Niwka-Modrzejów” (mojego doktoranta) otrzymałem honorową szpadę górniczą;
- od Związku Zawodowego „Kadra” – kordzik górniczy.

Tyle wyliczanki zaszczytowej.

Wracam do funkcji pełnionych w Uczelni. Niezwykle cenię sobie fakt, że nieprzerwanie od 20 lat, z wyboru jestem członkiem Senatu AGH. Uczestniczyłem w posiedzeniach prowadzonych przez trzech kolejnych rektorów. Każdy to robił inaczej, choć wszyscy liczyli się ze zdaniem gremium i trudne decyzje „ucierali” na posiedzeniach komisji, często ze swym udziałem. Argumentowali i przekonywali do swych racji. Ale i (generalnie) słuchali innych, choć zdarzały się przypadki, że ktoś z ich przyjaciół czuł nagle, że jest niemal *persona non grata*. W każdej kadencji, wśród senatorów byli niepokorni, wnoszący „twórczy ferment” (mam nadzieję, że się nie obrażą profesorowie W. Mitkowski i J. Łuksza, jeśli uznam ich za wiodących w tej roli). Ale też owa niepokorność płynęła z autentycznych przekonań, z troski o Uczelnię. Cały czas tylko trochę bolałem nad małą aktywnością senatorów – studentów. Przez 17 lat proponowany przez rektora byłem wybierany przez Senat na przewodniczącego komisji ds. kadrowych. Okresowo zasiadałem w komisji ds. nauki oraz w doraźnych komisjach ds.: organizacji Uczelni; opracowania preambuły do statutu; opracowania Księgi Tradycji Uczelni. Z tej racji zasiadam w tzw. szerokim kolegium Uczelni. Udział w obradach tych gremiów, z jednej strony istotnie poszerzał mą wiedzę o Uczelni i jej ludziach, z drugiej był okazją do dokładania drobnych cegiełek do niektórych aspektów jej rozwoju. Odbywając coroczne, trzydniowe, wyjazdowe posiedzenia kolegium, dyskutowało się o sprawach perspektywicznych. Dodatkowo autentycznie dochodziło do sporej integracji tego kierowniczego gremium. Był też czas na oderwanie się od trudnej rzeczywistości. Ktoś z rektorów zaproponował, by w tych pozamerytorycznych pracach uczestniczyły żony, pewno w celu „łagodzenia obyczajów”. Okazało się, że nie wszyscy uczestnicy (w tym i ja!) nie sprawiali żonom przyjemności uczestnictwa w „zajęciach integracyjnych”. Jakoś pod koniec (ku memu zadowoleniu, bo cały czas to krytykowałem!) obyczaj ten samoistnie wygasł.

W działaniach w senacie spotkałem w nich wielu interesujących ludzi, w tym pracowników administracji. Szczególnie cenilem sobie współpracę z panem mgr. inż. Andrzejem Pogonowskim, dyrektorem ds. pracowniczych. W mojej ocenie to wzór urzędnika oddanego swej jednostce i sprawującym w niej funkcje kierownicze. Równocześnie niezwykle wyczulony na sprawy „międzyludzkie”. Absolwent Wydziału Ceramiki, karierę w AGH zaczynał pod skrzydłami duetu

Kałwa – Ropska w Woli Rzędzińskiej, spiekając popioły (m.in. dla mego doktoratu, o czym pisałem). Na fali przemian Solidarności, przekwalifikował się (i bardzo dobrze!) i trafił do działu kadr. Paradoksalnie, stanowisko to wcześniej było „przynależne” agentom SB. Pan Andrzej skutecznie je „odczarował” (czy odprawił egzorcyzmy nie udało mi się dowiedzieć). Z grona prorektorów współpracowałem blisko z Antkiem Tajdusiem, Tadkiem Słomką i Mirkiem Karbowniczkim.

Kilka słów, od strony „kreowania polityki kadrowej Uczelni” poświęcę mej ulubionej senackiej komisji kadrowej, bo ona w dużej mierze ją kształtowała. Składała się na ogół z dziekanów lub osób w jakimś stopniu pilnujących na wydziale tych spraw. Obowiązkowo w jej obradach brali udział przedstawiciele związków (ZNP i „Solidarności” – podaję w kolejności historycznej, proszę w kolejności nie doszukiwać się drugiego dna). Awans w Uczelni, w dużej mierze wynika ze spełnienia wymogów formalnych. Pewna „uznaniowość” w początkowym okresie mego rozwoju miała miejsce przy przechodzeniu ze stanowiska asystenta na starszego asystenta. Adiunktem (w zasadzie automatycznie) zostawało się po uzyskaniu doktoratu. Dzisiaj mamy jedno stanowisko asystenta i generalnie „polityka kadrowa” od czasów rektora Tajdusia zakłada, że powinno się przyjmować na nie osobę po doktoracie (to wynik gwałtownego rozwoju studiów doktoranckich). Stanowisko to ma służyć potwierdzeniu zdolności dydaktycznych doktora (bo pierwsza weryfikacja miała miejsce w okresie studiów doktoranckich, kiedy prowadził ćwiczenia).

I tu pierwsza dygresja! Zacznę od podstawowego, choć bez jasnej odpowiedzi, pytania o prymat na Uczelni: kształcenie czy nauka? Jeśli to drugie, to taki system jest naturalnym, jeśli pierwsze, ...? I dalej dywagacje! Czy Uczelnia może być miejscem gdzie „okresowo” ktoś zajmuje się dydaktyką, a potem nauką? Czy takie, przeplatające się okresy są możliwe? Osobiście uważam, że dydaktyka w działalności pracownika Uczelni musi mieć prymat! Spotkałem (również wśród swoich nauczycieli) wielu świetnych naukowców, którzy „dukali” wykłady chodząc po skrzypiącej katedrze. I jakoś nie wnosili istotnych elementów, wyników swych dociekań naukowych do wykładanych treści. Zdanie egzaminu, wymagało znacznie mozolniejszych wysiłków przy studiowaniu podręczników. Zastrzegam, że mówię o wykładowcach podstawowych przedmiotów technicznych. Inaczej (jestem świadom) jest pewno u polonisty, który prowadzi wykład monograficzny „z Mickiewicza”, a dopiero co zredagował jego

„dzieła wszystkie”. Kontynuując, jestem za wychowaniem młodego pracownika w sposób ściśle związany z Katedrą (Zakładem, Instytutem, ...). Tak więc, jeśli studia doktoranckie drogą do asystentury, to ich słuchacz musi mieć solidne stypendium wiążące go z Katedrą by mógł „żyć jej życiem”, a nie uganiać się za środkami do życia.

Wracam do awansów. Po adiunkcie profesura, oczywiście (generalnie, choć ustawy dopuszczają odstępstwa) przez habilitację. Ta, za „komuny”, automatycznie powoływała docenta i to było jasne. Kłopotów narobili „docenci marcowi”¹⁸⁸. Istotną zmianę spowodowała ustawa „przywracająca podmiotowość Uczelni” wprowadzająca etat „profesora nadzwyczajnego” dla doktora habilitowanego. I („o tempora o mores”!!!) do kogoś, kto nie ma TYTUŁU(!) gawieź mówi panie PROFESORZE. Dla wielu „prawdziwych” profesorów było to nie do przelknięcia. To w sferze obyczajowości, a w wymiarze mianowań! Im poważniejsza Uczelnia tym przeskoczenie z habilitowanego adiunkta na beztytułarnego profesora trudniejszy. Najpierw doświadczyłem tego na sobie. Wspominałem, że wniosek o powołanie mnie na etat profesora nadzwyczajnego miał miejsce ponad 4 lata po habilitacji. I do głowy mi nie przyszło by wcześniej ośmielić się „nabyć praw” do zwracania się do mnie per „panie profesorze”! Trzeba było coś napisać, a przede wszystkim zabrać się za kształcenie doktorów. Pojawiły się granty, więc również aktywność w tym obszarze była „mile widziana”. Oczywiście stanowisko to było najpierw na czas określony (5 lat) – aby „profesorowi” w głowie się nie przewróciło! Gdyby „osiadł na laurach” (znaczy nie robił nic) mógł zostać z powrotem „panem doktorem”¹⁸⁹. A taka degradacja była nie do wyobrażenia, więc „bat” był skuteczny¹⁹⁰. Magiczny zwrot „profesorze” powodował, że parcie dołów habilitowanych na nie-

¹⁸⁸ Gdyby ktoś nie wiedział, choć pisałem. Głównie zasłużeni dla ustroju (niektórzy mówili „reżimu”) doktorzy awansowali w trybie nadzwyczajnym (choć zdarzały się wyjątki – powoływałem się na nie opisując moich „mistrzów”). Procedurę zapoczątkowały wydarzenia „Marca 1968” – stąd taka nazwa.

¹⁸⁹ Teraz się zorientowałem, że w przykładach, opisie – używam rodzaju męskiego. Niech mi feministki wybaczą, ale to miłość własna. Pisząc – myślę o sobie.

¹⁹⁰ Piszę na przykładzie AGH, bo np., na UJ takie przypadki miały miejsce. Spotkały mego przyjaciela. Kiedy przestał być profesorem w UJ pozostał nim w Uniwersytecie Rzeszowskim, gdzie miał drugi etat. Jeden z prominentnych profesorów UJ, jego szef mawiał: „Zbyszka profesura kończy się na moście w Dębicy” (podobno w owej miejscowości jest granica Województwa Podkarpackiego – Rzeszów).

go było coraz silniejsze. Stąd też (już za mojej kadencji na stołku przewodniczącego senackiej komisji pracowniczej) otrzymaliśmy zadanie, opracować kryteria awansu. Po pierwsze, za wymóg uznaliśmy prowadzenie „własnego” – specjalistycznego wykładu. Po drugie, podjęcie trudu „kształcenia kadr” (promotor wszczętego przewodu). Wreszcie po trzecie dorobek zaprezentowany ilościowo w dość rozbudowanym kwestionariuszu. Opuściliśmy, jako wymóg „Hirsze” i inne wskaźniki bibliometryczne, choć wielkości wpływające na nie jakoś uwzględnialiśmy. Z uwagi na specyfikę Uczelni (Wydziały: humanistyczny, matematyczny), w tym konieczność rozwoju kierunków nowatorskich, rektor uzyskał prawo, aby „w wypadkach nadzwyczajnych” mógł zwalniać kandydata z owych wymogów.

Oceniając ów system „na zimno”, po ponad 10 latach będę go bronił. Z pewnością bez niego ilość profesorów bez tytułu byłaby większa, ale ilość tytułów niekoniecznie. Był (i jest) systemem dopingującym do zebrania dorobku na tytuł.

A propos, pojawienie się profesorów „uczelnianych” – tak ich nazwano, jak wspominałem wzbudziło u niektórych profesorów tytułarnych odruch obrzydzenia. Przy każdej okazji do takiego profesora „tylnego” (wyjaśnienie za chwilę) mówili panie doktorze – dobitnie akcentując drugie słowo. Śpieszę wyjaśnić owego „tylnego”.

Otóż (zaczynając od maluczkich) pojawili się profesorowie:

- dr hab. inż. XY, prof. nadzwyczajny AGH;
- prof. dr hab. inż. XY, prof. nadzwyczajny AGH;
- prof. dr hab. inż. XY, prof. zwyczajny AGH;
- prof. zw. dr hab. inż. XY prof. nadzwyczajny AGH;
- prof. zw. dr hab. inż. XY prof. zwyczajny AGH.

Skróty przed nazwiskiem odnoszą się do stopni i tytułów naukowych¹⁹¹, po nazwisku: do stanowisk w AGH.

Przypomnę też, że do 2004 r. na stanowisko profesora zwyczajnego mianował minister.

¹⁹¹ Młodym objaśniam, że „za komuny” Rada Państwa nadawała dwa tytuły profesorskie: profesora nadzwyczajnego i profesora zwyczajnego. Dziś są takie stanowiska.

Oprócz awansów i kryteriów, komisja opracowywała zasady ocen okresowych, zapisów w statucie (a w moich czasach gruntownie zmieniano go trzy razy) i innych zagadnień dotyczących pracowników.

Na koniec wątku senackiego. W okresie rektorowania prof. R. Tadeusiewicza kilku profesorów wniosło o wprowadzenie w obrady Senatu wątków przyszłościowo-rozwojowych. Magnificencja nie był tym za bardzo zachwycony, ale *vox populi!* Kiedy prof. A. Karcz stwierdził, że samodzielna kadra się starzeje i trzeba opracować prognozę „co dalej”? – pan rektor natychmiast zlecił zadanie komisji ds. pracowniczych – czyli mnie. Dzięki profesjonalizmowi, wspomnianego dyrektora A. Pogonowskiego opracowałem tabelki, wykresy i wnioski. Myślę, że zapłodniły do przemyśleń panów dziekanów, a rektor wykonał zadanie! Akcję tę, tym razem z inicjatywy kolejnych rektorów, dział kadr wykonywał kilkakrotnie.

Przeгляд pełnionych przeze mnie funkcji wypada zakończyć tą najistotniejszą – kierownika Katedry. Najistotniejszą, bo mającą znaczny wpływ na losy grupy i pojedynczych ludzi, będącą niejako w konflikcie z dziekanem, który (niestety) często sam wiedział najlepiej co będzie dobre nie tylko dla Wydziału, ale i dla każdego pracownika.

O praktykowaniu na stanowisku zastępcy kierownika wspominałem. Pisałem też jak utworzono Katedrę Ekologii Terenów Przemysłowych. Sytuacja na Wydziale, w przeciwieństwie do wielu innych była zdrowa, to znaczy uniknęliśmy organizacyjnego rozdrobnienia. Pewnym wyłomem było utworzenie „mojej” Katedry. Oprócz Z. Piotrowskiego, D. Szlachetki¹⁹², dołączyły do niej z Katedry „Przeróbki” panie adiunkt: I. Kuczyńska i M. Szymańska-Czaja. Powstanie Katedry powodowało jednak, jeśli nie konflikt, to różnicę interesów między wymienionymi Katedrami.

Dziekan Tajduś rozpiął nad nami pewien parasol ochronny przydzielając pomieszczenie na ładne laboratorium i parę pokoi. Przyjęliśmy też młodych (Małgorzata Pawul, Radosław Pomykała, Waldemar Kępyś), na drugim etapie (pierwszy w Instytucie Botaniki PAN) zaczęła u nas pracować pani prof. Barbara Godzik. Z czasem dołączyli do nich prof. Wiktoria Sobczyk¹⁹³ i Stanisław

¹⁹² **Inż. Dariusz Szlachetka** jest przykładem oddanego pracownika technicznego, identyfikującego się z jednostką. Pracownik do „wszelakich poruczeń”, nie do przeczenia.

¹⁹³ Absolwentka Wydziału Geologiczno-Poszukiwawczego AGH, zatrudniona wcześniej w WSP w Krakowie, habilitacja z nauk rolnych w Kijowie.

Wasilewski¹⁹⁴. Taka sytuacja utrzymała się za dziekaństwa prof. J. Klicha. Już wtedy byłem zdania, że Wydział należy zreformować. Ludzi zajmujących się środowiskiem i przeróbką połączyć w jedną jednostkę. Mało tego, w jej skład powinna wejść ta część Katedry „odkrywkowej”, która zajmuje się wodą i glebą. Podobnie powinno się zlikwidować dwa górnictwa (podziemne i odkrywkowe) i utworzyć jedno. Z takimi poglądami byłem jednak w mniejszości (likwidacja stołków kierowniczych na ogół nie zyskuje zwolenników). Następny dziekan (prof. P. Czaja) chcąc się na początku kadencji wykazać reformą Wydziału podjął temat. Siły i chęci starczyło mu tylko na przekonanie Wydziału by „środowisko” połączyć z „przeróbką”, ale już bez wody i gleb, których nie był w stanie wyjąć górnikom odkrywkowym. Pojawił się problem kierownika takiej jednostki. Nie chciałem się tego podjąć, bo było to wbrew mej wizji łączenia. „Wykorzystując” nasz pobyt w Wiecznym Mieście (rocznica nadania Ojcu Świętemu tytułu doktora honoris causa), w chwili słabości, dziekan namówił mnie

¹⁹⁴ **Prof. dr hab. inż. Stanisław Wasilewski** urodził się w 1949 r. we Wrocławiu. Od 1953 r. zamieszkuje w Krakowie, gdzie zdaje maturę. W 1968 r. na Wydziale Elektrotechniki Górniczej AGH podejmuje studia, które kończy w 1973 r. Rozpoczyna pracę w Instytucie Górnictwa Podziemnego w Katowicach (Zakład Modelowania Matematycznego). Wskutek przekształceń w zapleczu naukowym górnictwa, pracuje kolejno: w ZKMPW (od 1975 r.), w OBR EMAG (od 1976 r.) i wreszcie CNPEiAG „EMAG” (od 1978 r.). Stopień doktora (1984) uzyskuje w IMG PAN Kraków. Postępowanie dla uzyskania habilitacji (1999) prowadzi na Wydziale Górnictwa i Geoinżynierii AGH. Podobnie postępowanie na tytuł profesora (2005). Zajmuje w EMAGU kolejne szczeble awansu zawodowego, dochodząc do funkcji zastępcy dyrektora – sekretarza naukowego (1998–2007). W latach 2005–2007 pracował na stanowisku profesora nadzwyczajnego w Politechnice Śląskiej. W 2007 r. przechodzi do pracy w Katedrze Ekologii Terenów Przemysłowych na Wydziale Górnictwa i Geoinżynierii AGH oraz dodatkowo w IMG PAN. Od 2012 r. na stanowisku profesora zwyczajnego. W AGH, w latach 2012–2014, pełni funkcję kierownika Katedry Inżynierii Środowiska i Przeróbki Surowców. Posiada bogate wykształcenie uzupełniające, m.in. Studia Podyplomowe Aerologii Górniczej oraz Systemów Mikrokomputerowych i Kurs Zastosowań Matematyki. Jest specjalistą z problematyki wentylacji kopalń, a w szczególności zagadnień modelowania matematycznego, pomiarów parametrów sieci wentylacyjnych (w tym w stanach zaburzonych). Jest autorem kilku monografii, ponad 80 publikacji, około 200 referatów (w tym około 70 na konferencjach zagranicznych) kilku patentów, ponad 100 niepublikowanych ekspertyz, wdrożeń. Wielokrotny członek problemowych komisji przy prezesie WUG oraz komisji doraźnych powoływanych przez niego. Laureat wielu nagród, w tym im. Czeczotta. Doktor Honorowy Instytutu Górniczego im. Skoczyńskiego w Moskwie, odznaczony Medalem Edukacji Narodowej, Złotego Medalu „Za Długoletnią Służbę”, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem „Za Zasługi dla Górnictwa”. Generalny Dyrektor Górniczy III stopnia.

do podjęcia się pełnienia tej funkcji. Włożyłem trochę sił w integrację Katedr z miernym efektem. Przeróbkarze uważając się za coś wartościowszego, tak faktycznie do końca nie wykazywali chęci współpracy. Moje pomysły, jeśli nie sabotowano, to realizowane były trochę w stylu strajku włoskiego. Owszem, przychodzili z papierami po podpis, ale aby namówić kogoś do podjęcia inicjatywy, niestety mi się nie udało. Nie lepiej (chyba) wiodło się memu następcy (prof. S. Wasilewski od 2012 r.).

Dlaczego przestałem dowodzić Katedrą?

Wśród licznych pomysłów rektora, prof. A. Tajdusia pojawił się ten, by osoba, która rozpoczęła pobierać emeryturę nie mogła pełnić funkcji kierownika Katedry. I ten pomysł mi się bardzo spodobał. Po pierwsze bycie kierownikiem Katedry stało się funkcją „dożywotnią”, hamującą przejmowanie odpowiedzialności za jednostki przez osoby młodsze. A przecież wieloletni kierownik, choćby z nie wiem jakim autorytetem naukowym, już nie bywa tak twórczy jak młody¹⁹⁵. Po drugie, wobec galopującej biurokratyzacji w nauce i dydaktyce szkoły wyższej pojawienie się uchwały Senatu w przedmiotowej sprawie pozwoliło mi spokojnie odejść. I tak w 2012 r. moje funkcje (oprócz Senatu (do 2016 r.) się skończyły. I Bogu dzięki, bo gwałtowny przyrost biurokracji i formalizmu by mnie pogrążył.

Tu mała dygresja, od czasu utworzenia Katedry posiadałem pokój dyrektora (inni kierownicy posiadali swój pokój i gabinet kierownika). Opuszczając stanowisko musiałem opuścić i pokój. Ostatnim poleceniem kierownika, czyli moim, przeniosłem się do pokoju Zbyszka Piotrowskiego. Wzbudziło to sensację, bo „władze” się zorientowały, że nie mam swego. Pojawiły się uwagi: „dlaczego wcześniej sobie nie przygotowałeś”? Ano dlatego, że mam poglądy, o których w ostatnim rozdziale. Nieoceniona pani dyrektor Dziurzyńska błyskawicznie zorganizowała remont pomieszczenia, który opuściła przechodząca

¹⁹⁵ Kiedy w 1979 r. pojawiliśmy się w Instytucie Górniczym w Trondheim, ze zdziwieniem dowiedzieliśmy się, że kierownikiem katedry jest młody doktor, a nie światowa sława prof. Berge. Pytając o powód usłyszeliśmy: „profesor jest zbyt cennym by zajmować się papierkami. Jeździ po świecie, szuka zleceń i sponsorów i prezentuje nasz dorobek”. Po raz drugi z podobną sytuacją spotkałem się w komunistycznych Chinach, gdzie powiedziano, że osoba, która ukończyła 60 lat życia nie pełni funkcji kierowniczych w szkole wyższej. A przecież to kraj, w którym na najwyższych stanowiskach państwowych byli starcy.

na emeryturę koleżanka i zamówiła meble według mego projektu. Jestem jej ogromnie wdzięczny, bo na pięć ostatnich lat w mojej Uczelni dostałem najładniejszy (9 w kolejności) pokój w 47-letnim przebywaniu w Uczelni.

Jakich funkcji nie pełniłem, a no tych powyżej prodziekana. W związku z tym, niestety (tu czytelniku jest moje przymrużone oko) nie mam szans na pełnienie kolejnej funkcji, to jest członka Rady Seniorów (założonej w innych uwarunkowaniach przez rektora, prof. A. Kleczkowskiego). Ale Bogu dzięki! Z całym szacunkiem dla zasiadających w niej osób, mam sporo wątpliwości, co do jej celów. Wiem ile warte jest doświadczenie, ale wiem też, jak szybko wobec galopującego świata traci ono swą wartość. Czy, wobec tego, tego typu zgromadzenie ma sens? Przecież każdy może komuś z kierownictwa Uczelni przekazać uwagi. Czy trzeba to formalizować? Czy po to by się spotkać, nie lepiej umówić się w „Klubie Profesora” przy kawie lub piwie, co – piwo w klubie – po cichu postuluję rektorowi. Formalizowanie gremiów i zebrań, być może pozwala ich członkom podbudowywać swe ego, ale pożytek z tego nie wielki. Czasem wręcz odwrotnie, zasłużeni ludzie swymi ostatnimi działaniami niwelują swój świetlany obraz. A pisze to ten, który w senacie spędził 6 kadencji i nie pamięta, by w działaniach władz odbiły się prace tego zacnego gremium. Wręcz przeciwnie, niektóre pomysły wzbudzały (delikatnie mówiąc) zdziwienie. Wiem że małe, a podnoszę rękę na autorytety, ale... nie tworzymy bytów bez potrzeby.

Profesura odpadowa

Zwieńczeniem kariery naukowej w Polsce jest „uścisk dłoni” prezydenta wręczającego akt nadania tytułu naukowego profesora. Tak było w II Rzeczypospolitej i nawet władza ludu nie zmieniła tej formuły. Tytuł nobilituje, choć z drugiej strony *noblesse oblige!* Jak jest (i było) – każdy widzi (widział). Kariery naukowe w PRL-u przebiegały różnymi drogami. Wartość tego tytułu była różna. Otrzymywały go autentyczne autorytety, ale otrzymywali również „mierni, bierni, ale wierni”. Jak jest teraz? Temat dla mnie trudny, bo świeży. Pochopnymi ocenami ludzi łatwo obrazić. Kto umie czytać „między wierszami”, ten na wcześniejszych stronach wyczytał jak bywało. No, ale zostawmy dywagacje o moralno-merytorycznych wartościach „niektórych z tych”, którzy w PRL-u uzyskali tytuł i przejdźmy do mnie.

Pisałem o sensie uzyskania habilitacji. Podobnie mógłbym napisać o profesurze. Ale jak się weszło między wrony (...) to i ja chciałem zwieńczyć drabinkę awansu profesurą. Uzyskałem ją w nowych czasach (1998), ale jeszcze nie na tyle nowych by o wartości kandydata decydowały Hirsche, impaktfaktory i cytologimetria.

Na profesurę pracuje się od habilitacji, a nawet wcześniej, po złożeniu na nią papierów. Pracuje się przede wszystkim publikując i kształcąc doktorów.

W latach 90. XX wieku w mej dziedzinie, zwłaszcza w tematyce odpadowej, z jednej strony pojawiły się możliwości związane z rozwojem technologii, w których wydzielano coraz to nowe rodzaje odpadów, z drugiej, publikacje na temat ich właściwości i sposobu zagospodarowania w górnictwie nie interesowały żadnego liczącego się, zachodniego periodyku. I tu był problem. Na szczęście udało się coś opublikować w piśmie ukraińskim, co pozwalało pochwalić się publikacją zagraniczną. Drugą był referat przyjęty i opublikowany w materiałach ze Światowego Kongresu Górniczego. Prestiżowe czasopismo (polskie wtedy było w zasadzie jedno – Archiwum Górnictwa) załatwiłem publikując, między innymi, niezwykle ciekawe wyniki, jakie w badaniach technicznych uzyskał mój pierwszy doktor (o czym dalej) i to na dodatek w „języku obcym”. W takim samym języku (obcym) opublikowałem również dwie następne prace w czasopiśmie „z drugiej (od góry) półki”. „Masówkę” dorobiłem w zeszytach uczelnianych oraz innych czasopismach (z trzeciej – od góry – półki). Do tytułu CK wymagała „książki profesorskiej”. Ze Zbyszkiem Piotrowskim (wtedy magistrem) napisaliśmy pierwszą w Polsce książkę o zastosowaniu odpadów w kopalniach. Po dyskusjach z A. Tajdusiem (który wtedy też „pracował” na profesurę) doszliśmy do wniosku, że on do problematyki „odpadów w pustkach podziemnych” dorobi aspekty geomechaniczne. Tak zamiast jednej książki dwuautorskiej mieliśmy dwie trzyautorskie. Dorobek ilościowo się powiększył!

Drugi aspekt – wypromowani doktorzy. Jacek Postawa mający „od zawsze” świetne układy z przemysłem przywiózł wiadomość, że dyrektor KWK „Komuna Paryska” – Bronisław Gaj, chciałby podnieść kwalifikacje i zrobić doktorat. Spotkałem się z nim i namówiłem go na temat, który nurtował mnie od doktoratu, korelacja osiadania stropu nad zrobami podsadzkowymi przy określonym ciśnieniu mierzonym w podsadzce, a wielkość obniżenia powierzchni terenu. Temat wymagający badań technicznych – pomiary konwergencji i ciśnienia w podsadzce, pomiar obniżenia powierzchni nad ścianą badawczą. Podstawowym kłopotem było wytypowanie takiej ściany, w której na pomiary nie miałyby wpływu inne wyrobiska. Praca była pierwsza i jedna z trzech najlepszych w mej promotorskiej karierze¹⁹⁶. Składając wniosek byłem promotorem w trzech przewodach.

¹⁹⁶ Wróć do niej, bo promowanie to jedno z ważniejszych zadań, więc poświęcę mu nieco dalszych stron.

Zacząłem również recenzować przewody doktorskie. Pierwszym był dr inż. I. Kamiński, piszący z tematyki oporów ruchu mieszaniny w instalacji podszkawkowej pracę w GIG-u, u prof. J. Palarskiego.

Recenzowałem kilka publikacji, w tym książek. W dobie grantów, mogłem pochwalić się kierownictwem jednego indywidualnego, w drugim uczestniczyłem oraz uczestnictwem w trzech celowych i dwóch zamawianych.

Zagraniczne zainteresowanie zawieszinami pozwoliło mi pochwalić się realizacją prac na zlecenie firm z Niemiec, Węgier i Kanady. Naukowe osiągnięcia uzupełniałem kilkoma zgłoszeniami patentowymi i pracami wykonanymi na zlecenie przemysłu.

W dydaktyce, oprócz „osiągnięć” w AGH chwaliłem się zleceniem mi przez Instytut Geologiczny UJ wykładów z Ochrony Środowiska Geologicznego. Moje zainteresowania historią górnictwa zaowocowały czymś na kształt wykładu obieralnego i skryptem.

Suma mego (tzw.) dorobku wynosiła: 93 pozycje opublikowane, z czego po habilitacji 37 oraz ponad 200 ekspertyz i prac wykonanych na zlecenie. W stosunku do moich nauczycieli (gdy oni starali się o tytuł) było tego zdecydowanie więcej. Ale, jak dowodzi praktyka (niezgodna z tezą Marksa) ilość nie przechodzi w jakość! Moi następcy, postawieni są wobec znacznie poważniejszych wyzwań formalnych. Objęcie rządów w administracji nauki przez reprezentantów nauk podstawowych spowodowała ogromne wymagania w zakresie „umiędzynarodowienia wyników naukowych”, co w praktyce przekłada się na oczekiwanie publikacji w czasopismach uznanych (przez dziwne gremia) za wysokopunktowane. Zderzenie tych wymagań z dyscyplinami typowo stosowanymi, doprowadziło do sytuacji paradoksalnej. Ale i o tym przyjdzie mi jeszcze pisać.

Wracam do postępowania w sprawie mego tytułu. W czerwcu 1997 r. Rada Wydziału, odpowiadając na mój wniosek, wszczęła postępowanie powołując komisję. Weszli do niej profesorowie W. Kozioł, J. Roszkowski i K. Sztaba. Zaproponowali recenzentów w osobach profesorów S. Piechoty, J. Palarskiego i Janusza Dziewańskiego z Instytutu Gospodarki Surowcami Mineralnymi i Energią – PAN w Krakowie. Po pozytywnych recenzjach w listopadzie tegoż roku wniosek jednogłośnie uzyskał poparcie rady. Nie ukrywam, że było mi miło. Pozostało czekać na werdykt CK.

Kiedy „kanałami” dowiedziałem się, że superrecenzentem został prof. dr hab. inż. Bernard Drzęźła¹⁹⁷ byłem spokojny. W lutym 1988 r. otrzymałem wiadomość, że przez CK przeszedłem. Przedostatnim aktem było pismo z kancelarii prezydenta, w którym poinformowano mnie, że 13 marca prezydent Aleksander Kwaśniewski nadał mi tytuł profesora nauk technicznych. Ostatnim była uroczystość wręczenia. Z pewnością wolałbym nominację otrzymać z innych rąk, ale i tak było lepiej niż zostanie profesorem w dobie prezydentury Jaruzelskiego. Pojechałem na nią z Antkiem Tajdusiem (który równocześnie ze mną uzyskał tytuł, będąc w naszym pokoleniu najmłodszym – tytułarnym) w towarzystwie naszych żon. Uroczystość odbyła się w Pałacu Prezydenckim przy Krakowskim Przedmieściu. Zaczęło się od sprawdzania przez BOR-owców, potem żmudne ustawianie w Sali Kolumnowej. Wchodzi prezydent ze świtą i po odczytaniu nazwiska przez sekretarza, wywołany podchodzi, odbiera „papier” i wraca do szeregu. Było nas około 80 osób, więc to trochę trwało. Przemówienie (nie pamiętam o czym), lampka wina i pamiątkowe zdjęcie. Tym sposobem załapałem się na zdjęcie z prezydentem Kwaśniewskim. Wracamy do domu usatysfakcjonowani.

Co profesura zmieniła w moim życiu? Z pewnością „zdjęła” odium ścigania się o coraz to wyższe stopnie¹⁹⁸! Sprawiała ogromną satysfakcję, że znalazłem

¹⁹⁷ **Prof. dr hab. inż. Bernard Drzęźła** urodził się w 1941 r. w Żorach. W 1965 r. ukończył studia na Wydziale Górniczym Politechniki Śląskiej w Gliwicach i podjął pracę na tej uczelni. Studiował ponadto matematykę na Uniwersytecie Wrocławskim (w trybie zaocznym). W 1971 r. obronił doktorat nauk technicznych, w 1979 r. habilitował się, w 1991 r. otrzymał tytuł profesorski. Specjalizował się w geomechanice i geofizyce górniczej, szczególnie problematyce minimalizacji oddziaływania deformacji i wstrząsów indukowanych przez górnictwo na obiekty powierzchniowe oraz projektowaniu kopalń i restrukturyzacji górnictwa. Opublikował ponad 200 publikacji naukowych. Otrzymał tytuły doktora honoris causa lub profesora honorowego trzech zagranicznych uczelni technicznych. Uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu (w podzespole ds. górnictwa). Należał do Sojuszu Lewicy Demokratycznej, z ramienia tej partii zasiadał w Senacie w latach 2001–2005, był wspnianym przyjacielem Wydziału Górniczego AGH. Po jego przedwczesnej śmierci napisałem o nim wspomnienie, które opublikowałem w Biuletynie AGH. Zmarł 9 marca 2006 r. w Żorach.

¹⁹⁸ Pamiętam, kiedy wszedłem do gabinetu, wspomnianego na tych stronach prof. S. Piechoty po uzyskaniu przez niego tytułu, zastałem go siedzącego za biurkiem i nic nierobiącego. Było to niezwykajne, zawsze coś pisał. „A cóż ty Staszku tak nic nie robisz”? – spytałem złośliwie. „K..., nareszcie nie muszę!” – odpowiedział. I to celnie streszcza stan ducha nowopozyskanego tytułu delikwenta.

się „w jednym szeregu” z tymi, którzy byli dla mnie mistrzami, niekoniecznie w zawodzie. Przystawienie się na „*pares inter pares*” wiązało się z pokonaniem pewnego kompleksu. Cała wcześniejsza kariera to świadomość bycia kimś niższym od wyżyn profesorskich, a tu nagle! Ważnym (w moim przypadku) było też to, że oprócz jednego „autorytetu”, pozostali przyjęli mnie życzliwie. Profesura otwierała też nowe możliwości „bycia kimś” (patrz poprzedni rozdział). Zostałem profesorem w 50 roku życia. Z perspektywy – dość młodo (hi! hi!), koledzy z mego pokolenia zostali nimi znacznie później, nierzadko kilka lat przed 70-ką. Oczywiście poprawiła status materialny, bo dostałem podwyżkę. Pensja wynosiła około 740 \$.

Rozwijając dalej pytanie: czy to coś zmieniło? – muszę wrócić do mej zasadniczej tezy związanej ze zdobywaniem stopni. Oprócz tych, którzy je uzyskują, są jeszcze ci, którzy z różnych przyczyn „nie załapali się” w tym wyścigu, co nie przeszkodziło im być autorytetami w swej dziedzinie, często większymi od swych utytułowanych kolegów. I tu muszę wspomnieć Zbyszka Piotrowskiego (późno został wprowadzić habilitowanym, ale profesury nie doczekał) i dr inż. Jurka Flisiaka¹⁹⁹, z pewnością na przełomie wieków najwybitniejszego specjalistę z modelowania numerycznego sytuacji geomechanicznych i geotechnicznych. Z pokolenia moich poprzedników, dla mnie wielkim, a nieutytułowanym, był dr inż. Zenon Duda. Absolwent Politechniki Śląskiej, wybitny specjalista z zakresu budownictwa górniczego i geotechniki, a przy tym wspaśniały erudyta, z serii tych, których bez zastrzeżeń, można dopuścić do towarzystwa.

Przywołanie powyższych przykładów podbudowuje moje przekonania, że system awansu w nauce, idący w stopnie i tytuły, się przeżył. Kiedyś, chyba korzeniami tkwiący w Rzeczypospolitej magnacko-szlacheckiej (nieważne kim kto był, ważne jakiego koloru była jego krew), potem, w komunie, pełniący funkcję nagradzania swoich (mierny, bierny, ale wierny – więc profesor! A to, że głupi

¹⁹⁹ **Dr inż. Jerzy Flisiak** urodzony 22 września 1947 r. w Gawronach. Absolwent Technikum Górnictwa Odkrywkowego w Krakowie (matura w 1966 r.) oraz Wydziału Górniczego AGH w 1972 r. Odbywa asystenckie studia przygotowawcze i podejmuje pracę asystenta w Instytucie Mechaniki Górniczej na macierzystym wydziale. Pracę doktorską z zakresu osuwisk w KWB „Bełchatów”, w oparciu o pomiary terenowe, wykonuje u prof. H. Filcka w 1982 r. Wybitny specjalista z mechaniki gruntów i geomechaniki. Pionier modelowania numerycznego w tych dziedzinach. Przeszedł na emeryturę w 2013 r.

– wicie, rozumiecie towarzyszu nasz człowiek, to mu się należy²⁰⁰), dziś kompletnie bez sensu. Optuję za modelem amerykańskim (oczywiście przy przynajmniej częściowej prywatyzacji nauki i szkolnictwa): poważny doktorat i kontrakty. Profesor to ten, którego wykładów chcą słuchać studenci (wybierają jego jako wykładowcę), przynosi Uczelni pieniądze (granty, zlecenia) więc go lokalnie nobilitujemy.

Ostatni awans profesorski, to stanowisko profesora zwyczajnego. Po interwencji prorektora A. Tajdusia u dziekana, by ten wystąpił z wnioskiem²⁰¹, uzyskałem go po przejściu procedury z 1 grudnia 2003 r. Dokumentuje go pismo (nominacja) pani minister K. Łybackiej. Moja pensja przekroczyła 1000 \$(!)

I znowu dywagacja. Jeśli ma zostać tytuł, to stanowisko „zwyczajnego” powinno mu być przypisane. Podobnie jeśli zostaje habilitacja, to odpowiada jej stanowisko docenta (a nie profesora).

Wtedy system jest czytelny.

²⁰⁰ Znam przypadek, gdzie profesurę, gdzieś tam przez towarzyszy wstrzymaną, załatwiano na polowaniu z towarzyszem Szlachcicem. Na dodatek delikwent chcąc się chwalić wpływami – szczyił się tym!

²⁰¹ Uzyskanie stanowiska profesora zwyczajnego wiązało się z przeprowadzeniem postępowania prawie analogicznego jak w przypadku tytułu. A więc uchwały rady wydziału (wszczynająca i powołująca recenzentów, wnioskująca), uchwała senatu i decyzja ministra. Tę ostatnią kilka lat później zamieniono na decyzję rektora w kolejnej nowelizacji ustawy.

Nauka

Zacznę z grubej rury! Encyklopedia podaje, że nauka to „autonomiczna część kultury służąca wyjaśnieniu funkcjonowania świata, w którym żyje człowiek”. Chciałbym podkreślić słowo „wyjaśnieniu”, bowiem od wielu lat intryguje mnie poszukiwanie granicy pomiędzy poznawaniem, wyjaśnianiem, a kreowaniem (projektowaniem, tworzeniem). Czy ta działalność człowieka to też nauka(i), czy właśnie techniczne, czyli (według tego samego źródła) „grupa nauk badających zjawiska i ustalających prawidłowości, jakie zachodzą w świecie wytworów i procesów powstałych w wyniku technicznej działalności człowieka”. Definicji, czym jest owa „techniczna działalność człowieka” – nie znalazłem. Pojawia się za to pojęcie „inżynierii”, czyli: „działalności polegającej na projektowaniu, konstrukcji, modyfikacji i utrzymaniu efektywnych kosztowo rozwiązań dla praktycznych problemów, z wykorzystaniem wiedzy naukowej oraz technicznej”. Pewno zasadnym byłoby zapytanie, co to jest „wiedza techniczna” (bo naukowa to ta, która wynika z poznania znajomości funkcjonowania świata). Można chyba przyjąć, że jest nią wiedza o „właściwościach materii, energii oraz obiektów abstrakcyjnych dla tworzenia konstrukcji, maszyn i produktów, przeznaczonych do wykonywania określonych funkcji lub rozwiązania określonego problemu” (to z Wikipedii). Zatem nauki techniczne będą po pierwsze badać właściwości materii i energii, ich zachowanie w stanach, w których są użyteczne człowiekowi, po drugie – projektowaniu tych (użytecznych człowiekowi) procesów (w których materia i energia bierze udział),

wreszcie badaniu ich (określaniu wpływów różnych czynników na ich przebieg) i określaniu skutków zamierzonych i niezamierzonych jakie powodują w środowisku.

Po co te zagmatwane dywagacje? Bo przecież takie zdefiniowanie nauk technicznych, nadal granicę pomiędzy działalnością badawczą naukowca, a inżyniera pozostawia nieostrą. I to pytanie towarzyszyło mi przez bez mała 50 lat praktykowania zawodu naukowca. Towarzyszy mi i dzisiaj stanowiąc temat niejednej rozmowy. Stwarza okazję do powstawania wielu „pseudo dzieł”, ba, nawet stanowi podstawę do niejednego awansu. Nie rozwijam tematu, bo już wcześniej o niego zatraçałem (np. pytając: jaka jest nauka w modelowaniu numerycznym? – jeśli do gotowego programu tylko podstawia się dane i sczytuje wyniki). Zatem przejdę do form uprawiania nauk technicznych.

Kiedy rozpoczynałem terminowanie jako naukowiec, były w zasadzie dwie przesłanki do podjęcia tematu badawczego. Pierwsza wynikała z ciekawości badacza, druga z potrzeb odbiorcy (zleceniodawcy) wyników, który „miał problem”. W oparciu o ciekawość powstawały podwaliny „nauki górniczej” takich naukowców (powinienem napisać przez duże „N”) jak Czeczott, Budryk, Sałustowicz, Knothe. Dociekali i badali (oczywiście często tematy wynikające z potrzeb praktyki), bo ich te zagadnienia interesowały. Skąd czerpali „środki”? Brali pensje, a Wydział dysponował pewną pulą na zakupy. Katedry miały swoje warsztaty, w których tworzono aparaturę, pracowali w nich pracownicy techniczni, wspomagający naukowców. Zlecenia, jak wspominałem pojawiły się w wyniku konieczności rozwiązania określonego problemu, ustalenia właściwości skały czy gruntu, odpowiedzi na pytanie Urzędu Górniczego. W okresie „przed stalinowskiego zamordyzmu”, realizowano je w ramach Zakładów Badawczych, ale kiedy władza ludowa zorientowała się, że stanowią możliwość niezłych, nieograniczonych i dodatkowych(!) zarobków, zlikwidowała je. W ich miejsce powołano „gospodarstwa pomocnicze”, ustalając limit dodatkowych honorariów na 70% pensji. Za zgodą rektora limit można było podnieść do 100%. Forma ta zbiegła się z wprowadzeniem planowania badań w resortach (np. w MGİE był dział postępu technicznego) i stwarzała pewne możliwości. Jak ktoś coś musiał zaplanować to, po pierwsze, niekoniecznie wiedział co trzeba będzie zbadać (a przyznane centralnie środki trzeba rozdysponować), po drugie, mógł zaplanować taki temat, który bardzo „podchodził” jego koledze – naukowcowi. Tak narodziły się wspomniane „pułkownicy”, czyli opracowania zapełnia-

jące pułki w stosownych biurach. Rodzili się „eksperci” z przemysłu „pracujący” przy rozwiązywaniu zagadnień (bywało, że musieli dostać zgodę od przełożonego, ale jak byli „podzielni” ...). Narodziły się „wraży wdzięczności” przekazywane zlecającemu „przelewem” (flaszka koniaku) lub w kopertach (bilety NBP). W tym drugim przypadku owe bilety trzeba było jakoś zarobić. Aby samemu nie płacić podatku od niezarobionych środków szukało się „martwych dusz”, które za zwrotem podatków i drobną gratyfikacją gotowe były „zarobkiem” się podzielić.

Z czasem pojawiły się finansowane dodatkowo (i też planowane) programy rządowe. Kto miał do nich dostęp? – pytanie retoryczne. W niewielkim stopniu można było załapać się na „umowę o dzieło” zlecaną przez nadzór górniczy (WUG), sąd czy inne instytucje. Istotny wyłom w kontrolowaniu dodatkowych zarobków w nauce wprowadziły czasy gierkowskie. W Krakowie reaktywowało się Towarzystwo Nauk o Ziemi. W 1974 r., w ramach „prac własnych” (czyli odpisów od realizacji zleceń wykonywanych przez członków) rozpoczęło gromadzenie środków na badawcze wyprawy zagraniczne. Wiedzę o działalności Towarzystwa posiadałem dzięki prof. S. Takuskiemu. Natychmiast zostałem jego członkiem. Skutkowało zleceniem od Katowickiego Zjednoczenia PW, którego realizację opisałem wcześniej.

Tak dociągnęliśmy do premiera Rakowskiego, kiedy to minister Wilczek otworzył nowe możliwości. Były nimi spółdzielnie (oparte o nowe prawo spółdzielcze z 1982 r.), przedsiębiorstwa z o.o., tworzone w oparciu o przedwojenny (1934 r.) kodeks spółek handlowych i fundacje (ustawa z 1984 r.). Wszystkie one, jeśli w zakresie działalności zarejestrowanej w sądzie było prowadzenie badań (lub coś podobnego), mogły przyjmować zlecenia na realizację prac naukowych. No i wreszcie „biedny naukowiec” mający „mocne” powiązania z przemysłem mógł zacząć zarabiać. Jak tylko udało się zdobyć zlecenie (negocjując podstawowy podział – x procent dla przemysłu – eksperci lub koperta, y procent dla naukowców) to można było nieźle do pensji dorobić. Pojawił się oczywiście problem jak zlecenie ulokowane w firmie „uduś” (jak je pieszczotliwie zaczęto nazywać) realizować na sprzęcie i w pomieszczeniach Uczelni, no i w godzinach pracy? „Uczciwi” pewną kwotę podzlecali Uczelni płacąc za amortyzację aparatury, media i pomieszczenia. Byli i tacy, którzy udawali, że problemu nie ma. Rektor Tajduś zwykł się denerwować: „jak można pisać, że badania wykonano w AGH, skoro w kwesturze nie ma śladu zlecenia”.

Oczywiście nie uogólniam, wskazuję na możliwe (ale dość powszechnie występujące) przypadki. Być może w naukach technicznych, a zwłaszcza zajmujących się przemysłami kluczowymi (a więc państwowymi) patologie występowały częściej niż w innych. Przyjaciele z „nauk podstawowych” zawsze udowadniali mi, że oni uprawiają naukę „czystą”, że u nich nie ma kumoterstwa, znajomości, działań dla pieniędzy. Jeśli jest to prawda, to być może brakowało okazji.

A jak jest dzisiaj? – ośmielam się mniemać, że również nie świetlanie. Ale po kolei. Transformacja ustrojowa przyniosła powołanie KBN-u. Miał on spowodować, że główne decyzje, co do finansowania nauki zabrano urzędnikom. Skończyły się jazdy do Warszawy, pracownicy jednostek wyspecjalizowani w rozmowach z urzędnikami utracili (w bardzo dużej mierze) racje bytu. Ale demokracja też rządzi się swoimi prawami. Sam będąc członkiem tego ciała nie oddałbym głowy za stwierdzenie, że wszyscy członkowie KBN byli kryształowymi. Sam (pisałem o tym) nie byłem bez grzechu. Ale okres KBN miał jeden zasadniczy plus. Jeśli coś się działo nie tak, to wiadomo, że odpowiadał za to członek prowadzący daną dziedzinę. Patrzone mu na ręce i znane mi są przypadki interwencji pisanej „otwartym tekstem”. Bywało, że tracił zaufanie środowiska. I na to mógłbym dać personalny przykład. Niestety, zamiast umacniać i uszczelniać istniejący system, zaczęto go reformować w kierunku powrotu do decyzji administracyjnych. Rozpoczął prof. A. Wiszniewski tworząc urząd Ministra Nauki, zasadniczo dołożył prof. M. Kleiber²⁰² w czasach rządów SLD, a skończyli następní. Oczywiście reforma szła pod hasłem: „państwo musi mieć instrumenty kreowania polityki naukowej”. I to co robił kiedyś Komitet dzisiaj robią dwa urzędy centralne (NCN i NCBR) i ministerstwo i kilka „rad” szczebla centralnego. Czy to zapobiegło rozwojowi „naukowej korupcji”. A skąd się wzięła wrocławska „spółdzielnia”²⁰³. Sam również doświadczyłem ciekawego zdarzenia. Zostałem powołany do komitetu sterującego tzw. PBZ (projekt za-

²⁰² Nie mogę się powstrzymać, że (niech mi wybaczy) jest moim ulubieńcem. Obwiniam go, że za czasów rządów SLD przywrócił „ręczne sterowanie” nauką przez administrację, nie wykorzystał offsetu za zakup F-16 – nie rozliczono go za to, a na dodatek został doradcą prezydenta L. Kaczyńskiego. Przepraszam, ale jego działania w zarządzaniu nauką, kojarzą mi się z piosenką W. Młynarskiego: „co by tu jeszcze s... panowie, co by tu jeszcze”. Liczyłem, że uda mu się we właściwy mu sposób potraktować PAN (kiedy został jego prezesem), ale – niestety – to mu się nie udało!

²⁰³ Zainteresowanych odsyłam do prasy (szczególnie „Polityka”) z maja 2015 r.

mawiany przez centralny organ administracji). Kiedy mocno zaproponowałem by w zakres zadań nie włączać tematu grubo wcześniej rozwiązanego (pamiętałem z okresu KBN-u), zostałem z komitetu usunięty pod śmiesznym pretekstem.

Zakładano tzw. „nadzór społeczny” (ale nie wybierany demokratycznie bo nominowany przez ministra z grupy kandydatów wskazanych przez jednostki, bądź wprost wskazywany przez niego „po uważaniu”), który sprawuje: 41(!) (na dzień 15 lipca 2015 r.) zespołów, komisji i rad. I znowu w „mętnej wodzie” odpowiedzialność za decyzje, przede wszystkim finansowe, jest rozmyta. Jak nie ma pieniędzy na naukę to (jak za komuny: co zbiera się jak jest nieurodzaj? – Komitet Centralny!) to zbierają się stosowne gremia. Mnożą się wskaźniki, „impakt faktory”, punkty, itp. Dopuszcza się możliwość powoływania recenzentów z zagranicy. Niby tak jest w krajach o przodującej nauce. Tyle, że tam od „n” lat panowały normalne warunki, a naukowcy (zdecydowanie lepiej opłacani, co nie jest bez znaczenia) mają twardszy kręgosłup i recenzja jest recenzją. Jakoś nie czyta się o doktoratach i habilitacjach robionych na zamówienie (kupowanych!) w Niemczech. A znam przypadek „najprawdopodobniej kupionego” doktoratu obcokrajowca u nas. Daleka droga przed nami.

Rozpisałem się o organizacji nauki, uciekając być może za bardzo w publicystykę, ale widzę degrengoladę rzeczywistości i ona mnie boli. Bo, jak już cytowałem prof. A. Lisowskiego (jak to słaby promotor produkuje jeszcze słabsze doktoraty) i nawiązując do kopernikowskiego stwierdzenia o pieniądzu: (trawestując) gorszy naukowiec wypiera lepszego! Gorszy, ale obrotniejszy, wkręcony w tryby władzy (czasem będący ich wazeliną) potrafi narobić tyle złego. Czy jest przypadkiem, że w rządach III RP mieliśmy tylu naukowców? A jaka była ich rola? Co zrobili dla polskiej nauki? Więc może: co to byli za naukowcy?

Wracam do nauki na moim wydziale. Ze zdziwieniem (niech mi utytułowani koledzy wybaczą), w okresie moich 50 lat, nie dostrzegam osiągnięć na miarę prac Czeczotta, Budryka, Knothego, Litwiniszyna. Pewno to wina warunków, bo spora liczba profesorów – Polaków, wykształconych w PRL pracujących w zagranicznych uczelniach, na czele z prof. Z.T. Bieniawskim, jest zauważana. Nie chcę podejmować próby poszukiwań naszych osiągnięć wiodących (choćby subiektywnie), nie chcę i siebie ustawiać w tym rankingu (tym bardziej, że jak pisałem, moje największe dokonanie, czyli zawieszyny, było „podeprowadzone przez energetyków” – J. Kmieciaka. F. Kopańskiego, L. Skrzypka). Ale mogę podjąć próbę odpowiedzi na pytanie dlaczego tak było, dlaczego nie

urodziły się nowe teorie. I mam prostą odpowiedź: po pierwsze do nauki przyszli niekoniecznie ci, którzy mieli do tego predyspozycję (żyłkę poszukiwań²⁰⁴) a nie rekomendację lub plecy (lub byli genialnymi dziećmi swych nie mniej genialnych rodziców). Po drugie wszyscyśmy (znowu, nie generalizuję, nie wszyscy!) poszli w pieniądze (miał rację Marks: byt określił świadomość!). Kiedy po latach siermiężnych mogliśmy zacząć żyć normalniej – trudno się dziwić. Szukaliśmy intratnych zleceń, byliśmy gotowi pisać ekspertyzy na (prawie) każde zapotrzebowanie decydentów, „łasilśmy się” u ich drzwi byle było zlecenie, byle członkostwo w radzie nadzorczej, w komisji. *Pecunia non olet!* Walczyliśmy o funkcje, bo te również dawały zlecenia i inne możliwości. Obawialiśmy się podjąć dyskusję na forum Rady Wydziału, z dziekanem, rektorem, bo od nich zależy nasz dalszy los, awans (a więc pieniądze). Ale czy nie zgubiliśmy podstawowego obowiązku naukowca (uderzę z grubej rury!) SŁUŻYĆ PRAWDZIE! Na Salwatorskim cmentarzu, na grobie wybitnego historyka i historiozofa prof. F. Konecznego jest napis: „naukowiec powinien służyć społeczeństwu, ale mu się nie wysługiwać”. Czy zawsze o tym pamiętamy? I sam nie jestem święty. Też chciałem rodzinie załatwić jak najlepsze warunki! Czy, jak i ile razy przekraczałem granice uczciwości – podlegam powszechnej ocenie.

Co zatem robiliśmy? Złośliwie (znowu publicystyka) „pchaliśmy naukę w bok”²⁰⁵. Wiele z osiągnięć było rozwinięciem (ale tylko rozwinięciem) wyników naszych poprzedników. Rozważaliśmy nowe warunki (znanymi teoriami), badaliśmy nowe materiały (znaną metodyką), wprowadzaliśmy nowe metody analityczne (nowymi narzędziami cyfrowymi). Adaptowaliśmy do górnictwa teorie i zasady znane w innych dyscyplinach. I tak mógłbym dalej wymieniać. Ostatnimi nazwiskami pracownikami mojego Wydziału, znanymi w świecie, łączącymi się z teoriami w górnictwie, są profesorowie Budryk i Knothe. Wiem, czas samotników w nauce się skończył. Zderzac hadronów pozwala setkom profesorów pisać publikacje zbiorowe w 50-punktowych czasopismach. „Rozumiem, ale żal!”²⁰⁶ Oczywiście wielu z nas włożyło istotny wkład w roz-

²⁰⁴ Nie chwając się. Do moich doktorantów mawiam: „jeśli budząc się w nocy pierwszą twą myślą nie jest – jaki wynik jutro pojawi mi się w laboratorium, to zajmij się czym innym a nie nauką”.

²⁰⁵ Sformułowanie to poznałem od dr. inż. J. Lewickiego, co wspominałem. Czy jest słuszne tylko dla doktoratu.

²⁰⁶ To za M. Wańkowiczem.

wój technologii, w bezpieczeństwo pracy, nowe materiały, zmniejszyło koszty, poprawiło organizację. Robiliśmy przyzwoitą robotę inżynierską. Pewno pesymizm ostatnich linijek nie do końca jest uzasadniony. Ale myślę, że tak zwane „nauki górnicze” jakoś się pogubiły, bo nie śmiem twierdzić, że straciły na znaczeniu. Wielu z nas ucieka w geotechnikę, inżynierię środowiska, materiałoznawstwo. A może tak ma być, może tak dyktuje dalszy rozwój cywilizacji człowieka²⁰⁷. Może żyjemy w czasach przełomu, w tym w okresie obniżenia rangi problematyki pozyskiwania surowców mineralnych?

Nauka, to również konferencje i sympozja. Uczestnictwo w nich rozpocząłem od uczestnictwa w sympozjum organizowanym przez SITG poświęconego problematyce odpadów (1973). Potem była opisywana Ostrawa (pierwsza „międzynarodowa”) i tak poszło. Uczestniczyłem w konferencjach organizowanych przez różne instytucje, uczelnie i stowarzyszenia naukowe. Zacząłem też być współorganizatorem imprez naukowych. Najpoważniejsze (moim zdaniem) były dwie „szkoły”. Pierwsza, wymyślona przez Jurka Kickiego, to „Szkoła Eksploatacji Podziemnej”, wspominałem o jej początkach. Na tych początkowych (od 1991 r.) miałem ambicję przygotowywać referat, później już tylko uczestniczyłem (a w czasach kariery w KBN, bywało, że „uświetniałem”). Kiedy Jurek „zawłaszczył” ją tylko do swego Instytutu PAN-owskiego, przestałem bywać. I było mi przykro (choć będąc już „nikim” – rozumiem), kiedy na jubileuszową, XXV, nie zostałem nawet zaproszony. Szkoły te stanowiły doskonałą okazję do wymiany pomysłów wśród praktyków. Czasem pojawił się też i naukowiec z ciekawym pomysłem. Były okazją do promowania ludzi, organizowania jubileuszy postaciom ze świata nauki. Ale nade wszystko integrowały środowisko. Po kilku piwach następowało mieszanie się „lokalnych środowisk” i nie było ważne skąd jesteś. Niektóre sytuacje stawały się kanwą legend opowiadanych na szkołach następnych, jeszcze przez długie lata. Dziś, kiedy „potęga” węgla kamiennego wyraźnie spadła i szkoła straciła na znaczeniu. Myślę też, że przeniesienie jej do Krakowa (przez wiele lat organizowana była w Szczyrku, w „Orlim Gnieździe”) spowodowało, że jej uroki są przeszkodą w integracyjnych wieczorach.

Wzorem tej – eksploatacji, Zbyszek Piotrowski wpadł na pomysł by zorganizować Szkołę Gospodarki Odpadami (1997). Wymyślił, że pierwsza sesja,

²⁰⁷ A pisze to ktoś, kto ma czelność uważać się trochę za znawcę historii górnictwa.

otwierająca, odbędzie się w murach AGH, w auli, a dalsze obrady będą się toczyć w Rytrze, w „Perle Południa”. W świetle dopiero co uchwalonej ustawy o odpadach, a chyba i zaproponowanej formuły organizacyjnej pomysł chwycił. Udało się zgromadzić osoby zainteresowane z gmin. Wykładowcami byli przede wszystkim kompetentni urzędnicy ministerialni, działacze ze stowarzyszeń ekologicznych, liderzy z samorządów. Niestety, z czasem, ilość tego typu konferencji, często organizowanych przez instytucje bardziej (niż Wydział Górniczy AGH) kojarzące się z tematem, nasza szkoła zaczęła podupadać (ostatnia w 2005 r., w szczątkowej formie już tylko w Krakowie). Zbyszek ubolewał, ale co robić?

Wracając do konferencji, to były i takie, w których miałem referat a nie uczestniczyłem (Genewa, Meksiko, Pittsburgh). Z tych, w których brałem udział najwyżej oceniam – zorganizowaną przez prof. W. Parzonkę cykliczną konferencję poświęconą problemom hydrotransportu i sedymentacji. I nie dlatego, że przez pewien czas miałem zaszczyt zasiadać w składzie jej komitetu naukowego (też, za sprawą KBN!). Były to spotkania autentycznie międzynarodowe, z gorącymi dyskusjami merytorycznymi.

Czas na kilka uwag ogólnych. Konferencja, jako miejsce wymiany poglądów, to rzecz cenna. Kiedy jednak fakt opublikowania referatu zaczął być priorytetowy (dorobek, punkty) zaczęła się masówka. Niemal każda Katedra organizowała takie spotkanie „we własnym sosie” i produkowała miernotę makulaturową. Ileż z tego zostało w autentycznym dorobku. Sam nie jestem bez grzechu, więc trochę głupio rzucać kamieniem. Druga skrajność to ogromne, międzynarodowe imprezy masowe organizowane w atrakcyjnych zakątkach świata, stanowiące pretekst do „turystyki naukowej”. Mam nadzieję, że internet spowoduje ich wyhamowanie.

Pisząc o nauce nie sposób nie wspomnieć o jej luminarzach skupionych w PAN. Z instytucją tą zetknąłem się wcześniej. Rozpoczynając pracę wiedziałem, że prof. J. Litwiniszyn był prezesem krakowskiego oddziału, a prof. S. Knothe przewodniczącym Komitetu Górnictwa PAN. Od czasu do czasu w gazecie czytałem, że trochę mityczny PAN lub ów komitet podjął jakąś uchwałę. Trudno, bez solidnych studiów dokumentów dociec dziś na ile owe uchwały były „kwiatkiem do kożucha” polityki gospodarczej komunistów. Trudno mi też wyrobić sobie pogląd na ile powszechnie szanowani profesorowie przyjmowali zaszczyt bycia członkiem PAN-u z jakis pobudek ideowych (mniemając,

że w ten sposób coś dla nauki, górnictwa „załatwią”), a na ile zadziałały inne powody (przez wzgląd na szacunek dla wielu z nich nie będę domniemywał). Fakt, że nie znane są mi głosy i stanowiska gremiów PAN-owskich, w sprawach istotnych a głośnych (wpisanie do konstytucji przyjaźni z ZSRR, wydarzenia w 1968, 1970, 1981 r., zdjęcia „Dziadów”, interwencja w Czechosłowacji itp.), na które zdobywali się choćby literaci. Później, kiedy bliżej przyjrzałem się np. sposobowi wyłaniania członków, mój stosunek do tej „korporacji” się nieco zmieniał. Wyraziłem go już w przypisie dotyczącym prof. M. Kleibera, do niedawna prezesa PAN. Odkładam na bok instytuty jakie PAN firmuje²⁰⁸, skupię się na członkach. Nie będzie odkrywczym kiedy stwierdzę, że 60-latek jest młodzieniaszkiem w tym gronie, przynajmniej wśród górników. Spośród nich (kiedy piszę te słowa) przynajmniej 50% z uwagi na wiek i stan zdrowia nie bierze udziału w posiedzeniach. Wśród górników w PAN-ie vacaty. Pewno znowu sięgnie się po młodych „przed 70-latków”. Co dalej, nie bardzo widać. Kolejny ugor ze sfery organizacji nauki do przeorania. Ktoś powie „nie miał szans sam do PAN-u wejść, więc wybrzydza”. To nie to, pomimo usilnych starań nie widzę celu tej korporacji. W ostatnich wyborach do Komitetu Górnictwa PAN postanowiłem nie kandydować. Komitety, oczywiście moim zdaniem, nie mają żadnego znaczenia, ani dla przemysłu, ani dla decydentów. Decydenci (naprawdę) nie liczą się z opinią PAN-u, więc po co? No po to, że część ich członków ma wyraźnie poprawione samopoczucie. Czasem komuś dzięki owemu członkostwu uda się coś, gdzieś przepchnąć!

Nie poruszam stowarzyszenia starszego i wedle niektórych bardziej nobliwego, czyli PAU. Pewno z tej racji, że nie jest „pieszczochem władz”, przynajmniej w finansowaniu, patologie nie występują w niej w takim stopniu jak w owym tworze komunistycznym (PAN). Ale z pewnością też wymaga zastanowienia, bo idzie w „towarzystwo wzajemnej adoracji”.

I jeszcze skrzętnie skrywany problem, bo skala pewno zbyt mała, aby nazwać ją plagą. Dotyczy zatrudniania dzieci profesorskich (zresztą i innych „wybitnych”) – nepotyzm. Jakoś tak jest w niektórych rodzinach, że latorośl zawodowo idzie dokładnie w ślady rodzica (często, do niedawna w Katedrze kierowanej przez niego, do nowej ustawy zakazującej takiego proceduru, ale

²⁰⁸ Te oczywiście jak wszystkie jednostki naukowe bywają dobre lub nie. I patronat PAN nie ma w tym nic do rzeczy.

od czego są przyjaciele, którzy też mają Katedry). U nas (mam na myśli Uczelnię) wprowadzie nie w tym stopniu co na medycynie ale! Wiem, czytuję w „Forum Akademickim” – „Rody uczonych”, ale *znaj proporcję mocium panie!*

I gwoli „prawdy historycznej”, ostatnią moją publikacją z badań jest praca przygotowana wspólnie z geodetami (dla mnie w szczególności z prof. Edwardem Popiołkiem), dotycząca „chłonności zrobów” w kopalniach rud i opublikowana w najbardziej prestiżowym polskim czasopiśmie górniczym(!) – Archiwum Górnictwa (nr 60, 2015). Od wielu lat byłem rzecznikiem wprowadzania odpadów z flotacji rud pod ziemię. Kombinat, nie mając kłopotów z ich lokowaniem na powierzchni stał na stanowisku „nie da się”. I faktycznie, po wykonaniu szeregu badań i pomiarów wykazaliśmy, że do „starych zrobów” się nie da. I to wykazaliśmy w publikacji. Dla mnie jednak problem wprowadzania ich do pustek na etapie wybierania, pozostaje otwarty!

Biblioteka

Uprawianie nauki bez książek jest niemożliwe. A, że te są i w bibliotekach, stąd tytuł. Nim o głównej – mała systematyka. Oczywiście każda szanująca się Uczelnia ma bibliotekę główną. Aby naukowiec książkę miał bliżej, pojawiły się biblioteki katedralne. Z czasem (w AGH, w ramach oszczędności etatów) utworzono z nich wydziałowe. Ale są takie książki, do których zagłada się często więc stanowią bibliotekę podręczną. No i wreszcie każdy inteligentny człowiek (więc i naukowiec) ma (?) bibliotekę domową. Dokonawszy „naukowego podziału” zajmę się ich opisem, oczywiście, z mego subiektywnego punktu widzenia.

Z biblioteką uczelnianą (mając ze szkoły nawyk korzystania z „publicznych”) zetknąłem się zaraz po rozpoczęciu studiów, kiedy to natychmiast po uzyskaniu informacji o podstawowych podręcznikach – udałem się do niej. Nieco później przeszedłem „szkolenie biblioteczne”, ale już wtedy byłem użytkownikiem praktykującym. Główna mieściła się wtedy w A-0, tam gdzie dzisiaj Katedra Hydrogeologii. Ale już budował się nowy gmach. Przyjął nas, studentów w 1966 r. w zupełnie nowych warunkach. Dla mnie ideałem stała się czytelnia. Jak wszedłem, to już musiałem mieć przed sobą książkę. A w mieszkaniu to różnie bywało. Wtedy, kiedy trzeba było studiować, pilniejszym było np. sprzątanie!

Studencki okres korzystania z biblioteki ograniczał się do wypożyczenia podręczników, bądź studiowania ich w czytelni. Jakoś nie przypominam sobie formy zajęć, która wymagałaby studiowania czasopism czy patentów. Na to przyszedł czas po rozpoczęciu pracy. Do dzisiaj mam (wspominany) maszyno-

pis – zestawienie właściwości materiałów podsadzkowych, opracowany na podstawie „studiów literaturowych” (jak to wtedy brzmiało uczenie – studia literaturowe!!!) Powstał w oparciu o kilkanaście godzin spędzonych w czytelni. W trakcie przygotowywania pojawił się problem dotarcia do źródeł, znalezienia ich. Najłatwiejszą drogą była „po złapanej nitce”. Skoro miałem jakąś publikację, to studiowałem literaturę w niej zestawioną. I tak „cofałem się”. Sposób skuteczny, ale niegwarantujący dotarcia do wszystkiego. Gdzieś w latach 70. ubiegłego wieku pojawił się, wydawany przez GIG Biuletyn Informacji Naukowej, zestawienie w działach publikacji dotyczących górnictwa. Już się było w domu. Dostępny był również „Referatiwnyj żurnal”, odpowiednik rosyjski, ale zawierający również publikacje z zachodu. Pełen sukces był wtedy, kiedy dotarło się do „Glückauf Forschungshefte” – znowu to samo, tylko czasopisma zachodnie. Oczywiście ksera (nie wspominając o scanie) nie było, więc trzeba było pisać streszczenia. Więc siedziało się w czytelni czasopism. Zacząłem korzystać również z działu biblioteki zawierającego normy, patenty. Jak rosłem w siłę (naukową) i stanowiska, zacząłem bezczelnie wykorzystywać siostrę Jacka, Ewę Postawę, która po polonistyce, nie mogąc znaleźć innej, podjęła pracę w bibliotece. Pewno załatwił to prof. S. Takuski, spędzający z Jackiem czas, nie tylko na dysputach naukowych. Dzwoniłem i jak przychodziłem to, co mnie interesowało, na mnie czekało. Moje związki z biblioteką z tamtych czasów zaowocowały z początkiem XXI wieku powołaniem mnie do Rady bibliotecznej. Miałem okazję przyjrzeć się pracy miłych (głównie) pań od drugiej strony. Poznałem panią dyrektor, dyplomowanego kustosa mgr Ewę Dobrzyńską-Lankosz, niezwykle zaangażowaną w starania o rangę biblioteki (a nie wszyscy rektorzy umieli ją dostrzec), o usatysfakcjonowanie „załogi”, a nade wszystko o remont i rozbudowę, która szczęśliwie miała miejsce w początkach drugiej dekady bieżącego wieku. Biblioteka po remoncie to zupełnie inny obiekt.

Najbliższą mi (i w znaczeniu dosłownym) była biblioteka instytutowa. Powstała z początkiem lat 70. minionego wieku, poprzez scalenie bibliotek trzech małych Katedr, które weszły w skład Instytutu z dobrodziejstwem inwentarza. Pierwsze tygodnie w Uczelni fizycznie spędziłem w tej bibliotece, tam miałem biurko. Z czasem, modernizacja Instytutu doprowadziła do stanu, w którym biblioteka zyskała dwa pomieszczenia. W jednym był magazyn, już z profesjonalnymi, lekko przesuwającymi się regałami, w drugim podręczna czytelnia, z wyłożonymi czasopismami naukowymi. W niej bywałem dość często prze-

glądając nowości. Przez zrzącenie losu zostałem wzmocniony na polu pozyskiwania literatury. Do pracy w bibliotece instytutowej, gdzie w połowie lat 70. ubiegłego wieku została przyjęta mgr Maria Karp, polonistka, kustosz. Wcześniej pracowała w bibliotece publicznej, ale wolała w mniejszej. Otóż Marysia była córką znajomych moich rodziców. W okresie wojny i tuż po, mieszkała w Gorlicach, gdzie jej ojciec zajmował się jakimiś problemami wiertniczymi. Z moim ojcem poznał się u miejscowego księdza i jakoś znajomość się zawiązała. W latach 50. minionego wieku pan Karp dostał pracę w Krakowie. Kiedy studiowałem, wpadaliśmy z przyjacielem do nich (coś się zjadło!) i wtedy poznałem Marysię i jej brata Jacka, dziś wziętego adwokata w Nowym Sączu. I właśnie ją spotykam w bibliotece. Scaliła trzy księgozbiory, sporządzając katalog z prawdziwego zdarzenia, wprowadziła elementy profesjonalnej informacji naukowej. Ja zyskałem, nie tylko pomoc w zdobywaniu książek z innych miejsc, ale i „osobistego korektora”. Wspominałem o moich (do dziś) kłopotach z ortografią. Wtedy nie było Worda z funkcją korektorską. Czas, kiedy bibliotekę miałem o kilka kroków był w moim życiu naukowym (z patosem!) najpłodniejszy. Takie jej usytuowanie i nieograniczona pomoc Marysi bardzo mi pomogły.

Nowa biblioteka była największym pomieszczeniem Instytutu. Nic więc dziwnego, że okolicznościowe imprezy odbywały się tam. Często przeciągały się do późna. Najbardziej niebezpieczną była Marysia, bo odpowiadając za księgozbiór musiała siedzieć do końca. A zdarzały się „ekscesy”, kiedyś kolega, niesfornego drugiego ułożył na regale bibliotecznym. Inny, zapomniawszy, że zima i mróz, udał się do domu w samej marynarce. Na drugi dzień przyszedł do pracy w trenchu, szczękając zębami, ale nawet nie złapał kataru. Niezapomniane imprezy towarzyskie! Zaglądam do biblioteki i niestety widzę, że nie cieszy się ona takim zainteresowaniem młodych pracowników jak kiedyś. Wiem, internet, ale przecież swoje prace publikują drukiem, więc wiedzą, że prace innych też dostępne są tylko w takiej formie. Nie znajdują ich w sieci, więc dlaczego nie zagląдают? Może dlatego (cytuje prof. B. Neyę), że „sami muszą tyle pisać, iż nie mają czasu czytać”!

Oczywiście, w latach 70. ubiegłego wieku było nie do pomyslenia by nie posiadać własnych książek, własnej biblioteki. Załączek stanowiły podręczniki studenckie, z podręcznikiem Znańskiego na czele. Akurat w tym czasie wyszły dwie monografie dotyczące górnictwa węglowego – nabyłem je. Z Jackiem

Postawą kupiliśmy wspólnie 5-cio tomowy *Poradnik górnika*. Najgorzej było z klasycznymi podręcznikami wydanymi wcześniej: Sałustowiczem (*Geomechanika*), Budrykiem (*Wentylacja, Pożary podziemne*) i innymi. Te uzupełniłem na zasadzie wypożyczenia z biblioteki. Z czasem, kiedy pojawił się kserograf, do kupowanych książek dołączały kserokopie artykułów. Również (smutne) śmierć profesorów wzbogacała moją bibliotekę (tak uzyskałem sporo XIX-wiecznych książek o górnictwie, wydanych w Niemczech; część z nich przekazałem do biblioteki głównej). Osobne półki stanowią książki i publikacje mego autorstwa, promowane i recenzowane prace doktorskie. Otrzymywane monografie habilitacyjne. Tak, przez prawie 50 lat zebrała się ich spora ilość. Od roku, powolutku przeglądając je, oddaję wypożyczone. Jest z tym kłopot, bo krążyły po pokojach kolegów i pewno nie wszystkie znajdę. Niektóre „moje” oferuję bibliotece, kolegom, jak nie będzie chętnych pójdą na makulaturę, choć serce boli. Dla mojego pokolenia pamiętającego (w rodzinnej szkole) nakaz pozbywania się pewnych tytułów, oddawanie książek na makulaturę budzi wewnętrzny sprzeciw. Co robić?! Z wieloma jestem „zżyty”, ale (powtórzę) co robić, po co je ciągnąć do domu, robić kłopot dzieciom. Tak więc odchodząc z pracy, zabiorę tylko te wybrane pozycje, do których jestem specjalnie – emocjonalnie przywiązany (pierwszą publikację, doktorat, habilitację) oraz te, które chciałbym wykorzystać przygotowując „chodzącą mi po głowie” książkę.

No i biblioteka domowa. Ta, w moim przypadku, nie zawiera ani jednej książki zawodowej. Tak układałem pracę, że nawet, jeśli coś pisałem w domu, to książki ze mną wędrowały (dom – praca i z powrotem). Mamy z żoną jednak całkiem sporo, nie liczyłem ile tysięcy książek beletrystycznych i ciągle ich przybywa. Nasz księgozbiór, to te najstarsze z dzieciństwa (moje: *Jak Wojtek został strażakiem; Puc, Bursztyn i goście*), lektury szkolne, klasyka i inne nabywane na bieżąco, po kupowane współcześnie. Książką mego życia jest leżąca przy łóżku, zaczytana, ostatnio pięknie oprawiona u intrologatora – „Lalka”. Sięgam po nią ilekroć czuję się marnie. Nie mnie sądzić, na ile Wokulski jest dla mnie wzorem. Ze zdziwieniem bywam w mieszkaniach znajomych, w których nie widzę książek. Od razu ustawia to mnie do ich intelektu. Ktoś, kto jak mawiał jeden z moich studentów „nie przeczytał w życiu nawet zadrukowanej rolki papieru toaletowego” nie może być naukowcem, choćby teorię Einsteina znał na wrywki. Bez zżycia się z książką i nie tylko zawodową nie ma naukowca, jest technokrata.

Kształcenie i promocja młodych

Drugim, a według mnie w rankingu pierwszym, zadaniem wyższej uczelni jest kształcenie i wychowanie młodzieży oraz promocja doktorów. Wrzucam ich do jednego worka (bo proces boloński) choć w promowaniu doktorów niekoniecznie widzę prostą kontynuację kształcenia na III stopniu, czyli studiach doktoranckich.

Zacznijmy od dydaktyki. Jak to za moich czasów bywało. Rozpocząłem studia, śmiem twierdzić, w czasach, w których dla moich wychowawców nauczanie było czynnością w uczelni najważniejszą. I nawet opisywane wcześniej nagłe zlecenie zastępstw asystentom tego poglądu nie zmienia. Profesorowie mieli jasny zakres treści swego przedmiotu. Prowadzili generalnie przedmioty z zagadnień, na których się znali, w których coś tam w nauce zdziałali. Własny przedmiot nie znaczył takiego, który zgłosił profesor. Przedmiot wynikał z koncepcji kierunku (dziś powiedzielibyśmy: „sylwetki absolwenta”). Jak daleko odeszliśmy od tego „parytetu” Katedr, a często tworzenie przez kadrę programu „pod siebie” nie jest dzisiaj niczym „nienormalnym”. O ile w czasach nadmiaru kandydatów faktyczny profil nie miał dla nich wielkiego znaczenia, to teraz, kiedy o kandydata trzeba walczyć propozycja „wszystkiego po trochu,

byle wszyscy mieli swoje przedmioty”, nie przejdzie. Wykończy niejeden kierunek.

Wróćmy do sposobu wykładania. Anegdota z moich czasów studenckich: „jak dzielimy wykładowców? – na tych, co mają książkę w głowie i tych, co głowę w książce” – pozwala na stwierdzenie, że w zdecydowanej przewadze miałem do czynienia z tymi pierwszymi. Choć do dziś pamiętam pana docenta czytającego „biblię Kolbego”, jak nazywaliśmy jeden ze skryptów tego profesora. I dzisiaj, wśród moich uczonych kolegów, słyszę są tacy. Moi przełożeni wychowywali mnie jednak w poczuciu konieczności solidnego przygotowania się do zajęć. Ćwiczenia musiały mieć konspekt, zatwierdzany przez szefa. Dyskutowaliśmy go, „uściślali” – jak mawiał. Zaglądał na ćwiczenia, nie żeby prowadzić systematyczne hospitacje (choć i te robił, mam z nich protokoły) ale po prostu wpadał. A był sam, jak wspominałem niezłym dydaktykiem. Szczególną wagę przykładał do rysunków. Szybko zorientowałem się, że dobrze jest je poćwiczyć by podczas zajęć, kiedy rysowało się na tablicy, nie znaleźć się w sytuacji, iż jakiś element wypadał... na ścianie – poza tablicą. Doceniłem przydatność kolorowej kredy. I dzisiaj jestem taki staroświecki, że w dydaktyce tablice i kredę uważam za niezastąpioną. Student śledzący (jeśli oczywiście przyjdzie na wykład) sposób powstawania schematu, rysunku, po pierwsze łatwiej go przerysowuje (no chyba, że fotografuje), po drugie, jest on dla niego jaśniejszy. Czas rysowania można (i trzeba) wykorzystać na objaśnienia. Moimi mistrzami w tej materii byli profesorowie Maciejasz, Korman i Filcek.

Już wtedy pojawiły się „środki audiowizualne”. Rozpoczął prof. Znański epidiaskopem (wielkości małej szafy), za pomocą którego prezentował (prezentował „laborant” Mieciu Cielecki) rysunki ze swej książki. Pomimo tego „nowoczesnego” środka zdecydowanie mniej pojmowałem przedmiot prezentacji w stosunku do wykładu prof. Maciejasza, który podobne schematy rysował. Oczywiście wyświetlać można, ale przede wszystkim zdjęcia, bo te narysować trudno! Kolejnym osiągnięciem był diaskop wyświetlający cykl przeźroczy. W tym przodowali „młodzi” (pamiętam dzisiejszego prof. Piechotę, wtedy asystenta). Były wygodniejsze – cykl można było przygotować wcześniej, choć środek ten wykorzystywany był raczej przy prezentacji wyników badań, referatów (korzystałem z niego przy doktoracie i habilitacji, na zajęciach rzadko). Dzisiejszy Power Point ogromnie ułatwia prowadzącemu. Jest swoistym widocznym konspektem, ale znowu, jeśli ilustruje komentarz słowny – „ok”, jeśli go

zastępuje (wykładowca czyta z ekranu!) bez sensu. Dochodzą mnie głosy, że w czołowych uczelniach świata od niego się odchodzi, powracając w trakcie wykładu do form przekazu bezpośredniego. Prezentacja (w PP), zamieszczona w internecie świetnie go uzupełnia. Nie ośmielam się krytykować jeszcze nowszej formy, tj. wykładania przez internet. W uczelniach powstają „centra e-learningu”, ale ta forma jakoś mnie nie przekonuje. Nade wszystko w dydaktyce obowiązuje zasada, że forma (prezentacji) powinna być dostosowana do celu, jaki wykładowca chce osiągnąć.

Prowadzenie zajęć wymaga (powinno wymagać!) zdolności pedagogicznych. I wtedy i dzisiaj nikt ich nie sprawdza. Stawia się tylko wymagania, co do zdolności do zajmowania się nauką. Zaczynałem, jak pisałem, od asystentkich studiów przygotowawczych z pedagogiką²⁰⁹, ale poziom jej był nijaki. Jeśli w dydaktyce wyszedłem na ludzi, to z pewnością z powodu wrodzonych predyspozycji („urodzony nauczyciel”) i skłonności do podpatrywania lepszych, no i ich uwag i wskazówek. Dziś ta strona pracy młodego nauczyciela akademickiego, pomimo formalnych kursów leży. Marzy mi się system, w którym studenci „nogami” wybierają sobie wykładowcę. Na ale to, po pierwsze wymaga tego by oni chcieli chodzić na zajęcia, a po drugie, by chcieli coś z nich wynieść. By jedynym kryterium oceny wykładowcy nie były stawiane wymagania i sposób egzekwowania przez niego wiadomości, jak to niestety często ma miejsce przy tzw. ocenie pracownika przez studenta. Ankiety oceniające wykładowcę wypełniają (bo ktoś od nich tego wymaga) i ci co na wykłady nie chodzą. Sam otrzymywałem od studentów oceny. Są zawsze powyżej 4,4, raz nawet byłem w gronie najlepszych dydaktyków Wydziału, z Antonim T. Pomimo tego do sposobu przeprowadzania ocen mam uwagi.

Jakie prowadziłem zajęcia? – przeróżne. Oczywiście zaczynałem od ćwiczeń, ale kiedy zostałem doktorem dostałem i wykłady. Póki byłem górnikiem, dotyczyły eksploatacji węgla lub górnictwa ogólnego. Uczyłem górnictwa również mechaników, wiertników, geologów. Przebranżowienie na środowisko wymusiło nauczania się gospodarki odpadami, ochrony środowiska, a nawet tak „egzotycznego” przedmiotu jak edukacja ekologiczna. Najmilszym, dla mnie, o czym wielokrotnie wspominam, była jednak historia górnictwa. Praca w Krośnie jeszcze bardziej poszerzyła mój repertuar dydaktyczny. Doszły: rekulty-

²⁰⁹ Prowadził ją... górnik – dr inż. R. Czekajowski, choć po pedagogicznym dokształcie.

wacja i rewitalizacja terenów przemysłowych i surowce energetyczne. Na tym tle pojawia się problem, za czasów moich poprzedników nieistniejący, jak można wyklądać coś, czego wcześniej nie studiowało się samemu. Aby nie roztrząsać, można, ale wykład nigdy nie będzie tak kompetentny jak prowadzony przez fachowca, prowadzącego z tego zakresu badania. Wykładającemu (przynajmniej w moim przypadku) też nie będzie sprawiał satysfakcji. Oczywiście z czasem, jeśli zajęcia traktuje się poważnie i pracuje nad ich treścią można zostać niezłym rzemieślnikiem. I wyliczanka, jak wynika z mego szacunku przez lata, przebywałem za katedrą 10 tys. godzin w AGH i 3 tys. godzin w Krośnie. 13 tys. godzin „posługi dydaktycznej”!

Z dydaktyką nieodłącznie związane jest dyplomowanie. Prawo do prowadzenia prac (za zgodą Rady Wydziału) nabywa się po uzyskaniu doktoratu. Tak było i w moim przypadku. Oczywiście najbardziej przykładą się promotor przy pierwszych pracach, a jeszcze, jak ja, trafi na zdolnych to pełna przyjemność. Do dziś pamiętam (a było to w 1979 r.) moich „pierwszych”. Wojtek Świątanowski (późniejszy szef ratowników na „Bogdance”) czy Kaziu Kozera. Oczywiście potem było ich ponad 200. Prowadzenie pracy było dla mnie przyjemnością, jeśli dyplomanta udało się namówić na temat związany z badaniami laboratoryjnymi. Rodziły się z nich nie tylko prace, ale i referaty na sesje studenckie. Znacznie nudniejsze były standardowe projekty oddziałów wydobywczych. W inżynierii środowiska promowałem z gospodarki odpadami, ale i z konieczności z innych tematów. I w tym przypadku najprzyjemniejsze to tematy wymagające pomiarów. W całej mej karierze, oceniając prace preferowałem właśnie takie.

Pewnym uzupełnieniem dydaktyki są prace ze studentami w studenckim ruchu naukowym. Nazywa się naukowy, ale przecież głównie pozwala rozwijać i poszerzać wiedzę. Odpowiada na zapotrzebowanie tych, „co chcą wiedzieć więcej”! Na wydziale istniał on od zawsze. Wprawdzie jakoś mnie ominął, gdy byłem studentem. Być może dlatego, że istniejące dwa koła (jedno poświęcone problematyce eksploatacji węgla, drugie rud) dość mocno kulały. Istotna poprawa nastąpiła kiedy do pracy przyszedł dr J. Kicki. Z doświadczeniem wyniesionym z ZSP, układami w partii i masą pomysłów. Przez wiele lat współpracowaliśmy, szczególnie przy wyjazdach zagranicznych, (o których osobno) więc będzie okazja opisać ją szerzej. Teraz tylko tyle, że pierwszym jego pomysłem było scalenie obu kół. Tak powstało KN Filar. Zostając formalnym za-

stępcą jego opiekuna, którym był Jurek, spotkałem wielu ciekawych studentów. Pamiętam kilku (ułomna pamięć): J. Puka, M. Kocot, W. Strózik, W. Świątanowski, K. Komarek, B. Dziędziel, to ci pierwsi. Z wieloma z nich utrzymywałem potem kontakty. Bywało, że później swoje dzieci przysyłali na Wydział.

Nieodzownym elementem dydaktyki są podręczniki. Mistrzem (nie tylko dla mnie) w ich pisaniu był prof. S. Takuski. Kiedy wraz z Markiem Dydeckim, Jurkiem Kickim i Jackiem Postawą „zawiązaliśmy spółdzielnię” (wspominałem o tym) i z entuzjazmem młodych podjęliśmy ambitny plan uzupełnienia braków literaturowych i przygotowanie materiałów do ćwiczeń. Jurek wpadł na pomysł, by wydawać je w formie zeszytów. Tak zamiast jednego skryptu pt. *Materiały do ćwiczeń...* zostaliśmy autorami siedmiu. Przy ósmym (a były przygotowane jeszcze dwa kolejne) Stasinek (jak pieszczotliwie nazywaliśmy prof. S. Takuskiego) nie wytrzymał i napisał recenzję (oryginał mam do dzisiaj) ze słynnym stwierdzeniem: „rolą młodego naukowca jest prowadzenie badań a nie pisanie skryptów”! Oczywiście wydanie dalszych stało się niemożliwe, a ja do dzisiaj nie wiem o co poszło, bo merytorycznie wszystko było w porządku. Domniemywam, że stał się zazdrosny o pomysł pozwalający szybko produkować kolejne tytuły skryptów. Wyzlibyśmy na rekordzistów ilościowych.

Wymyślił się też, tym razem z udziałem doc. S. Ropskiego, wydanie skryptu poświęconego sposobom likwidacji zróbów. „Majster”, jako specjalista od zawału miał przygotować tę tematykę. Do pomocy dobrał sobie Jacka Postawę. My, we trójkę (Dydecki, Kicki, Mazurkiewicz) mieliśmy opracować podszadki. Po pół roku, kiedy byliśmy z podszadzkami mocno zaawansowani a zawałowcy nie mieli się czym pochwalić, postawiliśmy docenta przed faktem, informując, że skrypt dzielimy na dwie części, pierwszą zawałową i drugą podszadzkową. Ponieważ druga była gotowa złożyliśmy ją do wydawnictwa, doc. K. Drzewiecki zrobił recenzję i poszło. Tak pojawiła się część II tytułu. Część I nigdy nie powstała.

Później byłem współautorem jeszcze kilku innych, z których największym sentymentem darzę *Problemy likwidacji kopalń* i *Zarys dziejów górnictwa*. Powodów jest kilka. Jeśli chodzi o pozycję pierwszą (choć chronologicznie drugą) wyszła z kompleksowym potraktowaniem tematyki, w okresie kiedy likwidowaliśmy kilkadziesiąt kopalń. Uwzględniła moje doświadczenie zdobyte w czasie prac w WUG-owskiej komisji ds. likwidacji kopalń. Jest jedyną książką (skryp-tem) napisaną tylko ze Zbyszkim. Do dzisiaj jest pierwszą i jedyną pozycją

kompleksowo traktującą tą problematykę²¹⁰, choć co normalne, w dużej części przestarzała. I smutno mi było kiedy na wydziale pojawił się przedmiot: „Likwidacja kopalń” i pojawił się inny wykładowca z tej tematyki. Odnosnie drugiej, to dotyczy problemów miłych memu sercu, przypomina mi prof. Żabickiego i stanowi przedmiot ciągłych (jak żaden inny temat) zainteresowań.

Kilka lat temu zacząłem pisać podręcznik dotyczący odpadów mineralnych i ich wykorzystania w górnictwie. Niespodziewana śmierć Zbyszka (prof. Z. Piotrowskiego) przerwała te plany. Marzy mi się by tą ciężką pracę wykonała moja wychowanka – profesor Ala Uliasz-Bocheńczyk.

Wielu z wielkich profesorów pisało do śmierci. Wystarczy przywołać profesorów A. Bolewskiego czy A. Bębna. Niestety, po pierwsze nie jestem wielki! Po drugie, technologie, którymi się zajmowałem idą tak do przodu, że za aktualnym stanem wiedzy nie nadążam. I pomimo, że książki, które napisałem dawno się zdezaktualizowały nie zamierzam pisać nowych wydań. Zbyt dużo pracy, wysiłku wymaga zbierania materiałów. Zająłem się pisaniem innych książek, czego dowodem jest ta. Wcześniej napisałem dwie: dzieje rodziny i swoją biografię (do ukończenia studiów), którą cytowałem. Druga dotyczy pewnego „magicznego miejsca” w losach rodziny²¹¹. Jeśli jeszcze coś napiszę to ewentualnie wspomniane dzieje górnictwa. Nikt tego nie zrobił, choć przyczynków jest wiele. Mają głównie charakter bardzo naukowy, a mnie się marzą dzieje podobne do przepięknej książki A. Bocheńskiego: *Przemysł polski w dawnych wiekach*, (znowu: znaj proporcje...), pozwalające się czytać każdemu, kogo tematyka historii techniki zainteresuje.

Słów kilka o zmieniającym się systemie studiów. Kiedy zaczynałem był jednolity, magisterski (11 semestrów). Pierwsza reforma czasów Gierka wprowadziła studia inżynierskie (7 semestrów) i magisterskie (5 semestrów). Wydłużyło to studia, bo czasy były takie, że zdecydowana większość studiowała je szeregowo. Szybko się z nich wycofano. Integracja europejska, chcąc doprowadzić do wspólnego systemu studiów powróciła do niej. Na początku dopuszczała tak zwany system „Y”, w którym ci, którzy deklarowali chęć pójścia na studia magisterskie, nie mieli inżynierskiego semestru dyplomowego. W za-

²¹⁰ Kilka lat później, prof. P. Czaja wydał bardzo szczegółowy podręcznik dotyczący likwidacji szybów.

²¹¹ Mazurkiewicz M. : *Górka– impresje o miejscu, ludziach, zdarzeniach...*, Kraków 2015.

sadzie na studia magisterskie mógł iść tylko ten, kto na studiach inżynierskich studiował ten sam kierunek. Finałem ewolucji (system boloński) są dwa, a nawet trzy stopnie studiów: inżynierskie, magisterskie i doktoranckie. System ten dopuszcza, aby absolwenci studiów z kierunku „A” szli na studia magisterskie na kierunek „B”. Są wprawdzie kierunki na których utrzymano studia jednolite, ale dotyczą one raczej studiów humanistycznych i medycyny. Oczywiście w krytyce systemu bolońskiego duży udział ma przyzwyczajenie. Nie można go jednak lekceważyć, bo już pisałem trawestując za Kopernikiem: gorsze wypiera dobre. Oczywiście górnictwo wymaga od pracownika dozoru by posiadał określony zasób wiedzy, ale nie przesadzajmy. W świecie kopalnie prowadzą górnicy kształceni w dość ogólnym zakresie i sobie radzą. Ale oni w znacznie większym stopniu niż nasi absolwenci nauczeni są samokształcenia. Wiele w zakresie naszego kształcenia („koniecznych” przedmiotów) wynika z tradycji, przypisania wykładowców do „ich” przedmiotów. A przecież koledzy profesorowie, Polacy kształcący górników w USA, Kanadzie, Australii opowiadają, że muszą uczyć od geologii, przez technologię, wentylację, po BHP. U nas nie do pomyślenia.

Piszę o systemie, w którego skład wchodzi program studiów. Za komuny było prosto, ministerstwo publikowało programy (siatki godzin, formy zajęć, ilość godzin dla przedmiotu) i treści dla każdego przedmiotu z rozbiciem na rodzaje zajęć. Potem ich propozycje tworzyła uczelnia i przedstawiała ministerstwu do zatwierdzenia. W III RP pojawiły się „minima programowe” opracowywane przez ekspertów mianowanych przez ministra (byłem takim dla górnictwa), aż wreszcie uczelnia dostała wolną rękę. Na tę wolną rękę nałożono natychmiast śmieszoną rękawiczkę biurokracji w postaci wypełnienia Krajowych Ram Kwalifikacji. Konia z rzędem temu, kto powie co to daje, albo na ile takie podejście służy studentowi, na ile obecny absolwent jest lepiej wykształconym niż ten sprzed lat 10. Ale i to nie wystarczyło, trzeba było wdrożyć system jakości kształcenia z pełnomocnikami na szczeblu dziekana i rektora. Najnowszym pomysłem są jakieś „procedury”, które powinniśmy mieć i ich przestrzegać. Mam je w d..., mogę sobie na to pozwolić, bo będę pracował jeszcze tylko semestr. Pojawiła się akredytacja i karuzela się kręci. Przypominam przywoływane już powiedzenie z czasów komuny: „co się zbiera jak jest nieurodzaj? ...”. Jak słabo kształcimy to różne gremia udowadniają, że wszystko jest ok. A ile pary idzie w gwizdek!

Nie ma dydaktyki bez studentów. I tu docieramy do powodu wielu problemów. Ich rozwiązanie nie jest spełnieniem marzeń wielu profesorów („Jak świetnie byłoby w Uczelni gdyby nie studenci“!). Jest niestety faktem, że dzisiejsi studenci są zdecydowanie gorszymi absolwentami w stosunku do czasów, kiedy sam nim byłem. Powody są co najmniej dwa. Pierwszy wynika z niesprawdzania się prawa Marksa, ilość nie przechodzi w jakość, a wręcz odwrotnie (problem masowości studiów). Drugi z generalnego „zdziczenia obyczajów” (a więc braku wychowania, czy „kindersztuby”, jak mawiali moi rodzice), co wpływa na podejście do nauki.

Zacznę od pierwszego w formie pewnej wyliczanki. W moich czasach w liceum studiowało około 30% młodzieży, z czego na studia decydowało się i po egzaminie urządzanym przez uczelnię pod kątem jej wymagań, dostawało się nie więcej niż połowa. Zatem studiowało około 15% populacji i to tej naprawdę najlepszej, wyselekcjonowanej. Najlepsi na uniwersytetach i politechnikach. Nieco gorsi w szkołach inżynierskich i w WSP. Znacznie gorsi (chłopcy) szli do szkół wojskowych, najślabi do szkół kształcących nauczycieli (i w tym ostatnim jest część odpowiedzi na pytanie – „dlaczego mamy taki poziom maturzystów“?). Studia dawały awans (nie finansowy bo kombajnista w kopalni zarabiał 2 razy tyle co mgr inż.) społeczny i podejście do studiowania było generalnie poważne, a i tak sprawność na kierunkach technicznych nie przekraczała 80%. Podsumowując: studentem zostawała osoba uzdolniona ponad przeciętnie, co pozwalało trzymać wysoki poziom wymagań. A dziś, w pogoni za niezłym zyskiem powstały szkoły prywatne²¹² (w okresie wyżu demograficznego zbiły kokosy), a państwo nie umiało (nie chciało?) opracować systemu, który by wymusił odpowiedni poziom. A można było, poprzez „dyplomowy egzamin państwowy” prowadzony przez uczelnię akademicką, do tego nie dopuścić (kiedy moja mama kończyła prywatne liceum żeńskie, maturę zdawała w liceum państwowym w innej miejscowości). Nieco wyższy poziom trzymały państwowe wyższe szkoły zawodowe (tu sam nie jestem bez grzechu, ale o tym dalej). Nic więc dziwnego, że i szkoły akademickie obniżyły poziom byle mieć jak najwięcej studentów, bo od ich liczby zależała dotacja z ministerstwa. Jeden z naszych wydziałów w czasach prosperity zwiększył ilość przyjętych na I rok o ponad 100% w stosunku do roku ubiegłego. Zatem raz jeszcze, ponieważ

²¹² Oczywiście wiem, że w Polsce jest kilka wyjątków od tej reguły.

ilość studentów wpływała na wysokość dotacji (a więc etatów, nadgodzin itp.), z poziomem nauczania zjechali w dół. Można powiedzieć jak na to pozwoliło twoje – Mazurkiewicz – sumienie nauczycielskie? Ano pozwoliło, będę to pewno TAM odpokutowywał! Jeśli w sesji przyszło egzaminować kilka grup ponad 100-osobowych to o egzaminach ustnych zapomniano. A nawet poprawienie tyłu prac (jakoś odeszliśmy od zwyczajów z mej młodości, że prace pisemne poprawiali prowadzący ćwiczenia asystenci i adiunkci) graniczy z fizyczną możliwością. Nic dziwnego, że świadomie, czy nie, poprawiający obniżał wymagania, byle już te setki stron zabazgranych nieczytelnym pismem mieć za sobą. Nieetyczne, pewno tak, ale natura ma swoją wytrzymałość (odpokutuję). Coraz gorszy materiał, coraz niżej stawiamy poprzeczkę. Na dodatek poziom wypracowań pisemnych zaczął istotnie odbiegać od poziomu wiedzy faktycznej, bo środki techniczne służące (umownie) odpisywaniu poszybowały wraz z telekomunikacją. Gdzie im tam do niewinnie kaligrafowanych ściąg z moich czasów. Podczas ich pisania wiedza się utrzymywała. Dziś komórki, mikronadajniki, pseudozegarki – te znam, ale już nie nadążam. A i tak dalsze ułatwienia, że nie powiem przepychania. Jakies nowe formy nauczania: „grupy pościgowe”, „warunki” – kto o tym słyszał 50 lat temu. Nie zaliczywszy pierwszego roku wylatywało się z hukiem. Odrębnym zagadnieniem są studia niestacjonarne. Gdzie te czasy, kiedy będąc asystentem uczyłem ludzi, którzy byli ode mnie o kilkanaście lat starsi i lata spędzili na pracy w kopalni. Ich wiedza praktyczna kilkakrotnie przewyższała moją i trzeba się było pilnować by „starzyk” mnie nie ośmieszył przed grupą. Im dyplom był autentycznie potrzebny i studiowanie traktowali niezwykle poważnie, A dziś, (szacuję) 80% jest studiami w ogóle niezainteresowana, więc... Podczas jednej z akcji rekrutacyjnej słyszę pytanie: „a jak ja płacę to czy muszę chodzić na zajęcia”? Potem, przed egzaminem pojawia się delikwent z siatką, z której wystają dwie butelki czystej. Wyrzucony wraca z czterema flaszkami. Nie koloryzuję, autentyczne! Jeśli przyszedł do mnie to z doświadczeniem, że biorą. I nawet wiedziałem kto!

Część z poruszonych powyżej zagadnień zahacza o drugi powód marnego poziomu absolwentów. Napisałem: „zdziczenie obyczajów”! Jego najbardziej widocznym przejawem są: wulgarny język, brak szacunku do drugich, w tym nauczycieli, lenistwo pokrywane próbą „załatwiania” zamiast rzetelnej pracy („dogadajmy się”, flaszka stawiana na biurku – tak, miałem takie przypadki, że tylko jedna!), próby wymuszania (nikt nie chce mieć porysowanego samochodu!).

Oczywiście, jakieś kilkanaście procent młodzieży autentycznie chce studiować. I znowu prawidłowość. Jeśli od kandydata wymagamy (np. na kierunku budownictwo) to procent ten jest większy. Te kilkanaście procent widoczne jest potem w studenckich ruchach naukowym i kulturalnym. Oni są chlubą Uczelni uczestnicząc w konkursach międzynarodowych. O nich piszą gazety. Można powiedzieć elita studencka. Niestety między nimi a pozostałymi, przyjętymi ze 170 punktami z matury (na 1000 możliwych – autentyczne!) jest duża przepaść.

A teraz kilka obrazków: idę korytarzem, stoi grupka studentów wymieniająca poglądy na temat pewnego przedmiotu. Co kilka słów pada wulgarny przerywnik. Najpierw stoję, potem pytam: „czy państwo jesteście studentami” – cisza, brak jakichkolwiek skojarzeń. Wyjaśniam: „wasz język przypomina mi raczej język spod budki z piwem”. Dalej widzę, że nie wiedzą o co chodzi. Drugi – wykład, w trzeciej ławce student leży na ławce. Pytam: „czy panu coś się stało, wezwać karetkę”? Aluzji nie pojmuję. Kolejna scenka z wykładów, wchodzenie na salę 10, 15 minut po rozpoczęciu, bez słowa. I jeszcze: w trakcie wykładu student wyjmuję kanapkę i w najlepsze zajada. Pytam: „czy pan jest chory”? Zdziwienie i odpowiedź: „nie, dlaczego pan pyta”? „No, bo np. przy cukrzycy jest taka chwila, kiedy trzeba coś zjeść, bo można zemdleć”. I znowu, aluzji nie pojął. Spoza sali wykładowej: wychodzę z budynku, stoję pomiędzy drzwiami bo do budynku wchodzi grupa młodzieży. „Czy państwa nikt nigdy nie uczył, że osoba wychodząca (o wieku nie mówię, bo tego nikt już dzisiaj nie rozumie) ma pierwszeństwo”. I znowu żadnych oznak zrozumienia.

Starczy, „koń jaki jest każdy widzi”. O przyczynach napisano wiele mądrych książek. Najogólniej twierdzą, że zaczął się kres naszej cywilizacji. Jego istotnym przejawem jest totalna zmiana pokazywania młodym celów życia, stawianie dobra, a może bardziej doraźnej przyjemności osoby przed innymi wartościami, propagowanie hasła „róbta co chceta”! Norman Davies pisał (cyt. z pamięci), że „współczesna młodzież jest pozbawiona świadomości upływającego czasu”. To też jakiś powód. I można by te rozważania kontynuować. To jednak nie zdejmuje z nas, kadry, obowiązku dokładania wszelkich starań by nasi absolwenci byli również wychowani. Są pewne jaskółki, duże zainteresowanie kursem dobrych obyczajów. Ale też, bijąc się w pierś, trzeba powiedzieć, że wychowane już przez nas pokolenie „młodych pracowników” w kulturze bycia codziennego ma kłopoty. Pędzi do mnie, starego profesora, z drugiego końca pokoju młody asystent z ręką wyciągniętą i głosem „witam”! Wchodzę do pokoju asys-

tentów – siedzą. Nagłówki w „listach e-mailowych”..., mógłbym kontynuować. Ktoś powie: konwenanse, są umowne – może się czepiam? Karawana jedzie dalej!

Czas poświęcić kilka słów studiom doktoranckim. Ich rodowód w AGH sięga początku lat 60. ubiegłego wieku. Nie były jakoś szczególnie propagowane, bo jak wspominałem „karierę” naukową zaczynały asystenckie studia przygotowawcze. Sam rozpoczynając tę ścieżkę, dowiedziałem się o nich dopiero jakiś czas później, spotkawszy dwóch kolegów (Stanisław Oleksy, Marek Kwaśniewski²¹³)²¹⁴, którzy je podjęli. Studia w skali „masowej” rozpoczęły się jednak dopiero w wyniku „procesu bolońskiego”. I w tym przypadku ogląd jest możliwy z kilku stron. Po pierwsze, z pewnością przyczyniły się do zwiększenia ilości doktorów. Po drugie, pozwoliły wielu „habilitowanym” wypromować doktora „z przydziału”. A to warunek awansu. Po trzecie, z pewnością obniżyły poziom doktoratów zgodnie z zasadą, (znowu!) że ilość nie przechodzi w jakość. Jak to zwykle bywa, sformalizowanie uzyskiwania stopnia w kierunku „studiowania” wprowadziło obowiązek wysłuchania przedmiotów, niekoniecznie dobranych z sensem, a według klucza – profesorowi „wypada” mieć

²¹³ **Prof. dr hab. inż. Marek Kwaśniewski**, z pewnością należał do najwybitniejszych z naszego roku (dyplom 1970). Urodził się w 1947 r. w Walii. Po uzyskaniu doktoratu wszedł „pod skrzydła” prof. Marcina Boreckiego (1905–1982, absolwent Wydziału Górniczego AGH, dyrektor GIG w latach 1952–1965, podsekretarz stanu w Ministerstwie Górnictwa, potem profesor Politechniki Śląskiej). Ten, gdy był wiceministrem wysłał go na staż do japońskich laboratoriów mechaniki skał. Po powrocie, podejmuje pracę w Politechnice Śląskiej, gdzie w 1975 r. założył i przez prawie czterdzieści lat rozwijał oraz kierował Laboratorium Mechaniki Skał. Był jednym z wybitniejszych specjalistów z zakresu: równania stanu i warunków stanu granicznego skał; mechaniki i zwiastunów kruchego pęknięcia skał; zachowania się skał w warunkach wysokich ciśnień; sprężystości i plastyczności i oraz tężliwości skał; pełzania i własności reologicznych skał; anizotropii i mechanicznych własności skał. W zakresie tych zagadnień stał się uznanym autorytetem nie tylko w Polsce, ale także w Europie i na świecie. Opublikował ponad 150 artykułów, referatów, był autorem i współautorem licznych monografii i szeregu prac naukowo-badawczych. Był także mocno zaangażowany w działalność redaktorską, będąc m.in. redaktorem naukowym 10 monografii wydanych w języku angielskim i recenzentem artykułów naukowych do kilku czasopism z listy filadelfijskiej: *Acta Geodynamica and Geomaterialia*, *Archives of Mining Sciences*, *Engineering Geology*, *Geotechnical Testing Journal*, *International Journal of Rock Mechanics and Mining Sciences*, *Pure and Applied Geophysics*, *Rock Mechanics and Rock Engineering*. Z powodów zatargu z jednym z następców prof. Boreckiego odkłada przewód habilitacyjny. Robiąc go wreszcie z początkiem XXI wieku, zostaje profesorem w macierzystej uczelni. Umiera przedwcześnie 22 września 2014 r.

²¹⁴ Obaj zostali pracownikami Politechniki Śląskiej.

przedmiot na studiach doktoranckich! (Sam padłem ofiarą takiego podejścia). Status słuchacza (długo nieustalony, pracownik czy student?) powodował, że bywało, iż w jednostce, w której jest opiekun bywał gościem. Studia zaczęto traktować jako czas na znalezienie pracy. Ich słuchacz miał niby prowadzić zajęcia, ale realizując to zalecenie... zabierał nadgodziny pracownikom(!), więc bywało różnie. Ostatnia nowelizacja, zdejmująca ze słuchacza studiów doktoranckich obowiązek obrony pracy też nie najszcześniejsza, bo wydłuża czas do zakończenia przewodu lub w ogóle prowadzi do jego nieukończenia. Odwieczny problem skąd brać pieniądze na realizację badań. Kiedyś były granty promotorskie z KBN-u. Dziś też są granty, w których doktorant mógłby uczestniczyć, ale bagatela, promotor musi taki grant pozyskać. Podsumowując, z pewnością forma ta wymaga udoskonalenia.

Doktorat rządzi się swoimi prawami, przewód jest wieloetapowy. Pierwszy to spotkanie kandydata z potencjalnym promotorem. Bywa, że ten drugi poszukuje tego pierwszego wśród studentów. Bywa, że bierze każdego „jak leci” (byle więcej!). Bywa, że to doktorant przychodzi do promotora, i to moim zdaniem, rokuje najlepiej. Bywają też sytuacje spotkań przypadkowych, lub takie, kiedy „baronowie” przemysłu czy polityki, którym marzy się na swej wizytówce dopisać dwie literki bez kropki, zamierzają stopień załatwić. Ale o tym wspominałem przy habilitacji.

Problematyka pracy, oczywiście powinna być związana z zainteresowaniami promotora, ale dla „łowców głów” nie ma to znaczenia. Stąd późniejsze problemy, często kwitowane cytowaną już definicją doktoratu: „godzina wstępu i splendor na całe życie” (dla doktora, a promotor ma wypromowanego).

Opracowanie programu badań, to teoretycznie zadanie doktoranta, nie mniej coraz częściej spotyka się sytuacje dyktowania go przez promotora. Jest to ograniczenie inwencji i pomysłów doktoranta, choćby aparaturowych i metodologicznych, ale z pewnością przyspiesza realizację pracy, co przy „taśmowej produkcji” nie jest bez znaczenia.

Tytuł – temat²¹⁵! Coraz częściej pojawiają się tytuły nie dość, że nieprecyzyjne, to na dodatek sformułowane niezgodnie z wymogami języka polskiego.

²¹⁵ Ciekawostka, w okresie wczesnego Gierka, w publikowanej w „Polityce” rubryce „prze-czytane – zasłyszane” zacytowano najciekawszy w mej karierze temat doktoratu: *Wpływ sesji egzaminacyjnej na biologię pochwy – na przykładzie studentek środowiska wrocławskiego – podobno autentyczny.*

Z czasów, kiedy zasiadając w kolegiach mogłem roboczo uczestniczyć w ich weryfikacji zapamiętałem wiele dyskusji. I przynosiły one efekty. Również na posiedzeniach rad w różnych jednostkach nierzadko słyszało się dyskusję o temacie. W GIG-u, specjalistą od formułowania tematów był prof. Antoni Kidybiński²¹⁶. Na wydziale niezwykle miło dyskutowało mi się z najlepszym prodziekanem ds. studenckich, jakiego spotkałem, dr. inż. Janem Winzerem²¹⁷. Ze smutkiem stwierdzam, że młodzi promotorzy nie są „purystami językowymi” i do formy tematu nie przywiązują wagi. A może po prostu wiedzą lepiej!, bo trudno podejrzewać nieznaną formę języka polskiego.

Podobne problemy stwarza sformułowanie tezy i celu, elementów niezwykle istotnych dla techników. Stąd tezy bywają oczywiste i trywialne. Z czasem dochodzę do wniosku, że formułowanie ich na siłę („istnieje możliwość...” – zawsze istnieje jakaś możliwość, „określenie wpływu... na...” zawsze istnieje jakiś wpływ nawet zerowy) nie ma sensu. Często może wystarczyć jasny cel pracy. No, ale przywiązanie do tradycji nakazuje ...

Badania to oczywiście najważniejsza i najprzyjemniejsza część pracy, zwłaszcza laboratoryjne. Zawsze mówiłem moim doktorantom (znowu się powtarzam): „jeśli budząc się w nocy nie myślisz o tym jakie efekty pomiarowe przyniesie wczorajszy eksperyment nie masz co brać się za naukę”. I muszę przyznać, że na kilku się nie zawiodłem. Ale bywa różnie.

Pisanie manuskryptu. Dziś, kiedy młody człowiek nie pisał w szkole wypracowań z polskiego, nie przeczytał lektur (wystarczyły opracowania lub obejrzenie filmu), nie uczestniczył w pisaniu sprawozdań z badań, bo często praca jest pierwszym poważnym opracowaniem w życiu – bywają z tym poważ-

²¹⁶ **Prof. dr hab. inż. Antoni Kidybiński** urodził się w 1934 r. w Białymstoku. Studiował na Akademii Górniczo-Hutniczej; doktorat (1964), habilitacja (1973), tytuł prof. (1977). Pracownik Głównego Instytutu Górnictwa w Katowicach. W AGH – wykładowca geotechniki kopalnianej, w latach 1969–1985 na Wydziale Geologii. Członek Komisji Górniczej PAN, krajowych i zagranicznych organizacji naukowych. Opublikował ok. 150 prac z zakresu mechaniki górotworu, geotechniki, geologii górniczej i hydrogeologii, ogłoszonych w kraju i za granicą.

²¹⁷ **Dr inż. Jan Winzer** urodził się w 1951 r. w Krakowie. Po studiach na Wydziale Górnictwa AGH (1975) podejmuje na nim pracę. Doktorat w 2004 r. Specjalista z zakresu: górnictwa odkrywkowego, techniki strzelniczej, inżynierii środowiska, ochrony obiektów przed szkodliwym oddziaływaniem robót strzelniczych, zastosowania programów komputerowych do wspomagania projektowania robót strzałowych z uwzględnieniem ochrony obiektów w otoczeniu. Prodziekan Wydziału w latach 2008–2014.

ne kłopoty. Są różne szkoły. Ja preferuję otrzymanie manuskryptu w całości, choćby topornego i z lukami. Czytając i poprawiając (a staram się to robić szybko) przynajmniej wiem co gdzie jest, a czego brakuje. I tak kolejnymi przybliżeniami (mój rekord 4 czytania). Na koniec zawsze zachęcam: „daj manuskrypt do przeczytania znajomemu poloniście albo zapłać nieznajomemu i spytaj czy wie, o czym piszesz”.

Egzaminy, albo z programu studiów, albo wyznaczone. Obie formy niby przed komisją, ale ta pierwsza bardziej formalnie. W przypadku wyznaczonych – etap pierwszy to wizyta u egzaminatora i ustalanie „zakresu” (oczywiście doktorant liczy na podanie pytań). Ja zwykle ustalałem go tak, że faktycznie podaję jasno sprecyzowane problemy wiodące, sugerujące pytania. Egzamin jest dla mnie ważnym sprawdzianem nie tylko wiedzy, ale i okazją do poznania kultury osobistej doktoranta, w końcu „kandydata na kolegę”. I kiedyś przeżyłem szok. Egzaminujący (zięć prominenta z Wydziału) na egzaminie pojawił się w swetrze. Spojrzałem na promotora, nie zareagował, więc i ja też, by z kolei jego nie stawiać w trudnej sytuacji. Bywało i tak, ale to był na szczęście przypadek odosobniony.

Przygotowania do obrony mają dwa skrajne scenariusze. Pierwszy, to „puszczenie na żywioł”, drugi, obrona sterowana. To drugie kiedyś tylko poprzez rozdanie przyjaznym karteczek z pytaniem (dobrze jak ich nie czytają) – w czasach moich profesorów nie do pomyślenia. Ale dziś bywa jeszcze gorzej. Pamiętam, broni „baron” z przemysłu, co to na wizytówkę potrzebuje dwie literki bez kropki. Dziekan (zaangażowany!) stosuje wariant: najpierw wszystkie pytania (recenzentów i z sali), potem hurtem odpowiedzi. W trakcie odpowiedzi (odczytania) recenzentom, protokolant (znawca problematyki) poci się z pośpiechu pisząc zaciekle. Doktorant skończywszy odczytywanie odpowiedzi na pytania recenzentów bierze od protokolanta kartki, z komentarzem: „to są spisane pytania z sali”, udaje, że czyta pytanie, potem wolno rozwija tekst z kartki. Nikt nie reaguje (w tym ja, bo kolega jest promotorem).

Przedostatni akt, dyskusja i obrady komisji (to dziś powszechne, że broni się nie przed radą a przed komisją). Po latach udało mi się wywalczyć (jednostkowo), że sam akt oddania głosu odbywa się nie przy wspólnym stole (z jednej strony siedzi i patrzy na ręce promotor, z drugiej życzliwy recenzent), ale przy bocznym stoliku gdzie można nieskrępowanie zakreślić decyzję zgodną z poglądem. Ale jakoś dziwnie, coraz rzadziej jestem w komisji, a recenzję w ostatnich latach wykonałem tylko jedną.

Oblewanie szczęśliwego zakończenia przewodu, dziś dość huczne i powszechne, wzbudza we mnie zawsze dylemat. Czy ktoś, kto głosował przeciw może iść i wznosić toast z gratulacjami?

Skoro o doktoratach to wypadałoby napisać o moich wychowankach. Miałem ich 10. Jak to zwykle bywa byli wśród nich doskonali (wymienię tylko Bronka Gaja, Zbyszka Piotrowskiego i Alę Uliasz), normalni i słabi (tych oczywiście nie będę „piętnował”). O Zbyszku Piotrowskim, nieodżałowanym przyjacielu pisałem.

Bronek Gaj, mój pierwszy „wychowanek” i dziś przyjaciel – wtedy dyrektor KWK „Jan Kanty”, z dużymi ambicjami, trafił na „młodego” habilitowanego, również z ambicjami. Od czasu mojego doktoratu, później ważnej dla mnie „zaocznej” dyskusji z profesorem S. Knothe o tworzeniu się stropowej niecki osiadania, przy eksploatacji z podsadzką hydrauliczną, chodził za mną temat korelacji pomiędzy jej wielkością a wielkością niecki powierzchniowej. Na dodatek, niejako przy okazji, pojawiła się możliwość pomiaru ciśnienia w podsadźce. Opracowaliśmy ambitny plan, w ramach, którego Bronek znalazł ścianę w rejonie gdzie nie prowadzono wcześniej eksploatacji, zaprojektował konwergometrię, poduszki do pomiaru ciśnienia w podsadźce, program pomiarów geodezyjnych. Tu częściowo korzystałem z moich doświadczeń z badań w doktoracie w KWK „Jaworzno”. Zlecił przeprowadzenie modelowania numerycznego by porównać praktykę z teorią. Uzyskane wyniki (opublikowane w Archiwum Górnictwa) uważam za najbardziej oryginalne. Niestety, przypadły na czas odchodzenia od podsadzki i nie znalazły szerszego zainteresowania.

Dr hab. inż. Alicja Uliasz-Bocheńczyk była moją pierwszą doktorantką, słuchaczką studiów. Absolwentka ceramiki, rekomendowana przez prof. J. Wacławikę, zajęła się wpływem dodatków i domieszek na właściwości zawiesin popiołowych. Zrobiła niezwykle solidną pracę ślęcząc godzinami w laboratorium. Podejmując pracę w instytucie PAN-owskim współpracowała z nami, aż po zrobieniu habilitacji wróciła na Uczelnię. Z pewnością, po śmierci Zbyszka, jest moim najlepszym „Produktem”. Mam nadzieję dożyć jej profesury.

Prowadziłem dwie prace na Wydziale Geodezji Górniczej i Inżynierii Środowiska. Jedną (z oddziaływania na wody podziemne lokowanych w zrobach odpadów), słuchacza ich studiów doktoranckich (dr inż. Maciej Guliński), drugą dr inż. Ewy Lipińskiej, pracownika mej drugiej Uczelni (PWSZ Krosno), pełniącej później funkcję wojewódzkiego inspektora ochrony środowiska w Rzeszo-

wie. Z jej pracą był pewien problem, bo sytuowana w dyscyplinie „inżynieria środowiska” opierała się o studia nad dokumentami i badania ankietowe. Dotyczyła stanu przygotowania kadr gmin do przyjęcia ustawodawstwa i rozwiązań obowiązujących z zakresu gospodarki odpadami w UE. Dla techników – członków Rady Wydziału, była trudna do przełknięcia.

Oprócz dr. B. Gaja doktoraty „z przemysłu” zrobili u mnie również jeszcze dwaj inni inżynierowie. Pierwszym był mój kolega ze studiów dr inż. Henryk Pawełczyk, wieloletni pracownik (naczelný inżynier) KWK „Katowice” i miłośnik ziemi tyskiej (pięknie o niej pisze). Kiedyś, przyjechał do mnie i mówi: „wiesz, chcę pisać u ciebie doktorat”! Pytam: „z czego”? „Z tupań” – odpowiada. „Ale ja się na tym nie znam” – mówię. „Nie szkodzi, ja się znam, a ty tylko przypilnujesz, żeby praca była formalnie napisana jak trzeba. Powiedzieli mi, że na pewno tę robotę zrobisz dobrze” – usłyszałem. I się zaczęło. Pierwszy egzemplarz liczył prawie 300 stron. Było w nim, oprócz Henia oryginalnych pomysłów na sposób analizy zjawisk, wiele innych, ważnych jego zdaniem, zagadnień. Straciłem dwa tygodnie istotnie manuskrypt skracając. Znacznie trudniejszym było przekonanie Henia, że tak jest z korzyścią dla pracy. Aby być pewnym, że wspólnie nie walnęliśmy głupstwa (a w pracy były bardzo oryginalne pomysły) na recenzentów zaproponowałem dwóch (wtedy) najlepszych specjalistów z geomechaniki i tupań profesorów Józefa Dubińskiego i Henryka Filcka. Wszystko skończyło się pomyślnie, a fragmenty swej pracy świeżo upieczony doktor opublikował w wydawnictwach GIG-u.

Kolejnym był, z kolei kolega z roku A. Tajdusia – wtedy dyrektor KWK „Marcel” – dr inż. Jan Materzok. Naturalnym promotorem powinien być Antek (prowadził grant dotyczący wybierania resztek, a więc ściśle związany z tematem pracy), ale z racji, iż był dziekanem, pracę zlecił mnie. Gdyby wtedy istniała funkcja „promotora pomocniczego”, to taką rolę pełniłby ktoś z zespołu Antka.

Podobnym przykładem była praca dr inż. Zbigniewa Raka dotycząca kotwi, w dużej mierze kierowana przez dr inż. Michała Stopyrę (znowu nie było „promotora pomocniczego”). Nie mogąc być promotorem prosił o przejęcie tej roli przeze mnie. Zbyszek, będąc członkiem zespołu dr. Stopyry od początku wdrażania kotwi do kopalń węgla, do tego tematu był świetnie przygotowany. Zbudowane laboratorium pozwoliło zrealizować badania w tej skali, resztę dopełniły badania techniczne.

Ostatnim doktorem był Waldemar Kępyś. Przeszliśmy obaj do historii Wydziału, gdyż był to pierwszy przewód doktorski zrealizowany z dyscypliny inżynieria środowiska. Drugim pamiętnym dla mnie faktem była recenzja prof. dr hab. Czesławy Rosik-Dulewskiej²¹⁸, w której ni mniej ni więcej napisała, że praca spełnia wymogi pracy habilitacyjnej lub dwóch doktoratów. Powiedziałem jej skromnie, że poziom dysertacji „tylko” odpowiada poziomowi prac na Wydziale Górniczym AGH! Ale było mi miło!

²¹⁸ Wybitna specjalistka z inżynierii środowiska. Autorka „kultowego” podręcznika z gospodarki odpadami (6 wydań). Profesor w Instytucie Podstaw Ochrony Środowiska i Uniwersytecie Opolskim. Spotkaliśmy się wiele lat temu na jakiejś konferencji. Potem wspólnie uczestniczyliśmy w pracach kilku gremiów doradczych. Za jej sprawą zostałem wybrany członkiem Komitetu Inżynierii Środowiska PAN. Żona dr. Jana Dulewskiego, kiedyś dyrektora Departamentu Ochrony Środowiska WUG, wybitnego fachowca z zakresu zagospodarowania odpadów wydobywczych. Wspaniali przyjaciele!

Recenzowanie

Recenzowanie jest obowiązkiem naukowca – to truizm! Ale recenzowanie ma tyle odcieni i rangi. Od pracy dyplomowej po tytuł profesorski. Twierdzenie, że recenzje powinno się pisać będąc kompetentnym w temacie to oczywistość. Podobnie, że nie może być „grzecznościową” a merytoryczną. Ale w życiu bywa różnie.

Spośród moich licznych recenzji kilka pamiętam szczególnie. Pierwszą był doktorat prowadzony w GIG-u przez prof. J. Palarskiego. Dotyczył badań przepływów mieszaniny podsadzkowej w instalacji badawczej. Zagadnienie znane, ale w szczegółach musiałem skorzystać z konsultacji u kolegów hydromechaników. Przeczytanie, zrozumienie i podejście krytyczne to jedno, drugie, to forma recenzji. Tej uczyłem się studiując recenzje jeszcze z mego doktoratu. Studiowałem również pilnie, co o recenzji jest napisane w ustawie i rozporządzeniach. Potem było już lepiej!

Z innych szczególnie zapamiętanych recenzji wymienię przede wszystkim pewien doktorat. Z uwagi na fakt osobistej, towarzyskiej znajomości doktora – przedsiębiorcy – nie chciałem się tego podjąć. Decyzja zapadła podczas mojej nieobecności na radzie, więc recenzować musiałem. Otrzymałszy manuskrypt stwierdziłem, że jest on bardziej cudzym „sprawozdaniem z badań” niż tekstem pracy. Skorzystałem więc z możliwości, jakie dawały wtedy przepisy i zwróciłem się z wnioskiem o „uzupełnienie i poprawienie rozprawy”. I zaczęło się – najpierw niezadowolony promotor, potem wizyta samego zain-

teresowanego. Siada naprzeciw i wkładając rękę do kieszeni marynarki mówi: „myślę, że się jakoś dogadamy”. Widząc rąbek koperty, podnosząc głos mówię: „po pierwsze schowaj to, co wyciągasz, bo zawołam sekretarkę na świadka, po drugie, oczywiście się dogadamy jeśli poprawicie to o co wniosłem”. Wiedziałem, że w owym poprawianiu ma mu kto udzielić pomocy(!) Po kilku tygodniach dostałem pracę zupełnie przekonstruowaną, dla której mogłem z formalnie czystym sumieniem przygotować pozytywną recenzję. Do dziś jednak nurtuje mnie pytanie – na ile zostałem wyceniony?

Drugi przypadek, jaki mam na sumieniu to sprawa recenzji profesorskiej. Otrzymuję z CK dokumenty osoby z zagadnień, którymi się nigdy nie zajmowałem. Dzwonię do „prominentnego” członka tego gremium i pytam, co robić? „CK się nie odmawia” – słyszę w odpowiedzi. Kilka dni później dzwoni przeznaczny starszy profesor i mówi: „panie kolego! Być może dostanie pan do recenzji dorobek pana XY, ja go bardzo wysoko oceniam i gdyby miał pan jakieś pytania służę konsultacjami”. I co, trzeba się było zabrać. Nagadałem się z kolegą, który znał i dorobek i osobę i dzięki niemu recenzja była merytoryczna.

Trzeci – recenzuję doktorat i studiując manuskrypt zauważam, że praca była wcześniej publikowana w częściach. Publikacje, oprócz doktoranta mają jednego, dwóch współautorów. W recenzji zaznaczam ten fakt i stawiam stwierdzenia niejako warunkowe. Doktorant ma złożyć oświadczenie potwierdzone przez współautorów, że to on jest autorem pomysłu i interpretatorem wyników badań. Oświadczenie się pojawia, praca idzie do obrony.

To trzy przypadki, dla mnie najtrudniejsze. Dziś, gdy dyżurni, usłudni recenzenci, nawet powoływani przez CK seryjnie recenzują tematykę „jak leci”, pewno nie powinienem mieć skrupułów.

Miałem tych recenzji kilkadziesiąt, najwięcej w przewodach doktorskich. Generalnie się ich nie wstydzę. Sądzę, że nie były one z serii grzecznościowych. Wytykałem różne rzeczy, ale uwagi krytyczne nie przeważały i końcowy wniosek, formułowany zgodnie z przekonaniem był pozytywny.

Inaczej bywało z recenzjami wydawniczymi. W tych nie stroniłem od ocen negatywnych, zwłaszcza w okresie, kiedy pracowników zaczęto rozliczać z ilości publikacji. Najbardziej kuriozalny przypadek dotyczył artykułu, w którym autor skompilował fragmenty kilku prac sprzed 30 lat. A ja je znałem. Powód pewno był taki, że (raz jeszcze powtarzam za prof. B. Neyem) „dzisiaj młodzież musi tyle pisać, iż nie ma czasu czytać”.

Recenzowanie w niepisanej formie to każdy udział w pracach gremiów, w których podejmuje się decyzje personalne, czy to na stopień lub tytuł, czy na stanowisko. Z mocy prawa mogą one (często obligatoryjnie powinny) być decyzjami tajnymi. I tutaj, choć tajnie, stoczyłem z sobą największą bitwę. Byłem przewodniczącym w komisji przygotowującej stanowisko Rady w sprawie tytułu swego przyjaciela. Wypuszczony (czy też wprowadzony w błąd) przez innych złożył wniosek z bardzo problematyczną książką profesorską. Skład komisji był taki, że mój głos przeważał. Podjąłem decyzję o wstrzymaniu się (a więc faktycznie na nie). Sprawa nie wyszła poza komisję. Do dzisiaj jednak mam rozterki, czy lepiej było sprawę dopychać kolanem (może dzięki układom była szansa). A gdyby padła?! Jedno jest pewne, przyjaciel jakby stał się przyjacielem mniejszym i jestem przekonany, że ma do mnie uraz.

Ale można i inaczej, pewien redaktor wydawnictwa dość wysoko punktowanego, otrzymawszy nasz artykuł, którego byłem współautorem... wstawił nam do niego rozdział, nie wchodząc do zespołu autorskiego(!) Dowiedzieliśmy się o tym, gdy publikacja się ukazała. Po co, ano po to by zacytować kilka-ście swoich pozycji! Tak to recenzując poprawia się sobie Hirscha! Dalszych losów wymiany korespondencji z tym koryfeuszem nauki nie będę przytaczał. Przestałem tylko bywać w gremiach, w których on zasiadał. Jak widać recenzowanie niejedno ma imię.

Wieloletowość

(...) dla wybranych istniała od zawsze. Posiadanie etatu „konsultanta” w przedsiębiorstwie czy „drugiego etatu” w instytucie PAN-owskim było jednak przywilejem niewielu. O profitach płynących zwłaszcza z pierwszego opowiadano legendy! Prawdziwa wieloletowość dla pracowników szkół wyższych wybuchła jednak dopiero wtedy, kiedy jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać uczelnie prywatne. A było to od połowy lat 90. ubiegłego wieku. Wszystko za sprawą tzw. minimum kadrowego (tworzyła go określona liczba doktorów habilitowanych lub profesorów i doktorów zatrudnionych na etacie w jednostce), wymaganego do uruchomienia kierunku studiów.

Wieloletowość „dopadła” i mnie. Ale od początku. Jednym z pomysłów ministra prof. M. Handkego na ożywienie mniejszych miast, zwłaszcza tych, które w wyniku reformy straciły status miast wojewódzkich, a pewno i jako sposób na odroczenie w czasie bezrobocia, było utworzenie w nich wyższych szkół państwowych (PWSZ). Spotkało to i Krosno, w którym w tworzenie szkoły, na mocy porozumienia z AGH, miejscowe władze zaangażowały prof. A. Goneta²¹⁹. Ten, pochodząc z tego miasteczka, powołany na stanowisko prorektora, zainicjował tworzenie w przekształcanym w PWSZ kolegium języko-

²¹⁹ **Prof. dr hab. inż. Andrzej Gonet** urodził się w 1951 r. w Krośnie. Studia na Wydziale Wiertnictwa Nafty i Gazu (1975), doktorat (1980), habilitacja (1989), tytuł profesora (1998). Specjalista z zakresu wiertnictwa, eksploatacji złóż. W latach 1987–1988 prodziekan, w latach 1996–1999 i 2008–2016 dziekan WWNiG. W latach 1999–2000 prorektor, natomiast w latach 2000–2004 rektor Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Krośnie.

wym studiów technicznych. Rozbudował je w okresie pełnienia funkcji rektorskich. Kiedy powołano studia na kierunku: kształtowanie środowiska, zaproponował mi pracę na część etatu. Jeżdżąc do siebie na wieś (do Siepietnicy, około 40 km od Krosna), propozycja ta bardzo mi odpowiadała. Zaczęłem wykładać elementy ochrony środowiska, a potem gospodarkę odpadami. Kiedy kierunek przyporządkowano inżynierii środowiska (2005) przeszedłem na pełny etat. Były to czasy, kiedy nie trzeba było mieć zgody na dodatkową pracę, później należało fakt ten zgłosić. Równocześnie stan prawny niewymagający udokumentowanego pobytu w Uczelni poza godzinami dydaktycznymi spowodował, że wieloletowość nie sprawiała problemów. Nic dziwnego, że rekordziści (podobno) osiągnęli 6 etatów. Sam znam takiego, który miał 4. Pojawił się problem lojalności wobec Uczelni macierzystej, jeśli chodzi o upowszechnianie jej osiągnięć (np. programów nauczania, konspektów itp.). Uczelnie publiczne podjęły działania by ten stan zmienić. W efekcie w ustawie z 2011 r. pojawił się zapis o konieczności uzyskania zgody rektora na dodatkową pracę.

W przypadku Krosna problem skomplikował się dodatkowo. Kiedy obejmujący stanowisko rektora po prof. A. Gonecie, pracownik UJ, polonista, prof. J. Gruchała, w drugiej swojej kadencji nie zaproponował na stanowisko swego zastępcy nikogo z pracowników AGH (było pomiędzy UJ a AGH „niepisane” porozumienie, że jeśli rektorem jest pracownik jednej z nich, to prorektorem z drugiej). Rektor A. Tajduś się zdenerwował i umowę o współpracy wypowiedział. Byłem wtedy pełnomocnikiem ze strony AGH ds. współpracy z PWSZ i swą funkcję straciłem. Jakimś cudem udało mi się uzyskać przedłużenie zgody na pracę, choć „Antoś” był na dobre wkurzony. Sytuacja wróciła do stanu poprzedniego, kiedy w Krośnie rektorem został prof. G. Przebinda, a w AGH prof. T. Słomka. Umowa została podpisana ponownie. Może dlatego, że prorektorem został nasz wychowanek, wiertnik, dr inż. Stanisław Rymar.

Problem wieloletowości zaczął narastać z chwilą, kiedy uczelniom w oczy zajął niż demograficzny. Rektorzy wielu szkół podjęli działania by ją skutecznie utrudnić. Najpierw podjęto próbę spisywania aneksu do umowy o pracę, zastrzegającego wyłączność jej świadczenia w miejscu podstawowym. Umowa oparta była o wzory z korporacji zakazującej pracę w jednostkach konkurencyjnych. Gdy ten sposób okazał się „nieprawny”, niektórzy rektorzy przestali udzielać zgód. I dziwne, nikt z tych, którzy jej nie uzyskali nie weszli na drogę prawną, która (mając na względzie zapisy ustawowe) byłaby pewno skuteczna. Inni,

w ich gronie i nasz, przyjęli zasadę, że nie wyrażają zgody na prace w uczelniach, z którymi nie ma porozumienia o współpracy, a takowych nie podpisywano głównie z uczelniami prywatnymi. Dodatkowo, w AGH, zgodę dostają tylko ci, których okresowa ocena okresowa wynosi, co najmniej 4,5. Wydawana jest ona na okres jednego roku, co również jest niezgodne z ustawą, która rekomenduje przyznawanie jej na całą kadencję.

Wobec tej „ciuciubabki”, to władza (minister) powinna jednoznacznie zająć stanowisko w sprawie państwowych uczelni zawodowych. Powszechnie wiadomo, że bez dwuetałowców są skazane na zagładę (o ile wcześniej nie wykończy ich niż demograficzny). Jeśli „interes społeczny” wymaga dalszego ich utrzymywania, to sprawę należy rozwiązać jednoznacznie (propozycja dalej).

Po co pracownikowi wieloletowość? – dla pieniędzy! Kiedy w 2001 r. podejmowałem pracę na 1/3 etatu zarabiałem 335 \$. Przechodząc w 2004 r. na pełny etat uzyskałem pensję 1000 \$. Aktualnie (2015) moja pensja profesora zwyczajnego w PWSZ wynosi 1500 \$.

Dla porządku historycznego cofnijmy się. System pracy w szkolnictwie w okresie „słusznie minionym”, generalnie nie zezwalał na dodatkowe zarobki. Każdemu po równo (na niskim poziomie), gratyfikacje różnego rodzaju (etat konsultanta, talon na samochód) – o czym wspominałem, rozdawano „za zasługi”. Pewne poluzowanie od czasów Gierka tylko rozbudziło apetyty. Nic dziwnego, że kiedy pojawiły się nowe możliwości, wieloletowość wybuchła. Ma kilka wariantów.

Własna firma (bez formalnego etatu – praca na zlecenie) – robię to, co na Uczelni, tylko (na ogół) zyskami nie dzielę się z nią, czyli jednostką, która jest właścicielem aparatury, pomieszczeń, mediów. Pisałem już o tym i powtórzę, ewidentne nadużycie. Można założyć firmę niezależną, której właścicielem jest pracownik (patrz AGH-owski przykład Comarch-u) i podjąć w niej pracę, równocześnie przestając pracować w AGH, ale wtedy kończy się wieloletowość. Bywa, że pojawi się firma („spin off”) o dwóch kapitałach założycielskich, prywatnym (pracownika) i Uczelni. Tu już większy problem, bo życie uczy, iż w takim przypadku stosunkowo prosto można transferować zyski głównie do udziałowca prywatnego. Wszystko zatem znowu oparte na uczciwości.

Praca w innej jednostce badawczej. Po wojnie są nią Zakłady Badawcze. Po ich likwidacji, z czasem, po pojawieniu się instytutów badawczych PAN i JBR-ów, możliwości takie wracają. Obejmują jednak nielicznych i dodatkową pracę

w niepełnym wymiarze czasu. Zdarza się też zostać konsultantem w przemyśle czy ministerstwie. To dotyczy nielicznych wybranych. Dziś, wobec „nienormowanego czasu pracy” w Uczelni forma ta się rozrasta. Trudno jednoznacznie dokonać jej oceny. Bezsprzecznie sprzyja współpracy jednostek, ale w dobie przeliczeń na punkty wszystkiego stwarza kłopoty z ich przypisaniem. Komu, ile – to podstawowe pytanie nurtujące pracownika w okresie ocen. Nie da się afiliować publikację autorowi do dwóch jednostek.

Jak zawsze, tak i w przypadku wieloletowości są równi i równiejsi. Ci drudzy to, głównie prawnicy i lekarze, którzy bez problemu podejmując działalność gospodarczą (kancelarie, gabinety), muszą o tym zawiadomić tylko rektora. Ich lobby zagwarantowało to sobie w ustawie. W podobnej sytuacji są ci, którzy podejmują działalność niezwiązaną z nauką.

Słyszę, że są i tacy pracownicy, którzy bez potrzebnej zgody prowadzą inne biznesy.

Ale wróćmy do mojej dwuletowości. Przyglądając się jej, prowadzonej bez mała przez 15 lat w PWSZ-cie, z pewnością jestem w stanie wyliczyć jej wartość finansową, niebagatelną dla budżetu rodzinnego. Czy w obu pracach spełniałem swe obowiązki (dydaktyczne, bo naukowych w szkołach zawodowych nie ma)? Formalnie (choćby w oparciu o dokonywane oceny) tak, ale...! Z pewnością obustronnie przenosiłem doświadczenia dydaktyczne, w szczególności, prowadząc zbliżone przedmioty. Do (trochę jednak „szkółki”) krośnieńskiej wnosiłem zwyczajnie akademickie. Myślę, że uczciwie zarabiałem na pobieraną pensję. Ale przede wszystkim myślę, że pracując w niej uczestniczyłem (nie boję się użyć sformułowania patetycznego) w spełnianiu jej misji. Z moich prywatnych badań socjologicznych wynika bowiem, że gdyby takiej szkoły nie było, to nawet 80% jej studentów poprzestałoby na wykształceniu średnim. A wśród studentów były osoby bardzo wartościowe. Nie stać ich na studia w dużym ośrodku akademickim. Również miasto („miasteczko”) zyskało okazję do goszczenia na licznych imprezach popularnonaukowych i kulturalnych ludzi z nazwiskami, ściągniętych przez zamiejscową, drugoletową kadrę szkoły. Powstała z prawdziwego zdarzenia biblioteka naukowa, laboratoria świadczące usługi dla regionu. Część zdolnych, „miejscowych”, zyskała możliwość robienia doktoratu (sam prowadziłem jeden). *Per saldo*, w szczególności z punktu widzenia społecznego, państwowe szkoły zawodowe spełniają (choć chyba ta formuła jest już na wyczerpaniu, powinna ją zastąpić koncepcja ośrodków współpracujących z akade-

micką uczelnią „matką”) swą rolę aktywizacji ośrodków mniejszych. Oczywiście wiele by pisać o ich wadach, ale te wychodzą poza te ramy.

Wspomniałem, że w ramach wieloletowości bez zgody Uczelni można założyć własną firmę. Ta przypadłość dopadła i mnie. W 1984 r. Zbyszek Piotrowski zagaił: „czy wiesz, że w oparciu o przedwojenne prawo spółek możemy założyć taką i wtedy w zleconych nie musimy być pod kontrolą dyrektora, a na dodatek nie będziemy płacić uczelni narzutu”. Zorientowałem się, że pomysł nie jest Zbyszka, ale moje wejście do niego zawdzięczam jemu. Okazało się, że głównymi pomysłodawcami są pracownicy Instytutu, którzy wcześniej założyli spółdzielnię („Ekspert”), a to Tadeusz Piotrowski i Jan Konopka. Tak więc było nas czterech. Prezesem został Zbyszek, a księgową wynajęliśmy z grona znajomych kolegów (jedyna płatna część etatu). Siedzibę (wtedy ul. Manifestu Lipcowego, dziś Piłsudskiego) – mały pokój w oficynie z wejściem z klatki schodowej, również ktoś znalazł. Pojawił się problem nazwy, ktoś zaproponował „Wdrożenia, Rozwój, Opinie, Nauka”, ale skrót (WRON) nie zyskał akceptacji. Pojawiło się Przedsiębiorstwo wdrażania nowych technologii TECHNOLOG. I rozpoczęliśmy wszelaką działalność, która przynosiła dochody. Łącznie z płukaniem instalacji „c.o.” i izolowaniem poziomym ekranem zawilgoconych fundamentów. Dla nas „naukowców”, oczywiście najważniejszym były ekspertyzy. A że sezon popiołowy zaczął się na dobre, nie narzekaliśmy na ich brak. Nawet wtedy, kiedy weszły przetargi (przedawnienie!!!) kontroferty o wyższych cenach załatwialiśmy bez trudu z (ogólnie) „innych jednostek”. Po kilku latach skład udziałowców, drogą sprzedaży akcji, uległ zmianie. Przez pewien czas byłem wiceprezesem i to właśnie wtedy nowy prezes (mgr Janusz Lenik, spoza Uczelni), otwierając w ramach firmy zakład kserograficzny dla córki (os. Dywizjonu 303) krzyczał na cały głos (byliśmy jeszcze na „pan”): „Panie profesorze, niech pan przyniesie szmatę, bo coś się rozlało i trzeba wytrzeć”. Nie wiem, czy reklama w postaci tak wysokokwalifikowanego personelu przysporzyła punktowi (w holu dużego sklepu) klientów. Realizując prace, badania oczywiście wykonywaliśmy w laboratoriach AGH – zawsze zawieraliśmy z Uczelnią umowę na korzystanie z aparatury i mediów. Kiedy w Uczelni powstała fundacja nasza spółka z o.o. przestała być atrakcyjną.

Na zakończenie „wieloletowości” historia z młodości. Jesteśmy z Jackiem Postawą dopiero co po doktoratach. Wpadam rano do pokoju techników (może

się uda rozegrać małą partię cymbergaja) a Jacek Malski – technik, którego żona pracuje w urzędzie miasta, w dziale socjalnym, mówi: „słuchaj, Baśka ma akcję ziemniaczaną²²⁰ i szuka dwóch studentów na trzy dni”. „Ile płaci” – pytam, „5 zł od worka za załadowanie samochodu i rozniesienie”. Idę do Jacka Postawy i pytam, kiedy możemy się spotkać ze studentami z koła naukowego by im to zaproponować. Jacek słysząc w czym rzecz, mówi: „głupi, tyle forsy, jedziemy”. Tak (bez drugiego zatrudnienia) na 3 dni zająłem się pracą fizyczną i zarobiłem tyle ile w dwa tygodnie pracując jako adiunkt. Ale to nie koniec. Na jakimś osiedlu znosimy worki na plecach, idzie babcia z wnukiem i mówi do niego: „popatrz, jak się nie będziesz uczył to będziesz tak ciężko pracował jak ci panowie”. Mało z wrażenia nie puściłem worka z pleców! Tak to się też zarabiałoby niekoniecznie poprzez wieloletowość.

²²⁰ Wyjaśniam, władza ludowa w trosce o pracownika załatwiała mu na zimę ziemniaki. Dział socjalny zbierał zamówienia, kupował (taniej niż by kosztowały w sklepie) i organizował rozwożenie po mieszkaniach. „Fizyczny” – wynajęty niezgodnie z zasadami gospodarki socjalistycznej, bo bez umowy, opłacany „do ręki”, bez podatku, znosił je zamawiającemu do piwnicy.

Szefowie

Szefów miałem wielu. O pierwszych (docenci: S. Ropski, R. Stecko, profesorowie: Z. Maciejasz, J. Roszkowski) pisałem. Teraz o innych, w sposób bardziej usystematyzowany.

Rektorzy

Pierwszym rektorem okresu studiów był przedwojenny absolwent AG, prof. Kiejstut Žemajtis (1964–1969), uważany za zdolnego inżyniera metalurga, z funkcji ministra skierowanego przez PZPR (był członkiem KC) do pracy naukowej. Rozpoczął rozbudowę Uczelni, w tym miasteczka studenckiego. W okresie „Marca 1968” zachował się bardzo przyzwoicie, za co chyba utracił funkcję.

Drugim, o podobnym rodowodzie politycznym był prof. Jan Anioła (1969–1972), mechanik, zajmujący się maszynami hutniczymi, posłusznie administrujący Uczelnią. Na stołek profesorski awansował z budowniczego Huty Lenina. Pod jego kierownictwem Uczelnia przeszła okres „Grudnia 1970”, z dyżurami pracowników w akademikach, składaniu przez nich meldunków do komitetu uczelnianego. Studenci pamiętający lanie z 1968 r. nie sprawiali władzy kłopotu.

Trzecim i piątym – postać większego formatu, absolwent AGH, geolog naftowy, prof. dr hab. inż. Roman Ney (1972–1975 i 1979–1981). Oczywiście czło-

nek PZPR, a nawet sekretarz KC i z ramienia partii poseł na sejm kontraktowy. W przerwie był wiceministrem w resorcie nauki i szkolnictwa wyższego. Mam nadzieję, że nie z powodów pozamerytorycznych, bez trudu został członkiem PAN. Twórca krakowskiego Instytutu Gospodarki Surowcami Mineralnymi i Energią, w którym wielu pracowników AGH (w pierwszym okresie z „prawidłowym kręgosłupem”) było na drugich etatach. Po okresie rektorowania w AGH prowadził niezwykle bogatą działalność w wyższych szkołach prywatnych. Pewnym zdziwieniem dla „starej kadry” było uhonorowanie go doktoratem honoris causa w macierzystej Uczelni (2005) i przyjęcie w poczet członków PAU.

Czwartym, rektorem górnikiem, również z nominacji PZPR, ale w znacznie mniejszym stopniu zaangażowanym w jej działalność był prof. dr hab. inż. Henryk Filcek (1975–1979), opisywany wcześniej. Uczelnia zawdzięcza mu przywrócenie posągów przed gmachem głównym²²¹ i budowę budynku, zwanego dzisiaj TAWO.

Pierwszym rektorem z wyboru był **prof. dr hab. inż. Antoni Kleczkowski** (1981–1987). Studiował w AGH oraz na UJ. W 1950 r. uzyskał dyplom mgr inż. geologa w Akademii, a w 1951 r. dyplom mgr filozofii z zakresu geologii i paleontologii na UJ. Doktor AGH – 1958, doktor habilitowany – 1963, prof. (tytuł) – 1972, prof. zwyczajny (tytuł) – 1979. Jeszcze w czasie studiów, podjął pracę w AGH, najpierw na Wydziale Górniczym, potem na Wydziale Geologiczno-Poszukiwawczym. Równocześnie, w latach 1955–1956 prowadził zajęcia z geologii technicznej dla geologów na Uniwersytecie Wrocławskim. W latach 1958–1960 pracował jako specjalista i kierownik polskiej grupy geologicznej w Chińskiej Republice Ludowej, prowadząc prace z zakresu hydrogeologii i geologii inżynierskiej. W 1965 r. został kierownikiem Zakładu Hydrogeologii Kopalnianej w Katedrze Geologii Kopalnianej AGH, a w 1967 r. objął kierownictwo nowo utworzonej Katedry Hydrogeologii. W latach 1969–1981 pełnił obowiązki zastępcy dyrektora i dyrektora Instytutu Hydrogeologii i Geologii Inżynierskiej. W 1992 r. przeszedł na emeryturę. Członek PAN i PAU oraz towarzystw nau-

²²¹ Figury autorstwa Jana Reszke, wykonane ze specjalnego betonu, postawiono przed wojną. W 1954 r., decyzją komunistów zostały usunięte, chyba pod pretekstem, że są zniszczone, a prawdopodobnie nie dość pasowały do socrealizmu. Ich rekonstrukcję wykonał Jan Siek. Na swoje miejsce, jako odlewy, wróciły w 1979 r.

kowych polskich i zagranicznych. Przewodniczący Państwowej Rady Ochrony Środowiska. Był autorem ok. 400 prac z zakresu hydrogeologii, geologii, ochrony środowiska. Wypromował 15 doktorów, z których 8 uzyskało habilitację, a 8 profesurę (pracujących w Polsce, Niemczech, Meksyku, Wietnamie). W 1987 r. otrzymał tytuł doktora honoris causa Ecole Polytechnique de Mons (Belgia), a w 1994 r. tytuł doktora honoris causa AGH. Autentyczny naukowiec, mile wspomniany przez pracowników i absolwentów. Przeprowadził Uczelnię przez mroczne czasy stanu wojennego. Wielu uchronił od represji politycznych. Przywrócił Uczelni witraż św. Barbary. Profesor wielkiego formatu, erudyta, historyk dziejów AGH, technik – humanista.

Drugim rektorem z wyboru był **prof. dr hab. inż. Jan Janowski** (1987–1993). W 1952 r. ukończył studia w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Kolejno uzyskał doktorat (1963), habilitację (1968), tytuł prof. nadzw. (1972), tytuł prof. zw. (1978). Doktor honoris causa AGH (1997). W latach 1972–1978 sprawował funkcję dziekana Wydziału Metalurgii i Inżynierii Materiałowej, był jednocześnie dyrektorem Instytutu Metalurgii (1975–1978), następnie zaś prorektorem AGH (1978–1981) i kierownikiem Zakładu Wielkopieczownictwa Instytutu Metalurgii (1980–1987). Był wybitnym działaczem faszystowskiej partii PRL-u – Stronnictwa Demokratycznego. Z jego nominacji wykonywał mandat posła na Sejm PRL VII, VIII i IX kadencji oraz sprawował wiele funkcji w administracji krakowskiej. W 1982 r. jako jeden z pięciu posłów SD opowiedział się przeciwko prawu zakładającemu likwidację NSZZ „Solidarność”. W 1989 r. wziął udział w obradach Okrągłego Stołu. W tym samym roku został wybrany na posła SD z poparciem NSZZ „Solidarność”. Od 1989 do 1990 r. zajmował stanowisko wicepremiera oraz ministra – kierownika Urzędu Postępu Naukowo-Technicznego i Wdrożeń, w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, tworząc fundament pod przyszły KBN. Niezwykle sprawnie zarządzał Uczelnią w niełatwych czasach jej adaptowania do nowych warunków. Dla mnie rektor prof. J. Janowski był pierwszym, z którym zacząłem prowadzić korespondencję. Miała związek z zarządzeniem, które wydał w związku z oceną pracowników. Dotyczyło ono zobowiązania ich do ujawnienia mu, gdzie i ile zarobili poza Uczelnią. Za poradą kolegi prawnika, późniejszego ministra sprawiedliwości (muszę się chwalić jak na profesora przystało), prof. Zbyszka Cwiakalskiego, zwróciłem się do ministerstwa o interpretację prawną. Okazało się, że rektor naruszył dobra osobiste

pracowników i zarządzenie musiał odwołać. Dla mnie, szukającego dziury w całym, dziwne są jego biskie związki z GTS Wisła. Nie jego jednego, o czym wspominałem.

Kolejnym rektorem w wolnej Polsce z Solidarnościowym rodowodem, był absolwent UJ, chemik, **prof. dr hab. Mirosław Handke** (1993–1997). Z AGH związany od 1969 r. W 1981 r. był przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w Akademii Górniczo-Hutniczej. W 1997 r. został Ministrem Edukacji Narodowej w rządzie premiera Jerzego Buzka. Autor ok. 100 publikacji naukowych z zakresu fizykochemii ciała stałego i spektroskopii. Był pierwszym rektorem, który wyrządził mi ten zaszczyt i przyjął u siebie w gabinecie. Wprowadzając nowy styl zarządzania wymyślił spotkania z Radami Wydziałów. Przyszli i na naszą, ale głównie mówił sam. A tyle było problemów! Siadłem i napisałem, najpierw wyrażając żal, że spotkanie było przekazem jednostronnym, a później w punktach, co mnie gryzie. Jakież było moje zdziwienie, kiedy odebrałem telefon z rektoratu: „pan rektor zaprasza pana na rozmowę”. I ku memu zdziwieniu wysłuchał i wymienił poglądy. Miał bogate, choć kontrowersyjne plany reformy Uczelni (łączenie Wydziałów), ale wobec ministerialnego awansu nie zdążył ich zainicjować. Zdążył natomiast przywrócić gmachowi głównemu figurę św. Barbary. Autor nie najlepiej odbieranej reformy szkolnictwa.

Najdłużej urzędującym rektorem był **prof. dr hab. inż. Ryszard Tadeusiewicz** (1997–2005) Studiował na Wydziale Elektrycznym AGH. Podjął także (ostatecznie nieukończone) studia na Wydziale Lekarskim AM w Krakowie. Pracę rozpoczął w 1971 r. Kolejno uzyskiwał doktorat (1975) i habilitację (1980). W 1986 r. otrzymał tytuł profesora nauk technicznych. Specjalizuje się w zagadnieniach z zakresu informatyki, automatyki i robotyki, biocybernetyki i inżynierii biomedycznej. W 1997 r. objął stanowisko kierownika Katedry Automatyki i Inżynierii Biomedycznej, wcześniej kierując innymi jednostkami na Wydziale. Wykładał również na innych krakowskich uczelniach (Uniwersytecie Ekonomicznym, WSP, AWF, Uniwersytecie Jagiellońskim i Akademii Sztuk Pięknych). Okresowo pracował w Akademii Medycznej w Krakowie, jako profesor i kierownik Zakładu Biocybernetyki oraz Zakładu Biostatystyki i Informatyki Medycznej. Członek Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów. Tytan pracy, promotor ponad 70 rozpraw doktorskich, recenzent ponad 600 wniosków w przewodach. Członek Polskiej Akademii Nauk, Akademii Inżynierskiej w Polsce,

Europejskiej Akademii Nauki, Sztuki i Literatury, Rosyjskiej Akademii Nauk Przyrodniczych, Polskiej Akademii Umiejętności, Polskim Towarzystwie Informatycznym (członek honorowy), radzie naukowej Collegium Invisibile. Od 1990 do 1997 r. zasiadał w Komitecie Badań Naukowych I i II kadencji, a później także w radzie nauki w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego. (Być może coś przeoczyłem – przepraszam). Rektor Rysiek był pierwszym z tych, z którymi mam zaszczyt „być na ty”. Pierwsze nasze spotkanie odbyło się jeszcze w okresie jego prorektorowania, niestety w sytuacji dla mnie trudnej. Wspominałem o wdarciu wody do kopalni „Wieliczka”. Kilka lat później, na wniosek WUG został ustanowiony projekt badawczy (grant) finansowany przez KBN. Kierownikiem został prof. A. Garlicki. Mnie zobowiązał między innymi do nadzorowania prac związanych z wierceniem otworów badawczych, które wykonywała jedna ze śląskich firm, w oparciu o umowę. Jak to bywa, wykonanie prac potwierdza protokół ich odbioru. I właśnie ja podpisywałem takowy. Z powodów bezpieczeństwa, jeden z długich otworów nie mógł być zrealizowany i w trybie roboczym ustalono, że zamiast niego zostaną w tej samej cenie wykonane 3 otwory o sumarycznej długości równej tamtemu. Sprawa prosta. Nie dla wszystkich! Jakies pół roku po zakończeniu grantu (skontrolowanego przez krakowską delegaturę NIK) pojawia się kolejna kontrola, tym razem z centrali NIK w Warszawie, w osobie inspektora (bodaj) Baranowicza. Jedzie do Wieliczki i prosi naczelnego inżyniera T. Bromowicza (syn naszego wybitnego prof. Romana Bromowicza²²²) aby go zaprowadził i pokazał nieistniejący otwór. Ten pokazuje mu miejsce, w którym otwór miał być zlokalizowany, ale (chyba?) nic nie mówi o niemożności jego wykonania i odwierceniu 3 „zamiast”. Rozpoczyna się afery, bo okazuje się, że ktoś z wiercącej firmy zamiast w protokole napisać „za 3 otwory o łącznej długości...” wpisał numer nieistniejącego. Na moje szczęście (chyba przez niedopatrzenie) na owym protokole widniało tylko moje nazwisko wpisane na maszynie, ale brak było podpisu. Pomi-

²²² **Prof. dr hab. inż. Roman Bromowicz** urodził się w 1921 r. w Krakowie. Studia na Wydziale Górniczym AGH, dyplom w 1951 r., doktorat w 1961 r., doktor habilitowany (1962), tytuł profesora (1971). Specjalista z zakresu projektowania i budowy kopalń, ekonomiki i organizacji górnictwa. Od 1963 r. kierownik, najpierw Katedry Ekonomiki i Organizacji Górnictwa, po 1969 r. Instytutu Projektowania i Budowy Kopalń (do 1975). Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł w 1985 r.

mo to, według pana inspektora, miałem problem – potwierdzenie nieprawdy, ciągnącej za sobą stratę skarbu państwa, który zapłacił za (rzekomo) niewykonaną pracę. Problem miał też prof. Garlicki, bo podpisał fakturę. Na nic zdały się liczne pisane wyjaśnienia²²³. Sprawa trafiła do prokuratury. Dla mnie skończyło się najłagodniej („nie wszczęto postępowania z uwagi na brak dowodu przestępstwa” – co pozytywnego daje bałaganiarstwo!), ale w stosunku do profesora i szefa owej firmy „dochodzenie umorzono z zawieszeniem na 3 lata”! Dziś chciałbym wiedzieć, kto nadał sprawę. Mam podejrzenia, ale tylko podejrzenia.

Wracając do rektora Tadeusiewicza, to właśnie ta sprawa była przedmiotem mej pierwszej u niego wizyty. Późniejsze nasze kontakty przebiegały w niezwykle uroczej i eleganckiej (charakterystycznej dla niego) atmosferze. To on podjął decyzję o moim powołaniu na przewodniczącego senackiej komisji, on (na wniosek swego prorektora, prof. Janusza Kowala) zaliczył mnie do grona delegacji wręczającej w Watykanie Papieżowi św. Janowi Pawłowi II, dyplom doktora honoris causa Uczelni. Z nim, do dziś wymieniam maile, jeśli pojawi się okazja. Dla Uczelni (w moim subiektywnym przekonaniu) – najważniejsze co uczynił, to przekształcił ją w Uniwersytet Techniczny, tworząc, nie bez sprzeciwu, z powodów partykularnych interesów części Senatu, Wydział Humanistyczny – czego byłem świadkiem. Ogromną rolę w tym wydarzeniu odegrała jego pierwsza dziekan, dr hab. Anna Siwik. Związana z AGH od 1976 r., absolwentka UJ (historyk), pracowała najpierw w Instytucie Nauk Społecznych, a od 2001 r. właśnie w nowoutworzonym Wydziale Nauk Społecznych Stosowanych (od 2008 r. Wydziale Humanistycznym). Do jej dalszych związków z Uczelnią wróć.

Pomysłem rektora Ryszarda były coroczne tzw. „wyjazdowe posiedzenia kolegium” (rektor, prorektorzy, dziekani, przewodniczący komisji senackich, kanclerz, kwestor). Najpierw odbywały się w naszym domu wczasowym – Baśka w Krynicy Zdroju, później, w czasach następnego rektora, w różnych ciekawych miejscach. Ich efektem jest nie tylko okazja do gruntownego, (prawie) nieograniczonego czasem, przedyskutowania tematów bieżących i perspektywicznych, ale i (a nawet przede wszystkim) integracja władz Wydziałów i Uczelni. Rektor Tadeusiewicz przeszedł do historii Uczelni również za sprawą „ławeczki”. Otóż dla upamiętnienia miłości rozkwitłych w murach Uczelni, w łączniku A-0–A-1

²²³ Od tego czasu jestem przeczulony przy podpisywaniu dokumentów, a uczulony na inspektorów NIK.

ufundował rzeźbę Małgosi siedzącej z parasolem na ławeczce. Tak wydarzenie z 1971 r., kiedy to młody student (Rysiek) poznał młodą studentkę (Małgosię) i zakochawszy się spędza z nią życie, spowodowało zaistnienie w Uczelni kultowego miejsca. W jej „otoczenie” mam i ja maleńki wkład. Po jednym z moich zjazdów koleżeńskich, kiedy byłem przez uczestników mocno nagabywany o znaczenie „ławeczki”, napisałem do profesora Ryśka list z pytaniem, czy nie uznalby za celowe ławeczkę uzupełnić krótkim tekstem. I ku memu zadowoleniu uczynił to – efekt polecam przeczytać. Co prawda ta moja podpowiedź podpadła ważnej osobie, ale jakoś i to z czasem przyszło. Kolejny powód mocnego przejścia do historii Uczelni, to ilość honorowych doktoratów, jakie otrzymał – 13 (2015) rekord chyba nie do pobicia. Kończąc wspominki o rektorze Ryszardzie, nie był bym sobą, gdybym nie wspomniał i o tej stronie jego sylwetki. Niektórzy mawiają, że ma bardzo rozwinięte poczucie własnej wartości. Ale jeśli jest tego obiektywny powód!?

Najbliższym mi, ze względów oczywistych jest kolejny rektor, **prof. dr hab. inż. Antoni Tajduś** (2005–2012). Po zakończeniu kadencji wybrany do CK a następnie wskazany w wyborach i powołany na stanowisko jej przewodniczącego (pierwszy i jedyny profesor z AGH na tym stanowisku). Najpierw „formalny” biogram. Urodził się w 1949 r. w Tymbarku. Studia ukończył na Wydziale Górniczym w Akademii Górniczo-Hutniczej (1972). Stopień doktora (1977), doktora habilitowanego (1990), tytuł profesora (1998). Pełnił funkcje: prodziekana Wydziału Górniczego (1993–1996), dziekana Wydziału Górniczego (1996–2002) oraz prorektora ds. ogólnych (2002–2005), rektor (2005–2012). W trakcie kadencji rektora był przewodniczącym Konferencji Rektorów Polskich Uczelni Technicznych. Po zakończeniu kadencji rektorskiej został kierownikiem Katedry Geomechaniki, Budownictwa i Geotechniki na swym wydziale. Otrzymał wiele zaszczytnych odznaczeń i wyróżnień: Złoty Krzyż Zasługi, Generalny Dyrektor Górniczy I stopnia, Złota Odznaka „Zasłużony dla Górnictwa”, Doktor honoris causa: Politechniki Śląskiej, Politechniki Świętokrzyskiej, Politechniki Lubelskiej, Uniwersytetu w Miskolcu, Donbaskiego Instytutu Górniczo-Metalurgicznego na Ukrainie. Profesor Honorowy: Narodowego Uniwersytetu Technicznego Nafty i Gazu w Iwanofrankowsku, Narodowego Uniwersytetu Górniczego w Dniepropietrowsku. Odznaczenia i medale: Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, Srebrny Medal „Za Zasługi dla Województwa Małopolskiego”. Odznaki

i wyróżnienia: Odznaka „Honoris gratia” nadana przez prezydenta Miasta Krakowa, Honorowa Odznaka „Zasłużony dla Głównego Instytutu Górnictwa”, Małopolanin Roku 2009, Małopolska Nagroda Gospodarcza, Naukowy Oskar za działalność naukową i organizacyjno-menedżerską, Zasłużony dla KGHM Polska Miedź S.A. Specjalizuje się w: zagadnieniach dotyczących mechaniki skał i gruntów (deformacje powierzchni, szkody górnicze, tąpnięcia, wstrząsy, utrzymanie wyrobisk podziemnych), budownictwie podziemnym (tunele, przejścia podziemne, garaże oraz podziemne składowiska odpadów), zastosowaniach metod numerycznych w mechanice skał i gruntów, energetyce (bezpieczeństwo energetyczne kraju). Jest autorem 10 patentów (w tym 5 wdrożonych), 300 prac naukowo-badawczych i ekspertyz, a także współwykonawcą 15 grantów (spośród, których kierował pięcioma). Wypromował 9 doktorów oraz był recenzentem kilkunastu przewodów doktorskich i habilitacyjnych. Autor 11 książek oraz 175 publikacji w czasopiśmie krajowych i zagranicznych.

Tyle wyliczanki! Z Antonim znałem się od początku jego pracy, ale bliżej zbliżyła nas habilitacja wykonywana w tym samym czasie. Moje kolokwium było kilka tygodni wcześniej, więc zaczęło się od wymieniania uwag na temat formalności. Potem, kiedy zostawał dziekanem, zaproponował mi funkcję „pro”. I tak się zawiązała przyjaźń, czasem „męska”, bo nie zawsze mieliśmy takie samo zdanie. Jako rektor przeszedł do historii Uczelni nazywany przez niektórych Antoni III (po Hoborskim i Kleczkowskim) – Budowniczy. Już będąc dziekanem okazał się nadzwyczajnym gospodarzem, a fundusze unijne pozwoliły mu na rozwinięcie skrzydeł w trakcie rektorowania. Powstały nowe pawilony, kryta pływalnia, boisko na miasteczku (sport to jego pasja od czasu kiedy to grał w drużynie piłki nożnej KS Tymbark, dziś pozostały mu tenisowe potyczki z Wackiem Dziurzyńskim) – wypiękniło otoczenie. „Brat łąta”, „góral niskopienny”, fantastycznie umie rozmawiać z decydentami, zjednywać ich sympatię dla Uczelni (i siebie). Nawet pani minister Kudrycka, której na początku nasza Uczelnia kojarzyła się ze szkołą kształcąca 8 tysięcy studentów, pod koniec sprawowania funkcji była jej (i Antosia) wielką miłośniczką. Uczelnią rządził „ciężką ręką”. To za jego kadencji znacznie wzrosły wymagania stawiane przez okresowe oceny, wymagania brane pod uwagę przy awansach. Wzmocnił rolę pracowników przy powoływaniu kierowników Katedr. Dla ułatwienia awansów „młodych” wprowadził zasadę: pobierasz emeryturę – nie pełnisz funkcji kierownika Katedry. Po zakończeniu kadencji sam wpadł w jej sidła (biedak

„miota się” między przywiązaniem do kasy – emeryturą – a do zasad, na do-
datek prze siebie ustalonych). Istotnie ograniczył ilość zgód dla drugoetatow-
ców. Do „białej gorączki” doprowadzała go nazwa pewnej krakowskiej pry-
watnej szkoły wyższej. Zażegnał konflikt na „wydziale elektrycznym” dopro-
wadzając do podziału i utworzenia dwóch. Powołał (nie bez oporów) Wydział
Energetyki i Paliw. Zapoczątkował tworzenie centrów naukowych z Centrum
Energetyki (dla którego załatwił piękną siedzibę – największa inwestycja Uczel-
ni) na czele. Za jego kadencji powstało również wiele nowych, w tym unikal-
nych kierunków studiów. Oczywiście na te sukcesy mieli również wpływ do-
skonali prorektorzy (profesorowie: T. Słomka, J. Lis, A. Cieśla, Z. Kąkol, T. Szmuc).
Rektor, doceniając ich rolę mawiał: „pracuję do upadu – moich zastępców”. Ze
spraw lżejszych, do historii przejdzie jego powiedzenie: „jak się dobrze obieca
to się nie musi dawać”. W naszych stosunkach rektorowanie, oczywiście zmniej-
szyło kontakty. Te służbowe utrzymywałem dzięki niezastudzonej życzliwości jego
sekretarki, pani Danusi Żerdy²²⁴, która potrafiła mnie wciskać w harmonogram
szefa. Z rektorem Antonim miałem kilka „spraw”. Pierwsza, to propozycja, jaką
w imię wizerunku budynku A-0 mu przedstawiłem. Otóż w czasach dzieka-
nowania prof. T. Słomki przed głównym gmachem stanął „pomniczek” (jak go
nazywam), czyli coś na kształt obelisku z nazwą Wydziału. Nie podobało mi
się to, bo w końcu, co jest przy czym – Wydział przy Uczelni, czy Uczelnia przy
Wydziale? W moim przekonaniu o oszczędzeniu wyglądu budynku głównego
tym „detalem” utwierdzili mnie przyjaciele, plastycy. Zaproponowałem, więc
Antkowi (na piśmie z uargumentowaniem) by się nad tym zastanowił. Prze-
kazał pismo, z prośbą o opinię, dziekanowi tego Wydziału. Ten wystąpił przed
Radą Wydziału, żądając (prawie) uchwały o unicestwienie mnie. W efekcie do-
stałem od niego list, który zachowałem i czytam jak chcę się utwierdzić w prze-
konaniu, że z natury jestem wredny. „Pomniczek”, niestety stoi do dziś. Druga
sprawa trudna, to tabliczka objaśniająca przy portrecie św. Jana Pawła II wisząca
przy wejściu do auli. Otóż niezgodnie z prawdą – byłem, słyszałem – jest na niej
napisane, że jest to dar Papieża dla rektora. Jest to dar Jana Pawła II dla Uczelni.
Dla mnie zasadnicza różnica. Prosiłem o zmianę w imię prawdy – bez efektu.
Zwracałem się do rektora odbierającego w 2000 r. ów dar, prof. R. Tadeusiewi-

²²⁴ Na przykładzie pani Danusi można by napisać podręcznik: Jak ma pracować dobra se-
kretarka. W rektoracie została w czasie kadencji następnego rektora i dalej mam okazję
korzystać z jej życzliwości – dziękuję.

cza, który przyznał mi rację i nawet miał interweniować u rektora T. Słomki, ale bez efektu. Druga moja porażka. O trzeciej, związanej z propozycją corocznego wydawania okazjonalnego Biuletynu AGH poświęcanego zmarłym pracownikom już pisałem. Ośmielając się oceniać to z moich rektorów, bezsprzecznie najlepszy gospodarz. Złośliwi mówią – „trafił na fundusze unijne”, to prawda, ale w przeciwieństwie do innych (rektorów z innych Uczelni) umiał je wykorzystać. Miał wizję własną i słuchał wizji innych. Do przysłowiowych przeszły jego coroczne (na ogół na wiosnę, ale czasem częściej) spaceru z jednego końca Uczelni na drugi. Towarzyszył mu kanclerz z pomocnikami i czasem (widziałem) mieli uszy czerwone! Otoczenie piękniało zielenią i rzezbami plenerowymi dłuta dyplomantów Wydziału Rzeźby ASP. Rektor (po znajomości) załatwiał materiał (kamień), dyplomanci rzeźbili, otoczenie Uczelni zyskiwało nowy wyraz.

I wreszcie (ostatni mój rektor) **prof. dr hab. inż. Tadeusz Słomka** (2012–2016 i dalej). Urodził się w 1948 r. w Świątnikach Górnych. Absolwent Technikum Geologicznego w Krakowie, ukończył następnie studia na Wydziale Geologiczno-Poszukiwawczym AGH w 1972 r. W Uczelni doktoryzował się w 1986 r., a w 1996 r. uzyskał stopień doktora habilitowanego. W 2008 r. otrzymał tytuł profesora nauk o Ziemi. Prodziekan Wydziału (1996–1999), dziekan (1999–2005), prorektor Uczelni (2006–2012). Jest autorem i współautorem ponad 200 publikacji naukowych poświęconych problematyce geologii złożowej, modelowaniu matematycznemu złóż kopalin użytecznych i sedimentologii głębokomorskich osadów klastycznych. Ponadto jest współautorem 4 skryptów i książek oraz redaktorem 7 książek. Wielokrotnie prezentował wyniki swoich badań na krajowych i międzynarodowych konferencjach naukowych w Austrii, Czechach, Słowacji, Włoszech, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Irlandii, Grecji, Meksyku, USA, Australii i innych. Przez 12 lat kierował Katedrą Geologii Ogólnej, Ochrony Środowiska i Geoturystyki. Był doradcą Wiceministra Środowiska, twórcą i prezydentem International Association for Geotourism, członkiem International Association for Sedimentologists i International Association for Mathematical Geology, Komitetu Nauk Geologicznych Polskiej Akademii Nauk, członkiem wielu rad naukowych polskich i międzynarodowych instytucji. Pomysłodawca i redaktor naczelny czasopisma „Geotourism”, członek komitetu redakcyjnego Acta Montanistica Slovaca. Sekretarz i przewodniczący wielu cyklicznych, międzynarodowych konferencji naukowych: Zastosowań Metod Matematycz-

nych i Informatyki w Geologii, Geotur. Kierował ponad 20 grantami i pracami zleconymi z przemysłu. Rektor Tadeusz II (wzorem Antoniego III) zastał Uczelnię z rozpoczętymi inwestycjami oraz planami, co do dalszych. O ile z pierwszymi nie było problemów, to drugie, wobec zmian politycznych w kraju i nowej transzy finansowania z UE zaczęły być problematyczne. Jakoś starał sobie radzić i z tym problemem. Nie wprowadził (w stosunku do poprzednika) żadnych rewolucyjnych zmian. Mogę powiedzieć: twórczo rozwijał jego politykę zarządzania. Pilnował bliskiej mi polityki kadrowej, nawet zaosttrzając nieco kryteria ocen okresowych i wyrażania zgód na drugoetatowość. Spokojnie sterował Uczelnią, choć nie miało to nic wspólnego z „polityką ciepłej wody”. I bardzo ładnie, z wrodzonym dowcipem i kulturą zabierał publicznie głos. Jeszcze na etapie kandydowania na pierwszą kadencję (stoczył kulturalny i super fair bój ze swym przyjacielem prorektorem prof. J. Lisem) zaproponował, do nieco antyfeministycznego środowiska górników i hutników, kontrowersyjnie – pierwszą kobietę na stanowisku prorektora. Byłem ogromnym orędownikiem tego pomysłu, ale nie dlatego, że kobieta, tylko, że Ta (a podobnie jak przy wyborach dwóch poprzednich rektorów byłem członkiem kolegium elektorskiego). Rektor Tadeusz II cieszy się sympatią społeczności, czego dowodem był wspaniały wynik wyborów na następną kadencję. Odradzałem mu kandydowanie przywołując wiek (przepraszam!, ale kiedy będzie się cieszył wnukami i wymarzonym domkiem na wsi?) i zasadność oddania rządów kolejnemu pokoleniu (nowe czasy radykalnie inne). Ale wobec jego wyboru życzę mu i Uczelni pod jego berłem najlepiej.

Wracam do perły w rektorskim berle rektora Słomki, czyli pani prorektor Anny Siwik. Poza „łagodzeniem obyczajów” wniosła, nie do przecenienia, wkład w uporządkowanie spraw studenckich (nie tylko socjalnych) i w burzliwy rozwój studenckiej kultury. Zajął się tematami wcześniej w dużej mierze pomijanymi a niezwykle ważnymi. Choć pewno nie wszystko się udało. Opór materii (interesów określonych lobby) spowodował, że w Uczelni nie powstał jednolicie zarządzany dział sportu, brak jasnej wizji i jej realizacji odnośnie modernizacji muzeum (a ono leży mi szczególnie na sercu), brak archiwum z prawdziwego zdarzenia – to najistotniejsze. Ale bezsprzecznie dzięki, między innymi jej działalności, Uczelnia została dostrzeżona i wyróżniona przez władze miasta, jako animator kultury. U pani rektor miałem zaszczyt dość często gościć na kawie. Była to dla mnie okazja do „nieskrępowanych” (że nie użyję słowa „nie-

wyparzonych”) wypowiedzi dotyczących bieżących spraw. I spotykały się one z autentycznym zainteresowaniem (jeśli nawet się krzywiła, to do środka!). Przy niektórych rozgorzała dyskusja. Kontakty takie (okresowe spotkania z mówiącymi jak działalność wódzów wygląda z drugiej strony, jakie są nastroje, podrzucanie propozycji) dla decydentów powinny być modelowymi. Niestety, oni w zdecydowanej większości, wolą wazelinę! Z długością pełnienia funkcji coraz bardziej. Prorektor Anna, w moich doświadczeniach należała do chlubnych, nielicznych wyjątków! Oby dalej, bo i ona została na drugą kadencję. Pani prorektor, nie tylko z racji mych sympatii, ale przede wszystkim z racji kompetencji zawodowych była pierwszą czytelniczką tych stron, niejako ich recenzentką. Poproszona, zrobiła mi tę przyjemność i napisała do nich przedmowę – dziękuję!

Piszę te słowa w czasie, kiedy odbywa się kampania wyborcza nowego rektora. Pewne zabiegi (które tym razem tylko obserwuję bo z uwagi na wiek zrezygnowałem z kandydowania na elektora – młodzi do przodu!) skłaniają mnie do kilku refleksji, z zastrzeżeniem, że będą miały raczej charakter rozważań ogólnych, nie odnoszących się do konkretnych osób. Zatem kim jest rektor w Uczelni? – „kieruje jej działalnością i reprezentuje na zewnątrz” – tak mówi ustawa. Ale od kuchni, ile ma władzy? Odpowiedź jest jak zwykle: to zależy! Zależy od jego osobowości. Na jednym biegunie jest – zadufany w swej wielkości i wykorzystujący każdą okazję by ją („wielkość”) promować, czerpiący profity z funkcji, a zdający się w sprawach decyzji na administrację i współpracowników. Na drugim – nie stroniący od budowania własnego *ego* gospodarz, podejmujący, zgodnie z posiadaną wizją (w prawie każdej sprawie) decyzje osobiście. Oczywiście celowo przejawiam i przesadzam, ale gdzieś pomiędzy tymi dwoma skrajnościami mieszczą się sylwetki „moich” rektorów. Od czego, kogo zależy, kto rektorem zostaje. Przede wszystkim od aktualnej sytuacji kadrowej wśród elit wydziałowych. To one wyłaniają kandydata, choć bywa, że inne zasługi – np. współtworzenie Solidarności, o tym decydują. Przeżyłem okresy, kiedy prawie wszyscy dziekani byli wybitnymi osobowościami. Wtedy wyłaniany z ich grona „lider liderów” (*primus inter pares*) – rektor, rokuje nadzieje na bycie bliższym bieguna „gospodarza”. Jeśli wśród liderów wydziałów panuje, posucha talentów, a i taka sytuacja bywała, kandydat często pojawia się trochę przypadkowo, jako wypadkowa rozlicznych interesów, czasem spośród osób niesprawujących wcześniej ważnych funkcji w zarządzaniu w Uczelni.

Wtedy, może się zdarzyć, że ulokuje się bliżej bieguna „autorytetu” (czasem niestety głównie z własnego nominowania). Dodatkowo, każdy rektor, na etapie kandydata musi sobie związać ręce obietnicami „płacącymi” za głosy. Tak pojawiają się nietrafieni prorektorzy, tworzone są (pod ich szefów) jednostki międzywydziałowe, proponowani na przewodniczących komisji senackich (w tym i ja). Czy je potem spona i w jakim stopniu, to inna sprawa, bo „czasem wystarczy dobrze obiecać...”, jak mawiał Antoni III.

Jedną z bardziej odrażających stron kampanii wyborczej są pertraktacje i zawieranie układu z elektorami studenckimi. Niestety wymusza to ustawa. Dotyczy to zarówno kandydatów na rektora i dziekanów. Bowiem, na ogół rola studentów, jak uczy moje doświadczenie, w niektórych przypadkach bywa kluczowa. Znam wybory, w których głosy tej części elektoratu faktycznie wskazały wynik. Dlaczego odmawiam studentom prawa wpływu na wybór władz? Po prostu, nie widzę uzasadnienia merytorycznego. Na tej samej zasadzie, na jakiej „społeczność pacjentów” nie ma wpływu na wybór dyrektora szpitala. Oczywiście pacjent wybiera lekarza i na tej zasadzie wnioskuje (o czym szerzej pisałem) by student mógł wybrać wykładowcę. Piszę to posiadając wiedzę, co w konkretnych przypadkach stanowiło przedmiot przetargu, fe!!! Ktoś kiedyś, wychodząc z błędnego założenia, a chcąc zyskać przychylność środowiska studenckiego w jakichś wyborach, podjął taką decyzję. Zresztą nie tylko w tej sprawie (wątpliwy wydaje mi się też udział studentów w opracowywaniu programów studiów). A następcy, ze strachu przed kolejnymi wyborami nie próbowali przywrócić normalności.

Wracając do pozycji rektora. Faktyczna jego władza jest znaczna. On dzieli funkcje (te nie z wyboru – choć formalnie współdecyduje Senat), przyznaje dodatki, zatrudnia (a na „wymogi formalne” może przymknąć oko) i przedłuża (również poza czas ustawowy) zatrudnienie, nagradza (kasa!), dofinansowuje jednostki, wyjazdy, publikacje ect., a zasłużonym pracownikom przyznaje dodatki (z funduszu rektorskiego) i podejmuje wiele innych „intratnych” i przynoszących splendor decyzji. To powoduje, że natychmiast pojawiają się poddani – klakierzy, czyli dwór. I trzeba być niezwykle odpornym by nie uwierzyć w swoją wielkość, genialność, niezastąpioność, posłannictwo i wiele innych przymiotów geniusza. Im odporność większa, tym dla Uczelni lepiej. Skończę te dywagacje filozoficznie – różnie z moimi rektorami bywało!

Dziekani

Dzieskanem, który podpisał mój indeks, był prof. Jan Walewski (1962–1966), specjalista i autor podręcznika z zakresu gębienia szybów.

Następnym, szeroko wcześniej opisany był prof. dr inż. Zdzisław Maciejasz (1966–1969). To on namówił mnie do zostania pracownikiem Uczelni.

Na moim dyplomie magistra inżyniera górnika widnieje podpis dziekana, prof. dr hab. inż. Henryka Filcka (1969–1972). I jemu poświęciłem wcześniej parę słów.

Prof. dr hab. inż. Tadeusz Ryncarz (1972–1975) jeden z największych autorytetów tamtych czasów. Tak w sprawach naukowych, jak i moralnych. Nic dziwnego, że po raz drugi został wybrany na dziekana w trudnych czasach stanu wojennego (1984–1987). Wspominałem o tych czasach.

Po, powtórzę, jednym z największych autorytetów tamtego czasu, na kolejną kadencję został mianowany, na pewno najbardziej popularny (na Wydziale i w przemyśle) prof. dr hab. inż. Janusz Roszkowski (1975–1979), mój wieloletni przełożony. Zostaje zmieniony po roku drugiej kadencji, w nie do końca dla mnie jasnych okolicznościach, na ostatniego z nominowanych dziekanów prof. dr hab. inż. Józefa Waclawika (1979–1981). I jemu poświęciłem kilka linijek w tych wspomnieniach.

Pierwszym, wybranym dziekanem był prof. dr hab. inż. Stanisław Knothe (1981–1984). Jego wybór był niejako z jego strony gestem dla Wydziału, pozwalającym uniknąć patu. Do wolnych wyborów zgłoszonych zostało trzech kandydatów. Byli nimi profesorowie Maciejasz i Roszkowski oraz docent Walaszczyk²²⁵.

²²⁵ **Prof. dr hab. inż. Jan Walaszczyk** urodził się 4 września 1944 r. w Novion-Parcelle we Francji. Absolwent AGH (1968), doktor nauk technicznych (1972), doktor habilitowany (1980), profesor (1991). Specjalista z zakresu: geomechaniki górniczej, geotechniki, metod numerycznych, informatyki w geotechnice, budownictwa. Zastępca dyrektora Instytutu Geomechaniki Górniczej (a potem Katedry Geomechaniki Górniczej i Geotechniki) 1988–1999, kierownik Katedry (od 2003 r. zmiana nazwy na Katedra Geomechaniki, Budownictwa i Geotechniki.) – 1999–2005. Odznaczony: Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem KEN, Srebrną i Złotą Odznaką „Zasłużony dla Górnictwa”, Złotą Odznaką „Za Zasługi dla Ziemi Krakowskiej”, Złotą Odznaką „Za Zasługi dla Województwa Katowickiego”; Generalny Dyrektor Górniczy II stopnia. Członek Komitetu Górnictwa PAN, Międzynarodowego Towarzystwa Mechaniki Skał, Polskiego Towarzystwa Mechaniki Skał, Polskiego Towarzystwa Metod Komputerowych Mechaniki, Rady Naukowej Instytutu Mechaniki Górotworu PAN, Komitetu Inżynierii Lądowej i Wodnej PAN, Komitetu Mechaniki PAN, Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Górnictwa. Na emeryturę przeszedł w 2015 r.

W pierwszej turze odpada prof. Z. Maciejasz. Następne również nie przynoszą rozwiązania. Żaden z kandydatów nie uzyskuje koniecznej liczby głosów. W tej sytuacji „rada starszych” udaje się do profesora Knothego z prośbą o ratunek. Profesor, liczący sobie wtedy 62 lata, kręci nosem, prycha („panie kolego, po co mi to”) ale daje się przekonać. I bardzo dobrze, bo wobec postaci wybranego rektora (prof. A. Kleczkowskiego) Wydział miał orędownika, co najmniej równego mu autorytetem. Autorytet profesora z pewnością studził głowy co większych radykałów przemian. Choć, Bogiem a prawdą, wybitnych, na miarę takich postaci, stojących w Uczelni na czele przemian, jak profesorowie: Z. Kołęda, A. Szczepański, A. Gołaś²²⁶ na wydziale nie było.

Na czele Komisji Wydziałowej Solidarności stanął dr inż. T. Sęk. Za to mieliśmy reformatorów PZPR, na czele z Jurkiem Kickim, członkiem egzekutywy KU PZPR.

Drugim autorytetem prowadzącym Wydział w stanie wojennym, jak wspominałem, był dziekan T. Ryncarz.

Po nim, na stanowisko to wybrano prof. dr hab. inż. Jacka Zabierowskiego (1987–1993), który wcześniej pełnił funkcję prorektora. Uczestnik obrad okrągłego stołu, młodszy od swych poprzedników wniósł w zarządzanie wydziałem świeży powiew. Wydział zaczął bywać w znacznie szerszym gronie w przemyśle niż to było wcześniej. Szersza też była reprezentacja pracowników w ciałach powoływanych przez prezesa WUG. Nie bez znaczenia było też zintensyfikowanie uroczystości barbórkowych. Z inicjatywy dziekana Jacka wprowadziliśmy²²⁷ zupełną nowość, spotkania Wydziału z przemysłem. Z czasem niezwykle popularne. O jego roli w dopingowaniu nas „młodych” do robienia habilitacji pisałem. Za jego dziekanowania zrobiono ich kilka (W. Roszczyniański, B. Barchański, Z. Gałaś, E. Mokrzycki, J. Klich, A. Tajduś, I. Soliński, B. Nowak, T. Majcherczyk, S. Kukiałaka, T. Sęk, K. Mruk i moja osoba). Za jego kadencji rozpoczęła się, jedna z najważniejszych konferencji poświęconych technice eks-

²²⁶ Internowanymi w grudniu 1981 r. z AGH byli pracownicy: Brancewicz H., Grudziński A., Jachimski J., Kaczmarek R., Marchewczyk W., Mytnik H., Ropska-Karbowniczek H., Serwan I., Siciński M., Syryjczyk T., Szczepański A. – studenci: Bąk A., Kleczyński Z., Piecuch A., Rupiński D., Sotwin Z., Swoboda J., Szymański R.

²²⁷ Na przewodniczącego komitetu organizacyjnego, po wielu latach pełnienia tej funkcji przez dr. Zenona Dudę został powołany dr Jurek Kicki. Wszedłem w jego skład odpowiadając za zaproszenia, tak na uroczystości, jak i na karczmę piwną.

ploatacji: Szkoła Eksploatacji Podziemnej²²⁸. Doprowadził do utworzenia kierunku studiów: zarządzanie i marketing.

Kolejnym dziekanem został wybrany prof. dr hab. inż. Kazimierz Czopek (1993–1996). Niestety – „odkrywkarz”, nie był więc tak znany w sztandarowym górnictwie węglowym jak poprzednik. Na dodatek dziekanem „konkurencyjnego” wydziału na Politechnice Śląskiej był prof. B. Drzęźła, jak pisałem, postać wybitna. Nic dziwnego, że w takiej konkurencji nasza pozycja w przemyśle węgla kamiennego i rud trochę się obniżyła. Za to wzrosła w węglu brunatnym. Nie można jednak zapominać jego zasługi dla zainicjowania kierunku Budownictwo (robotę papierkową wykonał A. Tajduś) i rozpoczęcia przygotowań do uruchomienia drugiego: Inżynieria środowiska. Był przewodniczącym komitetu rekonstrukcji figury św. Barbary, zawiązanego w 1995 r., którego działania przywróciły figurę św. Barbary na dachu budynku głównego²²⁹. Miało to miejsce w dniu 29 maja 1999 r. Był również współinicjatorem utworzenia przy wydziale Fundacji Nauka i Tradycje Górnicze, która zresztą finansowo prowadziła akcję przywracania posągu. Bezsporną zasługą dziekana Czopka jest „wynalezienie” Antoniego Tajdusia i zaproponowanie mu prodziekanstwa. Antek nigdy wcześniej nie ujawnił swych bacowskich, znanych szeroko dzisiaj zdolności organizacyjnych.

Prof. dr hab. inż. Antoni Tajduś, wygrywając wybory z profesorem K. Czopkiem, został kolejnym dziekanem Wydziału (1996–2002). Znalazłem się w ekipie (oprócz mnie prodziekanami zostali dr hab. inż. Jerzy Klich i dr inż. Jan Waclawski) jako prodziekan ds. studiów zaocznych (podział na stacjonarne i niestacjonarne pojawił się chyba później). Stanowisko objąłem po Antonim, który je pełnił jako prodziekan. Zaglądając do jego gabinetu, a były to czasy kiedy prodziekan urzędował w pokoju z „panią obsługującą studentów”, poznałem trochę problemy administrowania studiami zaocznymi, jak i osoby je rozwiązujące. Były nimi panie: Nina (jak na nią wszyscy mówili) Ślizień i Małgosia Weklicz. Bezspornym plusem objęcia tego stanowiska było poznanie tej drugiej, którą

²²⁸ Szkołę Eksploatacji Podziemnej wymyślił dr J. Kicki. Najpierw organizowane były wspólnie przez AGH i IGSMiE PAN (wtedy byłem wiceprzewodniczącym komitetu organizacyjnego), potem J. Kicki „przeniósł ją w całości” do swego drugiego miejsca pracy.

²²⁹ Figura, autorstwa Stefana Zbigniewicza, ukoronowała budowę gmachu głównego tuż przed wybuchem II wojny światowej. Postawiono ją pomiędzy 22 a 24 sierpnia 1938 r. Została zrzucana z początkiem 1940 r. Autorem figury współczesnej jest Jan Siek.

na wiele lat los związał z moją osobą. Towarzyszyła mi, jako sekretarka Katedry, do końca sprawowania przeze mnie tej funkcji. Była wzorem lojalności i uczciwości wobec szefa. Nowy dziekan rozpoczął od pewnych działań rewolucyjnych. Heroicznie (już w czasach prodziekanowania) wgrzyzał się w funkcjonowanie zasad finansowania Wydziału. Skąd, ile i jak to jest dzielone? Wszedł do senackiej Komisji ds. budżetu by lepiej poznać podział w skali Uczelni i wpływać na nią. W ramach Wydziału ze zdziwieniem stwierdził, że w szczególności rozdział odbywa się „po uważaniu” dziekana. Aż takim rewolucjonistą nie został by do końca z tego zrezygnować (kto dzieli kasę ten ma faktyczną władzę), ale na kolegiach dziekańskich sprawy podziału pieniędzy na Katedry, w aspekcie ich potrzeb, były dyskutowane. Jedna złotówka nie poszła do Katedry bez jego wiedzy. Niestety (z mojego punktu widzenia) objawił się też, ów „bacowski” system zarządzania, przejawiający się w podejmowaniu niektórych ważnych decyzji nie tylko jednoosobowo, ale i bez informowania zainteresowanego współpracownika. Nie twierdzę, że robił to z premedytacją. Kiedy pierwszy raz zmienił moją decyzję w jakiejś błahej studenckiej sprawie (pewno na prośbę ważnego a znajomego dyrektora) powiedziałem: „szef może wszystko, ale mnie o tym informuj, bo wobec studenta wychodzę na durnia”! „Oczywiście, tak wyszło, zapomniałem, przepraszam” – usłyszałem w odpowiedzi. Kiedy zrobił to drugi raz, sytuacja się powtórzyła. Kiedy zrobił trzeci, poszedłem i powiedziałem: „wybrali mnie do KBN-u, uważam, że nie najładniej będzie, kiedy będę oceniał Wydział, przydzielał mu pieniądze, a równocześnie zasiadał w jego władzach. Proszę przyjmij moją dymisję i poprzyj tę prośbę u rektora”. Przyjął tę argumentację, mało tego zgodził się z moją sugestią (by zachowując we władzach parytet Katedr) i na mojego następcę zaproponował prof. dr hab. inż. Nikodema Szlązaka. Dziekaństwu Antoniego zawdzięczam też zadanie utworzenia Katedry (Ekologii Terenów Przemysłowych), o czym szeroko pisałem. Kadencja dziekana Tajdusia uporządkowała Wydział. Rozwiązał nieco problemów osobowych (obsada kierowników Katedr i redukcja nadwyżek etatów technicznych), wprowadził (mniej więcej jasne) zasady finansowania jednostek, starał się (nie zawsze z powodzeniem) zaangażować pracowników technicznych do zadań wydziałowych. Na swoją drugą kadencję, do grona prodziekanów zaprosił dr inż. Jerzego Kickiego. Niestety, nie spełnił on pokładanych nadziei. Stąd też, ten skądinąd wybitny organizator, nie został poproszony przez następcę dziekana Antoniego o kontynuowanie pracy. Jak to skomentował

dr T. Szponder: „Jurek, nie przejmuj się, nie wszyscy mogą śpiewać w chórze. Ja świetnie śpiewam solo, a do chóru się nie nadaję”! Dziekan Antoni zapoczątkował rozwój bazy laboratoryjnej Wydziału, co przy dyspozycji stosunkowo niewielkimi środkami (czasy „przedunijne”) było osiągnięciem, którego nam zazdrozczono. Doprowadził do pojawienia się pewnej wizji dalszego rozwoju. Uzyskując od rektora, zabrane kiedyś, pomieszczenia w przyziemiu A-1, utworzył i wyposażył (częściowo dzięki środkom z KBN-u) dwa laboratoria, w tym pierwsze na Wydziale – akredytowane. Przygotował plany kompleksowego zagospodarowania przyziemia i remontu hali A-1–A-2. Znacznie uintensywnił kontakty Wydziału z przemysłem, przywracając zwyczaje z okresu dziekanowania przez prof. J. Zabierowskiego (np. wyklócał się z prezesem WUG o liczniejszy i uzgodniony z władzami udział pracowników w komisjach WUG) i innymi uczelniami oraz jednostkami badawczymi przemysłu. Nie bez oporów, ale skutecznie doprowadził do rozszerzenia „historycznej” nazwy Wydziału. Drugi człón: „... i Geoinżynierii” faktycznie oddaje specyfikę budownictwa i inżynierii środowiska. Czy przysparza nam kandydatów, pewno tak, bo w ślad za nami wydziały górnicze innych uczelni też zmieniły nazwy. Złożyliśmy wizyty dziekanom z zaprzyjaźnionych politechnik, jeździliśmy do kopalń. Kwitły również kontakty te nieformalne. Na barbórkowych „spotkaniach z przemysłem” gościło u nas całe liczące się jego kierownictwo. Także przywrócił „Bale Górnika”. Dziewięć lat w dziekanacie stworzyły prof. A. Tajdusiowi solidny fundament do dalszych funkcji. Tym bardziej, że jako dziekan najstarszego Wydziału prym wiódł na spotkaniach władz, tych formalnych i nie.

Jego następcą został prodziekan, **dr hab. inż. Jerzy Klich** (2002–2008). Doskonale przygotowany do funkcji poprzez dwukadencyjne bycie prodziekanem i to od spraw finansowych (choć pod nadzorem Antoniego). W przeciwieństwie do poprzednika zwolennik dyskusji i cierpliwego przekonywania do swoich racji. Choć (będąc na przyjacielskiej stopie – mogę sobie na te wypominania pozwolić) czynił to długo i zawile. Po poprzedniku zastał Wydział z jasną sytuacją finansową i wypracowanymi (z jego udziałem) zasadami zarządzania. Podjął, więc szerzej zakrojone prace inwestycyjne. Pisałem, że moje członkostwo w KBN-ie przyniosło niemałe środki, z których udziałem dokonał remontów. Stały się one nawet powodem do nazwania go, przez ubiegającego się o elekcję, prof. P. Czaję – dziekanem „budowniczym”. A wszystko za sprawą generalnego remontu hali A-1–A-2, znalezienia miejsca na przyzwoitą bibliotekę wydziałową (scalenie

bibliotek katedralnych), utworzenie nowych laboratoriów i modernizację istniejących. Wzorem poprzednika dbał o kontakty z przemysłem. Należał do tych, którzy autentycznie dobro Wydziału stawiali wyżej od zasobności własnej kasy lub trampoliny do zrobienia kariery, o co na takich stanowiskach łatwo. Zaniebał własny tytuł profesora, co mu wielokrotnie wypominałem. A bez problemu mógł go uzyskać. Jego powołaniem było napisanie monografii otworowej eksploatacji siarki. Nie dał się przekonać. Był uznanym fachowcem od początku jej wdrożenia do praktycznego zamknięcia kopalń otworowych. Skoro o potencjalnych korzyściach z pełnienia funkcji dziekana – to mała dygresja! Jakoś tak jest, że dla niektórych, stanowisko to niesie z sobą monopol na wszechwiedzę, zwłaszcza u osób posiadających genetyczne skłonności do megalomani. W naukach technicznych bywa śmiesznie, kiedy „persona” wygłasza poglądy z przekonaniem, że dokonała ogromnego odkrycia i albo gada głupstwa, albo rzeczy dla specjalistów oczywiste (a bywa gorzej, wyczytane w Wikipedii). Smutnym jest też, kiedy wszystkie (no prawie) zlecenia, oferty przychodzące na Wydział łądają w zespołach z istotnym udziałem dziekana lub jego totumfackich. Za czasów Klicha w szczegółowych sprawach technicznych, omawianych na spotkaniach z przemysłem prosił o udział w nich specjalistów, a przychodzące zlecenia, bywało, łądowały za jego pośrednictwem w Katedrach.

Dbął o tradycje górnicze. Przywrócił tradycyjny „pochód lisów” – o czym napiszę oddzielnie.

Z współpracujących z nim wymienię dr. inż. J. Winzera, wspaniałego organizatora dydaktyki, prodziekana w następnej kadencji u prof. P. Czaji. On (chyba) był pomysłodawcą powołanych przez dziekana rad programowych kierunków. Uporządkowano w dużym stopniu programy studiów, pozwalając, choć na trochę odejść od zasad: pierwszej – „każdy ważny ma mieć swój przedmiot w kształcie w jakim chce” i drugiej – „Katedra dziekana (pro) ma mieć pierwszeństwo w otrzymywaniu zleceń na prowadzenie przedmiotów”. Niestety, odejście było czasowe i jego następcy zaczęli wracać do niechlubnej tradycji z podkreśleniem powiedzenia: „dziekan (pro) ma zawsze rację, zwłaszcza, jeśli w imię słuszných celów reformuje programy studiów”. Zasadę tę rozwinę dalej, bo skutkuje wieloma szkodami. Dziekan Jurek, po odejściu z funkcji podjął się (nie bez sprzeciwu) poprowadzić organizacyjnie duży temat (zlecony przez NCBR), dotyczący zgazowania węgla. Realizowałem go z współpracownikiem (dr. inż. R. Pomysłką) wycinkowe zagadnienie zagospodarowania odpadów. Wracając do

Jurka, podziwiałem go, żadne pieniądze nie byłyby w stanie przekonać mnie do pełnienia tej funkcji. Pod jego szefowaniem projekt skończył się sukcesem.

Następcą profesora J. Klicha został jego prodziekan, **prof. dr hab. inż. Piotr Czaja**²³⁰. Otrzymał Wydział w bardzo dobrej kondycji. Na początku nie było więc zadań specjalnej troski. Oczywiście (zwłaszcza w drugiej kadencji) pojawił się problem w rozliczeniach rocznych „wyjścia na 0”. Kryzysu jednak nie było. Osiągnięciem Wydziału w czasie jego kadencji, było uzyskanie praw doktoryzowania na dwóch kierunkach (Budownictwo oraz Zarządzanie i Inżynieria Produkcji) oraz praw habilitowania na Inżynierii Środowiska (pierwsze prace rozpoczął dziekan J. Klich). Sukces, jak zwykle, ma wielu ojców, więc i w tym przypadku pierś do orderów wypina wielu. Myślę, że swój istotny udział mieli również, dziekan poprzedni (prof. J. Klich) i były rektor, aktualnie w czasie przyznawania, przewodniczący CK prof. A. Tajduś. O przygotowujących wnioski („tony” papieru) tylko wspomnę. Dla Inżynierii Środowiska najpierw robiła to dr hab. inż. Wiktoria Sobczyk, potem prof. dr hab. Stanisława Sanak-Rytlewska.

W czasie kadencji dziekana P. Czaji Wydziałowi przydarzyła się „wpadka”. W ocenie ministerialnej spadł niżej, o jedną kategorię. Oczywiście nie winię dziekana, bo na ocenę pracują wszyscy. Ale musiał podjąć jakieś kroki. I jeśli o coś się z nim spierałem to o ich skuteczność. Ulubionym zajęciem prof. P. Czaji było kultywowanie tradycji. Rozbudował „Pochód lisów”, spotkanie z przemysłem i mszę Barbórkową – nabrały blasku. Również spotkanie gwarków ilościowo się niezwykle rozrosło (niestety pojawiły się, dla mnie nieciekawe akcenty, ale będę pisał o nich przy innej okazji). Lubił też wyjazdy zagraniczne. Wraz ze swym najbliższym współpracownikiem, prof. M. Całą podjął działania nad doprowadzeniem do lepszej współpracy międzynarodowej, celem „umiędzynarodowienia” studiów. Efektem była, kilkunastoosobowa grupa studentów z Wietnamu

²³⁰ **Prof. dr hab. inż. Piotr Czaja** urodził się w 1948 r. Ukończył krakowskie technikum górnicze, a następnie Wydział Górniczy AGH (1973). W trakcie studiów aktywnie uczestniczył w pracach ZSP, w szczególności w organizacji praktyk studentów – górników. Po studiach działania te (pod kierunkiem prof. B. Barchańskiego) kontynuował przez wiele lat, najpierw w NRD, po 1980 r. w RFN, praktycznie do ich zakończenia z przyczyn likwidacji w zaprzyjaźnionej kopalni Ibenbüren. Doktorat (1982), habilitacja (2002), tytuł profesora (2012). Specjalista z zakresu budownictwa podziemnego, głębinia i likwidacji szybów, geotechniki, materiałoznawstwa w zastosowaniu do robót geotechnicznych i górnictwa. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, Odznaką „Zasłużony dla Górnictwa RP”.

(w 2015 r.), Letnia Szkoła Górnictwa, głównie z udziałem studentów z Meksyku (ale nie tylko) i pojedyncze osoby z innych krajów.

Na marginesie wyjazdów, problem „turystyki naukowej”, to moim zdaniem jedna z bolączek polskiej nauki. Tradycją jest, że na różnego rodzaju zagraniczne kongresy, wyjazdy studyjne, konferencje, itp., wyjeżdżają liczne delegacje. Często są to wyjazdy rodzinne („oczywiście” bilet współmałżonki/-ka pokrywa zainteresowany, kto płaci za hotel tam, czy w ramach rewanżu tu przyjeżdżającym nieelegancko dociekać), często z instytucji wyjeżdża, co najmniej dwóch tej samej rangi i kompetencji²³¹. Znam przypadki, kiedy wybitny naukowiec – turysta ma takich wyjazdów kilka w roku. A wszystkie finansowane ze środków publicznych. Myślę, że w prywatnych uczelniach jest jednak inaczej.

Wracając do kadencji dziekana Piotra. Moim osobistym kłopotem z dziekanem było pewne podejrzenie, że zbyt u siebie i swą (autentycznie) ciężką pracą, co skutkowało, że w wielu przypadkach podejmował decyzje bez konsultacji. Co gorsza, dar nieomyślności władzy często przekazywał swoim zastępcom. Ileż to zmian, czasem w błahych, czasem poważniejszych sprawach głosowała Rada Wydziału, bez wcześniejszego omówienia w kompetentnym gronie. A przecież i dla Rady można było przyjąć zasadę obowiązującą w Senacie. Przyjmowany dokument zawsze, przed posiedzeniem powinien być przekazany członkom. W dobie internetu, to żaden problem! Bronił jak niepodległości wiedzy o faktycznym podziale środków na Katedry (ile się o to nawalczyłem – bez skutku). Nie wspomnę, że propozycje szerszego korzystania z członków rady (np. poprzez powołane komisje stałe) przy przygotowywaniu decyzji, również nie znalazły zrozumienia. Czas 7 lat, dla strategicznych decyzji dla Wydziału nie został dostatecznie wykorzystany. Połączenie dwóch Katedr, oczywiście w istniejącej sytuacji, to za mało. W imię (chyba) partykularnego interesu ich kierownictwa (bo innych powodów nie znajduję) nie połączyliśmy dwóch Katedr „eksploatacyjnych”. Nie wykorzystaliśmy też atutu „własnego rektora” oraz możliwości sięgnięcia po fundusze europejskie. Być może jestem niesprawiedliwy, ale to ostatnie lata mej pracy na Wydziale. Chciałbym odchodząc mieć świadomość, że nic mu nie zagraża. A takiej nie mam! Dziekanowanie prof. Piotra przypomina mi trochę premierowanie pana Tuska: „aby była ciepła woda

²³¹ Dowcip z czasów PRL-u: dlaczego milicjanci chodzą parami? Bo jeden umie pisać a drugi czytać!

w kranie"! (Dla kogoś – zwolenników premierowania Tuska, a przynajmniej jednego takiego z grona przyjaciół znam – porównanie może być komplemtem, dla mnie nie). To może nie wystarczyć. Wyzwania niżu demograficznego, zwijanie się górnictwa (przynajmniej tego tradycyjnego węglowego), sztuczność kierunku: zarządzanie i inżynieria produkcji, wyczerpujące się zainteresowanie znaczną częścią oferowanego zakresu: inżynierii środowiska, nie rokują dobrze. Rozwiązań trzeba szukać wtedy, kiedy nie jest źle. Tak to robili wielcy (dla mnie) dziekani: Zabierowski, Tajduś i Klich. Dziekan Piotr, pomimo pewnych prób poprzestał na utrwalaniu stanu zastanego. To może nie wystarczyć – powtórzę. Obym się mylił! Choć muszę dodać, że przyszło mi działać w czasach totalnego sformalizowania dydaktyki (kompetencje, jakość kształcenia, oceny pracowników, sylabusy, procedury i... wie co jeszcze), co zabierało mnóstwo czasu. Niejako „rzutem na taśmę”, nie wytrzymałem i po jednej z Rad Wydziału napisałem do dziekanów i kierowników Katedr list. Przytaczam go poniżej, jako dowód mego pieniactwa:

Wielce Czcigodni Koleżanko i Koledzy!,

Być może zdziwi Was fakt otrzymania mego listu, lektura pierwszych zdań denerwuje, pojawi się ochota odrzucenia („jak śmie mnie pouczać”!!!). Zatem najpierw gorąco proszę: przeczytajcie go do końca, bez uprzedzeń.

Chęć jego napisania pojawiła się po dzisiejszym posiedzeniu RW, ale wiele z treści kształtowało się w mojej głowie od pewnego czasu. „Czarę goryczy” przelała dzisiejsza uwaga (zapewne uczyniona w dobrej wierze), odmawiająca inaczej myślącym prawa do troski o Wydział. Jestem w tym względzie szczególnie czuły od czasu, kiedy około 50 lat temu słyszałem: „kto nie z Miciem, tego zmiciem”. A przecież nie ma jednej „słusznej” drogi, tę wypracowuje się w bardzo długiej i możliwie szeroko prowadzonej dyskusji. A tej brakuje. Kolegium i Państwo Dziekani wzięli ciężar zapewnienia bezpieczeństwa Wydziałowi tylko na swoje barki, z pewnością poświęcając na to wiele czasu i dobrych chęci i (co naturalne) denerwuje Was, jeśli ktoś ośmieli się „sypać piasek w przez Was oliwione łożyska”. A moim zdaniem, sprawa ma się nieco inaczej.

Spędza Wam sen z powiek kategoryzacja, a co się stanie, jeśli pomimo „wypruwania z siebie i innych żył” nie uda się i nie uzyskamy kategorii wyższej? Byłem członkiem zespołu ewaluacyjnego PKE, który miał dostęp do oceny wszystkich jednostek i moim zdaniem nie można tego wykluczyć. Czy Wydział ma upaść? Bitwę zdarza się przegrać, wojny nie wolno. Gdzie jest plan B na taki przypadek? I tutaj wracam do tego,

o czym starałem się mówić wcześniej, do strategii, tej na 3–5 lat do przodu. Jeśli jak najszybciej jej nie wypracujemy, wtedy zacznę z ogromną trwogą myśleć o dalszych losach Wydziału.

Nim nieco szerzej o strategii, krótka, lecz brutalna prognoza:

1. Oprócz Kierunku Budownictwo, za kilka lat, a może już za rok, pozostałe kierunki staną się schyłkowe. Obserwuję to z pozycji szerszej i obym się mylił. Jeśli jednak tak, to gdzie jest plan B?
2. Poziom wielu prac doktorskich i przewodów habilitacyjnych jest niziutki, jak więc mają być publikowane w 40-punktowych czasopismach? (a propos, polecam artykuł K. Wróblewskiego: „PAUza Akademicka” nr 282). Negatywna, lecz niezwykle kompetentna recenzja (zresztą z zewnątrz) jednej z habilitacji, wywołała takie oburzenie, że recenzentka miała obiekcje, by iść na zwyczajowy obiad. Powtarzanie raz odrzuconej habilitacji, też nie przysporzyło nam sławy. Pamiętam czasy, kiedy habilitacje padały, kiedy o tytuł profesora trzeba było się starać drugi raz („wniosek przedwczesny”). Profesorowie: Ryncarz, Wacławik, Lisowski i inni byli dla nas, wtedy młodych, postrachem. A przecież ich „winą” było tylko to, że nie pisali recenzji grzecznościowych. Odsyłam do pamiętników prof. Lisowskiego, gdzie niezwykle wnikliwie i proroczco rozwija temat recenzji grzecznościowych i ich przyszłe skutki. Koleżeństwo (wiem, truizm) polega na pomocy i mobilizowaniu, a nie na poklepywaniu i zapewnianiu: „startuj, załatwię”. I szukamy recenzentów „przychylnych”, niekoniecznie kompetentnych. Wykonujemy recenzje: ja tobie, ty mnie.

To dwie najpilniejsze sprawy do załatwienia i właśnie o nich powinniśmy rozmawiać. Można by oczywiście jeszcze pisać np. o apelach Pana Dziekana o niewykonywanie prac w prywatnych firmach konsultanckich. Przecież, kto je ma, stanowi przedmiot korytarzowych plotek i podawania adresów mailowych. Czy przełożeni tych osób podjęli rozmowy uświadamiające, choćby sondażowe, czy to plotka, czy prawda? Jak się mówi „a”, trzeba powiedzieć „b”!

Wracam jednak do zasadniczego wątku. W moim przekonaniu strategię powinni opracować młodzi. Moje pokolenie już niech tylko głównie służy radą. Na Wydziale jest teraz znowu czas na 40-latków. Przypomnę, że profesorowie: Barchański, Klich, Magda, Szlązak, Tajduś i (nieskromnie) ja rozpoczynaliśmy kariery w tym wieku. Prof. Tajduś stoczył, dzięki Bogu, zwycięski bój o stanowisko dziekana z przedstawicielem poprzedniego pokolenia. Piszę „dzięki Bogu”, bo z współpracownikami ustawił Wydział do przodu na kilka lat. I nie jest to wazeliniarstwo z mej strony. Inne wydziały nam zazdrościły.

W strategii należy zdefiniować nowe (być może czasem bardziej z nazwy) kierunki studiów i specjalności. Może także interdyscyplinarne. Kilka lat temu, w ramach IŚ proponowałem „alternatywne źródła energii”. Znalazłem uznanie tylko u prof. Solińskiego. A dziś robi to Wydział GGiOŚ. Na kierunku IŚ zamiast gospodarki odpadami (kojarzy się kandydatom z opłatami za ich odbiór) od pewnego czasu proponuję „nowoczesne technologie przetwórstwa surowców”, ale być może ktoś wymyśli coś lepszego. Tylko nikt nie chce ze mną o tym rozmawiać. Klimatyzacja się obroni. Górnictwo musi pozostać, ale w mniejszym i bardziej uniwersalnym zakresie. A może bardziej zaakcentować prace rekultywacyjne (wiem, boli). Za to musimy odzyskać na nim prymat w jakości kształcenia. Wydział górniczy „bis” w Jastrzębiu, obojętnie jak się nazywa, uważam za wpadkę. Nic nie osiągniemy a tylko pogorszyliśmy stosunki z P.Śl. Głosowałem przeciw na posiedzeniach RW i Senatu. Najtrudniej będą mieć koledzy z kierunku ZiIP. Tu nie mam pomysłu. Dla nowych kierunków (z pewnością nie 200 osób na I roku) opracowałbym plan podniesienia poziomu i obniżenia zatrudnienia, wykorzystując odejścia 70-latków. To oczywiście tylko hasła, które chętnie rozwinę w dyskusji (by ktoś nie mówił, że nie jestem konstruktywny).

Kadry (gromko za „klasykiem”), jak już wspominałem, zadecydują o poziomie. Tylko te jednostki są mocne, gdzie panuje autentyczna rywalizacja. Wiem, boli, jeśli komuś trzeba powiedzieć, że do nauki się nie nadaje, ale litość w tym przypadku jest złe pojęciem miłosierdzium (wiem, truizm). Nie bądźmy również tak hojni dla bycia życzliwym dla obcych. Choćby dlatego (pominę inne możliwe, mniej czyste moralnie motywy), że pomimo obietnic zasilą konkurentów. Marek Cała proponował kiedyś wydziałową „komisję jakości”. I co? Utknęła w codzienności „zapewnienia ciepłej wody” (trawestując wspomnianą politykę pewnego premiera).

I baza, po okresie inwestycji z początku wieku teraz nie wykorzystaliśmy szansy funduszy strukturalnych, a baza laboratoryjna w niektórych przypadkach cieniutka. I tu brak wizji laboratorium na miarę (medialną) centrum energetyki. [...]

Kończę, na gorąco, późną nocą. Szanowni Państwo, dziękuję za doczytanie do końca. Naprawdę troska o Wydział jest moim udziałem. W tym roku kończę 45. rok pracy, również dla Niego. Wszystko Mu zawdzięczam! I bardzo proszę nie kwestionować tej troski. W przeciwieństwie do innych bycie koniunkturalnym nic mi już nie da, wszystko osiągnąłem. Nie zostałem wprowadzicie ani dziekanem, ani rektorem (na szczęście Antek – pan prof. Tajduś – tę robotę wykonał lepiej ode mnie, a ja miałem okazję ogrzać się w Jego świetle). Nabyłem trochę doświadczenia. Ponad 15 lat przewodzę senackiej komisji ds. pracowniczych. To też doświadczenie. Nie wymądrzam się, nie zależy mi na

rozgłosie. Wiem, że Wydziałowi już wielu punktów nie przyniosę, ale doświadczeniem służyć. I naprawdę doceniam Państwa trudną, zmudną, często (wobec wymogów z góry) ogłupiającą, codzienną, biurokratyczną pracę, ale czas na „nowe otwarcie”.

Życzę szczęścia. Szczęść Boże Wam i Wydziałowi, ale byłbym o Niego spokojniejszy, gdybym znał plan B.

List wysłałem, dziekana poirytowałem, ktoś mi gratulował („ty nie gratuluj tylko się odezwij” – ripostowałem). Odpisał tylko prof. M. Borowski, „młody” prodziekan. Od tego czasu i on należy do grona, w którym upatruję nadzieję Wydziału, choć nie wiem, czy pisząc te słowa nie czynię mu szkody! Nadzieję, choć z czasem z coraz większą rezerwą, pokładam również w młodym profesorze dr. hab. inż. Marku Cała²³², postaci dość kontrowersyjnej, bowiem, z jednej strony to dobrze wykształcony fachowiec, w młodym wieku (jak na naukowców!), posiadający dobre przygotowanie do sprawowania funkcji administracyjnych (przez lata był „przybocznym”, czy jak kto woli „adiutantem” prof. A. Tajdusia) – również na niwie międzynarodowej, z drugiej – niestety, niekiedy dość obcesowy w publicznych wypowiedziach, czasem na granicy dobrego smaku, nabywający wraz ze stanowiskami kilka (dość typowych) przywar. Chyba zachłysnął się sukcesem (w tym finansowym) co skutkuje tendencją do nieomyślności. Jest tak inteligentnym, że – jeśli przeczyta te strony – doskonale zorientuje się o co chodzi. Zwłaszcza, jeśli przypomni sobie – siebie z pierwszej naszej wspólnej wyprawy kajakowej Narwią, kiedy mówił, że w życiu są rzeczy ważniejsze niż...! I późniejszą rozmowę podczas wyprawy ostatniej, na brzegu

²³² **Prof. dr hab. inż. Marek Cała** urodził się 4 lutego 1968 r. w Chrzanowie. Studia ukończył na Wydziale Górniczym (1992), doktorat, pod kierunkiem prof. Henryka Filcka, w 1997 r. (z wyróżnieniem). Habilitacja w 2007 r. Tytuł profesora uzyskał w 2015 r. Zajmował się współpracą obudowy z górotworem, ze szczególnym uwzględnieniem obudowy kotwiowej oraz zjawiskami dynamicznymi w górotworze a także mechaniką gruntów. Będąc również „uczniem” dr inż. J. Flisiaka stosował i doskonalił metody numeryczne w działalności badawczej. Inicjator i wykładowca wielu nowych przedmiotów, główny animator wprowadzania zajęć w języku angielskim. Autor wielu referatów na konferencje międzynarodowe. W latach 2002–2005 pełnił funkcję zastępcy kierownika Katedry Geomechaniki, Budownictwa i Geotechniki ds. współpracy z przemysłem i zagranicą. W latach 2005–2008 pełnomocnik kierownika Katedry ds. współpracy z przemysłem i zagranicą. W latach 2008–2016 pełni funkcję prodziekana Wydziału Górnictwa i Geoinżynierii ds. nauki, finansów i rozwoju.

Niemna, kiedy w grupie pojawiły się problemy! Chciałbym jednak odnośnie niego być optymistą. Marku spełnij moje nadzieje!

Kiedy piszę te słowa toczy się akcja wyborcza dziekana kolejnego. Nie jest mi obojętne kto nim będzie, przez 6 ostatnich miesięcy mojej pracy! Wyborów jednak nie skomentuję (wszystko wskazuje, że „poukładanych”), żeby nie zapeszyć.

Pisząc o dziekanach kilka uwag ogólnych. Jest oczywistym, że sam, nawet najlepszy dziekan wiele nie robi. A „koń jaki jest każdy widzi” (to ulubione moje powiedzenie, więc pojawia się i pewno pojawi, kolejny raz)! Jakoś wśród młodych (oprócz dwóch, trzech, poza wymienionymi – dam im szansę i nie podam nazwisk i tym razem by nie zapeszyć!) nie widać liderów z pomysłami, chętnych do pracy (widać za to chętnych do obejmowania funkcji). Stąd też nie jest łatwo. Ale dziekan może i powinien stymulować kierunek rozwoju Wydziału. Jeden warunek – sam musi mieć wizję. Wizję przegadaną z tymi, którzy też coś chcą, którzy mają szerszy ogląd, doświadczenie i tymi, którym już nie zależy na funkcjach. Narady części samodzielnej Rady Wydziału poświęcone dyskusji o jego przyszłości, nawet wyjazdowe i zakrapiane (dla rozluźnienia), nie wniosą nic jeśli sprowadzą się (jak te do tej pory) do wygłoszenia przez władze „jedynie słusznych” planów. Ktoś zapyta: „a co ty zrobiłeś, gdzie byłeś”? Nieskromnie, mam udział w utworzeniu „gospodarki odpadami”, która to specjalność przez kilka lat była „na topie”. Kiedy zorientowałem się, że się wyczerpuje zaproponowałem dziekanowi Klichowi by w ramach inżynierii środowiska utworzyć specjalność: „niekonwencjonalne źródła energii” – pisałem o tym. Nie udało się go przekonać. Dużo by pisać dlaczego. Kilka lat później uczynił to Uniwersytet Rolniczy i nasz wydział geologiczny (w skrócie). I dobrze na tym wyszli. Myślałem też o specjalności: „sekwestracja CO₂”, też nie znalazłem zainteresowania. Piszę o tym, nie dlatego by się chwalić czy tłumaczyć, podaję to tylko jako przykłady niezrealizowanych, nawet nie poddanych do dyskusji możliwości. Z pewnością i inni mieli jakieś plany, może lepsze. Nie wiem jednak czy z nimi wychodzili. Na szczęście prof. A. Tajduś miał taką siłę przebicia, że „jego dziecko” – budownictwo, kwitnie i jeszcze parę lat (jeśli uda się poszerzyć kadrę o młodych samodzielnych) będzie dla Wydziału motorem. Czy wystarczającym?

Na zakończenie tych kwestii kilka słów ogólniejszych. Dziekaństwo (jak i rektorstwo, ale w nieco innym wymiarze) niesie ze sobą szereg pokus!

Fragmentarycznie pisałem o nich, ale przypomnę:

- 1) monopol na wiedzę, nie tylko w zarządzaniu Wydziałem, w dydaktyce (z „przyjemnością” wysłuchuję zdania dziekana o sposobie prowadzenia przedmiotu, o którym nie ma zielonego pojęcia), ale również wszechwładzę górnictw i nie tylko. Jak wspaniale udziela się wywiadów „na każdy temat”, a przecież na wydziale są specjaliści i wskazanie ich, tylko podnosi prestiż wskazującego;
- 2) z nim łączy się przejmowanie zleceń przychodzących na Wydział. Jeśli już nie zespół dziekana je realizuje, to dziekan kieruje zespołem doraźnie powołanym. Nie traktuje Wydziału jako potencjalnej wartości naukowej. Interes własny i kilku kolegów (kolesiów, spółdzielni... i można by mnożyć) góruje! („Kasa Misiu”!) Nie jestem pewien czy to przekłada się na merytoryczny poziom wykonanej pracy, a na pewno negatywnie na „stosunki międzyludzkie”;
- 3) kolejna pokusa, również łącząca się z pierwszą. Udział w charakterze eksperta w naradach na „dowolny temat”, w których o udział Wydział jest proszony. Znowu, czy nie ma kompetentniejszych na wydziale?
- 4) tak samo, tylko w charakterze eksperta w komisjach doradczych;
- 5) przekonanie o konieczności uświetniania każdej imprezy, na którą przyjdzie na Wydział zaproszenie, im więcej potencjalnych prominentów, tym ważniejsza. A przecież można promować młodych, a czasem nie firmować „kanapowych” posiedzeń;
- 6) dopisywanie się innym do autorstwa referatów na konferencje o charakterze problemowym, lub występowanie jako „autorytet” w nie swojej problematyce, ułatwiony istnieniem Wikipedii;
- 7) nerwowość w reagowaniu na krytykę, skutkująca próbą odgrywania się na krytykującym;
- 8) skłonności do licznych, często „turystycznych” wyjazdów zagranicznych.

Pewnie jest ich jeszcze więcej. Można je jednak podsumować stwierdzeniem: broń Panie Boże Wydział przed dziekanem, który stanowisko to potraktuje, jako sposób na wzbogacenie się i wypromowanie własnej osoby. Niestety, z bólem serca – takie zagrożenie realnie widzę, bo czasy temu sprzyjają! Coraz częściej i w nauce, coraz więcej spraw „się załatwia”. Ale, żeby wspomnień o moich dziekanach nie kończyć w tonie minorowym – na szczęście, w zdecy-

dowanej większości byli na te pokusy odporni, więc może moje obawy się nie spełnią! Pozostaną krakaniem!

Zgodnie z hierarchią powinienem teraz napisać o kierownikach Katedr, ale... Tych pierwszych opisałem, potem długie lata sam sobie byłem sterem. Dwóch ostatnich, to wspomniany prof. S. Wasilewski i z młodego pokolenia dr hab. inż. Dariusz Foszcz. Profesor Stanisław (biogram zamieściłem) „przeflancowany” z JBR-u, miał kłopoty z aklimatyzacją, tym bardziej, że przechodził na raz dwie. Do Uczelni i do Instytutu PAN-owskiego (drugi etat). W obu panują dość znacznie różniące się warunki. Cierpiał, bo z poprzedniej pracy wyniósł przekonanie, że z szefem (jakim by nie był), nie wolno się nie zgadzać. A tu przeciwnie, podstawą egzystencji jest walka o swoje. „Jak się sam nie będziesz szanował to nie licz na uznanie” – mówiłem mu wielokrotnie. I mimo, że miewałem rację, dalej mnie nie słuchał! Na dodatek, tam pracujący w zespole, którym kierował, tu takowego się nie dobił! Nie wypada referować osobistych powodów, które spowodowały, że na stare lata zmienił pracę, ale myślę, że w tych nowych nie jest najszcześliwszy. Na dodatek, mając ode mnie diametralnie inne preferencje polityczne denerwował się ogromnie przy każdej naszej politycznej dyskusji. Ale porządny chłop!

Drugiemu, pewno ostatniemu memu kierownikowi, odpuszczę, bo pełni funkcję krótko i nie zdążył mi „zajść za skórę”.

Rówieśnicy i inni

Jak wspominałem, z punktu widzenia „zasilenia Uczelni” w świeże siły byliśmy rokiem „płodnym”. Oprócz mnie na asystenckich studiach przygotowawczych zostało 10 kolegów. Mogę do nich doliczyć tych, którzy skończyli studia tuż przed nami i tych co tuż po. Jednym wiodło się lepiej innym gorzej. Spędziliśmy razem, co najmniej czterdzieści kilka lat (ci, którzy nie dobili się habilitacji poszli nieco wcześniej na emeryturę) i jakoś chciałbym i im poświęcić w tych wspomnienio-zapiskach słów kilka. Przez przynajmniej 30 lat byliśmy podstawową kadrą „niższego szczebla”, na której opierał się Wydział. Do naszego grona doliczę również (ale już tylko z naszego rocznika rozpoczęcia studiów) kolegów wiertników, którzy od 1967 r. przeszli na nowoutworzony Wydział Wiertniczo-Naftowy, będąc drugimi jego absolwentami. Uczynię to w popularnej konwencji – alfabetu. W nawiasie podaję rok ukończenia studiów.

Batko Paweł (1969) – dr hab. inż. Odkrywkarz i specjalista z techniki strzelniczej. Współtwórca laboratorium techniki strzelniczej w Regulicach. Doktorat w 1979 r., habilitacja w 2002 r. Zastępca kierownika Katedry. Inicjator utworzenia, wieloletni członek, prezes zarządu unikatowego Stowarzyszenia Polskich Inżynierów Strzałowych. Od 2015 r. emeryt.

Branny Marian (1970) – dr hab. inż. Kolega z roku, nie do końca spełniona nadzieja hydromechaniki. Dlaczego, bo się uparł i nie złożył wniosku o tytuł! Cztery lata po studiach doktorat (1974), ale z habilitacją się grzebał (2001). Zajmował się wentylacją nietypowych przestrzeni i klimatyzacją kopalń. Po trud-

nych dla studentów czasach prof. Alfreda Trzaski – chodząca dobroć. Emeryt od 2016 r.

Brożek Marian (233) – prof. dr hab. Fizyk, absolwent UJ. Jeden z grona „interdyscyplinarnego” zespołu zorganizowanego w przeróbce przez prof. Kazimierza Sztabę. Zajmował się metodami fizycznymi. Doktorat uzyskał w 1980 r., habilitację w 1997 r., tytuł profesora w 2006 r. W latach 1999–2002 kierował Katedrą. Organizator „Solidarności” na wydziale. W ostatnim roku pracy, smutne, ciężko zachorował i niestety zmarł w sierpniu 2016 r.

Chrzęszcz Waclaw (1970 W²³⁴) – dr inż. Prawie mój krajan, bo z Biecza. Najślynniejszy stylista pisma. W swoim czasie wszystkie blankiety oficjalnych zaproszeń graficznie opracowywał Wacek. Już w czasie studiów zawsze miał kolejkę do wypełniania indeksów. Zawodowo zajął się głównie opróbowaniem złóż i dowiercaniem. Doktorat uzyskał w 1978 r., na emeryturę przeszedł w 2009 r.

Czaja Piotr (1973) – prof. dr hab. inż., wspominany przeze mnie wielokrotnie.

Dubiel Stanisław (1970 W) – prof. dr hab. inż. Jak większość wiertników z Podkarpacia (Umieszcz). Przeszedł całą karierę naukową, a więc doktorat w 1978 r., habilitacja w 1991 r., tytuł w 2001 r. Zajmował się geologią złożową i zagadnieniami środowiskowymi w wiertnictwie. Odszedł na emeryturę w 2015 r.

Flisiak Jerzy (1972) – dr inż. Wybitny specjalista, o czym pisałem, ale i wspaniały dydaktyk. Dla mnie przede wszystkim kompan spływów, mój nauczyciel kajakarstwa. Doskonały zapiewało pieśni biesiadnej. Jego „Bradiagę” będę pamiętał do końca życia. Z serii przyjaciół, „których się nie zapomina”! Emeryt od 2014 r.

Flisiak (Kołodko) Danuta (1974) – dr inż. Urodziła się w 1949 r., studia na Wydziale Górniczym ukończyła w 1974 r., doktorat w 1978 r., specjalistka z zakresu mechaniki górotworu w szczególności solnego, geotechniki, budownictwa specjalnego. Wieloletni zastępca redaktora naczelnego Wydawnictw AGH, zastępca kierownika Katedry Geomechaniki, Budownictwa i Geotechniki. Złoty Krzyż Zasługi. Wspaniała towarzyszka spływów kajakowych i wybitny fachowiec w zbieraniu i przetwarzaniu grzybów. Z Jurkiem (mężem) mieliśmy cie-

²³³ Tak oznaczam pracowników, absolwentów innych uczelni.

²³⁴ Tak oznaczam absolwentów Wydziału Wiertniczo-Naftowego.

kawe plany na emeryturę. No ale Pan Bóg inaczej zaplanował – zmarła w 2015 r. – smutno.

Gałaś Zdzisław (1970) – dr hab. inż. Po studiach rozpoczął karierę naukowca pod okiem prof. A.S. Trembeckiego. Doktorat w 1977 r., habilitacja w 1992 r. Ta druga związana była z „przestrzeniami Trembeckiego”, co na kolokwium wywołało burzliwą dyskusję. Może słusznie, bo szukam tego pojęcia w Wikipedii (a jednak!) i nie znajduję. Zacięty przeciwnik palaczy, tropiący ich nawet w toaletach. Działacz ZNP.

Głodzik Stanisław (1972) – dr inż. Po skończeniu studiów podjął pracę w Uczelni w obsłudze badań naukowych. W latach 90. minionego wieku przechodzi na etat pracownika dydaktycznego. W 2001 r. broni doktorat, przechodząc na stanowisko adiunkta. Na emeryturę przechodzi w 2013 r.

Hałat Włodzimierz (1971) – dr inż. Po studiach podejmuje pracę w Instytucie Geomechaniki. Doktorat uzyskuje w 1980 r. Pasjonuje się modelowaniem numerycznym. Bezkompromisowy w dyskusjach naukowych. Do historii przeszła jego wymiana zdań z jednym z luminarzy nauk górniczych, podczas której zaprezentował jego rysunek z dorysowanym aniołkiem, podtrzymującym jakiś element obudowy i z pytaniem: „to aniołek to trzyma”? Dla studentów niezwykle wymagający, wręcz przysłowiowo. Aby uzyskać zaliczenie – to trzeba było naprawdę umieć. Wrażliwy na punkcie własnej wartości. Kiedyś przyszedłem do niego i mówię: „Włodek mam doktoranta, któremu trzeba coś policzyć (chodziło o zamodelowanie), ma na to pieniądze”. „Czy będę mógł to opublikować”? – spytał. „Nie, bo pierwsze to żadne odkrycie, a po drugie mówiłem ci, że potrzebuje to do doktoratu, może zaznaczyć, że modelowanie wykonałeś ty”. – „Jak nie mogę opublikować to mnie to nie interesuje” – odpowiedział. Na emeryturę przeszedł w 2013 r.

Ideć Danuta (1972) – dr inż. Należała do grona nierzucających się w oczy. Skromna działaczka Solidarności, zawsze chętna do pomocy innym. Doktorat w 1981 r. Zajmowała się problematyką głębinienia szybów i zabezpieczaniem zażytkowych komór. Zmarła w 2001 r.

Jabłońska-Firek Barbara (1971) – dr hab. inż. Absolwentka „ekonomiki”, po studiach zostaje w dyplomującym instytucie. Doktorat uzyskuje w 1979 r., habilitacja 1993 r. W trakcie jej kolokwium poznałem, wspominanego prof. A. Lisowskiego, będącego „postrachem” habilitantów. W tym przypadku nader łagodnego, bo ilościowy dorobek habilitantki był nader skromny. Obok doc. dr

inż. W. Krawczyka, podjęła na wydziale tematykę ekonomicznych aspektów ochrony środowiska w górnictwie. Pełniła funkcję pełnomocnika rektora ds. Studenckich Kół Naukowych Pionu Górniczego. Przeszła do szkoły prywatnej.

Jagiello Wiesław (1971) – mgr inż. Wspominam o nim, mimo, że był pracownikiem technicznym, ale pełnił funkcję zastępcy dyrektora Instytutu. Po ukończeniu studiów zawędrował do kopalń rybnickich. Mieszkając w Krzeszowicach ciężył do Krakowa. Prof. Maciejasz umożliwił mu pracę w instytucie (1977) i objęcie wspomnianej funkcji. W latach 90. ubiegłego wieku wziął bezpłatny urlop i kilka kadencji w Krzeszowicach pełnił funkcję burmistrza. Z Uczelnią rozwiązał umowę w 2002 r.

Kaliski Maciej (1970 W) – prof. dr hab. inż. Wiertnik, ale może bardziej menedżer. Pracę w Uczelni łączy z pracą, najpierw w przemyśle cementowym (Koncern Lafarge), potem w Ministerstwie Gospodarki (dyrektor departamentu, wiceminister). Doktorat w 1975 r., habilitacja na Politechnice Śląskiej w 1990 r., tytuł profesora w 2007 r. Specjalista z organizacji i zarządzania w przemyśle wiertniczo-naftowym.

Kęska Jerzy (1970) – dr inż. Kolega z roku, choć żadne wspomnienie się z nim nie łączy. Podjął pracę w górnictwie odkrywkowym. Doktorat z eksploatacji otworowej siarki zrobił u prof. A. Dunikowskiego²³⁵. Wobec problemów z habilitacją wyjechał za granicę.

Kicki Jerzy (1972) – dr inż. Jeden z najaktywniejszych pracowników z mojego pokolenia, a w szczególności kreatywnych. Już na poprzednich stronach to uzasadniłem. Pewno już nigdy się nie dowiem dlaczego nie zrobił habilitacji?

Kohutek Zdzisław (1970) – dr inż. Absolwent studiów doktoranckich (1974), kilka miesięcy spędził w RFN, w ramach stypendium Humbolta. Zajmował się budownictwem podziemnym, ale z pasją – ratowaniem podziemi zabytkowych

²³⁵ **Prof. dr inż. Andrzej Dunikowski** urodził się 3 czerwca 1919 r. w Krakowie. Ukończył studia w Akademii Górniczo-Hutniczej (w 1948 r.), jeszcze jako student rozpoczął pracę w Katedrze Górnictwa I i Przeróbki Mechanicznej (od 1946 r.). W 1956 r. obronił pracę doktorską, w 1957 r. został powołany na stanowisko docenta, w 1970 r. otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego. W latach 1959–1966 kierował Zakładem Obudowy Górniczej w Katedrze Głębiania Szybów i Obudowy Górniczej. W latach 1964–1969 pełnił funkcję Prodziekana Wydziału Górniczego. W latach 1966–1969 był założycielem i kierownikiem Katedry Robót Górniczych Odkrywkowych. Był organizatorem i dyrektorem w latach 1969–1979 Instytutu Górnictwa Odkrywkowego oraz kierownikiem Zakładu Górnictwa Otworowego i Hydromechanizacji w Instytucie. Zmarł 15 listopada 1989 r. w Krakowie.

miast, o czym pisałem, wspominając jego monografię. Zastąpił tłumaczeniem się rektorowi, że nie odbył zajęć, bo nie miał na Uczelni gdzie zaparkować. Ubocznie zaangażował się w Stowarzyszeniu Producentów Betonu. Na emeryturze od 2013 r.

Kowalczyk Bogusław (1972) – dr inż. Absolwent „dyrektorskiej” sekcji – Projektowanie i Budowa Kopalń. Specjalista od zagospodarowania złóż i projektowania technicznego kopalń. Doktorat 1983 r. Zmarł w 2004 r.

Koziół Wiesław (1969) – prof. dr hab. inż. Urodził się w 1944 r., studia ukończył w 1969 r. Rozpoczął pracę w Katedrze Ekonomiki i Organizacji Górnictwa na Wydziale Górniczym AGH. Pracę doktorską obronił w 1974 r. Stopień doktora habilitowanego nauk technicznych uzyskał w 1983 r., tytuł profesora otrzymał w 1996 r. W latach 1988–1990 był zastępcę dyrektora Instytutu Górnictwa Odkrywkowego. W latach 1990–1996 był prodziekanem Wydziału Górniczego, a w latach 1993–1996 będąc prodziekanem był równocześnie członkiem Senatu AGH i członkiem senackiej Komisji ds. Dydaktyki. W 1996 r. powołany został na kierownika Zakładu Technologii, Zarządzania i Inżynierii Środowiska w Górnictwie Odkrywkowym i doprowadził do zmiany nazwy Zakładu na Katedra Górnictwa Odkrywkowego. Kierownikiem był do 2012 r. Od 2003 r. przewodniczący jury nagrody im. prof. Henryka Czeczotta. Główne kierunki badań naukowych, to: zagospodarowanie złóż i terenów górniczych; dobór i ocena technologii eksploatacji odkrywkowej; eksploatacja złóż zalegających w trudnych warunkach geologiczno-górnicznych; efektywność procesów górniczych, systemu transportu; składowanie odpadów. Z licznych gremiów, w których zasiadał należy wymienić funkcję wiceprzewodniczącego rady naukowej Instytutu Górnictwa Odkrywkowego Poltegor-Institut oraz członka rady naukowej Instytutu Mechanizacji Budownictwa i Górnictwa Skalnego. Na emeryturę przeszedł w 2015 r.

Kuczyńska Iwona () – dr inż. Absolwentka Wydziału Ceramicznego AGH (1970). Miałem przyjemność korzystać z jej doświadczenia przy organizacji dydaktyki na Inżynierii Środowiska. O innych zasługach pisałem w biogramie.

Kuśnierz Jerzy (1973) – dr inż. Młodszy brat mojego kolegi ze studiów. Pozostaje w Zakładzie budownictwa. Doktorat broni w 1982 r. Po zmianach ustrojowych rezygnuje z „robienia nauki” i odchodzi do własnego biznesu.

Lewicki Józef (1969) – dr inż. Ma w życiu dwie pasje, które ujawnił w Uczelni. Są nimi piłka nożna i wyburzanie obiektów techniką strzelniczą. Pierwsza

spowodowała, że w latach 70. ubiegłego wieku uprawialiśmy swoisty piłkarski toto-lotek. Przed każdą kolejką ligową, Józek dzwonił i zbierał typy wyników meczy. Opracował punktację za: trafiony wynik, trafionego zwycięzcę (w wariantach uwzględniających odchyłkę ilości goli) i w poniedziałek podawał uzyskane przez nas miejsca. Oczywiście był zwycięzcą rundy i mistrzostw. Zwykle lokowałem się w strefie średniej. Druga miłość rozkwitła, kiedy firmom, nie wojskowym, pozwolono używać materiałów wybuchowych do celów cywilnych. Mógł to robić z Pawłem Batką i Ryśkiem Morawą, a zabezpieczenie środków strzałowych zapewniało laboratorium w Regulicach. Z ogromnym zaciekawieniem i przyjemnością oglądałem film z akcji „kładzenia” komina. Całą karierę robił będąc odkrywkarzem. Doktorat zrobił w 1978 r. Na emeryturę przeszedł w 2010 r.

Marciniak-Kowalska Jolanta () – dr hab. Ukończyła chemię na UJ. Pracę w Uczelni podjęła w 1971 r. Doktorat w 1978 r., habilitacja w 2003 r. Specjalistka z zakresu klasyfikacji przepływowej, chemii środowiska, przeróbki chemicznej surowców. Kierowała Katedrą Przeróbki Surowców Mineralnych i Ochrony Środowiska.

Mazurek Jakub (1972) – dr inż. Urodził się w 1947 r. Studia na Wydziale Górniczym AGH ukończył w 1972 r., doktorat w 1981 r., specjalista z mechaniki gruntów i geotechniki. Współtwórca i wieloletni kierownik Laboratorium Badania Własności Skał i Wyrobów Kamieniarskich. Towarzysz splywów kajakowych. Pięknie śpiewaliśmy w duecie pieśni biesiadne, ciągnąc „górne C”.

Mikołajczyk Władysław (1970) – dr inż. Jeden z tych kolegów ze studiów, który mając wcześniejsze doświadczenia z pracy w kopalni był dla nas autorytetem. Potem, o czym wspominałem zapewnił mi przy staraniu o etat naukowca stosowny papier z organizacji studenckiej. Sam zostając na Uczelni oddał się najtrudniejszej problematyce (tak wtedy powszechnie uważaliśmy), czyli hydromechanice. Stanowił duet z wspomnianym Marcysiem Brannym. Nie przepuszczał żadnej imprezie górniczej, w Uczelni i w tych organizowanych przez Stowarzyszenie Wychowanków AGH²³⁶ w kopalniach. Doktorat zrobił,

²³⁶ Nie wspominałem o nim do tej pory. Jest organizacją zrzeszającą wychowanków uczelni. Będąc członkiem (znaczy płacąc składki) sporadycznie uczestniczyłem w spotkaniach górniczych w kopalniach. Najmilej wspominam zorganizowane przez kolegę z roku, a równocześnie „mego” doktora – mgr inż. Henia Pawełczyka (wtedy naczelnego dyrektora KWK „Katowice”) w Katowicach.

jako efekt studiów doktoranckich, w 1974 r. O habilitacji nie chciał słyszeć. Na emeryturę odszedł w 2010 r.

Mikoś Tadeusz (1966) – dr hab. inż. Jest nieco starszym od mojego pokolenia, ale naukowo odnalazł się stosunkowo późno i to w zagadnieniach unikalnych, że „zasługuje” na wzmiankę. Po studiach, pod kierunkiem prof. Z. Strzeleckiego, zajął się budownictwem górniczym. Doktorat broni w 1973 r. Nie wchodzi do zespołu „ratującego miasta” (prof. Z. Strzeleckiego), ale, „po cichu” zaczyna się interesować tą tematyką. Skrzydła rozwija po śmierci profesora przerastając mistrza, bo podejmuje prace rewaloryzacyjne za granicą (Rumunia). Interesuje się również „reliktowymi” obiektami górniczymi, nawet z przeszłości. Współpracując z wybitnym naszym mineralogiem (prof. Maciejem Pawlikowskim) opisał kamieniołomy starożytnego Egiptu. Dla mnie najciekawsze są jego opisy starych kopalń rud z terenu Polski. Z zagadnień rewitalizacji obiektów podziemnych habilituje się w 2007 r. Na emeryturę przechodzi w 2015 r.

Morawa Ryszard (1970) – dr inż. Najprzystojniejszy z naszego roku. Po studiach zajął się problematyką górnictwa odkrywkowego. Doktorat w 1978 r. Specjalista z zakresu techniki strzelniczej, wraz z J. Lewickim i P. Batką pionier wyburzania obiektów kubaturowych techniką strzelniczą. Współtwórca i wieloletni kierownik unikalnego Centralnego Laboratorium Techniki Strzelniczej i Materiałów Wybuchowych w Regulicach. Nieoceniony członek „trupy” prowadzącej barbońkowe spotkania gwarków. Nieoceniony w organizacji zjazdów koleżeńskich naszego roku. Jesteśmy mu za nie ogromnie wdzięczni. Na emeryturze od 2014 r.

Mruk Kazimierz (1969) – dr hab. inż. Najbardziej tragiczna postać, jaką spotkałem w życiu uczelnianym. Dzieciństwo (chyba?) w sierocińcu. Wczesny związek z „opieką” systemu komunistycznego, ustawia mu życie. Podejmuje pracę w kopalni. Organizacja młodzieżowa kieruje go najpierw do technikum, potem na studia. Nie znam akt IPN-u, ale mam przekonanie (graniczące z pewnością), że skierowanie do pracy w Uczelni wiązało się również z innymi zadaniami. Uczyniono mu krzywdę, bo wracając do kopalni byłby dobrym inżynierem. Tutaj biedak miotał się z przygotowaniem i prowadzeniem dydaktyki i badaniami. Nie wiem z czyjej podpowiedzi zajął się nowym tematem: wpływ czynników biometeorologicznych na wypadkowość. Doktorat z pomocą kolegów statystyków zrobił w 1969 r. Temat kontynuował w dociekaniach habilita-

cyjnych. I te go już znacznie przerosły. Z racji nieudokumentowanych podejrzeń nie mogę podawać nazwisk „prominentów” promujących go w tych staniach. Być może ich pobudki były natury humanitarnej (!?) Integralną częścią dociekań była i tym razem statystyka i statystyczne opracowanie wyników. Pamiętam jego seminarium (pracowaliśmy w jednej jednostce), na którym doc. dr inż. Jerzy Zacharzewski²³⁷ przerywa mu referowanie i mówi: „panie Kaziu, niech pan nie pieprzy, że wzrost ilości wypadków pod ziemią spowodowały plamy na słońcu. Przecież pan powinien wiedzieć, że w tym roku zmieniono zasady zaliczania pewnych zdarzeń do wypadków i to spowodowało ich ilościowy wzrost”. Po wielu bojach kończy pozytywnie przewód habilitacyjny (1992). I znowu wspomnienie. Idę pod budynkiem A-4, w którym odbywa się kolokwium i widzę prawie biegnącego prominentnego profesora. Pytam: „co się dzieje”? – słyszę: – „muszę zdążyć na głosowanie, bo to taka ciekawa praca”! Tragedia do jakiej doprowadził we wrześniu 1993 r. wiązała się z jego życiem prywatnym, o czym trudno pisać. Może tylko tyle, że wydarzenia, w jakich uczestniczył znacznie przerosły realia tzw. „sprawy Gorgonowej”. Po perturbacjach sądowo-karnych, z ciężką gruźlicą (na którą cierpiał w młodości – reaktywowaną w zakładzie karnym) wrócił do domu i zmarł w 1996 r. Postać tragiczna, z pewnością (chyba nieładnie, że to piszę) mogąca być bohaterem filmu, czy powieści.

Nawrat Stanisław (1972) – prof. dr hab. inż. Jeden z tych, którzy Wydział „zasilili” po latach pracy w przemyśle (1999). Doszedł w nim do stanowiska wiceprezesa Jastrzębskiej Spółki Węglowej. W trakcie pracy w kopalni uzyskał doktorat (1989) i habilitację (2000). Kontynuując badania w Uczelni nadal zajmuje się problematyką zagrożeń gazodynamicznych. Posiada oryginalne rozwiązania pozwalające na odzysk metanu z powietrza kopalnianego odprowadzanego szybem wentylacyjnym. Blisko współpracuje z górnictwem chińskim. Profesurę uzyskuje w 2015 r.

Nowak Bernard () – prof. dr hab. inż. Studia kończy na Wydziale Elektrotechniki Górniczej i Hutniczej. Pracę podejmuje w Instytucie Górnictwa Podziemnego w 1973 r. w tematyce klimatyzacji kopalń. Doktorat broni w 1981 r.

²³⁷ **Doc. dr inż. Jerzy Zacharzewski** (1932–2000). Studia na Wydziale Górniczym (1955), Pracował w jednostkach zajmujących się bezpieczeństwem pracy w kopalniach. Doktorat uzyskuje w 1964 r. W 1969 r. w ramach nominacji „marcowych” zostaje docentem.

Kontynuując swe zainteresowania przygotowuje rozprawę habilitacyjną. W przewodzie uzyskuje jedną recenzję negatywną (od recenzenta z Wydziału). Jestem na kolokwium i po cichu myślę: „czy jej negatywność nie wynika z obrony monopolu wśród samodzielnych”? I takie rzeczy w nauce się zdarzają. Kolokwium kończy się pozytywnie (1991). Potem Bernard już nie ma problemów. Profesurę uzyskuje w tym samym roku co ja, tj. w 1998 r. Nie daje się wrabiać w „wielkie funkcje” – wymiguje się stanowiskiem kierownika Studium Doktoranckiego.

Ociepa Zofia (1969) – dr inż. Pani doktor przez kilka lat pracowała ze mną „w jednym korytarzu”, a ilość spotkań pewno mógłbym policzyć „na palcach”. Niezwykle cicha i skromna, choć ceniona przez kolegów, czego dowodem są wybory na delegatkę do Rady Wydziału. Ma to miejsce w latach stanu wojennego i przełomu. Po studiach pozostaje w dyplomującej jednostce (przeróbka). Doktorat uzyskuje w 1977 r. Jej główna specjalność to flotacja. Na emeryturze od 2003 r.

Piotrowski Zbigniew (1972) – nieodżałowany przyjaciel, wielokrotnie wspominany – Zbyszku bardzo mi Ciebie brak, ale w jakimś stopniu jesteś współautorem tych stron!

Poparda Tadeusz (1970) – mgr inż. Po skończeniu studiów, z niewiadomych powodów, wtedy prorektor R. Ney, zaproponował mi zorganizowanie Ośrodka Badań Naukowych – jednostki, która miała koordynować badania w Uczelni. A był to okres, kiedy pojawiły się tematy i projekty różnego szczebla. Ośrodek dzielił środki uczelniane, miał wpływ na zagraniczną wymianę. Odszedł na rentę w latach 90. minionego wieku.

Postawa Jacek (1971) – dr inż. Drugi, obok Zbyszka Piotrowskiego mój najdawniejszy przyjaciel. Poznałem go na pierwszym roku studiów, kiedy to przyszedł do nas po urlopie chorobowym. Spędziliśmy ze sobą w grupie 4 lata, ale kiedy Jacek „za bardzo” zaangażował się w pracę w „Żaczku” i musiał pauzować, znowu nasze drogi się rozeszły. Rekomendowałem go doc. S. Ropskiemu do jego Zakładu, gdy ukończył studia i znowu się spotkaliśmy, okresowo siedząc w jednym pokoju. Kiedy Jacek odszedł od odpadów i zajął się techniką strzelniczą, jakością obudów szybowych i wieloma innymi sprawami znowu łączyła nas „tylko” przyjaźń. W międzyczasie wspólnie prowadziliśmy obozy studenckie, jeździli na zagraniczne wyprawy, potem on był szefem Komitetu dnia Górnika, a ja jego podwładnym. Drogi nasze zawodowe rozeszły się całkowicie, kiedy ja zająłem się środowiskiem a on został w górnictwie.

Rembielak Tadeusz (1970) – dr inż. O Tadeuszu, moim kompanie od przygotowywania się do egzaminów wspominałem. Po studiach podjął pracę w kopalni „Janina”. Kiedyś zgadaliśmy się i kiedy wyraził zainteresowanie pracą na Uczelni wspominałem o nim Szeferowi. Skończyło się pomyślnie i w 1972 r. został asystentem. O ciekawym, a niewykorzystanym doktoracie wspominałem. Zaangażował się we współpracę z przemysłem, głównie „likwidując szczeliny” opracowanym przez siebie zaczynem ekspansywnym. I tak wsiąkł, że też „zapomniał” zrobić habilitację. Odszedł na emeryturę w 2014 r.

Roszczyński Włodzimierz (1971) – prof. dr hab. inż. Ma swój biogram, tu mogę powtórzyć tylko tyle, że był ofiarą resztkowego feudalizmu w szkole. Nie zostały wykorzystane jego wybitne zdolności organizacyjne i menedżerskie – a szkoda!

Rydlewski Jerzy (1970) – dr inż. Syn absolwenta AGH i kolejny mój kolega ze studiów. Jeśli dobrze pamiętam nim podjął pracę w Uczelni praktykował w kopalni. Na Wydziale trafia do jednostki zajmującej się bezpieczeństwem pracy. Współpracuje z docentami R. Stecką i J. Zacharzewskim. Analizuje przyczyny wypadków i sposoby ich dokumentowania. Doktorat uzyskuje w 1983 r. Różne powody stanęły mu na drodze by zbierane przez lata dane, dotyczące wypadków, opracować w formie pracy habilitacyjnej – szkoda! Odszedł na emeryturę w 2013 r. jako „mąż swojej żony”²³⁸.

Rymon-Lipiński Włodzimierz (1968) – dr inż. Podałem biogram, jego „zasługą” dla nas było przywiezienie z RFN-u tematyki wkładek kumulacyjnych zwiększających efektywność wykorzystania otworów strzałowych. Była przedmiotem doktoratu Jacka Postawy i trzech patentów.

Sanak-Rydlewska Stanisława () – prof. dr hab. Absolwentka i wychowanka „chemii” na UJ. W przeróbce podjęła pracę w 1971 r. Doktorat broni w 1979 r., habilitację uzyskuje w 1999 r., profesurę w 2006 r. Do historii Wydziału przeszła jednak (niech mi feministki wybaczą) jako pierwszy prodziekan – kobieta (2003–2009)! O Stasi mogę nieskończenie. Wpadam kiedyś do niej do pokoju i w woreczkach widzę łupy z orzechów. Pytam: „na co to”? – „zobaczysz”! Po kilkunastu miesiącach pojawia się publikacja o możliwości wykorzystania takich odpadów do strącania (czy jakieś inne mądre sformułowanie chemicz-

²³⁸ 1) – młodszych czytelników objaśniam – to tytuł „kultowego” filmu mej młodości;

2) – mam nadzieję Jurku, że mi to określenie wybaczysz. Uzasadniam go ogromnie ważną rolę Twojej żony dla Wydziału, a że ją kochasz to mnie potraktujesz – jak na to zasługuję!

ne) ze ścieków, jakichś zanieczyszczeń (bo Stasia jest omnibusem od ścieków). Dalej, asystentka terminująca u Stasi wstępuje do zakonu! Wreszcie Zbyszek, „prowadząc” przez studia syna ważnej osoby, który ma kłopoty ze zdaniem kolejny raz chemii u Stasi idzie do niej i prosi: „przepuść go” (pomijam wysłuchaną argumentację). Co słyszy? – „masz załatwione, jak się nauczy to zda”! Nie kontynuuję. Myślę, że to wystarczy by zobaczyć Stasię, jako ideał naukowca, dydaktyka oraz tytana pracy. Spotykam ją „grubo” przed 8-mą. I, koniecznie jeszcze jedno. Jeśli Wydział dostał prawa habilitowania na kierunku inżynieria środowiska, to informuję, że dokumentację ostateczną przygotowywała Stasia. Kiedy pełniłem funkcje kierownicze, bardzo wysoko ceniłem sobie zwykłe (z pozoru) wymiany zdań ze Stasią. Pomogły mi w zrozumieniu problemów łączenia dwóch Katedr. Rozpisałem się, ale piszę o osobie z mego najbliższego kręgu.

Sepiał Jacek (1970) – dr inż. Kończy studia i rozpoczyna pracę w kopalniach olkuskich. Krakowianin z urodzenia i zamieszkania. Czyni starania i w 1973 r. wraca na Uczelnię pod skrzydła prof. S. Takuskiego. Doktorat broni w 1980 r. Wykonuje dziesiątki zleceń, najpierw dla kopalń rud Zn-Pb, potem i dla węgla. W ich realizacji współpracuje z naszymi kolegami z roku. I znowu pytanie – dlaczego nie robi habilitacji? Ciekawostka, jego brat pracuje w krakowskiej komendzie MO, w wydziale ruchu drogowego. Pamiętam go jak prowadzi motocyklistów towarzyszących kolumnie przewożącej papieża Jana Pawła II, podczas jego pierwszej wizyty w Ojczyźnie.

Stopyra Michał (1968) – dr inż. Urodził się w 1942 r., matura w Technikum Chemicznym w Zgierzu. Dyplom zdobył na Wydziale Górniczym AGH w 1968 r., doktorat w 1973 r., rok pracy w kopalni „Świętochłowice”, 5 miesięcy w kopalni norweskiej na Szpicbergenie, w AGH do 2007 r. Staże zagraniczne w Instytucie Essen Kray (stypendium Humbolta – 18 miesięcy) Instytucie Górniczym w Moskwie (5 miesięcy), kopalniach Koncernu Kembla Coal & Coce PTY Limited – Australia (22 miesiące). Specjalista z zakresu kotwi i systemów eksploatacji. Też z grupy tych, którzy z niewiadomych powodów nie zrobili habilitacji. Po przejściu na emeryturę nadal czynny – członek rady nadzorczej kopalni „Bogdanka”.

Stryczek Stanisław (1970 W) – prof. dr hab. inż. Góral z Zakopanego, choć z naturą „nie do końca” góralską. Studia rozpoczyna na Wydział Elektrotechniki Górniczej i Hutniczej, ale po roku przechodzi na Wydział Górniczy. Po studiach zostaje w Uczelni. Podejmuje tematykę płuczek wiertniczych, z której przygotowuje doktorat (1974). W habilitacji, będąc wiernym problematyce cie-

czy wiertniczych, w oparciu o badania empiryczne opracował zasady doboru zaczynów bezcementowych do uszczelniania górotworu przez otwory wiertnicze. Uzyskał ją na Wydziale Górniczym (1994). Tytuł profesora nadał mu prezydent w 2001 r. Tytan pracy naukowej i organizacyjnej. W tej pierwszej ściśle związany z przemysłem. Autor lub współautor prawie 300 publikacji krajowych lub zagranicznych, autor lub współautor około 260 niepublikowanych prac naukowo-badawczych. Współautor 11 skryptów akademickich, 2 podręczników. Kierownik Zakładu Wiertnictwa i Geoinżynierii, 1996–1999 r., prodziekan (1999–2002), dziekan (2002–2008), kierownik Katedry Wiertnictwa i Geoinżynierii (2008–2014). Ma w swoim życiorysie krótki okres pracy z polską firmą wiertniczą w ZSRR. Wyliczanie dalszych funkcji (członek Senatu AGH, stowarzyszeń komisji, komitetów) przerasta moje możliwości. Więc tylko dwie sprawy. Wielce zasłużony dla ratowania zabytkowej kopalni soli „Wieliczka”. Wedle mojego rozeznania to on był głównym twórcą szeregu receptur zaczynów zastosowanych do iniekcji uszczelniających. Ale zawsze skromny, stojący z boku – to ta cecha odróżniająca go od górali! I druga, kiedy zająłem się podsadzkami utwardzanymi i zawieszinami, to on uczył mnie reologii płynów nie Newtonowskich. Życzliwy i serdeczny – kumpel!

Szponder Tadeusz (1972) – dr inż. Urodził się w 1945 r. Absolwent Państwowej Szkoły Górniczej w Katowicach. Pracę podjął w KWK „Klimontów”. Przerzywa ją i studiuje na Wydziale Górniczym AGH. Po ich ukończeniu zostaje asystentem. Doktorat z poprawy efektywności strącania pyłu węglowego poprzez zastosowanie dysz zraszających elektrostatycznych, broni w 1982 r. Po obronie przechodzi na stanowisko adiunkta, pracując w Uczelni do 2010 r. Wieloletni „prezes” spotkań gwarków, nie tylko w Uczelni. Wspominam go i później, z racji tej ostatniej funkcji.

Szymańska-Czaja Maria (1974) – dr inż. Żona dziekana Piotra, ale dla mnie niezwykle ważna, bo kiedy tworzyłem Katedrę, zdecydowała się nie tylko mnie wesprzeć „osobowo”, ale i podjęła się prowadzenia w niej spraw dydaktycznych. Najpierw robiła to, bo ją poprosiłem, po pewnym czasie udało się „załatwić” stanowisko zastępcy. Niezwykle kulturalna, pracowita, skromna. W Katedrze specjalistka od odpadów komunalnych, w szczególności od kompostowania. Po studiach objęła w przeróbce stanowisko techniczne, ale po zrobieniu doktoratu w 1997 r. przeszła na etat adiunkta. I bardzo dobrze, bo odnalazła się w dydaktyce. Przeszła na emeryturę w 2015 r.

Tajchman Zbigniew () – dr inż. Chemik, absolwent UJ, przeróbkarz i żelazny kontrapunkt na karczmach barbórkowych. Zmarł w 2014 r.

Tajduś Antoni (1973) – prof. dr hab. inż. Nic dodać do tego co już wcześniej napisałem, a już broń Boże – nic ująć!

Trybalski Kazimierz (1947) – prof. dr hab. inż. Ukończył Wydział Elektrotechniki Górniczej i Hutniczej i rozpoczął pracę na Wydziale Górniczym, gdzie broni doktorat w 1985 r., habilitację uzyskuje w 2000 r. W 2015 r. otrzymuje tytuł profesora. Pełni funkcję zastępcy kierownika Katedry przeróbki (1986–1996). Jej kierownikiem zostaje w 2002 r. i sprawuje tę funkcję do czasu wyboru na stanowisko prodziekana Wydziału (2005), jest nim do 2011 r. Specjalista z inżynierii mineralnej, w szczególności z automatyzacji procesów i ich modelowania. Kiedyś czynny lekkoatleta, potem i do dzisiaj działacz AZS.

Tumidajski Tadeusz (1944) – prof. dr hab. Absolwent matematyki na WSP. Związany z Wydziałem od 1968 r. Doktorat w 1974 r., habilitacja w 1998 r., tytuł profesora w 2005 r. W 2014 r. przechodzi na emeryturę. Zajmował się modelowaniem matematycznym w inżynierii mineralnej i ochronie atmosfery. Zmarł w 2017 r.

Wacławski Jan (1970) – dr inż. Kolega ze studiów i kolega prodziekan z ekipy dziekana Antka. Kończy ekonomikę i zostaje w Katedrze dyplomującej. Doktorat w 1978 r.

Wagner-Staszewska Teresa (1970 W) – dr inż. Nieoceniona w organizacji zjazdów koleżeńskich! Podejmuje pracę w Instytucie Nafty i Gazu, potem przechodzi na Uczelnię (1996), by po kilku latach wrócić do Instytutu. Doktorat w 1983 r.

Walaszczyk Jan (1968) – prof. dr hab. inż. Biogram zamieściłem wcześniej. Spotkaliśmy się dość wcześnie „na niwie związkowej” (jak się wtedy mówiło). Ja byłem grupowym ZNP w instytucie, on przewodniczącym komisji wydzielowej. Późniejsze losy nigdy nie związały nas tematycznie. Zasiadaliśmy obaj w Radzie Naukowej IMG PAN, gdzie po odejściu prof. S. Knothe przejął kierowanie zespołem zajmującym się deformacjami powierzchni. Zapalony tenisista i pingpongista.

Wilk Stanisław (1970 W) – dr hab. inż. Zagłębiak, imponujący nam na studiach, bo technik–górnik. Podejmując studia doktoranckie wybiera jednak wiertnictwo. Stopień uzyskuje w 1974 r., habilitację na Politechnice Śląskiej uzyskuje w 1993 r. Po uzyskaniu praw emerytalnych odchodzi z Uczelni.

Witościński Jan (1968) – dr inż. Górnik, choć z zamiłowania elektryk, informatyk budujący aparaturę pomiarową. Już w czasie studiów udzielał się w Teatrze

Stu. Zainteresowania naukowe to problematyka obudów, a w szczególności badania nieniszczące obudów szybowych. Doktorat broni w 1974 r. Uznany i „wzięty” ekspert z tego zakresu.

Woźny Tadeusz (1972) – dr inż. Żelazny „społeczny inspektor pracy”. Zawodowo związany z projektowaniem obiektów górniczych. Doktorat w 1981 r.

Zorychta Andrzej (1969) – prof. dr hab. inż. Po studiach podejmuje pracę w Instytucie Geomechaniki. W 1988 r. przechodzi do Instytutu Górnictwa Podziemnego. Namiętny palacz, kiedy w Uczelni obowiązuje zakaz, jego pokój staje się palarnią, z której korzysta Dzikka. Na emeryturę przechodzi w 2015 r. Biogram zamieściłem wcześniej.

Kiedy piszę ów swoisty „alfabet rówieśników” uzmysławiam sobie, jaką na wydziale stanowiliśmy siłę. Nie uświadamialiśmy sobie tego, zresztą i tak każdy funkcjonował w ramach układów lokalnych. Jako populacja naukowców Wydziału uzyskaliśmy niezły wynik usamodzielnienia, 44% zrobiło habilitacje, 30% uzyskało tytuł. Dziś większość z nas jest już na emeryturze. Zostało jeszcze kilku „samodzielných”. Aktualnie następuje wymiana pokoleń. Tak odchodzi epoka pokolenia roku 1968 i grudnia 1970. Na ile sprostaliśmy zadaniom – odpowiedzą historycy i socjolodzy.

W tytule rozdziału pojawia się „... i inni”, bo przecież poza wspomnianymi do tej pory, spotykałem się kolegami, którzy nie zmieścili się w konwencji opisu wcześniejszego. Chciałbym i o nich słów parę napisać. Zacznę od **prof. dr hab. inż. Tadeusza Majcherczyka**, mojego równolatka, z urodzenia katowiczana. Jest absolwentem Politechniki Śląskiej, ale studia doktoranckie odbył na naszym wydziale. Doktorat broni w 1977 r. Jest dość skryty, ale „wydaje się”, że to przez fakt, iż był „krajanem” prof. T. Ryncarza, który był zresztą jego promotorem. Poznałem go w czasach, kiedy z mozołem, własnymi rękami z materiałów ekwiwalentnych budowałem modele górotworu. Badał na nich deformacje wyrobisk. W czasach przedkomputerowych takie badania były nieocenione, a dzisiaj wydają się być niedocenione. Habilitację uzyskaliśmy w tym samym okresie (1991). Tadeusz, chyba jedyny na wydziale, podjął niezwykle trudny temat związany z wyrzutami gazów i skał. Opracował go głównie w oparciu o badania w kopalniach (w czynnym jeszcze wtedy Zagłębiu Dolnośląskim i kopalniach rybnickich). Pamiętam jego kolokwium. Recenzentami byli dwaj najwybitniejsi górnicy moich czasów, profesorowie Litwiniszyn i Knothe. W swych

dalszych pracach wrócił do tematyki stateczności wyrobisk. Profesurę uzyskał w 2000 r. Z kilku wypromowanych doktorów, dwóch dobiło do habilitacji (P. Małkowski i Z. Niedbalski – wymieniam bo niezwykle sympatyczni). Po latach zastępowania kierownika Katedry, w 2005 r., w wyniku sondażu wśród pracowników (jaki właśnie w tym roku – zarządzeniem rektora Antoniego III był wprowadzony) został zaproponowany na kierownika. Funkcję tę pełnił do 2012 r., czyli do emerytury. Od kiedy zacząłem uczestniczyć w posiedzeniach Rady Wydziału, jakoś tak się złożyło, że zaczęliśmy siadywać obok siebie. Denerwowało to dziekanów (zwłaszcza jednego) bo, faktycznie czasem w nie najelegantszy sposób komentowaliśmy sposób jej prowadzenia! Na ogół w poglądach na sposób zarządzania wydziałem się nie różniliśmy. Moje „zakwaterowanie” w A-1 i późniejsza wymiana doświadczeń w procedurze przechodzenia na emeryturę, zbliżyła nas jeszcze bardziej. Stąd, dość często zacząłem bywać u niego w gabinecie, na herbacie (i czasem nie tylko). Pisząc o nim muszę jeszcze wspomnieć o tym, że ma bardzo rzadką dzisiaj cechę. Chyba jedyny pomagał swemu Szefowi i w swoisty sposób pielęgnował go, kiedy ten przeszedł na emeryturę. Mogłem o tym osobiście usłyszeć od prof. H. Filcka, kiedy siedząc obok niego na jakimś spotkaniu usłyszałem: „a pan wie, że z moich pracowników to tylko profesor Majcherczyk konkretnie o mnie pamięta”. Nie śmiałem pytać, co oznacza owo „konkretnie”, ale się domyślałem. Pisząc o Tadeuszu, można jeszcze jako ciekawostkę podać, że jest krewnym innego słynnego Majcherczyka – Jerzego („Yurka”) – kajakarza i podróżnika, odkrywcy i badacza, organizatora wielu wypraw w najodleglejsze rejony Ameryki Łacińskiej i Syberii. Należał do grupy, która pierwsza przepłynęła Kanion Colca w Peru – absolwent AGH. Tadeusz też ma coś z odkrywcy, bo zwiedził kilkadziesiąt krajów świata.

Nie wspominałem dotąd o niezwykle oryginalnym starszym koledze – **prof. dr hab. Andrzej Olajossym**. Urodził się w 1942 r. Ukończył fizykę na UJ. Przychodząc do nas zajął się hydromechaniką i termodynamiką, w szczególności problemami przepływów płynów w złożu i w sieciach. W późniejszym okresie podjął zupełnie nowy temat – separację metanu z powietrza kopalnianego. Doktorat uzyskuje w 1972 r. Z habilitacją ma pewne problemy, gdyż wykorzystując cudze rozwiązanie matematyczne, nie dość precyzyjnie oddziela je od własnego. Pozytywna opinia profesorów Litwiniszyna i Knothego jednoznacznie ucina spekulacje. Stopień uzyskuje w 1978 r. Karierę wieńczy tytuł

uzyskany w 1991 r. Andrzeja zapamiętam jako niezwykle oryginalnego wykładowcę i egzaminatora. Z opowieści studentów pamiętam relację „wchodzimy na salę – profesor leży na podłodze – co się stało? – pytamy. Zniżam się do waszego poziomu – odpowiada” – aż trudno uwierzyć. Egzaminy u niego ciągną się tygodniami. Kiedy formalizacja „zamknięcia sesji” nabiera tempa, trudno mu za nią nadążyć. Na obronach i kolokwiach, zadając pytanie nawiązuje do „podstaw”, pyta o teorię, równanie, rozwiązanie równania. Sieje tym drobny postrach wśród referujących. No i wybitny specjalista od zbierania i przetwarzania grzybów. Na „Andrzeja”, pod mały kieliszek wódeczki zawsze były rydze marynowane, a zdarzały się i kiszony. Tych drugich mu bardzo zazdrościłem. Sam, wielokrotnie próbując kisić (a smak pamiętam z rodzinnego domu), nigdy nie uzyskałem takiego efektu, mimo, że robiłem to tak jak zalecał. W 2014 r. odszedł na emeryturę i znowu nas zadziwił. Ktoś przyniósł lokalną gazetę z okolic Myślenic, gdzie był artykuł o „kościelnym z cenzurem profesora” – to o Andrzeju!

Jest na wydziale **prof. dr hab. inż. Nikodem Szlązak**, okresowo był jego brat – Jan, też prof. dr hab. inż. Obaj dla Wydziału i w jakimś stopniu dla mnie byli ważnymi, więc słów kilka. Zacznę od „młodszego”, bo w Katedrze wentylacji został zaraz po studiach. Szybko robi doktorat (1981), w „normalnym” dla Wydziału czasie – habilitację (1994) i szybko tytuł, bo w 1999 r. Specjalista z zakresu aerologii górniczej, pożarów podziemnych, wentylacji i klimatyzacji przemysłowej. Laureat nagród ministrów i rektora, ekspert w komisjach prezesa WUG. Współtwórca Szkoły Wentylacji (najważniejszej polskiej konferencji z tej tematyki), Generalny Dyrektor Górniczy. Kilkakrotnie startował w wyborach na dziekana, ale (moim zdaniem) sukces osobisty i propagowana opinia – „dyktator” – sprawiły, że miał zbyt mało zwolenników. Bali się go, a szkoda! Wspomniałem, że rezygnując z prodziekaństwa „załatwiłem” mu to stanowisko (1997–2002). Spędzaliśmy ze sobą wiele chwil w różnych komisjach. Na ogół się zgadzaliśmy, ale jeśli nie, to trudno było odwieść go od jego racji!

Jego brata, pracującego w przemyśle, spotkałem w trakcie obrony jego pracy doktorskiej w 1981 r. Po raz drugi spotkaliśmy się w kopalni „Zabrze”, gdzie wtedy był naczelnym inżynierem. Było to zresztą spotkanie dla nas obu niezbyt miłe, nie z jego winy. Otóż jeden z kolegów z Instytutu utrzymywał bardzo bliskie związki z dyrektorem tej kopalni. Jak wieść gminna niesie, obiecał mu doktorat. Ale, tylko obiecał. Kiedy tamten po jakimś czasie zaczął drażnić temat,

podobno (te zastrzeżenia to z uwagi na ewentualne uniknięcie procesu o zniesławienie) zwałił winę na naszego Szefa. Kiedy z Szefem, z rekomendacji dyrektora zjednoczenia, robiliśmy badania i opracowywaliśmy wdrożenie technologii zawiesinowej w jego kopalni, przyjeżdżając z manuskryptem dowiedzieliśmy się, że mamy go zostawić do oceny (praktyka wtedy niespotykana, więc w głowie zapaliło mi się światełko). Kiedy przyjechałem z protokołem odbioru, zostałem skierowany do naczelnego, czyli doktora Jana. Ten, nie bardzo wiedząc jak ma to zrobić, najkulturalniej przekazał mi informację, że opracowanie, zdaniem dyrektora jest niekompletne i trzeba go uzupełnić. Tak to dyrektor „odegrał się” na nieświadomym Szefie. Trzecie „zaoczne spotkanie” miało miejsce, kiedy jako wiceminister powołał mnie do rady nadzorczej PARGW (później Kompania Węglowa). Kolejne, to jego kolokwium habilitacyjne w 2000 r. Przygotował pracę obejmującą między innymi interesującą mnie tematykę – porowatości zrobów. Dla mnie pustki międzybryłowe w zawale to droga rozplywu zawiesiny, dla niego gazów. Kończąc karierę w przemyśle przyszedł do pracy w Uczelni w 1998 r. Niestety nieudokumentowane, ale istniejące powody pozamerytoryczne zakłóciły mu awans, więc zmienił AGH (do 2007 r.) na Politechnikę Śląską (od 2010 r.), gdzie nadal pracuje. Tytuł profesora uzyskał w 2012 r. Szkoda, że odszedł od nas, bo osoba o takim doświadczeniu praktycznym i w administracji państwowej – jest bezcenną.

Słów kilka „należy się” również **prof. dr hab. inż. Romanowi Magdzie**. Choćby dlatego, że jego kariera naukowa biegła szybko, chyba najszybciej w moich czasach. Studia kończy w 1974 r., doktorat w 1977 r., habilitacja – w 1985 r. Habilitacja 11 lat po skończeniu studiów, to chyba na wydziale rekord. Trochę dłużej czekał na tytuł profesora, bo do 1997 r. Był „przybocznym” profesora M. Jawienia, który wprowadził go w problematykę tak projektowania, jak i ekonomiki. Doświadczenia w tej materii zbierał podczas staży za granicą (Wielkiej Brytanii, Węgrzech, Bułgarii, ZSRR i Hiszpanii). Uczestniczył w restrukturyzacji przemysłu wydobywczego. W latach 1993–1996 był prodziekanem Wydziału, a w latach 1996–2002 zastępcą kierownika Zakładu Projektowania, Budownictwa, Ekonomiki i Zarządzania w Górnictwie AGH (od 2000 r. – Katedry Ekonomiki i Zarządzania w Przemysle). Od 7 marca 2005 r. jest kierownikiem Katedry Ekonomiki i Zarządzania w Przemysle. Bezskutecznie, choć profesjonalnie kandydował na dziekana.

I jeszcze o młodszej koleżance z Katedry – **dr hab. inż. Barbarze Torze**. Absolwentka specjalności przeróbka (1979). Doktorat w 1986 r., habilitacja w 2000 r. w VSB TU w Ostrawie, gdzie równolegle pracuje. Tam lokują się jej osiągnięcia związane z promowaniem doktorów (5). Profesurę uzyskała w trakcie pisania tych stron (2016). Specjalistka z przeróbki mechanicznej, współautorka wielu wdrożeń. Przez kilka kadencji przewodniczy Polskiemu Towarzystwu Przeróbki Kopalni. Ostatnich kilka lat współpracujemy w tematach odpadowych, z mojej strony, głównie dając „gębę” do składanych grantów. Baśka do nawiązywania kontaktów z przemysłem ma niesamowity talent. Może Zbyszek byłby w stanie jej w tej konkurencji dorównać.

Oczywiście, oprócz wspomnianych, jeszcze wielu innych pracowników pracowało na Wydziale w tym czasie co ja. Nasze losy się okresowo zazębiły. Jakoś jednak nie na tyle bym, oprócz suchych dat, mógł ich szerzej wspomnieć.

Administracja

Uf!!!, to najtrudniejsza do napisania część wspomnień. Podzielona na tą elitarną – „centralną” i tę pracującą na styku z pracownikami dydaktycznymi – katedralną. Oczywiście ważniejsza i otoczona plotkami jest „centralna”. To ona, zwłaszcza jej szefowie, trzymają w rękach owe sznurki, które pociągają (no może czasem jakiś koniec jest w ręku rektora czy dziekana!), zgodnie z (powiedzmy zawsze) uczelnianymi interesami. Kiedyś najważniejsza, dziś „zmuszana” przez „jednoosobowe organy Uczelni” do „pełnienia roli służebnej”, ciągle (pomimo owych 25 lat transformacji) z drobnymi zgrzytami ją wypełniająca. Najchętniej (trochę zgodnie z prawem Parkinsona) zajmująca się własnymi sprawami, a jeśli już pracowników, to wedle przez siebie opracowanych zasad.

Ale zacznę od tej niedocenianej, katedralnej. To ona, nie mogąc „zwalić” polecenia na kogoś niżej, musi go realizować (w dobie totalnego rozwoju biurokracji, tj. od jakichś 10 lat) i bez względu na stopień bezsensu, realizuje. Składa się z sekretarek (nie spotkałem mężczyzny na tym stanowisku) i pracowników technicznych. Ci drudzy z latami istotnie liczebnie zmniejszani. Sekretarki z mojego życia! Panie: Łucja Krukowiecka (żona zastępcy profesora, mgr inż. górnika–przeróbkarza W. Krukowieckiego), Emilia Jawień (żona prof. M. Jawienia), Halina Cyrkowicz, Maria Czyszczan („Dzidka”) i wspomniana, bo pomagała mi wchodzić w obowiązki prodziekana, a potem kierowała sekreta-

riatem „mojej” Katedry – Małgorzata Weklicz. Dwie pierwsze, skutek nowych czasów, w których kobiety wychowane do pełnienia roli pani domu, musiały podjąć pracę. Nie one dwie na Wydziale. Kierownikiem dziekanatu przez wiele lat była żona prof. A. Trzaski. Niezwykle kulturalne, skrupulatne, taktowne. Dla wielu (z awansu społecznego, czy po prostu z biedy) były wzorem dobrych obyczajów. Umiejętnie uczyły najprostszych rzeczy (co robić z łyżeczką po posłodzeniu herbaty, jaki nagłówek przysługuje adresatowi itp.), choć – biedne – gubiły się w nowej rzeczywistości, kiedy do rektora zamiast „obywatelu”, adresowały pismo: „panie”.

Kolejne, pokolenie powojenne, każda innego temperamentu. Pani Halina, z moich stron (z Libuszy), stateczna i spokojna. Po kilku latach przeszła do IGSMiE PAN, na większą pensję. Dzidka – to historia Instytutu, potem Katedry Górnictwa Podziemnego. Protegowana jednego z większych tuzów nauki o materiałach wiążących – prof. J. Grzymka, z nieznanых powodów z ceramiki przywędrowała do nas. Trafiła na dyrekcję prof. J. Roszkowskiego i można powiedzieć „trafiła kosa na kamień”! Niekonwencjonalne zachowania Szefa i (bywało) jego gości przyjmowała bez szemrania, odcinając się od czasu do czasu. Pomimo tego, była wobec Szefa bezgranicznie lojalna, a bywało, ratowała mu reputację. Również z nami, równolatkami, szybko znalazła nić porozumienia. Pracowało się nam doskonale. Jest jedyną sekretarką, z którą łączyła mnie zależność służbowa (w końcu byłem zastępcą Szefa Katedry), a z którą jestem po imieniu²³⁹. Moje dla niej zachwyty, w czasach, kiedy z p. Małgosią tworzyłem swoją Katedrę, przysparzały mi ciętych odzywek. Była „niezadowolona”, gdy Dzidkę przywoływałem jako wzór. Ripostowała: „to wróć pan do podziemnego, do Dziduni”!

O pani Małgosi wspominałem. Kiedy tworzyliśmy Katedrę, oboje myśleliśmy, że na swych stanowiskach wspólnie dociągniemy do emerytury. Życie przyniosło inne rozwiązanie i po mnie miała jeszcze dwóch Szefów. Zupełnie odmienny od Dzidki typ psychiki. Kiedy tamta w sytuacjach konfliktowych udawała, że nie ma sprawy, p. Małgosia natychmiast się dąsała, lub wykrzyki-

²³⁹ Bycie z pracownikiem bezpośrednio podległym „na ty”, to niezwykle trudny problem. Z mego doświadczenia, jeśli przejście nie nastąpi wcześniej niż podległość służbowa, to raczej nie polecam. Bywa forma „ty” – jednostronna (zwierzchnik do podwładnego), ale i tej nie polecam.

wała swe racje. Potem, lubiła się obrażać i przez kilka dni była „gradową chmurą”. Spotykało to nie tylko mnie, ale może bardziej Zbyszka. Nie przeszkadzało to w tym, że pomimo, ale z marsową miną, dostawaliśmy kawę z ekspresu. Była bezgranicznie lojalną. Bardzo mi pomagała w sytuacjach trudnych, nie tylko służbowych. Wewnętrzne sprawy Katedry nigdy nie wyszły na zewnątrz, co w dzisiejszych czasach nie jest regułą. Darzyła mnie też zaufaniem, ale chyba nie do końca. O tym, że ma telefon komórkowy dowiedziałem się od osób trzecich. Do końca pracy nie dostałem jego numeru.

Pośród katedralnych pracowników technicznych przywoływałem Miecia Cieleckiego. Potem byli moi równolatki, Jacek Malski i Adaś Chludek (grywaliśmy w cymbergaja i inne gry czasów młodości, potem – już jako profesor, zapraszałem go do gabinetu na piwo). Jednak szczególnie będę pamiętał Darka Szlachetkę. Technik górnik, wynaleziony w jakiejś kopalni przez Michała Stopyrę, wolał pracować z zespołem popiołowym i ze mną przeszedł do tworzonej Katedry. Niezwykle oddany i użyteczny, nie tylko w laboratorium. Potrafił załatwić wszystko. Od zawieszenia papierów na przetarg, po znalezienie w internecie dobrych i tanich opon na zimę. Namawiany wiele lat, zbyt późno zdecydował się podjąć studia. Ich ukończenie stworzyło mu nie tylko lepsze warunki finansowe, ale i możliwość awansu. Został administratorem budynku.

Na zakończenie opisywania administracji najniższego szczebla dwie kwestie ogólne. Pierwsza, to jej znajomości w administracji centralnej. Myślę, że nawet interwencja rektora nie pozwoliłaby na wcześniejsze załatwienie wypłaty ze zleconych. Oczywiście owe znajomości podbudowywały prezenty (choćby kalendarze) i wciąganie ważnych pań na listę płac w pracach zleconych (do kiedy było to możliwe). Było to bezbolesne (dla zespołu) w czasach limitowania wysokości wypłat, kiedy trzeba było oddzielić z własnego zarobku – mniej. Ale rozsądek się opłacał. Druga, to właśnie owe pieniądze. Dobry nastrój zespołu wymagał by każdy dostawał według zasług. A więc, nawet na najniższym szczeblu hierarchii, pracownikowi należało się uznanie, w tym finansowe. Zespoły, w których kierownik uważał, że pracownik techniczny bierze pensję, więc niech świadczy usługi, dość szybko się konfliktowały.

Wyższy szczebel to administracja wydziałowa. Dla niektórych, to najniższy szczebel administracji centralnej. I słusznie, zwłaszcza od kiedy pojawił się

dyrektor Wydziału. To on, razem z dziekanem decyduje (w praktyce) o podziale środków na Katedry. Pisałem o dylematach z tym związanych charakteryzując dziekanów. Ale dyrektor, poza wiedzą dziekana ma możliwość sfinansować drobnymi kwotami roboty ważne dla pracownika. Na przykład wykonanie mebla, czy wymalowanie pokoju. Stąd o jego względy zabiega każdy. W czasach asystentury i bycia adiunktem nie zdawałem sobie z tego sprawy. Dopiero lata późniejsze mi to uświadomiły.

Funkcję dyrektora naszego Wydziału od początku wprowadzenia tego stanowiska pełniła **mgr Krystyna Dziurzyńska**. Do pracy w administracji Wydziału przyszła w połowie lat 70. ubiegłego wieku. Absolwentka administracji na UJ, objęła stanowisko kierowniczkę dziekanatu. Kiedy utworzono stanowisko dyrektora Wydziału, objęła go „z marszu”. Towarzysząc dziewięciu dziekanom i mając zdolności do administrowania w dużej mierze kreowała wizerunek Wydziału. Faktycznym wyzwaniem było objęcie rządów przez dziekana Tajdusia. Na dodatek do jego góralskiego temperamentu doszedł fakt, że jej mąż był jego kolegą ze studiów. Piszę o późniejszym dyrektorsze Instytutu Mechaniki Górotworu PAN, prof. W. Dziurzyńskim²⁴⁰. To nie ułatwiało jej funkcjonowania. „Antek” starał się wszystkiego dotknąć sam. Ale dwie kadencje przeżywają w „szorstkiej” przyjaźni, ku dobru Wydziału. Krysia (bo mam zaszczyt uważać się za jej przyjaciela) dobrze prowadziła sprawy Wydziału i niejednego z dziekanów ustrzegła przed palnięciem głupstwa. Opuściła nas w 2014 r. w atmosferze nie do końca takiej, na jaką sobie zasłużyła.

Kolejną dyrektorką została, z konkursu pani **mgr inż. Anna Dąbek**, doświadczona w zarządzaniu, bo wcześniej pełniła funkcje administracyjne w naszej i innej Uczelni. O ile Krystynę mogłem zawsze przekonać do celowych i uza-

²⁴⁰ **Prof. dr hab. inż. Wacław Dziurzyński** urodził się w 1948 r. Kończy Wydział Górniczy AGH w 1973 r. Po studiach kilka lat pracuje w Krakowskim Przedsiębiorstwie Kamienia Budowlanego. W 1975 r. podejmuje etat asystenta w IMG PAN. Stopnie i tytuł naukowy zdobywa na macierzystym Wydziale, doktorat w 1985 r., habilitację w 1999 r., tytuł profesora w 2003 r. W latach 2001–2003 pełni funkcję zastępcy dyrektora, a od 2003 r. – dyrektora. Specjalista w zakresie zastosowań mechaniki płynów do zagadnień wentylacyjnych, w szczególności matematycznego i numerycznego modelowania kopalnianych sieci wentylacyjnych zarówno w warunkach naturalnych, jak i zagrożeń gazowych. To z jego rekomendacji najpierw wszedłem do rady naukowej Instytutu, a potem zostałem jej przewodniczącym.

sadnionych działań bez zbędnej biurokracji, to z panią Anną nie podejmowałem takich prób. Zawsze korzystałem z drogi formalnej, a efekty bywały różne. Kiedy przeniosłem się do pokoju nr 1, tuż przy wejściu do budynku, wychodząc z pokoju trafiałem na strumień zimnego powietrza. Po doświadczeniach pierwszej zimy, kiedy to kilka razy się przeziębilem – zwróciłem się z prośbą o wykonanie „kurtyny” ze strumienia ciepłego powietrza (nagrzewnicy z dmuchawą). Otrzymałem odpowiedź: „wydział nie ma pieniędzy”. Traktując ją we właściwy sobie sposób napisałem do rektora by wyraził zgodę na sfinansowanie tej inwestycji z moich prywatnych środków. Oczywiście „centrala” podjęła decyzję i nagrzewnica jest. Od dziekana usłyszałem zgryźliwą uwagę, „wydział musi płacić amortyzację”. Nie skomentowałem.

Są też, oczywiście działy obsługujące studentów i dział finansowy. Służą do „przewracania papierków”, czy dzisiaj – plików w komputerach. Ale bez nich Wydział by nie funkcjonował. Ważniejsze chyba dla studentów niż pracowników, choć wprowadzona „Wirtualna Uczelnia” kontakty te znacznie ograniczyła.

Szczebel wyżej, to urzędnicy administracji faktycznie centralnej. Dla zwykłego naukowca bezimienna rzesza osób siedzących przy komputerach i „coś” robiących. Spotyka się ich, kiedy trzeba „coś” załatwić. I wtedy, czasem, zaczynają się narzekania. A, że „pani” coś wymyśla, coś przedłuża, że niekompetentna, a w ogóle, marnie urzęduje. A jemu się spieszy, on ma termin, on wie jak to ma być załatwione! Przyczyn „kłopotów” z administracją (ściślej – urzędnikami) jest kilka. Rozbuchana produkcja aktów prawnych wydawanych przez ministerstwo, często ze sobą sprzecznych. Wielość procedur, spowodowana różnorodnością ścieżek załatwiania spraw. Procedury unijne, często także pokrętne. To główne uwarunkowania zewnętrzne, ale są i wewnętrzne. Tworzenie procedur – „dupochronów” (ponieważ nie do końca wiemy jaka będzie interpretacja organu kontrolującego zaostraszamy wymagania). Brak przygotowania do pracy w warunkach konieczności permanentnego doszkalania się, no i czasem niekompetencje. Te ostatnie również wynikające ze zwyczajów zatrudniania „ze wskazania”. Pojawiają się „krewni i znajomi królika”, nawet prominentnych „królików”. Myślę jednak mimo wszystko, że opowieści o tym są rozdmuchiwanie, choć właśnie owe prominentne przypadki zatrudniania rodziny przez długie tygodnie są dyskutowane, zaczynają żyć własnym życiem

i przybierają kształt jak w owej opowieści, że „w Moskwie, na Placu Czerwonym rozdają samochody”!²⁴¹

Niestety, świadomość prominentów o tego typu skutkach ich działań jest niewielka, lub opinie o sobie mają w nosie!

I wreszcie *creme da la creme* – kierownictwo administracyjne, szczebel kanclerza, kwestora i dyrektorów. To osoby, które wzbudzają największe zainteresowanie. „Historycznie”, to osoby powiązane mniej lub bardziej jawnie ze służbami. Bodaj najbardziej spektakularnym przypadkiem za moich czasów była kierowniczką działu kadr, której mąż był naczelnikiem Wydziału III SB i w latach 70. i 80. minionego wieku rozpracowywał środowiska akademickie i kulturalne. „Korytarze” stanowiska w administracji osobom związanym z bezpieczeństwem przypisywały również innym. Nic więc dziwnego, że i w latach późniejszych na osoby robiące kariery przed rokiem 1990 patrzono podejrzliwie. Oliwy do ognia dolewał fakt powołania na jednego z dyrektorów osoby nieposiadającej wyższych studiów (komentowany w gazetach). Innym powodem (powiedzmy) „niezdrowego” zainteresowania tymi osobami jest fakt, że obfitym źródłem kadr były kręgi pewnej fundacji. Jakie „miody” dla zajmujących te stanowiska widzi podejrzliwa społeczność?

Dziś, (kiedy pani rektor A. Siwik zlikwidowała prominenckie miejsca w akademikach i ich rozdział nie jest zajęciem lukratywnym) wiele gada się o firmach wygrywających przetargi i punktach usługowych na terenie Uczelni. Nie twierdzę, że coś jest na rzeczy, ale wszyscy wybierani rektorzy, stając do elekcji, deklarowali „patrzenie administracji na ręce” i wobec wszystkich (nawet Antoniego III) administracja brała górę. Żaden nie zdecydował się na postulowane połączenie kadencji rektorskiej z kanclersko-kwestorską i powoływanie tych drugich, przez nowego rektora w drodze konkursu. Nic przecież nie stoi na przeszkodzie, by dobry kanclerz i u nowego rektora wygrał konkurs. Takie podejście byłoby zdrowym sposobem „wietrzenia” administracji.

²⁴¹ Gdyby ktoś nie wiedział o co chodzi to precyzuję: Pytanie do radia Jerewań, „czy to prawda, że w Moskwie na Placu Czerwonym rozdają samochody”? Odpowiedź, „prawda, ale nie w Moskwie, a w Leningradzie, i nie na Placu Czerwonym, a przed Ermitażem, i nie samochody, a rowery i nie rozdają a kradną”!

Po napisaniu powyższego muszę stwierdzić najpierw, że przedstawiłem *vox populi*. Nie jest on bezkrytycznie zgodny z moim. A już absolutnie, nie jest to z mej strony krytyka pana kanclerza i pani kvestor, wręcz przeciwnie. Oboje doświadczyli, że jeśli miałem jakieś pytania, uwagi – zabierałem głos mniej lub bardziej publicznie. I nawet, jeśli zlikwidowali mi miejsce parkingowe, mam o nich dobre zdanie²⁴².

Skoro o nich to, **mgr inż. Henryk Ziolo**, absolwent Wydziału Górniczego (dyplom w 1984 r.) już chyba w czasie studiów „dorabiał sobie” przy administrowaniu miasteczkiem studenckim. Po studiach zostaje w nim. Pnie się po szczeblach kariery administracyjnej, by w czasach rektora Handkego przejść do najwyższego szczebla administracji – dyrektora ds. technicznych. Kanclerzem jest wtedy dr inż. A. Karwacki (1992–1997). Kiedy ten z rektorem – ministrem przenosi się do Warszawy po nim obejmuje urząd kanclerza. Sprawuje go niezwykle dyskretnie. Kiedyś, dyskutując ze studentami poprzez internet, na pytanie jaka jest jego rola w Uczelni, odpowiedział: „moja rola to zarządzanie bieżącym życiem Uczelni, a więc rola stojącego nieco z boku. Lubię porównanie Uczelni do autobusu, który przemierza określoną trasę i osiąga określone cele – miasta, jadą w nim władze Akademii, pracownicy naukowci i studenci.

²⁴² Ze wzrostem ilości samochodów prywatnych problem, „gdzie zaparkować”, stał się ważkim. Coraz częściej, nim udało się znaleźć miejsce trzeba było trochę pojeździć. Kiedy zostałem w podziemnym zastępcą kierownika, Szef, swoimi kanałami załatwił zamontowanie dwóch koziołków blokujących postronnym możliwość parkowania. Kiedy przeszedłem do A-1 miejsce musiałem zwolnić i się zaczęło! Wykorzystałem zjazd do laboratorium i pod pretekstem nie blokowania dostępu załatwiłem koziołek. Oczywiście, jak nie znalazłem miejsca normalnego miałem rezerwowo. Kiedy Broniek Barchański przestał być prorektorem ofiarował mi swoje (przy wejściu do budynku). Jakoś jednak, po zrobieniu nowych chodników koziołek zniknął, a pojawiły się uchwyty do parkowania rowerów. Antoni III, w swej łaskawości wydał członkom kolegium rektorskiego karty, uprawniające do parkowania na „miejscach rektorsko-administracyjnych”. Oczywiście wtedy, kiedy były wolne i kiedy było posiedzenie kolegium. Oczywiście, bezczelnie tego nadużywałem i stawałem, kiedy nie było miejsc pracowniczych. Już w czasach rządów rektora T. Słomki, stając kiedyś obok samochodu kanclerza, wysiadając z auta, usłyszałem „dlaczego stajesz na miejscach zarezerwowanych”. „Bo mam zgodę rektora” – odpowiedziałem. „Ale jest nowy rektor, więc zgoda utraciła ważność” – usłyszałem. Nie namyślając się palnąłem, może mało elegancko: „ty też masz nominację poprzedniego rektora a dalej pełnisz funkcję”. Kiedy jednak po kolejnym remoncie pojawiły się tabliczki z numerami rejestracyjnymi, w tym dla mojego dziekana, nie szukając guza, z tego przywileju zrezygnowałem.

Nikomiu nie przychodzi do głowy, żeby interesować się rodzajem oleju użytego do smarowania silnika, użytych opon czy jego sprawnością, rodzajem hamulców, czy wreszcie, jak wygląda kierowca." I tak zarządza, oczywiście otoczony gronem „zaufanych”. Trzeba mu przyznać, że AGH i jego elitę zarządzającą, również na wydziałach zna jak własną kieszeń. Doskonale orientuje się kto z niej ma jakie aktualne notowania u rektora i nie tylko. Myślę (ale to domysły), że potrafi dyskretnie na nich wpływać. Jest patriotą swej Uczelni, to bezsprzeczne. Dowiódł tego w czasach, kiedy pojawiły się w stosunku do niej przedziwne roszczenia majątkowe (mienie utracone). Miał ogromny wpływ (przygotowanie i nadzór) na rozwój bazy materialnej Uczelni, w szczególności doskonale wpisał się w jej politykę inwestycyjną w ostatnim piętnastoleciu. Równocześnie w tak zwanych stosunkach międzyludzkich (jak wspominałem), wyprzedza różnorakie potrzeby kolejnych rektorów, co świadczy o dużych zdolnościach w zakresie psychologii. Od czasów Antoniego III, sytuację skomplikowało (czy na pewno?) mu nieco powołanie niezależnego centrum – biura obsługi rektora. Myślę jednak, że i z tą „przeciwnością” jakoś sobie radzi trzymając rękę na pulsie. Skoro o tym nowym „pączku administracji”, to coś mi się wydaje, że wśród wielce zaangażowanych i kompetentnych, nieco szkoda mu niekoniecznie profesjonalni pracownicy, których dyrektor (tym razem biura rektora – tzw. DBR) otrzymał „z dobrem inwentarza”. A otrzymał, bo (podejrzewam), że byli mocno protegowani! Wracając do kanclerza to tyle o „pierwszym po Bogu” – jeśli za Boga w Uczelni uznamy rektora!

Kolejną personą w hierarchii, trzymającą kasę, jest kwestor. Kiedyś osoba (chyba) ważniejsza niż dziś, bo od niej zależało, która klasa biletu kolejowego przysługuje delegowanemu (miałem i taki problem w latach 80. minionego wieku, kiedy jechałem z towarzystwem i nie mogłem powiedzieć: ja jadę klasą II), w jakim hotelu może spać i kilka innych równie ważnych decyzji. W pozostałych sprawach obowiązywały sztywne zcentralizowane zasady i osoba pełniąca tę funkcję „służyła” głównie do podpisywania stosownych dokumentów. Nie wiem czy była powiązana ze służbami, ale z pewnością nie stanowiła „zapory” w informowaniu ich. Z chwilą, kiedy weszliśmy w nowe uwarunkowania kwestor stał się osobą wielce mogącą. Ale też przestał być personą w zarębkawkach liczącą przychody i rozchody. Powinien posiadać doskonałą umiejętność przewidywania finansowego. Jej pochodną będzie ustalanie różnego rodzaju narzutów, kosztów wewnętrznych, opłat „za”. Wszystko to przenie-

sione na wydziały musi być z centrali kontrolowane i uzupełniane o zaspokojenie potrzeb funduszy dzielonych centralnie. Nie będę się w finanse zagłębiał, na szczęście poza budżetem Katedry nigdy nie musiałem ich poznać, więc po co się wymądrzać. Poruszę tylko jedną sprawę, rozliczeń prac finansowanych przez Unię. Do dziś nie jestem w stanie pojąć, dlaczego godzina profesora w GIG-u mogła być rozliczana stawką 40 € a u nas 11–14. Kiedyś, wkurzony z tego powodu zrezygnowałem z realizacji zlecenia z tzw. funduszu węgla i stali. Temat przejęli koledzy z Politechniki Śląskiej i tam się go dało rozliczyć po (względnie, bo bez porównania z niemieckimi) stawkach godziwych. Nie pamiętam, kto był kwestorem w czasach słusznie minionych. Odkąd zacząłem płątać się po obrzeżach kadry zarządzającej jest nim pani **mgr Maria Ślizień**, absolwentka krakowskiej Akademii Ekonomicznej, wcześniej zarządzająca wydziałem geologicznym. Marysia (bo i z nią mam zaszczyt być po imieniu – niech się pochwałę) jest niezwykle pracowitym i skrupulatnym księgowym. Jej naczelną dewizą (chyba?) jest dbanie by nie narazić siebie, rektora i Uczelni na kłopoty. W związku z tym unika decyzji „na krawędzi”, bez których w dzisiejszych czasach trudno efektywnie zarządzać. Na szczęście doskonały budżet Uczelni nie wymaga takich działań. Uczelnia więc finansowo stoi świetnie, a liczne kontrole nie mają się do czego „grubego” przyczepić. To z pewnością jej zasługa.

Oczywiście nie funkcyjny pracownik z tuzami administracji ma styczność głównie stosując się do ich zarządzeń. Jeśli cierpi, to w trakcie kontaktów z ich podwładnymi, zorganizowanymi w różnorodne działy. Część z nich ma podległość podwójną, bo stanowią pionowy, będące w gestii, któregoś z prorektorów. Ten szczebel administracji, trzeba przyznać, przez moje 50 lat zrobił istotny postęp. Kiedy zaczynałem, idąc do jakiegoś pokoju na drzwiach witała mnie kartka: „interesantów przyjmujemy od..., do...”. Długo nie mogłem zrozumieć jak pracownik tej samej instytucji może być dla drugiego (też pracownika) „interesantem”. No, ale takie były czasy. Dziś, do każdego pokoju mogę wejść o dowolnej porze i co najwyżej dowiem się, że mam „zostawić papier i przyjść później”! Bywa też, że jeśli mój papier finalnie ma trafić do sąsiedniego pokoju to muszę go sam odebrać i przenieść. I tak to już duży postęp. Ale, co tu dużo ukrywać, nie miewałem kłopotów, bo w „tamtych czasach” posiadałem umiejętność innego załatwiania spraw. Zawsze, jakaś życzliwa mi sekretarka szczebla wydziałowego zna panią (tu wstaw imię pani z danego pokoju) i „załatwi sprawę” dla mnie bezstresowo. Abyśmy byli dobrze zrozumiani. Kiedy mieliśmy kasę

byliśmy „podzielni” również z „paniami”. Nie mam więc do tych (przysłowio-
wych) „pań” żadnych pretensji, przeciwnie jestem pełen podziwu, że nadal,
w miarę bezpiecznie, prowadzą nasze papiery, pomimo nawału debilnych za-
rządzeń, wytycznych, decyzji. I nie przypominam sobie bym w czasie tych 50
lat miał z ich pracą jakiś problem. Pewno więc faktycznie administracja, jak ów
olej w autobusie z opowieści kanclerza, odgrywa swą rolę bez specjalnego afi-
szowania się.

I za to, że i mnie w jakimś sensie prowadziła – dziękuję!

Wyjazdy, nie tylko służbowe

Problemy „turystyki naukowej” sygnalizowałem w poprzednich rozdziałach. Nie uczestniczyłem w niej. Opisałem dwa socjalistyczne wyjazdy do Ostrawy. Wspomniałem również o stażu w Moskwie. Ten był szczególny z kilku powodów. O niektórych pisałem. Muszę dodać, że potwornie się nudziłem, bo w Katedrze (wspólne pomieszczenie), jak tylko wchodziłem to wszyscy pracowali niezwykle intensywnie. Po kilku dniach upewniłem się, że jestem intruzem, nawet dla mego formalnego opiekuna. Na szczęście spotkałem tam, bawiącego na stażu w Instytucie Akademii Nauk – dr hab. inż. Jacka Szewczyka, geodetę z AGH, który mi udzielił bezcennych rad. Pierwszą było nie zwracanie opiekunowi głowy. Następną, poproszenie go o załatwienie zgody na wyjazd do Zagorska (obecnie Siergijew Posad), podmoskiewskiego sanktuarium prawosławia. I trzeciej, prośby o załatwienie zgody na korzystanie z biblioteki im. Lenina. Do pierwszej się zastosowałem, drugą (po 2 tygodniach czekania) uzyskałem, trzeciej nie udało się załatwić. W instytutowej bibliotece spędzałem czas do obiadu (3 tygodnie wystarczyło, by zrobić wypisy z dostępnej literatury). Po obiedzie, zjedzonym w stołówce, wsiadałem w metro i kiedy przyszła ochota wysiadałem. Sprawdzałem na planie, gdzie jestem i... piechotą udawałem się do akademika. Tam czekał na mnie towarzysz stażysta (z Politechniki X), człowiek niezwykle oryginalny. W Moskwie, w ramach stypendium robił habilitację. Polegało to na tym, że z Polski przywiózł kilka opracowań prac zleconych, które prezentował w Katedrze. Dysponując alkoholem (przydział z ambasady + dostawy z Polski, bo w ZSRR panował wtedy „suchoj zakon”), od

pracowników „załatwia” pozytywne opinie o swych osiągnięciach. W międzyczasie (staż był dość długi) „wpadał” do Polski, przywożąc grzejniki elektryczne, zamrażarki, lodówki, które korzystnie spieniężał. I tak parę razy obrócił. Jeden z wyjazdów wypadł mu w trakcie mojego pobytu, co pozwoliło mi spędzić nieco czasu normalnie. Bez gazety na stole, na której przygotowano jedzenie, bez brudnej bielizny leżącej wszędzie. Wrócił do kraju z habilitacją. Nie wymieniam go z nazwiska, bo dalsze jego losy były niezbyt chlubne. Musiał opuścić Uczelnię, podejmując pracę „na prowincji”. Nie uzyskał tytułu, między innymi przed naszą radą. Rozpisałem się o tym przypadku, ale niech będzie uzasadnieniem do dyskusji o równoważności stopni i tytułów zdobywanych w niektórych krajach. Wracając do moskiewskich warunków, to pierwszy raz w życiu zobaczyłem jak wyglądają karaluchy. Na szczęście tylko w łazience. Przepaść kulturowa w tamtych latach była ogromna. Jeszcze jedna ciekawostka. Łącząc po Moskwie, za namową dr. J. Szewczyka trafiłem do synagogi. Na jednym z filarów widzę plakat, a na nim „Modlitwa za ojczyznę”. Podeszedłem by zobaczyć jak Żydzi modlą się za radziecką ojczyznę. Ktoś ciągnie mnie za rękę i szepce: „wy iz kuda”, „iz Polski” – odpowiadam. Niedosłyszał lub coś mu się skojarzyło i pyta: „z Sojedinionnych Sztatów”? „Nie iz Polski”²⁴³. I pięknym polskim językiem: „ja też z Polski, z Sokółki, wywieźli mnie w 39 roku. Jak tam u was jest”? Obawiając się, że agent, skromnie mówię: „nieciekawie”. „Popatrz, popatrz, wszędzie gdzie komuna nie może być dobrze!” Po wyjściu na zewnątrz pogadaliśmy. Drugie, oryginalne miejsce, to meczet. I kolejna ciekawostka, kompletnie niezrozumiała dla współczesnych. Chcąc zadzwonić do domu siedłem na pocztę i zgłaszałem zapotrzebowanie na rozmowę z Polską. Odczekawszy, uzyskałem za kilka dni termin i godzinę oraz możliwy czas trwania rozmowy. Kiedy przychodziłem wiedziałem, że będę podsłuchiwany i jakiegokolwiek tematy podejrzane spowodują natychmiastowe zerwanie rozmowy. Staż ukończyłem z efektem, co opisałem w części poświęconej habilitacji.

Odrębny przebieg miały wyjazdy zagraniczne związane ze zleceniami. Było ich kilka i to w czasach, kiedy podlegały ścisłej kontroli „tajnej kancelarii”. Wszystko zaczęło się, o czym kilkakrotnie wspominałem, od naszych prac nad stosowaniem w kopalniach odpadów. Pierwsi „interes” zwęszyli Niemcy z Hamburga, zajmujący się zagospodarowaniem odpadów drobnoziarnistych jak pyły

²⁴³ „Ty skąd? Z polski”. „ Ze Stanów Zjednoczonych”, „Nie z Polski”.

z zamiatania ulic, czy szlamy z oczyszczania kanałów portowych. Ponieważ zawierały całą masę metali ciężkich, nic dziwnego, że ich zagospodarowanie było drogie. Wymyślili sobie, by dostarczać je do nas i wspólnie z popiołami wsadzać do kopalń. Firma z Hamburga przysłała emisariusza, Polaka, który chciał nas kupić(!) Rozpoczęło się od opłaconego przez nią wyjazdu do Hamburga (doc. S. Ropski, Zbyszek Piotrowski, ówczesny szef działu współpracy z zagranicą, z wykształcenia wiertnik – mgr inż. Andrzej Kuźniarski i ja). Problem paszportów służbowych i wiz Andrzej załatwił błyskawicznie z kancelarią tajną. Widać miał chody gdzie trzeba! Wyjechaliśmy jego mercedesem. Przyjęto nas z pełnymi szykanami, obiadem podanym w gabinecie senatora Senatu Miasta Hamburga, szefa owej firmy. Potem były przyjęcia w innych atrakcyjnych lokalach. Dostaliśmy kieszonkowe (po 200 DM). Nie zaprowadzono nas tylko do słynnej dzielnicy „za żelazną bramą”, bo mieli problemy z innymi gośćmi z demoludów, których musieli rano wykupywać. Wtedy pierwszy raz zobaczyłem, że w firmie nie są potrzebni kierowcy samochodów osobowych. Wychodząc z gabinetu prezesa, ten z półeczki pobrał kluczyki i papiery i wystąpił w roli kierowcy, wioząc nas do hotelu. Spytałem czy to normalne i usłyszałem, że tak, „po co wydawać pieniądze na kolejny etat”? W socjalizmie nie do pomyślenia. W AGH był dział transportu. Kilkanaście samochodów osobowych i kilkadziesiąt ciężarowych. Wizyta skończyła się zleceniem. Nic, praktycznego z niego nie wyniknęło, bo nie mogliśmy dać rekomendacji, świństwa w odpadach było zbyt wiele. Ale pierwszy raz pracowałem za „prawdziwe pieniądze”.

Kolejne zlecenie, jakie otrzymaliśmy, tym razem za pośrednictwem Kopex-u dotyczyło kopalni węgierskiej w okolicach Peczu, w której, w ramach kontraktu z tą firmą, pracowali Polacy. Związane było z problemami zagospodarowania odpadów z miejscowej elektrowni. W ramach podpisanej umowy przewidziane były wyjazdy, rozliczane delegacją. Na pierwszy wybrałem się ze Zbyszkiem. Jechało się pociągiem, po drodze dwie granice i oglądany z okna Budapeszt. Na miejscu czekał samochód i ... delegat Kopex-u. Chłop 1,9 m i wagi ze 150 kg. I naszym obowiązkiem (o czym poinformował nas urzędnik z Katowic), „na dzień dobry”, był obowiązek wypicia z nim przywiezionej z Polski wódki. Przewidziawszy taki przypadek wziąłem z sobą tabletki leczące kaca (bodaj „alcaprim”). I one uratowały życie Zbyszkowi. Słyszając nad ranem, jak rzeźi, podałem mu podwójną dawkę. Rano, na śniadaniu spotykamy naszego ciemiężcę w do-

skonałej kondycji i nastroju. Widząc nas podejmuje decyzję, że „dzień spędzimy relaksowo”. Nasza „praca” w dni następne sprowadziła się do wizyty w kopalni węgla. Pierwszy raz byłem w kopalni gdzie strone pokłady (do 45°) wydobywano 50-metrową ubierką z samostaczaniem urobku. Szło się w niej korzystając z drabin sznurowych. Urabiano ręcznie, młotkami pneumatycznymi. Taki system nie rokował najlepiej dla lokowania popiołów. Te, w badaniach laboratoryjnych, okazały się mieć właściwości promieniotwórcze, co nie było dziwnym, wobec sąsiedztwa węgla z rudami uranu. Ale wracając do wyjazdów, na kolejny postanowiliśmy ze Zbyszkiem zabrać Czesia Kwiecińskiego, myśląc, że ten, też kawał chłopca, potrafi dzielnie stawać w picciu naszemu gospodarzowi. Gdzie tam, po pierwszej flaszcze wstał i powiedział „to ja idę spać !”, a my walczyliśmy dalej. I znowu kac gigant! Wyjazdów było kilka, bo były niezwykle intratne. Otóż „komuna” (w interesie swoich prominentów) przewidziała wysokie zagraniczne diety. Na dodatek i ryczałt na nocleg był niemały. Ten drugi dzieliliśmy po połowie z jakąś miejscową osobą, która wystawiał nam fikcyjny rachunek za wynajęcie pokoju, a my spaliliśmy w pokojach gościnnych delegatury Kopex-u. Takie „rozliczenia” sprawiały, że dysponowaliśmy zupełnie przyzwoitymi kwotami. Na szczęście Węgry tamtych lat (druga połowa lat 80. ubiegłego wieku) były zdecydowanie lepiej zaopatrzone niż nasz siermiężny Kraj stanu wojennego. Obkupiłem żonę w zachodnią bieliznę, dzieci w takie ubranka, nakupiłem nieznanym u nas dezodorantów. Reszta poszła w soki, salami i inne wiktuały. Moja torba, za każdym razem ważyła tyle, że miałem kłopot zarzucić ją na ramię. Przynosiła mi masę nerwów przed granicą, ale zawsze jakoś celnik przymykał oko. Pewno za sprawą służbowych paszportów (kto wtedy takie posiadał?). Załatwiwszy picie, kurtuazyjną wizytę w kopalni i zakupy, resztę czasu spędzaliśmy w basenach termalnych w Harkanach.

Inne zlecenia Kopex-u (Indie) nie skutkowały wyjazdami. Podobnie zlecenie z Kanady realizowaliśmy bez wyjazdu.

Najciekawsze wyjazdy, to „wyprawy” ze studentami. Pierwsze kontakty w takiej formie, to obozy naukowe w Bieszczadach i kopalni. Sytuacja jednak odmieniła się diametralnie, kiedy opiekunem koła został dr J. Kicki. Będąc wcześniej działaczem studenckim miał szerokie horyzonty i wpadł na pomysł... zwiedzenia Skandynawii. Dogadał się z dyrektorem jednej z kopalń, że dadzą autobus, my weźmiemy na siebie organizację i pojedziemy wspólnie (połowa

uczestników pracownicy kopalni, połowa my – pracownicy i studenci). Wyprawa miała trwać około miesiąca. Oczywiście pojawił się problem finansów. Kopalnia nieodpłatnie dała autokar i paliwo oraz opłatę jego „transferu” promem. Pozostałe koszty, łącznie z utrzymaniem kierowcy, uczestnicy wzięli na siebie. Organizacją zajął się (wtedy) student Waldek Korzeniowski. Nawiązał kontakt z Instytutem Szwedzkim (instytucję promującą Skandynawię wśród obcokrajowców) i wziął na siebie przygotowanie wizyt w zakładach górniczych. W trakcie rozmów z kopalnią okazało się, że wobec niezałatwienia dla potencjalnych uczestników przydziału dolarów²⁴⁴ chętny na wyjazd był jeden. Dyrektor, okazał się „gościem” i umowy nie zerwał. Pojawił się za to problem drugiego kierowcy. Na szczęście jeden z pracowników technicznych w naszym Instytucie (inż. W.) posiadał takie uprawnienia i zgodził się pojechać. Rozpoczęły się przygotowania sprzętu turystycznego (bo noce planowaliśmy spędzać w namiotach) i konserw. Jacek Postawa przyniósł pomysł by razowy chleb pakować w worek foliowy, wlewać łyżeczkę spirytusu i mocno wiązać. Sprawdziło się, nie pleśniał i dał się jeść. Zapakowani 6 września 1978 r., rano wyruszamy z Krakowa i wieczorem okrętuujemy się na prom (mój pierwszy w życiu kontakt ze statkiem). Następnego dnia rano jesteśmy w Ystad skąd ruszamy dalej (Malme, Lund, Jönköping). Zatrzymując się w lesie stwierdzamy zatrzęsienie grzybów. Zbieramy i do kociołka. Po wkrojeniu konserwy będą stanowiły częsty posiłek (z makaronem lub kaszą). Pierwsza noc, ktoś wpada na pomysł by nie rozbijać namiotów a spać na siedzeniach. Po przeliczeniu wychodzi, że z wyjątkiem dwóch, pozostali położywszy dmuchany materac na siedzeniach w poprzek osi autobusu, zupełnie wygodnie mogą spędzić noc (miało się te 31 lat!). Dwóch spało na podłodze autobusu, pod kolegami. Ponieważ ten sposób okazał się niezłym, więc został wdrożony na całą podróż. Spanie na „spagu” rotacyjnie obejmowało każdego, z wyjątkiem kierowcy, który na stałe miał luksusowe miejsce na ostatniej kanapie.

Kilka wrażeń ze Szwecji. Najpierw, dla młodego Polaka z za żelaznej kurtyny, szok obyczajowy. Oczywiście wiedzieliśmy, że Szwecja to centrum przemysłu porno. Rok wcześniej „na zmywaku” był tam Marek Dydecki i wiele nam opowiedział. Ale co innego wiedzieć, a co innego na śmietniku w lesie znaj-

²⁴⁴ W gierkowskim PRL-u, lud miał okazję otrzymać „przydział” 100\$, za bankową cenę. Oczywiście na ogół „społeczna” komisja przyznawała „tym co się należało”.

dować „świerszczyki”²⁴⁵, czy natknąć się na szyld „sex shop”. A w środku...! Nic dziwnego, że my „kadra”, w ramach dbania o ruchomość stawów i mięśni studentów, urządziliśmy dla nich bieg terenowy, w którym jako nagrodę ufundowaliśmy komplet kolorowych prezerwatyw (produkt w socjalizmie nieistniejący)!

Sztokholm, pierwsze widziane w życiu duże miasto zachodu. Oprowadzał nas po nim (za pieniądze wspomnianego Instytutu) uchodźca z Polski z okresu 1968 r. Denerwował mnie mówiąc co chwile: „u nas to jest możliwe, nie tak jak tam u was”. Choć faktycznie u nich zdarzały się przypadki jakie u nas były nie do pomyslenia. Pomimo posługiwania się planem miasta (przecież nie było GPS-u) wjeżdżamy w ciasną uliczkę. Kolega podchodzi do policjanta prosząc o pomoc. Ten, na motorze, doprowadza nas do pożądanego miejsca, ignorując po drodze nakazany kierunek ruchu. Oglądamy Pałac Królewski, Ratusz, któryś z kościołów. Generalnie jednak szokuje nas Sztokholm nocą. Pierwszy raz widzę jak iluminacja może wydobywać piękno architektury.

Wizyty w firmach górniczych (Altas Copco, Sandwiken, Fagersta Secorac) lub kopalniach (Falun, Garpenberg) mają ten sam scenariusz. Spotkanie z kimś z kierownictwa, zwiedzanie zakładu, obiad (w jednym przypadku z alkoholem – ohydną anyżówką), prezenty. Niekiedy zafundowane spanie w hotelu (po leśnym koczowaniu w autobusie, można się było uczciwie umyć w ciepłej wodzie). W trakcie wizyt w zakładach kolejny szok. Wjeżdżając do Sandwiken – fabryka sprzętu wiertniczego, nie widzimy płotu, a materiał i gotowe wyroby leżą na placu. Przed budynkiem dyrekcji na maszcie polska flaga, po wyjaśnieniach – z okazji naszej wizyty. W stołówce oprowadzający nas inżynier bierze serwetkę i na niej kwituje odbiór obiadów. Na obiad śledzie na słodko!

Po kilku dniach Norwegia. Kolejny szok, zwłaszcza dla kierowcy, który będąc pierwszy raz za granicą, kiedy dowiedział się, że przekroczyliśmy granicę (zmiana koloru linii wymalowanych na drodze) chciał zawracać: „bo na pewno był znak, a myśmy się nie zatrzymali”. Dał się przekonać, że nikt nas nie goni. Wjeżdżamy w piękny krajobraz górski z drewnianymi domkami w charakterystycznych brązowo-rdzawych kolorach. Po noclegu w lesie docieramy do Oslo. Tutaj szła zwiedzania, zamek Niebelunga, skocznia Holmenkolen z muzeum narciarstwa, muzea Fram, Kon-Tiki, Wikingów. Natychmiast kojarzę z książkami Centkiewiczów i Thora Heyerdahla, zaczytywanymi w dzieciństwie.

²⁴⁵ Dla młodych: gazetki ze zdjęciami porno.

I znowu miasta: Lillehamer, Mauhigen, Trondheim. W tym ostatnim na politechnice zgłaszamy się do profesora Berge, do którego kontakt załatwił nam prof. S. Takuski. Tu opisywana konsternacja. Profesor nie jest kierownikiem Katedry bo „jest zbyt cennym by zajmować się administrowaniem. Ma zdobywać zlecenia” – jak nas objaśnia młody doktor, kierownik Katedry. Zwiedzamy laboratoria i uczestniczymy w spotkaniu studentów, coś na kształt naszego spotkania gwarków (niestety płacąc za nie!). Skierowani jesteśmy na nocleg w schronisku młodzieżowym, więc trzeba wydać kolejne 8 \$. Kontynuując, jedziemy do ośrodka szkoleniowego Uczelni, do starego centrum wydobywania i wytopu miedzi (Røros), gdzie, po zwiedzeniu wyrobisk z XVI wieku śpimy w domku praktykantów (kominek, sauna). Po raz pierwszy widzę fiord. I znowu wyobrażenia przypominają przeczytane biografie Nansena i Amundsena. Wjeżdżamy w tereny zimne i nocleg w autobusie przestaje być przyjemnością. Na szczęście można palić ognisko, więc się grzejemy. Podejmujemy decyzję, wracamy na południe do Szwecji. Po drodze zwiedzamy miasteczka: Asarna, Östersund, Örnköldsvik, Ulea, Lulea. Podobne do siebie, niskie, surowe, ale droga prowadząca wzdłuż wybrzeża Bałtyku – cudowna. W Haparandzie, miejscowości graniczącej z Finlandią – ostatni nocleg na terenie Szwecji. I pierwsza w życiu widziana w całej okazałości zorza polarna. I znowu skojarzenia z książkami Centkiewiczów. Równiną fińską docieramy do Oulu. Tutaj na targu kupuję skórę z rena. Przez wiele lat będzie wisieć nad moim łóżkiem podsycając marzenia o powrocie do Skandynawii²⁴⁶. Dalsza droga biegnie krainą jezior i lasów (przez Jyväskylä) do Tampere. Tutaj gościmy w firmie Tampela Tamroc, produkującej sprzęt do górnictwa rud, głównie wozy oponowe. Znowu się dożyliśmy, zwiedziliśmy muzeum regionalne. Dojeżdżamy do Lahti, zwiedzając skocznię, na której w 1938 r. Stanisław Marusarz zdobył wicemistrzostwo świata. Jest to udokumentowane w muzeum skoczni. 30 września dojeżdżamy do Helsinek. Jesteśmy potwornie zmęczeni. Monotonne jedzenie gotowane z zabranego prowiantu na kociołku, przestaje smakować. Tym bardziej, że na koniec zostaje tylko makaron z dżemem. Zaczynają się problemy „międzyludzkie”, zwłaszcza na tle finansowym. „Spuszczamy wodę” i nie dyskutujemy, nadal realizujemy program turystyczny. W Helsinkach zwiedzamy katedrę, pałac prezydenta, parlament, uniwersytet, stadion olimpijski,

²⁴⁶ W 2010 r. spełniło się. Zwiedziłem fiordy z morza docierając do Nord Cap-u, czego nie udało się zrealizować 32 lata wcześniej.

cerkiew, słynny kościół wykuty w skale, a także „Finlandia Hal” – XX-wieczny pałac, w którym został podpisany Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (1975). Budynek jest też siedzibą Filharmonii Helsińskiej i Orkiestry Symfonicznej Fińskiego Radia. Ostatnią noc śpimy w schronisku młodzieżowym. Wsiadamy na prom – „szwedzki stół”, nareszcie można się było najeść. 3 października wieczorem przybijamy do Gdyni. Tak skończyła się moja pierwsza wyprawa. Kosztowała mnie 34 \$! Za sprzedaną na stacji benzynowej flaszkę „czystej” kupiłem sobie ładny sweter i drobiazgi dla żony. Z kolegów brali w niej udział Jurek Kicki i Jacek Postawa. Z grona studentów pamiętam Waldka Korzeniowskiego, Karola Komarka²⁴⁷, Bogusia Dziędziela²⁴⁸, Marka Jaraszkiwicza, Wojtkę Świątanowskiego (jednego z moich pierwszych dyplomatów), Jacka Kapcię, Sławka Opłockiego i Grzeska Śleziaka. Pomimo pewnych problemów międzyludzkich (z dwoma „starszymi panami”, kwestionowali finansowanie przez grupę – więc i ich – kierowcy, „bo mu kopalnia płaci”) wyprawę oceniliśmy pozytywnie.

Mając na względzie fakt, że rok później w Stambule odbywać się miał Światowy Kongres Górniczy, jego uczyniliśmy pretekstem do następnej. Na takich samych zasadach, czyli za własne pieniądze. Tym razem kopalnią współpracującą został Olkusz. Nie uczestniczyłem w projektowaniu trasy²⁴⁹, ale z perspektywy realizacji wyjazdu okazała się być (niestety!) klasycznie handlową²⁵⁰. Spowodowało to, że ze strony kopalni większość towarzystwa okazała się być nastawioną na handel. Z naszej strony również podjęliśmy nieśmiałe próby wpisania się w ten biznes. Jakies ciuchy, buty, sprzęt turystyczny. Wyjechało

²⁴⁷ Syn kierownika Stacji Ratownictwa Górniczego w Wodzisławiu, który nauczył mnie wielu z tych zagadnień, napisaliśmy wspólny artykuł.

²⁴⁸ Brat wybitnego krakowskiego aktora Mariana Dziędziela, którego w tamtych latach poznałem.

²⁴⁹ Liczyła ponad 5500 km i wiodła: Kraków, Dukla, Preszów, Koszyce, Miskolc, Debreczyn, Oradea, Cluj, Pitesti, Bukareszt, Konstanca, Magnalia, Warna, Burgas, Stambuł, Edirne, Aleksandrupolis, Kavala, Saloniki, Lavrisa, Ateny, Missolonghi, Ambrakia, Janina, Skopje, Prisztina, Belgrad, Zagrzeb, Wiedeń, Kraków.

²⁵⁰ Uwaga dla niezających realiów PRL. Różnica cen i braki towarów w krajach socjalistycznych uruchomiły specyficzny handel zagraniczny. Wyjeżdżając z PRL-u z 5 prezerwatami, dokonując wymiany towarowej na trasie przez: Ukrainę, Rumunię, Jugosławię, Turcję, można było wrócić z kozuszkami wartym 100 \$. I byli tacy, którzy z tego doskonale żyli. Przypomnę, że pensja adiunkta w 1970 r. wynosiła nieco ponad 20 \$(!)

nas ze strony AGH około 15 osób. Z pracowników, pamiętam Jurka Kickiego, Jacka Postawę, Nikodema Szlązaka, Włodka Roszczynialskiego, Andrzeja Salomona, Tadka Szpondera. Ze studentów, ze wstydem, tylko Józka Kaletę (?).

Przed nami była trasa mordercza. Podjeżdża autobus z uczestnikami z kopalni, luki wypełnione (wtedy uświadamiam sobie, że trasa tak bardzo handlowa). Jakoś wciskamy swoje bagaże i wyruszamy (10.09). Pierwszy problem – granica. Uradowani, że wyjazd wreszcie ma miejsce „folgujemy gardłom” i podpadamy celnikom. „Wysiadać, wypakować bagaże”. Koledzy z kopalni płacą nieźle cło wywozowe.

Wyprawę zapamiętałem przede wszystkim, jako problem z oponami. Kiedy pierwsza siadła zaraz za granicą sądziliśmy – pech. Kiedy w Rumuni, po kilkukrotnej wymianie, posiłkując się pomocą konsulatu kupowaliśmy dwie nowe, wszystko było jasne. Kierowca świadom długości trasy, przed wyjazdem wymienił opony na nowe. Ponieważ nie było radialnych założył promieniowe, które w warunkach przeciążenia okazały się zdecydowanie za mało wytrzymałe. W efekcie, w trakcie trasy koła wymienialiśmy 37 razy!

Kilka refleksji. Najpierw o części wypoczynkowej. W programie był przewidziany jednodniowy odpoczynek na wybrzeżach rumuńskim i bułgarskim. Spacerując w okolicach Konstancy wzdłuż brzegu spotykamy plażę dla nudystów – ja pierwszy raz w życiu, szok. Włodek Roszczynialski spoglądając na piękną blondynkę mówi: „patrz jakie ładne cycuszki”! Słyszymy: „niech pan nie przesadza”! – zmykamy szybko, jechać tyle drogi i w takiej sytuacji natknąć się na rodaczkę. W Bułgarii pierwszy raz widzę, że z morza do jedzenia oprócz ryb nadają się małże. Na plaży spotykam grupę poławiaczy, piekących te skorupiaki nad ogniskiem, brrr! Pozostaje mi uraz i owoców morza nie jem do dzisiaj. Jednak najpiękniejszą kąpiel uprawiam w Grecji, w okolicach przylądka Sunion²⁵¹. Niezwykle czysta, szafirowa, lekko falująca woda, nie chciało się wychodzić a czas gonił.

Stambuł, miasto kongresu, zadziwił wszystkim. Najpierw problemem z paliwem (w Turcji był strajk), potem ruchem samochodowym pełnym jazgotu klaksonów i prawem „bezczelniejszego”. Dalej uliczką burdeli, zwiedzaną nocą. Oprowadzający Turek, wskazując na panie siedzące w witrynach komentował, głównie koncentrując się na zakresie usług i cenach. Te drugie były szokujące:

²⁵¹ Nie wiedziałem wtedy, że w okolicy, oprócz ruin świątyni Posejdonu znajduje się kopalnia rud srebra z VII wieku BC, o której aktualnie wykładam.

„za suszarkę wizyta zwykła, wiertarka wizyta całozmianowa”. Nie śmiałem pytać „a co za namiot”? (przedmioty te, to towary wtedy niezwykle chodliwe w Turcji). Pilnowaliśmy się, bo podobno „naganiacze” byli tak sprawni, że zagadując, potrafili klienta wciągnąć, że ani nie wiedział kiedy. Kończyło się to totalnym oskubaniem, nierzadko koniecznością wykupywania. Choć dla młodych chłopaków temat był frapujący, zasadniczą atrakcją miasta były zabytki: Hagia Sofia, Błękitny Meczet, Pałac Topkapi, Kryty Bazar. Chodzimy, zwiedzamy oprowadzani przez przygodnie poznanego Turka mówiącego bardzo dobrze po polsku. Na koniec zwiedzania prowadzi nas do sklepu z kozuchami (gdzie chyba odebrał swoją dniówkę). Ale o kozuchach dalej. Przez Most Bosforski udaliśmy się do Polonezköy – osady zamieszkałej przez Polaków. Niestety czas pozwala tylko na ogląd ogólny. Główny cel naszej wizyty – Światowy Kongres Górniczy. Zwiedzamy wystawę sprzętu górniczego, ale na salę obrad nas nie wpuszczają. Nie pamiętam, czy udało się spotkać z prof. J. Roszkowskim, uczestnikiem obrad, dla którego Nikodem z Polski wiózł flaszkę. Na wystawie po raz pierwszy widziałem tak różnorodny sprzęt górniczy, produkty renomowanych światowych wytwórców. Były również wyroby polskie. Ale wtedy, jakby bardziej toporne.

Pisałem o turystyce handlowej. O ile kraje socjalistyczne służyły do dokupywania towarów, to Turcja była pierwszym poważnym ich odbiorcą. Natychmiast po przyjeździe na camping pojawili się kontrahenci. Wytrawni handlowcy wytrzymywali napór, bo wiedzieli, że w mieście sprzedadzą drożej. My, drobni ciułacze chcieliśmy się towaru pozbyć jak najszybciej, palił nas. Ja w tej materii zdałem się na Jacka, który w zamkniętym namiocie targował się z Turkiem, a ja pilnowałem czy nie pojawi się policja, bo handel na campingu był zabroniony. Zarobiwszy zabrałem się za zakupy. Jak wszyscy zapragnąłem kupić dla żony kozuszek. Kompletnie nie znając się na realiach zdałem się na jednego z uczestników – studentów, Józka. Był synem kuśnierza z Nowego Targu, więc o znajomość towaru się nie martwiłem. Okazało się jednak, że również ma niesamowitą żyłkę do handlu. Zrobiliśmy rekonesans po kilku składach i Józek dokonał wyboru, w tym kupujemy. Właściciel widząc „poważnych” klientów powyciągał towar. Cały odpadł w przedbiegach, bo jak twierdził Józek był ze skór klejonych. Gdy właściciel (mówiący, jak wielu innych dobrze po polsku) się zaklinał: „nie klejone, całe”! – Józek mówił: „zakładamy się, mocno szarpnę, jak się rozejdzie dajesz taki sam tylko z całych skór za darmo, jak nie, kupujemy bez targowania”. „Nie, nie, już przynoszę inny”! krzyczał i szybko towar

podmieniał. Kiedy wreszcie trafiliśmy na autentycznie nieklejony okazało się, że cena wyjściowa jest wyższa o 30 \$. Zaczęło się targowanie. Ze 150 \$ zeszliśmy do 87, z czego o 5 Józek targował się 45 minut. Było oczywiście rzucanie towaru i wychodzenie, łapanie nas za ubranie i wciąganie z powrotem do sklepu. Nieodporny, chciałem dołożyć te 5 byle skończyć. Józek nie pozwolił. Za owe wytargowane 5 \$ kupiłem (oczywiście klejony) kożuszek dla dziecka. Po zakupach mogłem spokojnie myśleć o dalszej podróży. Należało tylko zakup dobrze w autobusie zabezpieczyć, bo zdarzyły się kradzieże pieniędzy i to (raczej) przez kogoś z uczestników.

Następnym etapem była Grecja. To jeden z dwóch krajów europejskich (drugi to Norwegia), w którym mógłbym żyć (no, może dzisiaj niekoniecznie – z wiadomych powodów). Tu już tylko zwiedzanie i relaks na nadmorskich postojach. Przejechaliśmy przez Saloniki, dalej obok spowitego w chmurach Olimpu do Aten. Chodząc po Akropolu, ktoś przeczytał, że jest spektakl „światło i dźwięk”, czyli wieczorne oglądanie iluminowanego Akropolu. Można go obejrzeć płacąc ileś tam drachm. Jak się okazało, że płatny ilość chętnych zmalała. Przychodząc wieczorem dowiadujemy się, że spektakl ogląda się z sąsiedniego wzgórza, gdzie jest ogrodzony teren z ławkami i to za opłatą. Sprytny Polak wymyślił, że zamiast płacić można kupić tanie nalewane (do własnych butelek) wino i udać się na to wzgórze, znaleźć miejsce, gdzie na ziemi da się usiąść i konsumując wino oglądać. Tak też zrobiliśmy. Po powrocie na camping, „oszczędni” byli niezadowoleni! Skoro o winie mowa, to pierwsze spotkanie z alkoholem wyglądało następująco. Łącząc po Atenach ktoś zaproponował wypijmy po piwie. Usiedliśmy w „ogródku”, jak kelner podał, Tadek Szponder widząc wielkość butelki zaproponował: „od razu po drugiej”. Ktoś rozsądnie wytłumaczył mu: „najpierw spróbujemy, zapłaćmy, potem zobaczymy”. Jak pojawił się rachunek (2,5 \$/butelkę = 0,1 pensji adiunkta) ochota na drugie szybko przeszła. Za to „lane” wino było relatywnie tanie.

Po Atenach port w Pireusie, owa świątynia Posejdana na Sunion i do Koryntu. To najbardziej wysunięty na południe punkt wyprawy. Cór Koryntu co prawda nie widziałem, ale za to Kanał Koryncki. Powrót na północ prowadził przez Delfy (niestety nikt niczego nie chciał mi przepowiedzieć), bajeczne klasztory – „Meteory”. Na jednym z noclegów był „Amazonia-Disco-Club”. Wpuszczono nas za darmo pod warunkiem (niedotrzymanym) nie spożywania własnego alkoholu, a przecież mieliśmy własne, „nalewane” wino. Odstresowany szalałem na parkiecie (jak nigdy w życiu, dobrze, że żona tego nie wi-

działa, bo opinia, iż nie umiem się bawić na parkiecie zostałaaby mocno podważona). Ktoś nas jednak przyuważył, że z torby coś nalewamy i musieliśmy opuścić salę.

Dalsza trasa biegła przez ówczesną Jugosławię, a więc wzdłuż pięknego jeziora Otryt do Prisztiny, obok Skopje do Belgradu. Tu spotkałem brata, który obok budował elektrownie i pierwszy raz w życiu piłem „czarne” wino. Dalej już prosto przez Wiedeń do Krakowa. Kozuszki bardzo się podobały.

I wreszcie, bezsprzecznie, podróż życia, 57 dni, z czego 19 spędzonych w pociągach i samochodach – 27 tys. km! Podróż do Chińskiej Republiki Ludowej w 1986 r. Wszystko zaczęło się dwa lata wcześniej, kiedy to w grudniu gościliśmy chińskich naukowców. Zlecenie opieki wykonałem tak solidnie, że nawet gościłem ich u siebie w mieszkaniu. Jednym z punktów programu jaki miałem zrealizować było spotkanie z „aktywem” studenckim. Wymyśliliśmy z Jurkiem Kickim, że aktywem tym będzie studenckie koło, którym się opiekowaliśmy. Jurek wypuścił studentów by w ramach dyskusji spytali gości o możliwość zorganizowania wymiany bezdewizowej²⁵². Delegacja, pomimo, że miała w swym składzie wiceministra przemysłu węglowego nie mogła oczywiście podjąć takiej decyzji, ale ziarno zostało zasiane. W efekcie wymiany pism, w lipcu 1985 r. odebrałem na Okęciu grupę studentów, którzy okazali się być młodymi pracownikami. Po zrealizowaniu zwiedzania Warszawy pojawiłem się z nimi w Krakowie. Tutaj do pomocy miałem dr. S. Wasia²⁵³, nieco starszego kolegę z pokoju i Marka Dydeckiego. Obwieźliśmy ich po kopalniach podkrakowskich i śląskich, pokazaliśmy zabytki, zrobiliśmy spotkanie ze studentami i czas zleciał. Za kilka miesięcy dostajemy oficjalne zaproszenia. Mamy być w Pekinie 28 lipca. No i się zaczęło, paszporty, wizy załatwiamy bez problemu gorzej z podróżą. Na moje szczęście (mam awersję do tego środka lokomocji) na samolot nie ma szans. Pozostaje pociąg, dla mnie frajda, 9500 km do Pekinu i cały czas można się gapić w okno. Ale i z tym problem, na szczęście w ambasadzie w Moskwie pracuje Jurka kolega (lepiej byłoby powiedzieć towarzysz) i on przychodzi nam z pomocą. Można myśleć o pakowaniu. Trochę mi głupio,

²⁵² Czyli podróż pokrywają jadący, koszty pobytu (taka sama ilość osobo-dni) strona przyjmująca.

²⁵³ **Dr inż. Stanisław Waś** urodził się w 1941 r. Studia w AGH ukończył w 1967 r. Doktorat uzyskał w 1975 r. Zmarł w 1997 r.

bo w domu dwóch małych synów (2 i 7 lata), ale i temu jakoś zaradzam prosząc o pomoc mamę. Jurek Kicki uzgadnia z władzami ekipę. Z kolegów, z poprzedniej wyprawy jadą: Marek Dydecki, Włodek Roszczynialski, Andrzej Salamon i Tadek Szponder, z „nowych” dr inż. Janusz Kwaśniewski, specjalista od maszyn górniczych i mgr inż. Zdzisław Kijowski – geolog węglowy. Z grona studentów Marek Cupiał, Leszek Czech, Mirek Tieturka i Zbyszek Brudny.

Ruszamy z Krakowa 21 lipca rano, a o 14³⁰ z Warszawy. Następnego dnia w Moskwie przesiadka i zaczyna się trasa zasadnicza. Jestem w przedziale z Jurkiem, Januszem i Zdziskiem. Z prędkością 65 km/godz. przecinamy Syberię. Monotonny, płaski krajobraz porośnięty lasem mieszanym (z udziałem brzozy) lub tylko brzozą. Widoki urozmaicają przejazdy przez syberyjskie rzeki. Atrakcją jest też przekroczenie granicy Azji, którą wyznacza obelisk. Dni monotonne, zaczynamy od pseudomycia (dwie małe umywalki na 40 osób) i śniadania (z produktów zabranych). Atrakcją jest obiad w wagonie restauracyjnym (rozsmakowałem się w „soljance”). Zatrzymujemy się w wielkich miastach: Kirow, Perm, Swierdłowsk – Jekatirienburg, Omsk, Nowosybirsk, Kemerowo, Krasnojarsk. Na każdym dworcu komunikat: „można poruszać się tylko po peronie, fotografowanie zabronione” i zaleceń tych skutecznie pilnuje liczna milicja. Na każdym drobnym handlarze sprzedający pamiątki. Poruszenie wywołuje Irkuck. Żal, że tylko dworzec, a przecież to centrum zsyłek Polaków. Niestety, pomimo dłuższego postoju opuszczanie peronu „zapieszczone”! Zmiana krajobrazu, wjeżdżamy w góry, wreszcie po jednym z zakrętów wyłania się Bajkał (a ja natychmiast zaczynam nucić „Bradiagę”). Widok bajkowy, kolejnymi zakrętami zjeżdżamy na jego brzeg (Sludjanka, Bajkalsk, Babuszkin). Z nosem przy szybie (sytuacja niekomfortowa – czterech na jedno okno) zapominam o jedzeniu. Niestety, po kilkudziesięciu minutach pojawia się rzeka Selenga i wzdłuż niej kierujemy się do Mongolii. Znikają lasy, pojawia się step, trasa się wznosi. Mijamy Ułan Ude i jesteśmy w Mongolii. Na stepie pojawiają się pojedyncze jurty. Im wyżej tym mniej traw a więcej skał. Zatrzymujemy się w stolicy – Ułan Bator. Na dworcu zwyczajnie sowieckie. Krajobraz staje się coraz bardziej górski. Wyższe partie porośnięte drzewami, chyba modrzewie. Wjeżdżamy w pustynię Gobi. Widok ten towarzyszy nam do granicy chińskiej. Granica to niezwykle miła odprawa przez chińskie (ładne) celniczki. Pojawia się też lekarz. Zaproszenie z ministerstwa zastępuje drobiazgową kontrolę. Zmieniamy podwozia wagonów, więc można pospacerować po dworcu. Ktoś nawet kupuje

butelkę chińskiej wódki (nasze zapasy na wykończeniu). Otwarcie butelki wprowadza niepokój, dziwny zapach! Degustację zaczyna Tadek Szponder, wychyla kielicha i się krztusi: „tego się, k... nie da pić! jak my tu przeżyjemy?” Każdy próbuje, przypominam sobie radę spotkanego na którymś z dworców Polaka wracającego z Chin: „pijcie tylko Whisky, lub Vodkę”. W imię zaprawy wypijam należną mi porcję. Po cichu myślę: „jak to dobrze, że wiozę litr spirytusu, który kuzyn Marka Dydeckiego – lekarz, w ilości 25 g nakazał pić co rano, koniecznie na czczo”²⁵⁴ – przeżyję. Pogoda nie najlepsza, ale z za mgły wyłaniają się góry z Chińskim Murem. Przejazd przez Mongolię Wewnętrzną i dobijamy do Pekinu. Wjeżdżając na dworzec słyszę dziwny pisk – to cykady! Będą nam towarzyszyć w wielu miejscach. Na dworcu czeka na nas tłumacz grupy z 1985 r., profesor Lin Guoscha²⁵⁵, najsympatyczniejszy człowiek wschodu jakiego spotkałem w życiu.

Nie sposób w ramach tych wspomnień szczegółowo zrelacjonować tej wyprawy²⁵⁶. Ograniczę się do kilku ciekawostek. Zacznę (jak przy ocenie dorobku naukowego) od statystyki. Byliśmy w 7 prowincjach, 11 dużych miastach, 7 wyższych uczelniach, 5 kopalniach, 9 fabrykach, 2 szpitalach (nie jako pacjenci!), 23 kompleksach muzealno-zabytkowych, 1 kurorcie i... na 2 zabawach tanecznych. Na terenie ChRL-u przejechaliśmy 9600 km, spędzając w środkach transportu 8 dób.

Uczelnie (wtedy), o zupełnie innej organizacji niż w Polsce, podległe ministerstwu resortowemu, zorganizowane na zasadzie campusu, w którym się

²⁵⁴ Ma to powodować gwałtowny wyrzut kwasów trawiennych, które w takim stężeniu podobno poradzą sobie z ewentualnymi bakteriami. I coś w tym jest, bo chińska wódka to minimum 65–70%, a piją ją (co prawda niewielkie ilości) do posiłku. Do tej kwestii wrócę.

²⁵⁵ Nie wyobrażam sobie by ktoś nam mógł dać więcej serca, czasu i troski. W latach 50. minionego wieku studiował w Polsce. Po śmierci Stalina został wezwany do siebie. Tam skończył studia i został na uczelni. Rewolucja kulturalna zesłała go do kopalni, był robotnikiem najniższego szczebla. Przeżył i wrócił na uczelnię. Piął się po szczeblach dochodząc do stanowiska prorektora. Córce dał imię Jadzia. Jak tylko było można przyjeżdżał do Polski w charakterze tłumacza. Po zmianie ustroju załatwiliśmy Jadzi możliwość studiowania. Skończyła AGH, wyszła za mąż za Polaka i ściągnęła tu rodzinę. Prowadzili restaurację w Warszawie. Niestety nie znam ich dalszych losów.

²⁵⁶ Po powrocie napisałem wspomnienia: „Dotknięcie Chin”, o objętości 30 stron maszynopisu. Nie ma jednak sensu cytowania ich. Ciekawostki sprzed 30 lat dziś już nimi nie są. Chiny poszły do przodu. Maszynopis wspomaga moją pamięć, podobnie jak prowadzony w podróży dziennik. Swe wspomnienia w Dzienniku Polskim opublikowali W. Roszczyński i J. Kicki.

żyje, uczy, odpoczywa, nastawione głównie na dydaktykę. Pracownik ma kilka godzin dziennie zajęć (do 8) dla studentów obowiązkowych. Rozliczany jest z efektów nauczania. Nauką (nieodpłatnie) zajmuje się tylko przy okazji zleceń z ministerstwa lub kopalni. Zajęcia prowadzone są w systemie bloków przedzielonych czasem na posiłki i obowiązkową rekreację, głównie ćwiczenia. Znaczna ich część to praktyki. Wspominałem (ciekawostka dla naszych profesorów i pod rozwagę!), że w Chinach (państwie wtedy rządzone przez starców) kierowniczego stanowiska w Uczelni nie mogła pełnić osoba po 60. roku życia. Ogromnie otwarte na współpracę międzynarodową (USA, Japonia, Niemcy). Wyposażone w nowoczesne laboratoria bez przygotowania do korzystania z nich. Gościliśmy w uczelniach w Pekinie, Fuxin, Huainan, Xuzhou, Xian, Jiaozuo i Handan (uczelnia naszego opiekuna).

Przemysł maszynowy wtedy, nie mając ograniczeń formalnych kopiował rozwiązania zagraniczne. Świadomie, czy nie, pokazali nam kupioną w Polsce stację geofizyczną rozbieraną na czynniki pierwsze (w celu skopiowania). Widzieliśmy wyprodukowane w Chinach kombajny, wierne kopie niemieckich, oczywiście nie w oparciu o licencję.

Kopalnie, eksploatujące w bardzo dobrych warunkach geologicznych (brak rozwiniętych nieciągłości) zorganizowane (wtedy) wbrew ekonomii. Miały wprawdzie realizować plan wydobywania, ale ważniejszym były zadania, co do koniecznej ilości zatrudnionych ludzi. Na dodatek, jeżeli wydobywanie wpływało na powierzchnię terenu, powodując, że rolnicy tracili pracę (zalewiska), kopalnia musiała ich przyjąć do pracy. Zawsze po wyjeździe z dołu dyrektor nas pytał: „co radzicie poprawić”? Moja stała odpowiedź: „dać ludziom dwa razy większe łopaty” (ich były wielkości naszych „saperek”). Piszę o kopalni „państwowej”, bo tylko takie oglądaliśmy²⁵⁷. Ma kilka ścian w pełni zmechanizowanych o długościach 150–200 m, o wydobywaniu z każdej do około 2000 t/dobę. Ale do wydobywania zaliczała węgiel zbierany ręcznie przez dziesiątki ludzi na hałdzie odpadów. Brak nadzoru instytucji niezależnej (jak u nas WUG). Ciekawostka, w chińskiej łaźni myło się w... basenie. Dopiero po odmoczeniu wchodziło się opłukać pod prysznic.

Zwiedzanie, w telegraficznym skrócie. W Pekinie i okolicy: Pałac Zimowy, Plac Tiananmen (z koniecznym hołdem wielkiemu Mao), Pałac Letni, Badoling

²⁵⁷ Były jeszcze podległe prowincji i „prywatne” – chyba coś na kształt naszych „biedaszybów”.

(z Murem Chińskim i podziemnym grobowcem dwóch dynastii), Świątynia Słońca. Identyczny, jak Pałac Zimowy, tylko znacznie mniejszy, był pałac w Shenyang. Byliśmy również w rodzinnej miejscowości Konfucjusza (Qufu), gdzie znajduje się jego grób i cmentarz, na którym pochowano 78 pokoleń jego następców. Jednak bezsprzecznym centrum naszej części turystycznej był Xi'an. Jedyna w świecie „terakotowa armia”, wieża dzwonów, wieża bębna, mury miejskie, pagody dzikich gęsi. Obok miasta groby dwóch dynastii (Qianling i Zhaoling Mauzoleum) i wysokich urzędników im służących. W Longmen, kolejna „wielka atrakcja” – Jaskinie Dziesięciu Tysięcy Buddów. Góry Huang Shan obejrzałem pobieżnie (szczegółowiej na kupionych widokówkach) z uwagi na lęk przestrzeń. Nie było to wprawdzie zwiedzanie, ale muszę odnotować kąpiel w Morzu Chińskim, nad które pojechaliśmy z Fixin. Zaliczyłem więc kąpiel w Oceanie Spokojnym. I drugi fakt godny odnotowania, przejazd przez Żółtą Rzekę. Ta wyliczanka wskazuje, że ta strona wyprawy również miała miejsce, choć trzeba przyznać, że część uczelniana była obfitszą. Zwiedzaliśmy, niejako, przy okazji.

Z jakimi ludźmi się spotkaliśmy? Fizycznie szczupłymi, dość wysokimi, zgrabnymi dziewczynami (niestety na nasze – wtedy – ideały piękności z niewielkim biustem), wysportowanymi. Poranek w mieście – ulice zamieniały się w plac ćwiczeń. Trudno „na oko” określić wiek Chińczyka. Bardzo pogodni i uśmiechnięci. Ciekawi przybysza. Cierpliwi, pogodzeni z przeznaczeniem, choć pracujący nad podniesieniem swojego statusu. Niezwykle zdyscyplinowani, wręcz posłuszni przedstawicielom władzy (mamy wsiadać do pociągu, który wjeżdża. Komenda: „czekać”. Co widzimy – milicja opróżnia połowę wagonu byśmy usiedli, oddzieleni od reszty wolnymi miejscami. Polecenia wykonują natychmiast). Zabiegani o dobra konsumpcyjne, których szczytem jest rower, kolorowy telewizor, dywan na betonowej podłodze. Śmierć jest przyjmowana z pokorą. Jeśli rowerzysta leży na jezdni (wypadek), to tłum dyskutuje jak się to stało, kto winien? Czy jeszcze żyje – nie jest takie ważne.

Najprzyjemniejsze zostawiam na koniec – jedzenie. Jest truizmem, że w Chinach je się wszystko co rośnie i (prawie) żyje na łądzie i w wodzie. Ale (znowu statystyka) jadłem²⁵⁸: 35 dań mięsnych, 12 zup, 12 postaci jaj, 13 postaci owoców morza, 6 rodzajów grzybów, 11 dań z ryb, 35 potraw z warzyw, 10 rodzajów pierożków, ryż (różny) w 10 postaciach, 15 potraw z drobiu, 18 owoców,

²⁵⁸ Od pierwszego posiłku każde danie skrupulatnie notowałem. Do dziś dysponuję ich wykazem.

10 rodzajów ciast. Do tego 15 gatunków piw, tyle samo wódek i 10 rodzajów wina. Gatunków zielonej herbaty (innej nie było i ta trwale oduczyła mnie słodzenia) nie liczę! W Chinach, jak u nas, je się trzy razy, ze skromnym śniadaniem, nieco bogatszym obiadem (5–7 dań) i najbogatszą kolacją. Oczywiście w domach i obiad i kolacja są skromniejsze. Podobno kucharz w Chinach by otrzymać pracę musi wykazać się znajomością przyrządzenia 1500 potraw. Przebojem „in plus” była zupa z żółwia, „in minus” czarne jaja (przechowywane 3 tygodnie w zalewie z udziałem wapna). Ciekawostką – pierogi nadziewane makaronem z jajecznicą. Dla Chińczyka jedzenie na przyjęciu jest ceremonią, choć na nasz ogląd niezbyt kulturalną (cmokanie, siorbanie, a nawet... „bekanie”). Wódki pije się niewiele, ale mocnej, na przyjęciach towarzyszy toastom. Ciekawostka, ponieważ wracaliśmy pociągiem, nakupiłem trochę konserw z charakterystycznymi dodatkami do potraw (pędy bambusa, sos sojowy, czarny ryż i inne, zabrałem też kilka czarnych jaj). To pozwoliło mi urządzić w domu przyjęcie „chińskie” dla znajomych (a był to w Polsce czas bez chińskich restauracji). Do tego dałem chińską wódkę. Dwanaście osób nie wypilo ½ l, a myśmy tam musieli!

Kończy się najprzyjemniejsza w życiu wyprawa. Dziś, przeglądając zapiski, foldery, wspominam ją z rozrzewnieniem. Wtedy, wracając do Polski byliśmy doskonałymi konsultantami dla przemysłu, Uczelni. O dziwo(!) nikogo nasza wiedza nie interesowała. Dziś Chiny (zgodnie z naszymi przekonaniami) zrobiły wielki skok. Są (a będą jeszcze większym) mocarstwem. Pytanie retoryczne: czy jako kraj jesteśmy na to przygotowani!?

Tak wyglądała moja „turystyka naukowa”. Były jeszcze inne wyjazdy, których, gdyby nie praca w AGH by nie było.

Przede wszystkim wyjazdy do Włoch (Watykanu). O pierwszym wspominałem. Miał miejsce w kwietniu 2000 r. Wzięli w nim udział rektor, prorektorzy, dziekani wszystkich wydziałów i jeszcze kilka osób. Niezależnie, z inicjatywy prorektora, prof. B. Barchańskiego, do Rzymu przyjechała jeszcze 250-osobowa grupa pracowników i studentów, która wzięła udział (w „prominentnym miejscu” na placu św. Piotra) w audiencji generalnej (5.04). Wyjazd nasz miał miejsce 31 marca. Bezsprzecznie (wg mnie) najważniejsze wydarzenie w życiu Uczelni, zostało opisane w licznych publikacjach²⁵⁹, więc tylko kilka

²⁵⁹ Np. Biuletyn Informacyjny Pracowników AGH, nr 77, kwiecień 2000.

słów, raczej odczuć osobistych. Kulminacyjnym był dzień 3.04. godz. 11⁰⁰, kiedy to dość liczna delegacja (38 osób²⁶⁰) w strojach akademickich, wchodzi przez Spizową Bramę do Pałacu Apostolskiego. Było to dla mnie w jakimś sensie przekroczeniem doczesności. Byłem jak w transie, niby wszystko rejestrowałem, ale moja dusza, była, jakby obok. Po przygotowaniach wchodzimy do Sali Konsystorskiej. Zajmuję miejsce w odległym rzędzie i usiłuję się modlić. Druga natura nakazuje jednak rejestrować co się dzieje, w tym zachowanie niektórych kolegów (siła by pisać o tym jak niedawne, w końcu, członkostwo w organizacjach zwalczających Kościół można przekształcić w ostentacyjne „leżenie krzyżem! No, ale „większa radość z jednego nawróconego, ..., więc nie będę tego roz-wijał). Wchodzi Nasz Papież, wita się z ministrem i rektorem, siada w fotelu. Jak w ceremonii nadania tego zaszczytnego tytułu bywa uroczystość prowadzi rektor. Objasnia specjalną formę posiedzenia reprezentantów Senatu, telegraficznie przypomina przebieg przewodu i przechodzi do wygłoszenia laudacji. Jak zwykle mówi piękną polszczyzną i niezwykle zwięźle (wtedy nie przyswajam treści, to później z materiałów, tam chłonę atmosferę). Wręczenie dyplomu i założenie na sutannę papieską epitogium. Głos zabiera Jan Paweł II. „Wykład mistrzowski” jestem w stanie streścić i dzisiaj. Papież przypomina swe związki z nauką, podkreśla przywiązanie do humanistycznych, ale stwierdza: „... filozofia, teologia, historia, literatura, nie opisałyby w pełni tej złożonej istoty jaką jest człowiek, ani nie oddałyby rzeczywistości w jakiej istnieje i jaką sam tworzy bez odwołania się do nauk przyrodniczych i technicznych. ...”. Kończy podziękowaniami dla Uczelni i błogosławi nam. Jego wystąpienie kończy niejako część oficjalną. Dostępujemy zaszczytu kolejnego ukłęknięcia przed Największym z Polaków. Przedstawia nas rektor. Słyszac, że jestem zaprezentowany jako „członek KBN, gremium kierującego nauką” – proszę Jego Świątobliwość o błogosławieństwo dla tej działalności. I czuję, że nikt nigdy wcześniej nie słuchał z taką uwagą tego, co mówię. Wydawało się, że jestem dla Niego, to co mówię, najważniejsze w danej chwili. I te życzliwe, prześwietlające oczy. Słyszac: „to bardzo ważna działalność” i raczej intuicyjnie odbieram róża-

²⁶⁰ Skład liczniejszy niż wynikało z „klucza”. Do delegacji dołączyły żony niektórych jej członków, wzbudzając „szepty” wśród innych oraz osoby z „nieznanego klucza”, chyba z racji związków z Krakowską Kurią. Oficjalnym członkiem był poprzedni rektor, prof. Mirosław Handke, pełniący wtedy funkcję ministra. Towarzyszył nam (wtedy) bp. K. Nycz (który w porzedzający wieczór podjął decyzję o poszerzeniu składu delegacji) i ks. A. Szczotka (z nieznanymi mi powodów).

niec, największą świętość, jaką posiadam, całuję pierścion i na kilka chwil jestem, jeszcze bardziej poza rzeczywistością. Nie wiem jak wstaję z kolan i odchodzę na bok. Dopiero, odbierając kilka najmilszych dla mnie zdjęć dokumentujących tę chwilę, jestem w stanie ją dokładniej analizować. Uroczystość kończy wspólne zdjęcie (i tu znowu „zabiegi” o zajęcie bardziej eksponowanego miejsca) i wręczenie rektorowi daru dla Uczelni²⁶¹, portretu – majoliki Ojca Świętego. Na zakończenie prof. J. Kowal zaintonował „Gaude Mater Polonia”. Jan Paweł II wychodzi, błogosławiąc nas. Żegnamy go śpiewając „Gaudeamus”, a On komentując: „widzę, że tradycja nie ginie” – odchodzi. Biała, Święta Postać i ja obok! Przez głowę przelatują wszystkie wcześniejsze spotkania. Od trwania przy taśmie oddzielającej tłum witających przy ul. 3 maja, którą „młody” Papież jedzie samochodem typu „Jelcz”, poprzez pierwsze spotkanie z pracownikami nauki i potem studentami „Na Skałce” (1979), po godziny wystane pod oknem – „jakby się kto pytał Franciszkańska 3”, przy każdym Jego pobycie w Krakowie. Wtedy, „na barana”, kolejno trzymałem małych synów. Potem pamiętne msze na Błoniach i wiele innych spotkań. Kontynuacją naszej wizyty, ale o mniejszym dla mnie ciężarze emocjonalnym, jest audyencja generalna. Występujemy jako zwarta, liczna grupa. Pamiętam, że Ojciec Święty wymienił i nas wśród obecnych. Dla mnie i z powodów turystycznych była to wizyta niezwykła, byłem pierwszy raz w Wiecznym Mieście. Chłonałem szczególnie Watykan, Bazylikę św. Piotra (i pozostałe trzy), Muzea Watykańskie, Forum Romanum, Kolosem... (i nie ma sensu wymieniać miejsc powszechnie znanych). Z innych miejsc, przede wszystkim Monte Casino (gdzie odprawiliśmy mszę św.) i Ancona. Sylwetka, na cmentarzu II korpusu, pułkownika – ułana – Bąkowskiego (ok. 85 lat), znanego wcześniej raczej ze Studium Wojskowego z dykteryjek, szukającego grobu swojego dowódcy z czasów kampanii wrześniowej, to kolejny symbol pozostały w mojej pamięci. Z innych miast, które pierwszy raz zobaczyłem już tylko wymienię: Weronę, Anconę, Asyż, Chiogi, Wenecję. Wyjazd (grupa senacka odrębnym autokarem) wspominam, jako wyprawę przyjaciół. Tak różne osoby, często „wielcy” naukowcy, a wobec siebie potrafili się zachowywać jak kumple na obozie harcerskim.

²⁶¹ Jeśli urzędujący Pan Rektor, przypadkiem czyta te słowa, proszę (błagam!) niech poleci zmienić tabliczkę pod wiszącym przy wejściu do auli portretem, na której jest napisane kłamliwie, że portret dostał rektor(!)

Drugi wyjazd miał miejsce w 85. rocznicę rozpoczęcia działalności przez Uczelnię (19–29 września 2004 r.). Oprócz władz rektorskich wyjechała część Senatu i studenci. Kilka autobusów. Można było zabrać rodzinę, więc towarzyszyła mi żona Jadwiga i młodszy syn Mateusz. Tym razem, z uwagi na stan zdrowia Papieża, mogliśmy (członkowie Senatu + wybrańcy) „tylko” złożyć mu pokłon, klęknąć przed i przyjąć błogosławieństwo, po zakończeniu audiencji generalnej na pl. Świętego Piotra (22 września 2004 r.). Jan Paweł II był już poważnie chory, ale uwaga, z jaką słuchał prośby o błogosławieństwo w niezwykle ważnym dla mnie problemie rodzinnym, żywe oczy, które mnie prześwieślały – były niezmiennie. Natychmiast pojawiła się we mnie pewność, że sprawę, w której o wstawiennictwo proszę, załatwi z Szefem (i się nie myliłem). Część turystyczna wyjazdu była bardzo zbliżona do poprzedniej.

Trzeci wyjazd miał charakter czysto prywatny. Zorganizował go prof. Janusz Łuksza²⁶², w 15. rocznicę nadania Janowi Pawłowi II godności doktora honoris causa AGH, w dniach 10–19 kwietnia 2015 r. Skład „wyprawy” był zbliżony do pierwszej (z jednej strony brakowało kilka osób, ale za to „uzupełniały” je osoby z wyjazdu drugiego), tym razem z żonami. Składając hołd Świętemu, modliliśmy się w czasie mszy św. w Grotach Watykańskich (14 kwietnia 2015 r.). Ciekawa była część turystyczna. Z obiektów i zabytków, wcześniej przeze mnie niewidzianych, zwiedziliśmy Wiedeń z rezydencją Schönbrunn, przełom Dunaju z opactwem Melk, okolice jeziora Garda, w Rzymie Villa Borghese, Neapol z Pompejami, Tivoli, Perugię i Ferrarę. Tak zakończyły się (myślę, że jednak!) moje AGH-owskie wyprawy do Rzymu.

I o jeszcze prywatnych wyprawach, w których uczestnictwa bym nie zaznał gdyby nie praca w AGH. Wobec niełyknienia bakcyła żeglarstwa ze Zbyszkim Piotrowskim (o czym wspominałem pisząc o nim), postanowiłem spróbować kajakarstwa.

²⁶² **Prof. dr hab. inż. Janusz Łuksza** urodził się w 1945 r. Wybitny metalurg (przeróbka plastyczna metali i znawca historii starożytnej). Studia w AGH kończy w 1969 r., doktorat w 1976 r., habilitacja w 1987 r., profesor w 2002 r. Dziekan Wydziału Metalurgii i Inżynierii Materiałowej (1996–2002). Współtwórca „Klubu Rzymskiego” – w tym przypadku spotkań cyklicznych uczestników pierwszej wyprawy – pełniących wtedy funkcje.

Moje związki z tą formą odpoczynku rozpoczęły się od przyjaźni z mgr. Michałem Koziółem²⁶³, tragicznie zmarłym pracownikiem naszego Studium Wychowania Fizycznego. Wspólnie z mgr. Janem Główką²⁶⁴, prowadzili na Mazurach obozy kajakowe. W 1996 r., z 12-letnim, młodszym synem, wprosiłem się na dwa tygodnie. Dojechałem do nich do Sorkwit, nad Jezioro Gieładzkie, by dalej jeziorami: Lampackim, Kujno, Dłużec, Białe, Zyzdruj, dopłynąć do Spychowa (spływ, beze mnie trwał dalej). Przypomniałem sobie obozy harcerskie, z tym, że tutaj w kajakach plastikowych przewoziło się wszystko konieczne do biwakowania. Pogoda była nie najlepsza, ale płynąć było trzeba. Biwakowaliśmy „na dziko”, w miejscach używanych przez „nasz” spływ od lat. Najmilszym był biwak na mniejszej wyspie na Białym. Łowiłem z Michałem i Jasiem węgorze, usiłowałem złowić szczupaka, z miernymi efektami. Miałem szczęście do sympatycznych studentów, choć w stosunku do „moich” czasów harcerskich, a nawet obozów naukowych w Bieszczadach (lata 70. minionego wieku) ich zaradność, przygotowanie do życia na biwaku było znacznie niższe. Ot cywilizacja!

Połknięty bakcyl spływów spowodował, że zgadawszy się z Jurkiem Flisiakiem (komandorem – jak go towarzystwo kajakowe nazywało) zgłosiłem akces do jego grupy. Wielokrotne moje opowieści o Narwi (od 1990 r. na rozlewiskach w parku narodowym, wspólnie z kuzynem Zbyszkciem pływam „psychówką” – spinningując) spowodowały, że mój pierwszy z nimi spływ odbył się Narewką i Narwią (1998). Grupa, to głównie koledzy z AGH. Doktorzy: Danusia Flisiak, Jakub Mazurek, Marek Cała, (dziś profesor) z rodzinami, mgr inż. Andrzej Landzianowski, pracownik techniczny. Do stałego składu należał jeszcze dr inż. Józef Kirejczyk, absolwent mojego Wydziału, doktorant prof. A.S. Trembeckiego,

²⁶³ **Mgr Michał Koziół** urodził się 1951 r. Studia odbył w krakowskiej AWF (1973). Był zawodnikiem pierwszoligowego państwowego zespołu piłki ręcznej. Po studiach do 1977 r. pracował w Studium WFis Akademii Ekonomicznej, skąd przeszedł do Studium WF AGH, dochodząc do stanowiska starszego wykładowcy. Był trenerem drużyny piłki ręcznej mężczyzn AZS – AGH, okresowo trenerem drużyny siatkówki mężczyzn. Oprócz obozów kajakowych na Mazurach prowadził obozy narciarskie we Włoszech i w Polsce. Zginął tragicznie w wypadku samochodowym pod Przasnyszem, staranowany przez „tira”, jadąc z mgr. J. Główką i dwójką studentów na obóz kajakowy w 2005 r.

²⁶⁴ **Mgr Jan Główka** urodził się w 1939 r. W 1968 r. ukończył krakowską AWF. Po studiach podejmuje pracę w AGH, gdzie w 1974 r. zostaje zastępcą kierownika Studium WF ds. sportowych. W AZS-ie był trenerem drużyny lekkiej atletyki i siatkówki dziewczyn.

pracownik Siarkopolu, a potem własnej firmy. Nestorami grupy byli Tytus Chorabik, który kiedy z nim byłem na ostatnim spływie, miał 82 lata oraz emerytowany pracownik techniczny z Wydziału Ceramiki – Antek Naturalista²⁶⁵. Ten drugi pływał zabytkiem, kajakiem składanym produkcji niemieckiej wyprodukowanym w 1938 r. Mnie zawsze towarzyszył młodszy syn – Mateusz. Pływaliliśmy wspólnie do 2006 r. Ostatnim był spływ Bugiem, wcześniej: Łączna Struga + Szlak Kajki (2 × w różnych odmianach), Drwęca, Czarna Hańcza, Krutynia i Mereczanka na Litwie. Doraźnie pływali i inni. Sprzęt to kilkunastoletnie kajaki, składaki. Dbaliśmy o nie jak o coś najcenniejszego. Opisywanie wypraw wymagałoby pokuszenia się o napisanie czegoś w rodzaju *Na tropach Smetka M. Wańkowicza* (chodzi o formę i konstrukcję, broń Boże nie o poziom), a na to mnie nie stać („znaj proporcje mocium panie”!). Zresztą wykraczałoby poza ramy tych wspomnień. Więc tylko z nutką żalu i nostalgii.

Dziękuję Wam przyjaciele od wioseł za niezapomniane chwile!

²⁶⁵ Spotkawszy go na spływie, okazało się, że poznałem go wcześniej dzwoniąc do kolegi (prof. J. Małolepszego). Słyszałem w słuchawce: „kto tam, co tam” – jego charakterystyczne odezwanie w chwili odbierania telefonu. Pierwszy raz pomyślałem, że ktoś ze mnie sobie żartuje, ale nie.

O zwyczajach i tradycjach górniczych w AGH i nie tylko!

Pisząc o profesorze Żabickim wspomniałem o zarażeniu mnie problematyką historii, tradycji, zwyczajów górniczych. Te ostatnie, nie mając specjalnych zdolności aktorskich nie rozwinęły się w kierunku ich kreacji. Drobne epizody, w charakterze asystenta prof. Żabickiego (opisane wcześniej), to w zasadzie wszystko, czym mogę się pochwalić. „Spadek”, jaki pozostawił profesor, obowiązku kultywowania tradycji przez pracowników AGH oddałem bez walki kolegom: dr. Józefowi Zawodnemu²⁶⁶, inż. Januszowi Wolnickiemu, dr inż. Markowi Dydeckiemu, dr inż. Tadkowi Szponderowi, dr inż. Ryśkowi Morawie i dr Zbyszkowi Tajchmanowi (koledze z Katedry), chemikowi – w czasach rektorowania prof. M. Handkego – też chemika – traktował go na karczmach jak kolegę. Pan rektor, wykazywał się poczuciem humoru. „Obsługiwali” nasze karczmy piwne i aktywnie jeździli do przemysłu. Tadeusz Szponder wybił się na „prezesa, w sprawach piwnych nigdy nie omylnego prezydium” i pełnił tę rolę do końca pierwszego dziesięciolecia XXI wieku. Odszedł (a może nawet

²⁶⁶ **Dr inż. Józef Zawodny** (1933–1990), ukończył Wydział Górniczy w 1959 r., wykładowca geometrii wykreślnej i matematyki, zastępca dyrektora Instytutu Matematyki.

został odstawiony), kiedy rutyna zaczęła górować nad improwizacją. Nie jestem zresztą pewien, czy ci, co idą po nim, są lepsi.

Jak stwierdziłem, nie mając predyspozycji do wyżywiania się w praktyce zająłem się teorią. Po śmierci profesora, odziedziczywszy po nim papiery i książki natknąłem się na brulion inż. S. Majewskiego i jedną z prac inż. S. Kossutha²⁶⁷. Zainspirowały mnie do poszukiwania innych z historii górnictwa, w wyniku czego, w 1984 r. wydałem skrypt *Zarys dziejów górnictwa*. Im częściej uczestniczyłem w karczmach piwnych tym bardziej zaczął mnie interesować temat historii zwyczajów i munduru.

Poszukując pochodzenia początków zwyczajów górniczych, które niestety coraz częściej odbiegają od pierwowzoru, sięgnąłem do „zwyczajów Polaków – słuchaczy akademii górniczych”, jak pisał Stanisław Kossuth (jeden z niewielu, który podjął temat i opracował go w formie broszur dostępnych w Bibliotece Głównej AGH). One, są bowiem głównymi korzeniami zwyczajów przeniesionych potem do Akademii Krakowskiej, a z niej do kopalń. Jednak i one mają swoje dawne wzory. Były nimi obyczaje, jakie kształtowały się już w średniowieczu w gminach górniczych. O tych, mówiąc dzisiejszym językiem: „spotkaniach gwarków” wspomina Agricola, czyli Georg Bauer (urodził się w 1494 r.) w swym, wydanym około 1533 r., fundamentalnym dziele *„De re metallica”*²⁶⁸. Pisze w nim o tym, że w zagłębiach górniczych, co sobota zjeżdżali się „oficjaliści” z kopalń i hut, aby spędzić razem wieczór przy piwie, winie

²⁶⁷ **Inż. Stanisław Kossuth** (1893–1968) urodził się w 1893 r. w Myszkowie. Ukończył Polską Szkołę Handlową w Kielcach, następnie przez rok studiował chemię na Uniwersytecie w Liege. Przez rok był też wolnym słuchaczem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Równocześnie uczęszczał do Szkoły Nauk Politycznych. W 1912 r. rozpoczął studia w Wyższej Szkole Górniczej w Przybramie i wstąpił do drużyny strzeleckiej. W latach 1914–1917 służył w I Brygadzie Legionów. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości pracował w kopalniach Zagłębia Dąbrowskiego i Śląska. Od 1926 r. był naczelnikiem OUG, a w końcu lat 30. poprzedniego wieku naczelnikiem Wydziału Węglowego w Departamencie Górniczym Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Po wojnie został sekretarzem generalnym, a następnie zastępcą naczelnego dyrektora i członkiem Rady Techniczno-Gospodarczej w Centralnym Zarządzie Przemysłu. Współuczestniczył w odtworzeniu SliTG (przewodniczący prezydium). W latach 30. redaktor naczelny „Przeglądu Górniczo-Hutniczego” a po 1945 r. redaktor „Przeglądu Górniczego”, docent w AGH odznaczony m.in. Krzyżem *Virtuti Militari*, 2-krotnie Krzyżem *Walecznych*, Krzyżem *Niepodległości*.

²⁶⁸ Tłumaczenie na język polski wydano w Jeleniej Górze staraniem tamtejszego Muzeum Karkonoskiego (2000).

i śpiewie. Inne przekazy sugerują rodowód tych zwyczajów również w okresowych spotkaniach członków gmin górniczych, czyli gwarków, w karczmie (gdyż była to oprócz kościoła największa w gminie izba), na których dokonywano obrachunku, układano plany dalszych działań. Spotkanie, obowiązkowo – bo karczma – przy piwie lub winie, kończyło się wesoło, było okazją do drwin z towarzyszy, a zwłaszcza przełożonych.

Wreszcie, ponieważ mówimy o zwyczajach z rodowodu „akademickich”, kolejnym ich „korzeniem”, z pewnością były zwyczaje żakowskie, z których najbardziej znane są „otrzęsiny”, istniejące w ówczesnych uniwersytetach, ale to bardziej domniemania, bo dowodu nie znalazłem.

Z moich amatorskich studiów wynika, że początków „zwyczajów studentów górniczych”, poszukiwać należy w Schemnitz. Przypomnijmy, że w XVI i XVII wieku w regionie tym notujemy rozwój górnictwa kruszcowego. Tutaj też, przez kilka lat pracował cytowany już Agricola. Nie bez znaczenia pozostawał fakt silnego zróżnicowania narodowościowego miejscowych górników. Pracowali tu Węgrzy, Niemcy, Czesi, Polacy i przedstawiciele innych narodowości. Nic, więc dziwnego, że wśród „oficjeli” językiem służącym do porozumiewania się była łacina. Pewno to jest powodem, że do dzisiaj komendy na spotkaniach gwarków podaje się w tym języku. Tutaj też pojawiają się wieczory piwne, zwane Schachttagami. Podobnie jak zebrania „oficjalistów” z kopalń i hut, odbywanych w sobotnie wieczory, były spotkaniami towarzyskimi zakrapianymi piwem lub winem, w trakcie których opowiadano dowcipy oraz śpiewano. Odbywały się w restauracji (karczmie), na ogół zawsze w tej samej, w odrębnej sali, a brali w nich udział zarówno studenci, jak i profesorowie (o powojennych kontynuacjach tych spotkań opowiadali również moi profesorowie). Utało się, że rozpoczynały się one o 21⁰⁰, a kończyły o 1⁰⁰ w nocy, gdyż wtedy zamykano lokal. Często zdarzało się, że część uczestników idąc przez miasto udawała się do innych czynnych lokali. Z czasem pojawia się specjalny rytuał spotkań. Rozpoczynało je uderzenie przez organizatora mieczem (szpada) w stół i zarządzeniem odśpiewania „Gaudeamus”, po którym wznoszono toast na cześć akademii. Następnie śpiewano pieśni górnicze. I tu dopuszczono śpiew w językach studiujących przedstawiciele różnych narodowości. Często śpiewano tę samą piosenkę równocześnie w kilku językach. W sali wisiała tablica (a czasem dwie), na której student-skryba wypisywał imiona tych kolegów, którzy „podpadli” swoim zachowaniem i zostali „ukarani”, a także tych, którzy się zasłu-

żyli. Kilka razy do roku wieczory piwne miały charakter uroczysty, zwane były one komersami. Związane były z początkiem roku akademickiego, Barbórką, czy pożegnaniem absolwentów, którzy skończyli studia. Składały się jakby z trzech części. W pierwszej, w której obowiązywało zachowanie „salonowe”, śpiewano obowiązkowo „Gaudeamus” i pieśni poważne. Druga i trzecia, w miarę ilości wypitego piwa (lub wina) stawały się coraz bardziej swobodne. Na zakończenie „części poważnej” (pierwszej) wybierano Prezesa, który w drugiej części spotkania sprawował niepodzielnie jednoosobową władzę. W trzeciej panowała „anarchia”. Prezesowi pomagał (organizując uczestników) Kontrapunkt. Śpiewy intonował Kantor. Wybór „demokratyczny” władz kwitowano pieśnią „wstępuj, wstępuj... mój”. Na spotkaniach uroczystych obowiązywał w zasadzie mundur górniczy. Jego krój w Schemnitz wywodzi się z paradnego stroju „oficjalistów” kopalni srebra „Stolnia Borowa”, jaki noszono od XVII wieku. Na marginesie należy zaznaczyć, że jest to strój dzisiejszego „lisa majora”.

W programach owych komersów (i spotkań „zwyčajnych”), pojawiły się specjalne obrzędy. I tak:

- W ramach spotkań Barbórkowych, na „komersie” (lub balu, o czym dalej) odbywał się skok przez skórę, to jest uroczyste przyjęcie do stanu górniczego. Fuksowie, czyli nasze dzisiejsze lisy, wybierali spośród grona starszych kolegów fuks majora (lis majora — dzisiaj), który przez okres kilku tygodni ich szkolił. Owo nauczanie, które odbywało się w czasie spacerów lub w restauracjach, obejmowało zagadnienia solidarności górniczej, zwyczajów górniczych i akademickich, kodeksu honorowego itp. Sam skok prowadził na ogół inny lis major wyznaczony przez starszysnę, czyli stare strzechy (tytuł ten przysługiwał w zasadzie absolwentom i studentom ostatniego roku studiów). Dalszy scenariusz wymagał od lisa skoku przez skórę, trzymaną przez najznamienitszych uczestników spotkania. Skórę tę (czasami) otrzymywał on na pamiątkę, tym cenniejszą, że uczestnicy spotkania składali na niej swoje autografy. Bywało też, że potwierdzeniem skoku był ozdobny dyplom.
- Skok przez skórę odbywali fuksy, którzy wcześniej, zwykle na początku pierwszego semestru, przechodzili chrzest piwny, przestając być kamelą (jak nazywano beanów). Kandydat na fuksa wybierał sobie ojca chrzestnego, którym był na ogół starszy kolega. Ten, wraz z resztą tablicy wybierał dla niego imię piwne, które często nie było przyjemne (Ryj, Cielę, Trąba).

Niektórzy znamienici ojcowie chrzestni z czasem stawali się „ojcami” wcale pokaźnych rodzin piwnych. Niestety, nie znalazłem opisu samego obyczaju chrztu. Czy było to, jak chce dzisiejszy ceremoniał, polewanie głowy piwem, być może? Jest ciekawostką, że imiona piwne nadawano również gościom – członkom rodzin studentów. A jeszcze większą ciekawostką jest fakt, że na wieczory piwne „dopuszczano” kobiety. (Być może jest to sposób na ożywienie dzisiejszych uroczystości). Siostra Stanisława Małagowskiego, późniejsza żona Melchiora Wańkowicza, odwiedzając brata w Przybramie, otrzymała na chrzcie piwnym imię „Greczynka”.

- Po zaliczeniu I roku fuks zdawał egzamin piwny. Obejmował on wiele „piwnych przedmiotów”. Wymagał przede wszystkim od egzaminowanego udzielania dowcipnych odpowiedzi na niedorzeczne pytania. Po jego zdaniu fuks stawał się mężem piwnym, otrzymując pełnię praw w uczestniczeniu w wieczorach piwnych. Słuchacz III roku studiów już automatycznie zostawał weteranem.
- Niezwykle uroczyste były pożegnania absolwentów. Od łacińskiego słowa „vale”, czyli żegnaj, nazywano je valetami. Uroczysty komers o północy przekształcano w dostojny pochód z lampkami górniczymi, w którym absolwenci otrzymujący dyplomy, niesieni byli przez młodszych kolegów, z restauracji pod gmach Uczelni. Tam uderzano nim (a ściślej jego głową) o drzwi tyle razy, ile semestrów studiował, po czym zabawę kontynuowano.
- Uroczystości na cześć zmarłych kolegów zwano salamandrami. Były to wieczory piwne prowadzone w atmosferze poważnej, na których wspominało zmarłego, wspólnie spędzone chwile. Jeśli (a na pewno) wznoszono toasty, to „za jego pamięć, czy spokój duszy”.

Jak widać, obyczaje studentów górników wymagały wiele czasu (spotykano się również bez okazji), no i gotówki, bowiem rozliczne spotkania suto zakrapiane piwem opłacali ich uczestnicy. Nic więc dziwnego, że stare strzechy często bywały dosłownie stare, bowiem wielu z nich dyplom uzyskiwało dopiero po 10 latach zgłębiania wiedzy górniczej.

„Zwyczaj studentów górniczych” obejmowały najpierw całą społeczność studentów, często z udziałem profesury. Z czasem, kiedy w ośrodkach akademickich powstawały studenckie organizacje skupiające w zasadzie jedną z narodowości, wieczory piwne organizowano na ich posiedzeniach, choć niekiedy w uroczystościach brało udział kilka stowarzyszeń.

Pierwsza organizacja skupiająca polskich studentów (szkół technicznych) powstała w Austrii, w 1872 r. Nosiła nazwę „Lechia”. Pięć lat później powstało „Towarzystwo Naukowe Techników Polskich”. Wreszcie w 1878 r. studenci Akademii Górniczej w Leoben utworzyli „Czytelnię Polską” – pierwszą studencką – górniczą organizację, która między innymi podjęła się przygotowywania uroczystości górniczych. W materiałach źródłowych można znaleźć kilka fotografii je dokumentujących. Pomimo utworzenia własnej organizacji Polacy brali również udział w wieczorach piwnych ogólnych, organizowanych przez inne stowarzyszenia i wzajemnie, w spotkaniach polskich uczestniczyli inni studenci, głównie Słowianie. Ostatni skok przez skórę w „Czytelni Polskiej” odbył się w Leoben, w 1917 r.

Zwyczaję górnicze rozwijali również Polacy studiujący w innych uczelniach, zwłaszcza „zorganizowani” w Akademickie Stowarzyszenie SARMACJA powstałe w 1892 r. we Freibergu i Czytelnię Polską Akademików Górniczych w Przybramie – powstała w 1872 r.

Kiedy 1919 r. Akademia Górnicza w Krakowie rozpoczęła działalność, już w grudniu odbyła się „Barbórka” ze skokiem przez skórę wedle wzorów wypracowanych w Leoben. Uroczystość odbywała się w salach krakowskiego „Grand Hotelu”. Kolejne „Barbórki”, aż do 1936 r. (czyli wybudowania gmachu głównego) odbywały się w Teatrze Starym. W skoku przez skórę brali udział wszyscy studenci pierwszego roku. Każdy z nich miał swojego ojca chrzestnego, który trzymał skórę i przez okres studiów pełnił funkcję opiekuna. Pewnym „novum” w uroczystościach był „Bal Górnika” organizowany przez organizację uczelnianą. Obywał się, jako element uroczystości barbórkowych.

Nowa rzeczywistość 1945 r. zaowocowała znacznym wzrostem liczby studentów. Nie było więc możliwości, by każdy z nich odbywał uroczysty skok przez skórę w trakcie uroczystości barbórkowych. Zresztą, po kilku latach organizowanie ich w dniu św. Barbary było przez „niektóre kręgi” kwestionowane. Wszak „dzień szachtiora” odbywał się w zupełnie innym terminie. Na szczęście tradycję udało się zachować, w czym – podkreślam kolejny raz, ogromną, pozytywną rolę odegrał prof. W. Żabicki. Zmieniały się fragmenty tekstów wypowiadanych w trakcie uroczystości, zmieniał częściowo scenariusz, ale tradycja trwała. Powstawanie w AGH wydziałów hutniczych zaowocowało odrębnymi uroczystościami Dnia Hutnika. I tak od 1962 r. zamiast skoku przez skórę hutnicy mieli ślubowanie hutnicze, a w miejsce spotkania gwarków pojawiła się

karczma pod kadzią. Nowymi elementami, tak w uroczystościach górniczych, jak i hutniczych, był zwyczaj wykonywania okolicznościowych kufli i tac, które stawały się przedmiotami kolekcjonowanymi. Z czasem, w latach 70. ubiegłego wieku, z tacy zrezygnowano. W miejsce leobeńskich nocnych pochodów po zakończeniu wieczorów piwnych, w uroczystościach „Dnia Górnika” (jak go zaczęto nazywać by, choć pozornie odejść od św. Barbary) pojawiły się:

- Pochód lisów organizowany od gmachu głównego AGH (a raczej ul. Reymonta) do Rynku Głównego. Rektor, prorektorzy, dziekani wydziałów Pionu Górniczego oraz „prominenci” z przemysłu jechali w dorożkach, pracownicy i studenci z pochodniami pie szo, przechodzili ulicami miasta z orkiestrą górniczą. Oczywiście obowiązywały mundury galowe lub „robocze”, w które w tamtych latach zaopatrywani byli studenci bezpłatnie. Pochód prowadził starosta górniczy na koniu. Przez wiele lat był nim wspomniany, najwspanialszy piewca tradycji górniczych „wszech czasów”, prof. Witold Żabicki. W Rynku na pochód oczekiwały władze miejskie, z prezydentem (Przewodniczącym RM) na czele. Następowala wymiana życzeń i toastów, jak przystało na Kraków, wznoszonych miodem pitnym. W uroczystości tej dawało się zauważyć wiele elementów tożsamy ch z „Juwenaliami”. Pochody odbywały się (jeśli mnie pamięć nie myli) do 1977 r. Trwały dłużej, w przystosowanej „do przemysłu” formie, w Olkuszu. Odtwarzane z mozołem od 2003 r., zmieniły charakter. W formie zbliżonej do poprzedniej, są raczej „manifestacją” obecności studentów – górników w Krakowie. Po obejściu wokół Rynku, kończą się przed kościołem św. Anny. Uczestnicy mogą wziąć udział w mszy św. odprawianej w intencji Uczelni, kadry nauczycielskiej, studentów i braci górniczej²⁶⁹. Uczestniczy w niej orszak Lis-majora oraz poczty sztandarowe.
- Spotkanie gwarków, czyli karczma piwna odbywa się w zasadzie zgodnie ze scenariuszem wypracowanym przed wielu laty. Prowadzi je „w spra-

²⁶⁹ Tradycja Mszy Barbórkowej wywodzi się od czasów przedwojennych. Po 1948 r. stała się „mszą prywatną” zamawianą przez grono pracowników. Byli dziekani, jak prof. S. Knothe, którzy wchodzili do owego grona. Uczestnictwo w niej było pewną formą manifestacji. Po 1990 r. „nagle” na miejsca w stallach (kiedyś siadały w nich odważne stare strzechy ubrane w mundury górnicze) pojawiło się bardzo wielu chętnych. Oczywiście władze rektorskie i dziekani – normalne, ale inni, funkcyjni niższej rangi...! Tak ładnie wygląda się potem na „wieszanych” w internecie zdjęciach, a i cały kościół widzi kto jest ważny. W kościele pojawił się poczet sztandarowy Uczelni i asysta górnicza.

wach piwnych nigdy nieomylnie” prezydium na czele z prezesem. Sala dzieli się na dwie tablice, którym przewodzą kontrapunkci i kantorzy. Powołuje się „służby porządkowe”, które w zależności od sytuacji politycznej i inwencji organizatorów przybierają różne nazwy. Ustala się kary i nagrody, prowadzi pojedynki między tablicami, z głównym pojedynkiem piwnym. Podstawowe polecenia wydawane są, jak kiedyś, po łacinie. Zabawa powinna dotyczyć społeczności, która w niej uczestniczy. Niestety, pojawiła się tendencja do tego, by zabawa miała charakter występu kabaretowego, niekoniecznie treścią związanego z górnictwem, co zupełnie zmienia klimat spotkania. Z imprezy uczelnianej stała się spotkaniem z wychowankami, co pewno ma dobre i złe strony. Coraz częściej do grona „starych strzech” dopuszcza się osoby z klucza politycznego czy przyjacielskiego, władz różnego szczebla. W prezydium zaczęli pojawiać się też organizatorzy spotkania. W czasach prof. W. Żabickiego, nie do pomyślenia. Ci mieli dbać o to by goście się bawili. Masowość niestety nie przechodzi w jakość. Coraz trudniej zapanować nad tłumem, uciszyć go. W tej sytuacji, będąc sam starą strzechą tęsknię do spotkania gwarków, które obejmowało 150 osób, a prowadzone było przez profesorów: Żabickiego, Maciejusza, Sulimę-Samujło, z „gościnnymi wstawkami” profesorów Bębna i Wilka (Zbigniewa). Może w „Niebieskiej, górniczej, AGH-owskiej karczmie piwnej”, bo, że takie są, święcie wierzę, jeszcze ich spotkam!

- „Bal Górnika” w AGH, po wojnie w czasach świetności (lata 70. ubiegłego wieku) należał do najbardziej znaczących w Krakowie. Bywało, że grało kilka orkiestr a dania wszelakie serwowały najznamienitsze krakowskie restauracje. Bawiła się „elita” (socjalistyczna) z przemysłu i urzędów centralnych. Do głównych organizatorów w latach 60. XX wieku należał mój pierwszy Szef, doc. S. Ropski. Praktycznie od września organizacja balu była jego głównym zajęciem. Tańce odbywały się w kilku salach. Rektor-ską, gromadzącą najznamienitszych gości, była aula. Znalezienie się w gronie jej balowiczów było wyróżnieniem. Wydarzenia 1976 r. przerwały tę tradycję. Wróciliśmy do niej, kiedy dziekanem został Antek Tajduś. Zorganizowaliśmy „Bal Wydziału” w kopalni w Bochni. Obawialiśmy się o frekwencję, ale o dziwo nie było problemu. Zaczął się polonezem, prowadzonym przez pierwszą parę składającą się z rektora Ryśka i żony dziekana – Grażyny. Władze dziekańskie wystąpiły w mundurach galowych. Rektor

Tadeusiewicz zresztą też, czym (nie ukrywam) sprawił nam dużą radość. Bal był nad wyraz udany, choć problem komunikacji Bochnia – Kraków był pewnym minusem. Stąd następne zawitały głównie do Wieliczki, z kilkoma balami w budynku A-0, w Niepołomicach, Tomaszowicach. Nie wiem, dlaczego, od 2014 r. bal zmienił charakter i z wydziałowego przekształcił się w „Bal Rektorski”.

Może trzeba by jeszcze napisać coś o uroczystej akademii, ale te są do siebie podobne. Powitanie szacownych gości, wystąpienie rektora i dziekana, odznaczenia państwowe i resortowe, wypowiedzi gości i hymn górniczy odśpiewany przez chór kończy uroczystość. Wspominałem o „spotkaniach z przemysłem”, które uważam za ciekawy pomysł.

Trzeba z satysfakcją powiedzieć, że zwyczaje akademickie górników nie tylko przeszły na dwa „młodsze” wydziały górnicze na Politechnikach Śląskiej i Wrocławskiej, ale i powróciły tam, gdzie są ich najgłębsze, średniowieczne korzenie, to jest do kopalń. Trzeba jednak, ze smutkiem stwierdzić, że jeszcze bardziej jak w „macierzy” zmierzają w stronę zamawianego występu o charakterze kabaretu. Cóż poradzić, odchodzimy od tradycji, ale nie wiem „czy da się wejść drugi raz do tej samej rzeki”.

„Prawdziwego mężczyznę poznaje się nie po tym jak zaczął, ale jak kończy!”

Czas płynie, od wystukania pierwszego zdania tych wspomnień minęło 1,5 roku, a ja tą pisaniną nie przysporzyłem żadnych punktów ani Wydziałowi, ani sobie. A czeka mnie ostatnia „ocena okresowa”, jeśli będzie niska to wstyd, ale i możliwe konsekwencje. Przecież od 4 lat jestem zatrudniony „na umowę”. Może jednak pan rektor i Pan Bóg, w swych łaskawościach, pozwolą mi do-trwać w Uczelni do magicznej 70²⁷⁰.

Pora jednak kończyć i te wspomnienia i pracę w mej ukochanej Uczelni. „Trzeba wiedzieć, kiedy w szatni płaszcz pozostał przedostatni...” – jak zachęcał W. Młynarski. Skończyć pisać łatwo, poprowadzić ostatni wykład po 47 latach pracy, pewno trudniej. „O emeryturze myśl od pierwszego dnia zatrudnienia”, powiedział mi wiele lat temu teść i miał rację! Starłem się myśleć, ale

²⁷⁰ Na szczęście dzięki wychowankom, bo oni pisali publikacje z badań, które „konsultowałem” (dziękuję!) – zdobyłem tyle punktów, że mam „5”. Nie skompromitowałem się i kończę z honorem.

co innego myśleć, a co innego odejść z pracy. Skąd czerpać wzór? Jak patrzę na niektórych z moich starszych kolegów, to... Przywiązanie się do stanowiska, przekonanie o misji w jego sprawowaniu (za rok emerytura ale muszę być w senacie, najlepiej przewodniczącym komisji!), okupowanie pokoju, dobijanie się o różne nagrody, milczący (bo bez udziału w głosowaniach), ale manifestujący swą rangę udział w posiedzeniach Rady Wydziału. Awantura o to by to dziekan GO zapytał czy jego adres mailowy ma zostać w systemie informacji Uczelni, a nie odwrotnie (by to on przechodząc na emeryturę przekazał swą prośbę na ręce dziekana)! Próby wymuszania na swych uczniach i władzach Wydziału sfinansowania z „jakiejs umowy” dalszego zatrudnienia (takie dopuszcza statut). Wielu jest dla Uczelni „wybitnie zasłużonych” i dziwią się, że dziekan nie inicjuje postępowania o nadanie mu „honorowego profesora”. A dlaczego wychowankowie, „dla których tyle zrobił” przestają go dopisywać do publikacji, ale ważniejsze, do listy wypłat z prowadzonych przez nich zleceń? – można by kontynuować! Pewno zbyt generalizuję, czy „kalam gniazdo”, ale rozglądając się dokoła – chyba nie za bardzo.

Zatem jak „skończyć”? W tytule rozdziału wykorzystałem powiedzenie premiera Milera. Człowiek nie z mej politycznej bajki, ale go swoicie cenię za poczucie humoru i trzeźwość ocen. Im jestem starszy i głębiej wczytuję się w sformułowanie definiujące „prawdziwego mężczyznę”, tym bardziej przyznaję mu rację. „Kończ waść, wstydu oszczędź”!, chciałoby się, powiedzieć do wielu z odchodzących na emeryturę a przyklejonych do stołków. Oczywiście bywają i tacy, którzy pomimo emerytury są dalej czynni zawodowo (autentycznie, nie w sposób urojony, pozorowany). Piszą książki, konsultują badania. Czasem prowadzą zajęcia w myśl starego powiedzenia, że „profesor może wyklądać dotąd, póki jest w stanie przez 45 minut utrzymać kredę w ręce i... mocz”! Ale czy do tego muszą okupować gabinety. Jeśli wpadną na kilka godzin w tygodniu to czy nie mogą spokojnie posiedzieć we wspólnym pomieszczeniu. Oczywiście, dla niektórych „gabinet” jest potrzebny dla emeryckiego zdrowia psychicznego no i dla ucieczki z domu, zwłaszcza, kiedy ktoś w nim gdera („którą to kawę chcesz pić?, a co ci mówił lekarz!”). Jest gdzie w spokoju przejrzeć internet, przeczytać gazetę. No i ta pozycja (ciągle przecież ma się pewność, że moje opinie są niezastąpione) dokumentowana dla ludzi przemysłu tabliczką z nazwiskiem na drzwiach w Uczelni! To, że Wydział, czyli jego koledzy, ponoszą koszty nic dla niego nie znaczy. Jest przecież tak zasłużony!

Ale cokolwiek by się nie robiło „wszystko co ma początek, ma i koniec” – powtórzę. Nim jednak rozwinę jak wyobrażam sobie koniec, czyli moje odejście z pracy, słów kilka podsumowania tego mojego pół wieku w AGH.

Kończę pracę w poczuciu wykonania niezłej roboty. Wykształciłem (niestety w mniejszym stopniu wychowałem i nad tym boleję) wielu absolwentów. Kilku z nich zrobiło kariery w przemyśle i nauce (pewnie zrobiliby i beze mnie, ale to tak ładnie brzmi i miło się słucha), osiągnęli stanowiska. Wypromowałem 10 doktorów (kuda mi tam do wyniku prof. R. Tadeusiewicza), w porównaniu z kolegami z Wydziału – przyzwoicie. Dwoje z nich już osiągnęło habilitację. Zbyszek Piotrowski, powtórzę najbliższy przyjaciel czasów pracy, niestety nie żyje. Dr hab. inż. A. Uliasz-Bocheńczyk – przerośnie mnie (jestem tego pewien), jeśli chodzi o osiągnięcia naukowe (Zbyszek, gdyby żył, by to „przerośnięcie” tak skomentował: „o to nietrudno!”). Ma mniejsze predyspozycje do „dowodzenia”, ale może „się wyrobi”. Kolejny, który wychował się w zespole, którego byłem liderem (pewno różnimy się w ocenie mojej roli w tym rozwoju), a więc w jakimś stopniu jest „mego chowu” – dr inż. R. Pomykała, również pozytywnie zmierza do habilitacji. W nauce bardzo dobry, w jej organizacji i w organizacji swej pracy w ogóle ma pewne „słabe strony”, ale też ma szanse na autentyczne osiągnięcia. O „młodszych” też powinienem powiedzieć parę ciepłych słów. Czekają na swoją szansę, oby nie za długo, bo niektórzy się zasiedzieli, choć zawsze są przyczyny obiektywne. Jeśli czegoś w zakresie kształcenia kadr żałuję, to zbyt małej ilości „naukowych dzieci” – jak mawiał prof. Filcek, które zostałyby w „odpadowej rodzinie”. Jest niezbyt liczna. Muszę się jednak wytłumaczyć – zajęty wieloma innymi sprawami miałem zbyt mało czasu na wyszukiwanie diamentów, a może i brak zdolności w tym kierunku. Ale prawda jest też taka, że nie trafiliśmy (a szukaliśmy razem ze Zbyszkiem, który i w tej kwestii był lepszym ode mnie) na zdolnych i chętnych do pracy naukowej – „za takie pieniądze”! Będę z uwagą śledził rozwój tej części Katedry, która zajmuje się odpadami.

Dydaktyka, napłakałem się nad nią na wcześniejszych kartach. „Koń jaki jest każdy widzi”! To ta część mej pracy w Uczelni, w jakiej nastąpiły największe zmiany. Po pierwsze sytuacja zmusiła nas do istotnego zmniejszenia wymagań. Moi profesorowie nie interesowali się „sprawnością nauczania”, „jakością kształcenia” – nie umiałem, dostawałem pałę i koniec. Poziomowi sprzyjały też egzaminy ustne. Nad ich likwidacją boleję najbardziej. Weryfikowały wie-

dzę bezwzględnie i tę zawodową i ogólną. Odgrywały też rolę wychowawczą, uczyły zachowania w rozmowie zawodowej (a nie dyskusji spod budki z piwem). Żadne słuchawki w uchu, smartfony czy „zegarki” z dużym ekranem z wgranymi odpowiedziami, tak powszechnie spotykane (prócz innych ściąg) na egzaminach pisemnych (te zresztą na ogół bywają pisane niechlujnie) – tylko rozmowa. Powiązanie finansowania szkoły, głównie z ilością studentów, to droga nie najlepsza. A dalej, skończył się etos profesora, autorytet wykładowcy. Zastąpił go facet, który się czepia, dziwi, że student nie chodzi na wykłady i nie rozumie, że współczesna skarbnica wiedzy to Wikipedia. I wina leży po obu stronach. Z jednej – komuna promując licznych „towarzyszy – miernoty”, bywało uwikłane we współpracę z SB (pamiętam i autorytety, np. prof. B. Geremka protestujące przeciw lustracji nauczycieli akademickich), a ci „wychowują” sobie poziomem podobnych. Sami sięgali po stanowiska „po znajomości” i dalej w swej karierze i „odkrywaniu młodych talentów” korzystają z tej ścieżki (wyjątki potwierdzają regułę). Z drugiej, szkoła średnia produkująca przeciętnych maturzystów. I dalej, jeśli na studia techniczne przyjmujemy maturzystów z 200 punktami, a bywało i mniej – przy maksymalnej 1000, to *no comment*. Wyjście z tego zakłętego kręgu prowadzi przez studia elitarne. Skoro już musimy mieć tylu z „wyższymi” studiami²⁷¹, to jakąś część kształćmy na specjalnych zasadach. I nie ma to nic wspólnego z równością. Skoro jedni są z natury zdolniejsi, to niech mają większe zadanie do wykonania w życiu – „komu więcej dano...”. Wprowadźmy wreszcie kończenie studiów na określonej pozycji. Wtedy ci zdolniejsi i bardziej pracowici łatwiej znajdą pracę (i lepiej płatną) a ci, którzy sobie w czasie studiów bimbali, cóż, jest tyle koniecznych do wykonania prac „prostych”. I wreszcie, biurokracja, przecząca podstawowej podobno wartości wyższej uczelni, samodzielności w kreowaniu programów studiów. Kolejna kontrola PKA. Pani dr hab. z małego ośrodka, specjalistka od gleb tłumaczy mi, że mam zły program z gospodarki odpadami wydobywczymi – paranoja! Ale ona ma władzę, spisze protokół, centrala PoKA-i, bez zastanowienia się, go zaklepie, nabierze mocy dokumentu i Wydział będzie miał kłopot. Dochodzi do śmieszności. Prowadzę ochronę środo-

²⁷¹ 17 stycznia 2016 r. dowiedziałem się z prasy, że w przeliczeniu na ilość maturzystów mamy czterokrotnie więcej miejsc na studiach niż Niemcy. Jakim intratnym biznesem muszą być szkoły prywatne!?

wiska, przedmiot na poziomie niezwykle ogólnym i podstawowym. W sylabusie mam wpisać swoje publikacje naukowe z tego zakresu, to tak jak by uczącemu tabliczki mnożenia kazać się chwalić publikacjami z tego zakresu – kolejna paranoja! Akredytacja instytucjonalna pyta tylko o to czy mamy procedury. Panie, Ty widzisz i nie grzmisz! Tak więc moja ulubiona dydaktyka wymaga zdecydowanych reform!

Nauka, tu istotny postęp. Rozpoczywałem, kiedy najprostsze przyrządy pomiarowe konstruowało się w warsztacie jednostki, w zaprzyjaźnionym górniczym zakładzie mechanicznym, a o surowce na nie żebrało w przemyśle. Jeśli miało się pieniądze, można było coś zamówić w Zakładach Aparatury Naukowej UJ. Pieniądze, generalnie był jakiś niewielki budżet, ale dla asystenta, tajemniczy. Szansą był znajomy Szefa – dyrektor, który dając zlecenie, umożliwiał sfinansowanie drobnego zakupu. Problemy dotyczyły też „materiałów biurowych”. Pracownik techniczny „przydzielający” ołówki, długopisy, papier ect. – to była szych. A jak nie miał papieru milimetrowego by zrobić wykres to trzeba było biegać do sklepu. 50 lat temu początkujący pracowali samotnie, tworzenie zespołu badawczego było rzadkością. Pryncypał (na ogół) był liderem tylko wtedy, gdy przygotowało się publikację. Owszem, inicjował tematykę, ale i w tej materii młody często poruszał się po omacku, co miało te dobre strony, że pilniej niż dziś udawał się do biblioteki. Pewnym otwarciem było poszerzenie miejsc składania zleceń (towarzystwa, potem spółdzielnie i fundacje). Tworzyły nie tylko nowe źródła przychodów, ale i przynosiły z przemysłu aktualną tematykę. Skutkowało to jednak bardziej poprawą statusu materialnego partycypujących, niż podnoszeniem poziomu nauki. Istotną zmianę spowodowało powołanie KBN-u. Pojawiły się możliwości zakupów aparatury, finanse na konferencje, granty wdrożeniowe i pieniądze na doktoraty. Można było swobodnie proponować dowolny (byle mądry) temat. Oczywiście i w tym systemie mogły być patologie (powodowane skokiem na kasę niektórych naukowców), o czym pisałem, ale „plusy dodatnie” istotnie przewyższyły „ujemne”! Niestety, („komu to przeszkadzało”?) w dużej mierze owe plusy zostały trwonione w późniejszych modyfikacjach i system ponownie nadmiernie się zbiurokratyzował. Do tego, wskutek głośnej presji mainstreamowych piewców rozwiązań zagranicznych zastosowano wiele modyfikacji nieprzystających do naszej rzeczywistości (z „listą filadelfijską” na czele). Podobnie, luminarze fizyki ostentacyjnie okazując pogardę technikom, w pewnym okresie czasu,

a byłem tego świadkiem, również narobili wiele szkody. Piszę przez pryzmat nauk górniczych. Wiem, że mamy kierunki sztandarowe na poziomie światowym, że zdolni (którzy wbrew istniejącemu systemowi równania w dół w kształceniu, potrafią się wybić) absolwenci robią furorę w wiodących koncernach zagranicznych. W tym upatruję nadzieję, tylko co zrobić z takimi „zwykłymi robotnikami w winnicy nauki”, do których i ja się zaliczam (ale w moim przypadku rozwiązanie jest proste – emerytura). Jak przekonać „wiecznego doktora”, w wieku 45 lat, że blokuje miejsce młodemu, zdolniejszemu a najważniejsze – bardziej pracowitym i zorganizowanym? Czy w tych warunkach coś osiągnąłem. Nie na tyle bym zasłużył na miano odkrywcy. Oczywiście, bez skromności powiem, że w tematykę zawiesiny i wszelakich odpadów w kopalniach wniosłem istotny wkład poznawczy i wdrożeniowy. Ale to był problem poprzednich 30 lat i dziś traci na ważności, problem, bardziej techniczny niż naukowy. Na nauce też zarobiłem na tyle, by żyć na poziomie, z pewnością wyższym od średniego. Jeśli własne mieszkanie, wyremontowany, stary dom na wsi i kilka wczasów za granicą uznać za taki.

Myszę również, że i moje działania organizacyjne w Uczelni i po za nią na coś się przydały! Tego „obowiązku” nauczyciela akademickiego nie będę jednak rozwijał. Można o nim wyczytać na stronach wcześniejszych, a nie jest podstawowym „obowiązkiem” nauczyciela akademickiego.

Czas kończyć, więc wracam do „kończenia”. „Gotowość do odejścia jest miarą dojrzałości” pisał Szekspir. Od zawsze żyję w przekonaniu, że nie jestem na wydziale nikim unikalnym, a więc tym bardziej niezastąpionym. Takie przekonanie pozostawiam kilku kolegom! (Ale ich ostrzegam, odejście będzie bolesne, podlizujący się nagle przemienią się w krytyków dających im do zrozumienia, że są intruzami – całkiem niepotrzebnymi). Zatem moje odejście nie spowoduje żadnych skutków, poza osobistymi, stracę pensję – 2250 \$²⁷². No może kilkoro młodszych kolegów nie będzie miało komu się pożalić! Ktoś odetchnie, że nie będę „się czepiał”, dziekan będzie miał mniej dyskutantów na posiedzeniach Rady Wydziału! Ale właśnie ten ostatni etap pobytu na Uczelni trzeba spędzić z godnością, udowodnić, że się jest dojrzałym!. Zrobić porządek na półkach i w szafkach. Książki wydziałowe oddać do biblioteki, prywatne,

²⁷² Ciekawostka, prawie 50 lat pracy i pensja wrosła ponad 100-krotnie!!!

rozdać (jeśli będą chętni) resztę „wyzłomować”. Papiery przejrzeć, zostawić i zabrać mające wartość sentymentalną (ewentualnie z myślą o rodzinie), a resztę oddać na makulaturę (do „odzysku” – jak mnie to słowo z nowomowy odpadowej denerwowało!). Wykasować dysk na służbowym laptopie. Jeśli ich gospodarze będą chcieli mnie przyjąć, to jeszcze złożyć parę „ostatnich” wizyt w ważnych gabinetach Uczelni. Zamknąć pokój i klucze oddać kierownikowi Katedry. Jakie to proste! Co dalej? Dalej, przygotowywać się do „ostatniego zjazdu”, a nim on nastąpi? Oczywiście może się zdarzyć, że tego czasu nie będzie, albo, że trzeba go będzie spędzać w gabinetach lekarskich, czy w kolejkach do nich. Ale jeśli jeszcze trochę zdrowie dopisze to: jest tyle książek, również tych, które chętnie przeczytam drugi raz. Na wsi czeka dom przysposobiony na tę okazję²⁷³. Czekają las z grzybami, glinianka z rybami, ogród, a w ziemi kominek z piwem, a od święta z dobrą whisky, którą coraz bardziej lubię. W Krakowie bywają ciekawe koncerty i przedstawienia teatralne. Jest radio, słucham go „na okrągło” (głównie programu II PR). Spotkania z przyjaciółmi i tymi z dzieciństwa i „pozyskanymi” później, choć z wiekiem jest ich coraz mniej i to nie tylko dlatego, że przyjaciele odchodzą. Może zdrowie pozwoli to jeszcze trochę poświęcić czasu wnukom – Ali i Krzysiu, o ile będą chcieli, bo to nowe pokolenie... Nie mam jednak złudzeń, że będę dla nich dziadkiem – wzorem na ich życie. Czy nagle przestanę interesować się problemami uczelnianymi? Na pewno nie, będę śledził stosowne strony w internecie, rozmawiał z kolegami, którzy podążając moim śladem jeszcze walczą. Będę im życzliwie kibicował. Jeśli ktoś będzie chciał poznać me zdanie w jakiś sprawach – będę do dyspozycji. Dopóki będę chodził w miarę normalnie a nie (jak mawia prof. S. Wasilewski) „krokiem narciarza”, może nawet czasem wpadnę do pani Ali zobaczyć jak się Katedra zmienia. Z pewnością, zgodnie z mą naturą, nadal idiotyzmy występujące w Uczelni i w nauce będą mnie denerwować. Ale już (chyba?!) nie będę do nikogo pisał, strawię je w sobie. A propos pisania, to marzy mi się jeszcze napisanie czegoś z pogranicza techniki i jej popularyzacji. Myślę o „popularnej” historii górnictwa. Zobaczymy, nie podaję szczegółów by nie zapeszyć. I z pewnością będę wspominał i myślał o tych wielkich i małych, którzy sprawili, że zostałem profesorem w AGH, że te ponad 50 lat spędziłem

²⁷³ Spisałem jego losy w *Górka – impresje o miejscu, ludziach, zdarzeniach*. Kraków 2015 – wydałem, rozdałem rodzinie i przyjaciołom.

dziłem w Niej z pożytkiem dla siebie, pewno i innych, a przede wszystkim rodziny, która zawsze była dla mnie najważniejszą²⁷⁴. „Jak szybko mijają chwile, jak szybko mija czas...”.

Szczęść Boże Uczelni, memu Wydziałowi,
Tym, którzy są i przyjdą!

Kraków, czerwiec 2016 r.

²⁷⁴ Jak Szanowny Czytelnik pewno zauważył, unikałem na tych stronach odniesień do rodziny, przywoływania życia prywatnego – celowo. Aczkolwiek socjolog pewno będzie kręcił nosem, że moja relacja jest w związku z tym niepełna – trudno! Wzajemne wpływy życia prywatnego na zawodowe i odwrotnie pozostawiam w pamięci najbliższych, żony Jadwigi i synów Bartłomieja i Mateusza.

Indeks nazwisk

A

Adamek Ryszard 49, 57, 61, 90, 118
Adamiakowski Leopold **100***
Anioła Jan 47, 52, 205
Artymiak Regina 11

B

Banasik Czesław 130
Barchański Bronisław **134**, 148, 219,
224, 227, 257, 277
Batko Paweł 233, 238, 239
Bąk Marek (Marian) 145
Bednarski Michał **21**
Bęben Artur 10, 11, 182, 290
Białousz Stanisław 140
Bielański Adam 11
Bielecka-Przygodzka Barbara 85
Bieniawski Zdzisław Tadeusz 167
Bobula Eugeniusz 31
Bocheński Aleksander 182
Bolewski Andrzej 10, 182
Borecki Marcin 187
Borkacki Stanisław **45**, 63
Borowski Marek 229
Branny Marian 233, 238

* Pogrubiona cyfra oznacza numer strony,
gdzie zamieszczono biogram.

Bromowicz Roman **209**
Bromowicz Tomasz 209
Brożek Marian 234
Brudny Zbigniew 273
Budryk Witold 10, 31, 43, 48, 63,
66, 69, 70, 77, 79, 87,
89–95, 98, 121, 122, 132,
138, 164, 167, 168, 176

C

Cała Marek 224, 228, **229**, 230, 281
Chludek Adam 61, 253
Chorabik Tytus 282
Chrząszcz Waclaw 234
Chudek Mirosław **118**, 119, 120, 122
Chudzik Władysław 130
Ciaś Zdzisław 130
Cielecki Mieczysław **46**, 47, 178, 253
Cieśla Antoni 213
Cupiał Marek 273
Cyrkowicz Halina 251
Cyrnek Czesław 62
Czaja Piotr 154, 182, 222,
224, 225, 226, 234
Czech Leszek 273
Czczott Henryk 43, 91, 113,
154, 164, 167, 237
Czekajowski Ryszard 51, 179
Czopek Kazimierz **133**, 134, 135, 220
Czyszczan Maria **122**, 246, 251, 252

Ć

Ćwiąkański Zbigniew 207

D

Dąbek Anna 254

Długosz Wiesław 62

Dłużewski Edward 110

Dobrzyńska-Lankosz Ewa 174

Drzewiecki Jan 88

Drzewiecki Karol 42, 46, 62, 70,
71, **87**, 88, 112,
117, 121, 181

Drzęzła Bernard **160**, 220

Drzymała Zygmunt 128

Dubiel Stanisław 234

Dubiński Józef **144**, 145, 192

Duda Zenon 161, 219

Dulewski Jan 193

Dunikowski Andrzej **236**

Dydecki Marek 74, 85, **96**, 102,
103, 108, 181,
265, 272–274, 283

Dziawański Janusz 159

Dziędziel Bogusław 181, 268

Dziurzyńska Krystyna 155, **254**

Dziurzyński Wacław 212, **254**

E

Englander Witold **24**, 28

F

Filcek Henryk 10, 11, **105**, 161, 178,
192, 206, 218, 229, 247, 295

Flisiak z d. Kołodko Danuta **234**, 281

Flisiak Jerzy **161**, 229, 234, 281

Foszcz Dariusz 232

Frącz Jerzy 34

Fudali Józef 102

Fuksa Eugeniusz 46

G

Gaj Bronisław 57, 158, 191, 192

Gałaś Zdzisław 219, 235

Garlicki Aleksander 11, 126, **133**
209, 210

Gaździk Franciszek 110

Gęgotek Witold 85

Głodzik Stanisław 235

Główka Jan **281**

Godzik Barbara 153

Goetel Walery 60

Gołaś Andrzej 219

Gonet Andrzej 133, **199**, 200

Górecki Henryk 11

Górecki Jan **48**, 72, 90

Graczyński Adam 143, 144

Gruchała Janusz 200

Grzymek Jerzy 252

Guliński Maciej 191

Guosch Lin 274

Gustek Marian 110

Görlich Władysław 128

H

Halota Wojciech 86

Hałat Włodzimierz 235

Handke Mirosław 129, **131**, 199,
208, 257, 278, 283

Heller Michał 65

Hobler Mieczysław 36, 37, 81,
82, 95, 96

Hoborski Antoni 212

Hromka Andrzej 55

I

Ideć Danuta 235

J

Jabłońska-Firek Barbara 235

Jagiełło Wiesław 236

Jan Paweł II 38, 59, 84,
210, 213, 243, 278–280
Janowska-Kłapkowska Anna 59
Janowski Jan 70, 78, 132, **207**
Jaraszkiewicz Marek 268
Jarocki Ryszard 10
Jawień Emilia 251
Jawień Mieczysław 69, **121**, 249, 251
Jaźwiński Jerzy 139, 141, 142
Jeleń Kazimierz 20
Jelonkiewicz-Babiarz
Stanisława 42, 47, 74, 90
Jopek Franciszek 49
Jura Zbigniew 70, **110**
Jużkiewicz Stefan 70

K

Kaleta Józef 269
Kaliski Maciej 236
Kalisz Andrzej 36
Kalondji-Kabengele Anaclet 85
Kałwa Marian 54, 62–64, 150
Kapcia Jacek 268
Karboniczek Mirosław 150
Karbonnik Andrzej 145
Karcz Aleksander 153
Karp Maria 175
Karwacki Andrzej 257
Kazek Jan 110
Kąkol Zbigniew 213
Kęps Waldemar 153, 193
Kęska Jerzy 236
Kicki Jerzy 85, 97, **108**, 116, 169,
180, 181, 219, 220, 221,
222, 223, 236, 264, 268,
269, 272, 273, 274
Kidybiński Antoni **189**
Kijowski Zdzisław 273
Kilian Zdzisław 55
Kirejczyk Józef 281
Kleczkowski Antoni 132, 156,
206, 212, 219
Kleiber Michał 142, 166, 171

Klich Jerzy 52, 56, **136**, 143,
154, 219, 220, 222–224,
226, 227, 230
Klimaszewski Mieczysław 35
Klimowski Stanisław 90
Kłeczek Bogusława 47, 137
Kłeczek Zdzisław 47, 62, 72, 78, 117,
120, **137**, 140, 141
Kmieciak Jerzy 76, 108, 110, 167
Knothe Stanisław 11, 48, 91, 92, **93**,
94–96, 110, 120,
127, 128, 130, 164,
167, 168, 170, 191,
218, 219, 245–247
Kocot Mieczysław 181
Kohutek Zdzisław 70, 236
Kolęda Zygmunt 219
Komarek Karol 181, 268
Konopka Jan 203
Kontkiewicz Stanisław 77
Kopański Franciszek 110, 167
Korczyński Witold 26
Korman Stanisław Leopold 12, 30, 58,
62, 75, **105**,
106, 178
Korzeniowski Waldemar **116**, 265, 268
Kossuth Stanisław **284**
Kowal Janusz 210, 279
Kowalczyk Bogusław 237
Kozdrój Marian 124
Kozera Kazimierz 180
Kozik Zenobiusz 34
Kozioł Michał **281**
Kozioł Wiesław 159, **237**
Krajewski Roman 139
Krasicyński Kazimierz 85
Krawczyk Wiktor 236
Krawiec Alfons 90
Kruk Franciszek **79**
Krukowiecka Łucja 251
Krukowiecka Władysława 251
Krupiński Bolesław 10, 43, 48,
91, 123, 134
Krzysztoń Danuta **120**

Krzyżanowski Włodzimierz 20
 Kuczyńska Iwona **135**, 153, 237
 Kukiałaka Stefan 219
 Kuś Stanisław 110
 Kuśnierz Jerzy 237
 Kwaśniewska Stanisława 20
 Kwaśniewski Janusz 273
 Kwaśniewski Marek **187**
 Kwiecień Zdzisław 52, 63
 Kwieciński Czesław 55, 264
 Kwiek Julian 11

L

Landzianowski Andrzej 281
 Lasoń Mieczysław 20, 49
 Lenik Janusz 203
 Lewicki Józef 53, 168, 237, 239
 Lipiec Józef 59
 Lipińska Ewa 191
 Lis Jerzy 213, 215
 Lisok Feliks 21, 25, 27, 42
 Lisowski Andrzej 11, 49, 109, **123**,
 124, 167, 227, 235
 Litwiniszyn Jerzy 30, 31, 48, 88, **91**, 92,
 94, 167, 170, 246, 247

Ł

Łuksza Janusz 149, **280**

M

Maciejasz Krystyna 64
 Maciejasz Zdzisław 36, 41, 46, 49, 52,
 53–55, 57, 61, 62, 64,
 71, 75, **76**, 78–82, 94–96,
 99, 102, 108, 112, 129,
 178, 205, 218, 236, 290
 Magda Roman 227, **249**
 Majcherczyk Tadeusz 219, **246**, 247
 Majewski
 Stanisław Włodzimierz **100**, 284
 Malinowska Janina 60
 Malski Jacek 204, 253

Małolepszy Jan 282
 Mamro Kazimierz 78
 Manecki Andrzej 10
 Marciniak-Kowalska Jolanta 238
 Markowski Jerzy 85
 Marzec Anna **18**, 24
 Materzok Jan 192
 Matysik Marian 70
 Mazur Marcin 17
 Mazurek Jakub **238**, 281
 Mazurkiewicz Alicja 299
 Mazurkiewicz Andrzej 17, 63
 Mazurkiewicz Bartłomiej 264, 300
 Mazurkiewicz Bogdan 46
 Mazurkiewicz Jadwiga
 z d. Borkacka 11, 12, 23, 42, 43, 63,
 65, 122, 176, 264, 268,
 270, 271, 280, 300
 Mazurkiewicz Jan 11
 Mazurkiewicz Józef 17
 Mazurkiewicz Krzysztof 299
 Mazurkiewicz Mateusz 264, 280,
 282, 300
 Mazurkiewicz Zbigniew 281
 Merkiś Jerzy 142
 Mikołajczyk Władysław 238
 Mikoś Tadeusz 239
 Miodoński Jan 126
 Mitkowski Władysław 149
 Mitręga Jan 48, 49, 78, 92
 Mokrzycki Eugeniusz 219
 Morawa Ryszard 52, 238, 239, 283
 Mruk Kazimierz 219, 239

N

Naturalista Antoni 282
 Nawrat Stanisław 240
 Neugebauer Jan 55
 Ney Bogdan **139**, 140, 142, 175, 196
 Ney Roman 108, 139, 205, 241
 Niewdana Józef 102
 Nowak Bernard 219, 240, 241
 Nowosielski Marek 21, 22, 37

O

Ociepa Zofia	241
Olajossy Andrzej	94, 247 , 248
Oleksy Stanisław	187
Onderka Zbigniew	62
Opłocka Sławomir	268
Osimowicz-Pleśniak Irena	85
Ostrowska Hanna	31
Ostrowski Kazimierz	20, 32
Ostrowski Adam	63

P

Paczkowski Andrzej	145
Palarski Jan	118 , 119, 122, 125, 132, 145, 159, 195
Parzonka Włodzimierz	170
Pawelczyk Henryk	192, 238
Pawiński Jan	94, 117, 128, 129, 130
Pawiński Krzysztof	131
Pawlikowski Maciej	239
Pawluś Wojciech	146
Pawul Małgorzata	153
Piechota Stanisław	21, 86, 116, 118 , 119, 121, 122, 145, 159, 160, 178
Pigoń Stanisław	18
Pilch Leszek	128
Pilch Władysław	62, 71
Pinińska Joanna	139, 141
Piotrowski Czesław	111
Piotrowski Tadeusz	203
Piotrowski Zbigniew ..	14, 56, 73, 108, 110, 111 , 112, 113, 116, 129, 132, 153, 155, 158, 161, 169, 170, 181, 182, 191, 192, 203, 241, 243, 250, 253, 263, 264, 280, 295
Pogonowski Andrzej	149, 150, 153
Polak Zbigniew	130
Pomykała Radosław	153, 223, 295
Poparda Tadeusz	112, 241
Popiołek Edward	134 , 172

Postawa Ewa	174
Postawa Jacek	26, 71, 72, 73, 74, 102, 103, 108 , 116, 158, 174, 176, 181, 203, 241, 242, 265, 268, 269
Przebinda Grzegorz	200
Przewłocki Kazimierz	57
Pudło Witold	71
Puka Józef	181

R

Rachwał Tadeusz	20, 30
Rak Zbigniew	192
Rembielak Tadeusz	36, 72, 95, 242
Reszke Jan	206
Ropska Halina	62 , 76
Ropski Stanisław	41, 42, 45, 46, 48, 50, 52–55, 57–64, 69 , 71–76, 82, 90, 108–110, 120, 127, 181, 205, 241, 263, 290
Rosik-Dulewska Czesława	193
Roszczyński Włodzimierz	119 , 122, 135, 219, 242, 269, 273, 274
Roszkowski Janusz	9, 58, 94, 117, 125, 127 , 128–131, 159, 205, 218, 252, 270
Rydlewski Jerzy	242
Rymar Stanisław	200
Rymon-Lipiński Włodzimierz	71 , 242
Ryncarz Tadeusz	71, 88 , 121, 122, 218, 219, 227, 246
Ryndak Marek	25, 27, 29

S

Salamon Andrzej	269, 273
Sałustowicz Antoni	43, 88, 94, 105, 137, 164, 176
Sanak-Rydlewska Stanisława	224, 242, 243

Sepiał Jacek 85, 243
 Sędzimir Jerzy 11
 Sęk Tadeusz 219
 Siek Jan 206, 220
 Siemek Jakub **125**
 Sikora Włodzimierz 61, 62, 63
 Siška Ludomir 73
 Siwik Anna 7, 11, 210, 215, 256
 Skarga Barbara 5, 6
 Skompski Stanisław 109
 Skrzypek Leszek 110, 167
 Słomka Tadeusz 14, 19, 150, 200,
 213, **214**, 215, 257
 Smalko Zbigniew 139
 Sobczyk Wiktoria 153, 224
 Soliński Ireneusz 219, 228
 Stachurski Józef 71, **117**
 Stecko Ryszard 52, **115**, 205, 242
 Stopyra Michał 32, 37, 72, 90,
 192, **243**, 253
 Strózik Waclaw 181
 Stryczek Stanisław 243
 Strzałkowski K. 11
 Strzelecki Zbigniew **50**, 70, 134, 239
 Studniarski Jan **98**
 Suliga Ireneusz 11
 Sulima-Samujło Julian 78, **102**, 290
 Swircziyn Zdenek 73
 Szakła-Walisz 20
 Szczepański Andrzej **142**, 219
 Szewczyk Jacek 261, 262
 Szewczyk Stanisław 55
 Szlachetka Dariusz **153**, 253
 Szlązak Jan 130, 249
 Szlązak Nikodem 130, 221,
 227, **248**, 269
 Szlązak Marek 139, 140
 Szmuc Tomasz 213
 Szponder Tadeusz 222, **244**, 269,
 271, 273, 274, 283
 Sztaba Kazimierz 46, 47, 52, 128,
135, 159, 234
 Szulakiewicz Władysława 5
 Szymańska-Czaja Maria 153, 244

Ś

Ślebodziński Jerzy 70
 Śleziak Grzegorz 268
 Ślizień Maria 259
 Ślizień Nina 220
 Śliż Józef 102
 Świączkowski Zdzisław 19, 23, 24,
 27, 29, 33
 Świętanowski Wojciech 180, 181, 268

T

Tadeusiewicz Małgorzata 211
 Tadeusiewicz Ryszard 10, 153, **208**,
 210, 211, 214,
 290, 291, 295
 Tajchman Zbigniew 245, 283
 Tajduś Antoni (Antoni III) ... 127, 134, 135,
 136, 141, 146, 150, 153, 155,
 158, 160, 162, 165, 179, 192,
 200, **211**, 212, 213, 215, 217,
 219–222, 224, 226–230, 245,
 247, 254, 256, 257, 258, 290
 Tajduś Grażyna 290
 Takuski Stanisław 42, 47, 62, 63, 64,
 75, **83**, 84, 96, 108, 115,
 165, 174, 181, 243, 267
 Tieturka Mirosław 273
 Tora Barbara **250**
 Trembecki Adam Stefan 10, **80**,
 127, 235, 281
 Trojnar Andrzej 21
 Trutwin Waclaw **31**
 Trybalski Kazimierz 245
 Trzaska Alfred 31, 51, 234, 252
 Tumidajski Tadeusz 245

U

Uhrynowski Stefan 30, 31
 Uliasz-Bocheńczyk
 Alicja 182, 191, 295, 298
 Urban Wojciech 102

W

Wacławik Józef	46, 128 , 130, 191, 218, 227
Wacławski Jan	136, 220, 245
Wagner-Staszewska Teresa	245
Walaszczyk Jan	218 , 245
Walewski Jan	218
Wasilewski Stanisław	154 , 155, 232, 299
Waś Stanisław	130, 272
Weklicz Małgorzata	136, 220, 252
Wielgosz Julian	59
Wielowieyski Janusz	21
Wilk Stanisław	245
Wilk Zbigniew	148, 290
Winzer Jan	189 , 223
Wiszniewski Andrzej	140, 166
Witek Zbigniew Kazimierz	100
Witosiński Jan	245
Wojda Adam Paweł	60
Wojtyła Jan	145
Wolański Piotr	139
Woleński Jan	59
Wolnicki Janusz	283
Woźny Tadeusz	246
Wranka Jan	86

Z

Zabierowski Jacek	117 , 120, 131, 135, 219, 222, 226
Zabłocki Wiesław	27
Zacharzewski Jerzy	52, 71, 240, 242
Zajac Maria	17
Zajac Stanisław	146
Zalewski Feliks	43, 50, 70, 84 , 87, 88, 99, 122
Zawodny Józef	20, 283
Zbigniewicz Stefan	220
Zięba Zbigniew	70
Zioło Henryk	257
Znański Józef	37, 38, 58, 69, 70, 72, 81, 87, 89 , 90, 91, 175, 178
Zorychta Andrzej	118 , 246

Ż

Żabicki Witold	30, 63, 70, 80, 97 , 99, 104, 182, 283, 288, 289, 290
Żemajtis Kiejstut	35, 205
Żerda Danuta	213
Żylicz Maciej	145



Prof. dr hab. inż. Maciej Mazurkiewicz

Urodzony 26 lutego 1947 roku w Święcianach na Podkarpaciu

pół wieku w AGH na Wydziale Górniczym

student: 1964–1970, pracownik: 1970–2017

górnik, inżynier środowiska

ISBN 978-83-7783-192-2